

Dowództwo na Mauritiuisie

O'Brian Patrick



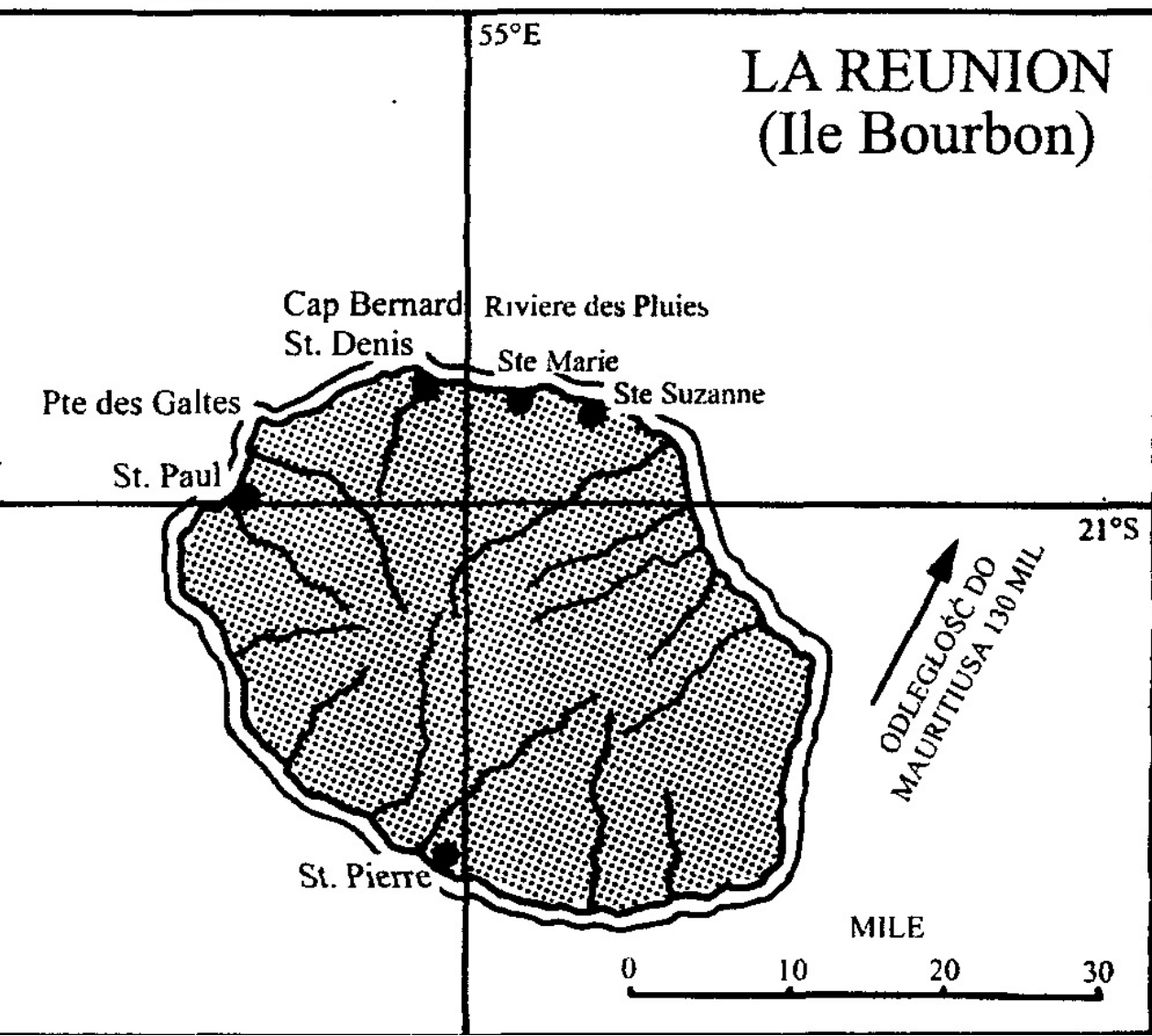
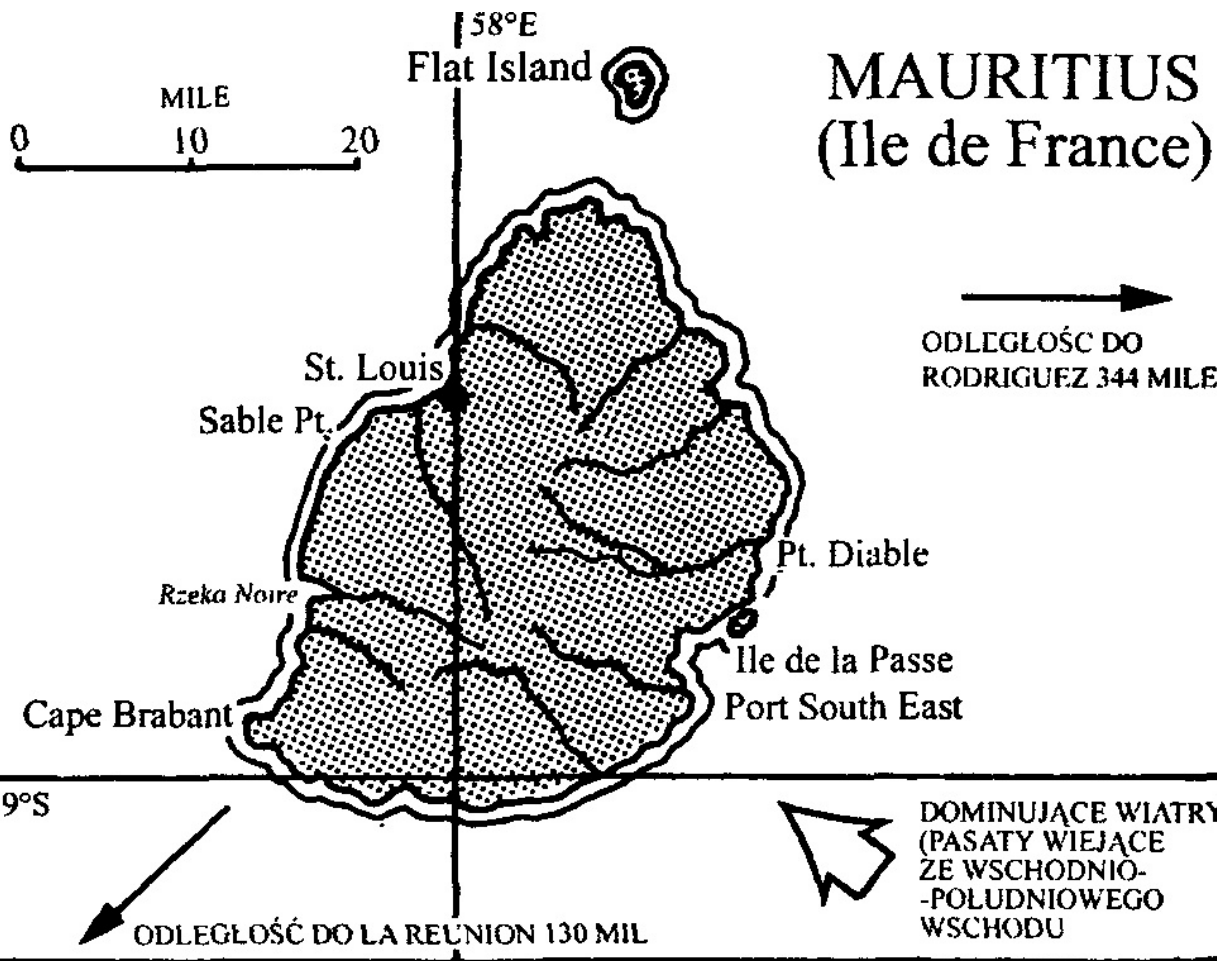
calibre 0.9.27

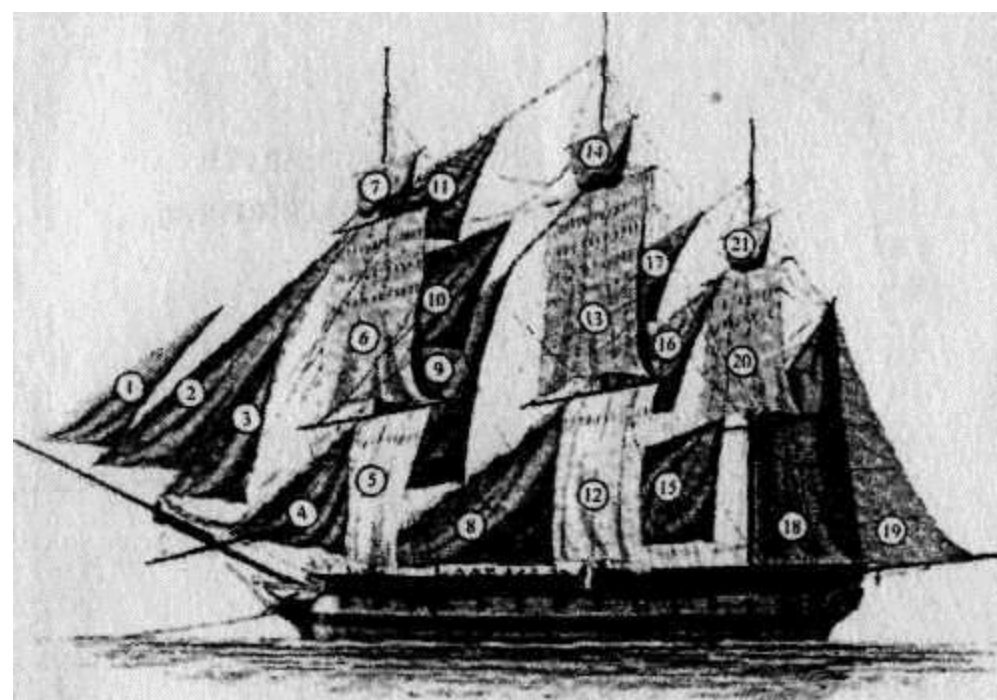
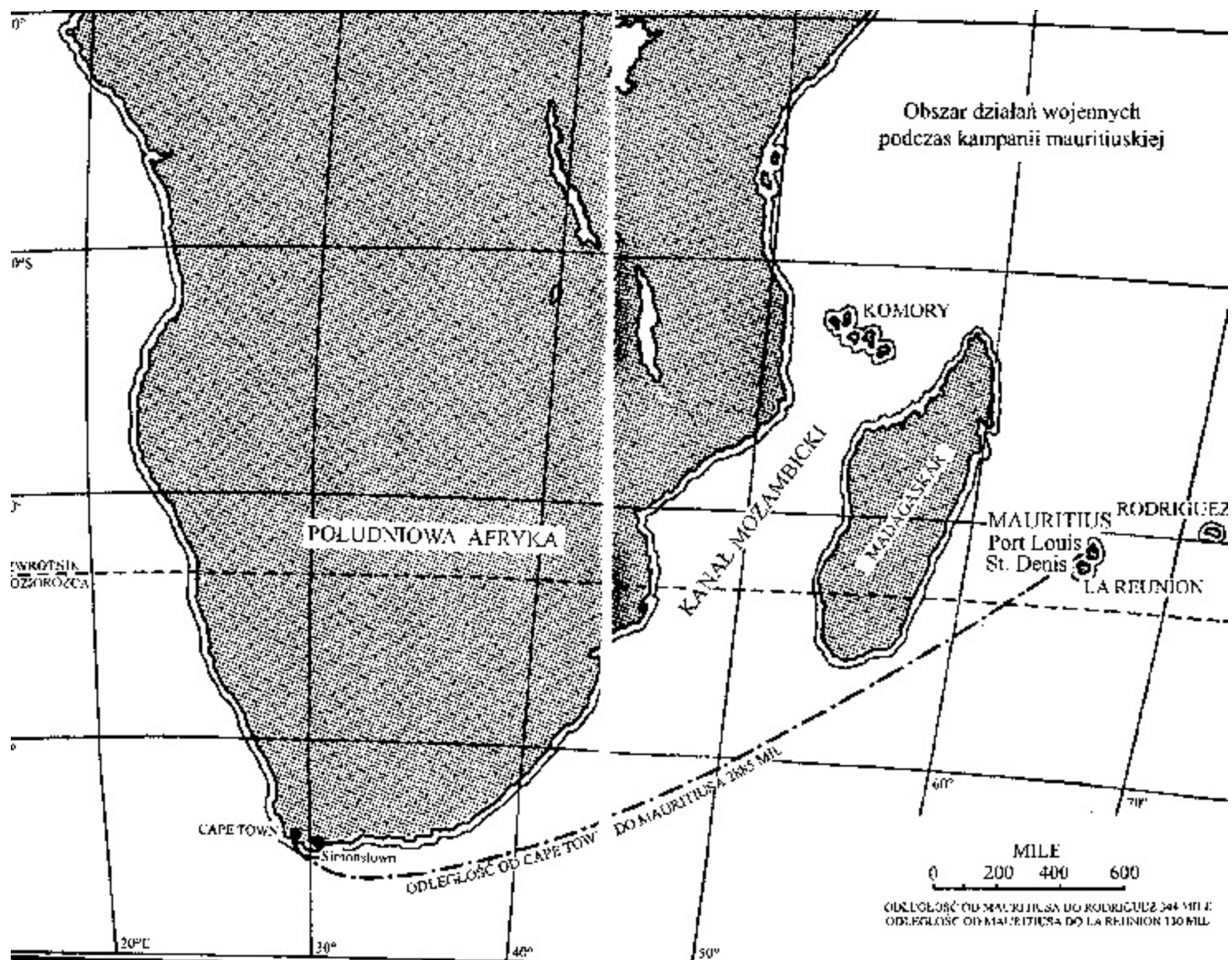
Patrick O'Brian

Dowództwo na Mauritiusie

Tłumaczył Marcin Mortka

Tytuł oryginału *The Mauritius Command*





Żagle okrętu ozaglowanego na sposób rejoy, postawione podczas ciszy morskiej celem osuszenia:

1. Bomkliwer (latacz)

2. Kliwer

3. Forsztaksel

4. Fokstensztaksel

5. Fokzagiél

6. Fokmarsel

7. Fokbramsel

8. Grotsztaksel

9. Grotstensztaksel

10. Grotbramsztaksel

11. Grotbombramsztaksel

12. Grotzagiel

13. Grotmarsel

14. Grotbramsel

15. Stersztaksel

16. Sterstensztaksel

17. Sterbramsztaksel

18. Sterżagiel

19. Bezanżagiel

20 . Starmarsel

21. Sterbramsel

Illustration source: Serres, Liber Nauticus.

Courtesy of The Science and Technology Research Center,

The New York Public Library, Astor, Lenox, and Tilden Foundation

NOTA OD AUTORA

Czasami czytelnik powieści, a zwłaszcza powieści, której akcja osadzona jest w innym okresie historycznym, chciałby wiedzieć, czy opisywane w niej wydarzenia miały kiedykolwiek miejsce czy też, podobnie jak

występujące w powieści postacie, są całkowicie tworem wyobraźni autora.

Niewątpliwie wiele można rzec na temat wolności przysługującej pisarzowi w obrębie danego kontekstu

historycznego, niemniej w przypadku *Dowództwa na Mauritiusie* owa mało znana kampania, leżąca u podstaw fabuły, jest autentyczna. Jeśli zaś chodzi o geografie opisywanej scenerii, przeprowadzone operacje, nazwy zdobytych, spalonych bądź zniszczonych okrętów, odbyte bitwy, zwycięstwa oraz klęski, autor czerpał z

dokumentów współczesnych kampanii — z dzienników pokładowych i meldunków walczących oficerów oraz

archiwów admiralicji. Poza całkowicie fikcyjnymi, lecz koniecznymi rozdziałami na początku i końcu powieści autor starał się nie zmieniać historii, z wyjątkiem pominięcia nazw kilku mniej istotnych okrętów, których udział

w kampanii był niewielki, a pojawienie się na kartach powieści mogłoby wprowadzić zamęt. Nie było też jego zamysłem przydawanie zbytecznych zasług czy upiększanie męstwa Królewskiej Marynarki Wojennej, biorącej

w owych zmaganiach udział.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W tej części hrabstwa Hampshire, gdzie osiedlił się kapitan Aubrey z Królewskiej Marynarki Wojennej, oficerów marynarki nie brakowało, zarówno tych, którzy wywiesili swój znak już w czasach Rodneya, jak i tych

wciąż oczekujących na objęcie pierwszego dowództwa. Ci, którym bardziej się poszczęściło, mieli teraz wielkie, wygodne domy z widokiem na Portsmouth, Spithead, St Helens czy Isle of Wight oraz nie kończącą się, płynącą wzdłuż brzegu procesję okrętów wojennych. Kapitan Aubrey, który dzięki

pryzowemu, jakie zdobył, będąc

dowódcą słupa i kapitanem fregaty, zyskał przydomek „Szczęściarz”, miał wszelkie szanse, by znaleźć się między nimi. Jednakże seria nieszczęśliwych okoliczności, takich jak brak okrętu, wpadka z agentem przyzowym, brak smykałki do interesów oraz pozbawiony skrupułów adwokat, sprowadziły jego uposażenie do poziomu

połowy pensji*. Ostatecznie Aubrey zamieszkał w domu na północnym zboczu Downs nieopodal Chilton

Admirał, gdzie cały widok na morze wraz z większością promieni słonecznych zasłaniało mu wysokie wzgórze.

* W królewskiej marynarce wojennej istniał zwyczaj wypłacania połowy przynależnej pensji oficerom bez

przydziału. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Malowniczo położony wśród jesionów dom idealnie nadawał się dla pary świeżo po ślubie, choć pokoiki były

ciasne i niewygodne, a sufity niskie. Kiedy jednak do Jacka i Sophie dołączyła dwójka ich dzieci wraz z

siostrzenicą, zrujnowaną teściową i garścią służących, a pod ścianami stanęły wielkie meble z Mapes Court, dawnej posiadłości pani Williams, dom wypisz wymaluj zaczął przypominać Czarną Dziurę* w Kalkucie.

Jedyną różnicę stanowiło to, że Czarna Dziura była miejscem suchym, gorącym i pozbawionym dopływu

świeżego powietrza, a po domu Ashgrove hulały przeciągi, w wielu pokojach zaś wilgoć i woda ściekająca z dachu tworzyła kałuże.

* Czarna Dziura — loch w Fort William w Kalkucie, gdzie w celi o powierzchni 6 metrów kwadratowych

zdobywca miasta Siraj-ud-Dawlah zamknął 146 angielskich więźniów. Następnego dnia doczekało tylko 23.

Swych służących kapitan Aubrey utrzymywał z pensji w wysokości dziewięciu szylingów dziennie, wypłacanej

co pół roku, nierzadko długo po wytęsknionym czasie. Co prawda we wszystkich kwestiach finansowych miał

do pomocy doskonałego ekonomistę w osobie własnej teściowej, ale borykanie się z problemami

pieniężnymi

odcisnęło głębokie piętno nieustającej troski na jego od urodzenia pogodnej twarzy. Czasami troska zawierała w sobie delikatny odcień frustracji, gdyż Aubrey, rozmiłowany w hydrografii i nawigacji żeglarz, w wolnym czasie usilnie pracował nad wynalezieniem sposobu pomiaru długości geograficznej na morzu w oparciu o pozycję

księżyców Jowisza. Potrafił sam szlifować lustra i soczewki do swego teleskopu, ale czasem marzył, by móc

wydać kilka gwinei na mosiężną obudowę.

W pobliżu domu Ashgrove rósł pachnący grzybami las, który przecinał głęboki wąwóz. Obfite deszcze jesienne zamieniły gliniaste dno wąwozu w istne trzęsawisko, przez które teraz jechał konno doktor Stephen Maturin, najbliższy przyjaciel kapitana Aubreya i lekarz okrętowy na wielu jego statkach. Bojąc się ubrudzić stopy

błotem, podkurczał je tak mocno, iż zdawał się kucać w siodle. Był to niepozorny, osobliwie i niezdrowo wręcz wyglądający człowiek z bladymi oczyma i jeszcze bardziej bladą cerą. Na głowie miał opadającą aż po pośladki perukę, która zdradzała go jako lekarza, aczkolwiek odrobinę staroświeckiego. Był wyjątkowo, jak na siebie, gustownie odziany w płaszcz koloru tabaczkowego ze złotymi guzikami oraz bryczesy z kozłej skóry. Efekt

psuła jedynie długa czarna szarfa, którą owinał trzykrotnie wokół bioder, co tu, na angielskiej prowincji, identyfikowało go od razu z cudzoziemcem. Do siodła przytroczył siatkę, wypełnioną różnego rodzaju grzybami

— wieloma borowikami, gąskami i pieprznikami jadalnymi. Dojrzawszy jaśniejący muchomor sromotnikowy,

zeskoczył z konia i wspierając się o krzaki, wspiał po ścianie wąwozu. W tym momencie ogromny, czarno-biały ptak ciężko bijąc skrzydłami, wzbil się w powietrze między drzewami. Dłoń Maturina sięgnęła błyskawicznie w stronę szarfy — doktor wyłuskał niewielką lunetę i przytknął ją do oka, na długo nim ptak, ścigany teraz przez parę kruków, przeleciał nad dolinką i zniknął nad wzgórzem, oddzielającym dom Ashgrove od morza.

Uradowany śledził miejsce zniknięcia ptaka jeszcze przez chwilę, po czym opuścił nieco lunetę i spojrzął na sam domek. Ze zdumieniem powitał fakt, iż niewielkie, własnoręcznie wybudowane przez Jacka obserwatorium

zostało przesunięte o mniej więcej jedną ósmą mili na prawo, do miejsca, gdzie wzgórze opadało o pięćdziesiąt stóp. Sam Jack stał przy charakterystycznej kopule obserwatorium, górując nad

świętynią Liliputów i wspierając nań swą zwykłą, morską lunetę. Wpatrywał się z zacięciem w jakiś odległy

obiekt. Promienie słoneczne wyraźnie oświetlały jego twarz i Maturin ku swemu ogromnemu zaskoczeniu

odkrył na niej nie tylko wyraz niepokoju, ale również ślady starzenia się i niedoli. Zawsze miał Aubreya za potężnego, żwawego i pełnego optymizmu młodzieńca i zafrasowało go znużenie widoczne w powolnych

ruchach odległej postaci, która zamykała właśnie lunetę, przyciskając dłoń do dawnej rany na plecach. Stephen schował więc własną lunetę, podniósł grzyby i zagwizdał na konia. Niewielki arab podszedł posłusznie niczym pies, patrząc z uwielbieniem na twarz swego pana, który niezgrabnie ześlizgiwał się po ścianie wężu.

Dziesięć minut później doktor stał już przed drzwiami obserwatorium, wypełnionymi teraz w całej szerokości siedzeniem pochylonego Aubreya.

„Ustawił zapewne swój teleskop tak poziomo, jak to było możliwe i mocno się nad nim pochyla”, pomyślał

doktor. „Zadek nie stracił na wadze, jak widzę. Z piętnaście kamieni* wciąż pewnie waży”.

— *Hola***, Jack! — powiedział już głośno.

— Stephen! — wykrzyknął Jack i wyskoczył z obserwatorium tyłem do przodu ze żwawością niezwykłą jak na

tak potężnego człowieka. Uścisnął krzepko przyjaciela, a jego różowa twarz była teraz czerwona z radości. W

odpowiedzi podobny, łagodniejszy rumieniec pojawił się na twarzy Stephena.

* 1 kamień— 14 funtów.

** *Hola* (hiszp.) — cześć.

— Ależ się cieszę, że cię widzę, Stephen, staruszkule! Jak się miewasz! Gdzieś ty bywał! Gdzieś ty bywał przez ten cały czas! A, pewnie załatwiałeś te swoje wielkie sprawy... — Przypomniał sobie, że Maturin oprócz

medycyny parął się również pracą w wywiadzie i jego działania były z konieczności tajne, a ta wizyta mogła mieć związek z ostatnim wypowiedzeniem wojny Francji przez Hiszpanię. — Cudownie, cudownie. Naturalnie

zostaniesz u nas. Widziałeś się już z Sophie?

— Jeszcze nie. Zatrzymałem się jedynie na chwilę przy drzwiach kuchennych, by spytać pewną młodą panią,

czy kapitan jest w domu. Dobiegające z wnętrza domowe odgłosy niechybnie przywiodły mi na myśl rzeź

niewiniątek, tak więc zostawiłem konia wraz z moimi okazami i podszedłem tu pieszo. Przesunąłeś obserwatorium.

— Tak, ale nie było to trudne zadanie. Całe to urządzenie nie waży więcej niż trzy cetnary. To ta miedziana blacha ze starego „Diomeda”, którą stocznia pozwoliła mi zatrzymać. Był tu Killick i załatwiliśmy to tak jak na okręcie — założyliśmy parę wielokrążków i przetoczyliśmy całe obserwatorium w jedno popołudnie.

— Jak się miewa Killick? — zapytał Stephen. Killick od wielu lat był służącym Jacka i kilkakrotnie wspólnie żeglowali. Stephen bardzo go cenił.

— Całkiem nieźle, mam nadzieję. Dobrze wiesz, że nie mogłem go zatrzymać. Ostatnio Collard z „Ajaxa”

przekazywał mi wieści o nim... tuszę, że nic się nie zmieniło. Killick zmajstrował ze stosu pacierzowego rekina chodzik dla bliźniaków.

Stephen pokiwał głową.

— Zatem obserwatorium nie sprawdziło się przy samym domu? — zapytał.

— Sprawdziło się — z wahaniem odparł Jack. — Chodziło o co innego. Wiesz, stąd widać Isle of Wight i kanał

Solent, koniec Gosport i samo Spithead. Szybko, podejdź i sam spójrz. Pewnie wciąż stoi w tym samym miejscu.

Stephen pochylił się do okularu i osłonił go dłońmi. Pole widzenia niemalże całkowicie wypełniał odwrócony, zamazany kształt trójpokładowca na jasnym, zamglonym tle. Wyregulował ostrość i naraz ujrzał go znacznie

wyraźniej — wiszące bezwładnie w nieruchomym powietrzu marsle i żagle główne, wypływającą z kluzy linę

kotwiczną, a także łodzie wiozące cumy w stronę nadbrzeża. Obserwował ruch na okręcie, jednocześnie

śluchając opowieści Jacka o nowym, sześciocalowym zwierciadle wklęsłym, o trzech miesiącach szlifierki i

polerowania najlepszym mułem morskim na zakończenie pracy oraz o nieocenionej pani Herschel, która

przyszła z pomocą, kiedy już całkowicie stracił nadzieję po zbyt dużym spiłowaniu krawędzi zwierciadła.

— Cóż, nie jest to „Victory” — stwierdził Stephen, gdy okręt ruszył. — To „Caledonia”. Widzę szkocki herb.

Jack, ja stąd widzę herb Szkocji! Z tej odległości! W robieniu zwierciadeł nie masz sobie równych na całym świecie!

Jack roześmiał się z zadowoleniem.

— Cóż, to po prostu dobry dzień na obserwację — powiedział skromnie. — Powietrze jest czyste i fale nie

migoczą zbyttnio, nawet przy samym kadłubie. Chciałbym, by taka pogoda utrzymała się do wieczora. Pokażę ci niezwykłą podwójną gwiazdę w gwiazdozbiornie Andromedy — oba ciała niebieskie są od siebie oddalone mniej

niż o sekundę limbusa! Mniej niż o sekundę, pomyśl tylko! Z moją trzycalową lunetą ledwie bym dostrzegł, że gwiazda jest podwójna! Któż nie chciałby się przyjrzeć takiemu fenomenowi?

— Zgadzasz się z tobą całkowicie. Na razie jednak chciałbym się przyjrzeć załadunkowi tego okrętu. Tyle w

tym życia, tyle energii, a my śledzimy to niczym bogowie z niebios! Pewien jestem, że spędzasz przy swym

teleskopie mnóstwo czasu.

— W sedno trafiłeś, Stephenie, ale zaklinam cię, nie wspominaj o tym w domu. Sophie nie ma nic przeciwko

wpatrywaniu się w gwiazdy, nawet jeśli robię to do późna w nocy. Zresztą żeby zobaczyć Jowisza, będziemy

musieli tu siedzieć do trzeciej nad ranem. Niemniej wpatrywanie się w ruch na kanale Solent nie ma nic

wspólnego z astronomią. Sophie nic nie mówi, lecz martwi się tym, że ckni mi się za morzem.

— A bardzo ci się ckni, Jack? — spytał Stephen, lecz nim kapitan Aubrey zdołał odpowiedzieć, ich uwagę

przyciągnął hałas w domku. Słysząc było ochrypty, wojowniczy głos pani Williams i piskliwe, wyzywające

odpowiedzi karczonej służącej.

— Ten cudzoziemski pan zostawił to w mojej kuchni! — dobiegło ich w pewnym momencie przez nieruchome

powietrze. Było to jedyne dłuższe zrozumiałe zdanie, gdyż głosy w zajadłej wymianie zdań nakładały się jeden na drugi, a klótnię dodatkowo zniekształcało echo bijące od lasu po drugiej stronie doliny, płacz dzieci i ostatecznie trzaśnięcia drzwiami.

Jack wzruszył ramionami, lecz po chwili już z powrotem patrzył na swego przyjaciela z sympatią.

— Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak się miewasz, Stephen — rzekł. — Jak zdrowie?

— Wprost doskonale, dziękuję, Jack. Korzystałem z leczniczych wód w Caldas de Bohi, co wielce poprawiło moje samopoczucie.

Jack pokiwał głową — znał to miejsce. Była to wioska w Pirenejach, niezbyt odległa od wysoko położonych pa-stwisk dla owiec. Stephen, mimo iż Irlandczyk z pochodzenia, miał posiadłość w tamtych stronach,

odziedziczoną po katalońskiej babce.

— Oprócz tego, że odzyskałem żwawość młodego koziołka — ciągnął doktor — miałem okazję poczynić serię

cennych obserwacji na temat kretynów w Bohi, którzy licznie zamieszkują tę wioskę.

— Wystarczy się Admiralicji przyjrzeć, by wiedzieć, że nie tylko w Bohi ich dużo. Stanowisko Pierwszego

Lorda piastuje obecnie generał wojsk lądowych. Dałbyś temu wiarę, Stephen? A pierwsze, co zarządził ten

przeklęty homar*, to obcięcie uprawnień kapitanów — zredukował mianowicie przyzowe o jedną trzecią, co jest zbrodnią wołającą o pomstę do nieba.

* W oryg.: *redcoat*. Ze względu na czerwony kolor kurtek wojska lądowe ironicznie nazywane były przez marynarzy angielskich homarami.

Sporo idiotów na Whitehall, ale tu, w wiosce też mamy z pół tuzina. Szwendają się na ryneczku i tylko mam-

roczą i chichoczą. A skoro już o tym mówimy, to wyznam ci coś w największym sekrecie, Stephen... martwię się czasami o bliźniaki. Nie wyglądają mi one na szczególnie bystre i będę ci niezwykle zobowiązany, gdybyś

kiedyś zbadał je na osobności. Myślę, że jednak chciałbyś najpierw obejrzeć ogród, nieprawdaż?

— Tak, ogród przede wszystkim. I pszczoły.

— Cóż, jeśli chodzi o pszczoły, to jakoś się uciszyły przez ostatnie kilka tygodni. To znaczy nie zbliżałem się do uli od czasu, kiedy po raz pierwszy próbowałem wybrać miód, lecz jakoś ich nie zauważam ostatnio. Miesiąc już chyba minął od chwili, gdy zostałem po raz ostatni użądłony. Lecz jeśli chcesz się im przyjrzeć, chodźmy górną ścieżką.

Ule stały w równym rzędzie na pomalowanych na biało stojakach, lecz wokół nich nie latała żadna pszczoła.

Stephen zajrzał do kilku otworów wejściowych i dojrzał pajęczynę, która zdradziła mu tajemnicę ich zniknięcia.

Pokręcił głową i powiedział:

-To barciak większy.

Siłą otworzył jeden z uli i pokazał jego wnętrze Jackowi. Ich oczom ukazały się brudne, zeschnięte plastry miodu, na których wstrętnie wyglądające larwy rozpinały swe kokony.

— Barciak większy! — wykrzyknął Jack. — Czy można było temu zapobiec?

— Nie — odparł Stephen. — W każdym razie nic nie przychodzi mi do głowy.

— Wszystko bym dał, by do tego nie dopuścić! Tak mi przykro! To był prezent od ciebie i bardzo je ceniliśmy!

— Nie szkodzi — odparł Stephen. — Przywiozę wam więcej, tym razem z jakiegoś odporniejszego gatunku.

Obejrzyjmy ogród.

Żeglując po Oceanie Indyjskim, kapitan Aubrey snuł marzenia o domku z kawałkiem ziemi, na którym

wytyczyłby grządki rzepy, marchwi, cebuli, kapusty i fasoli, a teraz marzenie jego się spełniło. W

marzeniach nie wziął jednak pod uwagę larw osiewnika, mszyc kapuścianych i trzmielinowych oraz

podjadków. Pół akra grządek ciągnęło się równo jak od linijki w płytkiej, lichej ziemi, a nad nimi sterczało kilka karłowatych roślinek.

— Oczywiście o tej porze roku nie ma tu na co patrzeć — powiedział Jack. — Na zimę rzucę tu jednak z trzy, cztery fury gnoju i wtedy sam zobaczysz. Już nawoziłem w ten sposób grządki z kapustą brunszwicką, zaraz za różanym ogrodem Sophie. Tędy. A oto krowa — pokazał nad żywopłotem, kiedy szli wzdłuż grządki

ziemniaków.

— Tak mi się właśnie wydawało. Trzymacie ją dla mleka?

— Tak. Dla wielkich ilości mleka, śmietany, masła, wołowiny, na które zresztą oczekujemy z utęsknieniem. W

chwili obecnej tak się złożyło, że nie daje z siebie nic.

— Nie wygląda jednak, żeby była cielna. Wręcz przeciwnie, wygląda na jałową i wychudzoną.

— Cóż, prawda jest taka — odparł Jack, patrząc na krowę — że nie dopuszcza do siebie żadnego byka. Na

litość boską, przecież nadaje się do krycia! Tak czy owak, byki odpędza, a potem wpada w furję, ryczy i ryje ziemię, a my znowu nie mamy mleka.

— Z filozoficznego punktu widzenia jej zachowanie jest całkiem logiczne. Pomyśl tylko o tych ciągłych,

niedogodnych ciężach, które są zapłatą za chwilę złudnej przyjemności. Pomyśl o fizycznych uciążliwościach, jakie wypływają z faktu targania pełnych wymion, że już nie wspomnę o samym nieuniknionym porodzie i

wszystkich towarzyszących mu niebezpieczeństwach. O samej tragedii związanej z widokiem własnego

potomstwa stającego się *blanquette de veau* mówić nie będę, bo przeżywają to tylko krowy. Jako samica jakiegokolwiek gatunku sam chętnie bym sobie tego oszczędził... gdybym urodził się jako jałówka,

zdecydowanie wolałbym pozostać zwierzęciem nieplodnym. Muszę jednakże przyznać, że z gospodarczego

punktu widzenia celibat wśród krów ma zupełnie inny aspekt. Dobro ogólne wymaga interwencji buzujących

energią lędźwi.

— Tak — odparł Jack. — Tak właśnie jest. A oto ogród Sophie. W czerwcu przyszłego roku będzie pełen róż.

Nie wydaje ci się, że te róże są odrobinę zbyt wyciągnięte? Może powinienem mocniej je przyciąć na zimę.

— Nie znam się na ogrodnictwie — powiedział Maturin. — Zupełnie. Nie uważasz jednak, że te kwiaty są... jak to ująć... odrobinę rachityczne?

— Tak, i nie wiem dlaczego — odpowiedział Jack. — Nie sądzę jednak, bym miał szczęśliwą rękę w hodowli

roślin ozdobnych. To coś tam miało być żywopłotem lawendy, wiesz? Korzenie pochodzą z Mapes. A tam,

mniejsza o to. Chodź obejrzyć moją kapustę! To coś, z czego jestem dumny!

Przeszli przez furtkę z wikliny i zatrzymali się przy grządce z tyłu domku. Było to wprost morze zieleni z gó-

rującą nad nim sporą kupą gnoju.

— Oto jest! — wykrzyknął Jack. — Czy kiedykolwiek widziałeś coś podobnego?

— Nie. Nigdy.

— Pewnie myślisz, że rosną zbyt ciasno, lecz sadziłem je według następującego rozumowania: Na okręcie na

hamak dla jednego człowieka przypadało czternaście cali. Kapusta nie może dostać więcej miejsca, skoro to

człowiek ma ją zjeść. Postanowiłem posadzić je w ten sposób i doskonale zdaje to egzamin — roześmiał się

zadowolony. — Pamiętasz tego starego Rzymianina, który nie mógł się zdobyć na ich ścięcie?

— Dioklecjan, nieprawdaż?

— Właśnie. Dobrze go rozumiem. Niestety, zbiory plonów z mojej grządki bynajmniej nie spotykają się z

aprobata z strony reszty domowników. Ciągłe podnosi się ten głupi wrzask o gąsienice. Mój Boże, gdyby one zjadły dziesiątą część tych wszystkich wołków i innych robali, które myśmy połknęli wraz z sucharami przez miesiące blokady, dziękowałyby niebiosom za soczystą, zieloną gąsienicę.

Kontemplowali grządkę kapusty jeszcze przez chwilę, a w ciszy, jaka nastąpiła, Stephen mógł niemalże usłyszeć pracę szcęk niezliczonych szkodników. Jego wzrok powędrował od plamy zieleni na czubek kupy gnoju, gdzie

niespodziewanie ujrzał uzbierane przed chwilą w lesie borowiki, gąski i pieprzniki. Trzaśnięcie drzwiami

przerwało ich rozmyślenia — naraz rozległ się ciężki tupot kroków i w nagle otwartych tylnych drzwiach

ukazała się krępa kobieta o czerwonej twarzy, która mogłaby być idealną kopią pani Williams, gdyby nie zez w lewym oku i piskliwy, walijski akcent. Na ramieniu dźwigała swój kufer podróżny.

— Co się stało, Bessie? — zawołał Jack. — Dokąd idziesz?

Wzburzenie odebrało kobiecie głos do tego stopnia, że przez chwilę jej usta poruszały się, nie wydając żadnego dźwięku. Nagle jednak słowa wystrzeliły wszystkie naraz, wzmocnione tak wściekłym spojrzeniem, że Stephen

aż się przeżegnał.

— Szacunku, jeno nieco szacunku mi trza! Nic więcej! Cukru nawet szcędzicie, o herbacie już nie wspomnę!

Szacunku!

I z tymi słowami znikła za rogiem domku. Jack śledził ją wzrokiem.

— To już czwarta w tym roku — stwierdził cichym głosem. — I to właśnie mnie przygnębia, Stephen. Bez

najmniejszych problemów przychodziło mi utrzymanie w ryzach trzystu drabów na okręcie, a nad tym obejściem w ogóle nie umiem zapanować... — Popadł w zadumę.— Pamiętasz zapewne, iż na morzu nigdy nie

przepadałem za karami cielesnymi, ale niech mnie! Teraz już wiem, że ket* ma swoje zalety.

* W oryg.: *cat o 'nine tails* (ang.) — „kot o dziewięciu ogonach”, kawał grubej liny, rozchodzącej się w dziewięć cieńszych linek, na której zaplatano po trzy węzły. Chłosta tego rodzaju biczem należała do podstawowych kar na okrętach Królewskiej Marynarki Wojennej.

Znów się zamyślił, a na jego twarzy pojawiła się na moment groźna, nieprzejednana mina człowieka, który

właśnie wydał rozkaz wymierzenia dwunastu batów. Troska jednak szybko powróciła na jego oblicze.

— Stephen! — wykrzyknął. — Ależ ze mnie marny gospodarz! Na pewno jesteś strudzony! Wejdz do środka,

proszę, napijemy się grogu! Tędy... Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko przejściu przez zmywalnię

naczyń? Sophie jest zapewne gdzieś z przodu.

W chwili, kiedy Jack mówił te słowa, nad ich głowami otwarło się małe okienko i pojawiła się w nim głowa

Sophie. Jej nieobecne spojrzenie natychmiast błysnęło szczerą radością, a na twarzy rozkwitł najśłodszy z

uśmiechów.

— Och, Stephen! — wykrzyknęła. — Ależ się cieszę, że cię widzę! Wejdz, proszę, zaraz będę na dole!

Stephen zerwał z głowy kapelusz, złożył ukłon i zamarkował pocałowanie jej dłoni, choć z miejsca, w którym stał, z łatwością jej dłoni by sięgnął.

— Wejdz, proszę — powiedział Jack. — Uwaga na głowę.

W zmywalni znajdował się jedynie wielki, pachnący wygotowywanymi ubrankami dziecięcymi kocioł oraz

krzesło, na którym kołysała się w ciszy młoda kobieta z fartuchem przykrywającym jej twarz. Po trzech krokach jednakże znaleźli się już w saloniku — przyjemnym, niewielkim pokoju z wstawionym bulajem okrętowym.

Pokoik zdawał się znacznie przestronniejszy dzięki licznym przedmiotom przeniesionym z pokładu, takim jak

szafki żeglarskie pod oknami czy mocne, oprawione w mosiądz meble okrętowe. Ogólne wrażenie psuła jedynie

obecność kilku mebli zdecydowanie nie zaprojektowanych do domów takich jak Ashgrove, jak choćby

wiklinowa ława z wysokim oparciem dla pięciu, sześciu osób czy ustawiony w kącie wysoki zegar z wahadłem,

któremu zdjęto zwieńczenie, by zmieścił się pod sufitem. Jack już chciał spytać doktora, czy bulaj nie

przypomina mu okien na rufie pewnego brygu, na którym odbyli swą pierwszą wspólną podróż, lecz nie miał

czasu — rozległ się odgłos kroków na schodach i do pokoju wbiegła Sophie. Ucałowała Stephena z siostrzanym oddaniem i ujmując za dłonie, jęła wypytywać o zdrowie, samopoczucie i powodzenie z chwytającą za serce

czułością.

— Ależ się cieszę! — mówiła z ogromną prędkością. — Gdzieś ty bywałeś? Nie miałeś żadnych problemów? Nie

masz pojęcia, jak się cieszę! Długo już tu jesteś? Dlaczego Jack mnie nie zawołał! Straciłam cały

kwadrans cieszenia się twoim towarzystwem! Bliźniaki z pewnością cię pamiętają... ależ się ucieszają!
I mała Cecilia

również! Głodny jesteś, nieprawdaż? Kawałka placka chyba nie odmówisz? No i jak się miewasz?

— Znakomicie, dziękuję. Ty też, moja droga, jak widzę. Rozkwitasz, wprost rozkwitasz!

W istocie tak było. Zebrała co prawda większość kosmyków, które luźno zwisały w chwili, gdy wyglądała przez okno, lecz jeden z nich umknął jej niesfornie i ten właśnie szczegół oczarował go zupełnie. Patrzył na nią z zachwytem, ale nie przeoczył faktu, że skłonności do tycia, przed czym ją kiedyś ostrzegał, dawno minęły, a gdyby nie rumieniec radości na twarzy, Sophie mogłaby wyglądać na znużoną, a nawet wynędzniałą. Jej dłonie, ongiś wypielęgnowane, teraz były szorstkie i czerwone.

Do saloniku weszła pani Williams. Stephen powstał, ukłonił się, zapytał o zdrowie jej i innych córek, po czym wysłuchał relacji z jej opatrnościowego ozdrowienia. Już miał znowu usiąść, kiedy powstrzymał go jej krzyk.

— Nie na ławie, doktorze, jeśli pan łaskaw! Trzcina się niszczy! Na krześle kapitana Aubreya będzie panu

znacznie wygodniej!

Dobiegający z góry głuchy odgłos i następujące po nim przeraźliwe wycie wywabiło Sophie z saloniku. Jack

udał się za nią w chwilę później. Pani Williams, tknięta wyrzutem, iż jej reakcja w sprawie ławy była zbyt energiczna, postanowiła opowiedzieć mu jej historię, od chwili jej wyprodukowania w czasach księcia Williama.

Przywiozła ją z ukochanego dworu Mapes.

— Nie pamięta pan jej? — spytała. — Stała w letnim saloniku. Przywiozłam ją, by domek kapitana Aubreya

miał w sobie coś z atmosfery prawdziwie szlacheckiego domu, a poza tym nigdy nie zdzierzyłabym myśli o

pozostawieniu rzeczy tak cennej i o tak dużej wartości historycznej kolejnemu lokatorowi. Bez wątpienia był to zacny człowiek, lecz parał się kupiectwem, a ludzie tego pokroju nie będą przecież mieli żadnych skrupułów przed siadaniem na ławie! Ten zegar również pochodzi z Mapes, a był to najdokładniejszy zegar w całym

hrabstwie.

— Przepiękny — zgodził się Stephen. — Z możliwością regulacji, jak przypuszczam. Nie można by go

nakręcić?

— Ależ skąd, proszę pana! — Pani Williams spojrzała nań z politowaniem. — Gdyby go nakręcić, mechanizm

zacząłby się zużywać.

Zdanie to posłużyło jej za punkt wyjścia do dywagacji na temat zużycia i wygórowanych kosztów napraw, które przeplatała komentarzami na temat użyteczności kapitana Aubreya w pracach domowych.

Onegdaj głos stojącego na rufie Jacka słychać było na dziobie nawet podczas szalejącej wichury, teraz zatem po-ufale szeptanie w domowym zaciszu szło mu niesporo. Gdy pani Williams przerywała na moment potok słów,

Stephen wyraźnie słyszał jego głęboki bas, ponaglący do jak najszybszego przyrządzenia *sea-pie**.

* *Sea-pie* — dawna potrawa marynarska, składająca się z warstw mięsa, warzyw i ryb, przekładana warstwami chleba lub pokruszonych sucharów.

Brak w nim jednak było dotychczasowej beztroski. Stephen ponownie zwrócił swą uwagę ku pani Williams i

obejrzał ją uważnie, osłaniając oczy dłonią. Wydało mu się, że niepowodzenia życiowe nie wywarły na niej

większego wrażenia, a ów agresywny, pełen niepokoju pęd do dominacji nawet spotęźniał. Trzymała się dobrze i wyglądała na tak szczęśliwą, jak to w jej przypadku było możliwe. Częste nawiązania w rozmowie do okresu poprzedniej świetności mogły równie dobrze być nawiązaniem do mitu, w który sama już nie wierzyła, do snu, z którego obudziła się do obecnej rzeczywistości. Być może uwierzyła, że przyszła na świat, by grać rolę

przedsiębiorcy-kombinatora z sumą dwustu funtów renty na rok, i w końcu wypełniała swój życiowy cel. Zadał

sobie pytanie, czy postawa pani Williams była przykładem niezwyklej odwagi czy też całkowitej bezduszności?

Od pewnego czasu pani Williams omawiała temat służących, używając tych samych wyświechtanych frazesów

co zawsze, zonglując jednak nimi ze swadą i wielkim przekonaniem. Próbowwała właśnie udowodnić Stephenowi,

że za jej młodych lat służący byli bez zarzutu, teraz zaś nie było takich nawet na lekarstwo, a po świecie włóczyło się mnóstwo próżniaków, ludzi fałszywych, nieuczciwych i zepsutych do szpiku kości.

— Choćby dziś rano — mówiła. — Choćby tylko dzisiaj złapałam kucharkę na tym, jak grzebała wśród

muchomorów. Czy może sobie pan wyobrazić podobne bezeceństwo, doktorze? Grzebać w muchomorach, a

potem dotykać jedzenia dla moich wnucząt takimi rękoma! I ma pan Walijkę!

— Nie pozwoliła jej się pani wytłumaczyć?

— Oczywiście, że nie! Kłamstwa, stek kłamstw! Wyrzuciłam te muchomory przez tylne drzwi, a potem dałam

kucharce do wiwatu! Zaiste, szacunek. I jeszcze czego!

— Widziałem dziś rano rybołowa w owym lesie na szczycie wzgórza — powiedział Stephen po chwili przerwy.

— Naprawdę? W tym lasku, który widać przez okno? Jak na Hampshire jest całkiem urokliwy, lecz powiadam

panu, daleko mu do lasów w Mapes. Ciągnęły się aż do sąsiedniego hrabstwa, a rybołówów było tam mnóstwo.

Mój małżonek mógł do nich strzelać do woli. Podejrzewam nawet, iż pański rybołów przybłąkał się tu właśnie z Mapes.

Od pewnego czasu Stephen słyszał dobiegające z sąsiedniego pokoju odgłosy sapania. Naraz drzwi otwały się i do wnętrza wbiegła mała, zakatarzona dziewczynka z jasnymi włosami. Przez chwilę patrzyła na niego po

łobuzersku, a potem ukryła twarzyczkę w spódnicy babci. Pani Williams delikatnie gładziła jej włosy, a na

usilne prośby, by wstała, podała doktorowi rękę i ucałowała go, dziewczynka pozostała głucha — ku uldze

samego Stephena.

Z tego, co wiedział Stephen, pani Williams nigdy nie okazywała najmniejszych przejawów czułości wobec

swoich córek, odnosił zresztą wrażenie, że jej twarz, głos i maniery były absolutnie do tego nieprzystosowane.

Teraz jednak cała jej przysadzista postać emanowała czułością. Pani Williams wyjaśniła mu, że dziewczynka to Cecilia, dziecko jej średniej córki, w chwili obecnej podróżującej wraz z

regimentem męża.

— Wszędzie bym ją rozpoznał — powiedział Stephen. — Prześliczne dziecko.

— Ciociu, ciociu! — rozległ się wrzask małej w chwili, kiedy do pokoju powróciła Sophie. — Kucharka chciała mnie otruć muchomorami!

Dziewczynka hałasowała w ten sposób przez dłuższą chwilę i Stephen w końcu postanowił ją przekrzyczeć.

— Wybacz mi — zwrócił się do Sophie — jestem dziś wyjątkowo roztargniony. Przybyłem tu przecież zaprosić

was wszystkich na obiad, a nawet jeszcze nie wręczyłem wam zaproszeń!

— To bardzo miło z pańskiej strony — natychmiast odezwała się pani Williams — lecz jest to niestety

niemożliwe, gdyż... — Przez chwilę rozglądała się wokół w poszukiwaniu jakiegokolwiek powodu, dla którego

w istocie byłoby to „niemożliwe”, po czym energicznie powróciła do uspokajania dziecka.

— Zostaję dziś na noc w gospodzie „Pod Koroną” w Petersfield — ciągnął Stephen — i już zamówiłem całe mnóstwo potraw.

Sophie natychmiast zaprotestowała i wyrzuciła mu niegodziwość — powinien przecież zatrzymać się u nich i tu jadać! Drzwi otworzyły się znowu i stanął w nich Jack. W jednej chwili obie kobiety odwróciły się i zgodnie zasypały go zarzutami o winie Stephena.

„Co za zgranie” — pomyślał Stephen. Wreszcie miał przed sobą pierwszy wyraźny dowód na pokrewieństwo

między Sophie a jej osobliwą matką.

— Wujku Aubrey! — zawołała Cecilia. — Kucharz chciał otruć mnie i bliźniaki muchomorami!

— Co za bzdury! — oznajmił Jack i wszedł do pokoju. — Stephen, zostajesz i jesz z nami. Kambuz stoi dzisiaj na głowie, ale porcja doskonałego *sea-pie* dla ciebie zawsze się znajdzie!

— Jack, zamówiłem obiad w gospodzie. Potrawy pojawią się na stole o umówionej godzinie i jeśli nas tam nie będzie, zwyczajnie się zmarnują.

Zauważył, iż ten szczegół wywarł jak dotąd największy wpływ na obie kobiety. Choć nie ustawały w protestach, naraz w ich głosie zabrakło przekonania, a sama moc argumentów znacznie osłabła. Stephen już nic nie mówił, zerkał jedynie od czasu do czasu w okno lub na obie kobiety. Naraz pokrewieństwo między nimi wydało mu się bardziej oczywiste, choć nadal nie wiedział, w czym

leżała jego istota. Z pewnością nie był to ton głosu ani żadna cecha charakteru bądź wyglądu. Najprawdopodobniej ich pokrewieństwo objawiało się w pewnej nie tyle

dziecinnej, ile mało dorosłej cesze, którą jego francuski kolega Dupuytren, znawca fizjonomii i zwolennik

Lavatera, nazywał „angielskim spojrzeniem”. Ów uczony nawiązywał przy tym do dobrze znanej, charakte-

rystycznej dla Angielek oziębłości, a przez to do ich braku umiejętności czerpania przyjemnych doznań

płynących z uroków miłości fizycznej.

„Jeśli Dupuytren nie mylił się i o to właśnie tu chodzi, Jack przy całym swoim temperamentem musi przechodzić ciężkie chwile” — rozmyślał Stephen.

Obie kobiety wciąż mówiły.

„Ależ on to dobrze znosi” — myślał dalej Stephen, wspominając, jak ostro Jack traktował każdą bezcelową paplaninę na pokładzie rufowym. „Chylę czoła przed jego cierpliwością”.

W końcu osiągnięto coś na kształt kompromisu — część rodziny miała iść ze Stephenem, a część pozostać. Po

długiej rodzinnej dyskusji, która kilka razy rozgorzała na nowo ze zdwojoną siłą, kiedy wszystko wydawało się już ustalone, postanowiono, iż ze Stephenem uda się tylko Jack, doktor ma następnego dnia przyjść na śniadanie, a pani Williams z pewnych powodów ma się zadowolić kromką chleba i serem.

— Nonsens! — wykrzyknął Jack, u którego wreszcie emocje wzięły górę nad uprzejmością. — W spiżarni jest

całkiem przyzwoity kawałek szynki i to wspaniałe *sea-pie*.

— Niemniej, Stephenie — szybko wtrąciła się Sophie — będziesz przynajmniej miał chwilę, by zobaczyć się z bliźniaczkami przed odjazdem. Akurat nadają się do tego, by je oglądać. Kochanie, zaprowadzisz doktora? Ja dotrę do was za chwilę.

Jack poprowadził Stephena w górę po schodach do pokoiku ze skośnym dachem. Na podłodze siedziała dwójka

łysawych maluchów w czystych ubrankach. Oba miały blade, okrągłutkie buzie i zaskakująco długie, ostro

zakończone noski, które każdy od razu podświadomie skojarzyłby z marchewkami. Nie osiągnęły jeszcze wieku, w którym potrafiłyby nawiązać jakikolwiek kontakt z inną osobą, tak więc wnioskując

po ich wzroku, nie było wątpliwości, iż uważają Stephena za zjawisko nudne, nieciekawe, a nawet brzydkie. Obie pary oczu w

zsynchronizowany sposób wędrowały po całym pokoju, starannie go omijając. Bliźnięta sprawiały wrażenie istot nieskończenie starych lub zgoła pochodzących z zupełnie innego gatunku.

— Śliczne dzieci — powiedział Stephen. — Wszędzie bym je rozpoznał.

— Ja tam ich nie rozróżniam — przyznał się Jack. — Nie wyobrażasz sobie wrzasku, który potrafią wszcząć,

kiedy coś układa się nie po ich myśli. Ta po prawej to chyba Charlotte... — Wpatrywał się w dzieci, a te

odpowiadały mu spojrzeniem bez wyrazu. — I co o nich sądzisz, Stephen? — spytał, znacząco stukając się w

czoło.

Stephen na chwilę zamienił się w lekarza. W czasach studenckich przyjął sporo porodów w Rotundzie, lecz od tego czasu głównie zajmował się dorosłymi, a zwłaszcza dorosłymi marynarzami. Trudno mu było sobie

wyobrazić kogoś mniej nadającego się do wykonania tego zadania niż on sam. Podniósł każde z dzieci,

posłuchał pracy ich serc i płuc, zajrzał w usta, zbadał stawy i wykonał po kilka ruchów przed ich oczyma.

— Ile mają lat? — zapytał.

— No, kilka już będzie... — zawahał się Jack. — Wydaje mi się, że są tu od zawsze. Sophie będzie wiedzieć.

Do pokoiku weszła Sophie i ku radości Stephena oba maluchy natychmiast utraciły swą nieziemską, pradawną

powagę i poczęły pełznąć ku niej z roześmianymi buziami.

— Nie masz powodu się o nie obawiać — mówił Stephen, kiedy już szli przez pola w kierunku gospody. — Nic

im nie dolega, a w swoim czasie okażą się parą feniksów. Proszę cię jednak, byś poniechał praktykowania tego bezmyślnego zwyczaju podrzucania dzieci w powietrze. Taka zabawa może spowodować wiele złego i

namieszać im w głowach, a jej efektem jest to, że dziewczyna, kiedy już wyrośnie na kobietę, ma

większą

potrzebę poszerzania swej wiedzy niż mężczyzna. Podrzucanie dzieci to poważny błąd.

— Niech mnie kule biją! — Jack aż się zatrzymał. — Teraz mi to mówisz! ? Myślałem, że one to lubią, śmieją się przy tym, piszczą, prawie jak ludzie. Już nigdy tego nie zrobię, choć to tylko małe dziewczynki, biedne głupolki.

— Dziwi mnie sposób, w jaki mówisz o swoich córkach. Przecież to twoje własne dzieci, na miłość boską,

twoja krew, a mimo to jestem prawie pewien, nawet pomijając fakt, iż nazywasz je „głupolkami”, że sprawiły ci zawód jedynie przez to, iż urodziły się dziewczynkami. Zdecydowanie jest to wielkie nieszczęście dla nich

samych, nawet ortodoksyjni Żydzi codziennie dziękują swemu Stwórcy, iż nie urodzili się kobietami, a my

przecież moglibyśmy powtarzać to samo za nimi. Nie potrafię jednakże zupełnie zrozumieć, dlaczego tak

rozczarował cię fakt posiadania dziewczynek! Twoim celem w życiu, jak przypuszczam, jest przecież posiadanie potomków i przedłużenie rodu, a dziewczynka jest tego lepszym gwarantem aniżeli chłopiec.

— Być może to bzdurne uprzedzenie — odparł Jack — lecz, jeśli mam być szczery, to bardzo pragnąłem mieć

chłopca. Na przekór otrzymałem dziewczynki i to niejedną, ale dwie. Za nic w świecie nie chciałem, by Sophie o tym wiedziała, lecz dla mnie było to rozczarowanie. Byłem tak bardzo nastawiony, że Sophie urodzi chłopca.

Już wszystko sobie w myślach poukładałem. Gdy skończy siedem czy osiem lat, zabrałbym go na morze i

dałbym mu dobrego, solidnego nauczyciela matematyki, a może nawet pastora, by go nauczył manier, łaciny,

podstaw etyki i innych takich. Znałby hiszpański i francuski równie dobrze jak ty, Stephen, a ja sam nauczyłbym go fachu żeglarskiego. Nawet gdybym sam nie zdobył okrętu przez te lata, to przecież wiem, pod skrzydłami

którego kapitana czy admirała mógłbym go umieścić. Przyjaciół na służbie by mu nie brakowało i gdyby tylko zbyt szybko nie przytrafiło mu się nieszczęście, otrzymałby pewnie pierwsze samodzielne dowództwo, mając już dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata. Może kiedyś ujrzałbym, jak wciąga własny proporzeczyk admirałski. Na morzu mógłbym chłopakowi pomóc, bo morze to jedyna rzecz, na której się znam. A na co się przydam dwóm

dziewczętom? Nawet uposażyć ich nie mogę!

— Według rachunku prawdopodobieństwa są wielkie szanse, by twoje następne dziecko było chłopakiem —

stwierdził Stephen. — Wtedy będziesz mógł przeprowadzić swój szlachetny zamysł.

— Nie ma mowy o następnym dziecku. W ogóle — powiedział Jack. — Nigdy nie byłeś żonaty, Stephen. Nie

umiem tego wyjaśnić. Nie powinienem był w ogóle zaczynać tego tematu. O, tu jest przejście do głównej drogi.

Stąd widać już gospodę „Pod Koroną”.

Drogą szli już w milczeniu. Stephen rozmyślał o położu Sophie — nie był przy tym obecny, lecz dowiedział się od swych kolegów, iż był on niezwykle długi i bolesny, ale nie doszło do żadnych zmian patologicznych.

Rozmyślał też o życiu Jacka w domu Ashgrove i po dotarciu do wielkiej

i przyzwoicie urządzonej gospody pocztowej na głównej drodze do Portsmouth, Stephen stanął przed wielkim

kominkiem i oznajmił Jackowi:

— Ogólnie rzecz ujmując, można wyjść z założenia, że zdecydowana większość żeglarzy po wielu latach

niemal klasztornej uwięzienia na morzu traktuje ląd jako nie kończącą się zabawę, jako Fiddler's Green*.

* Fiddler's Green — legendarny raj marynarzy, miejsce nie kończących się uciech i hulanek.

Wasze oczekiwania są jednak niemożliwe do spełnienia i kiedy zwykły człowiek akceptuje trudności dnia

codziennego i związane z nimi obowiązki, troski i zgryzoty, zwykły żeglarz potraktuje je jako wyjątkowo

ciężkie doświadczenia, burzące jego nadzieje i odbierające mu wolność.

— Rozumiem, o co ci chodzi, stary druhu — uśmiechnął się Jack. — Jest wiele mądrego w tym, co mówisz, ale przecież nie każdy zwykły żeglarz mieszka z panią Williams pod jednym dachem. Nie chciałbym tu jednak

psioczyć — pod żadnym pozorem nie mogę jej nazwać złą kobietą. Pani Williams po prostu działa

według

własnego widzimisię, ale stara się i jest naprawdę oddana dzieciom. Problem leży w tym, że opacznie

pojmowałem istotę małżeństwa. Myślałem, że w małżeństwie jest więcej przyjaźni, zaufania i otwartości.

Zrozum, nie krytykuję Sophie...

— Oczywiście, że nie.

— ...lecz naturalny porządek rzeczy... Pewien jestem, że wina całkowicie leży po mojej stronie. Dzierżąc

dowództwo na okręcie, w pewnym momencie masz tak dość tej samotności i odgrywania roli wielkiego

człowieka, że tęsknisz za chwilą, kiedy się z tego wyrwiesz na wolność. W tym naturalnym porządku rzeczy

okazuje się to jednak zawsze niemożliwe.

Jack zamilkł przy tych słowach. Po chwili rozmowę podjął Stephen.

— Rozumiem zatem, bracie, że skierowanie na morze nie spotkałoby się z burzliwą reakcją z twojej strony?

Nie kłąłbyś, będąc zmuszonym do opuszczenia oazy szczęścia rodzinnego i do rezygnacji z radości rodzica,

który uczy córeczki stawiać pierwsze kroki?

— Wycalowałbym posłańca — odparł Jack.

— Tak też mi się wydawało — wymamrotał Stephen.

— Z dwóch powodów — ciągnął Jack. — Po pierwsze, miałbym pełną pensję. Po drugie, miałbym szansę na

pryzowe, a to oznaczałoby załóżek posagu.

Kiedy wypowiadał słowo „pryzowe”, w jego błękitnych oczach na nowo załśniło coś pirackiego. Jack

wyprostował się.

— Mam w sumie pewne widoki na okręt. Oczywiście zasypuję Admiralicję listami, a kilka dni temu napisałem

również do Bromleya w sprawie starej „Diane”, fregaty, która właśnie była remontowana w Dockyard. Nawet starego Jarwiego* postanowiłem podręczyć od czasu do czasu, choć wiem, że nie przepada za mną.

* Old Jarvie — admirał John Jervis, lord St Vincent.

Ach, staram się trzymać kilka srok za ogon. Przypuszczam, że tym *razem* żadnej niespodzianki dla mnie nie masz, Stephen? Żadnej nowej „Surprise” z ambasadorem do Indii Wschodnich?

— Jak możesz zadawać takie pytania, Jack? Cicho, nie gap się, spójrz lepiej ukradkiem w stronę schodów, a ujrzysz kobietę o olśniewającej urodzie.

Jack zerknął we wskazanym kierunku i w istocie ujrzał kobietę — młodą, dziarską pannę, mającą na sobie

zielony strój do jazdy konnej. Nieznajoma spostrzegła, iż jest przedmiotem obserwacji mężczyzny, i poruszała się z gracją znacznie większą aniżeli dana jej przez naturę.

Jack ciężkim ruchem odwrócił się plecami do ognia.

— I na cóż mi te twoje kobiety — powiedział. — Piękne czy też nie...

— Nigdy bym się po tobie nie spodziewał, że wygłosisz taką uwagę — zdumiał się Stephen. — Bezkrytyczne

wrzucenie wszystkich kobiet do jednego worka jest postępkiem tak pozbawionym głębszej refleksji jak zgoła

stwierdzenie...

— Panowie — odezwał się gospodarz „Pod Koroną” — podano do stołu. Czy zechcielibyście wejść do środka?

Był to dobry obiad, lecz nawet świński łeb w sosie nie przywrócił Aubreyowi zamięłowania do filozofowania ani dawnej wesołości na twarzy, która kiedyś wydała się Stephenowi odporna na każdą niedolę, porażki, więzienie czy nawet utratę okrętu.

Po usunięciu naczyń pierwszego dania, które zjedli, wspominając dzieje swych pierwszych wspólnych rejsów i swoich dawnych towarzyszy, przeszli do tematu pani Williams. Doradca do spraw finansowych pani Williams

zmarł, a wybór jego następcy okazał się bardzo niefortunny. Matrona zdecydowała się na dżentelmena z

gotowym planem inwestycyjnym, według którego dochód z posiadłości miał niechybnie wynosić siedemnaście i

pół procenta zainwestowanego kapitału rocznie. Ta „inwestycja” pochłonęła cały jej majątek, a wraz z nim posiadłość, choć po dziś pozostawała w posiadaniu domu Mapes. Z jego wynajmu opłacała raty hipoteki.

— Nie winię jej — stwierdził Jack. — Przypuszczam, że uczyniłbym to samo, pewnie nawet dziesięć procent

dochodu by mnie skusiło. Żałuję tylko, że zaprzepaściła posag Sophie. Zwlekąca z przeniesieniem tych pieniędzy aż do terminu wypłaty dywidend, a my wierząc w jej uczciwość, nie naciskaliśmy. I tak przepadły. Szkoda

pieniędzy, jasna sprawa, ale najbardziej żal mi Sophie. Mocno to przeżyła. Teraz pani Williams czuje się dla nas ciężarem, co jest wierutną bzdurą. Co jej jednak mogę rzec? Równie dobrze mógłbym mówić do ściany.

— Pozwól, że raz jeszcze napełnię twoją szklaneczkę porto — powiedział Stephen. — To uczciwe wino,

niezbyt wyszukane, ale również nie mętne, prawdziwa rzadkość w tych stronach. Powiedz mi, kim jest owa pani Herschel, o której mówisz w tak ciepłych słowach?

— Ach, a to jest zupełnie inna sprawa! — zawołał Jack. — To kobieta, której w istocie do jednego worka z

innymi wrzucić nie można. To kobieta, z którą naprawdę można podyskutować na mądre tematy. Spytaj ją o

miarę łukową kąta, którego cosinus wynosi zero, a ona z bez zastanowienia odpowiada $\Pi/2$. Wszystko ma w

jednym palcu. To siostra wielkiego pana Herschela.

— Tego astronoma?

— Otóż to. Zaszczycił mnie bardzo wnikliwymi uwagami na temat refrakcji, po tym jak zwróciłem się o pomoc do Królewskiego Towarzystwa*, i tam ją poznałem.

* Royal Society for the Promotion of Natural Knowledge — założone w 1660 roku brytyjskie towarzystwo

wspierania badań wiedzy naturalnej.

Znała już moje opracowania na temat księżyców Jowisza, bardzo pochlebnie się o nich wyrażała i

zapropo nowała szybszy sposób obliczania długości heliocentrycznych. Odwiedzam ją za każdym razem, kiedy

tylko przyjeżdża do obserwatorium Newmana, a czyni to całkiem często. Siedzimy wtedy przy lunetach,

szukamy komet na niebie albo dyskutujemy o instrumentach astronomicznych. Wraz z bratem zbudowali ich

pewnie całe setki. Żaden szczegół działania teleskopu nie jest jej obcy — to właśnie ona pokazała mi, jak

utoczyć zwierciadło i gdzie zdobyć ów doskonały pomorski muł. I nie myśl, że zna się tylko na teorii. Sam widziałem, jak przez trzy godziny chodziła wokół stajni gospody Newmana, wykańczając sześciocalowe

zwierciadło, gdyż wiadomo, że na tym etapie roboty nie należy odrywać dłoni od powierzchni. Wspaniała

kobieta, przypadłaby ci do gustu. I śpiewać pięknie potrafi — ma doskonałe wycucie rytmu.

— Jeśli to siostra pana Herschela, przypuszczam, iż ma już swoje lata?

— Tak, ma około sześćdziesiątki lub nawet więcej. Nie dałaby rady zgromadzić tak wielkiej wiedzy o

podwójnych gwiazdach w krótszym okresie czasu. Ma przynajmniej sześćdziesiątkę, lecz to niczego nie

zmienia. Za każdym razem, kiedy wracam ze wspólnej nocnej sesji, spotyka mnie bardzo chłodne powitanie ze

strony Sophie.

— Jestem lekarzem — stwierdził Stephen. — Z uwagi na to, że konflikty i niedole życia małżeńskiego

objawiają się fizycznie, należą do pola mego zainteresowania, znam się jednak na tym kiepsko, równie słabo jak na ogrodnictwie czy finansach domowych.

Następnego ranka zaznajomił się jednakże z nimi bliżej. Przybył bowiem na śniadanie do domku Ashgrove

stanowczo zbyt wcześnie i pierwsze, co ujrzał, to rozwrzeszczane bliźniaczki, rozrzucające wokół kleik, który jadły na śniadanie. Uzbrojona w fartuch i śliniaczek z szorstkiego płótna babka próbowała je karmić łyżeczką, a siedząca obok niej mała Cecilia tarzała się w zawartości własnej miseczki. Stephen cofnął się prosto w ramiona młodej służącej, dźwigającej kosz z cuchnącymi,

brudnymi rzeczami. Nagłe pojawienie się Sophie, która zbiegła po schodach i wyprowadziła go do ogrodu, zapobiegło powstaniu jeszcze większego zamieszania.

Oboje chwilę rozmawiali na ogólne tematy, a Sophie przyznała, iż Jackowi smakował wczorajszy obiad, wrócił

do domu, śpiewając, a w chwili obecnej miał kawę na śniadanie.

— Och, Stephen — wybuchła nagle. — Bardzo bym chciała, abyś mu pomógł znaleźć przydział na okręcie! On

tu jest taki nieszczęśliwy! Całe godziny spędza na tym wzgórzu i spogląda na morze przez teleskop, a mi serce się kraje na ten widok. Nawet jeśli miałby to być krótki rejs — nadchodzi zima, a wilgoć tak źle działa na jego stare rany. Niech to będzie jakikolwiek okręt, choćby i transportowy, jak kochanego pana Pullingsa!

— Zrobiłbym wszystko, by mu pomóc, moja droga, lecz cóż znaczy głos lekarza okrętowego na radach

wielkich tego świata? — odparł Stephen, jednocześnie ukradkiem mierząc ją badawczym spojrzeniem i starając się odkryć, ile z wiedzy jej męża o jego podwójnej tożsamości przeniknęło do wiedzy ich obojga. Jej następne słowa jednakże były najlepszym dowodem całkowitej ignorancji w tych sprawach.

— Ale wyczytaliśmy w gazecie, że to ciebie właśnie wezwano, kiedy księżę Clarence zachorował! Myślałam,

że może słówko szepnięte przez ciebie...

— Moja droga, księżę zna Jacka i jego reputację bardzo dobrze—przerwał jej Stephen. — Rozmawiałem z nim

o akcji Jacka przeciwko „Cacafuego”. Jego Wysokość wie jednakże, iż w jego przypadku rekomendowanie

Jacka do objęcia dowództwa byłoby zaiste niedźwiedzią przysługą. Stosunki między księciem a Admiralicją nie należą bowiem do najlepszych.

— Lecz przecież nie zignorują prośby królewskiego syna?

— W Admiralicji służą okropni ludzie, skarbie.

Nim zdołała odpowiedzieć, zegar kościelny w Chilton Admiral zaczął wybijać godzinę. Przy trzecim uderzeniu rozległ się krzyk Jacka: „Kawa gotowa!”, po czym ukazał im się osobiście, stwierdzając, że wiatr w nocy zmienił kierunek o dwa rumby i należało oczekiwać deszczu. Potajemną konferencję należało zatem zakończyć.

Śniadanie było już rozstawione w saloniku, a wchodzących do środka powitał miły zapach kawy, tostów i dymu z płonących szczap. Na stole leżała szynka w otoczeniu wyhodowanych przez Jacka rzodkiewek wielkości renet w towarzystwie samotnego jajka.

— Ogromną zaletą życia na wsi jest to — oznajmił Jack — że warzywa są zawsze naprawdę świeże. A to nasze

własne jajko, Stephen! Częstuj się śmiało! Z boku masz galaretkę jabłkową Sophie. Nie zwracaj uwagi na

komin, nie ciągnie, jeśli wieje z południowego zachodu. Pozwól, że nałożę ci jajko.

Pani Williams wprowadziła Cecilię, odzianą w ubranko tak nakrochmalone, iż dziecko trzymało ręce sztywno

niczym lalka pozbawiona przegubów. Dziewczynka stanęła przy krześle Stephena i gdy reszta śniadających z

przejęciem roztrząsała brak wieści z probostwa, gdzie już od wielu dni oczekiwano narodzin dziecka, mała

wypaplała, że w domu kawę pije się tylko w święta i urodziny, a wujek Aubrey zazwyczaj zadowalał się małym piwem, ciocia z babcią zaś wołały mleko. Następnie zaproponowała, że posmaruje masłem tosty Stephena.

Czynność tę przerwała jej pani Williams pełnym zachwytem okrzykiem, gdy znaczna część płaszcza lepiła się już od masła. Babcia stwierdziła, iż dawno nie było w tej rodzinie tak zdolnego dziecka, gdyż matka dziewczynki w jej wieku nigdy nie posmarowała by tostu tak pięknie.

Uwaga Jacka była jednakże zwrócona gdzie indziej. Baczenie nadstawiał ucha i co chwila zerkał na zegarek, a jego filiżanka pozostawała pełna.

— Poczta! — wykrzyknęła pani Williams na grzmot podwójnego uderzenia w drzwi. Jack z całej siły stłumił

impuls poderwania się z krzesła.

Pojawiła się służąca.

— Jest dla pana jakiś magazyn i list, proszę. Należy się jeden szyling.

Jack jął gmerać w kieszeni, zmarszczył brwi i krzyknął ponad stołem:

— Stephen, masz może szylinga? Nie mam drobnych! Doktor również sięgnął w głąb kieszeni i wydobyl garść

monet angielskich, francuskich i hiszpańskich.

— Ten pan ma trzy sztuki złota! — stwierdziła Cecilia.

— I sporo srebra.

Stephen nie dosłyszał. Wyłuskał dwanaście pensów podał służącej.

— Cóż, a teraz, jeśli mi wybaczycie... — powiedział Jack, łamiąc pieczęć na liście. Pani Williams nachyliła się tak nisko, jak tylko mogła, by jak najwięcej dostrzec z tak niewygodnego punktu obserwacyjnego. Jej ciekawość została zaspokojona, nim zdołała obrać nowy, wygodniejszy.

— Och — zawołał Jack, odkładając list gwałtownym ruchem. — To od Bromleya. Zawsze wiedziałem, że to

łajdak, a teraz mam tego dowód. Nieważne, jest jeszcze „Naval Chronicle”, a to zawsze warto przeczytać.

Kochanie, filiżanka Stephena jest pusta... — Otworzył czasopismo na sekcji poświęconej promocjom i

awansom. — Goate wreszcie otrzymał samodzielne dowództwo, serdecznie mu gratuluję.

— Przez chwilę mówił o cnotach i przywarach pana Goate'a i innych jego znajomych, którzy otrzymali

dowództwo. Potem nastąpiła przerwa na liczenie, po czym Jack powiedział:

— Wiesz, Stephen, nasze straty w zeszłym roku nie były tak poważne, jak to obliczyłem wczoraj w nocy.

Posłuchaj „Jupiter”, 50 dział, rozbity w zatoce Virgo, „Leda”, 38 dział, zniszczona przy podejściu do Milford Haven, „Crescent”, 36 dział, który zatonął przy brzegu jutlandzkim, i „Flora”, 32 działa, przy holenderskim,

„Meleager”, 36 dział, rozbity w Barebush Cay i „Astrea”, 32 działa, przy Anagado. Tylko pięć fregat, widzisz?

A teraz mniejsze okręty: „Banterer”, 22 działa, który zatonął przy St Lawrence, i „Laurel”, 22 działa, zagarnięty jako przyz przez francuskiego pięćdziesięciodziałowca „Canonniere”... Pamiętasz „Canonniere”, Stephen?

Pokazałem ci tę jednostkę, kiedy mijaliśmy Brest. To już wiekowy okręt, zbudowany gdzieś w okolicach 1710

roku, lecz nadal doskonale się sprawdza na morzu i ciągle mógłby żeglować bliżej wiatru niż większość naszych ciężkich fregat. Stephen, o co chodzi?

Stephen patrzył przez gryzący dym w pomieszczeniu na Cecilie, która znudzona rozmową otwierała

drzewiczki

zegara i starała się tłustymi rączkami pochwycić wahadło, ciężki słoż rtęci.

— Och, dajże się temu słodkiemu dziecku pobawić.—Pani Williams spoglądała na małą z bezgranicznym

zachwytem.

— Droga pani — serce Stephena drżało na widok zagrożonego delikatnego mechanizmu — ona robi sobie

krzywdę. Ów słoż jest bardzo dokładnie wyważony, a jego zawartość to trucizna!

— Cecilia! — nakazał Jack. — Przestań natychmiast. Idź się pobawić.

Mała uderzyła w płacz, a w obronie wnuczki natarła na Jacka pani Williams. Drobną awanturą zakończyła się

tym, że Sophie wyprowadziła Cecilię z pokoju. Pani Williams pozostała niepokieszona, lecz odgłos dzwonów

kościelnych w ciszy, jaka nastąpiła po sprzeczce, natychmiast odwrócił jej uwagę.

— To musi chodzić o biedną panią Thwaites. Miała rodzić już tydzień temu, a zeszłej nocy posłali po

akuszerkę, kapitanie Aubrey. — Słowa te poparła złowrogim grymasem twarzy, jak gdyby w odpowiedzi na listę męskich zatonięć i strat podawała własną listę kobiecych ofiar.

Sophie powróciła z wieściami, iż do domku zbliżał się jeździec.

— Bez wątpienia to wieści od biednej pani Thwaites — oznajmiła pani Williams, znów patrząc na Jacka. Lecz myliła się. Był to chłopiec z gospody „Pod Koroną” z listem dla Jacka; miał polecenie wrócić z pisemną odpowiedzią.

— Lady Clonfert przekazuje pozdrowienia kapitanowi Aubreyowi i jego małżonce i wyraża nadzieję, iż jej

uprzejma prośba o przewiezienie do bazy na Przylądku Dobrej Nadziei nie przysporzy kapitanowi wielkich

kłopotów. Jednocześnie ufa, iż pani Aubrey, również żona żeglarza, zrozumie i poprze tę nieformalną, pisaną w pośpiechu prośbę. Prosi również uprzejmie, by pani Aubrey, jeśli nie koliduje to z jej planami, uczyniła ten zaszczyt i przyjęła jej wizytę po południu — oznajmił Aubrey z ogromnym zdziwieniem w głosie. — Kiedy

tylko będę się wybierał na Przylądek, z pewnością może liczyć na podrzucenie, ha, ha, ha!

— Jack — odezwał się Stephen. — Muszę zamienić z tobą słowo na osobności.

— Cóż za niesłychana propozycja! — Ścigał ich gniewny głos pani Williams. — Żadnych pozdrowień dla

mnie! I pełen błędów! Napisała „przysporzy” przez „rz”! Brak mi słów na tak natrętne wpraszenie się do cudzych domów!

Jack i Stephen wyszli do ogrodu. Przy końcu grządki wątlej marchwi doktor powiedział:

— Muszę cię prosić, byś wybaczył mi wczorajsze uniki przed udzieleniem odpowiedzi na twoje pytanie. Otóż

mam dla ciebie niespodziankę*, jak ty to ująłeś.

* Aluzja do HMS „Surprise”, poprzedniej fregaty Jacka. *Surprise* (ang.) — niespodzianka.

Nim jednak wyjaśnię, o co chodzi, muszę ci przybliżyć naszą sytuację na Oceanie Indyjskim. Kilka miesięcy

temu cztery nowe francuskie fregaty wyslizgnęły się z portów nad kanałem i obrały kurs na Martynikę. O takim kursie przynajmniej mówiono w porcie, i takie też pewnie rozkazy otrzymali kapitanowie owych fregat, jednakże bez wątpienia mieli oni również zapieczętowane rozkazy, które przeczytali dopiero na wysokości

przylądka Finisterre. W każdym razie owe fregaty nigdy nie rzuciły kotwicy w pobliżu Antyli. Ślad po nich

zaginął, aż wreszcie pojawiły się w okolicach Mauritiusa. Ich obecność całkowicie zakłóciła równowagę sił na tych wodach. Wieści o tym wszystkim dopiero co dotarły do Anglii. Francuskie okręty już zagarnęły dwa statki Kompanii Indyjskiej i istnieje groźba, że ich ofiarą padnie znacznie więcej. Rząd jest wysoce zaniepokojony.

— Trudno się temu dziwić! — wykrzyknął Jack. Mauritius i La Reunion leżały na wschodnim szlaku żeglutowym. Uzbrojenie statków Kompanii zazwyczaj pozwalało im uporać się z powszechną na tych wodach

plagą korsarzy czy piratów, a Królewska Marynarka Wojenna, przy odpowiednim rozłożeniu swych sił, mogła

powstrzymać okręty francuskie. Nagłe przybycie czterech francuskich fregat mogło jednak diametralnie

odmienić sytuację, zwłaszcza że Francuzi mieli doskonałe, głębokie porty w Port-Louis, Port South-East i St Paul. Były to znakomicie wyposażone i dobrze osłonięte przed częstymi huraganami bazy, podczas gdy

najbliższy port angielski leżał na Przylądku, w odległości dwóch tysięcy mil morskich na południe.

Stephen milczał przez chwilę.

— Znasz okręt „Boadicea”? — spytał znieca.

— „Boadicea”, fregata z trzydziestoma ośmioma działami na pokładzie? Oczywiście. To raczej powolny okręt, choć płynie blisko do wiatru i słucha steru. Jest w trakcie załadunku, a niebawem wypływa do bazy na Wyspach Zawietrznych. Jej dowódcą jest Charles Loveless.

— Dobrze, a teraz posłuchaj. Ta fregata ma płynąć na Przylądek, a kapitan Loveless pierwotnie miał dołączyć do grona dowódców okrętów naprędce tworzonego przez Admiralicję dywizjonu posiłkowego. W zamyśle

Lordów nowo powstałe siły mają jednak nie tylko reagować na ruchy Francuzów, ale także być w stanie przejąć ich komisarzy. W skrócie, chodzi o zdobycie kontroli nad La Reunion i Mauritusem, ustanowienie tam nowego gubernatora i wprowadzenie statusu kolonii Korony Brytyjskiej, które będą dla nas cenne nie tylko z racji swego potencjału gospodarczego, lecz również ze względu na fakt, iż będą to nasze bazy na bardzo ważnych szlakach.

— Doskonały pomysł — powiedział Jack. — Zawsze mnie dziwiło, dlaczego te wyspy nie należą do Anglii.

Wydawało mi się to wręcz nienormalne. — Jego odpowiedź była zdawkowa, gdyż śledził słowa Stephena z

niezwykłą uwagą i już zdołał wychwycić pewne obiecujące sformułowanie — „kapitan Loveless miał

pierwotnie”. Czyżby oznaczało to dowództwo dla niego?

Stephen zmarszczył brwi.

— Wraz z przyszłym gubernatorem miałem towarzyszyć temu zespołowi okrętów — kontynuował. —

Zasięgano mojej opinii w niektórych kwestiach i sam miałem możliwość udzielić Admiralicji pewnych rad.

Zwróciłem im zatem uwagę, że nie wydaje mi się, by kapitan Loveless był w pełni sił psychicznych i fizycznych do wypełnienia jednocześnie obowiązków politycznych, jednakże w Admiralicji jest on bardzo ceniony i moje

starania nie odniosły skutku. Wkrótce jednak jego choroba przybrała na sile i pomimo wysiłków moich kolegów oraz mnie samego ciężki przypadek zapalenia kiszek zmusił go do pozostania na lądzie. Podsunąłem zatem

sugestię, że kapitan Aubrey idealnie nadawałby się na zwolnione stanowisko... — W tym momencie

Jack

pochwycił go za łokieć z taką siłą, iż przez moment musiał walczyć o odzyskanie oddechu. Ciągnął jednak dalej:

— Podkreśliłem również, iż wielce prawdopodobne było, że przystaniesz na propozycję pomimo obecnej

sytuacji rodzinnej i krótkiego czasu między powiadomieniem a wypłynięciem. Nadmieniłem również, iż będę się z tobą widział osobiście. Wspominano też inne nazwiska, było kilka nieistotnych sprzeciwów co do starszeństwa dowództwa oraz kwestii wywieszenia proporczyka, gdyż uhonorowanie w ten sposób okrętu i jego dowódcy

wydawało się wielce stosowne... — W cudowny sposób Jack przełknął słowa „Proporczyk! Proporczyk

komodorski!”. Stephen kontynuował: — I niestety, znów wiele osób musiało wyrazić swoją opinię.

Urwał i przygryzł źdźbło trawy. Od dłuższej chwili potrząsał głową, a drgający coraz mocniej koniec źdźbła podkreślał jego rosnący gniew i dezaprobatę. Jack, któremu sama wzmianka na temat proporca komodorskiego,

jednego z największych marzeń każdego żeglarza poza flagą admirałską, dodała skrzydeł, znowu opadł na

ziemię, do mrocznego światka połowy pensji.

— Mówię: niestety — ciągnął Stephen — bo wprawdzie dopiąłem swego, ale przynajmniej jeden z tych,

których opinia była tu niezbędna, musiał zacząć mielić jęzorem. Wieści już rozeszły się po mieście, a list lady Clonfert jest tego najlepszym dowodem. Jej mąż to przecież kapitan „Ottera”, jednostki stacjonującej na Przylądku. Och, wciąż to samo, wciąż to samo — gadanina, paplanina, trajkotanie, bełkot, blablalba! Jak stado gęsi! Jak stare przekupki! — Jego głos stał się piskliwy z oburzenia.

Jack wiedział, że Stephen imituje bezmyślne gadanie, by mu uzmysłowić, jak wiele obcy wywiad może

wyciągnąć z plotek, sam jednak nie mógł się oprzeć wyobrażeniu sobie sylwetki „Boadicei”. Widział

wdzięczącą się piersiastą figurę na dziobie, wiszącą nad łagodnym łukiem dziobnicy. Cóż, może i był to okręt powolny; Aubrey widział jego nieudane zwroty przez sztag, ale wystarczy umiejętnie przemieścić ładunek ku

rufie i...! No i ten rewelacyjny pomysł ze ściągnięciem want na krzyż tuż pod marslem, co umożliwia ostrzejsze halsowanie! Przecież Loveless nie miał o tym pojęcia! Naraz Jack zorientował się, że Stephen wpatruje się w niego gniewnie, pochylił zatem głowę z najgłębszą powagą.

— Zupełnie jak gdyby uważali, że Francuzi są głusi, niemi, ślepi i głupi! — doktor perorował dalej.
— To

dlatego właśnie zmuszony byłem opowiedzieć ci tę historię. W każdej innej sytuacji zdecydowanie wolałbym,

by wieści dotarły do ciebie oficjalnymi kanałami. Tymczasowe rozkazy dla ciebie znajdują się bowiem już w

biurze komendanta portu wojennego. Zdecydowanie preferowałbym inne rozwiązanie, gdyż bardzo chciałbym

uniknąć konieczności mówienia otwarcie o tym, czego w ogóle nie powinno się poruszać, a poza tym w tej

sprawie bardzo nie chciałbym brać na siebie roli dobrej wróżki, nawet przypadkowo. Może to bowiem obarczyć mnie nowymi obowiązkami lub sprawić, że zakłócę czyjąś harmonię małżeńską.

— Naszej przyjaźni to nie zaszkodzi, bracie — powiedział Jack. — Nie naszej. I skoro sobie tego nie życzysz, to nie podziękuję ci, ale na Boga, Stephen, czuję, że staję się innym człowiekiem.

W istocie zaszły w nim zmiany — na policzkach pojawiły się żywsze kolory, naraz jakby urósł i odmłodził, a jego oczy lśniły teraz życiem. Przestał się garbić, a udawaną powagę zastąpił szeroki, młodzieńczy uśmiech.

— Nie wolno ci o tym wspomnieć Sophie ani komukolwiek innemu — powiedział Stephen, przeszywając go

wzrokiem.

— Zatem nawet na mój kufer marynarski nie wolno mi patrzeć?

— Ależ z ciebie ziółko! — Stephen był zde gustowany. — Oczywiście, że ci nie wolno, nie wolno aż do chwili, kiedy przybędzie do nas posłaniec komendanta portu wojennego. Nie rozumiesz tego związku przyczynowo-skutkowego? Myślałem, że moje wyjaśnienie nawet największemu z durniów przemówi do rozumu!

— Okręć! — wrzasnął Jack, wyskakując w powietrze i opadając ciężko. W jego oczach były łzy. Stephen

stwierdził, iż lada chwila Jack będzie chciał uścisnąć mu dłoń. Nie lubił wylewności i uważał, że Anglicy są zbyt podatni na ckliwe wyznania, przybrał więc kwaśny wyraz twarzy i schował dłoń za plecami.

— Największemu z durniów — powtórzył. — To prosty test na inteligencję. Ja się pojawiaam. Ty dostajesz

okręt. Co stwierdzi Sophie? Za kogo mnie uzna?

— Kiedy przybędzie posłaniec? — spytał Jack, którego jedyną reakcją na surowe słowa był pełen uwielbienia uśmiech.

— Miejmy nadzieję, że wyprzedzi lady Clonfert chociaż o chwilę, tak by pokazać, że czasami oficjalne rozkazy potrafią prześcignąć plotkę. Nie wiem, jak my mamy wygrać tę wojnę. W Whitehall dobrze wiedzą, że sukces na Mauritiusie to kwestia absolutnie priorytetowa, ale nic nie przeszkodziło, by jakiś dureń puścił farbę. Nie jestem wprost w stanie wyrazić mojej pogardy wobec takiej lekkomyślności! Jeśli pozwolimy Francuzom dowiedzieć

się, że wysyłamy posiłki na Przylądek, natychmiast wzmocnią swe siły na Ile de France, czyli Mauritiusie. To chyba oczywiste, ale nie dla nas. Pan Congreve* konstruuje dla marynarki raketę o niezwykłych możliwościach, a my zaczynamy od poinformowania o tym całego świata.

* Sir William Congreve (1722-1828) — generał angielski, konstruktor pocisków raketowych i popularyzator

walki za ich pomocą.

Gdaczemy niczym kura chwaląca się zniesionym właśnie jajkiem i niszczy cały efekt zaskoczenia.

Nieoceniony pan Snodgrass obmyśla sposób na szybkie, tanie doprowadzenie okrętu do stanu używalności, a

my, bez chwili zwłoki, publikujemy to we wszystkich gazetach i opatrujemy rysunkami, na wypadek gdyby jakiś szczegół umknął naszemu zaczytanemu wrogowi.

Jack przybrał najbardziej poważną minę, na jaką mógł się zdobyć, i pokręcił głową z dezaprobatą, lecz w chwilę po tym jego oblicze znów lśniło radością.

— A jak to będzie jedna z tych wypraw typu „podnieś kotwicę-rzuć kotwicę”? — spytał. — Wiesz, pośpiesznie wzywają całą załogę, potem nagle odwołują rozkazy i uziemniają na miesiąc. W tym czasie inni wyłapują ci całą załogę, a ty sam w końcu lądujesz na Bałtyku, w ubraniu jak na podróż w tropiki.

— Nie wydaje mi się. Operacja jest istotna nie tylko ze strategicznego punktu widzenia. Istnieje jeszcze czynnik finansowy — otóż wielu ministrów i członków rady sporo włożyło w akcje Kompanii Wschodnioindyjskiej i

porażka Kompanii równa się ich plajcie. Nie, nie, przypuszczam, że teraz Admiralicja zadziała z niezwykłą dla siebie szybkością.

Jack znów się roześmiał z radości i powiedział, iż powinni chyba wracać do domu. Chłopiec z gospody czekał

bowiem na odpowiedź.

— Wezmę tę przeklętą kobietę na pokład — dodał. — Nie wolno wszak odmawiać przysługi żonie innego

oficera, człowieka, którego się zna, ale Bogiem a prawdą bardzo bym chciał pozbyć się tego ciężaru. Chodźmy do środka.

— Nie zalecałbym tego — powiedział Stephen. — Sophie od razu zorientuje się, o co chodzi. Każdy widzi, o czym myślisz. Zostań tutaj, a ja poproszę Sophie, by napisała waszą wspólną odpowiedź do lady Clonfert. Nie mogą cię zobaczyć, póki nie otrzymasz swoich rozkazów.

— Pójdę zatem do obserwatorium.

Stephen odnalazł go tam kilka minut później jak wycelował teleskop w stronę drogi do Portsmouth.

— Sophie napisała odpowiedź — oznajmił. — W tej chwili wszystkie kobiety w domu sprzątajają salonik i zmie-

niają zasłony. Wyrzuciły mnie na zewnątrz bez najmniejszych ceregieli, wyobraź sobie.

Zaczął padać deszcz, bijąc żwawo w miedzianą kopułę. Miejsca w środku starczyło tylko dla nich dwóch,

siedzieli więc ścieśnieni, milcząc przez chwilę. W Jacku wciąż kipiała radość, korciło go również, by spytać, czy Stephen aby sam nie zaaranżował owego zapalenia kiszek u kapitana Lovelessa. Znał doktora od lat i blisko się przyjaźnili, ale wyczuwał w nim coś, co zniechęciło go do zadawania dalszych pytań.

Euforia powoli stygła i Jack począł rozmyślać o Oceanie Indyjskim i o żegludze po jego pięknych, błękitnych falach z pasatem południowo-wschodnim w żaglach. Myślał też o niebezpiecznych przybrzeżnych wodach i

otaczających Mauritius i La Reunion rafach koralowych, o typowej dla Admiralicji decyzji wysłania pojedynczej fregaty, by stawiała czoło czterem wrogom, o niezmiernych trudach utrzymania blokady (zwłaszcza w

miesiącach huraganów). Rozwahał wreszcie samo lądowanie na brzegu przy szerokich rafach, nielicznych, lecz ufortyfikowanych portach, silnym przyboju i niegościnnych plażach. Przez chwilę nurtowała go również kwestia wody pitnej, ale przede wszystkim myślał o siłach, którym miał stawić czoło, jeśli, rzecz jasna, dotrze do wysp.

Bezwiednie sięgnął po jakieś drewnienko i spytał:

— Chciałbym ci zadać jedno pytanie, Stephen. Czy masz może jakieś informacje o sile wroga i o tym, co my

sami będziemy mieli do dyspozycji?

— Chciałbym móc ci to powiedzieć, mój drogi — odrzekł Stephen. — Na pewno wymieniano „Nereide” i

„Siriusa”, no i jest „Otter” i chyba jeszcze jeden słup. Skład dywizjonu jest na razie kwestią dość mglistą — te okręty admirał Bertie miał przy sobie w chwili wysyłania ostatniego meldunku, a było to trzy miesiące temu.

Podczas sformowania dywizjonu mogą zatem równie dobrze być gdzieś przy Jawie. Nic też nie mogę powiedzieć o tym, co miał do dyspozycji Decaen przed otrzymaniem posiłków, poza „Canonniere” i możliwe również, że „Semillante”. Z drugiej strony, mogę ci podać nazwy tych nowych czterech fregat — to „Venus”,

„Manche”, „Bellone” i „Caroline”.

— „Venus”, „Manche”, „Bellone” i „Caroline”. — Jack zmarszczył brwi. — Nie słyszałem o żadnej z nich.

— Nie, jak już ci powiedziałem, to nowe jednostki, całkiem nowe. Każda z nich ma czterdzieści dział na

pokładzie, a są to dwudziestoczerofuntówki, przynajmniej na „Manche” i „Bellone”. Być może reszta ma podobne uzbrojenie.

— Czyżby? — Jack znów spoglądał przez teleskop. Jego beztronską radość zmąciły niepokojące myśli. To w

istocie były najnowsze francuskie jednostki, bardzo dobrze uzbrojone, obiekt zazdrości stoczni brytyjskich.

Bonaparte miał pod swoją kontrolą wszystkie lasy Europy — wspaniałe dalmatyńskie dęby, strzeliste drzewa

Północy, konopie z Rygi i wiele innych surowców. Jednakże choć sam był jedynie wojskowym, jego stoczniowcy wodowali najwspanialsze okręty świata i oddawali je kompetentnym ludziom pod dowództwo.

Czterdzieści dział na okręt. „Nereide” miała co prawda trzydzieści sześć dział, lecz były to dwunastofuntówki.

„Boadicea” i „Sirius” ze swymi armatami osiemnastofuntowymi mogły się mierzyć z Francuzami, zwłaszcza gdyby ich załogi były równie świeże co same okręty, lecz nawet w tej sytuacji dysproporcja sił wynosiła sto sześćdziesiąt dział do stu dziesięciu na korzyść Francuzów, nie wspominając nawet o łącznej wadze salw burtowych. Wszystko zależało od tego, jak owe działa zostaną użyte. Pozostałe jednostki stacjonujące na

Przylądki zasadniczo nie były poważnie brane pod uwagę. Okręt flagowy, sędziwy „Raisable” z sześćdziesię-

cioma czterema działami, nie był groźniejszy od antycznego francuskiego „Canoniere”, a poza „Otterem”, zgrabnym słupem z osiemnastoma armatami, Jack nie mógł sobie przypomnieć innych mniejszych jednostek w

bazie. Tak więc w chwili generalnej rozprawy główny impet przyjmą na siebie właśnie fregaty. Znał stacjonującą dotychczas w Indiach Zachodnich „Nereide”, a jej kapitan, Corbett, miał reputację dobrego dowódcy. Z innych kapitanów tych jednostek słyszał co nieco o Pymie z „Siriusa”, lecz jak dotąd żeglował tylko z Clonfertem z „Ottera”...

Naraz przez lunetę dostrzegł jadącego konno żołnierza piechoty morskiej.

— O błogosławiony widoku — wymamrotał Jack, śledząc go wzrokiem. — Będzie tu za dwadzieścia

minut. Dam mu gwineę.

Naraz Ocean Indyjski, dowództwo wyprawy na Mauritius, postaci admirała Bertiego, kapitanów Pyma i

Corbetta, a nawet lorda Clonferta nabrały nowego, znacznie bardziej konkretnego wyrazu, a wraz z nimi

bezpośrednie problemy związane z objęciem nowego dowództwa. Choć mimo swej zażyłości ze Stephenem

powstrzymał się od zadania pytań, które ten mógł poczytać za zbyt obcesowe, to jedno zadał bez najmniejszego wahania:

— Masz jakieś pieniądze, Stephen? — spytał, gdy jeździec zniknął za drzewami. — Mam nadzieję, że masz coś przy sobie. Będę musiał od ciebie pożyczyć gwineę dla tego żołnierza i znacznie więcej na inne cele, zwłaszcza jeśli wiadomość, którą wiezie, jest w istocie tym, czego oczekuję z takim wytęsknieniem. Moja połowa pensji nie dotrze do mnie wcześniej niż za trzy miesiące, żyjemy teraz na kredyt.

— Pieniądze, tak? — ocknął się Stephen, który dumał właśnie o lemurach. Wiedział, że lemury żyły na

Madagaskarze, może zatem będą też i na La Reunion, kryjąc się gdzieś w lasach i górach na wyspie?

— Pieniądze? Tak, mam mnóstwo pieniędzy... — Zaczął przeszukiwać kieszenie. — Pytanie tylko, gdzie je mam?

— Ponownie przeszukał kieszenie, poklepał się po piersi i wydobył kilka zatłuszczonych banknotów dwufuntowych. — To nie to — mruknął, powracając do penetrowania kieszeni. — Przysięgłbym... A może mam

je w innym płaszczu? Albo zostawiłem w Londynie? Starzejesz się, drogi Stephenie... Ach, ty łotrze, tu je

ukryłeś! — zawołał tryumfująco i z pierwszej kieszeni wyciągnął zgrabny rulon, owinięty taśmą. — Pomyliłem je z moim pokrowcem na lancet. To pani Broad z gospody „Grapes” związała je w ten sposób, kiedy odkryła, że wiąże banknoty banderolą Banku Anglii. To całkiem pomysłowy sposób noszenia pieniędzy, obmyślony, by

wywieść w pole kieszonkowców. Mam nadzieję, że się sprawdzi.

— Ile tam jest?

— Przypuszczam, że sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt funtów.

— Stephen, już sam banknot na wierzchu to pięćdziesiąt funtów! Następny pod spodem też! Czy ty kiedykolwiek policzyłeś te pieniądze?

— Nieważne! — rozżościł się Stephen. — Miałem na myśli sto sześćdziesiąt. Powiedziałem sto sześćdziesiąt, ale mnie nie słuchałeś.

— Jack! Jack!

Obaj wyprostowali się, nadstawiając uszu. Dobiegające ich przez plusk deszczu wołanie Sophie przerodziło się w pisk, kiedy ruszyła biegiem w stronę obserwatorium. Dotarła tam bez tchu i mokra.

— Jest tu żołnierz piechoty morskiej od komendanta! — wysapała. — Mówi, że może przekazać wiadomość

tylko w twoje ręce. Och, Jack, czy to okręt dla ciebie?

To był okręt. Kapitan Aubrey miał się stawić na pokładzie HMS* „Boadicea” celem objęcia nad nim dowództwa, do czego upoważniał go otrzymany list. Przejęcie okrętu miało nastąpić w Portsmouth, gdzie

kapitan Aubrey miał otrzymać dalsze rozkazy oraz przyjąć na pokład wielmożnego R.T. Farquhara, pełniącego

funkcję komisarza. Do tego dostojnego, lecz utrzymanego w odrobinę nieprzyjaznym tonie dokumentu (według

którego za powodzenie misji Aubrey ręczył głową), dołączony był liścik od admirała, w miłych słowach

zapraszającego go na jutrzejszy obiad.

Teraz, kiedy opadło napięcie związane z oczekiwaniem, przygotowania rozgorzały z taką energią, że dom

Ashgrove zatrząsł się w posadach. Z początku pani Williams próbowała uparcie trzymać się planu zmiany zasłon w saloniku.

— Co sobie lady Clonfert pomyśli! — nie szczędziła płuc na próby przeforsowania swej racji.

Jej próby przeciwstawienia się nagłemu zbagatelizowaniu własnej osoby spełzły na niczym wobec entuzjazmu

świeżo mianowanego kapitana fregaty, który aż się palił do przejęcia okrętu jeszcze przed wieczornym

wystrzałem z działa. W niespełna kilka minut pani Williams została zdegradowana i zmuszona do pomocy córce i oszołomionej służącej w szcztokowaniu mundurów, szaleńczym cerowaniu pończoch i prasowaniu żabotów.

Jack zaś na strychu wytoczył swój kufer marynarski i wrzaskami próbował się dowiedzieć, gdzie jest jego olejek do wyprawiania skóry i kto bawił się jego pistoletami, przeplatając wypowiedzi okrzykami: „Żywo, żywo!”,

„Nie ma ani chwili do stracenia!” i „Ruszać się tam pod pokładem!”

Przybycie lady Clonfert, co jeszcze godzinę temu było dla pani Williams sprawą nadrzędną, nastąpiło niemal niezauważenie. Zamieszanie spotęgował jeszcze płacz zapomnianych dzieci, który osiągnął apogeum w chwili,

kiedy woźnica załomotał do drzwi. Walił przez przeszło dwie minuty, nim drzwi zostały otwarte i lady Clonfert wkroczyła do nagiego saloniku. Stare firany były złożone na jednym końcu kanapy, a te mające je zastąpić — na drugim.

Nieszczęsną damę czekało spore rozczarowanie. Przygotowała się do wizyty bardzo starannie — kreację dobrała uważnie, by nie urazić pani Aubrey zbytnią strojnością, lecz zarazem chcąc oczarować kapitana Aubreya.

Opracowała też szczerą przemowę o smutnej doli żon żeglarzy, szacunku Clonferta do starego towarzysza

żeglugi i własnej znajomości realiów życia na okręcie wojennym, przy tym zamierzała delikatnie napomknąć o swej zażyłości z generałem Mulgrave'em, pełniącym obowiązki Pierwszego Lorda, i panią Bertie, żoną admirała eskadry Kraju Przylądkowego. Mowę wygłosiła do Stephenowi,

wciśniętego w ciemny kącik obok zegara, rzucając

od czasu do czasu komplementy w stronę Sophie, a potem wszystko powtórzyła, gdy w drzwiach pojawił się

Jack, ciągnąc za sobą kufer oraz welon pajęczyn ze strychu. Utrzymanie tego samego poziomu naturalności w

obydwu przemowach było trudnym zadaniem, ale starała się jak mogła, z całego serca pragnąc uniknąć

konieczności spędzenia kolejnej zimy w Anglii. Perspektywa ujrzenia męża przepelniała ją pełną podniecenia niecierpliwością, zakłopotanie zaś sprawiło, że jej pierś unosiła się szybko i opadała, a rumieniec oblał jej piękną twarz. Stephen ze swego kącika zauważył, że mimo ogromnej przewagi wroga osiągnęła pewien sukces —

przynajmniej Jack nie pozostał całkiem obojętny na oznaki jej niepokoju. Jednocześnie z żalem dostrzegł, że w zachowaniu Sophie pojawiła się pewna sztywność. Uprzejmy uśmiech żony Jacka stał się sztuczny, a jej

odmowna odpowiedź na propozycję pomocy w cerowaniu pończoch kapitana Aubreya ze strony lady Clonfert

była cierpka do przesady. Kamienna wyniosłość pani Williams, jej znaczące pociągnięcia nosem i ostentacyjne okazywanie braku czasu było zachowaniem dla niej tak właściwym, iż zgoła nie zwrócił na nie uwagi. Myślał o Sophie. Od dawna wiedział, iż zazdrość była jedną z podstawowych cech jej charakteru, lecz mimo to było mu przykro oglądać taką formę jej manifestacji. Jack pochwycił owe sygnały w tej samej chwili co Stephen, i jego stosunek do lady Clonfert, zawsze daleki od serdeczności, natychmiast ochłódł. Powtórzył jednakże to, do czego się zadeklarował — iż przewiezie ją do bazy na Przylądku. Jaka jednakże myśl poprzedziła te słowa, że na jego twarz wypłynął taki niepokój? Stephen przeszedł do rozmyślań na temat stanu małżeńskiego. Czy monogamia

była aberracją? Jak bardzo była rozpowszechniona w czasie i przestrzeni? Jak bardzo przestrzegana? Z tych

rozmyślań wyrwał go tubalny głos Jacka, ostrzegający lady przed uciążliwością żeglugi po kanale la Manche, sugerujący zaokrętowanie w Plymouth z jak najmniejszą ilością bagaży oraz jeszcze raz podkreślający absolutną punktualność, co podkreślił słowami, iż jakkolwiek on sam bez problemu pozwoliłby sobie na zwłokę, by móc

nieść pomoc lady Clonfert, to jednak na służbie króla nie wolno mu tracić ani minuty.

Wszyscy powstali i Jack odprowadził lady Clonfert do jej powozu, po czym zatrzasnął za nią drzwiczki. Na

nowo rozpromienił się, jak gdyby lady znikła na zawsze.

Pani Williams obgadywała właśnie moralność, cerę i pelerynkę pani Clonfert ze wzbudzającą zachwyty Stephena swadą, ale kilka zdań, które rzucił powracający do izby Jack, nawet jej odebrało mowę. Aubrey oznajmił

mianowicie, że za kilka godzin chce widzieć swój bagaż spakowany, Stephen ma pojechać do Gosport po Johna

Parleya, by spakował teleskop, a on sam ma zamiar wkroczyć na pokład „Boadicei” przed wieczornym

wystrzałem z działa i wyjść na morze z porannym odpływem. Sophie popisała się jednak większą odpornością

na zaskoczenie i natychmiast wymyśliła kilkanaście powodów, dla których Jack zdecydowanie nie mógł tego

wieczoru wejść na pokład, takich jak stan jego ubrań, który okryłby go wstydem na służbie, i zaproszenie na obiad do admirała Wellsa, którego odrzucenie będzie wielką nieuprzejmością, a nawet otwartą niesubordynacją.

— Gdzie twoje umiłowanie dyscypliny? — zapytała w końcu. — A poza tym pada.

Stephen wiedział, że przeraża ją myśl o tak nieoczekiwanej, błyskawicznej utracie męża. Czuł też, że jest jej nieswojo z powodu zachowania wobec niedawnego gościa — przeszła bowiem na temat lady Clonfert i zaczęła

wysławiać jej elegancję, doskonałe maniery i piękne oczy. Uznała jej pragnienie ujżenia męża za wielce

chwalebne i jak najbardziej zrozumiałe, a jej obecność na pokładzie z pewnością uraduje mesę oficerską i całą załogę.

— Lepiej ci będzie jechać jutro rano — szybko powróciła do argumentów przeciwko natychmiastowemu

wyjazdowi Jacka. — Nie damy rady wcześniej przygotować twoich rzeczy .

Logicznych argumentów nie zostało jej jednak wiele i Stephen, czując, że Sophie zaraz ucieknie się do innych metod, może nawet do łez bądź błagania go o pomoc, cichutko wyslizgnął się z pokoju. Odwiedził swego

wierzchowca w skrzydle budynku i kiedy już wracał do domu, napotkał Jacka, wpatrującego się w mknące po

niebie chmury. Sophie stała tuż za nim, a niespodziewane emocje wyostrzyły jej urodę.

— Barometr idzie w górę — powiedział zamyślony Jack. — Ale wiatr wciąż utrzymuje kierunek zachodni.

Fregata kotwiczy w górze portu, czyli nie ma raczej nadziei na wypłynięcie z tym pływem. Być może lepiej

będzie, jeśli wejdę na pokład jutro. Jutro, najdroższa — dodał, patrząc na nią z czułością. — Jutro o świcie będziesz musiała wypuścić męża do jego naturalnego środowiska.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jego naturalne środowisko, wilgotne, zazwyczaj zdradliwe i zawsze niestabilne, dziś emanowało ciepłem i

łagodnością. Kapitan Aubrey zajęty był dyktowaniem oficjalnego listu swemu rozradowanemu sekretarzowi.

„Boadicea” na morzu

Sir!

Mam zaszczyt poinformować Pana, iż o świcie siedemnastego dnia bieżącego miesiąca dowodzony przeze mnie okręt Jego Królewskiej Mości „Boadicea”, znajdujący się w odległości sześciu mil morskich na południe południowy-wschód od Dry Salvages, miał szczęście związać bojem francuski okręt wojenny, podążający w

eskorcie własnego przyżu. W chwili pojawienia się „Boadicei” wrogi okręt porzucił przyz (bryg typu snow ze zdjętymi stengami) i wyostrzywszy do wiatru, skierował się ku Dry Salvages z zamiarem uniemożliwienia nam dalszego pościgu na tamtejszych płyciznach.*

* Snow — dwumasztowy statek handlowy o ożaglowaniu łacińskim z trajslem umieszczonym tuż za grotmasztem. Pojemność ok. 1000 BRT.

Utrata stengi stermasztu spowodowała jednakże nieudany zwrot przez rufę, w wyniku czego okręt francuski wszedł na rafę. Jako że dalszy pościg uniemożliwiła cisza morska, a przed naszym ostrzałem okręt przeciwnika chroniły skały, wydałem rozkaz ataku na łodziach pokładowych. Podczas ataku okazało się, że okręt francuski to

„Hebe”, dawna brytyjska dwudziestoosmiodziałowa fregata „Hyaena”, obecnie uzbrojona w dwadzieścia dwie karonady dwudziestoczerofuntowe i dwa długie działa dziewięćofuntowe. Po śmierci kapitana jednostki

podczas opanowywania przyżu dowództwo nad liczącą 214 ludzi francuską załogą objął lieutenant de vaisseau, monsieur Bretonniere. Jednostka opuściła port Bordeaux, a znajdowała się na morzu od trzydziestu ośmiu dni, zatrzymując jako przyzy jednostki brytyjskie wymienione na marginesie listu.

Atakiem szalup „Boadicei” śmiało i zdecydowanie dowodził mój pierwszy oficer, porucznik Lemuel Akers, człowiek doświadczony i wielce zasłużony. W boju wyróżnili się porucznik Seymour i pan Johnson, pomocnik nawigatora. Mam przyjemność zauważyć, iż zachowanie całej załogi okrętu podczas akcji stanowi dla mnie powód do dumy, a moje straty wyniosły zaledwie dwóch lekko rannych.

Bryg został zajęty bez chwili zwłoki. Nazwa jednostki to „Intrepid Fox”, port macierzysty Bristol, a jej dowódcą jest A. Snape. Bryg szedł z Gwinei z ładunkiem kości słoniowej, złota i skór. Wartość ładunku skłoniła mnie do odesłania brygu do Gibraltaru pod eskortą „Hyaeny” pod dowództwem porucznika Akersa.

Mam zaszczyt zatem...

Aubrey obserwował migające pióro sekretarza z wielką satysfakcją. Treść listu niewiele różniła się z prawdą, lecz jak większość oficjalnych listów i ten zawierał kilka przekłamań. Leumelowi Akersowi daleko było do

miana zasłużonego oficera, a jego „śmiało i zdecydowane” czyny ograniczyły się w efekcie do wrzeszczenia na wdzierających się na „Hebe” marynarzy. Sam w akcji nie uczestniczył ze względu na drewnianą nogę i pozostał

na rufie kutra. Nerwy nowego kapitana nadszarpięło również zachowanie niektórych członków załogi. Brygu

też nie zabezpieczono, jak to kazał napisać, „bez chwili zwłoki”.

— Proszę nie zapomnieć umieścić nazwisk rannych marynarzy u dołu kartki, panie Hill — zwrócił uwagę sekre-

tarzowi. — Ranni zostali marynarz James Arklow i żołnierz piechoty morskiej William Bates. Proszę również

powiadomić pana Akersa, iż powierzę mu kilka osobistych listów i chciałbym, by zabrał je na Gibraltar.

Pozostawiony samemu sobie w kajucie kapitańskiej, wpatrywał się przez bulaj rufowy na spokojną, migoczącą

promieniami słońca tafel morza, oba kołyszące się na falach przyzy oraz szalupy kursujące między nimi a fregatą.

Kończono już naprawy takielunku „Hebe”, czy raczej „Hyaeny”, a wanty jej nowego stermasztu już pomknęły w dół. Nie musiał się o nic martwić — pracami na „Hyaenie” kierował bosman John Fellowes, pierwszorzędnny specjalista. Rozmyślał przez chwilę, po czym sięgnął po kartkę i rozpoczął kolejny list.

Ukochana!

Piszę w pośpiechu, by przekazać Ci wyrazy miłości i zapewnić, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Od chwili, kiedy straciliśmy z oczu Rame Head i przecięliśmy Zatokę Biskajską aż do 35 stopnia i 30 minut szerokości północnej (czyli prawie do Madery), towarzyszyła nam wspaniała pogoda. Wiał bardzo pomyślny wiatr z baksztagu, który pozwolił na założenie podwójnego refu na marszlach — przy obecnym trymie fregaty baksztag jest najlepszym kursem względem wiatru. Wcześniej jednak mieliśmy kłopoty — do Plymouth zawitaliśmy w poniedziałkową noc w szczycie wysokiej fali. Nie dość, że było bardzo ciemno, to jeszcze ostro wiało i co rusz uderzały w nas szkwały deszczu ze śniegiem. Po przybyciu do Stoke Point okazało się, że pan Farquhar czeka na nas z bagażami w biurze komisarza. Posłałem również po lady Clonfert do jej gospody z prośbą o stawienie się przy kei w ciągu dwudziestu minut po wybiciu następnej godziny, lecz jakies nieporozumienie sprawiło, iż nie pojawiła się w ustalonym miejscu o umówionej porze. Byłem zatem zmuszony wyruszyć bez niej.

By niepotrzebnie nie przedłużać, napiszę Ci tylko, iż podczas podróży przez Zatokę Biskajską z tym wspaniałym wiatrem w żaglach „Boadicea” okazała się sprawnym, dzielnym okrętem, i w pewnym momencie zacząłem nawet myśleć, że do Wyspy Świętej Heleny dotrzemy w tydzień. Jednego dnia jednakże wiatr zmienił się na południowo-wschodni i przeklinając zły los, musiałem odbić na Teneryfę. Po wybiciu czterech szklanek porannej wachty tego samego dnia znalazłem się na pokładzie, by dopilnować, żeby nasz nawigator, niekompetentny starszy człowiek, nie wpakował okrętu na mielizny Dry Salvages, co już by mu się o mały włos przytrafiło przy cyplu Penlee Point. Naraz jednakże w świetle brzasku ujrzałem na zawietrznej francuski okręt, eskortujący przyz.

Francuz nie miał szans w starciu z nami, gdyż jego przyz — nieźle uzbrojony bryg idący z Gwinei — zdołał go dotkliwie poharatać, nim został zdobyty. Był to okręt niemal dwukrotnie mniejszy od naszego, z takielunkiem w oplakany stan, z dopiero co mocowanym nowym fokmarslem i niekompletną załogą — jej część musiała przecież obsadzić przyz. Mieliśmy przewagę wobec wiatru, zatem mogliśmy odpaść nieco z kursu i otworzyć ogień z dział pościgowych na dziobie. Nie uczyniło to Francuzowi wiele krzywdy, ale przynajmniej zaniepokoiło jego załogę. Tamci robili, co mogli, ostrzeliwując nas ze swej rufowej pościgówki i próbując wciągnąć w liczący sobie dwanaście mil odcinek kanału Dog-Leg Passage. Jako midszypmen na „Circe” miałem jednakże okazję

sondować kanał, a że nasze zanurzenie wynosi dwadzieścia trzy stopy, postanowiłem zaniechać pościgu. Gdyby Francuzowi udało się pokonać kanał, wymknąłby się nam niechybnie. Zaklinam Cię, nie rozpowiadaj tego, ale

„Boadicea” bynajmniej nie jest najszybszym okrętem na świecie. Na szczęście jedna z naszych kul strąciła mu stengę stermasztu, po czym nie wykonał prawidłowego zwrotu przez sztag podczas wchodzenia w zakręt i w efekcie utknął na rafie, z której przy braku wiatru nie mógł zejść. Kazałem zatem opuścić łodzie i bez zbytnich problemów wzięliśmy Francuza abordażem, choć ich oficer dowodzący został ranny podczas starcia. Stephen właśnie opatruje biedaka.

Nie było to chwalebne zwycięstwo, ukochana, ani przez moment nie groziło nam też niebezpieczeństwo, ale zdobyliśmy fregatę! To nasza dawna „Hyaena”, stary jak świat dwudziestośmiodziałowiec, który wpadł w ręce Francuzów, kiedy jeszcze byłem dzieckiem. Okręt

miał oczywiście zbyt dużo dział (karonady

dwudziestoczerofuntowe i para długich dział dziewięćofuntowych), a jego klasa została zredukowana do tego, co Francuzi nazywają korwetą. Ledwo go rozpoznałem po tych wszystkich zmianach. Dla nas to jednakże nadal fregata, która zostanie wykupiona i przeznaczona do służby — okręt nieźle żegluje, zwłaszcza bajdewindem, a poza kilkoma sążniami zdartej miedzi moja załoga załatała już wszystkie uszkodzenia po walce. Tak więc pojawiają się pieniądze, no i jest jeszcze ów statek z Gwinei. To angielski statek, nie może być zatem potraktowany jako przyz, został jednakże odbity z rąk nieprzyjaciela, co również oznacza jakieś pieniądze. Dla nas liczy się każdy grosz, biorąc pod uwagę stan kotła w naszej kuchni. Niestety, trzeba odliczyć działkę dla admirała Wellsa. Co prawda moje rozkazy pochodzą bezpośrednio od Admiralicji, ale stary drań dołączył do nich jakiś stek bzdur od siebie, by na wypadek jakichś moich zwycięstw mieć udział dla siebie. Zrobił to niesłychanie beczelnie — zaraz po obiedzie, i to śmiejąc się radośnie. Wszyscy admirałowie są chyba diabła warci i trudno liczyć na to, że na Przylądku coś się zmieni na lepsze.

Zakończył to zdanie, kiedy nagle przypomniał sobie ostrzeżenia Stephena co do tajnego charakteru misji.

Ostrożnie zmienił słowa „na Przylądku” na „w miejscu przeznaczenia” i powrócił do opisu statku z Gwinei.

Statki idące z Gwinei zazwyczaj mają ładownie pełne czarnych przeznaczonych na plantacje w Indiach Zachodnich, którzy znacznie podwyższają wartość ładunku. Ten jednak niewolników nie przewoził i chyba szczęśliwie się złożyło. Wystarczy bowiem wspomnieć o istnieniu niewolnictwa, by Stephen wpadł w niewyobrażalną furję.

Gdyby bryg przewoził niewolników, musiałbym pewnie go wysadzić na ląd, by mu oszczędzić kary przez

powieszenie na rei za atak na kapitana. Podczas ostatniego obiadu w mesie oficerskiej, na który zostałem zaproszony, pierwszy oficer Akers powiedział coś o niewolnikach i Stephen zaczął rugać go tak gwałtownie, że zostałem zmuszony do interwencji. Pan Farquhar podziela zdanie Stephena i ja też się z nimi zgadzam — trudno bowiem o bardziej przykry widok aniżeli ładunek niewolników. Czasami jednak nie mogę się oprzeć wrażeniu, iż kilkoro sprawnych, posłusznych i oddanych swym obowiązkom młodych Murzynów bardzo by się przydało w

domu Ashgrove. A skoro już mowa o domku, napisałem do Ommaneya, by wysłał Ci wszystko, co uda się dostać za odzyskanie „Hyaeny”. Usilnie proszę Cię, byś kupiła sobie za to pelerynkę i płaszcz — chcę, byś miała coś na te przekłete przeciągi oraz...

Jack nie zapominał o innych koniecznych domowych wydatkach, takich jak oczywiście zakup nowego kotła,

przebudowa kominka w saloniku, zapłata dla Goadby'ego za naprawę dachu oraz zakup świeżo ocielonej krowy

rasy Jersey za radą pana Hicka, po czym zakończył:

Czas pędzi szybko. Właśnie wciągają szalupy „Hyaeny” na pokład, a bryg wybrał kotwicę. Zapewne zatrzymamy się przy Wyspie Świętej Heleny, lecz aż do tego czasu muszę się z Tobą pożegnać. Niech Bóg błogosławi Ciebie i dzieci.

Złożył podpis, uśmiechnął się i już miał zakleić kopertę, kiedy do kajuty wszedł naburmuszony Stephen.

— Właśnie napisałem list do Sophie — oznajmił Jack. — Chcesz coś dodać od siebie?

— Pozdrowienia, rzecz jasna. Dla pani Williams również.

— Na Boga! — zawołał Jack, dopisując coś pośpiesznie. — Dzięki, że mi przypomniałeś. Wyjaśniłem jej

sprawę z lady Clonfert. — Zakleił kopertę.

— Mam nadzieję, że uczyniłeś to w zwięzły sposób. Drobiazgowość i nadmiar szczegółów może całkowicie

pogrzebać wiarygodność tej historii. Czym dłuższe tłumaczenie, tym trudniej uwierzyć.

— Po prostu wspomniałem, że nie pojawiła się na umówionym miejscu, i przeszedłem do dalszej historii.

— Nic o wysłaniu gońca o trzeciej w nocy, łubudubu w gospodzie, zignorowaniu jej sygnałów, o wiosłowaniu, jakby nas sam Lucyfer gonił i pozostawieniu szacownej lady na brzegu? — spytał Stephen, wydając ów

nieprzyjemny, zgrzytliwy odgłos, zastępujący u niego śmiech.

— Ale z ciebie maruda. Daj spokój, Stephen. Jak się czuje twój pacjent?

— Cóż, stracił sporo krwi, trudno temu zaprzeczyć, lecz z drugiej strony, nigdy jeszcze nie widziałem człowieka, który miałby aż tyle krwi do stracenia. Miejmy nadzieję, że szybko dojdzie do zdrowia. Zabrał ze sobą ostatniego kucharza swego kapitana, ponoć prawdziwego artystę, i prosi, by pozwolić mu zostać na

pokładzie, o ile jego szlachetny zwycięzca będzie łaskaw.

— Doskonale, doskonale. Artysta w kambuzie ukoronuje ten nader pracowity poranek. Czyż nie napracowaliśmy się nieźle dziś rano?

— Cóż — rzekł Stephen. — Twoja zdobycz raduje mnie z całego serca, lecz jeśli słowem „nieźle”

masz zamiar określić dotychczasowe gospodarowanie dostępnymi nam środkami, to powstrzymam się od gratulacji.

Skutkiem całego tego łomotu dział był złamany stermaszt małej łupinki, która straciła orientację na tyle, by ugrzęznąć wśród skał. Jeśli to ma być wielkie zwycięstwo, to już chyba lepiej, żeby nastął koniec świata!

Kapitan brygu gorąco cię prosi, byś podszedł, a ty urządzasz pozałowania godne manewry z łapaniem wiatru i ustawianiem żagli na pracę wstecz, podczas których oczywiście nikomu nie wolno zejść na skały, bo szkoda czasu! Nie ma ani minuty do stracenia! Minuty do stracenia nie ma, zaiste, a sam straciłeś ich czterdzieści siedem na podejście do brygu! Czterdzieści siedem! Czterdzieści siedem minut, które ja mogłem poświęcić na badania,

poszło na marne i nic już ich nie zwróci!

— Wiem coś, Stephen, czego ty nie wiesz, a mianowicie... — zaczął Jack, lecz przerwał mu goniec.

— Proszę o wybaczenie, panie kapitanie, lecz pan Akers jest gotów do wejścia na pokład.

Jack wyszedł na pokład, a wiatr z południowego zachodu jak na zamówienie powoli się wzmacniał — idealny

wiatr dla idącej na Gibraltar „Hyaeny”. Przekazał swemu pierwszemu oficerowi listy, po raz wtóry zalecił

zachowanie najwyższej czujności podczas rejsu, po czym obaj ruszyli w stronę trapu. Panu Akersowi nie

śpieszyło się jednakże do opuszczenia okrętu i nie ustawał w szukaniu nowych sposobów na wyrażenie swej

niezwykłej wdzięczności za otrzymanie dowództwa. Przejęcie „Hyaeny” w istocie oznaczało dla niego awans i świeżo upieczony kapitan bez końca zapewniał Aubreya, że jeśli choćby tylko jeden więzień wychyli nos z luku, natychmiast mu go odstrzeli kartaczem. Kiedy wreszcie zszedł po drabince, Jack oparł się o reling, śledząc oddalające się szalupy „Boadicei” z Akersem i przydzielonymi mu ludźmi. Kilku z nich przeszło na okręt wojenny, by stworzyć szkieletową załogę i pilnować więźniów, część zaś powędrowała na „Intrepid Fox”, by wzmocnić wycieńczoną i przeredzoną załogę brygu.

W obu przypadkach była to zaskakująco wysoka liczba ludzi. Rzadko który kapitan, oddalony o setki mil od

oddziałów łapanekowych, hulków z rekrutami czy jakiegokolwiek innego źródła świeżych marynarzy,

uśmiechałby się na widok tak dużej grupy własnych marynarzy wiosłujących teraz nieporadnie w stronę innych okrętów, by już najprawdopodobniej nigdy nie zameldować się pod jego rozkazami. Oblicze Jacka promieniało

jednakże niczym wschodzące słońce. Kapitan Loveless cieszył się bowiem doskonałymi znajomościami i

układami, a załoga fregaty, całkiem przyzwoity zespół z umiarkowaną grupą szczurów lądowych i sporą grupą

doświadczonych starszych marynarzy, miała nadkomplet. Trafiło do niej jednak również wielu ludzi na okręcie nieprzydatnych, zgoła niewartych jedzenia, które jedli, ani hamaków, na których spali. Na domiar złego ludzie z ostatniego poboru, który uzupełnił załogę, pochodzili w większości z Bedfordshire. Znalazło się wśród nich wielu drobnych przestępców, włóczęgów i innych niebieskich ptaków, a na morzu nie był jeszcze żaden z nich.

Angielscy więźniowie z „Hebe”, w znacznej mierze marynarze ze statków zaatakowanych przez Francuza oraz kilku ludzi przejętych z załogi „Intrepid Fox”, w zupełności zrekompensowali stratę ludzi odesłanych na

„Hyaenę” i bryg. Zadowolony Jack obserwował, jak z jego życia na zawsze znika ośmiu sodomitów, trzech notorycznych złodziei, czterech idiotów oraz kilku zatwardziałych leni. Cieszył się również z odesłania jednego drania midszypmena, który zamieniał życie swoich młodszych kolegów w istne piekło, lecz przede wszystkim

radowało go rozstanie ze swym dotychczasowym pierwszym oficerem. Pan Akers był oschłym, ponurym

jednonogim człowiekiem z siwiejącymi włosami, często wpadającym w dziką wściekłość przez ból w kikucie i

ignorującym wiele z zaleceń Jacka, między innymi zaniechanie wymierzania zbyt ciężkiej chłosty. Chwalebna

rana wcale nie czyniła z Akersa dobrego żeglarza. Zaraz po dotarciu na okręt przerażony Jack skonstatował na widok liny kotwicznej, że kotwiczący okręt okręcił się ponad dwa razy wokół własnej osi. Następnie godzinę i dwadzieścia minut przygotowywali kluzę, a chorągiewki oznaczające zezwolenie na wyjście na morze dla

„Boadicei” cały czas łopotały na wietrze, wspierane wystrzałami z działa w regularnych odstępach czasu.

Niekompetencja pierwszego oficera, którą ten starał się równoważyć wybuchami wściekłości, z dnia na dzień

stawała się wyraźniejsza.

A teraz w jednej akcji Jack przejął dwa okręty i pozbył się tych wszystkich ludzi, których obecność mogłaby przeszkodzić w przekształceniu okrętu w pełni efektywne narzędzie do nękania wroga, a jego załogi w grupę

zadowolonych z życia ludzi. Radości dopełniał fakt, że dokonał tego, honorując pana Akersa. Miał zatem w

chwili obecnej pod swoim dowództwem załogę, której ogólna sprawność żeglarska pozostawała na dość

wysokim poziomie, nawet pomimo obecności pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu całkiem zielonych rekrutów.

Wyszkolenie artyleryjskie, jak zwykle pod rozkazami oficerów nawykłych do walki z bliskiego dystansu, gdzie żadna kula nie mogła chybić, było kiepskie, lecz z tą załogą mógł mieć nadzieję na szybką poprawę.

— Wielkie możliwości, wielkie... — wymamrotał do siebie, a jego uśmiech zamienił się w wewnętrzny chichot, kiedy przypomniał sobie, jak przed chwilą własnym, na ogół raczej przeciętnym, sprytem pokonał Stephena.

Jack w istocie wiedział coś, o czym Stephen nie miał pojęcia — owe wypomniane mu czterdzieści siedem

minut zadecydowało o tym, czy „Intrepid Fox” zostanie uznany w świetle prawa morskiego za statek uratowany czy też nie. Konsekwencje były niebagatelne — w pierwszym przypadku „Boadicei” należało się wynagrodzenie w wysokości jednej ósmej wartości ładunku brygu, w drugim starania fregaty nagrodzono by jedynie listem

dziękczynnym od jego właścicieli. Bryg został bowiem zajęty przez Francuzów we wtorek o dziesiątej czter-

dzieści siedem i gdyby przyjął poddanie się dowódcy francuskiej załogi przyzowej przed upływem dwudziestu

czterech godzin, bryg nie zostałby uznany za statek uratowany z rąk wroga. Co się zaś tyczyło Stephena i jego straconych trzech kwadransów poszukiwań robaków na Dry Salvages, to Jackowi zdarzało się już zezwolić mu

na badania odległych oceanicznych skał, z których musiał go ściągać siłą długo po umówionym czasie powrotu.

Po drugiej stronie Przylądka czekały na niego jednak rafy koralowe, co z pewnością zrekompensuje mu stratę.

— Sir, proszę o wybaczenie, fregata wywiesiła sygnały — odezwał się midszypmen sygnalista. — „Prośba o

pozwolenie na oddzielenie się od grupy”.

— Odpowiedzieć: „Udzielam pozwolenia” — odparł Jack. — Dodaj: „Szczęśliwej podróży”.

Załoga „Hyaeny” zgrabnie postawiła marsze, wybrała szoty i ruszyła przed siebie, statek z Gwinei podążał za fregatą w odległości kabła po zawietrznej. Oba okręty obrały kurs na Gibraltar i Jack obserwował je jeszcze przez chwilę, po czym polecił ruszyć w stronę zwrotnika i wszedł do swej kajuty. Grodzie, zdemontowane

podczas przygotowań do walki, na nowo pojawiły się na miejscu, zamocowano też z powrotem obie osiemnastofuntówki. Działo na sterburcie wciąż było ciepłe, a zapach prochu i lontu, najwspanialszy znany mu zapach ze wszystkich na lądzie i na morzu, nadal unosił się w powietrzu. Piękna kajuta, przestronna i

rozświetlona dzięki bulajom na rufie, wciąż w całości należała do niego, mimo że na okręcie podróżował

szacowny pasażer, pan Farquhar. Miał on co prawda zostać gubernatorem, lecz dopiero po pokonaniu eskadry

francuskiej i zdobyciu wyspy, na której miałby ów urząd sprawować. Na razie jego status był niepewny i musiał

się zadowolić kajutą, która w innej sytuacji pełniłaby funkcję jadalni kapitana okrętu. Jack obrzucił ostatnim, pełnym uwielbienia spojrzeniem swe zdobycze, dwa malejące, kierujące się na północ punkciki na tle

migoczącego, jasnoblękitnego morza, i zawołał:

— Proszę wezwać do mnie pana Seymoura, pana Trollope'a i pana Johnsona!

Drugi oficer, porucznik Seymour, trzeci oficer, porucznik Trollope, oraz midszypmen, pan Johnson, pełniący obowiązki pomocnika nawigatora, pośpieszyli do kabiny. Na ich twarzach malowało się zadowolenie

przemieszane z obawą — wiedzieli bowiem, że pomimo sukcesu „Boadicea” nie popisała się wcale, zwłaszcza podczas mało skomplikowanej operacji ściągania „Hyaeny” z rafy i holowania fregaty na otwarte morze. Nie mieli więc pojęcia, co kapitan może im powiedzieć. Seymour i Johnson byli do siebie tak podobni, iż w zasadzie mogli uchodzić za braci — obaj byli niskimi, pulchnymi mężczyznami o okrągłych głowach i różowych

obliczach, do których pogoda ducha i wesołość pasowały znacznie lepiej aniżeli powaga przybrana na potrzebę okoliczności. Jack widział już setki takich ludzi podczas swej kariery i cieszył się, że i tym razem ma takich na pokładzie. Innych Trollope'ów też już widywał. Porucznik Trollope był potężnym, ciemnowłosym człowiekiem

z mocną szczęką i ciemną, pozbawioną poczucia humoru, lecz zdecydowaną twarzą. Ten typ człowieka pod

rozkazami bezdusznego dowódcy mógł stać się twardym, nieprzejednanym porucznikiem lub samemu

później

zostać kapitanem z piekła rodem. Na razie był jeszcze młody i nie miał wyrobionych nawyków i przyzwyczajęń.

Wszyscy trzej byli stosunkowo młodzi, choć Johnson dochodził już trzydziestki i jak na zajmowane stanowisko był już zbyt wiekowy.

Jack dobrze wiedział, o czym myśli cała trójka, sam przecież jako porucznik był często wzywany do kapitana, by otrzymać burę za niedociągnięcia innych. Nie miał jednak pojęcia o czymś innym — szacunek na twarzach

tych zdolnych, zaradnych młodych ludzi wynikał nie tyle z respektu przed jego rangą, ile był czymś na kształt podziwu dla jego sławy. Jack Aubrey na swym uzbrojonym w czternaście dział brygu „Sophie” zaatakował

swego czasu i zdobył hiszpańską fregatę „Cacafuego”, mającą na pokładzie trzydzieści dwa działa*. Był też jednym z niewielu dowódców, którzy dowodząc fregatą, rzucili wyzwanie zbrojnemu w siedemdziesiąt cztery

działa francuskiemu liniowcowi**. Dowodzona przez niego fregata „Lively” pokonała w pamiętnej akcji niedaleko Kadyksu dwie równe sobie jednostki hiszpańskie „Fama” i „Clara”***.

* Patrz: *Dowódca „Sophie”*. ** Patrz: *HMS „Surprise”*. *** Patrz: *Kapitan*.

Spośród służących obecnie w Królewskiej Marynarce Wojennej kapitanów nie miał sobie równych także w

operacjach nękania wroga. Jackowi nigdy by do głowy nie przyszło, że jego oficerowie mogą myśleć o nim w

podobny sposób — po części wciąż czuł się bowiem ich rówieśnikiem, a po części uważał swe spektakularne

akcje za wynik szczęśliwego zbiegu okoliczności. Uważał, iż po prostu miał szczęście pojawić się w określonym miejscu o określonej porze i postąpił tak, jak postąpiłby każdy inny dowódca na jego miejscu. Nie było w tym fałszywej skromności — znał wielu oficerów i dowódców, doskonałych żeglarzy, których męstwo nie podlegało

dyskusji, a którzy służyli przez kilka wojen i nigdy nie mieli okazji do wyróżnienia się w boju. Pływali w służbie konwojowej, na samych transportowcach lub na blokujących Tulon czy Brest liniowcach, i choć często stawali twarzą w twarz z niebezpieczeństwem, ich głównym przeciwnikiem częściej była furia morza, a nie sam wróg.

Ich nazwiska pozostawały nieznane, ich osoby pomijano podczas awansów, ich kieszenie zawsze świeciły

pustkami, lecz gdyby to oni pojawili się we właściwym miejscu o właściwym czasie, poradziliby sobie z

sytuacją równie dobrze lub nawet lepiej. Na tym właśnie polegało szczęście.

— Cóż, panowie — powiedział. — To był całkiem udany początek naszej podróży. Straciliśmy jednakże pana

Akersa. Panie Seymour, pan będzie uprzejmy zająć jego miejsce.

— Dziękuję panu, sir — odparł Seymour.

— Panie Johnson, pan z kolei zdał egzamin na porucznika, nieprawdaż?

— Tak, sir. Było to w pierwszą środę sierpnia roku 1802. — Johnson zaczerwienił się, a potem gwałtownie

poblądł. Egzamin w istocie zdał, lecz na wyęskniony awans, podobnie jak wielu innych midszypmenów bez

wpływów czy znajomości, czekał jak dotąd na próżno. Przez te wszystkie lata musiał się zadowolić pełnieniem służby pomocnika nawigatora, a jego nadzieja na awans bladła z każdymi urodzinami i w końcu niemalże

odeszła w zapomnienie. Johnson już prawie pogodził się z tym, iż w najlepszym razie szczytem jego kariery

będzie stanowisko nawigatora, i do końca życia pozostanie oficerem kontraktowym bez szans na samodzielne

dowództwo. Na pokładzie „Boadicei” było przecież kilku innych midszypmenów, których ambicje sięgały

znacznie dalej niż jego — kapitan Loveless umieścił pod swymi skrzydłami wnuka jednego admirała,

siostrzeńca innego oraz syna członka parlamentu z okręgu Salisbury. Ojcem Johnsona był zaś zaledwie

emerytowany porucznik.

— Zatem — ciągnął Jack — przydzielam panu tymczasowe obowiązki porucznika i miejmy nadzieję, iż admirał

eskadry na Przylądku Dobrej Nadziei potwierdzi pańską nominację.

Oblicze Johnsona było teraz purpurowe. Świeżo upieczony oficer pośpieszył z podziękowaniami.

— Nie będę przed wami dłużej ukrywał, panowie — kontynuował Jack — że to właśnie Przylądek jest celem

naszej podróży. Zapewne nie wiecie jednak, iż po drugiej stronie Przylądka czeka na nas eskadra czterech

francuskich fregat czterdziestodziałowych. Dzisiejsza potyczka wydarzyła się w samą porę, gdyż podniosła

morale świeżych rekrutów — to był ich chrzest, jak wy byście to nazwali. Udało nam się też położyć kres

pirackim wybrykom „Hebe”, która od kilku tygodni bawiła się z nami w kotka i myszkę na naszych własnych szlakach handlowych. Uważam zatem, iż nie zawadziłoby wznieść małego toastu w tej intencji. Probyn! —

zawołał swego nowego stewarda. — Probyn, skocz no po butelkę madery, a potem sprawdź, czy kucharz

naszego francuskiego kapitana jest trzymany w dobrych warunkach. Dobrze go traktuj. Zatem, panowie,

chciałbym wznieść toast za „Hyaenę”, była „Hebe” i jej szczęśliwe zawinięcie do portu!

Trójka oficerów opróżniła kieliszki z powagą, przeświadczeni, iż kapitan powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia.

— Akcja się powiodła — ciągnął Jack. — Nie sądzę jednak, by ktoś z was mógł rzec, iż poszło nam „nieźle”.

— Na pewno nie tak jak za starych czasów na Minorce, sir — powiedział Trollope.

Jack spojrział na niego twardo. Czyżby zdarzyło im się służyć na jednym okręcie? Nie przypominał sobie jego twarzy.

— Kiedy pan wprowadzał „Cacafuego” do Port Mahon, służyłem jako midszypmen na „Amelii”, sir —

pośpieszył z wyjaśnieniami Trollope — Na Boga, aleśmy się cieszyli z sukcesu „Sophie”!

— Służył pan na „Amelii”? — Jack był odrobinę zaskoczony. — Cóż, w każdym razie cieszę się, że to nie na

„Cacafuego” dzisiaj się natknęliśmy albo, co gorsza, na jedną z tych francuskich fregat z Przylądka. Załoga

„Boadicei” sprawia wrażenie ochoczej, poczciwej gromady ludzi i nie dostrzegłem dziś śladów

chórzostwa w niczym zachowaniu, ale ich wyszkolenie artyleryjskie jest wprost żenujące. Jeśli zaś chodzi o wiosłowanie, nigdy nie widziałem tylu ludzi tak nieporadnych w pracy wiosłem. Poza starym Adamsem i jednym z żołnierzy

piechoty morskiej na czerwonym kutrze nie było nikogo, kto potrafiłby porządnie wiosłować. Najbardziej boję się jednakże o artylerię. Poziom jest żalosny, doprawdy... Salwa burtowa padała za salwą, z odległości pięciuset jardów, a kule trafiały gdzie, panowie? Wszędzie, tylko nie w okręt Francuzów! Jedyny celny strzał padł z dziobowej pościgówki, a działo wycelował pomocnik intendenta, który podczas walki nie powinien w ogóle

znajdować się na pokładzie. Wyobraźcie sobie teraz, panowie, że napotykamy francuską fregatę z doskonale

wyćwiczoną załogą, która jest w stanie ładować w nasz kadłub salwę za salwą z dział

dwudziestoczerofuntowych z odległości mili! Ufam, iż wiecie panowie, że francuscy artylerzyści są miażdżąco wprost dokładni. — Ponownie napełnił ich kieliszki w pełnej powagi przerwie, która nastąpiła po jego słowach. —

Dzięki Bogu nasza potyczka miała miejsce na początku podróży — ciągnął. — To doskonały zbieg okoliczności.

Nowi rekruci nie chorują już na chorobę morską, a po dzisiejszym starciu aż promienieją samozadowoleniem...

próżniacy. Cóż, w końcu w jeden wesoły, słoneczny poranek każdy z nich wzbogacił się o roczną wypłatę.

Koniecznym musimy w nich wpoić, iż gdy będą prawidłowo wypełniać obowiązki, wzbogacą się jeszcze

bardziej! Teraz będą chętnie ćwiczyć, panowie, nie ma co ich smagać. Ufam, iż do czasu, kiedy dotrzemy do

bazy na Przylądku, każdy mężczyzna i chłopiec z księgi werbunkowej będzie umiejętnie obchodził się z

wiosłem, refował żagle oraz ładował, celował i strzelał zarówno z działa, jak i z muszkietu. Wystarczy, że nauczą się tylko tego, bo jeśli będą sprawnie wypełniać swe rozkazy, damy sobie radę z każdą francuską fregatą na Przylądku.

Kiedy porucznicy opuścili kajutę, Jack pograżył się w rozważaniach. Lubił i cenił takich ludzi — bez wątpienia miał za sobą całkowite poparcie całej trójki, ale czekało ich wiele pracy. Z ich pomocą mógł zamienić

„Boadiceę” w śmiertelnie groźną pływającą baterię, lecz to nie wystarczało. Musiał zwiększyć jej osiągi. Musiał

uczynić wszystko, by fregata mogła wejść do boju tak szybko, jak jej na to żywioły pozwolą. Posłał po bosmana i nawigatora, po czym z miejsca oznajmił obu, że nie zadowalała go żeglowność fregaty ani jej prędkość, ani

zachowanie na kursie ostro do wiatru.

Nawigator, pan Buchan, starszy mężczyzna o silnych przyzwyczajeniach, sprzeciwił się pomysłom jakichkolwiek zmian. Wywiązała się nasycona mnóstwem technicznych szczegółów dyskusja, w trakcie której

Buchan nie chciał się zgodzić, że przesunięcie ładunku ku dziobowi może mieć jakikolwiek korzystny wpływ na właściwości morskie okrętu. Twierdził, iż fregata zawsze była i zawsze będzie okrętem powolnym, a odkąd

rozpoczął na nim służbę, ładunek sztauował w ten sam sposób. Bosman z kolei, człowiek stosunkowo młody jak na zajmowane ważne stanowisko, wychowany na węglowcach na Morzu Północnym prawdziwy wilk morski, w

pełni podzielał zapał kapitana do wyciśnięcia z fregaty maksimum możliwości, nawet jeśli oznaczało to zmianę dotychczasowych zwyczajów. Mówił z entuzjazmem o zaletach dobrego ściągnięcia want pod marszem i

całkowicie zgadzał się z planem pochylenia fokmasztu. Jack z miejsca polubił tego człowieka.

Sprzeciwu pana Buchana w znacznej mierze podsyczał pusty żołądek. Mesa oficerska jadała obiad o pierwszej,

czyli już dawno temu, i brak posiłku wpędził nawigatora w zły nastrój. Bosman zaś z cieśłą i artylerzystą

spożywał posiłek w południe i pan Buchan, czując od niego zapach zarówno zjedzonych potraw, jak i wypitego grogu, coraz bardziej wrogo reagował na radość na twarzy bosmana, a zwłaszcza potok jego słów.

Jack również uprawiał kult własnego żołądka i zaraz po zwolnieniu bosmana i nawigatora wszedł do sąsiedniej kajuty, gdzie znalazł pana Farquhara i Stephena, zjadających placek.

— Przeszkadzam? — zapytał.

— Nie, skądże! — zapewnili go, robiąc dlań miejsce wśród książek, dokumentów, map, proklamacji i

zapisanych arkuszy papieru, które starali się uporządkować po zamieszaniu nagłego usunięcia i ponownego

składania ścianek grodziowych.

— Ufam, iż miewa się pan dobrze? — Jack zwrócił się do Farquhara, który bardzo źle zniósł większą część

podróży przez wody Zatoki Biskajskiej. Gdy już wydobrzał, pan Farquhar zaczął spędzać większość swego

czasu ze Stephenem — obaj zagłębiali się po uszy w papierach i rozmawiali w obcym języku, co doprowadzało

do obłądu przydzielonych im do pomocy dwóch chłopców okrętowych. Zżerała ich ciekawość co do tajemnicy

misji, dodatkowo podsycana pytaniami innych ciekawskich marynarzy.

— Nigdy nie czułem się lepiej — odparł Farquhar. Po chorobie stracił około sześciu kilogramów, a na jego szczupłej, inteligentnej twarzy z haczykowatym nosem wciąż znać było zielonkawy odcień. — Wrzawa

bitwy i huk dział, przewyższający swą mocą potęgę piorunów Jowisza, doskonale uzupełnia nadprzyrodzone

umiejętności lekarskie doktora Maturina i czuję się teraz pełen energii jak młody bóg. — Przy tych słowach skłonił się uprzejmie Stephenowi. — A wraz z energią powrócił do mnie apetyt, nieustannie gnający mnie do

zastawionego stołu. Jednakże — ciągnął — proszę pozwolić mi złożyć na pańskie ręce wyrazy szacunku z

powodu tak wspaniałego zwycięstwa, które pan odniósł. Cóż za błyskawiczne decyzje, jakże zdecydowane

natarcie i takie szczęśliwe zakończenie!

— Jest pan zdecydowanie zbyt uprzejmy, sir. Skoro jednak mowa o zakończeniu starcia, wspomnieniem

którego pan mnie zaszczyca, chciałbym nadmienić jeden jego aspekt, który nas wszystkich powinien uradować.

Otóż na pokładzie mamy kucharza francuskiego kapitana i przyszedłem tu — z tymi słowami zwrócił się do

Stephena — by spytać, czy dałbyś się namówić na...

— Już się nim zająłem — odparł Stephen. — Jedną z nielicznych ofiar na pokładzie „Hebe” był wieprz, którego przyprawienie będzie dla naszego kucharza pierwszym sprawdzianem niezwykłych umiejętności. Dopatrzyłem

również tego, by wino i prowiant z okrętu *monsieur* Bretonniere znalazły się na naszym pokładzie, a do nich uznałem za stosowne dodać smakołyki z prywatnej spiżarni kapitana: słoje pasztetu z gęsich wątróbek, trufle w gęsim tłuszczu, gęsi w gęsim tłuszczu, szeroki wybór suszonych kiełbas, szynka z Bayonne, fileciki z solonych sardeli, no i resztę wina, czyli dwadzieścia jeden tuzinów butelek margaux, rocznik '88, i prawie tyle samo chateau lafite. Nie mam pojęcia, jak nam się uda wszystkie osuszyć, nie można jednak pozwolić, by zmarnowało się tak wspaniałe wino. W tych warunkach za rok wino popsuje się jak nic.

Czerwone wino nie doczekało jednak przyszłego roku. Jack i Stephen, którym na odsiecz przyszedł kapitan

Bretonniere i inni goście z mesy oficerskiej, nie pozwolili, by zapas się zmarnował, i wysączyli wino niemal co do kropli. A podróż przedłużała się, gdyż korzystne wiatry, towarzyszące im w pierwszym etapie podróży,

opuściły ich na długo przed przekroczeniem równika. Zdarzało się, iż pchany prądami równikowymi okręt

dryfował z wolna ku Ameryce. Głupawo uśmiechnięta rzeźba niewiasty na dziobie zataczała teraz pełne kręgi, w miarę jak fregata obracała się wokół własnej osi, kołysząc przy tym tak silnie, że groziło jej położenie się na burcie. Po dziesięciu dniach ciszy morskiej okręt z obwisłymi żaglami, sam utrzymany we wzorowej czystości, nurzał się w bajorze brudu pozostawionego przez trzystu chłopów załogi. Otaczająca okręt zupa składająca się z wyrzuconych beczek po wołowinie, obierzyn i innych śmieci, zwana przez starych marynarzy burym admirałem,

zmuszała chcącego jak co rano zażyć porannej kąpieli Jacka do wzięcia jolki i oddalenia się od okrętu na ćwierć mili. Piekł zarazem dwie pieczenie na jednym ogniu, jak sam to ujął, gdyż przy okazji kazał spuszczać na wodę inne szalupy z zadaniem holowania okrętu i trenował załogę w wiosłowaniu. Była i trzecia pieczeń — tradycją na fregacie stało się to, iż po trwającym godzinę lub dwie wiosłowaniu opuszczano do letniej, czystej wody jeden z żagli, przymocowywano jego końce do unoszących się na wodzie boi, tworząc w ten sposób płytki

basen. Większość załogi nie potrafiła pływać, zatem pluskali się do woli, by być może w końcu nauczyć się

utrzymywać na powierzchni.

Równik przekroczyli w wielkim stylu — wiatr był tak mocny, że postawiono nawet żagle boczne. Radości było

co niemiara, gdyż po zwinięciu części żagli na pokład wyskoczył sam Neptun w towarzystwie żony królowej

Amfitryty i swej sprośnej świty. Okazało się wówczas, iż na pokładzie znajdują się aż sto dwadzieścia trzy dusze, które należy wytarzać w zjełczałym tłuszczu (kapitan zakazał używać smoły, której było już coraz mniej) i ogolić kawałkiem obręczy z beczki, a potem skąpać w wodzie.

I znów płynęli na południe, mając nad głowami gwiazdy Kanopus i Achernar, a Jack pokazywał swoim

zasłuchanym midszypmenom nowe, błyszczące w rozgrzanym przezroczystym powietrzu konstelacje Muchy,

Pawia, Kameleona oraz inne. Pogoda była dziwna i nieprzewidywalna — już na czwartym stopniu szerokości

południowej „Boadicea” napotkała pasaty, lecz okazały się one apatyczne i kapryśne. Było już jasne, że nie jest im pisane szybkie dotarcie do celu, lecz Jack, choć często gwizdał, by przywołać wiatr, nie przejmował się tym nadmiernie. Miał dobry okręt, zbiorniki na słodką wodę napełniły się dzięki sztormom, a załoga nie zapadała na zdrowiu. Kiedy tygodnie żeglugi stały się miesiącami, uświadomił sobie ponadto, że podróż była w jego życiu okresem szczęśliwości. Czuł się niczym zawieszony w czasie — pozostawione na brzegu troski były daleko za

nim, a od wyzwania na Oceanie Indyjskim dzieliło go jeszcze sporo. Tęsknił już powoli za tym, by przystąpić do swych nowych zadań, lecz świadom był, że nie ma na świecie takiej mocy, która tę podróż mogłaby skrócić.

Zrobili z Fellowesem wszystko co możliwe, by polepszyć osiągi fregaty, i choć wiele działali, wciąż nie mogli wpłynąć na wiatr. Ze spokojnym sumieniem i fatalizmem, którego każdy żeglarz musi się nauczyć, by nie

umrzeć z frustracji, Jack postanowił wykorzystać dany mu czas na przekształcenie „Boadicei” w jego własne wyobrażenie fregaty, maszyny wojennej, której załoga składa się wyłącznie z marynarzy z krwi i kości, z których każdy jest mistrzem w obsłudze armat i prawdziwym diabłem, kiedy już porwie kordelas w jedną garść i topór abordażowy w drugą.

Gdy niezmienna rutyna życia na pokładzie zastąpiła wszystko, według czego próżniacka załoga „Boadicei” żyła do tej pory, powoli, niedostrzegalnie zaczęła ona przeobrażać się w grupę prawdziwych marynarzy. Naraz rzeczą naturalną i nieuniknioną stało się to, że gwizdek bosmański wyrywał ich ze snu po wybiciu ósmej szklanki

środkowej wachty, że szybko należało zwinąć hamaki i pośpieszyć na zbiórkę, a o brzasku zabrać się do

czyszczenia pokładu. Po wybiciu ośmiu szklanek wachty popołudniowej gwizdek bosmański gnał całą załogę na

obiad, który, oprócz dziennej racji sucharów, w poniedziałki zawsze składał się z sera i puddingu, we wtorki z solonej wołowiny, w środy z suszonego grochu i puddingu, solonej wieprzowiny w czwartki, suszonego grochu i sera w piątki, znowu solonej wołowiny w soboty, a w niedzielę z solonej wieprzowiny i takich smakołyków jak ciasto owocowe. Wszyscy wiedzieli, że na pojedyncze uderzenie dzwonu pokładowego po obiedzie należy

złosić się po grog, a na odgłos bicia w bęben po kolacji (i kolejnej porcji grogu) trzeba czym prędzej

zameldować się przy stanowiskach bojowych, hamaki zaś mają zostać rozwinięte, by wachta poniżej mogła

przespać się cztery godziny przed pojawieniem na pokładzie o północy na kolejną zmianę. To wraz z ciągłym

drżaniem pokładu wprawianego w wibracje setkami stóp oraz nie kończącym się widokiem wód Atlantyku,

ciągnących się aż po horyzont, gdzie zlewały się z błękitem niebios, odcięło załogę od lądu tak skutecznie, iż w tej chwili wydawał im się on całkowicie innym światem. Tamten świat jawił się teraz bezbarwny i pozbawiony witalności, a wartości płynące z życia na morzu przejęli jako własne.

Z wyglądu także zaczęli przypominać żeglarzy. W godzinę i czterdzieści minut po przekroczeniu zwrotnika

Raka każdemu marynarzowi wydano dwanaście jardów płótna, igły i nici oraz słomki na kapelusze, a pomocnik

cieśli wbił w deski pokładu dwie mosiężne igły w odległości dwunastu jardów od siebie. Zadaniem całej załogi było teraz uszycie sobie koszul, spodni oraz sporządzenie kapeluszy z szerokim rondem, czemu szybko podołali z pomocą co sprawniejszych kolegów. Bezpowrotnie zniknęła mieszanina pstrokatych lądowych ciuchów i

rzeczy wydanych przez ochmistrza, okraszona starymi skórzanymi bryczesami, zatłuszczonymi kamizelami i

pogniecionymi kapeluszami. Jednolita, czysta biel szeregu marynarzy, wzdłuż którego kroczył kapitan podczas następnego apelu niedzielnego, w niczym nie ustępowała nieskazitelnej purpurze szyków piechoty morskiej na pokładzie rufowym.

Między marynarzami podwachty bezanu wciąż jednak kryło się kilku durniów, nadających się jedynie do

ciągnięcia pokazanej im liny. W każdej wachcie nie brakowało też takich, których głowy okazywały się zbyt

słabe na potężną porcję codziennego grogu i byli karani za pijaństwo. Były także i przypadki trudniejsze, lecz ogólnie Jack był zadowolony ze swej nowej załogi. Z wyjątkiem nawigatora, pana Buchana, postawie swych

oficerów również nie miał nic do zarzucenia. Problemem był jeszcze ochmistrz, wysoki, krzywonogi mężczyzna o żółtej cerze i zaawansowanym platfusie; Jack wolał osobiście sprawdzać księgi. Trójka poruczników sekundo-wała mu w pracach pokładowych z podziwu godnym zapałem, a starsi

midszypmeni również okazywali

nieocenioną pomoc.

Bez wątpienia jedną z większych korzyści, wynikających ze spotkania przy Dry Salvages, było to, że „Boadicea”

przejęła duże ilości amunicji. Zgodnie z przepisami załadowano na pokład po sto kul na działo

osiemnastofuntowe i teraz kapitan strzegł tego skarbu zazdrośnie, gdyż nie miał żadnej gwarancji, że na

Przylądki będzie mógł swój zapas uzupełnić. Była to paradoksalna sytuacja — wiedział, że jeśli nie wyćwiczy obsługi dział w strzelaniu ostrą amunicją, nie dadzą sobie rady w boju, ale jeśli poświęci się ćwiczeniom, na walkę może nie starczyć amunicji. Dzięki błogosławionemu spotkaniu z francuskim okrętem codzienne

ćwiczenia artyleryjskie przestały polegać na przetaczaniu dział w tę i z powrotem. Oczywiście, załogi nadal ćwiczyły każdy etap odpalania pocisku, od zwolnienia talii aż po ponowne zamocowanie lawety, a działa toczyły się z hurkotem po pokładzie, ale pojawił się nowy element. Okazało się, że dwudziestoczerofuntowe kule z

„Hebe” pasowały do karonad „Boadicei”, a pociski z dział długolufowych odpowiadały kalibrowi pościgówek fregaty, tak więc co wieczór ćwiczenia wieńczył dziki huk salw burtowych. Teraz każdy marynarz był już

przyzwyczajony do śmiertelnie groźnych następstw cofającego się siłą odrzutu działa, do błysku wystrzału i sprawnego podchwytywania odpowiedniej talii, wycioru czy przybitki w gęstym, kłębiącym się dymie

armatnim. Podczas dni świątecznych — jak uczczone podwójną salwą burtową przekroczenie zwrotnika

Koziorożca — oglądanie zapału załogi było dla Jacka prawdziwą przyjemnością. Tratwę skleconą z pustych

beczulek po solonej wołowinie, unoszącą się na wodzie w odległości pięciuset jardów zniszczyli już pierwszą salwą i wiwatując dziko, natychmiast podtoczyli działa, by wypalić w szczątki w czasie krótszym niż dwie

minuty. Wciąż dalekie to było od wyobrażenia Jacka o częstotliwości salw — daleko im było do trzech salw

burtowych w pięć minut, co kapitanowie dbający o wyszkolenie artyleryjskie załogi uważali za standard, i

jeszcze dalej do trzech w dwie minuty, co Jack osiągnął z poprzednimi załogami. Ostrzał w

wykonaniu jego

obecnych podwładnych był jednakże celny i wciąż szybszy od kilku okrętów, których pracę miał okazję poznać.

Ta pełna szczęścia przerwa w jego karierze, owa żegluga z jasno sprecyzowanym celem, rejs przez ciepłe wody, co prawda z leniwym wiatrami, ale na wygodnym okręcie z doskonałym kucharzem, obfitymi zapasami i dobrą

załogą, miał jednakże swoje złe strony. Wielkim rozczarowaniem był dla Jacka jego teleskop. Jowisza umiał

znaleźć na niebie — planeta lśniła w oku jego teleskopu niczym pozłacane ziarnko grochu — jednakże przez

kołysanie okrętu nie był w stanie utrzymać jej w polu widzenia wystarczająco długo, by ustalić lokalny czas zniknięcia jego księżyców, a przez to nie mógł wyliczyć długości geograficznej okrętu. Teleskop nie był

wadliwy, jego nowa teoria bez wątpienia również nie zawierała błędu. Wina leżała po stronie specjalnej,

zmyślnie wyważonej i zawieszanej na grotbramstendze kołyski, która mimo różnorodnych zmian i ulepszeń, wciąż nie zdołała zrównoważyć kołysania okrętu. Przeklinając na czym świat stoi, wisiał w niej noc w noc, otoczony midszypmenami z czystymi szczotkami, którzy na rozkaz Jacka starali się utrzymać stabilną pozycję kołyski.

Młodzi dżentelmeni nie mieli z nim łatwego życia — kapitan nie pozwalał im na lenistwo i wymagał od nich

ciągłej gotowości. Sami midszypmeni, oprócz znienawidzonych wprost nocnych sesji z teleskopem oraz

prowadzonych przez niego lekcji nawigacji, przepadali wprost za swoim dowódcą oraz za wspaniałymi

śniadaniami i obiadami, na które często ich zapraszał. Ich uwielbienie nie malało ani o jotę nawet wtedy, kiedy kapitan spuszczał im lanie na goły tyłek w swej kabinie, zazwyczaj za przestępstwa takie jak kradzież jedzenia z mesy oficerskiej czy chodzenie po pokładzie z rękami w kieszeniach. Ze swojej strony Jack widział w nich

grupkę ujmujących młodych ludzi, choć mógł im zarzucić skłonności do długiego wylegiwania się w hamakach i do oszukiwania przełożonych. Jeden z nich, pan Richardson, ze względu na pryszcze przezywany Nakrapiany

Dick, zapowiadał się na niezwykle zdolnego matematyka. Jako że pokładowy nauczyciel nie potrafił utrzymać

wśród chłopców dyscypliny, Jack uczył ich nawigacji sam, szybko jednak odkrywając, że powinien prowadzić

lekcje bardzo ostrożnie, by uniknąć ośmieszenia. Richardson prześcigał bowiem swego dowódcę w wielu

kwestiach trygonometrii sferycznej, nie mówiąc już o astronomii.

Był jeszcze pan Farquhar. Jack cenił go jako inteligentnego, rzutkiego dżentelmena z wytwornymi manierami i niezwykłym darem prowadzenia konwersacji. Przez tydzień podróży Jack mógł czerpać przyjemność z jego

towarzystwa przy obiedzie, choć pan Farquhar stronił od wina. Przyszły gubernator był jednakże prawnikiem z krwi i kości i Jack odnosił czasami wrażenie, iż swobodna rozmowa przy obiedzie w jego kajucie przeradza się w przesłuchanie ze strony pana Farquhara. Ponadto często wprawiał Jacka w zakłopotanie, szafując wieloma łacińskimi wyrażeniami, odnosząc się do pisarzy, z którymi ten nigdy się nie zetknął. Stephen też to zawsze robił, lecz poza autorami, którzy pisali o polowaniu na lisy, taktyce bitew morskich i astronomii, trudno byłoby odwołać się do pisarza, którego dzieła Jack by znał. Do Stephena jednak pretensji nigdy nie miał, gdyż uwielbiał go jako przyjaciela i był gotów uznać go za najmądrzejszego człowieka na świecie, wiedząc przy tym dobrze, iż w kwestiach praktycznych poza medycyną i chirurgią Stephenowi nie powinno się pozwolić na ani jeden samodzielny krok. Pan Farquhar jednakże zdawał się wychodzić z założenia, iż głęboka znajomość kwestii prawnych i spraw publicznych obejmowała również całość ludzkich starań i wysiłków. Jack byłby skłonny darować panu Farquharowi jego dogłębną, niedoścignioną znajomość polityki, a nawet mistrzostwo w grze w szachy, gdyby ten choć trochę znał się na muzyce. Niestety, pan Farquhar nie miał o tym bladego pojęcia. To właśnie miłość do muzyki zbliżyła do siebie Jacka i Stephena — pierwszy z nich grał na skrzypcach, drugi na wiolonczeli i choć żaden z nich nie był wirtuozem, obaj czerpali ogromną przyjemność z wieczornych koncertów po zakończeniu ćwiczeń artyleryjskich. Grywali wspólnie podczas każdej podróży, i nic z wyjątkiem wymogów służby, złej pogody czy wreszcie pojawienia się wroga, nie mogło zakłócić ich koncertów. Niemniej teraz w

kajucie kapitańskiej przebywał również pan Farquhar, który był obojętny wobec kompozycji Mozarta czy Haydna i jak sam to określił, nie dałby złamanego grosza za żadnego z nich. Szelest przewracanych kart jego ksiąg, sposób, w jaki zażywał tabaki i wydmuchiwał nos, całkowicie odbierały im przyjemność grania. Jack był jednak wychowany w tradycji morskiej gościnności i czuł się w obowiązku jak najbardziej umilić swemu gościowi podróż, nawet jeśli oznaczało to porzucenie skrzypiec na rzecz wista, za którym nie przepadał.

Gość nie towarzyszył im jednak przez cały czas. Podczas częstych okresów ciszy morskiej Jack opuszczał na wodę jolkę i odbijał od okrętu, by popływać, ocenić z dystansu trym fregaty lub porozmawiać na osobności ze Stephenem.

— Nie potrafię go nie lubić — powiedział pewnego razu, wiosłując w kierunku wodorostów, wśród których według Stephena istniała szansa znalezienia okazów południowej odmiany koników morskich lub pływających krabów, spokrewnionych z tymi, które odkrył na południe od równika. — Niemniej nie będzie mi przykro, kiedy wysadzimy go na ląd.

— Ja tam potrafię go nie lubić — odparł Stephen. — Stwierdzam to za każdym razem, kiedy blokuje mojego króla i wieżę swoim skoczkiem. Na ogół jednakowoż uważam go za wartościowego człowieka

o błyskotliwym, wnikliwym umyśle. Na muzyce ni w ząb się nie zna, to pewne, ale jest w nim coś z poety. Ma swą własną, interesującą teorię na temat mistycznej roli królów, powstałą w wyniku badań nad posiadłościami drobnych urzędników królewskich.

— Myślę, że za długo dowodzę — kontynuował Jack, który o królewskich urzędnikach i ich posiadłościach nie miał bladego pojęcia. — Kiedy służyłem jako porucznik, spotykałem się z ludźmi, którzy byli znacznie bardziej nieznośni niż teraz Farquhar. Na „Agamemnonie” był lekarz okrętowy, który co wieczór grał na flecie *Greensleeves* i co wieczór zawałał melodię dokładnie w tym samym miejscu. Nasz pierwszy oficer Harry Turnbull, który później zginął w delcie Nilu, zawsze bladł, gdy ów lekarz zbliżał się do tego feralnego momentu. Działo się to w Indiach Zachodnich i mieliśmy

wszyscy nerwy napięte, ale jakoś nikt nic nie powiedział — z wyjątkiem Clonferta. Fakt, nie

brzmiało to jak *Greensleeves*, ale na przykładzie tej sprawy dobrze sobie zapamiętałem, na jaką elastyczność trzeba się zdobyć, kiedy udajesz się na długi rejs z tak liczną grupą ludzi. Początek kłótni

oznacza zarazem kres wszelkiej wygody. Nigdy nie chciałbym po raz wtóry tego doświadczyć, nigdy nie chciałbym stracić jedyne go luksusu kapitana — luksusu samotności.

— Znasz zatem osobiście lorda Clonferta? Jakim jest człowiekiem, powiedz mi.

— Słabo się poznaliśmy — powiedział Jack wymijająco. — Dołączył do załogi tuż przed tym, jak skierowano nas do Anglii, a potem przeniesiono go na „Mars”.

— Dzielny z niego człowiek, nieprawdaż?

— Och. — Jack patrzył ponad głowę Stephena na „Boadiceę”, przepiękną, samotną sylwetkę na tle nieba. — „Agamemnon” był okrętem flagowym i w mesie panował tłok. Słabo go poznałem, ale od tamtych czasów wyrobił sobie niezłą reputację.

Stephen wzmógł czujność. Doskonale wiedział, iż Jack przestrzegał zasady unikania niepochlebnych wypowiedzi o byłych towarzyszach z okrętu, i choć teoretycznie cenił ową zasadę, w praktyce mocno go irytowała.

Znajomość Jacka i lorda Clonferta w istocie nie trwała długo, lecz zapadła Jackowi w pamięć przez jeden szczegół. Pewnego dnia obaj otrzymali rozkaz wzięcia szalup i zaatakowania, spalenia, zniszczenia lub przejęcia statku korsarskiego, stojącego u ujścia szerokiej, płytkiej rzeki poza zasięgiem dział „Agamemnona”. Miejsce rzucenia kotwicy korsarza ekranowały zarośla drzew mangrowych, a prowadzące doń pozbawione znaków nawigacyjnych kanały z mulistymi brzegami stanowiły spore wyzwanie dla sterników, zwłaszcza że angielskie szalupy znajdowały się w ogniu dział korsarza i pojedynczej baterii lądowej.

Łodzie Clonferta popłynęły kanałem północnym, a Jacka południowym. Kiedy nadeszła chwila ostatecznego natarcia przez otwartą wodę na cumujący statek, szalupy Clonferta zgrupowane były za

wysepką, odrobinę bliżej niż łodzie pod dowództwem Jacka. Jack wypłynął więc z wąskiego kanału, zamachał kapeluszem, ponaglił swoich wiosłarzy i ruszył prosto na prawą burtę korsarza. Widok przesłaniał mu dym, lecz był pewien, że grupa Clonferta przypuszcza atak z drugiej burty. Słyszał nawet ich wrzask, lecz w istocie były to raczej okrzyki widzów aniżeli ludzi biorących udział w akcji — łodzie Clonferta nawet nie drgnęły. Dopiero w odległości pięćdziesięciu jardów od wrogiego okrętu Jack uświadomił sobie, iż Clonfert w ogóle nie pali się do boju. Sam był jednak zdecydowany kontynuować natarcie, a poza tym na wycofanie się było już za późno. Korsarze stawili silny opór i zabili kilku z jego ludzi, a wśród nich pewnego midszypmena, którego Jack zdążył polubić. Liczba rannych była jeszcze większa. Przez kilka minut szala zwycięstwa się ważyła, a na skąpanym promieniami zachodzącego słońca pokładzie korsarza wywiązała się zaciekle, krwawa walka wręcz. W pewnym momencie francuski kapitan cisnął swymi pustymi pistoletami w głowę Jacka, przeskoczył przez reling i jął płynąć w stronę brzegu, a pozostali przy życiu członkowie załogi poszli w jego ślady. Okazało się jednak, iż nie chodziło im o bezpieczne schronienie na brzegu, lecz o drugą baterię dział, którą byli umieścili tam wcześniej. Francuzi obrócili swe działa w stronę okrętu, gotowi wymieść pokład kartaczami — z tej odległości nie mogli chybić. Choć Jack otrzymał silne uderzenie w głowę, nie stracił przytomności umysłu i jeszcze przed pierwszym wystrzałem z nowo obsadzonej francuskiej baterii przeciął liny i wystawił opadający fokmarsel na wzmagający się właśnie wiatr od lądu. Kiedy rozpoczęła się kanonada, okręt już ruszył z miejsca. Szczęście nie opuszczało go w tamtych chwilach — obrał kurs na kanał, w którym nie groziło im ugrzęźnięcie na mieliźnie, a świeży powiew wiatru pozwolił na wydostanie się z matni. Kartacze z baterii lądowej zebrały jednak swoje żniwo, raniąc jednego człowieka, tnąc fały bagenzagła i zbijając z nóg jego samego. Odłamek uderzył go na wysokości żeber niczym rozgrzany do czerwoności pogrzebacz i Jack znalazł się na deskach pokładu w kałuży własnej krwi. Tymczasem załoga przyzowa podjęła łodzie Clonferta, a on sam objął dowództwo, prowadząc przyz w kierunku „Agamemnona”. Jack był ledwie przytomny podczas

wchodzenia na pokład. Serce rozdzierał mu żal po śmierci młodego midszypmena, a umysł zaćmiewał

ból i szybko atakująca w tym klimacie gorączka. Clonfert pośpiesznie tłumaczył mu, iż jego szalupy ugrzęzły w błocie, blokował je ogień z lądu, w którym atak równałby się samobójstwu, i właśnie zbierał się do ataku, kiedy na pokład korsarza wdarł się Jack, ale półprzytomnemu Jackowi jego słowa

wydały się obojętne i nieistotne. Po dojściu do zdrowia dziwił się nieco, że w oficjalnym liście na temat akcji pominięto jego nazwisko, a większość zasług przypisano Clonfertowi, lecz ten w istocie był starszy rangą, a jego ludzie zdławili ponadto opór garstki korsarzy, którzy nie umieli pływać i schronili się pod pokładem. Lecz Clonfert służył już wtedy na „Marsie” i Jack, który pozostał na kierującym się do Anglii „Agamemnonie”, szybko zapomniał o incydencie, po którym jedyną pamiątką było wewnętrzne przeświadczenie, że Clonfert jest albo tchórzem, albo człowiekiem mało przedsiębiorczym i chwiejnym. Żaden z pozostałych oficerów w mesie nie podzielił się z nim własną opinią na ten temat i w ciągu kolejnych lat służby Jack prawie zapomniał o sprawie. O osobie Clonferta przypominały mu tylko wywlekane przez gazety skandale, jak proces, w wyniku którego musiał zapłacić panu Jenningsowi odszkodowanie za akt cudzołóstwa z jego żoną, czy sąd wojenny po

uderzeniu innego oficera na pokładzie rufowym HMS „Ramillies”. Czasem pisała o nim również „Gazette”, lecz w znacznie bardziej pochlebnym tonie. Sąd wojenny pozbawił go stanowiska w marynarce, i choć po jakimś czasie przywrócono go do służby, utracił swą rangę. W tym czasie jednak

uczestniczył w zmaganiach na froncie tureckim, gdzie jego doświadczenie królewskiego oficera bardzo się przydało, gdy związał się z osobą osobliwego i budzącego kontrowersje admirała Sydneya

Smitha. Stał u jego boku, kiedy ten zmuszał wojska napoleońskie do odwrotu pod Akra, uczestniczył też w innych, równie chwalebnych, lecz głównie lądowych starciach, i Smith często chwalił jego zasługi w swych oficjalnych listach. Clonfert i admirał Smith w istocie pasowali do siebie — często

ich widywano, jak spacerowali po Londynie w orientalnych szatach. To właśnie dzięki poparciu Smitha Clonfert odzyskał dowództwo*.

* W oryg.: *Clonfert was made a commander*. Ranga „commander” w Marynarce Królewskiej znajdowała się poniżej „post captain”

nadawana była dowódcom mniejszych, nie klasyfikowanych okrętów.

Jack wiedział, że „Gazette” potrafi manipulować faktami, lecz takich zwycięstw jak zniszczenie tureckiej eskadry czy zagwożdżenie dział Abydos redaktorzy wyssać z palca nie mogli. Czytając o tych sukcesach, Jack czuł, jak nachodzą go wątpliwości, czy nie mylił się, przypisując Clonfertowi brak odwagi. Nie rozmyślał jednak wiele na ten temat, gdyż Clonfert tak czy owak nie był człowiekiem, który Jackowi mógł przypaść do gustu. Był to w końcu stronnik admirała Smitha, a sam admirał, choć jego odwaga i przedsiębiorczość nie budziły wątpliwości, był człowiekiem próżnym i skłonny do efektownych popisów, co nieraz przysporzyło wiele kłopotów admirałowi Nelsonowi na

Morzu Śródziemnym. U Jacka zaś podziw i szacunek dla Nelsona przybrały takie rozmiary, że przeciwnicy admirała nigdy nie zdołaliby wkupić się w jego łaski. Naraz jego myśli pomknęły ku admirałom, zatargom między nimi i nieszczęsnym skutkom owych zatargów oraz odległym problemom piastowania wysokiej rangi.

— Cóż tak bardzo zaprzęta twoje myśli, bracie? — odezwał się Stephen. — Jeśli będziesz tak szybko

wiosłował, wkrótce minimy te wodorosty. O czym tak rozmyślasz? Martwisz się Francuzami, nieprawdaż?

— Pewnie — prychnął Jack, składając wiosła. — Aż mi serce lodowacieje. Im bliżej jednak jesteśmy

Przyłądka, tym bardziej zaprzęta moją uwagę kwestia otrzymania proporczyka i wszystkiego tego, co z nim związane.

— Nic z tego nie rozumiem. Mógłbyś odbić odrobinę na lewo? Chyba tam widzę jakiegoś głowonoga

między wodorostami. O, umknął, spryciarz jeden... Wiosłuj powoli i delikatnie, a ja rozwinę siatkę... Nie rozumiem twoich słów, porporczyk na naszym okręcie jest całkiem w porządku. Nie wiem, jak to mogło umknąć twojej uwadze. — Wskazał przy tym na top masztu, z którego zwisała długa bandera. — Mam na myśli porporczyk komodorski! — sprostował Jack, lecz po twarzy Stephena poznał, iż ten niczego nie rozumie. — Ten porporczyk, po którym poznać, że jesteś komodorem. To oznacza wyższą rangę! Po raz pierwszy wywiesiłbym własny znak, niczym admirał i miałbym też obowiązki dowodzącego admirała!

— I co z tego, mój drogi? Doskonale wiem, że zawsze sprawdzałeś się jako dowódca. Nigdy bym sobie nie dał tak dobrze rady na twoim miejscu. Mówisz „obkładać” — szast - prast i zrobione. O czym więcej marzysz, na litość boską? — mówił Stephen, ledwo co koncentrując się na swych słowach. Jego uwagę całkowicie pochłaniał teraz pewien głowonóg. — Wiem, kto to jest komodor, pamiętam — mamrotał bez ładu i składu. — Komodorem był ten kapitan statku Kompanii, który tak życzliwie nas potraktował po boju z eskadrą *monsieur de Linois*.

— Czy ty nie rozumiesz — odparował Jack, którego myśli z kolei koncentrowały się całkowicie na kwestii dowództwa— że w moim przypadku zawsze w grę wchodziło jedynie dowództwo pojedynczego okrętu? Na tym się wychowałem i do tego jestem przyzwyczajony, a wyższa ranga to coś, co przychodzi samo i bez ostrzeżenia. Obejmujesz ją bez przygotowania. Masz pod sobą kapitanów, z którymi trzeba umieć się obchodzić, a przecież każdy z nich to pierwszy po Bogu na własnym pokładzie rufowym. Wierz mi, to coś zupełnie innego niż utrzymywanie dyscypliny na pokładzie własnego okrętu. Rzadko kiedy masz wpływ na skład eskadry, trudno zatem dobrać sobie kapitanów i trudno się ich pozbyć. Jeśli zaś twoje podejście do nich będzie niewłaściwe, cała eskadra

przestanie prawidłowo funkcjonować, a za to jest ciężka zapłata. Właściwe podejście do podwładnych

jest znacznie ważniejsze, aniżeli by się wydawało. Nelson opanował to do perfekcji... Jego

kapitanowie są jak bracia... — mówił coraz ciszej, aż zamilkł, obserwując, jak Stephen szpera wśród wodorostów. Myślał o tych wszystkich sytuacjach, kiedy admirałom czy komodorom brakowało talentu Nelsona, a była to długa lista. Myślał o animozjach między nimi, o pełnych niezdecydowania działaniach, wspaniałych szansach zmarnowanych przez brak współpracy czy ślepe posłuszeństwo wobec sztywnych „Fighting Instructions”*, o sądach wojennych, przede wszystkim o wrogich okrętach, bezkarnie żeglujących po morzu.

* „Fighting Instructions” — zespół sygnałów taktycznych, obowiązujących w Królewskiej Marynarce Wojennej.

— Corbett ma dobrą reputację. Pym również — rzekł cicho do siebie. — Teraz przyszło mi do głowy,

Stephen — powiedział już głośniejszym głosem — że powinieneś dowiedzieć się wszystkiego o Clonfercie. To twój rodak, wielce szanowany w Irlandii.

— Z całą pewnością nosi irlandzki tytuł — odparł Stephen — ale Clonfert to Anglik, tak samo jak i ty. Ich nazwisko rodowe to Scroggs. W Irlandii mają kilka akrów jakiegoś trzęsawiska i coś, co nazywają zamkiem na mglistej północy, niedaleko Jenkinsville. Wiem o tym dobrze, bo rośnie tam *a nthea foetiaissima*. Mają też posiadłość na południe od Curragh of Kildare, ziemię, które Desmond utracił w wyniku długów. Wątpię jednak, by Clonfert kiedykolwiek postawił swą stopę na tej ziemi.

Ma tam szkockiego agenta, który troszczy się o to, by wycisnąć jak najwięcej z dzierżawców.

— Lecz to par, prawda? Człowiek o sporym znaczeniu?

— Niech Bóg błogosławi twą niewiedzę. Par irlandzki to nierzadko człowiek pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia. Nie chcę tu czynić niepoehlebnych uwag odnośnie do twego raję rodzinnego, gdyż wielu z moich najlepszych przyjaciół to Anglicy, jednakże musisz wiedzieć, iż przez ostatnie ponad sto lat tradycją rządu angielskiego było nadawanie swym mniej znaczącym sympatykom irlandzkich tytułów. Obdarowanie jednego z tych waszych podrzędnych politykujących knowaczy tytułem para i ziemiami w obcym dlań kraju to spektakl nieodmiennie żalony, a przypadek Clonferta nie jest tu wyjątkiem. Jest on zaledwie krzykliwą, mizerną imitacją prawdziwego para. Zresztą nie

chciałbym, by większość irlandzkich parów była Irlandczykami. Z wyjątkiem kilku dowódców morskich, których rząd nie ośmieliłby się zaprosić do parlamentu, irlandzcy parowie to, z mego doświadczenia, nędzne typki, niezbyt pewnie czujący się w Anglii i całkiem nie na miejscu w Irlandii.

Nie mam tu na myśli Fitzgeraldów, Butlerów czy innych prawdziwych irlandzkich rodów, którym udało się przetrwać, lecz ludzi, których ogólnie zwie się irlandzkimi parami. Dziadek Clonferta był...

Jack, co ty wyrabiasz?

— Ściągam koszulę.

— Chcesz pływać tuż po obiedzie? I to jeszcze jakim obiedzie! Zdecydowanie ci to odradzam.

Przybrałeś mocno na wadze po tych tygodniach i miesiącach kuchni Poiriera. A skoro już o tym

mówimy, mój drogi, moim obowiązkiem jest ostrzec cię przed nieszczęsnymi skutkami nie

kontrolowanego apetytu. To zgubny nałóg, który przywiódł Ewę do grzechu pierworodnego. Bulimia,

bulimia! Obiady zabiły znacznie więcej ludzi, niż Avicenna* uzdrowił — ciągnął kazanie, w miarę jak

Jack ściągał spodnie. — Zatem upierasz się przy kąpeli? — spytał, gdy Jack był już nagi. — Pozwól

mi przynajmniej obejrzeć twe plecy... — Przesunął palcem po ciemnoniebieskiej bliźnie i zapytał: —

Czułeś tutaj ból przez ostatnie dni?

* Avicenna (980-1037) — perski lekarz i filozof, autor medycznego kompendium *Kanon medycyny*, w którym zestawiał swe własne odkrycia z osiągnięciami arabskiej i rzymskiej sztuki leczenia. Dzieło Avicenny było podstawowym podręcznikiem medycznym w wiekach średnich.

— Odrobinę dziś rano — odparł Jack. — Ale od chwili opuszczenia kanału aż do wczoraj nie czułem

nic. Kąpiel... — naraz ześlizgnął się z burty szalupy i zanurkował głęboko w czystej błękitnej wodzie,

ciągnąc za sobą welon jasnych włosów — ...to najlepsza rzecz na wszelkie bóle — dokończył,

wynurzywszy się z parsaniem. — Boże, ależ to odświeżające, nawet mimo tego, iż woda jest ciepła

jak mleko! Dalej, Stephen, pływaj, póki możesz! Jutro złapiemy zimny prąd idący na północ i

dotrzemy do strefy zielonej wody i wiatrów z zachodu. Będziesz wreszcie miał twoje fulmary i petrele, a może nawet i albatrosy, ale aż do Przylądka o kąpielach nie będzie mowy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Z chwilą, gdy na „Boadicei” dostrzeżono ląd, dla załogi rozpoczął się okres gorączkowego doprowadzania okrętu do jak najlepszego stanu. Przygotowania powoli dobiegały końca — fregata sunęła po wodach zatoki False Bay, a lekka bryza zaokrągląła jej żagle boczne, roznosząc jednocześnie zapach świeżej farby. Wzdłuż burt widniała teraz nieskazitelna biało-czarna krata nelsonowska, skontrastowana z jaskrawym karminem, ostrożnie nanoszonym przez pomocników cieśli na usta, policzki i biust potężnej, aczkolwiek niezbyt zgrabnej rzeźby królowej Brytów*.

* Chodzi tu o galion, rzeźbę kobiecą na dziobnicy, która przedstawiała uhonorowaną w nazwie okrętu królową brytyjską, Boadiceę, przywódczynię buntu Brytów przeciw Rzymianom. Na czele sił buntowniczych splądrowała Camulodunum (Colchester), St Albans i Londinium (Londyn), po czym, pokonana przez rzymskiego gubernatora Suetoniusa Paulinusa, popełniła samobójstwo, stając się symbolem oporu wobec rzymskiej okupacji.

Ubrany w swój najlepszy mundur Jack stał w towarzystwie pana Farquhara na pokładzie rufowym przy relingu sterburty. Artylerzysta przy stojącym nieopodal mosiężnym dziale dziewięciofuntowym dmuchał na lont wolnotłący. Pozostałe działa były ustawione we wzorowym porządku niczym na paradzie, a stan ich uprząży nie budził najmniejszych zastrzeżeń. Pan Seymour okazał się bardzo sumiennym pierwszym oficerem i statek pozostający pod jego opieką utrzymany był idealnie. Deski lśniły czystością, zakłócaną jedynie hebanową czernią uszczelniającej smoły, fały łodziowe były zamocowane z jedną, niewzruszoną precyzją, a nieliczne fragmenty mosiądzu, na umieszczenie których pozwolił kapitan, lśniły w słońcu. Na pokładzie od dziobu aż po rufę nie było ani pyłka kurzu,

a klatki z kurami zniesiono pod pokład. W ślad za nimi powędrowała ostatnia świnią i kozioł, który pełnym złości beczaniem domagał się należytą porcji tytoniu i przez to zakłócał panującą na pokładzie

ciszę. Cała załoga w niedzielnych ubraniach wyległa na pokład, w milczeniu śledząc brzeg pełnymi

powagi spojrzzeniami. Po tylu dniach wreszcie widzieli suchy ląd, drzewa, spacerujących wśród nich ludzi, z których większość była ciemnoskóra. Poza beczaniem kozła jedynymi słyszalnymi odgłosami było powarkiwanie nawigatora, korygującego z pokładu dziobowego kurs okrętu, rytualne odpowiedzi

sternika i meldunki siedzącego na ławie wantowej marynarza z sondą:

— Piętnaście sążni przy marce! Piętnaście przy marce! Piętnaście i pół poniżej marki! Szesnaście i pół! Piętnaście poniżej marki!

Na rufie zaś słyhać było głos kapitana Aubreya, opowiadającego panu Farquharowi o mijanych właśnie charakterystycznych punktach.

— Tę płaską skałę zwykliśmy nazywać Arką Noego, a tam dalej widzi pan Foczą Wyspę. Jestem pewien, iż doktorowi się tu spodoba. Za Arką, tam gdzie pan widzi przybój, sterczy Rzymska Skała. Przejdziemy dokładnie między nimi, po czym wejdziemy do Simon's Bay. Panie Richardson, proszę sprawdzić, czy doktor już skończył i może przyjść na pokład. Będzie żałował, jeśli tego nie zobaczy.

O, proszę — ciągnął, patrząc przez teleskop, kiedy wewnętrzny port wszedł w pole widzenia. — To „Raisable”, widzi pan? Ten dwupokładowiec. Za nim stoi „Sirius”, a dalej „Nereide”... ma bardzo dobre miejsce postoju. I jeszcze jakiś bryg, którego nie rozpoznaję. Panie Seymour, widzi pan ów bryg

ze złożonymi stengami?

W tym momencie pojawił się Stephen, mrugając, oślepiiony promieniami słońca i wycierając zakrwawione dłonie w wełniany szlafrok. Nie wyglądał najlepiej.

— Ach, jest pan, doktorze — zawołał Jack. — Skończył pan już łątać biednego Francisa? Jak się czuje nieborak? Ufam, iż nie jest z nim gorzej?

Do wczoraj Francis nie miał sobie równych we wspinaczce na stengach. Podczas prób pomalowania na złoto topu grotbramstengi niespodziewanie stracił oparcie i runął w dół z wysokości przyprawiającej o zawrót głowy. Od uderzenia w pokład i pewnej śmierci uchroniło go tylko to, iż okręt łaskawie przechylił się w tym czasie na burtę. Spadając, Francis zawadził o furtę działową

numer dwanaście z taką siłą, iż doznał rozległych obrażeń klatki piersiowej, znacząc krwią miejsce swego upadku.

— Ma szansę wyjść z tego bez szwanku. Ciała tych młodzieńców to stal opięta wyjątkowo twardą skórą. A więc to jest Afryka — powiedział Stephen, wpatrując się w mijany brzeg, ojczyznę mrównika i żyrafy, królestwo przebogatej roślinności i dom dla niezliczonych gatunków ptaków ze strusiem na czele. — A to — pokazał odległy cypel — czyżby to był osławiony, przerażający Przylądek Sztormów w całej swej okazałości?

— Nie do końca—odpowiedział Jack. — Sam przylądek zostawiliśmy za rufą. Żałuję, że nie mogłeś go zobaczyć. Przechodziliśmy całkiem blisko brzegu, ale byłeś wówczas zajęty. Lecz tuż przed tym udało ci się zobaczyć Górę Stołową, nieprawdaż? Wysłałem po ciebie posłańca!

— Tak, tak. Jestem ci bardzo wdzięczny, nawet pomimo tego, że obudzono mnie o zupełnie barbarzyńskiej porze. Przypominał mi Ben Bulben.

— Czyż to nie osobliwe? O, a teraz na ćwiartce dziobowej lewej burty... Nie, na trawersie lewej burty

ciągnie się Simon's Bay, doskonałe kotwicowisko. A tam stoi „Raisnable”, okręt flagowy.

— To liniowiec, prawda? — spytał Farquhar. — Prezentuje się wielce imponująco.

— Wątpię, czy w starciu liniowym użyto by jeszcze jakiegokolwiek z tych okrętów — odparł Jack.

— „Raisnable” ma co prawda sześćdziesiąt cztery działa na pokładzie, ale wybudowano go pięćdziesiąt lat temu, i gdyby teraz odpalił salwę burtową, rozpadłby się pewnie na kawałki. Cieszy mnie jednak to, iż tak dobrze się prezentuje. Za nim kotwiczy „Sirius”, który jest w istocie znacznie potężniejszą jednostką, choć ma raptem trzydzieści sześć osiemnastofuntówek, wszystkie ustawione na jednym pokładzie. Salwa burtowa „Siriusa” waży tyle co nasza. I oto następna fregata, widzi pan? To „Nereide”, też z trzydziestoma sześcioma działami, lecz zaledwie dwunastofuntówkami. No i ów niewielki, dziwny bryg.

— Proszę o wybaczenie, kapitanie, lecz intryguje mnie, dlaczego te okręty nie są teraz na morzu? —

spytał Farquhar. — Z tego, co rozumiałem, te jednostki oraz jedna mniejsza o nazwie „Otter” mają za

zadanie pilnowanie naszych szlaków handlowych do Indii. Pytam z czystej ciekawości...

— Och — zachnął się Jack. — Właśnie dobiega końca sezon huraganów, podczas którego utrzymywanie blokady Mauritiusa jest absolutnie niemożliwe. Przypuszczam, iż okręty są właśnie prowiantowane i kończą się ostatnie remonty tuż przed wyruszeniem w morze. Dwa tysiące mil stąd na północ nie będą już miały takiej możliwości. Panie Johnson, proszę zwinąć część żagli.

Znów przytknął lunetę do oka. „Boadicea” wywiesiła już swój numer i Jack wypatrywał teraz łodzi adiutanta admirała. Och, już ją dostrzegł, właśnie mijala pomost. Choć na „Boadicei” pozostawiono jedynie fokmarsel i grotmarsel, fregata wciąż sunęła ze sporą prędkością, pchana umiarkowanym wiatrem z południowego wschodu i rosnącym przyływem. Brzeg zbliżał się szybko i Jack postanowił

odpalić salwę powitalną w chwili, kiedy dojrzy Dom Admiralicji. W oczekiwaniu na tę chwilę odniósł

dziwne wrażenie, że zarówno jego życie w Anglii, jak i cała dotychczasowa podróż stanie się przeszłością z pierwszym wystrzałem z działa.

— Proszę kontynuować, panie Webber — powiedział. Dziewięciofuntówka służąca do oddawania salutu z rykiem strzeliła ogniem i znikła w chmurze dymu.

— Pierwsze działo: ognia! — wydał komendę artylerzysta. Huk wystrzału powrócił, odbity echem od gór. — Drugie działo: ognia! Trzecie działo... — Przy siedemnastym wystrzale cała wielka zatoka pulsowała echem eksplozji, lecz nim nad jej wodami ponownie zapanowała cisza, na burcie „Raisnable” wykwitł obłoczek dymu, a w chwilę po nim kolejny. Okręt wystrzelił dziewięć razy, co było salutem należnym kapitanowi.

— „Raisnable” sygnalizuje, sir! — Pisk młodego midszypmena-sygnalisty Watheralla niespodziewanie przeszedł w ochrypy bas. — „Kapitan jest proszony na pokład okrętu flagowego”.

— Potwierdzić odebranie — rozkazał Jack. — Gig na wodę. Gdzie mój sternik? Poślijcie po

sternika.

— Przykro mi, sir — zameldował Johnson, rumieniąc się aż po uszy. — Moon jest pijany.

— W cholerę z nim! — zdecydował Jack. — Crompton, wskakuj na gig. Panie Hill, czy to wszystkie papiery? Wszystkie co do jednego?

Ściskając mocno stertę zalakowanych, owiniętych w płótno dokumentów, opuścił się po drabince wzdłuż burty okrętu, poczekał, aż gig znajdzie się na szczycie fali, i wskoczył na pokład.

— Odbijać — rozkazał.

Minęło już wiele, wiele lat, odkąd jako starszy midszypmen na „Resolution” odwiedził Przylądek, pamięć go jednak nie zawiodła. W wiosce na brzegu zatoki było co prawda więcej cywilnych domów,

reszta jednak nie uległa zmianom. Przybój uderzał miarowo w rytm tej samej melodii, znów widział góry i łodzie z okrętów wojennych kursujące po zatoce, rozpoznał szpital, koszary, arsenał. Znów czuł

się jak ów wychudzony chłopak, wracający na „Resolution” po udanym połowie przy skałach.

Ogarniało go przyjemne podniecenie, a w jego umyśle przesuwały się setki obrazów z przeszłości, jednocześnie jednak pojawiło się wrażenie niesprecyzowanego lęku.

— Łódź ahój! — okrzyknięto szalupę z „Raisable”.

— „Boadicea” — odkrzyknął nowo mianowany sternik dumnym głosem. — Wiosła złość! — wydał polecenie już nieco ciszej. Gig stuknął o wysoką burtę liniowca, chłopcy okrętowi zbiegli z purpurowymi poręczami linowymi i w chwilę później gwizdki oznajmiły wejście kapitana na pokład.

Aubrey zdjął swój trójgraniasty kapelusz i zasalutował, po czym uświadomił sobie z zaskoczeniem, że

odpowiadający na jego salut wysoki, zgarbiony człowiek z siwymi włosami to admirał Bertie we własnej osobie! Ten sam Bertie, którego zapamiętał z Port of Spain jako energicznego, zwawego kapitana „Renown”! Z natłoku myśli w jego głowie wyłoniła się jedna, która podszeptała mu: „A może sam już nie jesteś pierwszej młodości, Jacku Aubrey?”

— Wreszcie jesteś, Aubrey — powiedział admirał, ściskając jego dłoń. — Cieszę się, że cię widzę.

Znasz kapitana Eliota?

— Tak, sir, służyliśmy razem na „Leanderze” w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym. Jak się pan miewa, kapitanie?

— Te papiery są pewnie dla mnie? — spytał admirał, nim uśmiechnięty od chwili pojawienia się Jacka Eliot zdołał odpowiedzieć w inny sposób, aniżeli uśmiechając się jeszcze szerzej. — Wejdz, zerkniemy sobie na nie w mojej kajucie.

Kajuta była utrzymana w przepychu i luksusie, podłogę kryły dywany, a na ścianie wisiał portret zadowolonej z życia, pulchnej pani Bertie.

— Tak więc — powiedział admirał, zmagając się z opakowaniem meldunków. — Miałeś długą podróż. A jak tam szczęście, dopisywało po drodze? Pamiętam, że kiedyś na Morzu Śródziemnym zwano cię Jack „Szczęściarz” Aubrey. Niech szlag trafi te pieczęcie!

— Morze było prawie puste, ni śladu żagli, sir. Mieliśmy jednak małe starcie przy Dry Salvages i odzyskaliśmy starą „Hyaenę”.

— Naprawdę? Ależ się cieszę... — Admirał wreszcie uwolnił rozkazy z opakowań. — Oczekiwałem tego — powiedział, przeglądając dyspozycje Admiralicji. — Musimy natychmiast przekazać je w ręce

gubernatora. Zaraz, z tego, co widzę, masz jakiegoś politykusa na pokładzie? Jakiegoś pana Farquhara? Musi pojechać z nami, wyślę po niego mój barkas. Niech się poczuje ważny, nigdy dość ostrożności z panami ze świata polityki. Znajdę ci jakieś lżejsze ubranie... od Cape Town dzieli nas dwadzieścia mil. Gubernator się nie obrazi, jeśli pojawisz się w nankinowych spodniach i przewiewnej kurtce. — Wydał odpowiednie rozkazy i zamówił butelkę wina. — Oto flaszką Diamantu, rocznik tysiąc osiemset jeden — oznajmił, siadając. — Rocznik zbyt przedni jak na was, młokosów, lecz skoro odzyskałeś starą „Hyaenę”... Służyłem na niej jako midszypmen. Tak... — Bładoniebieskie oczy admirała zaszły mgłą, kiedy powróciły do wspomnienia sprzed czterdziestu

pięciu lat. — To było na długo, nim wprowadzono karonady do służby. Mam nadzieję, że twoje szczęście cię nie opuści. — Admirał powrócił do terażniejszości. — Tu będziesz go naprawdę potrzebował. Nim jednak przyjdzie co do czego, będziemy musieli najpierw telepać się przez te cholerne góry. Przejażdżka w tym piekielnym kurzu nieźle da nam w kość. Kurz jest tu wszędzie i nigdy nie opada, nawet cała armia marynarzy szorujących pokład nie dałaby sobie z tym rady. Nie mam najmniejszej ochoty ruszać się z miejsca. Gdyby nie polityczna strona tego przedsięwzięcia, wysłałbym cię na morze z chwilą uzupełnienia przez załogę zapasów wody. Sytuacja jest bowiem znacznie gorsza aniżeli w chwili, kiedy te rozkazy zostały spisane, a ty opuściłeś Anglię. Francuzi przechwycili po tej stronie Cieśniny Dziesiątego Stopnia dwa kolejne statki Kompanii, „Europę” i „Streatham”. Oba szły do Anglii, a każdy wart był fortunę.

— Na Boga, sir, to już nie przelewki! — zawołał Jack.

— To prawda — powiedział admirał. — A jeśli szybko nie położymy kresu działaniom Francuzów, będzie jeszcze gorzej. Zadanie jest wykonalne i trzeba je wykonać. Och, oczywiście, że jest wykonalne, pod warunkiem że będziemy działać szybko i zdecydowanie... No, trochę szczęścia też się

przyda, choć szczęście nie lubi, kiedy się o nim mówi. — Odpukał w nie malowane drewno, zastanowił się przez moment, po czym na nowo podjął wywód. — Słuchaj, Aubrey, zanim tu dotrze ten twój pan Farquhar i zagłębimy się w rozważania polityczne, opiszę ci naszą pozycję najdokładniej,

jak umiem. Oprócz sił, które Francuzi zgromadzili tu rok temu, w bazach na Mauritiusie i Reunion stacjonują cztery nowe francuskie fregaty. Do ich dyspozycji pozostają porty Port Louis i Port South-East na Mauritiusie oraz Saint-Paul na Reunion. Pojedynczo lub parami fregaty mogą operować aż do wysokości Nikobarów, innymi słowy, mają w zasięgu cały Ocean Indyjski. Odnalezienie ich na oceanie graniczy z cudem, eskortowanie każdego konwoju Kompanii graniczy zaś z niemożliwością. Mamy zbyt mało okrętów, a blokowanie Francuzów przez wieczność też nie jest najlepszym

rozwiązaniem. Twoim zadaniem będzie więc metodyczne zatapianie okrętów francuskiej eskadry na ich własnych wodach albo zajęcie ich baz. Poczyniliśmy nawet ku temu pewne kroki — opanowaliśmy mianowicie wyspę Rodriguez i pozostawiliśmy tam garnizon, składający się z części 56 Pułku Piechoty, wzmocnionego hinduskimi sipajami. Na Rodriguez będziesz zatem uzupełniał zapasy wody, ponadto dotrą tam wkrótce posiłki z Indii. Na razie na wyspie stacjonuje tylko około czterystu żołnierzy, lecz mam nadzieję na zwiększenie ich liczby w przyszłym roku. To tylko kwestia transportu. Znasz tę wyspę?

— Znam, sir, choć nigdy nie rzucałem kotwicy w tych okolicach — odparł Jack. Przypomniał sobie Rodriguez, odległy, raczej jałowy, samotny splachetek ziemi pośród bezmiaru oceanu. Wysepka leżała w odległości trzystu pięćdziesięciu mil na wschód od Mauritiusa i widział ją z topu masztu ukochanej „Surprise”.

— Cóż, na razie przynajmniej masz gdzie uzupełnić wodę. Co do okrętów, oczywiście masz „Boadiceę”, „Siriusa” pod dowództwem Pyma, człowieka odpowiedzialnego i dokładnego jak zegarek, oraz „Nereide”. Ten ostatni okręt ma tylko dwunastofuntowe działa, no i powoli się starzeje, ale Corbett utrzymuje go we wzorowym porządku, choć zmaga się z brakami w załodze. Jest jeszcze „Otter” pod dowództwem lorda Clonferta, szybki, dobrze utrzymany i ze wszech miar użyteczny słupek osiemnastodziałowy. Powinien lada chwila zawinąć do portu. Pozwolę ci również wziąć pod komendę „Raisable”, lecz tylko poza sezonem huraganów, gdyż okręt nie nadaje się na zbyt silne wiatry. Cóż, nie jest to już ten sam okręt, jaki był za moich chłopięcych lat, przeszedł jednakże karenaż i jest całkiem szybki. Przynajmniej może zrównoważyć obecność znacznie odeń starszego „Canonniere” we francuskiej eskadrze. Poza tym dobrze się prezentuje. Za jakiś czas uzupełnię eskadrę o „Magicienne” z Sumatry wraz z kolejnym słupek „Victor”. Jednakże nawet bez nich, zakładając, iż „Raisable” weźmie na siebie „Canonniere”, trzy dobrze przygotowane fregaty i jeden silny słupek powinny poradzić sobie z czterema okrętami francuskimi!

— Oczywiście, sir—odpowiedział Jack. Słowa admirała brzmiały tak, jakby poruczyk komodorski Jacka był kwestią nie ulegającą wątpliwości.

— Nie ukrywam jednak, że zadanie będzie trudne. Okręty francuskie to nowe fregaty czterdziestodziałowe: „Venus”, „Manche”, „Bellone” oraz „Caroline”, która to zatrzymała te dwa ostatnie statki Kompanii. Co do reszty ich sił, jak już mówiłem, mają uzbrojonego w pięćdziesiąt armat „Canonniere”, nasz stary bryg „Grappler”, kilka awizo i innych, drobniejszych okrętów.

Chciałem cię jednak ostrzec, Aubrey, jeśli wciągniesz poruczyk komodorski, nie pozwolę ci mieć pod rozkazami pełnego kapitana*.

* W Królewskiej Marynarce Wojennej istniały dwa szczeble rangi kapitana: „Post captain”, określany jako kapitan mianowany, ranga uprawniająca do dowodzenia jednostkami uzbrojonymi w maksymalnie 32 działa, oraz „captain”, określany jako kapitan pełny, ranga uprawniająca do dowodzenia jednostkami uzbrojonymi w więcej niż 32 działa.

Jeśli przeniesiesz się na „Raisable” na jakiś czas, Eliot zastąpi cię na „Boadicea”, lecz nie pozwolę ci mieć pod sobą nikogo w stopniu pełnego kapitana.

Jack skłonił się w odpowiedzi. Nie łudził się nawet, iż to może nastąpić. Gdyby jako komodor miał pod swoim dowództwem pełnego kapitana, przysługiwałoby mu prawo do jednej trzeciej sumy przyzowego, jaka przypadła admirałowi.

— Czy mamy jakieś informacje o siłach lądowych Francuzów? — spytał.

— Tak, lecz nie są one zbyt dokładne. Na Mauritiusie generał Decaen ma pod sobą elitę dwóch liniowych regimentów piechoty, a liczebność milicji może sięgać nawet dziesięciu tysięcy.

Wiadomości o ich siłach na Reunion są znacznie bardziej skąpe, lecz wydaje się, że dowodzący tam generał Desbrusleys dysponuje mniej więcej podobnymi siłami. Cóż, to twardy orzech do zgryzienia, zapewniam cię, lecz zgryźć go trzeba, i to możliwie najszybciej. Musisz uderzyć szybko i zdecydowanie, wykorzystując fakt, że ich siły są rozproszone, a nasze skoncentrowane. Innymi słowy, masz się tam udać i wygrać. Rząd się wścieknie, kiedy do Europy dotrą wieści o losie „Europe” i „Streatham”, a w podobnych sytuacjach należy przedstawiać wyniki od razu. Zostawmy jednak interesy kraju na chwilę na boku, Aubrey, i porozmawiajmy o tobie —jeśli się spiszesz, masz szansę

na szlachectwo lub tytuł baroneta. Jeśli zawiedziesz, lądujesz na brzegu z połową pensji do końca życia.

Do kabiny wpadł jakiś midszypmen.

— Meldunek od kapitana, sir! — zameldował. — Czy zechce pan powitać owego dżentelmena, który przybył na barkasie?

— Oczywiście — odparł admirał i zamilkł na chwilę, wpatrując się w zamyśleniu w portret żony, po czym spytał: — Nie miałbyś ochoty na tytuł, Aubrey? Ja bym miał. Pani Bertie już od dawna marzy, by dać swej siostrze w kość.

Mniej reprezentacyjna część Simon's Town była niewiele większa od zwykłej wsi, lecz znajdujących się tam bud knajpianych, winiarni i innych miejsc rozrywki starczyłoby i dla średniej wielkości miasta. Do jednego z takich właśnie miejsc wkroczył Stephen Maturin, trzymając w dłoni bukiet orchidei. Powoli zmierzchało, a pokryty od stóp do głów afrykańskim kurzem doktor był zmęczony i spragniony. Rozpierało go jednak szczęście, gdyż miał okazję spędzić pierwsze pół dnia na lądzie na wspinaczce po górskim zboczu wśród prawie nie znanej mu roślinności. Napotykał też niezwykle pta-

ki, z których na podstawie opublikowanych opisów udało mu się rozpoznać jedynie część. Ponadto znalazł trzy czwarte ciała samicy hieny cętkowanej, którego czwartą część, wraz z zastygłym w smutnym wyrazie pyskiem, pożerał w pewnej odległości sęp brodaty, stary znajomy Stephena z Indii.

Z przyjemnością powitał widok dwóch odległych światów, świata przeszłości i świata teraźniejszości,

przenikających się wzajemnie.

Zamówił wino i wodę, zmieszał je w proporcji odpowiedniej do jego pragnienia, umieścił orchidee w

wazonie i pił do momentu, kiedy na jego skórze znów zaczął pojawiać się pot. Oprócz gospodarza i trzech pięknych malajskich dziewczyn przy barze w ciemnym pomieszczeniu siedziało tylko dwóch innych ludzi. Pierwszy z nich był potężnie zbudowanym, odzianym w nie znany Stephenowi mundur

oficerski, ponurym człowiekiem z bujnymi bokobrodami. Nieznajomy oficer na pierwszy rzut oka przypominał mu dręczonego melancholią niedźwiedzia. Jego towarzysz nie dorównywał mu ani wzrostem, ani budową ciała — był to niepozorny człowiek, ubrany jedynie w koszulę i bryczesy rozszeptane aż po kolana. Smutny oficer mówił po angielsku płynnie, choć z dziwnym akcentem, całkowicie przy tym ignorując rodzajniki, natomiast szorstka, zgrzytliwa wymowa jego niepozornego towarzysza wskazywała na pochodzenie z Ulsteru. Rozmawiali właśnie o Przemienieniu Pańskim, lecz nim Stephen wyłowił główny wątek ich rozmowy, obaj wrzasnęli:

— Precz z papieżem! Precz z papieżem! Precz z papieżem! Głos smutnego oficera zdecydowanie był najgłębszym basem, jaki Stephen kiedykolwiek słyszał.

— Precz z papieżem! — powtórzyły uprzejmie Malajki, i jak gdyby ów wrzask był dla nich sygnałem, przyniosły z zaplecza zapalone świece i jeły rozstawiać je po izbie. Światło padło na orchidee Stephena i zawinięte w chusteczkę czternaście żuków, które zebrał dla swego przyjaciela, sir

Josepha Blaina, byłego szefa wywiadu marynarki. Oglądał właśnie jednego z nich, kiedy światło zasłoniła lekko zataczająca się sylwetka zasmuconego niedźwiedzia.

— Gołownin, porucznik floty, kapitan słupa Jego Carskiej Mości „Diana” — przedstawił się, strzelając obcasami.

— Maturin, lekarz okrętowy fregaty Jego Królewskiej Mości „Boadicea”. — Stephen powstał i ukłonił się. — Proszę usiąść, kapitanie.

— Ma pan duszę — stwierdził Gołownin, patrząc na orchidee. — Ja też mam duszę. Gdzie pan je znalazł? Kwiaty?

— Na zboczu górskim.

Gołownin westchnął, wyjął małego ogórka z kieszeni munduru i zaczął go zajadać. Stephen zaproponował mu wino, lecz ten nie zareagował. Odezwał się dopiero po chwili.

— Jaka jest nazwa ich? Kwiatów?

— *Disa grandiflora* — odparł Stephen i znów zapadła cisza, przerwana dopiero przez Ulsterczyka, który znudzony koniecznością picia w samotności, porwał butelkę i bez ceregieli przysiadł się do stolika Stephena.

— Jestem McAdam, ze słupa „Otter” — rzucił, siadając. — Widziałem pana dziś w szpitalu. Kiedy twarz McAdama znalazła się w blasku świecy, Stephen natychmiast ją rozpoznał. Nie przypominał go sobie z dzisiejszego poranka, lecz z pewnością widział go wiele lat temu. Miał przed sobą szalonego doktora Williama McAdama, znanego i cenionego w Belfaście, zmuszonego opuścić Irlandię po upadku prowadzonego przez siebie przytułku dla obłąkanych. Stephen brał udział w jego wykładach i z dużym zaciekawieniem przeczytał jego książkę na temat hysterii.

— On już się kończy — oznajmił McAdam, patrząc na Gołownina, roniącego łyżę na trzymane w rękę orchidee. „Ty też, kolego”, pomyślał Stephen, oceniając przekrwione oczy i bladą cerę Ulsterczyka.

— Napije się pan? — McAdam podsunął mu swą butelkę.

— Dziękuję panu, wolę pozostać przy moim negusie*. Można wiedzieć, co pan pije?

* Negus — gorący napój na bazie czerwonego wina z dodatkiem przypraw, cytryny i cukru.

— Och, to miejscowa odmiana brandy. Ostra rzecz, zwykły bimber. Popijam ją nie z musu, lecz dla eksperymentu. On zaś — trzęsącym się palcem wskazał na Gołownina — pije z tęsknoty za krajem. Przypomina mu rosyjską wódkę, a ja go zachęcam.

— Również w ramach eksperymentu?

— Tak. Strobenius i inni uczeni uważają, iż człowiek, który upija się alkoholem pędzonym z ziaren, przewraca się w tył. Po uchlaniu się brandy pada się w przód. Jeśli to prawda, pomoże nam to dowiedzieć się czegoś na temat ośrodków motorycznych, jeśli wie pan, o co chodzi w tym sformułowaniu. Ten oto dżentelmen to mój obiekt doświadczeń. Jego wytrzymałość jest podziwu godna, bo opróżniamy już trzecią butelkę, a nie opuścił ani kolejki!

— Podziwiam pańskie oddanie dla nauki.

— W dupie mam naukę! — powiedział McAdam. — Ponad wszystko oddany jestem sztuce, więc medycyna jest dla mnie albo sztuką, albo zupełnie niczym. Mam oczywiście na myśli medycynę umysłu, gdyż czym jest pańska medycyna ciała? Czy jest to coś głębszego od zapisywania środków na przeczyszczenie, rtęci i kory leczniczej? Medycyna ciała opiera się na morderczych sztuczkach chirurgicznych, za pomocą których, przy odpowiedniej dozie szczęścia, może pan stłumić symptomy, lecz nie zwalczyć chorobę. A gdzie tak naprawdę znajduje się *fons et origo* dziewięciu dziesiątych ciała ludzkiego? To umysł, rzecz jasna! — zawołał, pukając się w czoło. — A co jest w stanie uleczyć

umysł? Tylko sztuka! Sztuka jest wszystkim! Sztuka jest moim królestwem!

W oczach Stephena McAdama w istocie wyglądał na nawiedzonego łachmaniarskiego proroka jakiejś dziedziny sztuki, który wewnętrzne cierpienia wypisane miał na twarzy. Ich rozmowa o interakcjach ciała i umysłu potoczyła się jednak gładko. Obaj wspominali przypadki cięż urojonych czy niewytłumaczalnych ustąpień chorób, porównywali swe doświadczenie w pracy na morzu, omówili wpływ zatwardzenia na poziom odwagi i efektywność działania placebo. W trakcie rozmowy opinia Stephena o McAdamie polepszyła się, pojawiło się między nimi sporo szacunku i w końcu nawet arogancki, mentorski ton głosu Ulsterczyka przeszedł w uprzejmy. Wspomniał Stephenowi o swoich pacjentach na pokładzie „Ottera”, z których według niego większość była sensu stricte chora umysłowo, i przeszedł do opowieści o jednym z nich, cierpiącym na fascynujący, lecz ledwie zauważalny zespół syndromów, które gdyby nie obowiązująca go tajemnica zawodowa, najchętniej opisałby i nazwał. Opowieść przerwał sam Gołownin, bez żadnego ostrzeżenia waląc się z krzesła z wciąż trzymanym w garści bukietem orchidei i nieruchomiejąc na podłodze w pozycji człowieka siedzącego. Padł na bok, co było całkowicie zaskakującym rezultatem w świetle eksperymentu McAdama. Słyszając łoskot opadającego ciała, gospodarz podszedł do drzwi i zagwizdał. Do wnętrza weszło dwóch potężnych marynarzy.

— Idziemy, Wasylu Michajłowiczu! — wymamrotał jeden z nich. — Idziemy, stary!

Z tymi słowami wytaszczyli swego kapitana za drzwi.

— Kwiatów jednak nie zniszczył — powiedział Stephen, gładząc ich płatki. — Są nietknięte. Czy zauważył pan ów osobliwy spiralny skręt zalążni, tak charakterystyczny dla całego rodzaju? Być może

jednak obszar pańskich zainteresowań nie rozciąga się na botanikę?

— Nie, botaniką się nie zajmuję — padła odpowiedź McAdama. — Poskręcane zalążnie i poskręcane

jajniki natomiast doskonale się mieszczą w zakresie moich badań, w przenośni oczywiście. Proszę zwrócić uwagę, iż przesadzam celowo, jestem niepoprawnym żartownisiem. Nie, podstawowym obiektem badań całego rodzaju ludzkiego powinien być sam człowiek. Pozwolę sobie jednakże zauważyć, doktorze Maturin, iż pańskie żywe zainteresowanie organami seksualnymi u warzyw wydaje mi się...

Stephen nie dowiedział się jednakże, jakie wnioski wyciągnął Ulsterczyk z jego zainteresowań, gdyż właśnie w tym momencie alkohol odniósł nad nim zwycięstwo. McAdam powstał, zamknął oczy i runął prosto w jego ramiona. Padł w przód, jak zauważył Stephen.

Gospodarz podjechał z taczka, których kilka trzymał pod gankiem, wspólnie załadowali na nią nieprzytomnego lekarza i z pomocą jednego z Murzynów Stephen jął pchać ciało w kierunku nadbrzeża. Wołał do mijanych po drodze rozbawionych grup marynarzy na przepustce, szukając ludzi z „Ottera”, nikomu jednak nie chciało się opuścić zbawczych ciemności i poświęcić ani chwili ze swej

przepustki. W stronę Stephena padały tylko dowcipne komentarze.

— „Otter” idzie na Rio Grande! — wrzasnął jeden z marynarzy.

— Odpadł od wiatru przy Nore! — dodał drugi.

— Zeszłej środy porąbano go na opał! — dobiegł go trzeci okrzyk.

Bezcelowe poszukiwania trwały do chwili, kiedy Stephen natknął się na grupę marynarzy z „Nereide”.

— Toż to doktor! — zawołał znajomy głos.

Niespodziewanie z ciemności wyłoniła się zwałista postać Bondena, sternika łodzi Jacka ze służby na poprzednich okrętach.

— To ja: Bonden, sir! Pamięta mnie pan?!

— Oczywiście, że cię pamiętam, Bonden! — odparł Stephen, ściskając jego dłoń. — Bardzo się cieszę, że cię widzę! Jak się miewasz?!

— Całkiem nieźle, sir, dzięki! Mam nadzieję, że i u pana wszystko w porządeczku! Odbijaj stąd, smoluchu! — rzucił w stronę Murzyna. — Ja wezmę taczkę!

— Pytanie brzmi — powiedział Stephen, podając Murzynowi kilka drobnych monet — jak nam się uda dostarczyć zawartość owej taczki na właściwy okręt, zakładając, że ów okręt stoi akurat w porcie,

co również nie jest kwestią pewną. To lekarz okrętowy z „Ottera”, uczony człowiek, choć dziwak, a w chwili obecnej pijany jak bela.

— Z „Ottera”, sir? „Otter” wszedł do portu jakieś dziesięć minut temu. Niech się pan nie martwi, wycygnię jedną z szalup „Nereide” i zaraz go zawieziemy!

Z tymi słowami zniknął w ciemnościach i w chwilę później przy nadbrzeżu pojawiła się jolka z fregaty. Kiedy Bonden wciągał do łodzi pijanego lekarza, mimo mroku Stephen dostrzegł, że jego ruchy są sztywne. Jeszcze wyraźniej to ujrzał, gdy ten zaczął wiosłować w kierunku odległego słupa.

— Barrecie Bonden, coś sztywno się poruszasz — powiedział. — Gdyby przede mną siedział inny człowiek, rzekłbym, iż na pewno otrzymał chłostę, jednakże w twoim przypadku raczej bym to wykluczył. Mam nadzieję, iż nie zostałeś ranny ani też nie dokucza ci reumatyzm?

Bonden zaśmiał się, lecz bez zbytniej wesołości w głosie.

— No, dostałem cztery tuziny na zejściu schodowym i jeszcze dwa baty na szczęście, ale wszystko w porządku, sir. Po prostu nie wypucowałem dość dobrze zamka działa numer siedem i mosiądz nie lśnił

tak jak powinien.

— Jestem zdumiony, Bonden, zdumiony! — oznajmił Stephen. W istocie tak było — z tego, co wiedział, Bonden nigdy nie otrzymał kary chłosty, a nawet na okrętach, gdzie bat często był w użyciu, pięćdziesiąt razy było karą surową, przeznaczoną dla winnych poważnych przewinień. — I bardzo mi przykro! Podpłynmy do „Boadicei”, natrę twoje rany balsamem.

— Dziękuję panu, ale już wszystko w porządeczku. Byłem już dziś po południu na „Boadicei”, ale nie po żaden balsam. List panu zostawiłem w kajucie.

— List? List o czym? Opowiadaj!

— Cóż, proszę pana... — Bonden wsparł się na wiosłach, lecz byli już blisko lewej burty „Ottera” i wachta słupa już ich okrzyknęła. — Waszego łapiducha tu mamy! — odkrzyknął Bonden. — Spuście linę!

Żałoga „Ottera” musiała być już przyzwyczajona do podobnych powrotów doktora, gdyż bulina z zawiązaną pętlą pojawiła się natychmiast. Bonden zamocował ją pod pachami McAdama i lekarz okrętowy zniknął w ciemności nad nimi.

— Cóż, proszę pana... — zaczął znów Bonden, wolno wiosłując w stronę „Boadicei” — wygląda to wszystko tak. Byliśmy z Killickiem w bazie na Wyspach Zawietrznych, kiedyśmy zasłyszeli, że kapitan Aubrey wrócił na morze. Chcieliśmy się pod niego zaciągnąć, na to samo zresztą wpadli inni ludzie z jego dawnych załóg, kilku z „Surprise”, kilku z „Sophie”, a nawet jeden z „Polychresta”, Bolton, ten chudzielec, który by poszedł na dno, gdyby nie kapitan. Ha, gdyby kapitan obejmował nowy okręt, nie miałby żadnych problemów ze ściąganiem załogi, nie tak jak niektórzy z tych... — Pokrył przekleństwo kasznięciem i ciągnął dalej: — Tak czy owak, złożyliśmy naszą prośbę i kapitan

Dundas, bardzo przyjemny człek i przyjaciel kapitana Aubreya, wie pan zresztą, pomógł przenieść nas

na fregatę „Nereide”, która miała iść na przylądek pod wodzą kapitana Corbetta. Kapitan Dundas powiedział, że przykro mu się z nami rozstawać, i nawet dał Killickowi dzbanek z galaretką z guawy

dla kapitana. A tu nagle okazuje się, że Corbett ma braki w załodze! Dlaczego? A no bo ludzie wieją od niego co sił w nogach. Był taki jeden Joe Lucas, z naszej mesy, co nawet wskoczył do morza przy St Kitts, a tam rekiny były! Złapali go, jak przepłynął trzy mile, zawlekli na pokład, wychłostali, a on znowu wskoczył do morza, z plecami jak surowy befsztyk! A dziś z całej załogi przepustki na ląd dostało tylko dwunastu ludzi, z których dwóch już zwiąło w góry. Myśli pan, że któryś pomyślał o dzikich bestiach, o nie odebranych udziale w przyzowym czy zaległej pensji z trzydziestu sześciu miesięcy? Nie chcieliśmy się kapitanowi narzucać, bo pewnie jest zajęty. Ludzie mówią, że ma niebawem wciągnąć poręczony komodor, pomyśleliśmy więc sobie, że może pan podszeptnie we właściwym momencie, że tu wszyscy jesteśmy.

— Oczywiście, że tak zrobię! Równie dobrze mogliście jednak zaadresować list do kapitana Aubreya

osobiście. Bardzo dobrze cię wspomina, Bonden, mówił, że ty jeden byłeś prawdziwym sternikiem, i narzeka na to, że cię nie ma.

— Naprawdę, sir? Naprawdę tak mówił? — zachichotał zadowolony Bonden. — Tak czy owak, byłibyśmy panu bardzo wdzięczni, gdyby pan z nim pogadał. Lepiej będzie, jak pan to zrobi. Nie możemy się już doczekać, kiedy się wyrwiemy z „Nereide”!

— Kiepskie nastroje w załodze?

— Otóż to. — Bonden znowu oparł się ciężko na wiosłach i patrząc z ukosa na Stephena, dodał: — Powiem panu, jak to wygląda — w nocy po pokładzie toczą się kule armatnie.

Stephen nie miał pojęcia o żeglowaniu, zarówno w teorii, jak i w praktyce, wiedział natomiast, że tocząc kule armatnie po pokładzie pod osłoną ciemności, załoga daje wyraz swemu niezadowoleniu.

Następnym etapem jest już otwarty bunt. Wiedział też, że na każdym innym okręcie chłosta na marynarzu tak rozsądnym i odpowiedzialnym jak Bonden byłaby czynem nie do pomyślenia.

— Niech pan wie, że nie narzekam bezpodstawnie — powiedział Bonden. — Nie podnoszę też wrzasku o sprawiedliwość. Jest na „Nereide” kilku prawdziwych łajdaków i kiedy dojdzie co do

czego, różgi padają i na tych co coś przeskrobali, i na tych niewinnych. Mogę przyjąć na siebie pięćdziesiąt razy tak jak każdy inny marynarz. Mogę panu opowiedzieć o moim pierwszym spotkaniu z ketem... dostałem w skórę, że aż furczało, a byłem wtedy małym chłopcem na „Thundererze”. Tak mnie zbrojmistrz „upomniął”. Nie, nie o to chodzi. Przede wszystkim ja, Killick i reszta chłopaków chcemy wrócić pod rozkazy naszego własnego kapitana, chcemy też opuścić „Nereide”, zanim sytuacja zacznie naprawdę śmierdzieć, a w tym tempie... Cóż, nie dam złamanego grosza za życie kapitana Corbetta i niektórych z jego oficerów, jeśli dojdzie co do czego, a może to nastąpić już pierwszej bezksiężycowej nocy. Nie chcemy się w to mieszać.

— Kiepska sprawa, Bonden, naprawdę kiepska — powiedział Stephen i nie odezwał się aż do chwili,

kiedy jolka przybiła do burty „Boadicei”.

— Dobrej nocy! Dziękuję za podrzucenie do domu — pożegnał się z byłym sternikiem łodzi Jacka.

Przed snem otworzył *Podróże* Leguata i przeczytał jego fascynujące opracowanie na temat ptaka dodo. Usłyszał, jak Jack wchodzi na pokład w trakcie wachty środkowej, lecz porozmawiać udało im się dopiero późnym porankiem. Stephen opuścił właśnie szpitalik okrętowy, gdzie uporał się z przypadkiem śpiączki alkoholowej połączonej z krwotokiem z uszu. Na widok przyjaciela uświadomił

sobie, że jego nocnej walce z przypadkami przepicia, po której szpitalik cuchnął jak bimbrownia, daleko było do zakończenia. Kapitan miał obrzmiałą twarz i żółtą cerę człowieka, który wypił dużo za

dużo, a przez dwadzieścia mil drogi powrotnej stan jego nie poprawił się ani odrobinę.

— Dwadzieścia mil, więcej niż dwadzieścia mil, na cholernej chabecie, która zrzuciła mnie trzy razy i

zniszczyła moje najlepsze nankinowe spodnie — podsumował to Jack.

Jego steward stłukł dzbanek do kawy, a francuski kucharz wraz z Bretonnierem dołączyli już do innych francuskich jeńców wojennych na lądzie, co oznaczało koniec słodkich bułeczek na śniadanie.

Znacznie bardziej jednak niż brak kawy zirytował go brak rozkazów. Admirał obiecał, że Jack

otrzyma je na spotkaniu, a tymczasem wrócił z pustymi rękami. Spotkanie rozpoczęło się od niekończącej się i zupełnie bezcelowej narady z gubernatorem, panem Farquharem i dwoma generałami, uderzająco głupimi, nawet jak na oficerów wojsk lądowych, a zakończyło trwającą równie długo kolacją w towarzystwie obu żołnierzy. Generałowie postawili sobie zaś za punkt honoru zalenie swego

gościa w trupa. Rozkazy wciąż nie nadchodziły, a w chwili, kiedy Jack wyruszał w drogę powrotną na

swjej cierpiącej na nosaciznę klaczy, admirał już dawno spał, a jego adiutant nie miał pojęcia o żadnych rozkazach ani ustnych, ani pisemnych. Powrócił zatem, jak to opowiedział Stephenowi w swjej kajucie, nie mając najmniejszego pojęcia, na czym stoi, i dalej nie wiedząc absolutnie nic o swoim proporczyku komodorskim. Czuł, że trwa w zawieszeniu — nie miał pewności, czy wyprawa w ogóle dojdzie do skutku, nie miał też gwarancji, że po miesiącach opóźnienia nadal będzie mowa o jego dowództwie. Sekretarz admirała, człowiek nie budzący zaufania, choć pastor, przez cały czas spoglądał na Jacka ukradkiem lub spode łba. W pierwotnych rozkazach od Admiralicji nie było też mowy o wyższym dowództwie, a choć admirał rozmawiał z nim, jak gdyby ta sprawa już dawno została ustalona, awans nadal zależał od jego decyzji. Mógł wszak zmienić zdanie po naradzie z gubernatorem i generałami. W końcu czyż w rozmowie z Jackiem nie powiedział: „Jeśli wciągniesz proporczyk komodorski”?

— Chodźmy na pokład — zaproponował Stephenowi. — Głowa mi pęka. I błagam cię, Stephen... nie kurz tego paskudnego cygara w kajucie kapitańskiej! Śmierdzi tu jak w tawernie, zupełnie jak u tych żołnierzy wczoraj w nocy!

Wyszli na pokład rufowy w samą porę, by ujrzeć, jak przez prawą, przeznaczoną dla oficerów burtę wchodzi jakiś dziwny młodzieniec, odziany w jaskrawy strój i niewielki kapelusik w podobnej tonacji.

Nieznajomy podszedł do pana Seymoura i zasalutował. Pierwszy oficer zawahał się, lecz Jack zareagował błyskawicznie.

— Wyrzucić mi tego pajaca z okrętu! — ryknął. — Co, do ciężkiej cholery, myśli sobie ten cudak, włączając na pokład okrętu Jego Królewskiej Mości w takim stroju, niczym ostatni dureń! — dodał ciszej, przytykając dłoń do łupiącego ciemienia.

Młody człowiek odpływał już w swej łodzi, w której za wiosłarzy robiła banda podobnie odzianych cudaków. Steward Jacka podszedł dyskretnie, mamrocząc coś o dzbanku z mesy oficerskiej.

— Jemu chyba chodzi o kawę dla ciebie. — Stephen zwrócił nań uwagę Jacka.

W istocie tak było. Dobry nastrój Jacka powrócił, kiedy stanęła przed nim filiżanka gorącej kawy wraz

ze śniadaniem złożonym ze świeżej śmietanki, bekonu, jajek, ostatnich kawałków prawdziwej smażonej francuskiej wieprzowiny i pomarańczowej marmolady Stephena.

— Wybacz mi, że cię zgańłem... No wiesz, za palenie — powiedział Jack, rozpierając się na krześle i

rozpinając kamizelę. — Pal, proszę, Stephen. Wiesz, że lubię zapach cygar!

— W porządku. — Stephen wydobył cygaro, przełamał je w trzech miejscach i rozkruszył jeden z kawałków. Zwilżył go kilkoma kroplami kawy, zawinął na nowo w bibułę, zapalił i zaciągnął się chciwie. — A teraz uważnie posłuchaj, bo mam dla ciebie wieści. Bonden, Killick i kilku innych z twoich poprzednich załóg są teraz na „Nereide” i wypatrują okazji, by do ciebie wrócić. Mówi się, iż

różnorodność ludzkich skłonności nie ma granic, rozumiem zatem, że ktoś mógł polubić twoją brutalną, pełną niesprawiedliwości i nadużyć tyranię.

— Och! — wykrzyknął Jack. — Ależ się cieszę! Hurra! Będzie jak za starych dobrych czasów!

Rzadko kiedy żałowałem czegoś bardziej niż rozstania z nimi wszystkimi! Ale czy Corbett pozwoli im odejść? Ma potworne braki w załodze i nikt poza samym admirałem ludzi mu nie podbierze. Tylko

że marynarz taki jak Bonden jest wart swej wagi w złocie!

— Corbett jednakże nie zdaje sobie z tego sprawy, Jack. Skazał go na pięćdziesiąt batów.

— Bondena? Bondena na karę chłosty?! — wrzasnął Jack, naraz purpurowy na twarzy. —

Wychłostał mojego sternika? Na Boga, ja mu...

Przerwał mu zdenerwowany midszypmen, przynosząc wieści, iż pan Seymour widział, jak łódź adiutanta admirała odbiła od brzegu, a w ślad za nią na wodę opadła szalupa dowódcy „Ottera”.

— Dziękuję panu, panie Lee — powiedział Jack i ruszył na pokład. Dawno już nie myślał o lordzie Clonfercie i jego żonie, lecz gdy ujrzał gig ze słupa, za którego wiosłami zasiadała ta sama banda cudaków, naraz myśli o nich obojgu wróciły doń z całą mocą. Łódź z „Ottera” i barkas adiutanta były w podobnej odległości od „Boadicei”, lecz ten ostatni zatrzymał się na wysokości rufy liniowca „Raisnable”, by wrzaskiem wymienić kilka, najwidoczniej dość zabawnych wieści ze swym przyjacielem na pokładzie okrętu. Gig dobił do burty „Boadicei” pierwszy.

Gwizdki bosmańskie oznajmiły wejście na pokład lorda Clonferta, uderzająco przystojnego mężczyzny o młodzieńczej urodzie, mającego na sobie kompletny mundur i gwiazdę na piersi kurtki mundurowej. Na jego twarzy wypisane było napięcie i oczekiwanie. Zarumienił się, ściskając dłoń Jacka.

— Cieszę się, że znów pana widzę, Clonfert — oznajmił dowódca „Boadicei”. — Bardzo żałuję, lecz

nie mam dla pana pomyślnych wieści. Proszę do mojej kajuty. Niezwykle przykro mi zakomunikować panu — ciągnął, gdy zamknęły się za nimi drzwi — iż ze względu na pechowe nieporozumienie co do czasu spotkania, zmuszony byłem opuścić Plymouth bez lady Clonfert na pokładzie.

— Och — westchnął Clonfert z wyrazem rozczarowania na twarzy. — Bałem się, że tak właśnie będzie. Już wcześniej wysłałem do pana jednego z moich oficerów, lecz nie miał on szans przekazać wiadomości, z którą został wysłany.

— Jednego z pana oficerów? — wykrzyknął Jack. — Nie miałem pojęcia... Oficer? W tym dziwnym ubraniu?

— Przykro mi, że nie spotkało się to z pańską aprobatą, sir — sztywno odrzekł Clonfert. —

Ubieranie

załogi gigu w me własne barwy rodowe jest u nas tradycją. W marynarce dość często można się z czymś takim zetknąć, jak przypuszczam, a służący na „Otterze” ludzie muszą być powolni wobec moich upodobań. Przyznaję jednakowoż, iż odbiega to od przyjętych zwyczajów.

— Cóż, w każdym razie może prowadzić do nieporozumień. Więc tę sprawę już wyjaśniliśmy i przekazałem panu owe nieszczęsne wieści. Jeszcze raz podkreślam, że bardzo mi przykro, lecz pewien

jestem, iż pańska żona zabierze się z następnym statkiem Kompanii. Jej podróż upłynie wśród znacznie większych wygód, a dotrze tu zapewne gdzieś za tydzień, gdyż nasz rejs do przylądka ciągnął się długo. Zje pan obiad na pokładzie mej fregaty? Mamy pieczeń wieprzową, a o ile dobrze pamiętam z naszej wspólnej służby na „Agamemnonie”, przepadał pan za tą potrawą.

Słyszac nazwę okrętu, Clonfert oblał się rumieńcem po raz wtóry i zerknął na Jacka podejrzliwie, po czym z wymuszoną grzecznością oznajmił, iż z największą przykrością zmuszony jest odmówić z powodu wcześniej umówionego terminu. Żegnając się, wyraził jedynie swą głęboką wdzięczność wobec kapitana Aubreya za jego wielką uprzejmość wobec lady Clonfert oraz próby zapewnienia jej przejazdu na Przylądek. Czuł się *penetre, penetre**...

* *Penetre* (franc.) — zaszczycony.

Jego starannie dobrane słowa sprawiły, iż Jack, którego pobudki do końca czyste nie były, poczuł ukłucie wyrzutów sumienia i gdyby oboje w porę nie opuścili kajuty, zachowanie Clonferta mogłoby skłonić go do wyznania prawdy. Odprowadził więc swego gościa aż do burty. Na pokładzie niósł się śmiech rozmawiającego z Seymourem adiutanta. Już na pierwszy rzut oka stwierdził, że ów wesoły, młody człowiek nie przynosi żadnych mglistych, niespójnych ustnych rozkazów, których tak się obawiał po wczorajszej nocy — od razu dostrzegł pod jego pachą przewiazaną tasiemką i wyglądającą na niezwykle poważną teczkę.

Zaprosił adiutanta do swej kajuty i teczka znalazła się w jego rękach. Zanim jednak zapoznał się z jej zawartością, zmuszony był wysłuchać jego słów.

— Admirał prosił, bym przekazał panu, iż po wczorajszym spotkaniu zdjęła go niemoc i w związku z tym nie mógł przekazać panu rozkazów tak, jak wcześniej zamierzał to uczynić. Podyktował je jednakże z łoża w dogodnym momencie. Ściśle mówiąc, to właśnie mi je podyktował, jako że jego sekretarza nie było akurat pod ręką.

— Zatem zna pan ich treść, jak przypuszczam.

— Tak, sir, i niech przypadnie mi w udziale zaszczyt pogratulowania panu z okazji awansu na komodora!

— Dziękuję panu, panie Forster — powiedział Jack, a radość promieniała z całej jego potężnej postaci. — Bardzo panu dziękuję. Ufam, iż niedyspozycja admirała jest chwilowa i nie przysparza mu

cierpienia. Proszę przekazać mu moje życzenia jak najszybszego powrotu do pełni sił.

Adiutant podzielił się z nim przypuszczeniami, iż być może admirał zjadł coś nieświeżego, a na dolegliwości tego typu on sam polecałby odrobinę rabarbaru. Jack wysłuchał go, zachowując kamienny wyraz twarzy. Starał się wyglądać poważnie, lecz w istocie pulsowała w nim ogromna radość. Adiutant wreszcie zakończył swe wspomnienia o ostatnich niestrawnościach admirała, a radość Jacka wzmogła się jeszcze bardziej po przecięciu tasiemki. Na własne oczy ujrzał bowiem, iż rozkazy kierowane są do komodora Jacka Aubreya. Rozwaga i spokój szybko wzięły górę nad przepełniającą go euforią i natychmiast przystąpił do uważnego analizowania rozkazów. Naraz powróciło chłodne myślenie i zapragnął poznać wszystkie szczegóły, zakres swych obowiązków i kompetencji, chciał wiedzieć, co ma do dyspozycji w chwili obecnej i kiedy może zacząć działać.

Rozkazy były jasne, klarowne i ponaglące do działania, najwidoczniej admirał przeforsował własne

zdanie. Obligowały komodora Aubreya do stawienia się na pokładzie okrętu liniowego „Raisnable” i

wywieszenia na nim proporczyka oraz do objęcia dowództwa nad wymienionymi okrętami celem ruszenia na morze w trybie natychmiastowym. Zadaniem dywizjonu pod dowództwem komodora Jacka Aubreya było odszukanie i zniszczenie francuskich fregat, operujących na południe od 10 stopnia szerokości południowej oraz na zachód od 70 stopnia długości zachodniej. Równorzędnym zadaniem była współpraca z głównodowodzącym sił lądowych, stacjonujących na wyspie Rodriguez, celem zajęcia francuskich posiadłości na wyspie Ile Bourbon, zwanej również Ile de la Reunion lub Ile Bonaparte, oraz na wyspie Mauritius, zwanej również Ile de France, oraz zniszczenia przebywających tam francuskich okrętów wojennych i cywilnych. Siły lądowe na Rodriguezie miały niebawem zostać wzmocnione. Jack zobowiązany był do trzymania się wytycznych zawartych w załączonych wykazach A i B, natomiast w sprawach politycznych, w których dochodziło do kontaktu z miejscową ludnością cywilną, zobligowany był skonsultować się z wielmożnym panem Williamem Farquharem, pełniącym funkcję gubernatora Jego Królewskiej Mości, lub w przypadku jego nieobecności, z doktorem Stephenem Maturinem.

Wykazy owe, wraz z różnego typu oszacowaniami, mapami, wskazówkami hydrograficznymi i ocenami sił francuskich, opartymi głównie na raportach amerykańskich statków handlowych, znalazły się w osobnych pakunkach. Wśród nich Jack odnalazł dokument, zaadresowany „Porucznik Johnson, okręt Jego Królewskiej Mości »Boadicea«”.

— A to co? — zapytał.

— Admirał potwierdził nominację pana Johnsona — powiedział adiutant. — Oto jego przydział.

Jack pokiwał głową i skrył pod maską powagi na nowo jaśniejącą w nim radość.

— Mam również panu przekazać, iż admirał przekazuje „Raisnable” całkowicie do pańskiej dyspozycji i pozostawia panu wolną rękę co do przeniesienia proporczyka komodorskiego na inny okręt — ciągnął adiutant. — Dobrze wie, w jakim stanie jest liniowiec. Prosi jedynie, by jego służący

umieszczeni na tej liście zostali odesłani do Cape Town, i wyraża nadzieję, że odpowiednio pan tego dopilnuje. Admirał bardzo żałuje, że brak czasu i niedyspozycja uniemożliwiły mu przekazanie panu osobistych uwag na temat kapitanów, którzy mają pod panem służyć, i ufa, że ów skreślony w pośpiechu list nie spotka się z pańską dezaprobatą. — Z tymi słowami podał mu złożoną i zalakowaną

kartkę papieru. — Myślę, że na tym moje zadanie się kończy, może poza jedną sprawą. Pan Shephard stwierdził, że jako komodor będzie pan potrzebował sekretarza, i w związku z tym proponuje kandydaturę swego kuzyna, pana Petera. Pan Peter przebywa w naszej bazie już od wielu miesięcy i dobrze zna warunki lokalne. Przyjechał tu ze mną, na wypadek gdyby zechciał pan się z nim zobaczyć.

— Będzie mi bardzo miło poznać pana Petera — odparł Jack, świadom wagi tych uprzejmości i dobrych układów w bazie. Uprzejmość nakazała mu również podjąć gościa winem, adiutantowi zaś dobre maniery nakazywały opróżnić kieliszek w dziesięć minut, by nie przeszkadzać nowo mianowanemu komodorowi w wypełnianiu niezliczonych, czekających nań zadań. Adiutant stanął więc na wysokości zadania, ale i tak nigdy jeszcze Jackowi dziesięć minut nie płynęło tak powoli.

Kiedy pan Forster opuścił wreszcie okręt, Jack posłał po pana Johnsona i oznajmił mu:

— Panie Johnson, chciałem panu pogratulować otrzymania awansu na oficera. Admirał potwierdził moją nominację i jestem pewien, że zasłużył pan sobie na nią. — Z tymi słowami wręczył mu cenny dokument, być może cenniejszy dlań niż poruczyk komodorski dla Jacka, choć z pewnością nie wymagający takiej odpowiedzialności.

— Proszę przysłać do mnie bosmana tak szybko, jak to możliwe — powiedział, by przeciąć potok podziękowań. — Panie Fellowes — rzekł po przybyciu bosmana — nie wydaje mi się, byśmy mieli poruczyk komodorski w naszej skrzyni z chorągiewkami i banderami, prawda? Proszę to sprawdzić,

a jeśli takowego nie mamy, proszę jak najszybciej go sporządzić.

— Tak jest, sir! Proporczyk komodorski. — Bosman próbował stłumić szeroki uśmiech. — Robi się! Jack był człowiekiem przesadnym i nigdy nie kazał sporządzić proporczyka, by nie kusić losu. Miał ogromną ochotę wydać takie polecenie podczas tego rejsu, by cieszyć się jego wyglądem w samotności, lecz zmusił się do wyczekania chwili, kiedy jego nominacja będzie pewna. Załoga „Boadicei” natomiast jeszcze na długo przed przekroczeniem równika szperała po okręcie i zszywała znalezione skrawki materiału. Wszyscy byli święcie przekonani, że proporczyk się przyda, tak więc powstał on na dobre cztery tysiące mil przed dotarciem do celu.

Bosman wybiegł z kabiny, a Jack złamał pieczęcie admirałskie i zabrał się do lektury listu. Wynikało z niego, iż kapitan Pym, dowódca fregaty „Sirius”, był człowiekiem odpowiedzialnym i sumiennym, jednakże brakowało mu inicjatywy. Kapitan Corbett, dowódca „Nereide”, był zaś oficerem doskonale sprawdzającym się w boju i dbającym o surową dyscyplinę wśród załogi, lecz wykazywał tendencję do pożałowania godnych wybuchów gniewu. Był ponadto w złych układach z kapitanem Clonfertem, dowódcą słupa „Otter” — admirał zalecał przydzielanie im misji, w których byłiby z daleka od siebie.

Clonfert zaś wyróżnił się ostatnio w kilku mniejszych, lecz błyskotliwych akcjach i, podobnie jak Corbett, doskonale zna wody okalające Reunion i Mauritius.

Jack miał wrażenie, iż z owych poufnych uwag wyczytał więcej o samym admirałce aniżeli o jego kapitanach, lecz nim zdołał sprecyzować swą myśl, do kajuty wtargnęła Fellowes, dzierżąc piękny proporczyk. Przywołana na siłę obojętność w spojrzeniu Jacka nie zmyliłaby nawet jego córek, nie mówiąc już o samym bosmanie.

— Dziękuję, panie Fellowes — powiedział. — Proszę położyć na szafce, a potem poprosić do mnie doktora, jeśli nie jest zajęty.

Stephen wszedł do kabiny, kiedy Jack wciągał bryczesy do swego najlepszego pełnego munduru.

— Myślałem, że może masz ochotę rzucić okiem na coś nowego—powitał doktora, nie bez dumy w

głosie.— *Ex Africa surgit semper aliquid novo*. Eee... Znaczy się *aliquid novi*.

— Do czego ta aluzja? — Stephen rozglądał się po kajucie.

— Nie widzisz niczego, co napełnia cię pełnym nabożeństwa lękiem? Żadnego znaku, iż ktoś na pokładzie został komodorem, jedną z najbardziej dostojnych form życia na matce ziemi?

— Chodzi o ten wyszywany ręcznik? Ach tak, rozumiem. Myślałem, że chodzi ci o coś zupełnie nowego... Widziałem go już dawno temu w kajucie bosmana, kiedy ten cierpiał na zapalenie jelit. Przyszło mi wtedy do głowy, iż pewnie jest to jakaś oznaka sprawowanej funkcji albo sztandar gildii bosmańskiej... — oznajmił Stephen. Odniosł jednak mgliste wrażenie, iż w jakiś sposób rozczarował przyjaciela, więc dorzucił: — Przyznaję, że to bardzo ładna chorągiewka i zgrabnie ją pozszywali. Mam nadzieję, że każesz ją powiesić, to piękna rzecz i będzie ładnie wyglądać na naszym okręcie.

Jeśli na pokładzie okrętu trudno było utrzymać coś w tajemnicy, to w samej eskadrze było to jeszcze bardziej niemożliwe. Przybycie adiutanta i jego przedłużony pobyt na pokładzie „Boadicei”, opuszczenie „Raisnable” przez cały oddział służących admirała i wreszcie podróż Aubreya na liniowiec nie uszły niczyjej uwagi. Kiedy wreszcie na topie masztu „Raisnable” wykwitł proporzyc

komodorski w kształcie ogona jaskółki, żaden z obecnych w porcie okrętów nie zwlekał ani sekundy z

oddaniem należnego komodorowi salutu z trzynastu dział. Salwy i ich echa wymieszały się, wypełniając zatokę hałasem i kłębami dymu, docierającymi aż do stojącego na rufie liniowca. Świeżo

upieczony komodor nie spoglądał na swój proporzyc, ale czuł ogromną moc rozlaczaną przez jego obecność. Z chwilą ucichnięcia huku dział odwrócił się do oficera sygnałowego.

— Panie Swiney, proszę nadawać: „Wszyscy kapitanowie proszeni na pokład”.

Przyjął ich w kajucie, zajmowanej dotychczas przez admirała — „Raisnable” nie był co prawda

„Hybernią” ani nawet „Victory”, lecz kajuta i tak była pomieszczeniem godnym i wielce honorowym.

Na ścianach widniały cętki odbitego światła, a szlachetności dodało jej jeszcze pojawienie się kapitanów w szykownych niebiesko-białych mundurach z lśniąącymi złotymi guzikami. Pierwszy przybył dowódca „Siriusa”, kapitan Pym, potężny człowiek wzrostu Jacka, lecz znacznie tęższy. Jego twarz jaśniała uczciwością, a gratulacje, które złożył na ręce Jacka, były szczere i niewymuszone. Jack

od razu polubił tego człowieka. Następny do kajuty wszedł Corbett, niewielki, ciemnowłosy człowiek

o zaciętej, gniewnej twarzy, której wyraz łagodziły stosownie do okazji radość i szacunek. Wsławił się

on w wielu akcjach w Indiach Zachodnich i pomimo kary, jaką wymierzył Bondenowi, Jack powitał go z szacunkiem. Wiązał z nim spore nadzieje. Gratulacje Corbetta były niemal równie serdeczne jak Pyma, choć wydało się, iż można wyczuć w nich pewien odcień niechęci. Na pewno jednak słowa Corbetta wywarły nań znacznie lepsze wrażenie aniżeli suche „Moje gratulacje, sir” Clonferta.

— A teraz, panowie — powiedział komodor Aubrey po przywitaniu się z całą trójką — przejdźmy do sedna. Według rozkazów eskadra ma wyruszyć na morze najszybciej, jak to możliwe. Poproszę zatem panów o krótkie sprawozdanie na temat stanu waszych okrętów i ich gotowości do opuszczenia portu. Chodzi mi o ogólny zarys, szczegółami zajmiemy się później. Lordzie Clonfert?

— Słup, którym mam zaszczyt dowodzić, jest zawsze gotów do wyruszenia na morze — odparł Clonfert. Dla ludzi obeznanych z morzem była to czcza gadanina. Nie ma okrętu, który zawsze byłby w gotowości do opuszczenia portu, chyba że nie potrzebowałby wody, prowiantu, prochu i kul armatnich, a „Otter” przecież dopiero co powrócił z rejsu. Aubrey, Pym i Corbett dobrze o tym wiedzieli i Clonfert uświadomił sobie gafę dopiero po tym, jak zakończył zdanie. Jack jednakże zareagował szybko — urwał przeciągającą się chwilę niezręcznej ciszy, zwracając się do Pyma i Corbetta. Od obu otrzymał bardziej racjonalne sprawozdania. Pym przyznał, że „Sirius” miał dno w fatalnym stanie i należało go wyciągnąć na brzeg i poddać karenażowi. Kolejnym problemem był stan

opartych na nowym pomysle zbiorników na wodę, które zainstalowano na fregacie w Plymouth, a które przeciekały w zastraszającym tempie.

— Ze wszystkich rzeczy na tym świecie najbardziej nie cierpię wynalazków — stwierdził Pym.

Próby naprawienia zbiorników sprawiły, że na „Siriusie” ładownię postawiono do góry nogami.

Nawet po zmuszeniu załogi do największego wysiłku okręt nie mógł być gotowy do wyjścia na morze

wcześniej niż po niedzieli. „Nereide” zaś, choć gotowa do żeglugi z chwilą uzupełnienia zapasów

wody, była w znacznie gorszym stanie. Był to okręt stary i według tego, co twierdził cieśla okrętowy

kapitana Corbetta, odcinek wręgów przy kilu można by połamać łopata, a okręt przeciekał na całej

długości. Znacznie poważniejszym problemem były duże braki w załodze u kapitana Corbetta. Do

pełnego stanu brakowało mu sześćdziesięciu trzech ludzi, co było liczbą wprost szokującą.

Jack zgadzał się całkowicie z powagą sytuacji.

— Miejmy jednakże nadzieję — stwierdził — że zawinięcie do portu jednego ze statków Kompanii

płynących do Anglii rozwiąże pańskie problemy. Znajdzie pan swoich sześćdziesięciu trzech

brakujących ludzi, a może nawet kilku ponad stan.

— Zapomina pan, komodorze, iż po nieporozumieniach z rządem odnośnie do sprawowania rządów

w kolonii statki Kompanii nie zatrzymują się już na Przylądku.

— Prawda — potwierdził Jack, obrzucając ukradkowym spojrzeniem Clonferta. By zatuszować gafę,

znów zabrał głos i obiecał odwiedzić po południu każdy z okrętów eskadry i zapoznać się ze szczegółowymi

opisami ich stanu. Następnie zaproponował kieliszek czerwonego wina, które przejął z francuskiego statku

podczas podróży na południe. Na stole pojawiła się ostatnia butelka Lafite wraz z zakąskami z kambuza

„Boadicei”.

— Doskonałe wino — ocenił Pym.

— W istocie — stwierdził Corbett. — Czyżby natknął się pan na jakiegoś Francuza?

— Tak właśnie było — odparł Jack i opowiedział im o historii z „Hebe”. W całej opowieści nie było wiele akcji, lecz sama rozmowa o huku dział, odzyskaniu „Hyaeny” i ocaleniu przyzu wprowadziła luźniejszą

atmosferę. Z każdym łykiem wina płynęły teraz wspomnienia, przypominano sobie akcje podobne do tej, padały nazwiska dawnych towarzyszy podróży, wszyscy czterej wybuchali nawet śmiechem. Jack nigdy nie służył ani z Pymem, ani z Corbettem, lecz okazało się, iż mieli wielu wspólnych znajomych. Kiedy wymieniono ich już z pół

tuzina, Jack skierował pytanie bezpośrednio do Corbetta, w nadziei, że ożywi to jego pamięć.

— Oczywiście zna pan kapitana Heneage'a Dundasa? Stacjonuje w Indiach Zachodnich.

— Tak, znam — padła krótka odpowiedź.

„Jakoś trudno mi w to uwierzyć” — pomyślał Jack i głośno dodał: — Lordzie, butelka stoi przy panu.

Clonfert nie brał udziału w rozmowie. Światło słoneczne odbijało się od gwiazdy na jego piersi, śląc wokół całą konstelację migotliwych refleksów, wszystko jednak zgasło, kiedy pochylił się w kierunku butelki. Napełnił

swój kieliszek, przekazał butelkę sąsiadowi i być może kierując się nadzieją na poprawienie stosunków z

Corbettem i zyskanie sojusznika na spotkaniu, na którym od początku stał na straconej pozycji, powiedział:

— Kapitanie Corbett, proponuję wspólny toast!

— Nie wznoszę wspólnych toastów, milordzie — padła odpowiedź.

— Kapitanie Corbett — wtrącił pośpiesznie Jack. — Zaskoczyła mnie wieść o rosyjskim brygu, który

cumuje tuż obok „Nereide”! A już w zupełne zaskoczenie wprowadził mnie admirał, mówiąc, iż dowódca

brygu służył pod pańskimi rozkazami.

— Tak było w istocie, sir. Kiedy byłem dowódcą „Seahorse”, ów rosyjski oficer służył pod moimi rozkazami jako wolontariusz. Chciał się nauczyć naszego rzemiosła morskiego, i przyznać trzeba, iż całkiem nieźle mu to szło. Jego załoga na razie jest znacznie poniżej normy w naszym pojmosowaniu, lecz dowódca z czasem ich jeszcze nauczy, jak się żegluje.

Rozmowa potoczyła się w kierunku nieszczęsnej „Diany”, brygu, który wypłynął w celach badawczych z Morza Bałtyckiego w czasie, kiedy między Anglią i Rosją panował jeszcze pokój. Niczego nie podejrzewający Rosjanie zawinęli do Simon's Town już w czasie wojny. Mężczyźni chwilę rozmawiali o dziwnej konstrukcji okrętu, jego jeszcze dziwniejszym statusie oraz intrygujących manierach jego załogi, aż dzwon okrętowy liniowca uderzył osiem razy.

Wszyscy powstali i zaczęli wychodzić. Jack zatrzymał na moment Corbetta i powiedział:

— Póki pamiętam, kapitanie, wśród pańskiej załogi znajduje się sternik mojej łodzi i kilku innych moich ludzi. Oto lista nazwisk. Byłbym zobowiązany, gdyby zechciał pan ich odesłać na mój okręt.

— Oczywiście, sir — odparł Corbett. — Oczywiście... Jednakże... Proszę bynajmniej nie myśleć, iż pozwalam sobie na niesubordynację czy brak szacunku wobec pana, jednak pozwolę sobie powtórzyć,

iż już mam poważne braki w załodze.

— Wiem — odparł Jack. — Nie mam jednak zamiaru obrabować pana. Wręcz przeciwnie: otrzyma pan wyrównanie z załogi „Boadicei”, oprócz tego przydzielę panu pewnie kilku innych. Włączyłem do

załogi paru dobrych ludzi z żeglarzy uwięzionych na „Hebe”.

— Będę panu nieskończenie wdzięczny — Corbett rozpromienił się natychmiast. — Odeślę pańskich ludzi zaraz po powrocie na okręt.

Na inspekcję okrętów ruszył zatem już z własnym sternikiem u boku.

— Znów jest jak za dawnych lat! — powiedział Jack, kiedy zbliżali się do „Siriusa”.

— Tak, ino że lepiej... — mruknął Bonden. A po chwili w odpowiedzi na zapytanie z fregaty ryknął głosem zdolnym zbudzić umarłych: — Komodor!

Paniki wśród załogi „Siriusa” wrzask Bondena na pewno by nie wywołał. Z chwilą powrotu kapitana

Pyma wszyscy zostali zapędzeni do pracy, by przygotować okręt na przyjęcie komodora. Marynarze w

pośpiechu zjedli obiad i przełknęli swe racje grogu, po czym dziarsko zabrali się do przekształcania

okrętu w coś absolutnie sztucznego — coś, czym na pewno na co dzień nie był. Życi z fregatą i dumni z niej, pracowali z ochotą i osiągnęli zadowalający efekt, nawet mimo tego, że nie mieli czasu na ponowne malowanie. Wspólny wysiłek dwustu osiemdziesięciu siedmiu mężczyzn i kilkunastu kobiet (niektóre przebywały na pokładzie całkiem legalnie, a inne już mniej oficjalnie) sprawił, że oczom komodora ukazał się „Sirius” całkowicie niemal różniący się od okrętu widzianego na co dzień.

Doprowadzenie okrętu do stanu czystości i elegancji jachtu królewskiego, co załoga chciała osiągnąć,

było jednak niemożliwe ze względu na zamieszanie w związku ze zbiornikami na wodę — na pokładzie wciąż spoczywało sporo nieokreślonych obiektów, dla niepoznaki przykrytych tentami i brezentem. Pomimo tego jednakże fregata prezentowała się bardzo dobrze i Jack był zadowolony z wyniku pierwszej inspekcji. Oczywiście nie wierzył w to, co ujrzał — przedstawiony mu wizerunek fregaty, od pobielonego wapnem węgla w kambuzie aż po poczernione kule w parkach amunicyjnych, był niczym innym, jak tylko rytualną maskaradą. Zaprowadzone błyskawicznie porządki mówiły jednakże wiele o okręcie i jego załodze. Jack przekonał się, iż „Sirius” był zadbanym, dobrym okrętem z kompetentnymi oficerami i pewną załogą, składającą się w większości z doświadczonych w boju

marynarzy. Fregata pozostawała na służbie przez ostatnie trzy lata. Na powitanie komodora kapitan

Pym zgromadził w swej kajucie wspaniałą kolekcję butelek i ciast. Zajadając słodkie, tuczące bułeczki

z Bath, Jack pomyślał, że ich kształt i smak w pewien sposób nawiązują do okrętu, na którym obecnie gościł. Były regularnie okrągłe, niezawodnie dobrze smakujące i odrobinę staroświeckie, choć zbyt niegroźne, by zamienić Ocean Indyjski w piekło.

Następnie przyszła kolej na „Nereide”. Na tym okręcie nie było potrzeby zapędzania załogi do pośpiesznego zaprowadzania porządku, by osiągnąć stan „Siriusa”. Ponure twarze milczącej załogi i niespokojne, pełne zmęczenia spojrzenia oficerów powiedziały Jackowi, iż na obecny stan okrętu wszyscy harowali od bardzo, bardzo dawna. Jack lubił dobrze utrzymane okręty, jednakże lśniący w

słońcu mosiądz i nieskazitelna czystość na pokładzie sprawiły, iż od razu poczuł niepokój. Inspekcję przeprowadził sumiennie, choćby z szacunku dla ludzi, tak ciężko pracujących dla wątpliwego efektu, ale pobyt na milczącym, przepojonym atmosferą surowości okręcie nie sprawił mu przyjemności.

Bardziej niż sytuacja na pokładzie martwił go jednak stan wręgów — wybrał się pod pokład z kapitanem fregaty, jego zestresowanym pierwszym oficerem i równie nerwowym cieślą okrętowym.

Tam na własne oczy przekonał się, że Corbett wcale nie przesadzał. Próbując gwoździem drewno, przekonał się, iż w istocie było ono w fatalnym stanie. Inspektor z Simon's Town niewiele się mylił, mówiąc, iż wręgi wytrzymają jeszcze z dwa, trzy sezony, a zepsucie drewna na górnym pokładzie, o ile Jack nie mylił się w swej ocenie, mogło postępować znacznie szybciej.

Na tych wodach Jack w swej młodości służył jako midszypmen. To właśnie tutaj za złe zachowanie, za nadmierne folgowanie swej chuci, został zdegradowany do rangi zwykłego marynarza i wbrew swej woli służył przez sześć miesięcy w wachcie fokmasztu. Standardy czystości na pokładzie daleko odbiegały od przestrzeganych na „Nereide”, lecz służył pod kapitanem o paskudnym charakterze i bezwzględny pierwszym oficerem i wiedział, ile wysiłku kosztowało doprowadzenie porządków na okręcie do wyniku dwa razy gorszego niż w chwili obecnej na „Nereide”. Sześć miesięcy spędzone wśród załogi było od początku do końca koszmarem, lecz posiadał w tym czasie umiejętność zaiste rzadką wśród oficerów. Nauczył się rozumieć życie na morzu z punktu widzenia zwykłego, szeregowego marynarza, znał ich język i pojął znaczenie wszystkich tajnych pozasłownych i nieświadomych znaków, jakie dawali. Sygnały, które tu odbierał zewsząd, ukradkowe spojrzenia i ledwie zauważalne kiwnięcia głowami oraz całkowity brak czegokolwiek podobnego do beztrioskiej radości, bardzo go przygnębiły.

Kapitan Corbett był przynajmniej ścisły w sprawozdaniach. Przedstawił Jackowi szczegółowy raport stanu fregaty, starannie rozpisany czarnym i czerwonym atramentem, jednocześnie częstując go maderą i słodkimi ciastkami.

— Widzę, iż nie ma pan braków, jeśli chodzi o proch i kule armatnie — zauważył Jack, analizując kolumny cyfr.

— Tak — odparł Corbett. — Nie widzę bowiem zbytniego sensu w strzelaniu do fal podczas ćwiczeń, a ponadto działo odskakujące po wystrzale rysuje deski pokładu.

— Trudno się z tym nie zgodzić. Pokład „Nereide” wygląda wspaniale, przyznaję. Nie wydaje się jednak panu, iż należy ludzi przygotować do obchodzenia się z armatami i walki na dystans?

— Cóż, doświadczenie mnie nauczyło, iż przygotowanie tego typu nie ma wielkiego znaczenia. Wolę manewrować, by podejść do burty przeciwnika, a wtedy artylerzyści nie mogą chybić. Panu jednak o walce z bliska nic mówić nie muszę, sir, nie po boju z „Cacafuego”, ha, ha, ha!

— Inne szkoły walki musi pan również wziąć pod uwagę — uprzejmie zauważył Jack. — Co pan na przykład powie o strąceniu kilku rei w okręcie nieprzyjaciela z odległości mili i potem kilku salwach burtowych w jego ćwiartkę dziobową?

— Z pewnością ma pan rację — powiedział Corbett bez najmniejszego przekonania w głosie.

O ile „Nereide” jako okręt wojenny tylko przypominał jacht królewski, o tyle „Otter” na pierwszy rzut oka niczym się od niego nie różnił. Przez całe swe życie Jack nie widział tylu złocień na pokładzie ani

cynobrowej przędzy przeplatającej sztagi i wanty, ani czerwonego sukna, okrywającego stropy bloków. Po bliższym przyjrzeniu się wszystko to wydało mu się wręcz zbyt kowne, podobnie zresztą jak ubiór oficerów na pokładzie rufowym. Nawet midszypmeni mieli trójgraniaste kapelusze, bryczesy

i hesyjskie buty ze złotymi frędzlami, tak że ich mundury należałoby raczej nazwać kostiumami. Jack zauważył również ze zdumieniem, iż oficerowie Clonferta nie sprawiali wrażenia ludzi błyskotliwych.

Na to, że ich twarze wyglądały pospolicie, oczywiście nie mogli nic zaradzić, lecz ich postawa, raz nonszalancka, raz sztywna jak u manekinów krawieckich, robiła złe wrażenie. Pełne ciekawości gapienie się na gościa i słuchanie rozkazów kapitana z otwartymi ustami również nie przemawiało na

ich korzyść. Z drugiej strony jednak nie trzeba było błyskotliwości, by dostrzec, iż atmosfera na pokładzie słupa była całkowitym przeciwieństwem tego, co działo się na „Nereide”. Załoga „Ottera” była wesołą, uśmiechającą się gromadą i najwyraźniej lubili swego kapitana, a porucznicy, artylerzysta, bosman i cieśla okrętowy wydawali się odpowiedzialnymi, do świadczonymi ludźmi oraz cennymi członkami załogi.

Jack był zdziwiony stanem pokładów i olinowania słupa, zadziwił go również widok pilastru na rufie, lecz kajuta kapitańska wprost go zaskoczyła. Pomieszczenie nie należało do małych, a wrażenia przestronności dodawały lustra w połączonych ramach, odbijające stopy poduszek na tureckiej sofie. Klimatu komnaty z Tysiąca i Jednej Nocy dodawały kajucie tureckie szable zawieszane nad bulajami naprzeciwko perskiego dywanu, kołysząca się na pokładniku połączana lampa z meczetu oraz fajka wodna. Stożące w kajucie dwie dwunastofuntówki wydawały się na tle jej wystroju niewyszukanym, brudnym i ordynarnym dodatkiem.

Nadeszła pora rytualnego już poczęstunku, wniesionego przez czarnoskórego chłopca w turbanie i Clonfert z Jackiem zostali sami w kajucie. Cisza w pomieszczeniu od razu stała się niezręczna, lecz przez długie lata swej morskiej służby Jack nauczył się cenić ciszę w sytuacjach, kiedy nie miało się nic do powiedzenia. Clonfert, choć starszy pomimo młodzieńczego wyglądu, umiejętności tej nie opanował i zaczął opowiadać Jackowi o zgromadzonych w kajucie przedmiotach.

— Te drobiazgi pochodzą z kampanii syryjskiej z sir Sydneyem... Lampa to prezent od Dgezzara Paszy, a szabla po prawej to dar od patriarchy maronitów. A ta sofa... Tak się przyzwyczaiłem do wschodniego stylu życia, iż nie mogę sobie wyobrazić mieszkania bez niej. Zechce pan zająć miejsce i samemu wypróbować? Albo nie, proszę zapomnieć o tym pomysle, komodorze, na pewno nie będzie pan chciał siadać na czymś wysokości ledwie kilku cali, co by pan z nogami począł... Albo uczynmy tak... Ja wyjdę na pokład i dopilnuję, czy łodzie z „Boadicei” nadal dowożą amunicję na fregatę

— użył swoim zdaniem najbardziej przekonywającego argumentu — a pan tymczasem będzie mógł skosztować odrobinę owej konstancji i zagryźć figą z Aleppo, z pewnością będzie panu smakować. A może odrobinę botargo?

— Jestem panu nieskończenie wdzięczny za propozycję, Clonfert — odparł Jack — i wierzę, że wino smakuje wybornie, ale na „Siriusie” poczęstowano mnie już doskonałym porto, a na „Nereide” uraczono równie dobrą maderą, tak więc moja wdzięczność nie miałaby granic, gdyby zechciał pan podać mi filiżankę kawy, jeśli nie stanowi to problemu.

Stanowiło to problem i to problem nie lada. Clonfert z rozpaczą przyznał, iż ani on, ani jego oficerowie nie pili kawy w ogóle. Był całkowicie załamany — przed chwilą musiał przeproszać komodora za brak szczegółowego sprawozdania o stanie okrętu, a teraz spotykało go kolejne upokorzenie, znacznie poważniejsze, bo zaistniałe na gruncie towarzyskim. Ten fakt pogrzyżył go bez reszty. Jack nie chciał jednak wywoływać w eskadrze większych zadrażeń ponad te, które do tej pory istniały, ponadto z czysto ludzkich pobudek nie chciał pozostawiać go samego w tym stanie upokorzenia. Podszedł więc do wielkiego kła narwala, opartego w kącie kajuty.

— Przepiękny okaz kła — pochwalił.

— W istocie to wspaniała rzecz. Chciałbym jednak zauważyć, sir, iż należałoby ów okaz raczej zwać rogiem. To bowiem róg jednorożca, dar od sir Sydneya. Sam wyłuskał stworzenie ze stada antylop i mimo że dosiadał ogiera samego Hassana Beja, ścigał je aż przez dwadzieścia pięć mil po bezdrożach

pustyni i w końcu własnoręcznie zastrzelił. Trudno opisać zaskoczenie Turków i Arabów!

Opowiadano mi potem, że tak fascynującego pościgu i takiego mistrza w siodle nigdy jeszcze nie widzieli, nie mówiąc już o doskonałym strzale w pełnym galopie! Byli zdruzgotani!

— Och, tego jestem pewien — powiedział z uśmiechem Jack, obracając „róg” w dłoniach. — Mogę zatem opowiadać, iż trzymałem w dłoniach prawdziwy róg jednorożca.

— Ma pan na to moje słowo, sir. Sam go wyciąłem z głowy zwierzęcia!

„Ależ się splamił...” — myślał Jack, siedząc już w swej szalupie w drodze na „Raisonable”. Sam również miał kiedyś w swej kajucie ząb narwala, wioząc go z mórz północnych dla Stephen’a, i doskonale znał dotyk jego mocnej struktury, całkowicie różnej od struktury rogu. Clonfert jednakże prawdopodobnie wierzył w prawdziwość pierwszej części historii opowiedzianej Aubreyowi. Z całą pewnością autorem tej głupawej historyjki mógł być admirał Smith, człowiek próżny i chełpliwy, niemniej słynął on również z męstwa i przedsiębiorczości. Zwyciężył wszak Napoleona pod Akra, a nie było to jego jedyne zwycięstwo — niewielu ludzi ma lepsze powody, by się chełpić. Być może Clonfert był zrobiony z tej samej gliny co admirał Smith? Jack nie marzyłby o niczym innym — z chęcią podziwiałby nawet kolekcję tysięcy rogów jednorożca u Clonferta, gdyby tylko ten w swym męstwie dorównywał Smithowi.

Skromny dobytek Jacka przewieziono już z „Boadicei”, a Killick zajął się nim tak, jak sam by sobie tego życzył. Rozparł się zatem wygodnie w starym winsdorskim fotelu z poręczami, wzdychając z ulgą i ciskając swą ciężką kurtkę mundurową na szafkę. Killick nie znosił widoku porozrzucanych rzeczy i Jack wiedział, iż zaraz ją weźmie i złoży.

Killick zalał wrzącą wodą świeżo zmieloną kawę dokładnie w chwili, kiedy szalupa z „Ottera” stuknęła o burtę liniowca. Teraz jednak wydawał się innym człowiekiem. Jack pamiętał go jako marudę, człowieka złośliwego i swarliwego, a na domiar złego prawdziwego mistrza we wszystkich formach wyrażania bezczelności, lecz teraz jego dawny steward był prawie grzeczny. Wniósł kawę do

kajuty i z uczuciem bliskim aprobaty obserwował, jak Jack pije wciąż gorący napój. Wieszając kurtkę,

nie wygłosił żadnego ze swoich starych, retorycznych komentarzy w stylu: „Ciekawe, skąd pan weźmie pieniądze na nowe epolety, kiedy z tych zlezie całe złocenie od tego rzucania po kątach?”, ale podjął na nowo rozmowę, którą toczył z Jackiem, nim ten opuścił okręt na inspekcję.

— Mówił pan, sir, że ząbki im się jeszcze nie wyrznęły?

— Ani śladu, Killick, przynajmniej przed moim wyjazdem.

— Cóż, to dobrze, że mam to — wydobył zawinięte w chusteczkę dwa kawałki koralu. — Mówią, że to pomaga.

— Dziękuję, Killick, bardzo ci dziękuję. Niech mnie, co za okazy! Odeślę je pierwszym statkiem do domu!

— Ach, sir — westchnął Killick, patrząc przez okno rufowe. — A pamięta pan ten przeklęty stary kocioł? A jak wyciągaliśmy przewód kominowy i umorusaliśmy się niczym kominiarze?

— Kiedy ujrzysz mój domek ponownie, ten przeklęty stary kocioł będzie historią! — odparł Jack. — Przesyłka na „Hebe” powinna załatwić sprawę. I w saloniku wreszcie będzie sucho, jeśli Goadby dobrze się sprawi.

— A kapusta... — ciągnął zdjęty nagłą tęsknotą Killick.

— Kiedy ostatni raz widziałem ogród, miała ledwie po cztery listki...

— Jack, Jack! — zawołał wbiegający do kabiny Stephen.

— Cóż za błąd popełniłem! Przecież ciebie awansowano! Jesteś teraz wielkim człowiekiem, właściwie jesteś teraz admirałem! Niechże ci pogratuluję, drogi przyjacielu, niechże ci z całego serca

pogratuluję! Ten młody, odziany na czarno człowiek powiedział mi, że zaraz po admirale jesteś teraz najwyższy stopniem w całej bazie!

— Cóż, jestem komodorem, jak to już większość ludzi zauważyła — powiedział Jack. —

Wspominałem ci już o tym, pamiętasz? Mówiłem ci przecież o proporczyku!

— To prawda, mój drogi, lecz ja najwidoczniej nie zdałem sobie sprawy z prawdziwej wagi twych słów. Miałem mgliste wrażenie, iż pojęcie „komodor” i ta chorągiewka są raczej związane z okrętem aniżeli z samym człowiekiem. Jestem prawie pewien, iż używałem nazwy „komodor” w odniesieniu do najważniejszego statku floty Kompanii Wschodnioindyjskiej, dowodzonego przez prześwieczonego kapitana Muffita. Zechciej zatem wytłumaczyć mi znaczenie twej nowej, niezwyklej rangi!

— Uczynię to, Stephen, ale musisz uważnie mnie słuchać.

— Tak jest, sir.

— Już wcześniej opowiedziałem ci wiele rzeczy o marynarce i nie słuchałeś. Wczoraj słyszałem, jak opowiadasz panu Farquharowi stek bzdur na temat różnic między półpokładem i pokładem rufowym, i do dziś nie wiem, czy jesteś w stanie rozróżnić...

Wywód przerwało pojawienie się odzianego w czarny płaszcz pana Petera z naręczem papierów, posłańca od stacjonującego w Cape Town generała oraz pana Seymoura, z którym miał opracować listę ludzi do odesłania na „Nereide” pod kątem ich występków lub też potrzeb okrętu pana Corbetta.

Na domiar wszystkiego pojawił się jeszcze sekretarz admirała z zapytaniem, czy kuzyn pana Shepharda będzie się nadawał na nowe stanowisko. Przyniósł też wiadomość, że admirał Bertie ma się

już lepiej, przesyła pozdrowienia i choć nie śmiałyby poganiać komodora, nie posiadałby się z radości,

gdyby dywizjon był już gotów do wyjścia na morze.

— Cóż, Stephen — kontynuował Jack po załatwieniu wszystkich spraw. — W kwestii tego całego zamieszania z komodorem. Przede wszystkim, nie zostałem awansowany. Komodor to nie ranga, lecz funkcja i na liście kapitanów oczekujących na awans pozycja Jacka Aubreya nie drgnęła ani na cal. Funkcję sprawować będę jeszcze przez jakiś czas, lecz kiedy nasza operacja dobiegnie końca, na powrót stanę się kapitanem. Na razie jednak można mnie nazwać dowódcą dywizjonu, tymczasowo wyniesionym do rangi kontradmirała, lecz pozbawionym jego przywilejów finansowych.

— To miód na twoje rany, Jack — stwierdził Stephen. — Często słyszałem, jak psioczysz, będąc pod czyimiś rozkazami.

— Święta prawda. Samo słowo „komodor” brzmi dla mnie jak fanfary! Niemniej, Stephen, jest coś jeszcze... Wiem, iż nikomu innemu poza tobą nie mogę tego powiedzieć... Dopiero kiedy bierze się na siebie takie zadanie, zadanie, w którym trzeba polegać na innych, dopiero wtedy w pełni człowiek

zaczyna rozumieć blaski i cienie dowodzenia.

— Przez wyrażenie „na innych” rozumiesz podległych ci dowódców? Słusznie, to niezwykle istotny czynnik i trzeba do nich podejść z pełnym zrozumieniem. Proszę, opowiedz mi o nich szczerze i otwarcie, bez dystansu.

Stephen i Jack żeglowali razem od wielu lat, lecz o podległych Jackowi oficerach nigdy dotąd nie rozmawiali. Stephen, mimo iż był przyjacielem kapitana i jako lekarz okrętowy jadł z nim w jednej mesie, to tematu oficerów nigdy w rozmowie nie podejmował. Teraz jednakże sprawy przybrały inny obrót — Stephen stał się politycznym doradcą Jacka, a ponadto w tym przypadku nie krępowała go znajomość z żadnym z nich.

— Zacznij może od admirała... Jack, skoro mamy współpracować otwarcie, musimy również otwarcie rozmawiać. Wiem, że jesteś człowiekiem honorowym i mogą cię krępować podobne rozmowy, lecz uwierz mi, bracie, nie ma czasu na skrępowanie i dąsy. Powiedz mi zatem, czy oczeku-

jesz pełnej współpracy ze strony admirała Bertiego?

— To wesoły starszy jegomość — odpowiedział Jack. — Był wobec mnie tak uprzejmy, jak tylko mógłbym sobie tego życzyć. Od razu potwierdził moją nominację dla Johnsona, bardzo miły gest. Tak długo, jak wszystko będzie się toczyć dobrym torem, spodziewam się od niego pomocy w każdej sytuacji. To w końcu jego interes. Niemniej co do jego reputacji w marynarce... Na Jamajce zwano go

Lisek Chytrusek. Jest dobrym oficerem, ale zdolnością przewidywania wydarzeń raczej się nie wyróżnia... — Zamyślił się na chwilę. — Jeśli jednak popełnię jakiś błąd, nie zaskoczy mnie odebranie dowództwa. Podobnie pewnie będzie, jak stanę między nim a jakimiś zaszczytami... na razie jednak nie mogę sobie wyobrazić sytuacji, w której by do czegoś takiego doszło.

— Nie masz zatem zaufania do jego intuicji czy mądrości?

— Zbyt dosadnie to ująłeś. Oczywiście różnimy się w kwestii utrzymania porządku na okręcie, ale...

Dobrze, opowiem ci o jednej rzeczy, która według mnie rzuca cień na jego zdolność podejmowania decyzji. Chodzi o ten rosyjski bryg, który dla każdego jest kulą u nogi. Admirał chce się go pozbyć, ale obawia się konsekwencji wypuszczenia rosyjskiego okrętu wojennego. Boi się również uwięzić jego załogę — musiałby ich przecież karmić, co, gdyby gubernator nie uznał jego decyzji, w całości stałoby się jego obowiązkiem. Co zatem uczynił? Zmusił rosyjskiego kapitana do dania słowa honoru,

iż nie będzie podejmował prób ucieczki, i pozostawił okręt w spokoju, gotów do wyjścia na morze. W

tym czasie stara się zagłodzić załogę Gołownina, nie wydzielając im racji żywnościowych. Gołownin

nie ma pieniędzy, a kupcy nie uznają czeków wystawionych w Petersburgu. Chodzi mu o to, by Rosjanie uciekli którejs nocy, kiedy zerwie się wiatr północno-zachodni. „Jego słowo nic nie znaczy dla cudzoziemca”, powiedział admirał ze śmiechem. Nie mógł się doczekać pozbycia Rosjanina i zastanawiał się, dlaczego ten nie uciekł już sześć miesięcy temu. Admirał nie zawahał się ani chwili, by opowiedzieć mi tę historię — uznał swój podstęp za doskonały sposób wyjścia obronną ręką z sytuacji. Przygnębiło mnie to.

— Już kiedyś zauważyłem, iż niektórzy ludzie tracą honor z wiekiem — powiedział Stephen. — I bez skrępowania przyznają się do najdziwniejszych rzeczy. Co jeszcze leży ci na duszy? Zapewne Corbett? Mam wrażenie, iż drzemiąca w nim bestia dawno pożarła resztki jego człowieczeństwa.

— Tak, to istny poganiacz niewolników. Nie krytykuję jednakże jego odwagi, zważ, że swe męstwo udowodnił już nie raz. Z mojej oceny wynika jednak, iż jego okręt jest w istocie w kiepskim stanie. „Nereide” jest po prostu zbyt stara i ma działa ledwie dwunastofuntowe. Jednakże przy obecnym stosunku sił nie dałbym sobie rady bez niej.

— A co powiesz o kapitanie „Siriusa”?

— O Pymie? — Oblicze Jacka pojaśniało. — Och, niczego nie pragnąłbym bardziej od jeszcze trzech takich Pymów na trzech „Siriusach”! Pym nie jest pewnie geniuszem, ale ten typ człowieka właśnie

bardzo lubię. Powiadam ci, trzech Pymów i moi kapitanowie wydaliby ci się zgrani jak rodzina. Nie namęczyłbym się szczególnie, układając sobie stosunki z trzema takimi Pymami albo choćby Eliotami. Tym większa szkoda, iż Eliot długo z nami nie zostanie. Niestety, będę musiał dogadzać i kadzić Corbettowi i pewnie też Clonfertowi, gdyż bez dobrej współpracy w dywizjonie nie ma sensu portu opuszczać. Nie mam zielonego pojęcia, jak sobie poradzę z Clonfertem. Nie wolno mi nadepnąć

mu teraz na odcisk — ta przeklęta historia z jego żoną stawia mnie jednak na straconej pozycji.

Dotknęło go to do żywego, odrzucił nawet moje zaproszenie, co jest rzeczą niesłychaną w marynarce.

Przy takich zaproszeniach jakiegokolwiek wcześniejsze plany są nieistotne! To dziwna sytuacja, Stephen. Rozmawialiśmy już o nim jakiś czas temu i wolałem tego nie mówić, ale mam pewne wątpliwości co do jego postawy. To straszne mówić tak o innym człowieku, ale nie budzi mego zaufania i nie jest to tylko moje zdanie. Być może jednak się mylę, gdyż Clonfert, choć wciąż wyglądem przypomina papugę, a jego okręt pożądaną klatkę, pod rozkazami admirała Smitha na Morzu Śródziemnym nie raz okazał bezprzykładne męstwo...

— Z tej kampanii zapewne pochodzi jego gwiazda? Nigdy nie widziałem takiego orderu.

— W istocie, Turcy wręczyli nam ich sporo, ale generalnie uważano je za śmieszne i niewielu oficerów poprosiło o zgodę na ich noszenie. Uczynili to chyba tylko Clonfert i admirał Smith. Na tych wodach Clonfert również przeprowadził kilka przynoszących mu chlubę rajdów i operacji wymiatających. Ma tutejszego pilota, a zanurzenie „Ottera” jest niewielkie, jeszcze mniejsze niż „Nereide”, więc słup może śmiało wpływać między rafy. Według słów admirała Bertiego, Clonfert mógłby nawet iść w zawody z Cochranem w nekaniu szlaków komunikacyjnych i handlowych wroga.

— Tak, słyszałem o jego wyczynach i o właściwościach okrętu. Wiem, że może podejść bardzo blisko brzegu. Bez wątpienia będę musiał przenosić się na „Ottera”, kiedy sytuacja będzie wymagała mojego zejścia na ląd. Niemniej zacząłeś coś mówić o stosunku sił. Jak to wygląda w chwili obecnej?

— W kwestii okrętów i dział, czyli jedynie w przypadku walki morskiej, przewaga jest raczej po stronie Francuzów. Dalej, jeśli weźmiesz pod uwagę fakt, że my będziemy dwa tysiące mil morskich od baz, a oni będą walczyć blisko swoich, przewaga sytuuje się w okolicach trzy do pięciu na korzyść

Francuzów. W kanale La Manche czy na Morzu Śródziemnym mielibyśmy prawie równe szanse, gdyż na tamtych akwenach jesteśmy przez cały czas, a oni nie. Tu jednakże ich ciężkie fregaty kursują już od prawie roku, co przy kompetentnych oficerach oznacza mnóstwo czasu na doszkolenie załogi, a Francuzi generalnie mają zdolną kadrę. Te szacowania są jednakże bardzo nieściste, a w naszym równaniu jest zbyt wiele niewiadomych. Po pierwsze, nic nie wiem o ich kapitanach, a od tego zależy wszystko. Kiedy już ujrzę któryś z ich okrętów, będę w stanie dokładniej określić stosunek sił.

— Po pierwszym starciu, rozumiem?

— Nie, po tym, jak uda nam się dostrzec którąś z nowych fregat, wystarczy plamka na horyzoncie.

— Naprawdę jesteś w stanie ocenić kompetencje kapitana, obserwując okręt z takiej odległości?

— Oczywiście, że tak — w głosie Jacka zabrzmiała lekka nuta niecierpliwości. — Ty to jesteś udany,

Stephen. Każdy żeglarz może powiedzieć wiele o drugim żeglarzu, widząc, w jaki sposób ten stawia klawiry, żagle boczne czy wykonuje zwrot przez dziób, tak samo jak ty potrafisz ocenić innego doktora po sposobie, w jaki ten amputuje nogę.

— Zawsze to amputowanie nogi. Mam wrażenie, iż dla was wszystkich szlachetna sztuka ratowania zdrowia ogranicza się tylko amputacji. Poznałem wczoraj pewnego ciekawego człowieka, który dziś, całkiem już trzeźwy, zaszczyił mnie wizytą. To lekarz okrętowy „Ottera”, on by już zmienił twój sposób myślenia o tych sprawach. W każdym razie będę prawdopodobnie podtrzymywał ową znajomość dla naszych wspólnych celów, ale również z tego względu z „Ottera” będę przypuszczalnie

schodził na ląd. Nie żałuję jednak, iż go poznałem. To przyzwoity człowiek, może bardziej w przeszłości niż teraz, ale... Wracając jednakże do rozkładu sił — określiłbyś je zatem jako

pozostające

w stosunku trzy do pięciu na korzyść Francuzów?

— Coś w tym stylu. Jeśli zsumujesz wagomiar dział, załogi i tonaż obu stron, stosunek będzie dla nas jeszcze mniej korzystny, nie mogę jednak mówić o szansach, póki nie ujrzę Francuzów. Na razie jednak nie mam pojęcia, co zrobić, by udało się ruszyć na morze z sobotnim przypływem. Posłałem co

prawda setkę ludzi z „Boadicei” do pomocy załodze „Siriusa”, wiem też, że Pym robi co w jego mocy, by przygotować okręt do wyjścia na morze, ale na „Raisnable” trzeba załadować zapasy na sześć

miesiący i bardzo chciałbym poddać okręt karenażowi. To ostatnia szansa na oczyszczenie dna na nie wiadomo jak długo. Wycisnę z załogi siódme poty i popędzę obsługę arsenału aż mnie przeklną, ale to

wszystko, co mogę zrobić. Tu już nawet święty Boże nie pomoże. Co byś zatem powiedział Stephen na chwilkę muzyki? Może popracujemy nad różnymi wariacjami *Begone Duli Care*?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Płynący na północny wschód z silnym wiatrem z trawersu dywizjon przedstawiał imponujący widok. Idealnie równy szyk torowy rozciągał się na długość pół mili na idealnym wprost morzu — Ocean Indyjski przybrał swe najlepsze oblicze, a subtelny szafir jego fal sprawiał, iż sfatygowane żagle okrętów wojennych olśniewały bielą. Szyk otwierała fregata „Sirius”, za nim płynęła „Nereide”, następnie „Raisnable”, „Boadicea” i „Otter”, daleko na zawietrznej zaś sunął szybki, uzbrojony szkuner Kompanii Wschodnioindyjskiej „Wasp”. Nad jego trójkątnymi żaglami unosił się kłęb chmur, które nadciągały znad wzgórz wyspy La Reunion.

Po osiemnastu dniach spokojnej żeglugi Przylądek i szalejące wokół niego sztormy pozostały jakieś dwa tysiące mil morskich za rufą ostatniego okrętu dywizjonu. Załogi już dawno wypoczęły po szaleńczym wysiłku przygotowania okrętów do wyjścia na morze trzy przypływy wcześniej, niż się to wydawało fizycznie możliwe. Po opuszczeniu portu oczekiwały ich jednak nowe zadania — pierwszym z nich było opanowanie sztuki idealnego utrzymywania szyku i zachowania odległości

jednego kabla od poprzedzającego okrętu, co wymagało wiele uwagi i bezustannej czujności. Na „Siriusie”, który miał nie oczyszczone dno, wciąż trwało zwijanie i stawianie bramsli, na „Nereide” zaś nadal zmagano się z tendencją fregaty do zbaczania na zawietrzną. Jack stojący na rufie „Raisable” zauważył, że jego ukochana, lecz cokolwiek ociężała „Boadicea” również miała problemy. Dowodzący nią Eliot manipulował akurat przy bombramslach. Jedyne okręty flagowe, szybki pomimo zaawansowanego wieku, i „Otter” bez trudności utrzymywały miejsce w szyku. Drugim zaś zadaniem, spędzającym sen z powiek załogom wszystkich okrętów z wyjątkiem „Boadicei”, były uwielbiane przez komodora ćwiczenia artyleryjskie.

Jack zainicjował ćwiczenia zaraz po zniknięciu przylądka Agulhas z horyzontu i załogi szybko się z tym pogodziły, choć zupełnie brakło im do tego przekonania. Kiedy zatem podczas wachty popołudniowej dostrzeżono wymianę sygnałów między „Raisable” a „Waspem”, a następnie pojawił sygnał nakazujący eskadrze wykonanie zwrotu przez rufę, nikt nie miał wątpliwości co do zamiarów Aubreya. Przenikliwe gwizdki bosmańskie przeszły powietrze ze wszystkich sunących wolno okrętów, a chwilę później marynarze już zastygli w gotowości na stanowiskach —
rywalizacja

między załogami poszczególnych jednostek była bowiem bardzo zacięta i żadna z załóg nie chciała się publicznie ośmieszyć. Z chwilą kiedy „Raisable” zaczął wysuwać się z szyku, pozostałe okręty również rozpoczęły manewr. Każdy z nich zatoczył zgrabne koło i bez przeszkód wszedł na swe nowe miejsce w odwróconym szyku, który teraz otwierał „Otter”. Po wykonaniu zwrotu eskadra płynęła lewym halsiem z prawie pełnym wiatrem. Choć żadna z jednostek nie miała postawionych wszystkich żagli i manewr do trudnych nie należał, wykonanie było doskonałe. „Trudno im coś zarzucić” — pomyślał Jack, patrząc ponad relingiem rufowym na ustawione w jednej linii maszty „Nereide”, zakrywające teraz maszty idącego za nią „Sinusa”. Załoga szkunera, wypuściwszy za burtę cele dla armat, z podziwu godną pilnością stawiała teraz żagle, by jak najszybciej ująć z pola ostrzału.

Trudno się było dziwić pośpiechowi załogi „Wasp”, gdyż jak to zwykle bywało, „Otter” otworzył ogień zbyt wcześnie, na długo przed tym, nim jego pociski mogły osiągnąć celu. Słupy wody morskiej wystrzeliły w połowie drogi między szkunerem a celem. Kolejna salwa burtowa „Ottera” padła już bliżej i zapewne trafiłaby w cel, gdyby oddano ją w chwili, gdy okręt znalazł się na szczycie

fali. Trzecia salwa była wierną kopią pierwszej, z tym wyjątkiem, że jedna z kul musnęła cel. Odpalić

czwartej załoga Clonferta już nie zdołała.

Jack czuwał z zegarkiem w ręku i pośpiesznie dyktował dane swemu uzdolnionemu matematycznie midszypmenowi. W tym czasie salwę odpaliła „Boadicea”, celując odrobinę zbyt wysoko, lecz i tak omiatając ogniem wyimaginowany pokład. Kolejna salwa uderzyła w cel bez pudła, a dwie następne, odpalone wśród dzikich wrzasków rozentuzjasmowanej załogi, zniszczyły go do reszty.

— Minuta i pięćdziesiąt pięć sekund. — Zapisał pochylony nad tabliczką Nakrapiany Dick, stawiając przy cyfrach dwa wykrzykniki.

— Ależ oni strzelają! — wykrzyknął Jack. „Raisnable” nie brał udziału w ćwiczeniach, gdyż ze względu na swój wiek liniowiec nie był już w stanie cisnąć we wroga pełną niszczącą salwą burtową.

Z jego pokładu można było jedynie prowadzić wolny ogień z co trzeciego, podszypanego połową normalnej porcji prochu działa na dolnym pokładzie oraz z kilku mniejszych armat, przez co stary „Raisnable” mógł jednak zadać wrogiej jednostce drobne uszkodzenia. Z pewnością jednak był okrętem groźniejszym od fregaty „Nereide”, której dwie pełne, aczkolwiek komicznie wręcz niecelne salwy burtowe poszły tak wysoko, że w cel ostatecznie trafiła tylko jedna kula. Jack był niemalże pewien, iż ten pocisk padł z działa obsługiwanego przez tych kilku kanonierów z „Boadicei”, których bardzo niechętnie odesłał na jednostkę Corbetta. Ostatni strzelał „Sirius”, najpierw pewnie lokując w celu dwie salwy, a potem niszcząc go całkowicie ogniem z pięciu dział rufowych. Artylerzyści Pyma z umiarkowanej odległości strzelali powoli, lecz za to całkiem celnie.

Na więcej ćwiczeń Jack nie miał ani czasu, ani prochu. W chwili ponownego zamocowania dział nakazał wywiesić sygnał „Zmiana halsu” i wezwał szkuner na zawietrzną liniowca. Od kiedy podnieśli

kotwicę w przystani Simon's Town, bardzo uważnie obserwował właściwości żeglugowe swych jednostek, lecz nigdy nie czynił tego z tak baczną uwagą jak teraz, śledząc płynącego bajdewindem i odrzucającego wysoką białą pianę „Waspą”. Był to piękny, umiejętnie prowadzony okręt, który mógł żeglować bliżej wiatru, niż Jackowi wydawało się możliwe. Niemniej jego znużone, pełne niepokoju oblicze nie rozjaśniło się nawet w chwili, kiedy szkuner stanął na zawietrznej burcie liniowca, a jego kapitan uniósł zaciekawioną twarz ku wyniosłej rufówce.

Nieobecny gestem Jack skinął na powitanie, nakazał porucznikowi sygnaliście wezwać kapitana „Siriusa” na pokład, po czym z tubą w garści ruszył ku relingowi, by zaprosić również Eliota, tymczasowego dowódcę „Boadicei”. Dość oficjalnie powitał ich obu w kajucie na dziobie, a w chwilę

później pan Peter wręczył Eliotowi pisemne rozkazy udania się w towarzystwie „Siriusa” na wody Mauritiusa. Oba okręty miały zatrzymać się niedaleko Port-Louis, leżącego na północnym zachodzie — głównego portu i stolicy wyspy, gdzie mieli zaczekać na resztę eskadry, śledząc w tym czasie ruchy nieprzyjaciela i gromadząc informacje. Do tych instrukcji Jack dodał jasny i klarowny zakaz rozpoczynania jakichkolwiek walk z flotą nieprzyjaciela, z wyjątkiem sytuacji, kiedy przewaga byłaby

zdecydowane po ich stronie. Instrukcjom towarzyszyły również wskazówki co do nocnego podejścia do cypla Sable celem wysłania łodzi, by te o świcie wślizgnęły się na zwiad do portu. Troska o

„Boadiceę” sprawiła, że już miał zamiar poprosić Eliota, by ten nie stawiał zbyt dużej liczby żagli, w szczególności bombramsli — nie stać ich było na stratę drzewiec na tej wysokości geograficznej.

Chciał też dodać, iż ta fregata to specjalny okręt, którego nie wolno eksploatować bez granic, lecz któremu trzeba dogadzać, ale uświadomił sobie, że bardziej przypominałoby to gdakanie kury troszczącej się o pisklęta aniżeli wypowiedź godną komodora. Powstrzymał się zatem od wydania

zaleceń odnośnie do kotbelki prawej burty, odprowadził obu oficerów na burty, popatrzył, jak obie fregaty biorą kurs na północ, i wrócił pod pokład, do kajuty kapitańskiej. Przy stole siedział Stephen, szyfrując listy na zadziwiająco cienkim papierze.

— Ogromną zaletą tych wszystkich wielkich, przypominających arki okrętów — stwierdził Stephen na powitanie — jest to, że przynajmniej można tu porozmawiać na osobności. Admirał, mając do dyspozycji luksusową jadalnię, sypialnię, przedpokój, kajutę na dziobie i ten niezwykle balkon na rufie, może sobie pozwolić na życie w zbytku i przepychu. Komodor może natomiast w spokoju podzielić się sekretami umysłu. Umysłu, który, jak sędzę, dręczą teraz czarne myśli.

— Racja, niezwykle tu przestronnie — odparł Jack, podchodząc do galeryjki rufowej, skąd mógł widzieć „Waspę”, wznoszącego się na drugiej fali i znów opadającego, wprawiającego od czasu do czasu żagle w drgania, by nie wyprzedzić dwupokładowca. — Stephen, naprawdę nie podoba mi się ten twój paskudny pomysł.

— Wiem, mój drogi — odparł doktor. — Dość często o tym wspominasz, a ja za każdym razem powtarzam dwie rzeczy. Po pierwsze, kontakty i informacje, których poszukuję, są ogromnej wagi. Po drugie, ryzyko jest znikome. Idę dwieście kroków po plaży ocienionej palmami i pukam do drzwi drugiej napotkanej chaty, której zresztą mam dokładny rysunek. Nawiązuję niezwykle ważny kontakt, otrzymuję informacje, przekazuję te dokumenty, wypisane jak zwykle na cienkim papierze, spójrz... — Uniósł kilka z nich. — Będą przez to czytelne. No, a potem wracam do łodzi i na okręt, by

zjeść z tobą śniadanie. Obiecuję, iż wrócę na czas, choć dla umysłu filozofa La Reunion to drugi Ofir*.

* Ofir — biblijna kraina, skąd pochodzić miały skarby króla Salomona. Kraju tego poszukiwano w pld.-wsch. Arabii, w Indiach; Portugalczycy — we wsch. Afryce, Hiszpanie na Oceanie Spokojnym (Wyspy Salomona). Przen. — kraj obfitujący w drogocenne kruszce.

Jack chodził po kabinie. Wszystko, co mówił Stephen, było jasne i rozsądne. Nie tak dawno temu jednak osobiście prowadził grupę zbrojnych do Port Mahon na Minorce, by odbić go na wpół

żywego

z rąk Francuzów. Stephen został złapany podczas wypełniania tajnej misji i z okrucieństwem inkwizycji poddano go przesłuchaniom, w wyniku czego niemal całkowicie zrujnowano jego zdrowie.

— Minorka to było coś innego — odrzekł Stephen. — Wtedy ktoś na mnie doniósł. Tutaj to niemożliwe.

— Nie chodzi tylko o to — powiedział Jack, zatrzymując się przed mapą wybrzeża wyspy. — Spójrz tylko na te przekłete rafy! Pomyśl o przyboju! Już setki razy mówiłem ci, Stephen, że te przybrzeżne wody są piekielnie groźne! Wszędzie rafy, z których nawet połowy nie ma na mapach, no i ten potężny przybój... Słuchaj, wiem, o czym mówię, byłem tu w młodości. Nawet kiedy przybój nieco osłabnie, mało która plaża będzie nadawała się na lądowanie. By dostać się do twego Petite Anse, musisz prześlizgnąć się przez szeroką na kabel nawet podczas szczytu przyływu lukę w rafach, widoczną tylko przy świetle księżyca. A co będzie, jak przewodnik z „Waspa” owej luki po prostu nie znajdzie? Nie jest pilotem na tych wodach i sam szczerze to przyznaje.

— Alternatywą jest popłynięcie na „Otterze”. Clonfert zna te wody i ma pilota tubylca. I tak pewnie spędzę na słupie trochę czasu, więc bardzo chcę poznać jego kapitana. Wiele zależy od tego, czy znajdziemy wspólny język.

— Clonfert zna to wybrzeże z całą pewnością — powiedział Jack. — Lecz wybrzeże również zna jego. Pływał wzdłuż wschodniego brzegu wiele razy, a „Otter” ma dość charakterystyczny wygląd. Niech no tylko dostrzeże go jakiś kuter rybacki, jakieś awizo czy po prostu strażnik na tych klifach, a bądź pewien, że każdy żołnierz i milicjant na wyspie zacznie biegać w kółko, strzelając do wszystkiego, co się rusza! Nie, jeśli już musisz się tam udać, to popłyniesz na szkunerze. Jego kapitan to młody, ale rozsądny człowiek oraz dobry żeglarz, a jego okrętowi nic zarzucić nie można. Poza tym mamy coraz mniej czasu.

— Pewnie, popłynę na szkunerze. O ile rozumiem, opuszcza on nas przy wyspie Rodriguez, co pozwoli mi utrzymać tajny charakter moich działań trochę dłużej w tajemnicy.

— Cóż — powiedział Jack bardzo niechętnie — wiedz jednak, Stephen, że dam kapitanowi szkunera kategoryczny rozkaz powrotu w sytuacji, kiedy będzie miał problemy z natychmiastowym odnalezieniem punktów orientacyjnych lub gdy dostrzeże najdrobniejsze nawet ślady zagrożenia na lądzie. Musisz też wiedzieć jeszcze jedno — jeśli twój plan się nie powiedzie, nie będę mógł wysłać po ciebie ekipy ratunkowej.

— To byłoby całkowite szaleństwo — odrzekł łagodnie Stephen i dodał po chwili: — Szczerze, Jack,

to nie bierz tego stwierdzenia do siebie, ale na każdego przychodzi kiedyś jego czas. Nie tylko ludzi to

dotyczy, z tego co wiem. Przyływu również.

— Zatem przynajmniej pošlę z tobą Bondena — westchnął Jack.—I każę zamontować karonadę na waszej łodzi.

— To miło z twojej strony. Czy mogę również prosić o włączenie owego murzyńskiego pilota do załogi? Byłoby to wielce sprytne — przy spotkaniu z wrogiem łatwiej byśmy go wyprowadzili w pole.

Zakładam bowiem, iż potrafi on widzieć w ciemnościach.

— Zaraz się tym zajmę — powiedział Jack i wyszedł, pozostawiając Stephena z jego szyfrem i dokumentami.

Na chwilę przed wybiciem czterech szklanek wachty popołudniowej doktor Maturin został przewiązany mocną liną o długości pięciu sążni i opuszczony niczym pakunek na kołyszący się pokład szkunera, gdzie pochwycił go i rozwiązał Bonden. Nikt z otoczenia Jacka nie miał złudzeń co do umiejętności żeglarskich Stephena, dlatego zupełnie naturalnie postanowiono stosować rygorystyczne środki ostrożności.

— Niech pan nie zapomni o kapeluszu — wyszeptał doń Bonden, prowadząc go na rufę.

Był to okrągły kapeluszek francuskiej roboty i Stephen skłonił się nim pokładowi rufowemu szkunera oraz jego kapitanowi gestem wyrażającym szacunek. Odwracając się z zamiarem pomachania Jackowi, stwierdził, że przed oczyma ma tylko obojętną na emocje figurę na dziobie „Raisnable”. Szkuner szybko wysunął się przed dziób liniowca i niczym na rozpostartych skrzydłach mknął w kierunku obłoków, wiszących nad górami La Reunion.

— Tędy, jeśli pan pozwoli, sir — odezwał się doń kapitan „Wasp”. — Myślę, iż obiad jest już gotowy.

W tej samej chwili na pokład rufowy „Raisnable”, gdzie stał Jack, patrząc za oddalającym się szkunerem, wspiął się Killick.

— Ci dżentelmeni na półpokładzie już deptają sobie po piętach od jakichś dziesięciu minut — oznajmił z czymś na kształt swej dawnej zgryźliwości w głosie. — A pan ciągle w tych starych portkach.

Jack nagle przypomniał sobie, że zaprosił na obiad wszystkich oficerów, a sam jest niestosownie ubrany — po przekroczeniu zwrotnika Koziorożca zarzucił bowiem mundur na rzecz ubrań lżejszych i wygodniejszych. Stała mu przed oczami wizja popełnienia zbrodni niepunktualności. Natychmiast skoczył pod pokład, wcisnął się w mundur i wtargnął do kajuty kapitańskiej dokładnie z chwilą wybicia pięciu szklanek. Tam też powitał swych gości, oficerów w swych najlepszych błękitnych mundurach oraz dowódców piechoty morskiej w mundurach czerwonych, lecz wszystkich jednakowo purpurowych na twarzach od upału. Czekali w końcu na niego w swych oficjalnych strojach przynajmniej przez pół godziny. Poprosił ich zatem do stołu, gdzie za sprawą wpadających przez świetlik palących promieni słonecznych purpura ich policzków stała się jeszcze intensywniejsza. Owe uczyty, teoretycznie pomyślane jako spotkanie równych sobie celem towarzyskiej pogawędki, były w istocie niemalże obowiązkowymi spotkaniami ludzi stojących na różnych stopniach sztywnej i ściśle przestrzeganej hierarchii społecznej i od samego początku rejsu były przeraźliwie nudnym

rytuałem. Jack był tego świadom i wysiłał się, by je nieco ożywić. Bardzo się starał i w pewnym momencie, współczując jednemu z oficerów piechoty morskiej, coraz bliższemu porażenia mózgowego, wpadł nawet na pomysł, by zaproponować gościom zdjęcie ciężkich kurtek mundurowych, które ubrali do obiadu. Nie tędy jednak prowadziła droga — Jackowi zależało na tym, by jego gościom obiady sprawiały przyjemność, ale nie wolno mu było pozyskiwać ich życzliwości propozycjami nie na miejscu. Ich dobre samopoczucie podczas obiadu musiało się mieścić w ramach morskiej konwencji, a przeobrażanie kajuty kapitańskiej w pokój służby z pewnością ją przekraczało. Ograniczył się zatem do rozkazu ponownego rozstawienia tentu i spryskania pokładu wodą.

Jack nie miał wielkiej ochoty na prowadzenie rozmowy przy stole, lecz zmuszał się do udawanej wesołości, która jednak rzadko okazywała się zaraźliwa. Jego spoceni, uprzejmie uśmiechnięci goście nadal siedzieli wokół stołu w milczeniu. Reguły zakazywały bowiem rozpoczęcia rozmowy komukolwiek z wyjątkiem kapitana okrętu, a skoro oficerowie „Raisnable” nie mieli jeszcze okazji Jacka dobrze poznać, przestrzegali owej zasady z nabożeństwem. Jemu samemu jednakże zaczynało już brakować tematów i ograniczał się tylko do zapraszania swych gości do nakładania kolejnych porcji i dolewania napoju. Miał tak skurczony żołądek, że sam nie mógł zjeść wiele, lecz kiedy po rozciągnięciu tentu nad świetlikiem w kajucie zrobiło się nareszcie chłodniej, butelka z winem żywiej

poszła w ruch. Nim jednak trafiła na stół, każdy ze spoconych, sztywno siedzących gości już dawno miał szkliste spojrzenie i krążąca wokół stołu karafka sprawiła jedynie, że każdy jeszcze bardziej kontrolował swe zachowanie. Posępnego nastroju, jak zauważył Jack, porto nie poprawiło wcale. Obiad w niskiej trójkątnej kabinie szkunera „Wasp” wyglądał zupełnie inaczej. Ze względu na to, iż wydarzenia nadchodzącej nocy wymagały jasnego umysłu, Stephen poprosił jedynie o wystudzoną kawę. Dowódca szkunera, pan Fortescue, nie pił wina w ogóle, zatem butelka przeznaczona dla gościa

stała nietknięta pomiędzy dzbankiem z sokiem cytrynowym a wysokim naczyniem z mosiądzu, oni zaś zjedli niezwykle ilości curry palącego niczym lawa wulkanu. Już wcześniej wiedzieli o swej wzajemnej fascynacji ptakami i po krótkim, lecz bogatym w szczegóły opisie znanych sobie gatunków petreli, pan Fortescue stwierdził, iż życie żeglarza to najlepszy sposób na dogłębne poznanie świata. — Ależ proszę pana! — zawołał Stephen. — Jakże pan może mówić coś takiego? Żeglowałem już na wielu okrętach, a każdy z nich mógłbym śmiało nazwać tantalowym — przywozili mnie bowiem do odległych krajów, byłem na wyciągnięcie ręki od rajskich ptaków, strusi i świętych ibisów, a oni wysadzali mnie w którymś z tych cuchnących, tak samo wyglądających portów i natychmiast porywali

mnie z powrotem! W jednej chwili staje przede mną bogactwo Indii, a w następnej muszę wracać na okręt, by znaleźć się w kolejnej śmierdzącej przystani odległej o tysiąc mil, gdzie odbywa się dokładnie to samo! Szczerze przyznam, że sam ocean również kryje w sobie cuda mogące wynagrodzić udrękę uwięzienia i żydowski rytuał życia na pokładzie... widziałem choćby albatrosy! Niemniej to tylko powierzchowne obserwacje — dalej nie wiadomo nic o trybie życia tego gatunku, o ich okresie tokowania, opiece nad młodymi czy podziale obowiązków między płciami. Wszystko to jest w zasięgu ręki, osiągnięte wielkim nakładem środków i metod, a mimo to zmarnowane. Nie, nie mogę sobie wyobrazić większej udręki dla przyrodnika niż życie żeglarza, któremu w udziale przypada przemierzanie świata bez oglądania go. Przypuszczam jednak, że pan miał więcej szczęścia?

Pan Fortescue szczerze przyznał słuszność spostrzeżeniom Maturina, niemniej w istocie sam miał więcej szczęścia w badaniach, zwłaszcza w przypadku wielkiego albatrosa *Diomedea exulans*, o którym Stephen mówił z taką nostalgią. Jako rozbitek Fortescue trafił kiedyś na Tristan da Cunha, gdzie żyło mnóstwo albatrosów oraz pingwinów, rybitw, wydrzyków, petreli, kokoszek wodnych i okazów z nie opisanego do tej pory gatunku łuszczaka. Był blisko albatrosów w okresie ich inkubacji,

ważył, mierzył i jadł ich jaja, obserwował ich tokowanie, a że miał przy sobie kawałek ołówka i podręcznik nawigatora, na pustych stronach najlepiej jak potrafił naszkicował ich kształty.

— Naprawdę ilustrował pan swoje notatki?! — wykrzyknął Stephen, a jego oczy załśniły. — Och, oddałbym wszystko, dosłownie wszystko, gdyby pan zechciał mi je kiedyś pokazać, najlepiej jak najszybciej!

— Tak się składa — odparł pan Fortescue, sięgając po książkę — że mam je pod ręką. Są do pańskiej

dyspozycji, doktorze. Ponadto w szafce, na której pan w tej chwili siedzi, znajdują się najprawdopodobniej resztki zebranych przeze mnie jaj, piór i kości.

Po zapadnięciu zmroku, kiedy poszarpane góry wyspy La Reunion czerniały już na tle gasnącego nieba, rozmowa dwóch pasjonatów wciąż obracała się wokół tematu albatrosów. W tym samym czasie

Jack, z bólem głowy i metalicznym posmakiem w ustach, rozpoczął swój rytualny spacer na nadbudówce rufowej, przy każdym zwrocie spoglądając ku zachodowi, choć szans na ujrzienie „Waspą” przed świtem nie było żadnych. Wachty się zmieniały, gwiazdy przesuwały się po nocnym niebie, a on wciąż kroczył po pokładzie rufowym. Z początku trawił go niepokój, ale mechaniczne ruchy przy spacerze szybko oczyściły jego umysł. Powoli się uspokajał, a w przerwach między wpatrywaniem się w gwiazdy po raz kolejny sprawdzał w myślach poprawność swych obliczeń, zawsze dochodząc do tego samego, pocieszającego rezultatu — La Reunion leżała na szczycie trójkąta, którego podstawą był dotychczasowy kurs dywizjonu, a południowym ramieniem pięćdziesięciomilowa trasa „Waspą” ze Stephenem na pokładzie. Nakazał okrętom płynąć jedynie pod

marszlami i sprawdzając prędkość zespołu po każdym rzuceniu logu, był pewien, iż do chwili wybicia czterech szklanek porannej wachty przemierzą osiemdziesiąt mil morskich. Osiągną w ten sposób punkt, w którym trasa powrotna szkunera przetnie się z ich kursem, tworząc zgrabny trójkąt równoramienny. Na tych wodach siła i kierunek wiatru rzadko się zmieniały i obliczenia tego typu

okazywały się niezwykle dokładne — jedyną ważną zmienną był czas, jaki Stephen spędzi na lądzie.

Jack wstępnie ustalił go na trzy godziny.

Środkowa wachta trwała nadal. Nocnej rutyny życia na okręcie nie zakłóciło nic poza uderzeniem latającej ryby w wielką latarnię na rufie. Wiatr poświstywał tę samą, niezmaconą melodię wśród takielunku, woda pluskała wzdłuż burt, a fosforyzujący kilwater ciągnął się szeroko za rufą, przecinany falą dziobową „Ottera” płynącego dwa kable za „Raisable”. „Cisza i spokój!” — okrzykiwały się posterunki po każdym uderzeniu dzwonu okrętowego zarówno na liniowcu, jak i na innych jednostkach dywizjonu.

— Modłę się, by wszystko było w porządku — rzekł cicho Jack. Zszedł na pokład rufowy i spojrzał na

tabliczkę z wynikami pomiarów logiem. Kusilo go, by wejść na mars lub nawet na top masztu, lecz takim czynem zdradziłby się z nurtującym go niepokojem. Powrócił zatem na swą samotną nadbudówkę rufową, ograniczywszy się do wydania polecenia oficerowi wachtowemu, by ten wysłał na top masztu człowieka z nocną lunetą.

Gdy gwiazdy na wschodnim niebie poczęły blednąć, on wciąż nie opuszczał posterunku. Poranna wachta już rozsypywała piasek na ciemnym pokładzie. Pewność co do słuszności obliczeń opuściła

Jacka jakąś godzinę temu, a jego precyzyjnie zbudowany trójkąt rozwiął wiatr, gdy pojawiło się

nowych niewiadomych. Oparty o reling, bacznie lustrował horyzont od zachodu po południowy zachód, gdy niespodziewanie wyłonił się rąbek tarczy słońca i zajaśniało wschodnie niebo.

— Żagiel na horyzoncie! — dobiegło go z bocianiego gniazda.

— Gdzie? — wrzasnął Jack.

— Na trawersie prawej burty, sir! To „Wasp”! Leży w dryfie!

W istocie daleko na wschodzie dostrzegł szkuner, którego trójkątne żagle wydawały się szczerbami

w tarczy wstającego słońca.

— Stawiać żagle! — krzyknął w stronę pokładu rufowego. — Pójdziemy na zbliżenie!

Po chwili powrócił do swego spaceru po pokładzie. Pod nim rozlegał się teraz szelest szczotek i miarowy chrobot cegiełek, na pokład liniowca powróciło życie dnia. Na rozkaz Jacka postawiono bramsle i „Raisable” wyrwał się na przód dywizjonu, płynąc na przecięcie kursu szkunera. Kiedy potężna luneta przybliżyła mu sylwetkę Stephena, spacerującego na odległym pokładzie, Jack zszedł wolno pod pokład, polecił Killickowi przygotowanie śniadania w kabinie na rufie i wyciągnął się na chwilę na swej koi. Wkrótce usłyszał okrzyki oficera wachtowego, domagającego się przygotowania ławki bosmańskiej

— Ostrożnie, ostrożnie! — zawtórowały mu podniecone głosy. — Ściągnijcie go z baksztagu!

W chwilę później Jack usłyszał dobrze sobie znany krok Stephena.

— Dzień dobry! — powitał go. — Promieniejesz niczym słońce! Wyprawa zakończyła się powodzeniem, jak mniemam.

— Dzień dobry! W istocie, wyprawa była wspaniałym przeżyciem, dziękuję, Jack. Wspaniałym przeżyciem.. Spójrz! — Wyciągnął przed siebie obie dłonie, otworzył je ostrożnie i pokazał mu ogromne jajo. — Cóż za wspaniały okaz! Z całą pewnością niezwykły! — ocenił Jack. — Killick! — zawołał. — Co z tym śniadaniem! Pośpiesz no się!

— Przywiozłem ze sobą też inne rzeczy — powiedział Stephen, wyciągając paczkę owiniętą zielonym rypsem i wielki worek płócienny — ale nic nie może się równać z tym wspaniałym darem od jakże niezwykłego młodego człowieka, pana Fortescue. To, co tu widzisz, Jack, to najprawdziwszy owoc miłości albatrosów. To natomiast — wskazał na trzymaną ostrożnie paczkę — to gadająca papuga z gatunku zielonych, tudzież zachodnioafrykańskich, stworzenie stanowczo zbyt gadatliwe, by trzymanie go w obejściu było bezpieczne. — Odwinął ryps, zwolnił wstążkę krępującą skrzydła papugi i postawił ją na nogi.

— *A bas Buonaparte. Salaud, salaud, salaud!** — wrzasnął natychmiast ptak chrapliwym,

pełnym oburzenia głosem, wspiął się na oparcie krzesła i jął muskać dziobem zwichrzone piórka.

* *A bas Buonaparte...* (franc.) — Precz z Bonapartem! Łajdak, łajdak, łajdak!

- Worek zaś — ciągnął Stephen—jest pełen najlepszej kawy, jaką kiedykolwiek piłem. Na wyspie rośnie jej dużo, co jeszcze bardziej podkreśla znaczenie tego miejsca.

Killick wniósł śniadanie.

- Mimo to — podjął rozmowę Jack, kiedy ponownie zostali sami — ufam, iż nie spędziłeś całego swego czasu na lądzie na buszowaniu po ptasich gniazdach? Nie uważasz, że interesowałaby mnie ta właściwa część twojej podróży?

- Ach, to — powiedział Stephen, stawiając jajko albatrosa na maselnicy, by widzieć je pod lepszym kątem. — Tak, tak. To była rutynowa sprawa, rzekłbym, poszło jak z płatka, jak ci zresztą mówiłem. Opłaciło się jednakże. Pozwolisz, że nie powiem ci nic na temat mojego informatora, gdyż od tych spraw lepiej trzymać się z daleka. Nadmienię tylko, że uważam go za całkowicie godne zaufania źródło informacji, a jedyną jego wadą było to, iż zbyt długo miał owego ptaka, który, jak zauważyłeś, do najdyskretniejszych nie należy. Na szczęście sam był tego świadom. Nie będę też cię dręczył szczegółami politycznymi, lecz skoncentruję się na militarnej sytuacji Francuzów. Wiarygodność owych informacji według mnie nie budzi zastrzeżeń i mam nadzieję, że będą to dla ciebie radosne wieści. Po pierwsze, Francuzi nie odkryli jeszcze naszych przygotowań do interwencji zbrojnej. Po drugie, dwa ostatnio przechwycone statki Kompanii Wschodnioindyjskiej, „Europe” i „Stratham”, znajdują się po drugiej stronie wyspy, na redzie St Paul wraz z „Caroline” — okrętem, który je zatrzymał. Mówi się, że postój fregaty w porcie może się przeciągnąć nawet na dwa tygodnie ze względu na remont wewnętrznych elementów kadłuba, lecz tak naprawdę dowódca okrętu, niezwykle uprzejmy młody człowiek o nazwisku Feretier, żywi głębokie uczucie do żony gubernatora, generała Desbrusleysa. Ten zaś jest skłócony z kapitanem Saint-Michiel, komendantem twierdzy St Paul, oraz z większością innych oficerów na wyspie. W chwili obecnej przebywa on w Saint-Denis. Jego siły

wraz

z milicją liczą około trzech tysięcy ludzi, lecz oddziały te porozrzucane są po całym La Reunion. Poszczególne posterunki oddalone są o dwadzieścia, a nawet trzydzieści mil w trudnym, górzystym terenie. Biorąc pod uwagę to, że St Paul jest ufortyfikowane i wyposażone w baterie, poczekaj... Dziewięć i osiem to siedemnaście, siedem i jeden w pamięci, pięć plus pięć to dziesięć, z tamtą jedyką to jedenaście... Łącznie sto siedemnaście dział. Tak, nawet pomimo tego musisz przyznać, iż zadanie jest wykonalne, nawet mimo konieczności lądowania na tych niegościnnych plażach, o których tak często mówiłeś. Ten pobieżny szkic przedstawia orientacyjną lokalizację baterii, tu zaś masz rozmieszczenie oddziałów. Wybacz, iż powiem teraz rzecz oczywistą, ale jeśli chcesz zaatakować, to wszystko zależy od szybkości. Nie wolno tracić ani minuty, jak sam byś to ujął.

— Na Boga, Stephen, ależ mnie uszczęśliwiłeś! — zawołał Jack, biorąc od niego szkic i porównując z

własną mapą reddy St Paul i wybrzeża wyspy. — Tak, tak, w istocie... Wzięliby nas w ogień krzyżowy,

bez wątpienia. Działa czterdziestodwufuntowe. Nie ma możliwości odbicia statków Kompanii czy zniszczenia fregaty bez wcześniejszego unieszkodliwienia baterii. Tego zaś nie zrobimy bez naszej piechoty morskiej i marynarzy, jednakże wydaje mi się, iż trzy, cztery setki żołnierzy z Rodriguez przeważyłyby szalę. Nie utrzymalibyśmy miejsca, to jasne, lecz moglibyśmy odbić statki... Tak, to jest

wykonalne! — Przyjrzał się raz jeszcze szkicowi i mapie. — To z pewnością twardy orzech do zgryzienia, ale da się go zgryźć, jeśli tylko dowódca garnizonu z Rodriguez zgodzi się wyruszyć bez chwili zwłoki, a nam uda się znaleźć dogodne miejsce do przeprowadzenia desantu. St Paul to brzeg zawietrzny i tam przybój nie jest już taki mocny, chyba że powieje z zachodu... W pełni się z tobą zga-

dzam, Stephen. Nie ma czasu do stracenia!

Jack wybiegł z kabiny i Stephen, obracając jajko w dłoni, usłyszał chwilę później odgłosy zamieszania

towarzyszące zmianie kursu. Stawiając coraz więcej żagli, okręt ruszył ku Rodriguez — maszty zaskrzypiały ze skargą, napięte liny świstały, plusk rozcinanej przez kadłub wody przerodził się w stłumiony huk. Rozpoczęła się wszechobecna, tak miła dla ucha każdego żeglarza symfonia, grana przez połączone orkiestry lin, pracującego drewna, fal i wiatru, której moc nie miała osłabnąć przez całe pięćset mil podróży ku Rodriguez z silnym, stałym wiatrem południowo-wschodnim z trawersu. Sama wyspa, kopuła zieleni z tnącymi niebo drzewami palmowymi, ukazała się oczom Jacka i Stephena o świcie w czwartek. Wyłoniła się na prawo od dziobu, okolona pierścieniem ogromnych raf, zdobionych bielą fali przybojowej. Za rafą i białymi grzywami ciągnęło się już otwarte morze, którego głębokiego błękitu nic nie miało zakłócić przez następne pięć tysięcy mil morskich na nawietrznej. Kilka stóp od nich przemknęła fregata, raz ślizgając się w powietrzu na roztańczonych prądach powietrznych wokół fokstaksla i kliwra, raz rozpościerając i zamykając długi, rozdwojony ogon, jednakże ani Stephen, ani Jack nie zwrócili na to uwagi. Obaj bacznie śledzili ląd, płaski cypel, na którym widać już było większy dom otoczony grupą chatek oraz równe szeregi namiotów. Nie było ich wiele, lecz wystarczyłyby na pewno na schronienia dla trzystu, czterystu żołnierzy, którzy, gdyby ich dowódca, pułkownik Keating, dał się nakłonić do wzięcia udziału w desancie, mogliby przeważać szalę zwycięstwa. Jack widział już wiele operacji łączonych sił marynarki i wojsk lądowych, ale niewiele z nich miło wspominał. Dobrze wiedział, że nieporozumienia między marynarką a armią i tarcia w dowodzeniu są bardzo prawdopodobne. Jack co prawda przewyższał Keatinga rangą, lecz nie dawało mu to prawa do wydawania rozkazów. Jedynym rozwiązaniem było namówienie pułkownika do współpracy, w czym musiał polegać jedynie na swych umiejętnościach odpowiedniego przedstawiania faktów. Luneta Jacka wciąż nakierowana była na dom pułkownika, jak gdyby niewzruszone wpatrywanie się weń miało w jakikolwiek sposób pomóc w negocjacjach. Z rzadka spoglądał w bok, kiedy oceniał lukę w przyboju, zwiastującą wąskie wejście do laguny.

Umysł Stephena zaprzętał głównie ten sam problem, jednakże nie mógł przestać myśleć o tym, iż rosnąca w oczach wyspa jest domem dla pewnego gatunku wielkiego żółwia lądowego. Gatunek nie dorównywał być może wielkością *Testudo aubreei*, który onegdaj odkrył na podobnej wyspie na Oceanie Indyjskim, ale z pewnością był to jeden z cudów tego świata. Kwestią jeszcze ważniejszą dla Stephena było to, że do niedawna na wyspie spotykano ostatnie egzemplarze pewnego gatunku nietola pokrewnego wymarłemu dodo, a fragmentarycznie poznanego przez naukę. Kilka razy próbował podjąć ten temat w rozmowie z Jackiem, lecz bez skutku — wszystkie jego starania rozbijały się o całkowity brak zrozumienia Aubreya dla tych spraw nauki, dla których nie znajdował on zastosowania praktycznego. Ptaki, podobnie jak resztę świata zwierząt, Jack dzielił jedynie na jadalne i niejadalne. Nawet teraz, po długich przemyśleniach, w trakcie których eskadra zredukowała żagle po raz pierwszy od pięćdziesięciu dwóch godzin, Stephen nie znalazł nowego sposobu na zagajenie tematu.

— Gdyby okazało się, że musimy tu pozostać chwilę dłużej... — bąknął nieśmiało.

— Kapitanie Corbett, zechce nas pan wprowadzić! — krzyknął Jack przez tubę w stronę „Nereide”, zupełnie nie zwracając uwagi na słowa Stephena. — I Bóg z nami...

— Amen — odparł automatycznie jeden z marynarzy z pokładu dziobowego. Uświadomiwszy sobie, co właśnie powiedział, spojrział z przerażeniem na komodora.

— ...to może pozwoliłbyś mi na wyprawę... — ciągnął Stephen. — Niewielką wyprawę, wziąłbym tych z moich pacjentów, którzy mogą już wstać, i poszedłbym...

Już miał dodać „poszukać kości”, kiedy wyraz zaciętej determinacji na twarzy komodora uświadomił mu, iż równie dobrze mógłby pertraktować z figurą na dziobie liniowca.

Na ciepłe fale laguny z pluskiem opuszczono barkas, załoga rażno porwała za wiosła i wkrótce Jack, wciąż z tym samym wyrazem twarzy, ruszył długimi krokami po plaży na spotkanie pułkownika Keatinga. Obaj zaszalutowali i uścisnęli sobie dłonie.

— Zapewne nie pamięta mnie pan — powiedział pułkownik — ale spotkaliśmy się już wcześniej.

Byłem zaproszony na obiad, wydany w Kalkucie na cześć pańskiej niezwyklej akcji, która uchroniła chińską flotę Kompanii przed wpadnięciem w ręce Francuzów.

— Oczywiście, że pana pamiętam — odpowiedział Jack, który w istocie przypomniał sobie jego wysoką, szczupłą sylwetkę i inteligentną twarz z drugim nosem. Dodało mu to otuchy. — Cieszę się, że znów się spotykamy.

Pułkownik również wyglądał na zadowolonego.

— Niezwykłe nas ucieszył widok pańskich okrętów — mówił, prowadząc Jacka wzdłuż podwójnego szeregu swych żołnierzy, Anglików z 56 Regimentu Piechoty po jednej stronie i odzianych w turbany sipajów z 2 Bombajskiego Regimentu Piechoty po drugiej. — Nudziliśmy się nieopisanie na tym ponurym skrawku ziemi przez kilka ostatnich miesięcy. Nie ma tu nic do roboty poza urządzaniem wyścigów żółwi, nie ma czego oczekiwać poza przybyciem głównych sił w przyszłym roku, nie ma nawet do czego strzelać poza perlicami.

— Jeśli podzieli pan moje zdanie w pewnej kwestii, pułkowniku — wszedł mu w słowo Jack — z pewnością pomogę panu zwalczyć nudę. Mogę zapewnić panu lepsze cele od perlic.

— Na Boga! — wykrzyknął pułkownik, którego twarz naraz stężała podobnie jak u Jacka. — Mówi pan poważnie? W istocie, zszedł pan na ląd tak szybko, że odniosłem wrażenie, iż coś zaczyna się dziać!

Jack wyłuszczył mu sprawę, kiedy już zasiedli w namiocie z kieliszkami letniego sorbetu. Był niemalże pewien, iż ma poparcie słuchającego go w milczeniu pułkownika, niemniej kiedy dotarł do sedna sprawy, do zdania, po którym miał usłyszeć pozytywną, negatywną bądź obojętną odpowiedź, jego serce zaczęło bić szybciej.

— Tak więc, pułkowniku, chciałbym usłyszeć pańskie zdanie na temat sytuacji — powiedział.

— Całkowicie podzielam pańskie zdanie. — Keating mówił bez ogródek. — Są jedynie dwie sprawy,

dla których muszę podejść do pańskiego pomysłu z pewnym dystansem, oczywiście nie jako Harry Keating, ale jako dowódca sił stacjonujących na wyspie Rodriguez. Pierwsza z nich to fakt, iż mam pod sobą zaledwie czterystu ludzi, oddział wysłany, by wybudować fort i przygotować umocnienia. Nigdy nie przypuszczałem, że będę musiał ruszyć do akcji przed przybyciem głównych sił z następnym monsunem, dlatego też opuszczając placówkę i biorąc udział w pana akcji, ryzykuję utratę rangi i stanowiska. Niemniej Kompania kocha pana niczym syna i mogę równie dużo stracić, odmawiając przyłączenia się do pana. W tej zatem kwestii uczynię to, co podpowiada mi rozsądek, a mówi mi on dokładnie to samo co panu. Drugą kwestią jest desant wśród fali przybojowej. Jak sam pan to wyłożył, w tym zasadza się główny problem. Nasze siły opierać się będą na pańskiej piechocie morskiej, wydzielonych przez pana marynarzach oraz kilku moich kompaniach. Powiedzmy, iż razem będzie to około sześciuset ludzi, lądowanie musi więc być bardzo starannie zaplanowane. Moi ludzie niezbyt znają się na łodziach, zwłaszcza sipaje. Desant oraz zniszczenie francuskich umocnień musi przebiec szybko i sprawnie, w przeciwnym razie słono zapłacimy, zwłaszcza kiedy wojska wroga wymaszerują z Saint Denis i innych miejsc. Jeśli przedstawi mi pan pomysł na rozwiązanie tego problemu, płynę z panem.

— Nie będę ukrywał, iż zachodni brzeg wyspy nie jest mi dobrze znany — powiedział Jack. —

Dwóch z moich kapitanów zna jednak te wody bardzo dobrze. Posłuchajmy ich opinii.

Pułkownik Keating marzył tylko o tym, by rozwiano jego wątpliwości, i przyklasnąłby pomysłowi, nawet gdyby kapitan Corbett przekonywał go z daleko mniejszą żarliwością. Według kapitana

„Nereide”, lądowanie po zachodniej stronie wyspy, na północ od St Paul, było dziecinnie proste, jeżeli tylko wiatr utrzyma południowo-wschodni kierunek, co zresztą działo się przez trzysta dni w roku.

Słowa Corbetta potwierdził dodatkowo kapitan Clonfert, który dodał, że nawet przy zachodnim wietrze podjąłby się wysadzenia tysiąca ludzi w pewnej osłoniętej zatoczce, a jego czarnoskóry pilot znał wiele szczelin w rafach. Zadowolenie pułkownika Keatinga prysnęło jednak, gdy obaj dowódcy

poczęli się kłócić co do wyboru miejsca lądowania. Clonfert dowodził, iż najbardziej dogodnym miejscem jest zatoczka St Giles, podczas gdy Corbett utrzymywał, iż tylko skończony dureń mógłby chcieć lądować gdzieś indziej aniżeli na Pointe des Galets. Clonfert protestował, mówiąc, że miejsce to znajduje się aż siedem mil od St Paul. Corbett odparł zaś, że jego zdaniem opinia doświadczonego kapitana mianowanego, pływającego na tych wodach od wielu lat zarówno w trakcie tej wojny, jak i ostatej ma większe znaczenie aniżeli zdanie młodego dowódcy slupa*.

* W oryg.: (...) *he conceived the opinion of a post-captain (...) to carry more weight than that of a very young commander.* Corbett czyni aluzję do różnicy w randze: commander — dowódca jednostki nie klasyfikowanej, np. slupa, post captain — kapitan mianowany, dowódca jednostki klasyfikowanej, uzbrojonej w 32 działa.

Pułkownik przybrał zatem sztywną, oficjalną pozę, a obaj kapitanowie kłócili się coraz zażarciej, odsłaniając coraz więcej osobistych uprzedzeń, póki Jack surowym głosem nie przywołał ich do porządku. Towarzystwo oficerów marynarki stało się dla pułkownika jeszcze mniej przyjemne, gdy w trakcie obiadu lord Clonfert niespodziewanie przeprosił wszystkich i opuścił namiot. Bładość na jego twarzy była równie intensywna jak wywołana kilkoma słowami Jacka na osobności purpura przed rozpoczęciem posiłku.

— Lordzie Clonfert — powiedział wówczas komodor — niezwykle mi przykro, że zmuszony jestem oglądać takie spektakle osobistych animozji, a czuję się tym bardziej zgorzony, że coś takiego musiał ujrzeć pułkownik Keating. Zapomina pan o szacunku wobec oficerów wyższych stopniem. Nie życzę sobie, by takie sceny jeszcze kiedykolwiek się powtórzyły.

— Na Boga, Stephen! — wykrzyknął Jack, wchodząc na galeryjkę rufową „Raisnable”, gdzie zasiadał doktor, zamyślony i wpatrzony w brzeg. — Ten Keating to naprawdę niezwykły człowiek! Doprawdy można by go wziąć za marynarza! Pyta na przykład: „O której życzy pan sobie, by moi ludzie znaleźli się na pokładzie?” Ja mu na to: „Czy zdąży pan na szóstą?”, a Keating: „Doskonale, sir”, odwraca się i mówi do majora O'Neila: „Zwijać obóz”. Namioty znikają w okamgnieniu bez

zbędnej gadaniny, a jedynym życzeniem pułkownika jest to, żeby Hindusom nie dawać solonej wołowiny, a mahometanom solonej wieprzowiny. Uwielbiam takich żołnierzy jak on! Za trzy godziny będziemy gotowi do wyjścia na morze! Na „Nereide” już trwają przygotowania do przyjęcia pierwszej

partii żołnierzy. Nie cieszysz się?

— Och, niezwykle się cieszę, wierz mi. Lecz wnioskuję, iż nie masz zamiaru wydawać żadnych przepustek na ląd i zaraz znowu nas popędzisz, tak jak popędziłeś nas od tego rodzącego wieloryba przy przylądku Agulhas? Poprosiłem pana Lloyda o łódź, niewielką łódkę, lecz ten odparł, że jeśli wypuści mnie na ląd bez twojego pozwolenia, to własnoręcznie obedrzesz go ze skóry. Potem dodał z

szyderyczym chichotem, że według niego komodor rozkaże podnieść kotwicę przed wieczornym odpływem. A pomyśl, czy załoga nie skorzystałaby na kilku godzinach hasania na lądzie, nie dalej niż na samej plaży? Zgodzisz się ze mną?

— Niech cię Bóg błogosławi — powiedział Jack. — Będziesz miał swą łódź i prawo do zebrania tylu

robali, ile dasz radę w dwie i pół godziny. Pamiętaj jednak, że dwie i pół godziny oznacza dokładnie dwie i pół godziny, ani minuty dłużej. Poślę z tobą Bondena.

— Doktorze Maturin? — niespodziewanie usłyszał Stephen, kiedy za sobą miał już mozół spełnienia w dół rufowej drabinki liniowca, a sam szukał stopą oparcia na burcie łodzi. Do liniowca przybijała właśnie szalupa z „Ottera” z okrzykującym go młodym midszypmenem.

Stephen spojrzał surowo na młodzieńca przez ramię. Posłańcy tacy jak on nawiedzali go przez całe jego życie zawodowe na lądzie, psując mu mnóstwo koncertów, wizyt w teatrze i w operze czy zaproszeń na obiad, tylko dlatego, że jakiś półgłówek akurat próbował coś osiągnąć, łamiąc nogę czy udając atak.

— Niech się pan poradzi mojego asystenta, panie Carol — powiedział.

— Doktor McAdam przesyła panu serdecznie pozdrowienia — ciągnął midszypmen — i byłby panu

wdzięczny za jak najszybszą poradę.

— Piekło i szatani — zaklął Stephen. Wspiął się na pokład, wepchnął kilka instrumentów medycznych do torby i uchwyciwszy ją w zęby, zszedł z powrotem do łodzi.

Doktor McAdam, trzeźwy, lecz zatroskany, powitał go na pokładzie „Ottera”.

— Panie doktorze, życzył pan sobie obejrzeć ten przypadek w fazie szczytowej — oficjalnie powitał Stephena. — Proszę pod pokład. To w istocie kryzys, szlag by to trafił... — powiedział, kiedy byli już

sami. — Kryzys, że niech go jasna cholera weźmie. Cieszę się, iż mogę się z panem skonsultować, panie kolego. Doprawdy nie wiem, jak sobie z tym poradzić.

Poprowadził Stephena do kajuty kapitańskiej, gdzie ten ujrzał zgiętego z bólu kapitana Clonferta.

— To bardzo miłe... Jestem panu wdzięczny... Przykro mi, że muszę pana przyjmować w takim stanie... — Lord próbował opanować cierpienie i z szacunkiem powitać Maturina, jednakże nowy atak

bólu uciął jego wypowiedź.

Stephen zbadał go bardzo dokładnie, zadał kilka pytań, przeprowadził jeszcze jedno badanie i obaj lekarze opuścili kajutę. Ciekawscy marynarze, próbujący podsłuchać cokolwiek z ich rozmowy, niewiele rozumieli z łaciny w ustach obu doktorów, niemniej jasne było, iż doktor Maturin nie zgadzał

się z diagnozą doktora McAdama, który tłumaczył zapaść rwą kulszową, ani tym bardziej z jego pomysłem użycia balsamu Lucatellusa. Z drugiej strony, był skłonny się zgodzić z diagnozą spazmów klonicznych. Uważał zaś, że doktor McAdam powinien rozważyć podanie dawki dwudziestu minimów *helleborus niger* wraz z czterdziestoma kroplami paramorfiny i sześćdziesięcioma kroplami

środka wymiotnego na bazie octu, wody i wina jako środka tymczasowego. Widział, jak ów środek podziałał w przypadku bóleści u pewnego bogatego intendenta, który obawiał się wykrycia malwersacji po zawinięciu okrętu do portu. Ten przypadek był jednak szczególny i bardzo

interesujący, zdecydowanie nadawał się na dłuższe omówienie. Doktor Maturin zasugerował podanie wspomnianych przez siebie środków uśmierzających, a po zastosowaniu u kapitana lewatywy, zaproponował zejście na ląd i omówienie dolegliwości w szerszym aspekcie. Podkreślił przy tym, iż spacer zawsze dobrze robił na pracę jego umysłu. Podsluchujący rozpięchli się, kiedy pojawił się posłaniec, i zgromadzili się na nowo po jego odejściu, lecz z rozmowy na temat wydzielania leków już niewiele zrozumieli. Ich jedynym spostrzeżeniem było to, że z kajuty kapitańskiej przestały dobiegać jęki, a potem usłyszeli słowa doktora Maturina, mówiącego McAdamowi, iż będzie zaszczycony, mogąc asystować temuż podczas otwarcia ciała na wypadek zaistnienia odwrotnych rezultatów. Na burtę odprowadziło go kilka wymownych spojrzeń — załoga „Ottera” szczerze kochała swego kapitana.

Obaj lekarze spacerowali po plaży wśród uwijających się jak w ukropie żołnierzy, potem przeszli przez park żółwi, gdzie strapiony francuski superintendent błąkał się wśród sięgających mu do pasa setek swoich ulubieńców, po czym skierowali się w głąb wyspy. Ich spacer trwał aż do chwili, kiedy huk fal uderzających w rafę przerodził się w ciągły, monotony grzmot. Po drodze Stephen dostrzegł stadko lecących niezidentyfikowanych papug, widział też kilka frankolinów, parę ciekawych jaskiń oraz pewien rodzaj figowca, którego zwisające gałęzie tworzyły zacienione arkady, będące schronieniem dla setek roślinożernych nietoperzy wielkości sporego gołębia. W tym samym czasie jego medyczny umysł nadążał za wywodem doktora McAdama, który szczegółowo opowiadał mu o zwyczajach pacjenta, jego diecie i stanie umysłu. Zgadzał się co do tego, iż przyczyną dolegliwości nie mógł być uraz fizyczny.

— To tu tkwi problem — powtórzył kilkakrotnie McAdam, stukając się palcem w łysą, nagą i pokrytą nieprzyjemnymi, żółtawymi plamami głowę.

„Jeszcze całkiem niedawno nie byłeś tak pewien swej diagnozy, z tą twoją rwą kulszową i

uwięźnięciem jelit" — pomyślał Stephen.

— Wnioskuje, iż zna pan pacjenta od dawna? — spytał już na głos.

— W istocie, znałem go, gdy był dzieckiem. Byłem lekarzem jego ojca, a z lordem Clonfertem pływałem przez wiele lat.

— *A peccatum illud horribile inter Christianos non nominandum*, co pan na to powie? Wiem, iż może to być przyczyną osobliwych boleści, choć z reguły dotyczą one skóry i nie bywają aż tak silne.

— Ma pan na myśli seks analny? Nie, o tym bym wiedział. Lord Clonfert uprawia miłość dość często,

ale z płcią przeciwną. Choć w istocie... — McAdam przystanął, czekając, aż Stephen oczyści korzenie

wykopanej z ziemi roślinki i zawinie ją w chustkę — ...mądrym człowiekiem jest ten, kto do końca odróżnia charaktery obu płci. Mężczyźni mają bowiem na lorda Clonferta znacznie większy wpływ aniżeli kobiety. Clonfert jest wprawdzie otoczony kobietami, nie dają mu one spokoju, ścigają go całymi stadami i przysparzają mu wielu trosk, ale tak naprawdę to martwi się jedynie mężczyznami.

Wiedziałem już to wiele razy. Kryzys, z którym teraz musimy się uporać, został moim zdaniem spowodowany tym, iż Clonferta zaszachował pański kapitan Aubrey. Już z Corbettem było źle, ale Aubrey... Słyszałem o nim bez przerwy, na długo nim jeszcze komodor dotarł na Przylądek. Clonfert czytał wszystkie wzmianki o Aubreyu czy Cochranie w „Gazette” na setki sposobów, analizował je, wyolbrzymiał, pomniejszał, chwalił, wyszydzał, porównywał ich akcje z własnymi... Nie może o nich

zapomnieć, osiągnięcia Cochrane'a czy Aubreya prześladują go w dzień i w nocy. Ech, szlag by trafił jego fantasmagorie! Czy on musiał sobie ubrdać, że zostanie Aleksandrem Macedońskim? Chce pan przepłukać usta? — Ostatnie zdanie McAdama było już powiedziane innym tonem, a on sam wyciągnął piersiówkę.

— Nie, dziękuję — odparł Stephen. Jak dotąd niepisane zasady prowadzenia dyskusji na tematy medyczne trzymały na wodzy język Mc Adama, poskramiając nawet jego chrapliwy, barbarzyński

akcent. Alkohol jednakże szybko wyzwolił przepity umysł Ulsterczyka i jego towarzystwo naraz stało się dla Stephena nużące. Na szczęście dolna krawędź słońca znajdowała się zaledwie na wysokości dłoni nad horyzontem. Zawrócił zatem i wraz ze snującym się za nim Mc Adamem skierował się ku łodzi, przechodząc przez niemalże całkowicie opustoszałe obozowisko i pustą plażę.

— Pragnąłbym, by pan zauważył, komodorze — oznajmił, wbiegając na nadbudówkę rufową — iż dotarłem na pokład rufowy siedem minut przez wyznaczonym czasem i że chciałbym, by zostało mi to zrekompensowane, kiedy obowiązki służbowe pozwolą na ponowne zejście na ląd.

Na razie jednak obowiązki służbowe wymagały od Stephena, wszystkich załóg oraz trzystu sześćdziesięciu ośmiu żołnierzy pokonania dystansu stu mil morskich dzielących Rodriguez od reszty dywizjonu z maksymalną prędkością, na jaką było stać ciężko załadowaną „Nereide”. Znacznie wygodniejszym rozwiązaniem byłoby umieszczenie wojska na przestronniejszym „Raisable”, lecz Jack nie chciał ryzykować utraty cennego czasu w związku z transportowaniem żołnierzy z powrotem na fregatę, zwłaszcza gdyby morze się wzburzyło. Zdecydował się bowiem na sugerowane przez Corbetta lądowanie przy Pointe des Galets — desant miała przeprowadzić „Nereide”, okręt o niewielkim zanurzeniu, z załogą zaznajomioną z lokalnymi warunkami. Tak więc zatłoczona ponad miarę fregata żeglowała teraz ku zachodowi, ciągnąc za sobą zapach orientalnej kuchni.

Oczekiwały ich dwa dni żeglugi w akompaniamencie trzeszczenia nadających się już do wymiany rei, bomów, gafli, a nawet steng. Wieczorem drugiego dnia podróży spotkali się z „Boadiceą” i „Siriusem”, oczekującymi w umówionym miejscu na północny zachód od wyspy Mauritius. Morze było wzburzone i ociekający wodą kapitan Pym, bezlitośnie wezwany przez Jacka na zalewane ciepłymi, zielonymi falami śródokręcie liniowca, przekazał, że z tego, co sami zauważyli, obie jednostki nie zostały odkryte z lądu. Pym zdobył wiarygodne źródło informacji — zatrzymał bowiem dwie łodzie rybackie w dużej odległości od brzegu, a ich załogi zdradziły mu, że na „Canoniere” pozostawiono ledwie czternaście dział. Komisja nadzorcza zdeklasyfikowała go jako okręt wojenny, a

w chwili obecnej przygotowywano go do wyruszenia za jakiś miesiąc do Francji z ładunkiem handlowym. Z ciężkich fregat w Port-Louis stacjonowała obecnie tylko „Bellone”. „Manche” i „Venus” odpłynęły jakiś czas temu na północny wschód z zapasami na sześć miesięcy rejsu.

Wzburzone morze, wzmagający się wiatr i niespodziewane tropikalne ciemności uniemożliwiły zwołanie narady wojennej. Po tym, jak na wpół utopiony Pym dotarł na swój okręt, Jack wezwał „Boadiceę” na zawietrzną liniowca i starając się przekrzyczeć ryk wiatru, rozkazał Eliotowi udać się z maksymalną prędkością do St Paul.

— Z maksymalną prędkością! — podkreślił, starając się, by jego wrzask był jak najwyraźniejszy. — Niech pan tam na nas czeka na otwartym morzu i blokuje Francuzów, póki do pana nie dołączymy! Niech szlag trafi reję czy dwie, jeśli to będzie konieczne!

Ogień „Boadicei” był w stanie zatrzymać Francuzów, gdyby w istocie chcieli wydostać się z portu.

Następnego dnia samo Saint-Louis oraz niespokojne wiatry i prądy na zawietrznej Mauritiusa pozostały daleko za rufą eskadry. Morze było spokojne, co pozwoliło na przetransportowanie piechoty

morskiej oraz setki marynarzy na „Nereide”. Kapitanowie okrętów oraz pułkownik Keating i jego sztab zgromadzili się w kajucie kapitańskiej na „Raisnable”, a komodor raz jeszcze przedstawił plan

ataku. Stephen był obecny na naradzie, zdawkowo przedstawiony przez Jacka jako desygnowany przez gubernatora doradca polityczny. Słowa Jacka wywołały pełne zdziwienia spojrzenie Corbetta i zaskakująco przyjazny uśmiech na twarzy Clonferta, ale reszta zebranych nie zwróciła na to zbyt wiele uwagi, przejęta zbliżającymi się wydarzeniami. Clonfert był blady i wyglądał na osłabionego znacznie

bardziej, niż Stephen przypuszczał. Tuż przed rozpoczęciem narady lord zresztą odwiódł Maturina na bok, nader uprzejmie i gorąco dziękując za pełną troski opiekę. Nie odzywał się przez większą część narady, dopiero pod koniec, pchnięty niewytłumaczalnym dla Stephena impulsem, zaproponował, że poprowadzi oddział marynarzy. Znał trochę kraj, a ponadto mówił po francusku. Propozycja była

sensowna, więc Jack się zgodził, spojrzął po zebranych i zapytał, czy ktoś ma jeszcze jakąś sprawę do

przedstawienia.

— Doktorze? — zaprosił go do zabrania głosu, gdy tylko dostrzegł jego spojrzenie.

— Tak, mam jedną sprawę — powiedział Stephen. — Po zdobyciu St Paul z politycznego punktu widzenia kwestią priorytetową będzie dobre traktowanie mieszkańców miasta. Jakikolwiek akty grabieży, gwałtu czy niestosownego zachowania zostaną bardzo surowo ocenione przez opinię publiczną.

Zebrani przybrali poważne miny, rozległ się pomruk aprobaty dla słów Stephena. Wkrótce Jack powstał, życzył wszystkim dobrej nocy, a na zakończenie powiedział:

— Jutro czeka nas pracowity dzień, panowie, a jeśli utrzyma się ten błogosławiony wiatr, dzień ten zacznie się niezwykle wcześnie. Jeśli o mnie chodzi, mam zamiar się położyć od razu po zmianie wachty.

W istocie położył się, lecz zasnąć nie mógł. Po raz pierwszy w swojej karierze żeglarza leżał z otwartymi oczyma, słuchając wiatru, śledząc kompas zawieszony nad koją i co godzinę wychodząc na pokład, by spojrzeć na niebo. Ów błogosławiony wiatr nie dość, że nie zelżał ani nie zboczył w kierunku groźnego zachodu, to jeszcze wzmógł się tak, iż na początku środkowej wachty zmusił do zredukowania żagli.

Wyszedł na pokład znowu podczas zmiany wachty. Bardziej wyczuwał, niż widział zarys lądu gdzieś ze strony dziobowej ćwiartki lewej burty, a kiedy oczy przyzwyczały się do ciemności, dostrzegł wysokie góry La Reunion, odcinające się wyraźnie od rozgwieżdżonego nieba. Zerknął na zegarek przy lampie podświetlającej kompas i pospacerował chwilę po pokładzie rufowym.

— Hej tam, wybierać buliny! — krzyknął.

— Pierwsza, druga, trzecia, obkładać! — odpowiedział mu czyjś głos.

— Buliny wybrane, sir — zameldował oficer wachtowy i marynarze powrócili do szorowania

pokładów.

„Ciekawe, co na to wszystko Corbett" — pomyślał Jack. „Z siedmioma setkami ludzi na pokładzie nie

ma gdzie szpilki wetknąć, a co dopiero wymachiwać szczotką!"

Znów spojrzął na zegarek, zszedł do kajuty nawigacyjnej, by porównać czas z chronometrem, i jeszcze raz sprawdził wyliczenia.

— Przekazać na „Nereide": „Wykonać rozkaz" — polecił po wyjściu na pokład i kolorowe lampki pomknęły po wantach w górę. „Nereide" potwierdziła i po chwili ujrzał niewyraźny kontur fregaty, zdejmującej refy, stawiającej bramsle i zmieniającej kurs o dwie rumby, by ciągnąc za sobą wianek łodzi, pomknąć w stronę lądu.

Według planu fregata miała podejść do brzegu samotnie, by nie wzbudzać podejrzeń. Grupy desantowe miały z zaskoczenia zająć baterie obejmujące zasięgiem redę, po czym pozostałe okręty wojenne miały wpłynąć i rozprawić się z okrętami francuskimi i samym miastem. Na razie zgranie w czasie było idealne, a Corbett miał wystarczająco dużo światła dziennego do przeprowadzenia desantu. Jack nie przepadał za nim, lecz pokładał duże nadzieje w jego znajomości wybrzeża. Po wylądowaniu oddziały desantowe miały jednakże do przejścia siedem mil i oczekiwanie na atak zapowiadało się długie i nużące. Jack podjął swój spacer. Siedem mil marszu, a jedyną rzeczą, jaką on

sam mógł w tym czasie zrobić, było skradanie się na bramslach w kierunku St Paul! Jego uwagę przykuł piasek, przesypany się w półgodzinnej klepsydrze — górna część przesypała się, klepsydrę obrócono, rozległ się czysty odgłos dzwonu i miliony ziarenek piasku na nowo rozpoczęły swą podróż. Jeśli wszystko poszło dobrze, lądowanie właśnie się rozpoczęło. Klepsydra jeszcze raz się obróciła, i jeszcze raz, a niebo na wschodzie poczęło z wolna jaśnieć. Jeszcze jeden obrót klepsydry, jeszcze jedna seria uderzeń w dzwon.

— Może pan wołać załogę na śniadanie, panie Grant — odezwał się Jack. — Potem oczekuję

przygotowania okrętu do boju.

Odgrywając całkowite opanowanie, wszedł do swej kajuty i już w progu poczuł zapach grzanek i kawy. Skąd u Killicka takie wycucie czasu?

Stephen siedział pod kołyszącą się lampą, dawno umyty, ogolony i starannie odziany.

— Wyglądasz osobliwie, bracie — powitał go.

— I tak też się czuję — powiedział Jack. — Zdajesz sobie sprawę z tego, Stephen, iż za mniej więcej godzinę redę spowije dym armatni, a ja poza ustawieniem okrętów i wydaniem rozkazów nie będę miał nic do roboty? Ja będę wydawał rozkazy, a inni będą odwalać całą robotę! Nigdy tak nie było i niezbyt mi się to podoba, choć Sophie z całą pewnością by się z tego ucieszyła.

— Skoro już o Sophie mowa, ucieszyłaby się również, gdybyś wypił swoją kawę, póki gorąca, i miałyby rację. Nic bardziej nie rozprasza człowieka wierzącego w pełną kontrolę nad swym ciałem niż

pusty żołądek. Pozwól, iż napełnię twą filiżankę.

Stukanie młotków pomocników cieśli okrętowego, demontujących ścianki grodziowe było coraz bliżej

i kajuty znikły jedna po drugiej, tworząc wolny przestrzał na dziobie i rufie. Stary „Raisnable” niewiele mógł pomóc w boju i demontaż ścianek był raczej gestem symbolicznym, niemniej znajomy odgłos oraz smak kawy i grzanek pomogły Jackowi powrócić do normalnego stanu ducha. Naraz w progu stanął cieśla okrętowy we własnej osobie, przeprosił i zawahał się, nie wiedząc, co rzec.

— Proszę kontynuować, panie Gill — powiedział uprzejmie Jack.—Niechże pan się nie przejmuje naszą obecnością.

— To wbrew przepisom, sir, zdaję sobie z tego sprawę — nieoczekiwanie zamiast zabrać się do pracy

cieśla podszedł do stołu — i proszę o wybaczenie mojej śmiałości. Martwi mnie nadchodząca bitwa, sir. Służę na „Raisnable” od dziecka przez dwadzieścia sześć lat, znam jego kadłub i z całym szacunkiem, sir, ale każda kanonada źle się dla nas skończy.

— Panie Gill, obiecuję wydawać rozsądne rozkazy. Rozsądne*, chwyta pan? — Na twarzy Jacka na moment pojawił się wyraz dawnej wesołości.

* Nieprzetłumaczalna gra słów. Nazwa okrętu „Raisable” oznacza po francusku „rozsądny”, a angielski odpowiednik tego słowa brzmi bardzo podobnie — „reasonable”.

Cieśla również się uśmiechnął, lecz bez przekonania.

Jack znów wyszedł na pokład. Wstawał dzień i było coraz jaśniej — eskadra wpływała właśnie do szerokiej, płytkiej zatoki, ogrodzonej ciągnącym się na lewej burcie cyplem Pointe des Galets, sięgającym w morze daleko na zachód. Nad brzegiem zatoki kwitło miasto St Paul, będące teraz w od-

ległości ledwie pięciu mil, a za nim widniały potężne, dzikie, kryjące wschodni horyzont góry.

„Boadicea” czuwała nieopodal. Wiatr utrzymywał południowo-wschodni kierunek, lecz pomarszczone

fale przy brzegu wskazywały również na obecność osobliwych, lokalnych wiatrów. Jack ujął lunetę i uważnie przestudiował całą długość cypla w poszukiwaniu „Nereide”. Przybój na zewnętrznej rafie nie był intensywny, a na samych plażach jeszcze łagodniejszy. Naraz ujrzał fregatę, niemalże unieruchomioną przez ciszę morską na zawietrznej cypla, próbującą powoli wydostać się z matni fal.

W tym samym momencie dostrzegł fregatę porucznik sygnalista i odczytał jej sygnał.

— „Nereide” przekazuje, iż oddziały zostały wysadzone na ląd! — zameldował.

— Bardzo dobrze, panie... — Nazwisko młodzieńca całkiem mu umknęło. Skierował teraz lunetę na wybrzeże zatoki i ciągnącą się na płaskim podmokłym gruncie groblę, aż ujrzał trzy zgrupowania własnych sił. Najpierw dostrzegł czerwień równej kolumny żołnierzy, za nimi błękit mniejszej, bardziej bezwładnej, lecz zwartej grupy marynarzy, na końcu zaś maszerowali sipaje. W tej chwili już

byli znacznie bliżej St Paul, aniżeli ośmieliłby się marzyć, lecz czy uda im się zająć baterie z zaskoczenia? Przeraziło go, jak bardzo widoczne z morza były czerwone mundury piechoty brytyjskiej.

— „Boadicea” sygnalizuje! — odezwał się ponownie sygnalista. — „Nieprzyjaciół w polu widzenia na wschodzie”.

To mogło tylko oznaczać, że „Caroline” nie próbowała sforsować blokady „Boadicei”.

— Dziękuję, panie Graham. — Wreszcie przypomniał sobie jego nazwisko. — Przekazać na fregatę: „Powrót do szyku”, a do reszty dywizjonu: „Stawiać żagle”.

Kiedy mówił te słowa, nagły podmuch wiatru wprowadził w drgania kliwer liniowca. Podobnie jak każdy

człowiek na pokładzie, zerknął w górę, na chmury gromadzące się nad wyspą, lecz masy ciemnych obłoków nie zwiastowały niczego przerażającego. Czyżby jednak wiatr miał w końcu przestać im sprzyjać? Podmuch zniknął jednak tak szybko, jak się pojawił, i okręty „Raisonable”, „Otter” i

„Sirius” nadal płynęły szybko i pewnie w kierunku St Paul i pilnujących jej potężnych baterii. Kolejne pół godziny, podczas gdy każdy człowiek na pokładzie, czy to otwarciem, czy ukradkiem, śledził rozwój

wydarzeń na lądzie, dłużyło się jednakże w nieskończoność.

Równe kolumny maszerującego wojska zatraciły swój kształt, kiedy żołnierze poderwali się do biegu.

Byli coraz bliżej Lambousiere, pierwszej z baterii pilnującej podejścia do St Paul, coraz bliżej, aż wreszcie drzewa ukryły ich przed wzrokiem Jacka. Oczekiwanie było nieznośne — wyobraźnia podpowiadała mu, że zaraz usłyszy huk ciężkich francuskich dział ślących kartacze prosto w zwarte szeregi piechurów, ale miast tego wiatr przyniósł jedynie słabe echo okrzyków natarcia i odległy trzask ognia muszkietowego. Naraz ujrzał tłumy żołnierzy w czerwonych mundurach, wdzierające się na szaniec z następującymi im na pięty marynarzami i od razu szarżujące ku kolejnej baterii, La Centiere. Trzy okręty dywizjonu wciąż sunęły w martwej ciszy, „Boadicea” płynęła na kursie kontaktowym z zachodu, a „Nereide” próbowała się przedrzeć z północy. Za pięć minut mieli się znaleźć w maksymalnym zasięgu trzeciej baterii, czterdziestodziałowej La Neuve, znajdującej się przy

samym mieście. Port wraz z francuską „Caroline” i dwoma zdobytymi statkami Kompanii otwierał

się

właśnie przed nimi, Jack zaś widział już pełne wojska łodzie, kursujące gorączkowo między fregatą a brzegiem. Za fregatą, tam gdzie stały oba statki Kompanii, jakiś bryg i kilka mniejszych jednostek, panowało ogromne zamieszanie. Za miastem również chaos rozgorzał w najlepsze — zdążyły się już uformować dwie wyraźne linie ognia muszkietowego, co wskazywało, że obrona okrzepła i Francuzi nie mieli zamiaru oddać pozycji. Pośród zamętu w porcie ktoś jednak zachował przytomność umysłu, gdyż niespodziewanie „Caroline” rozpoczęła zwrot. Najprawdopodobniej wyłożyła szpryng, gdyż Jack dostrzegł na jej pokładzie marynarzy uwijających się przy kabestanie. Po dokonaniu zwrotu fregata otworzyła celny, gwałtowny ogień w stronę nacierających Anglików, a w chwilę później przyłączył się do niej bryg. W momencie gdy oba okręty rozpoczęły ostrzał, niespodziewanie odpowiedziały im działa z baterii Lambousiere — to brytyjscy marynarze odwrócili zdobyte działa

na jednostki w porcie i otworzyli ogień. Na maszcie nad baterią załopotała brytyjska flaga. W tej samej chwili wymiana ognia muszkietowego przy La Centiere osiągnęła swój szczyt, po czym na szaniec wdarli się Anglicy. Świeżo zdobyte działa włączyły się do kanonady. Kłęby dymu spowijały port coraz gęściej niczym ogromna chmura z błyskawicami w centrum.

Jack rozejrzał się wzdłuż szyku eskadry. „Boadicea” zajęła swoje miejsce na czele, „Nereide” zaś wciąż była jeszcze pół mili za ostatnim z okrętów. Nie było wyjścia — musieli przepłynąć pod ostrzałem trzeciej baterii, zmienić hals i bardziej zbliżyć się do lądu. Zasięg dział okrętowych obejmował już teren miasta, lecz Jack nie odważył się otworzyć ognia w stronę trwającej bitwy.

Nawet salwa burtowa w „Caroline” mogła oznaczać ryzyko trafienia własnych ludzi walczących z Francuzami na brzegu tuż za okrętem. Brak możliwości uczynienia czegokolwiek ranił jego serce, a na

domiar złego odniósł wrażenie, iż natarcie oddziałów pułkownika Keatinga załamywało się.

Przerażająco powoli, w ciszy sunęli prosto na działa baterii La Neuve. Oczekiwanie dobiegało kresu — wkrótce powietrze zaczęły ze świstem rozdzierać pierwsze francuskie kule. Mieli już baterię na

pełnym trawersie i z tej odległości Jack mógł dostrzec nawet paszcze dział.

Nie odezwało się jednak żadne z nich — przy francuskich armatach nie było już bowiem żywego ducha. Kanonierzy albo uciekli w popłochu, albo dołączyli do obrońców. Chaos w mieście wskazywał

wyraźnie, że szyki Francuzów zostały złamane, a oni sami wycofywali się na wzgórze. A mimo to z portu nadleciały kule armatnie. To „Caroline”, wciąż odpalająca w stronę angielskich oddziałów salwę

za salwą ze ster-burty, wyszczerzyła na powitanie eskadry rząd dział bakburty. Fregata skoncentrowała swój ogień na okręcie flagowym i już po pierwszej salwie kule trzykrotnie ugodziły kadłub „Raisnable”, a jedna uderzyła w grotmars. W rozciągnięte nad pokładem rufowym siatki ochronne spadł bom żagla bocznego, kilka bloków i trochę innych szczątków. Następne kule wyrwały garść hamaków z siatek na śródokręciu, lecz eskadra wciąż nie mogła odpowiedzieć ogniem.

— Zapisał pan czas, panie Peter? — zapytał Jack, plotąc węzły na zabłąkanym fale sygnałowym.

— Natychmiast, sir! — wykrzyknął Peter. Bładość twarzy sekretarza, miejscami przechodzącą w żółć, jeszcze bardziej podkreślał jego czarny ubiór. Jednodniowy zarost był już wyraźny. —

Siedemnaście minut po ósmej!

Ależ gwałtowny był ogień francuskiej fregaty! Okręt wroga był teraz całkowicie spowity w całunie własnego dymu armatniego, lecz jego dwudziestoczerofuntowe kule trafiały w cel z przerażającą precyzją.

— Podziwu godne wyszkolenie — oznajmił Jack swemu sekretarzowi.

Kolejna salwa wyszarpała wielkie dziury w siatce z hamaków, a trzech marynarzy zważyło się na pokład. Klepsydra odwróciła się przy akompaniamencie uderzenia w dzwon.

— Panie Woods — Jack zwrócił się do nawigatora korygującego kurs okrętu — kiedy tylko kościół i tamta wieża będą na jednej linii, wykonamy zwrot przez dziób. Panie Graham, proszę przygotować następujące sygnały „Zmiana halsu w szyku na wystrzał z działa” oraz „Podejść do walki z bliskiego

dystansu".

Minuty mijały jedna po drugiej, aż wreszcie ryknęło działo sygnałowe. Dywizjon wykonał zwrot płynnie niczym maszyna, najpierw „Boadicea”, za nią „Sirius”, „Raisonable”, „Otter” i zamykająca szereg „Nereide”. Brytyjskie okręty płynęły teraz bajdewindem, lecz zdradliwa bryza znad lądu znacznie zredukowała ich prędkość. Wciąż byli w zasięgu francuskich dział i w miarę jak odległość malała, do kanonady dołączyły zdobyte statki Kompanii i bryg, a wraz z nimi każda uzbrojona jednostka w porcie. Sytuacja w mieście jednakże była już opanowana, flagi brytyjskie powiewały na każdej baterii z wyjątkiem jednej, a z tej odległości artylerzyści na okrętach dywizjonu mogli wreszcie odróżnić nieprzyjaciół od swoich. Jeden po drugim Anglicy poczęli odpłacać się Francuzom za celne pociski — najpierw w cel wstrzelała się „Boadicea”, po niej „Sirius” odpalił pół salwy burtowej, a i sam „Raisonable” otworzył niezbyt silny, powolny ogień. „Nereide” i „Otter” mogły na razie używać jedynie dział na dziobie.

„Eliot dobrze się zna na walce z bliskiego dystansu” — pomyślał Jack. „Boadicea” wstrzymała ogień i płynęła prosto na dziób „Caroline” znajdującej się teraz o dwadzieścia pięć jardów od brzegu.

Utrzymawszy tę prędkość dłużej, z pewnością weszłaby na mieliznę w ciągu następnych kilku minut.

— „Boadicea” prosi o pozwolenie na rzucenie kotwicy! — ktoś krzyknął mu do ucha.

— Zgoda! — odparł Jack i zwrócił się ku oczekującemu cieśli okrętowemu.

— Pięć stóp wody w zęzie, sir — zameldował pan Gili. — Kadłub się rozpada od naszych własnych dział!

— Panie Woods, ostro do wiatru! — rozkazał Jack, nie spuszczając oczu z idącej do natarcia „Boadicei”. — Obsadzić pompy!

Dostrzegł, jak do wody zsuwa się niewielka kotwica dziobowa fregaty, a zaraz za nią kotwica prądowa. Z żaglami na gejtawach okręt stanął prostopadle do dziobu fregaty francuskiej, w zasięgu strzału z pistoletu od brzegu. Teraz w pełni widział efekty długiego, żmudnego trenowania załogi — „Boadicea” z furią eksplodowała salwami z obu burt, mierząc ku ostatniej baterii, obsadzonej przez Francuzów statkom Kompanii oraz samej „Caroline”. „Sirius” i „Otter” wsparły „Boadiceę” ogniem,

z pewnej odległości dołączyła do nich „Nereide”, a nawet stojący w dryfie „Raisonable” oddał kilka symbolicznych strzałów z pościgówki na rufie. Sercem i duszą Jack był jednakże tylko z „Boadiceą”, w samym centrum bitwy, ciesząc się każdym celnym ciosem swego dawnego okrętu. W połowie obrotu klepsydry trójkolorowa bandera „Caroline” spłynęła na pokład, a bandery na pozostałych okrętach i ostatniej baterii poszły w jej ślady. Jack poczuł radość tak ogromną, jakby Francuzi poddali się jemu samemu, a nie Eliotowi. Wrzaski radości poniosły się na pokładach okrętów dywizjonu, wzmocnione szalonym rykiem na lądzie.

— Panie Warburton, proszę opuścić na wodę barkas — Jack rzekł do swego pierwszego oficera. — Proszę również przekazać moje pozdrowienia doktorowi Maturinowi i powiedzieć mu, że schodzimy na ląd.

Miasto nie ucierpiało wiele od ognia artyleryjskiego, a na placu, na którym spotkali pułkownika Keatinga z grupą oficerów i cywili, nic nie wskazywało na toczącą się niedawno bitwę. Okna w kamieniczkach były otwarte, wokół stały stragany ze świeżymi owocami i warzywami, szumiała fontanna. Wrażenie psuł jedynie całkowity brak mieszkańców na ulicach oraz martwa cisza, tym bardziej dokuczliwa, iż przed chwilą w powietrzu niósł się ryk dział.

— Proszę przyjąć moje gratulacje, pułkowniku—powiedział nienaturalnie głośno Jack, gdy uścisnęli sobie dłonie. — Dokonał pan rzeczy wielkiej. Mam wszelkie powody mniemać, iż miasto zostało zdobyte.

— W istocie możemy tak na razie twierdzić, sir — odparł pułkownik z szerokim uśmiechem na twarzy. — Niemniej pozostałe oddziały Francuzów zbierają się już pewnie na wzgórzach, a oddział Desbrusleysa będzie tu po zmroku. Musimy natychmiast wziąć się do pracy. — Roześmiał się radośnie i naraz dostrzegając Stephena, powiedział do niego: — Ach, jest pan, doktorze, dzień dobry! Pańskie mądre głowy w rządzie będą z nas zadowolone. Moi ludzie są posłuszni niczym owieczki i jak dotąd ich zachowanie nie wywołało ani cienia rumieńca na twarzach miejscowych dziewczyc.

— Czy mogę pana prosić o przydzielenie mi któregoś z pańskich oficerów i kilku żołnierzy, pułkowniku? — zapytał Stephen. — Muszę odszukać mera miasta i szefa tutejszej policji.

— Oczywiście, doktorze. Kapitan Wilson z przyjemnością będzie panu towarzyszył. Proszę jednak pamiętać, iż wielce prawdopodobne jest, że za mniej więcej dwanaście godzin Francuzi zmuszą nas do

odwrotu. Kilka regimentów piechoty i zainstalowane na wzgórzach baterie artyleryjskie skutecznie uniemożliwią nam obronę tego miasta. — Znow się zaśmiał, a śmiech udzielił się całej towarzyszącej

mu grupie. Przestraszone twarze zza zasłon w oknach zerkały ostrożnie na rozbawionych Anglików, a kilku czarnych chłopców wpełzło głębiej pod stragany na rynku.

— Och, panie komodorze! — ciągnął pułkownik. — Gdzie się podziały moje maniery! Oto dowódcy obu statków Kompanii!

— Miło mi panów poznać — powiedział Jack. — Zarazem uprzejmie panów proszę o udanie się na pokłady waszych statków. Obawiam się, że nasz ogień dał im się co nieco we znaki, lecz ufam, iż uda nam się przygotować je do wyjścia na morze przed...

Jego słowa przerwała potężna eksplozja, która wprawiała w drżenie grunt pod nogami. W powietrze wyleciała chmara szczątków murów i obwarowań, po czym rozległ się łoskot opadających na ziemię odłamków. Bateria Lambousiere przestała istnieć.

— O, to pański przyjaciel, lord Clonfert, daje o sobie znać — zachichotał pułkownik. — Bardzo aktywny oficer. Czy teraz, panie komodorze, będziemy mogli przejść do kwestii własności publicznej?

Zajęli się zatem tą sprawą, a potem wieloma innymi. Oczekiwał ich niezwykle pracowity dzień — należało przecież zniszczyć co ważniejsze fortyfikacje francuskie, uwolnić sporą grupę angielskich więźniów i zamknąć znacznie większą grupę jeńców francuskich, zapewnić opiekę medyczną połowie

załogi „Caroline” wraz z jej kapitanem oraz uspokoić całe delegacje przestraszonych obywateli,

księży i kupców. Co więcej, wiatr zaczął spełniać swą wcześniejszą groźbę. Wiał dalej na południe, lecz

zbaczał ku zachodowi, a przybój przybierał na sile z każdą godziną. Na „Caroline”, statkach Kompanii

i brygu „Grappler” oraz kilku mniejszych jednostkach odcięto liny kotwiczne dosłownie w ostatniej chwili i odholowano je w bezpieczne miejsce. „Raisable” osiadł na dnie na czas odpływu, by rozwścieczony pan Gill mógł dotrzeć do rozstępów między deskami poszycia. Każdy oficer, bosman i

cieśla, który mógł być wyłączony z tysiąca innych pilnych spraw do załatwienia, wynosił, co się dało,

z francuskiej stoczni, wymarzonego wprost skarbcza olinowania, płótna żaglowego oraz drzewiec wszelkich rozmiarów. Stephen zaś miał istne urwanie głowy z merem, proboszczem i szefem policji, ale jednocześnie zdołał nawiązać wiele prywatnych kontaktów. Choć nabiegał się zdecydowanie mniej

od reszty oficerów, na spotkanie o zachodzie słońca w kwaterze pułkownika Keatinga — starannie wybranej tawernie blisko portu — przybył jednak równie zmęczony jak pozostali. Po bladych twarzach, częstych ziewnięciach i apatycznych ruchach znać było znużenie, lecz nastrój pozostał bojowy, a angielscy oficerowie wciąż wydawali się radośni niczym skowronki. Pułkownik Keating, podający Jackowi własną niewielką lunetę, by ten przyjrzał się gromadzącym się na wzgórzach nad miastem francuskim oddziałom, był wesoły jak zawsze.

— Dowiedziałem się, że główna kolumna jest prowadzona przez generała Desbrusleysa we własnej osobie — tłumaczył podniesionym głosem, starając się przekrzyczeć huk przyboju. — Zastanawia mnie jednak, dlaczego człowiek tak bojowego ducha nie kazał wpierw rozmieścić swej artylerii. Jest tu kilka miejsc idealnych do zainstalowania baterii, które mogłyby zasypać nas ogniem krzyżowym. Bez wątpienia chce zatem dotrzeć do nas w inny sposób.

Ogarnięty paniką przedstawiciel handlowy Kompanii przemknął nieopodal, gorączkowo poszukując ludzi do przeładunku swego cennego jedwabiu. Minał gromadzące się w porcie dziewczyny i jęcząc

Z

żału, zniknął z pola widzenia. Chichoczące i obejmujące się panny powróciły do obserwacji załóg przy pracy — wciąż żadna z nich nie miała okazji się zarumienić, ale nie porzucały nadziei, mimo iż od nadbrzeża odbijały ostatnie łodzie.

— Czy mógłbyś wytłumaczyć tej dobrej kobiecie, że właśnie odpływamy, Stephen? Ona chyba nie rozumie dobrze po francusku! — szepnął Jack na osobności, po czym zwrócił się do zebranych: —

Panowie, nie chcę was popędzać, lecz wydaje mi się, iż czas wrócić na okręty. Jeśli pogoda pozwoli,

jutro powrócimy na ląd i dokończymy dzieła. Załogi odpoczną, a... — tu spojrzał na Stephena — ...w świetle dziennym nie będzie już ich kusić.

Pogoda jednakże przestała im sprzyjać. Wiatr zmienił się na zachodni i wiał dokładnie w kierunku

lądu. Choć dywizjon wraz z przyzami i zdobycznymi statkami z łatwością wydostał się poza strefę

przyboju i stanął na kotwicy, a wzburzone morze nie stanęło na przeszkodzie przybyciu wielu

oficerów na pokład „Raisnable” na śniadanie, jasne było, że wściekły przybój, ciągnący się na ćwierć mili wzdłuż wybrzeża, uniemożliwiał jakąkolwiek komunikację z miastem. Śniadanie przebiegło

jednak w bardzo radosnej atmosferze — krok po kroku analizowano szczegóły wczorajszej bitwy, a żołnierze nie szczędzili pochwał dla dyscypliny, przedsiębiorczości i elastyczności marynarki.

Znacznie też przetrzebiono zapasy baraniej szynki oraz żywności zdobytej w St Paul. Wszyscy

oficerowie byli przekonani, że na lądzie pozostało jeszcze mnóstwo do zrobienia, czego przyczyną był

brak zarówno czasu, jak i ostatecznej listy obiektów w mieście, które były własnością państwową.

Stephen sporządził taką listę dopiero przed zapadnięciem zmroku, a do tego czasu należało, by nie

ruszać żadnych budynków poza tymi, których przeznaczenie było oczywiste — magazynami ze

sprzętem wojskowym. Ponadto wszyscy oficerowie marynarki i większość armii lądowej wiedzieli, że

jeśli wiatr utrzyma zachodni kierunek, dywizjon znajdzie się w bardzo niekorzystnej sytuacji. Pod

osłoną ciemności Desbrusleys mógł sprowadzić swą artylerię z Saint-Denis i ostrzelać ich granatami moździerzowymi zza najbliższego wzgórza, podczas gdy angielskie okręty nie będą mogły nawet odbić na pełne morze. Na razie jednak Francuzi nie wykazywali ochoty do przemieszczania swych sił.

Ich oddziały były widoczne na zboczach gór okalających St Paul, a zauważalny brak aktywności wielce się przyczynił do poprawy nastroju podczas śniadania.

Po obiedzie zameldowano Jackowi o pojawieniu się nowej francuskiej kolumny, przesuwającej się wzdłuż prowadzącej od Saint-Denis grobli. Formacja była duża, a na dodatek prowadziła ze sobą artylerię.

— Nie przeprowadzą swych dział przez trzęsawisko bez pomocy faszyn — stwierdził pułkownik Keating. — Zniszczyliśmy przecież most. Sporządzenie faszyn zajmie im większą część dnia. Nie znam bardziej męczącego zajęcia od transportu dział przez grząski teren.

— Przybój się zmniejsza — zauważył kapitan Corbett.

— Myślę, że jutro uda nam się wylądować. Proszę spojrzeć na zachodnie niebo. Doświadczenie mi podpowiada, iż nasze kłopoty skończą się tak szybko, jak się zaczęły.

— Mam nadzieję, że ruszymy wcześniej — powiedział Jack. — Nie będę spokojny, póki nie wysadzimy w powietrze trzech pierwszych budynków z listy doktora Maturina.

— Z politycznego zaś punktu widzenia — dodał Stephen — wielce mnie uraduje widok francuskich archiwów w płomieniach. Wywoła to u nich niezłe zamieszanie.

— Jeśli mogę zabrać głos... — zaczął lord Clonfert. — Myślę, iż możemy podjąć próbę już teraz lub przynajmniej przed zapadnięciem ciemności. Wziąłem z portu kilka tutejszych łodzi przybojowych, a kilka innych jest jeszcze przy „Siriusie”, o ile się nie mylę. Moi ludzie umieją na nich pływać i chętnie podejmę się wysadzenia oddziału piechoty na brzegu.

— Być może za dwie lub trzy godziny — odparł Jack, zapatrzony w morze. Zastanawiał się, do jakiego stopnia słowa Clonferta podyktowane były jedynie pragnieniem zakasowania Corbetta. Nawet

pomimo wczorajszej wspólnej akcji stosunki między nimi były równie fatalne jak dotychczas, być może nawet gorsze. Nie mógł jednakże zapominać o wadze całego przedsięwzięcia — jeśli ludzie Clonferta naprawdę umieją na nich pływać, owe łodzie mogły w istocie przynieść im wiele korzyści. A może lord tylko się popisuje? Jak zachowa się na lądzie? Podczas wczorajszej bitwy wykazał się męstwem. .. Jack nie potrafił przeniknąć sposobu rozumowania Clonferta i kilka godzin rozmyślań wcale nie przybliżyło go do rozwiązania. W końcu zgodził się na pomysł lorda, wydał odpowiednie rozkazy i wszedł na rufową nadbudówkę liniowca, by odprowadzić wzrokiem zmierzające w stronę lądu łodzie. Widział je teraz na skraju bieli przyboju, oczekujące na kolejną potężną falę. Grzywacz przetoczył się przez morze, zakrył swą czernią biel piany i pchnął łodzie w kierunku brzegu. Kolejna fala poniosła je jeszcze dalej i dalej, a któraś z kolei zniosła ich na piach plaży.

Szybko wzięli się do pracy. Wznosząca się na lewo wieża zatrzęsała się od eksplozji, spowił ją kokon dymu i kurzu, a parapet wystrzelił w powietrze. Rozległ się huk wybuchu, a chwilę później budowla była już jedynie bezkształtną stertą gruzów. Po dłuższej przerwie dym pojawił się wśród zabudowań lokalnej administracji.

— Oto archiwa urzędu podatkowego — powiedział Stephen. — Jeśli Burboni nie pokochają nas za to, znaczy, że w ogóle trudno ich uradować. Generał Desbrusleys wydaje się pogrążony i dosłownie, i

w przerośni. — Przeniósł wzrok na odległą, nieruchomą teraz kolumnę na bagnach.

Nie przerywali obserwacji. W pewnym momencie Jack zauważył, że siła przyboju istotnie maleje.

— Wiesz, Stephen — odezwał się chwilę później — już prawie przyzwyczajam się do roli widza, a jeszcze wczoraj myślałem, że powieszę się z żalu. Zdaje się, że to jest właśnie cena objęcia dowództwa. Spójrz na ten słup dymu, za arsenałem... O co chodzi, panie Grant?

— Proszę wybaczyć, sir, ale pan Dale z „Streatham” jest bardzo zaniepokojony. Mówi, że nasz oddział pali jego ładunek jedwabiu, i prosi, by się pan z nim zobaczył.

— Wciągnijcie go na pokład.

— Sir! — z daleka wołał pan Dale. — Sir! Oni palą mój jedwab! Proszę przekazać im sygnał, błagam

pana! Nasz jedwab, podstawowy towar wart pół miliona funtów! Francuzi składowali go właśnie w tamtym magazynie! Błagam pana, proszę dać im znać! Mój Boże... — Naraz złożył ręce. — Już za późno.

Dym ustąpił pola szybko rozprzestrzeniającym się płomieniom, a tego nie zatrzymałby już żaden sygnał na świecie.

— Kapitanie Clonfert — zwrócił się doń Jack, gdy oddział powrócił na okręty. — Dlaczego kazał pan spalić magazyn za arsenałem?

— Ten za arsenałem? Zapewniono mnie, iż to własność rządowa. Uczynił to pewien ksiądz, wielce szacowna persona. Czyżbym popełnił jakiś błąd?

— Jestem pewien, iż działał pan w jak najlepszych intencjach, lecz wszystko wskazuje na to, że w tamtym magazynie znajdował się należący do Kompanii ładunek jedwabiu o wartości około pół miliona funtów.

W Clonferta jakby piorun uderzył. Pobladł i wyglądał tak nieszczęśliwie, że sprawiał wrażenie znacznie starszego.

— Proszę się tym nie przejmować — mówił dalej Jack. — Pewien jestem, iż ludzie Kompanii przesadzają, a poza tym tak czy owak uratowaliśmy im trzy miliony funtów, jak sami przyznają.

Odnaczył się pan męstwem i gratuluję takiej akcji! Bez wątpienia był to czyn konieczny, gdyż jeśli Francuzi zmuszą nas do odwrotu, pozostawienie im jedwabiu byłoby aktem głupoty. Jest pan przemoczony — może zechciałby się pan przebrać? Mam wiele ubrań w mej sypialni.

Próba poprawienia nastroju lorda spaliła na panewce. Przybity i zgaszony Clonfert udał się na swój okręt, a radość ze zwycięstwa zgoła z niego uszła. Następnego dnia, kiedy morze było już całkiem spokojne i powrócił wiatr południowo-wschodni, jego nastrój wcale się nie poprawił. Siły desantowe

dywizjonu były już gotowe w łodziach do wyruszenia na ląd, by stawić czoło wojskom Desbrusleysa, gdy jeden z nowych znajomych Stephena odbił od brzegu, by przekazać najnowsze wieści. Otóż oddział z Saint-Denis wycofywał się, a kapitan Saint-Michiel, komendant St Paul, był gotów do pertraktacji celem zawieszenia broni.

Wieści były najwidoczniej prawdziwe, gdyż francuska kolumna właśnie się wycofywała. Marynarze powrócili na swe okręty, a do eskadry dobiła łódź z emisariuszem komendanta. Wszystko wskazywało

na to, iż generał Desbrusleys utracił wiarę w siebie, lecz trudno było stwierdzić, czy stało to się w efekcie przegranej w boju, porażki w małżeństwie, czy może obu tych klęsk naraz. Tak czy owak, francuskie dowództwo było teraz w rozsypce i Saint-Michiel nie czynił żadnych trudności w podpisaniu traktatu, w wyniku którego brytyjską eskadrę oczekiwał spokojny tydzień pobytu w St Paul. Spokój nie oznaczał jednak braku zajęć. Przed Anglikami stało zadanie zabrania lub zniszczenia stu dwudziestu jeden dział oraz przeniesienia na własne okręty ogromnych ilości prochu i kul, zniszczenia pozostałych fortyfikacji i ogołocenia stoczni wojennej do tego stopnia, iż jedynie kubły po

farbie przypominałyby o jej pierwotnym przeznaczeniu. Należało również uczynić wszystko co w ludzkiej mocy, by przywrócić „Caroline” do stanu używalności. W tym samym czasie komodor Aubrey i pułkownik Keating zmuszeni byli przygotować pisemne rozkazy, co było zadaniem żmudnym, a zarazem bardzo delikatnym. Kiedy Jackowi udało się wreszcie podpisać ostatni z dokumentów — wyprane z jakichkolwiek emocji sprawozdanie z akcji wraz z listą ofiar, dokładnym opisem zdobytych jednostek i rejestrem przejętych dóbr rządowych Francji, przepisane później przez pana Petera — nadszedł dlań czas na rozstrzygnięcie kolejnego trudnego problemu.

Posłał po kapitanów Corbetta i Clonferta i przyjął ich bardzo oficjalnie, w towarzystwie swego sekretarza.

— Kapitanie Corbett — odezwał się do pierwszego z nich. — „Caroline” jest już gotowa do dalszej

służby i postanowiłem przechrzcić ją na „Bourbonnaise”. To moja tymczasowa decyzja, natomiast drugie z postanowień bynajmniej do tymczasowych nie należy. Chcę, by objął pan jej dowództwo i popłynął z meldunkami na Przylądek Dobrej Nadziei. Nie mam najmniejszych wątpliwości, iż admirał każe panu natychmiast ruszyć do Anglii, dlatego chciałem pana obciążyć również obowiązkiem dostarczenia mojej poczty osobistej. Dobrałem dla fregaty prowizoryczną załogę spośród ludzi ze statku handlowego w St Paul, oczywiście bez piechoty morskiej, zatem proszę też pana o zachowanie umiaru w jej traktowaniu. Oto rozkazy, a to moje osobiste listy.

Nieodmiennie gniewna twarz Corbetta nie przywykła do wyrażania radości, lecz niespodziewanie pękła na niej skorupa niechęci i oblicze kapitana zajaśniało zachwytem. Ten, kto zawiezie takie meldunki — wieści o najsprawniejszym i najmniej krwawym zwycięstwie w całej karierze — zdobędzie wielką popularność w Admiralicji i bez wątpienia otrzyma kolejny awans.

— Będę uosobieniem umiaru, panie komodorze — odparł. — Pozwolę sobie tylko dodać, że nic mnie

bardziej nie zaszczyca od jakże ujmującej uprzejmości, z jaką pan przekazał mi to dowództwo.

— Lordzie Clonfert — Jack zwrócił się ku drugiemu z kapitanów. — Czuję się zaszczycony, mogąc awansować pana na dowódcę fregaty „Nereide” na miejsce kapitana Corbetta. Pan Tomkinson, pański

pierwszy oficer, może objąć dowództwo „Ottera”.

Słyszając całkiem nieoczekiwane słowa komodora, Clonfert zarumienił się aż po uszy. Przejście z pokładu rufowego słupa na fregatę było punktem zwrotnym w jego karierze. Podziękował komodorowi uprzejmie i z daleko większą dwornością, aniżeli uczynił to Corbett, i na moment znów powróciła doń złocista aura zwycięzcy, intensywniejsza nawet od tej z pierwszego dnia na La Reunion. Niemniej wydarzenie musiało mieć dlań jakiś gorzkawy posmak, gdyż kiedy zbierał się do wyjścia, w jego pełen szczęścia uśmiech wkradł się jakiś cień, a on sam powiedział:

— Gdy obaj służyliśmy jako porucznicy, sir, nigdy by mi do głowy nie przyszło, że z pana rąk

odbierać będę kiedyś dowództwo.

— Dziwak z tego Clonferta — powiedział potem Jack do Stephena w przerwie między dwoma spokojnymi koncertami smyczkowymi. — Odniosłem wręcz wrażenie, że awansując go, wyrządziłem mu krzywdę.

— A zrobiłeś to po namyśle czy po prostu tknęła cię litość? Czy awans w istocie jest twoim wyrazem wdzięczności za jego zasługi czy może jałmużną? Czy naprawdę zasługuje on na dowództwo fregaty?

- Cóż — odparł Jack. — To raczej przypadek, który ty określiłbyś *jako faute de mieux**.

* *Faute de mieux* (franc.) — brak lepszego rozwiązania.

Wolałbym nie być w sytuacji, kiedy muszę na nim przez cały czas polegać, ale któryś z nich dwóch musiał opuścić eskadrę, a Clonfert jest lepszym dowódcą. Jego ludzie w ogień za nim skoczą. Być może potrafi nawet wykorzystać swą popularność lepiej, niż by mi się to podobało, jednakże tak czy owak załoga go kocha i muszę to wykorzystać, podobnie jak wykorzystuje się przyływ czy zmianę kierunku wiatru. Pozwolę większości załogi „Ottera”, by przeszła na „Nereide”, a załogę „Nereide” rozlokuję na pozostałych okrętach dywizjonu. Atmosfera na tej fregacie była co najmniej niezdrowa. Potrząsnął głową z poważną miną, po czym zagrał kilka głębokich nut. Po chwili zmienił tonację na obiecującą weselsze rytmy, lecz nim to nastąpiło, jego smyczek odmówił posłuszeństwa. Jack sięgnął po kalafonię.

— Jack, kiedy już skończysz przecierać swój smyczek moją kalafonią — rzekł Stephen, kładąc nacisk na słowo „moją” — może zechciałbyś powiedzieć, gdzie teraz się udamy?

— Ucieszy cię to, jak sądzę. Musimy zawieźć ludzi Keatinga na Rodriguez i będziesz mógł poigrać z tymi twoimi żółwiami i wampirami. Potem, kiedy reszta dywizjonu będzie blokować Mauritius, my udamy się na Przylądek, by oddać staruszkę „Raisable” i zwolnić Eliota. Wrócimy na „Boadicea”, która tymczasem odprowadzi na południe statki Kompanii, no i zobaczymy, co da się zrobić z pozostałymi okrętami Francuzów. Takie są plany, chyba że ty i pan Farquhar będziecie mieli dalsze pomysły co do La Reunion. Nie jest mądrze szastać optymistycznymi prognozami, ale przypomniało

mi się, jak spytałeś mnie o szansę na zwycięstwo nad Francuzami. Mówiłem wtedy, iż jest to jakieś trzy do pięciu na naszą niekorzyść. Teraz zaś myślę, że szanse są wyrównane, z lekkim wahaniami w naszą stronę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Radość admirała Bertiego nie miała granic. Za jednym ciosem Jack Aubrey zdobył jedną z tak trapiących go potężnych francuskich fregat, odzyskał dwa statki Kompanii, zajął użyteczny osiemnastodziałowy słup i wyeliminował jedną z najsilniejszych baz francuskich na Oceanie Indyjskim. Sprawność, z jaką zadanie zostało wykonane, z pewnością rozśławi nazwisko Bertiego nawet w Whitehall, gdzie błyskawiczne rezultaty były zawsze mile widziane. Odrębną sprawą pozostawał fakt, iż sukces misji wzbogacił admirała o dobrych kilka tysięcy funtów. Rozmiary jego przyszłej fortuny miały jednak pozostać niewiadomą dopóty, dopóki odległy o sześć tysięcy mil tłum urzędników nie oszacuje dokładnie wartości stosów zdobyczy, takich jak chociażby trzysta dwadzieścia pik, czterdzieści taranów i czterdzieści wyciorów armatnich wyniesionych z St Paul. Tak

czy owak, na admirała Bertiego przypadła jedna dwudziesta ustalonej w Anglii ogólnej sumy, którą zarobił, nie kiwnąwszy nawet palcem w bucie —jego udział w misji ograniczył się do kilku ogólnikowych porad w stylu „idź i zwyciężaj”. Od pierwszego spotkania ze zwiastunem zwycięstwa, kapitanem Corbettem, większość czasu spędził, kreśląc szczegółowe plany nowego domu i stajni w Langton Castle, gdzie mieszkał. Dla swej małżonki, gdyby nie otrzymała wymarzonego tytułu szlacheckiego, planował kupno przepięknych sukien.

Admirał nie był tak dobrodusznym człowiekiem, jak chciał, by go postrzegano, jednakże nawet jeśli nie należał do najwdzięczniejszych ludzi na świecie, nie był też skąpcem. Przygotowania do przyjęcia

powitalnego rozpoczął bowiem już z chwilą, kiedy nadszedł meldunek o zbliżającym się „Raisable”. Dwie łodzie wyruszyły na zachodnie wody okalające Przylądek na połów homarów,

ulubionej potrawy admirała.

— Nie masz pojęcia, Aubrey, jak bardzo się cieszę, że cię widzę tak szybko — mówił Bertie, prowadząc komodora na bankiet, na którym miała zgromadzić się ogromna większość co znaczniejszych mężczyzn i co piękniejszych kobiet na Przylądku, sami biali. — Ależ się wszystko szczęśliwie poukładało! Wysłałem Corbetta do kraju zaraz po napisaniu listów. Jestem pewien, że twój wyczyn wyprze wszystkie inne tematy z „Gazette”. A „Bourbonnaise”... Cóż za okręt! Przepiękne, wążutkie zaostrzenie dziobowe, a co za stateczność! Doprawdy, chciałbym, by takie okręty wychodziły z naszych stoczni, choć z drugiej strony, twoi chłopcy przechwytyją je już gotowe, a to oszczędza czasu naszym budowniczym, nieprawdaż? Ha, ha, ha! Potwierdziłem oficjalnie nową nazwę fregaty, wszystkie twoje nominacje również mam zamiar potwierdzić. Cieszę się, że Clonfert otrzymał dowództwo, choć ten epizod z jedwabiem Kompanii był zaiste niefortunny. Mam nadzieję, że zmyłeś mu za to głowę w swoim czasie. Cóż, co się stało, to się nie odstanie, jak zawsze powtarzam mej żonie, no i wszystko dobre, co się dobrze kończy. Clonfert ma dowództwo, a ty zgarnąłeś cztery wielkie przyzy i z tuzin mniejszych. Jak sądzę, nie natknąłeś się na żaden statek w drodze na Przylądek? Nie było deseru, ha, ha, ha!

— Cóż, zauważyliśmy rosyjski slup „Diana” halsujący przy Rodriguez, sir, lecz wyszedłem z założenia, że zignorowanie go najlepiej pokryje się z pańskimi zamysłami.

— Aleś dołożył tym ich bateriom! — podjął po chwili milczenia admirał, udając, że nie usłyszał zdania Jacka. — Cieszę się niezmiernie, a pan Farquhar jest w siódmym niebie, o ile, rzecz jasna, takie stare przyki potrafią się jeszcze cieszyć. Wiesz, że on stroni od wina? To przez tę wodę do posiłków tak skapcianał. W każdym razie na to przyjęcie zaproszenia nie dostał, bo i tak wszystkie odrzuca. Nie może się jednak doczekać, by się zobaczyć z tobą i tym twoim doktorem Maturinem... trudno mu się dziwić, bo zaraz po dotarciu posiłków na Rodriguez kończymy z Francuzami na La Reunion czy Ile

Buonaparte, czy jak tam zwą tę wyspę. Przekleńci głupcy! Załatwimy to z następnym monsunem, kiedy tylko uda się zorganizować transport dla trzech, czterech tysięcy ludzi. Wybacz, że spytam — co za człowiek z tego doktora Maturina? Można mu zaufać? Wygląda mi na cudzoziemca.

— Och, jest jak najbardziej godny zaufania. — Jack powstrzymał się od grymasu. — Lord Keith wielce go ceni, proponował nawet, by Maturin został głównym lekarzem floty. Księżę Clarence posyłał po niego, kiedy wszyscy jego koledzy po fachu załamywali ręce. Ceni go ponad wszystko. — Czyżby? — zawołał głęboko zdumiony admirał. — Będę się musiał zatem nim odpowiednio zająć.

Sam jednak wiesz, że tym wszystkim politykusom trudno ufać. Zawsze mówiłem, że jeśli chce się jeść

obiad z diabłem, trzeba przyszykować długą łyżkę. Zasiądźmy zatem do moich homarów, im ufać można, zapewniam cię. Wysłałem łodzie na połów z chwilą, kiedy dojrzano twe numery identyfikacyjne.

Zarówno homarom, jak i ostrygom można było zaufać, podobnie zresztą jak innym potrawom na ogromnym przyjęciu. Posiłek przeciągał się w nieskończoność, nakrycia stołu pojawiały się i znikwały, aż w końcu zniknął obrus, a pojawiło się porto.

— Napełnijmy kieliszki, panowie! — wykrzyknął admirał. — Wznieśmy toast za Jacka „Szczęściarza” Aubreya! Niechże wygarbuje skórę Francuzom jeszcze nie raz i nie dwa!

Tydzień później Jack został zaszczycony zaproszeniem na bankiet również przez gubernatora. Różnił się on jedynie tym, że na stole miast homarów była dziczyzna — mięso antylopy karłowatej, gnu i skoczka oraz kilku odmian gazeli, przez co obiad potrwał dłużej. Dalej było już to samo — pudding i toasty za powodzenie w garbowaniu francuskich skór.

W chwili, kiedy kieliszki porto powędrowały w górę w drugim toaście, Stephen jadł chleb z mięsem na zimno w towarzystwie pana Farquhara i jego sekretarza pana Prote'a na piętrze drukarni rządowej.

Po wyjściu wszystkich pracowników było tam cicho i ustronnie. Cała trójka była ubrudzona farbą dru-

karską, gdyż po ostatnich informacjach zdobytych przez Stephena należało przeredagować proklamację dla mieszkańców La Reunion. Przygotowywali też sporo napisanych w nienagannym francuskim kolorowych ulotek i broszur, opiewających zalety rządów brytyjskich, obiecujących poszanowanie wyznania, istniejących praw, obyczajów i aktów własności, wytykających przerażające konsekwencje oporu i roztaczających, aczkolwiek nieco mętnie, korzyści płynące ze współpracy z Brytyjczykami. Podobne dokumenty przygotowywano dla mieszkańców Mauritiusa, lecz daleko było do ich ukończenia. Przebiegające w jak największej tajemnicy drukowanie zlecono dwójce zaufanych drukarzy. Żaden z nich jednak nie znał ani słowa po francusku i Farquhar z Prote'em bez przerwy kursowali do drukarni, ulegając z wolna fascynacji technicznym procesem produkcji dokumentów. Obaj aż się palili, by pokazać Stephenowi swą wydajność — z pomocą niewielkiej, przekazywanej z ręki do ręki lupy poprawili trzy długie teksty w wierszowniku, wyjmując przy tym litery, wstawiając na ich miejsce inne, paplając o kosztach, formach, justowaniu i samym wierszowniku oraz stopniowo obsmarowując zarówno siebie nawzajem, jak i Stephena coraz grubszą warstwą farby drukarskiej. Tym razem jednakże rozmowa nie dotyczyła ani sztuki drukarskiej, ani nawet szykowanej przez nich podstępnej wojny propagandowej. Te sprawy, wraz z raportem Stephena o rokującym nadzieje nastroju ludności na La Reunion i jego sprawozdaniem na temat zwerbowanych agentów, dawno już zostały omówione. Jedząc poznaczone plamkami farby mięso, rozmawiali z początku o prawie dziedziczenia posiadłości ziemskich w przyszłym królestwie pana Farquhara, po czym przeszli do tematu poezji prawa czy raczej poezji ukrytej w przepisach prawnych.

— Nowy kodeks francuski wygląda doskonale na papierze — zauważył pan Farquhar. — To całkiem udany zbiór twierdzeń logicznych, ale nie ma w nim miejsca na kwestie mniej logiczne, które ja nazwałbym nadnaturalnymi i romantycznymi aspektami natury ludzkiej. Nasze prawo w całej swej mądrości zachowało tego sporo, zwłaszcza w kwestiach dziedziczenia własności ziemskiej oraz sprawowania urzędów królewskich. Podam panom przykład: w posiadłościach w East Enbourne i

West Enbourne w Berkshire wdowa otrzymuje prawo do zachowania własności swego męża, *sedes li-*

bera czy, jak to się mówi w barbarzyńskiej łacinie prawniczej, *francus bancus* na wszystkich ziemiach swego zmarłego męża *dum sola et casta fuerit*. Kiedy natomiast udowodni się jej stosunki miłosne z przedstawicielem płci przeciwnej, traci ona wszystko. Uchronić się przed stratą posiadłości wdowa

może tylko, przyjeżdżając na następną rozprawę na czarnym baranie, siedząc tyłem na jego grzbiecie i

recytując następujący wierszyk:

Oto nadjeżdżam na czarnym baranie

Jako dziwka na pokaranie

Za diabła ognistą namową

Straciłam swój dach nad głową

Zatraciłam się w uniesieniu

Teraz się kajam w upokorzeniu

Więc niech pan Steward dobrodziej wrócić zwoli memu

mieniu.

Mój wuj jest właścicielem jednej z tych posiadłości i sam widziałem sesję takiego sądu. Trudno mi

zaiste opisać wesoły nastrój takiego spotkania, owo jakże ujmujące zawstydzenie ślicznej młodej

wdówki, ów ogrom wiejskiej mądrości oraz, do czego zmierzam, ogólną przychylność

zgromadzonych, by odzyskała ona swe posiadłości. Uważam, że na decyzję ogółu niebagatelny wpływ

ma właśnie potęga poezji.

— Być może istnieją statystyki, dowodzące związku między liczbą czarnych baranów, którym

pozwolono dożyć dojrzałości, a liczbą młodych ślicznych wdówek — wtrącił pan Prote.

— Nie jest to bynajmniej przypadek odosobniony — ciągnął Farquhar. — Przykładowo w

posiadłościach w Kilmersdon w Somerset istnieje ten sam obyczaj, lecz w nieco skróconej formie.

Wdowa musi jedynie wyrecytować następujący dwuwiersz:

Za winy tyłka mego rozpoczynam kajanie,

Przeto oddaj mi ziemię, laskawco i panie.

Czy nie wydaje wam się osobliwe, panowie, iż czarne barany, stworzenia na ogół mało użyteczne, wykorzystywane są w podobnych ceremoniach w miejscach tak odległych jak Somerset i Berkshire, podczas gdy o podobnym wykorzystaniu powszechniejszych białych baranów nie ma żadnych wzmianek? Odnoszę zatem wrażenie, panowie, iż czarny baran wywodzi się prosto z kultów druidycznych...

Pan Farquhar należał do ludzi wykształconych i trzeźwo oceniających sytuację, jednakże z chwilą podjęcia tematu druidów, gajów dębowych i jemioly w jego oczach pojawił się błysk tak dziki, że Stephen natychmiast zerknął na zegarek, wstał, przeprosił towarzystwo i zebrał swe papiery.

— Nie powinien pan się oczyścić przed wyjściem? — spytał Farquhar. — Jest pan cały w cętki.

— Dziękuję panu — odparł Stephen. — Wybieram się bowiem do pewnego jegomościa, który nie dba o etykietę, choć pod pewnymi względami należy mu się pierwszeństwo.

— O kogo mu chodziło? — spytał pan Prote po wyjściu doktora. — Poza nami dwoma, wszyscy, którym należy się pierwszeństwo, zgromadzeni są wokół gubernatora!

— Zapewne chodziło mu o jakiegoś czarnoksiężnika albo kogoś znacznego wśród Hotentotów.

Wracając jednakże do druidów...

Żart był udany. Pierwszeństwo, które dało tyle do myślenia panu Prote'owi, wynikało w rzeczywistości tylko z kolejności alfabetycznej, gdyż Stephen wybierał się do swego aardvarka, reszcie świata znanego jako mrównik. Długie na pięć stóp, masywnie zbudowane stworzenie stało przed nim w całej okazałości. Mrównik miał szeroki ogon, wydłużoną, zakończoną ryjem głowę, silne

krótkie nogi i nieproporcjonalnie długie, przezroczyste ośle uszy, a jego ciało pokrywała częściowo rzadka żółta sierść, ukazująca niezdrowo wyglądającą skórę stworzenia nocnego. Mrugający

ustawicznie i oblizujący swe okrągłe wargi mrównik wiedział, co się zaraz wydarzy — był już mierzony i ważony, wycięto mu garść szczeciny z boku, a teraz Stephen bacznie oglądał go pod lupą i szkicował. Było to łagodne i pokorne stworzenie, nie potrafiące gryźć w obronie i zbyt bojaźliwe, by drapać, pogrążało się zatem w coraz większej depresji, a jego uszy opadały coraz niżej, aż przykryły całkiem niedowidzące, smutne i ocienione długimi rzęsami oczy.

— Już, malutki, już gotowe — powiedział Stephen, pokazując mrównikowi jego podobiznę. — Jestem panu niezwykle zobowiązany, panie van der Poel! — zawołał w kierunku sufitu. — Proszę jeszcze nie wyjeżdżać! Zamknę drzwi i zostawię klucz pod wycieraczką. Wracam na okręt, a jutro otrzyma pan jajo!

Kilka godzin później znów podziwiał Simon's Town i wewnętrzne kotwiczowisko zatłoczone przyzami Jacka. Przypomniało mu się widziane wiele lat temu Port Mahon i rzędy zatrzymanych przez „Sophie” feluk, trabakalo i szebek przy nadbrzeżu.

— To były dobre czasy — powiedział do siebie — a Minorka to piękna wyspa, lecz nawet Minorka nie może poszczycić się mrównikami.

Ulice miasta pełne były rozbawionych ludzi na przepustkach — Jack nakazał bowiem wypłacić przy kabestanie skromną zaliczkę przyzowego, po dwa dolary na głowę, a poza tym niewielu z marynarzy przestrzegało zakazu zbierania łupów tak skrupulatnie, jak by sobie tego Stephen życzył. Tu i ówdzie mignął mu w tłumie kawałek pięknego, aczkolwiek nieco przypalonego orientального jedwabiu, okrywającego kuszące biusty towarzyszek żeglarzy. Doktora pozdrawiano ze wszystkich stron, a uprzejmi marynarze przeprowadzili jego wynajętego kuca przez tłum ku nadbrzeżu, skąd midszypmen z „Boadicei”, woniejący mocno perfumami z liści paczuli, zabrał go na pokład „Raisonable”. Doktor znów znalazł się w swej cichej, spokojnej kajucie, gdzie po raz wtóry otworzył kajet i przyjrzał się rysunkowi stworzenia.

— To przypuszczalnie jedno z najciekawszych zwierząt, jakie do tej pory spotkałem — stwierdził.

I wygląda na to, że na swój sposób przywiązane jest do dobrego pana van der Poela. Myślę, iż warto by pokolorować mój rysunek.

Przerzucił kilka stron kajetu. W większości był to zapisany drobnym maczkiem jego własny pamiętnik, lecz było tam także kilka rysunków, na przykład żółwia z wyspy Rodriguez czy foki z False Bay. Niektóre już pomalował akwarelami.

— Choć może lepiej nie — stwierdził, oceniając swe próby artystyczne. — Nie mam ku temu zdolności.

Przeliczył wagę zwierzęcia z jednostek holenderskich na funty, po czym zaostrzył ołówek, zastanowił się przez chwilę, wyglądając na zewnątrz kajuty, i zaczął pisać swym osobistym szyfrem.

„Nie potrafię zrekonstruować owego ciągu myśli czy raczej skojarzeń, które doprowadziły mnie do rozważań na temat lorda Clonferta i Jacka Aubreya. Niewykluczone, iż jakąś rolę odgrywa w tym mrównik, choć nie potrafię tego wytłumaczyć. Nie przestaję myśleć o cierpieniach Clonferta, gdyż niezależnie od tego, jaką skalę bólu w jego przypadku się zastosuje, wygląda na to, że cierpi straszliwie. Sugerowane przez McAdama uznanie stanu jego ducha za bezpośrednią przyczynę wydaje

się rozwiązaniem tak prostym, że aż komicznym, niemniej McAdam okazuje się głupcem tylko w stosunku do swojej własnej osoby. Badałem ponadto z Dupuytrenem kilka podobnych przypadków, u których należało wykluczyć czynniki fizyczne jako źródło bólu. Wyrostek robaczkowy, na odcinku którego bardzo często dochodzi do podobnych przypadków uwięźnięcia jelit, jest zdrowy niczym tłusty robak, a w przewodzie pokarmowym od przełyku w dół również brakuje schorzeń.

W Clonfercie jest więcej Irlandczyka, aniżeli z początku podejrzewałem czy dałem Jackowi do zrozumienia. Mnóstwo w nim przewrażliwienia charakterystycznego dla podbitego narodu. Dochodzę do wniosku, że jako chłopiec nie uczęszczał do żadnej z większych szkół angielskich, jak czyniła to znaczna część jego rówieśników. Nie poszedł też dość wcześnie na morze, co pomogłoby usunąć ową

barierę. Pierwsze lata jego służby istniały pewnie tylko na papierze — wielu ugodowych kapitanów gotowych jest przecież umieścić nazwisko nieobecnego dziecka w swej księdze werbunkowej.

Wychowywali go niemalże wyłącznie służący w odległym, odludnym Jenkinsville z niewielką pomocą jego przybranych rodziców, irlandzkich właścicieli ziemskich — prawdziwi rodzice Clonferta

przypuszczalnie byli albo zbyt szaleni, albo zbyt podli, by móc go wychować. Przez to Clonfert z pewnością wchłonął najgorsze cechy zarówno swych rodzonych, jak i przybranych rodziców. Z jednej

strony wykształciła się w nim bowiem świadomość bycia panem dla płaszczącej się przed możliwymi grupki mieszkańców owego odludnego zakątka, starających się jakoś przeżyć ze swego spłachetka ziemi. Z drugiej strony, choć po części należąc do nich, nauczył się pogardzać ich religią, językiem, ich ubóstwem, zwyczajami i tradycją. Rzadko kiedy podbici kochają rządzących nimi zdobywców i sami zwycięzcy również z czasem płacą wysoką cenę. Nie dzieje się to być może w tak widoczny sposób, lecz okazuje się, że zwycięzcy w istocie mają do zapłaty znacznie więcej w sferze ludzkich uczuć. Twardzi, arogancy, nastawieni na zysk zdobywcy jeden po drugim ulegają zepsuciu, podczas gdy tubylcy, choć na pozór ujarzmieni, mówią o nich z niechęcią, przemieszana z pogardą, uznając tylko ich siłę. Rozdarcie między obiema tendencjami musi doprowadzić do zamętu w sposobie myślenia, a u Clonferta ów kompleks wraz z innymi czynnikami spowodował poczucie niepewności własnej pozycji (o której często wspomina) i własnej wartości oraz doprowadził go do przekonania, iż

by nadać moc swym postanowieniom, musi być dwukrotnie większy od innych ludzi. Niestety, pomimo swych dosłownie i w przenośni wysokich cholewek, nie góruje nad innymi — nawet Jack jest

odeń wyższy o głowę. Oficerowie Clonferta okazują się grupą ludzi wyjątkowo pospolitych i nijakich

— nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek coś takiego widział w marynarce. Kapitanowie arystokraci zwykli otaczać się z reguły oficerami i midszypmenami o podobnym pochodzeniu, tak jak

szkocki dowódca będzie gromadzić wokół siebie samych Szkotów. Nie wątpię, iż aprobata oficerów dowartościowuje samego lorda, lecz jak długo człowiek tak inteligentny będzie cenił tego typu szacunek? A skoro lady Clonfert i pani Jennings to dobry przykład jego kobiet, to do jakiego stopnia zaspokajają go ich wdzięki?

Opierając się na tym założeniu oraz na uwagach pana Mc Adama, mogę zbudować przekonujący wizerunek osobowości Clonferta, człowieka, który przez całe życie domaga się czegoś więcej, człowieka, który sam będąc marionetką, na próżno stara się zostać inną, równie nierealną marionetką. Jest on antytezą Jacka, mimo że Aubrey nigdy nie odgrywał w jego życiu żadnej roli i nawet nie miał potrzeby, by to czynić. Te wnioski nie przynoszą jednakże wyjaśnienia w kwestii cierpień Clonferta, choć w istocie mogą zawierać szczyptę prawdy, wskazywać na źródło jego bóleści i wiele innych symptomów, na które sam zwróciłem uwagę (choć McAdam nie zgadza się ze mną co do znaczenia asymetrycznego *sudor insignis**).

* *Sudor insignis* — przykładowe pocenie się.

Nie wyjaśnia to jednak kwestii znacznie ważniejszej — uwielbienia, jakie żywią doń ludzie. Jack utrzymuje, że marynarze kochają go, ponieważ jest lordem. Ma rację ponad wszelką wątpliwość, poza

tym uwielbienie pozwala lepiej znosić służbę na okręcie, ale przecież załoga nie kochałaby lorda, który okazałby się nędznym człowiekiem! Księcia Williama szybko przestano wielbić. Zatem trwające

od dłuższego czasu uwielbienie wobec osoby Clonferta musi opierać się na uznaniu prawdziwych wartości, jakie w nim drzemią. Okręt na morzu, a zwłaszcza niewielki okręt w odległej bazie, to przecież odludna, samotna wioska, a czy słyszał ktoś kiedyś o jakiegokolwiek mylnej opinii, która by w

takiej wiosce dłużej przetrwała? Myślenie zbiorowe, nawet jeśli owa zbiorowość składa się w znacznej mierze z ludzi niepiśmiennych i nie przemęczających się myśleniem, jest równie nieomyłne jak Rada Królewska. Wartościami zaś, które taka zbiorowość będzie cenić, są zazwyczaj dobre

serce,

hojność i męstwo. Męstwo... Podejmując ten temat, dobrowolnie wchodzę na teren bardzo grząski.

Czym bowiem jest męstwo? Człowiek przejmuje różne wartości w różnych okresach swego życia, a różni ludzie oceniają to na różne sposoby — dla niektórych odwaga jest podstawowym bodźcem do działania. Dwóch ludzi podejmuje te same działania z dwóch różnych powodów, a mimo to ich zachowanie nosi tę samą nazwę. Gdyby Clonfert nie podjął się wszystkich swych akcji, pewien jestem, iż jego ludzie nie ceniliby go teraz tak bardzo. Pan Farquhar lepiej zna się na nielogiczności i zapewne potrafiłby stwierdzić, dlaczego dany człowiek cieszy się uwielbieniem jako lord Clonfert,

nie zaś jako pan Scroggs, lecz fakt pozostaje faktem. Szacunek dla jego osoby istnieje, a czyny, na których został on zbudowany, wydarzyły się naprawdę. Sam widziałem, jak szturmował baterię dział w St Paul, lecz w końcu jego popisy, jego żywiołowość i sukcesy zniknęły w cieniu wiktorii Jacka.

Jack Aubrey. Czasem w postaci poważnego komodora widzę jeszcze porucznika sprzed wielu lat,

lecz są też dni, kiedy owego porucznika ze świecą w nim szukać. Jedyłą stałą wartością w jego charakterze

jest niezaprzeczalna, pełna radości odwaga, męstwo baśniowego lwa, które sprawia, że Jack idzie w bój z równą ochotą, jak inni mężczyźni kładą się z kobietami. Och, marzę o tym, by zobaczyć lwa...

Mówi się, że każdy człowiek zostałby tchórzem, gdyby tylko się odważył. Cóż, powiedzenie okazuje się prawdziwe w większości przypadków, na pewno u mnie, przypuszczalnie u Clonferta, ale na pewno nie u Jacka. Małżeństwo zmieniło go w wielu sprawach, lecz w tej nie. Od dawna marzył o szansie wypłynięcia na morze, biedaczysko, choć jestem pewien, że teraz nie może się doczekać wieści z domu. Cięży też na nim odpowiedzialność z tytułu nowych obowiązków, a jego młodość albo

odchodzi, albo już całkiem odeszła — mamy zatem odpowiedzialność i wiek, a obie te rzeczy Jack bardzo przeżywa. Wynikające z tego zmiany są widoczne, lecz trudno określić ich poszczególne

aspekty. Wyjątkiem może być jedynie zauważalny u niego brak wesołości czy nawet tęsknoty za radością, za tymi drobnymi żartami, które sprawiały mu kiedyś tyle uciechy. Warto wspomnieć o jego stosunku do tych, których ma pod swoimi rozkazami (poza tymi, których zna od lat) — wobec swoich podwładnych Jack jest uważny, sumienny i kompetentny, lecz znacznie mniej bezpośredni. W rozmowach z nimi nie słychać już serca, ale umysł, a jego ludzie stają się przede wszystkim narzędziami wojennymi. No i jego stosunek do samego okrętu — doskonale pamiętam jego bezbrzeżny zachwyt wobec jednostki, na której objął po raz pierwszy dowództwo, choć »Sophie« była zaledwie zakurzona, mało ciekawą krypą. Dobrze pamiętam, jak chłonał wdzięki slupa, jak bez końca doglądał wiązań jej masztów, takielunku i przestrzeni pod pokładem, jak hasał po niej niczym duże dziecko. W tej chwili jest dowódcą dumnego dwupokładowca z przestronnymi komnatami i balkonami, o który dba, ale to wszystko. Mam wrażenie, że »Raisable« mógł być równie dobrze jakimś innym zespołem umeblowanych komnat, choć tu mogę się mylić — pewne aspekty życia żeglarzy sami nadal obce.

Kolejna zmiana w Jacku to jego apetyty. Nie jestem zwolennikiem cudzołóstwa, gdyż zawsze obiecuje ono więcej, niż w istocie może dać, a jedyne, co przyniesie na pewno, to zniszczenie. Chciałbym jednak, by Jack przynajmniej zmagał się z jakimiś pokusami. Bardziej żarliwa część jego duszy jednakże już wygasła, pozostawiając tylko zapal wojenny. Clonfert, w którym przetrwało więcej z młodzieńca nie tylko w tej kwestii, zachował zapewne zdolność odczuwania obu biegunów na spektrum uczuć — co do cierpienia jestem pewien, co do radości prawie pewien. Utrata zdolności odczuwania ich obu jest bez wątpienia procesem naturalnym, który chroni przed wypaleniem się na długo przed tym, zanim na człowieka nadejdzie czas, niemniej będę żałować, jeśli w zachowaniu Jacka Aubreya zacznie dominować chłodna obojętność. Wtedy ten człowiek, którego znam i cenię od tak dawna, stanie się tylko ciałem na dwóch nogach".

Świst gwizdków bosmańskich i szcęk broni prezentowanej przez żołnierzy piechoty morskiej powiedziały mu, że Jack Aubrey znalazł się na pokładzie w odległości zaledwie kilku jardów od niego. Stephen posypał piaskiem świeżo postawione litery, zamknął swój kajet i zaczął, aż drzwi się otworzą.

Oficer, który stanął w progu, zdecydowanie bardziej przypominał komodora aniżeli porucznika Aubreya, nawet mimo tego, że zdjął kurtkę mundurową z oznakami rangi i cisnął ją niedbale na najbliższą szafkę. Był aż spuchnięty od przejedzenia i przepicia, wyczerpany upałem, a pod jego przekrwionymi oczyma pojawiły się niezdrowe kręgi. Sterane spojrzenie i sama twarz wyrażały skrajne zniechęcenie człowieka zmuszonego do jedzenia i picia ponad miarę, a potem do telepania się

w otwartej bryczce przez dwadzieścia mil w tumanach kurzu w ubraniu zaprojektowanym na warunki kanału La Manche.

— Och, gdybyśmy mieli więcej żołnierzy takich jak Keating — wymamrotał ze znużeniem. — Nie dam rady ruszyć ich z miejsca! Mieliśmy naradę po obiedzie i przedstawiłem generałom plan zajęcia La Reunion. Z ich oddziałami operacja nie byłaby problemem, zwłaszcza że można by wykorzystać „Raisable” do transportu wojsk. St Paul przecież stoi otworem, a z szanów artyleryjskich nie pozostał kamień na kamieniu! Zrazu przyznali mi rację, ale potem zaczęli jęczeć i lamentować. Nie wolno im przecież ruszyć bez oficjalnego rozkazu z House-Guards, mówią, a przecież według wcześniejszych ustaleń siły przeznaczone do zajęcia wyspy miały dopiero nadpłynąć z Madras. Ma to nastąpić już z następnym monsunem, jeśli znajdą się transportowce! Jeśli się nie znajdą, to z kolejnym monsunem... Na to ja im mówię, że teraz Francuzi mają ledwie garstkę dział i zdemoralizowanych żołnierzy, a za dwa monsuny La Reunion będzie wprost najeżone lufami! Dwa monsuny i pełni nowych sił Francuzi będą gotowi odeprzeć każdy atak, wzmocnieni posiłkami z Mauritiusa! Święta prawda, odpowiadają mi żołnierze i kiwają głowami, ale zaraz dodają, że muszą

trzymać się pierwotnego planu, a tymczasem czy nie miałbym ochoty wybrać się na polowanie na guźce w sobotę? A na domiar złego właśnie się dowiedziałem, że ostatnio przybyły bryg okazał się statkiem handlowym z Azorów, nie zaś okrętem pocztowym. Nie ma żadnych listów. Równie dobrze moglibyśmy teraz być na księżycu.

— To w istocie niefortunna sytuacja — odparł Stephen. — Co byś powiedział na kubek wody jęczmiennej z odrobiną soku cytrynowego, a potem kąpiel? Moglibyśmy wziąć łódź i popłynąć na wyspę, gdzie żyją foki.

Stephen pomógł przyjacielowi w odświeżeniu się i jednocześnie odsunął od niego myśli o pozbawionych inicjatywy generałach. Tak naprawdę to obaj nie wierzyli w szansę przekonania ich do czynu po tym, jak feralnie zakończyła się podjęta przez nich na własną rękę wyprawa z Przylądka do Buenos Aires nie tak dawno temu.

By odwrócić jego uwagę, zaczął opowiadać o tym, jak zmienił się ostatnio sposób postrzegania czasu w ciągu okresów wzmożonej aktywności. Ostatnie, jakże pracowite tygodnie, stały się stokroć ważniejsze i intensywniejsze, niżby na to wskazywał sam kalendarz. W stosunku zaś do świata zewnętrznego wciąż były to tylko tygodnie. Oczekiwanie na jakiegokolwiek nowości po powrocie na przylądek byłoby zatem niedorzecznością, lecz przybycie wyładowanego pocztą statku było kwestią zapewne kilku dni.

— Myślę, że masz rację, Stephen — powiedział Jack, balansując na okrężnicy i pocierając niebieskawą bliznę na plecach. — Przez ostatnie dni wiele myślałem o Sophie i o dzieciach. Pojawiła

się w moim śnie zeszłej nocy, a był to pogmatwany, niespokojny sen. Chciałbym już móc ją ujrzeć.. .

— Zamyślił się przy tych słowach, po czym kontynuował: — Przyniosłem jednak ze sobą kilka bardziej pomyślnych wieści. Admirał otrzymał wiadomości z Sumatry i twierdzi, że w przeciągu kilku

tygodni do dywizjonu dołączą dwa nowe okręty, „Iphigenia” i „Magicienne”. Oczywiście okręty

nadpłyną ze wschodu i nie ma szans na to, by przywiozły jakiegokolwiek listy. Dotrze też do nas „Leopard”, choć tu się nie ma z czego cieszyć. To przeciekająca jak sito, pływająca trumna, której wszyscy próbują się pozbyć.

— A okręt pocztowy dotrze do nas na dniach i przywiezie kalkulację żądań podatkowych, rachunki i sprawozdanie ze zwyczajowych domowych katastrof, takich jak świnka, ospa wietrzna czy przeciekająca rura. Mam prorocze wizje, iż to właśnie wyłoni się z za zachodniego horyzontu — zawyrokował Stephen.

Dni mijały jeden po drugim. Wnętrze kadłuba „Boadicei” zostało opróżnione, po czym okręt położono

na burcie za pomocą talii przywiązanych do pachołków cumowniczych. Nadszedł czas na oczyszczenie jej porośniętego dna. Jack nareszcie skonstruował równoważnię dla swego teleskopu, która doskonale działała na lądzie, a Stephen ujrzał wreszcie lwa, istny kwiat wśród lwów południowoafrykańskich. Jego prorocze wizje sprawdziły się, choć nie do końca — wieści nadpłynęły,

lecz nie były to wieści ani z domu, ani z za zachodniego horyzontu. Do portu powrócił szkuner „Wasp”

z meldunkiem, że Francuzi zatrzymali trzy kolejne statki Kompanii, słup marynarki wojennej „Victor” oraz potężną fregatę portugalską „Minerve”.

Fregaty „Venus” i „Manche” były już na morzu, kiedy okręty Jacka zablokowały Port-Louis i zatrzymały niezwykle cenne statki „Windham”, „United Kingdom” i „Charlton”. „Bellone” zaś, która przekradła się nocą przez blokadę, przejęła osiemnastodziałowy słup „Victor”. Wraz z

przechwyconym i obsadzonym załogą przyzem zaatakowała później fregatę portugalską, której pięćdziesiąt dwa działa okazały się mizerną obroną przeciwko furii atakujących Francuzów. Były

portugalski okręt, przechrzczone na „La Minerve” i obsadzone przez ludzi z „Canonniere” oraz

grupkę dezertersów, stał teraz na kotwicy w Port-Louis. „Venus” i „Manche” wraz z przyzami również mogły się tam znajdować, lecz co do tego dowódca „Waspa” pewności nie miał.

Jack natychmiast zapomniał o generałach, guźcach i swym teleskopie i wydał rozkaz opuszczenia

portu jeszcze przed zmianą pływów. Proporczyk komodorski załopotał tym razem nad pokładem

„Boadicea”, gdyż zbliżały się miesiące huraganów, a tym „Raisonable” stawić czoła nie mógł. Jack znalazł się zatem na pokładzie swej starej fregaty, prowadząc ją w labiryncie zmiennych i

przeciwnych wiatrów, aż osiągnęli strefę niezawodnego pasatu południowo-wschodniego. Pokład

fregaty natychmiast pochylił się niczym spadzisty dach domku Ashgrove, reling po zawietrznej

zniknął w białej pianie, okręt zaś skoczył naprzód, by między jednym mierzeniem pozycji słońca a

drugim pokonać dwieście pięćdziesiąt, a nawet trzysta mil morskich. Istniała bowiem niewielka szansa

przechwycenia Francuzów i ich przyzów, zanim ci dotrą na Mauritius.

W drugą niedzielę po opuszczeniu portu Jack głośnym, oficjalnym i przypominającym kazanie głosem

odczytywał regulamin wojenny załozdze z trudem utrzymującej równowagę na pochyłym pokładzie.

Dotarł właśnie do punktu XXIX, który mówił o tym, iż karą za grzech sodomii jest powieszenie

sodomity, a przy którym oblicze Nakrapianego Dicka i innych midszypmenów zawsze czerwieniało

od tłumionego z trudem śmiechu, kiedy na horyzoncie pojawiły się dwa żagle. Były jeszcze w sporej

odległości, lecz „Boadicea” od razu skręciła, by uzyskać przewagę względem wiatru. Ceremonia

trwała dalej, choć teraz każdy marynarz myślami był z obserwatorem na marsie. Nim jednak Jack

dotarł do ustępu mówiącego o nielicznych przestępstwach nie karanych śmiercią i nim nakazał

przygotowanie okrętu do boju, obcy okręt na nawietrznej wywiesił swój znak rozpoznawczy.

„Boadicea” odpowiedziała tym samym — napotkanym okrętem była fregata „Magicienne”, a

towarzyszył jej „Windham”.

Zaproszony na pokład kapitan Curtis, dowódca „Magicienne”, opowiedział, iż natknął się na przejęty

przez Francuzów statek Kompanii przy wschodnim brzegu wyspy Mauritius. „Windham” odłączył się

od „Venus” podczas niespodziewanego, gwałtownego sztormu na siedemnastym stopniu szerokości

południowej, a „Magicienne” doścignęła go, żeglując przez cały dzień na wiatr. Curtis zdecydował się

pozostać na tych wodach w nadziei znalezienia francuskiej fregaty, którą w istocie zlokalizował tuż

przed zachodem słońca. Wyglądała jak strach na wróble — nad jej pokładem sterczały tylko dolne części masztów, na których łopotały strzępy żagli, sam zaś okręt płynął powoli przy brzegu jedynie na sfatygowanym fok. Niestety, było już zbyt blisko Grand-Port i gdy bryza od lądu wzmogła się, załoga „Magicienne” mogła tylko biernie oglądać, jak poturbowana francuska fregata wpływa na holu do przystani pod osłoną dział twierdzy Ile de la Passe.

— Następnego ranka, sir, kiedy mogłem ruszyć w pościg — mówił przeproszająco kapitan Curtis — Francuz był już w połowie drogi do bezpiecznego końca przystani. Mam jednakże bardzo mało amunicji, ledwie po jedenaście ładunków na działo, a skoro statek Kompanii był w takim kiepskim stanie, uznałem za stosowne zaniechać pościgu.

— Słusznie pan uczynił — odparł Jack, myśląc o długiej, wąskiej zatoce, której strzegły silnie ufortyfikowana wyspa Ile de la Passe, baterie na obu brzegach i przy jej końcu oraz zdradliwy, wijący

się, najeżony rafami tor wodny. Marynarka brytyjska zwała to miejsce Port South-East w przeciwieństwie do Port-Louis na północnym zachodzie i Jack dobrze je znał. — Słusznie pan uczynił

— powtórzył. — Oznaczałoby to niechybnie utratę „Magicienne”, a okręt jest mi potrzebny. Och, zdecydowanie nam się pan teraz przyda, skoro Francuzów wzmocniła potężna „Minerve”. Zje pan ze mną obiad, panie Curtis? Tymczasem weźmiemy kurs na Port-Louis.

Statek Kompanii został wzięty na hol i wlekąc go za sobą, oba okręty ruszyły naprzód z wiatrem wiejącym tuż zza trawersu.

Stephen Maturin mylił się głęboko, wychodząc z założenia, iż Jack, teraz starszy i wynioślejszy, traktował swe okręty jako mniej lub bardziej wygodne kwatery. Liniowiec „Raisable” nigdy tak naprawdę do niego nie należał i Jack nie czuł się z nim związany. Z „Boadiceą” sprawy wyglądały inaczej — z tym okrętem zdążył się zżyć i stał się jednym z jej załogi, którą zresztą całą znał i z nielicznymi wyjątkami lubił. Powrót na fregatę sprawił mu wiele radości, a i załogę bardzo to

ucieszyło, mimo że zastępujący Jacka kapitan Eliot dał się poznać jako doskonały oficer. W rzeczywistości Eliot nie miał na pokładzie „Boadicei” łatwego życia, gdyż załoga delikatnie, lecz stanowczo sprzeciwiała się jakimkolwiek zmianom, jakie ten chciał wprowadzić.

„Komodor chce, by to było tak — mówiono mu. — Komodor zawsze nalegał, by to tak wyglądało. Komodor osobiście rozkazał, by pościgówki pomalować na brązowo”.

Z członków swej załogi Jack szczególnie cenił bosmana, pana Fellowesa, który najgorliwiej ze wszystkich poparł wprowadzone przez dowódcę zmiany w ożaglowaniu. Dzięki staraniom bosmana i odpowiedniemu przygotowaniu potężnych bloków liny cumownicze mogły w każdej chwili zostać zamocowane na topach masztów i wzmocnić je przy rozwinięciu dodatkowych żagli. Kadłub fregaty dopiero co został oczyszczony, ładunek korzystniej rozsztauowany, a takielunek stały zastąpiono nowym, zrabowanym w St Paul. Mimo ciągniętego na holu statku Kompanii za każdym rzuceniem logu okazywało się, iż okręt robi dziewięć węzłów.

— Wciąż dziewięć węzłów! — oznajmił Jack, schodząc pod pokład rufowy.

— Uszczęśliwiasz mnie, Jack — odparł Stephen. — A jeszcze bardziej byś mnie uszczęśliwił, gdybyś

mi zechciał pomóc z tym tutaj. Przez to bezsensowne pochylenie okrętu na burcie rozsypała mi się zawartość skrzyni.

— Dobry Boże! — zawołał Jack, gdy dostrzegł dziesiątki złotych monet wciśniętych w szczelinę podłogi po zawietrznej stronie kajuty. — Co to takiego?

— Przyjęło się nazywać to pieniędzmi! — padła odpowiedź. — Gdybyś tak zechciał mi pomóc, miast

stać z ustami rozdziawionymi niczym Danae, to pewnie udałoby się sporo z nich uratować, nim znikną

w szczelinach podłogi. Dawaj, dawaj, żywo!

Obaj wylądowali na czworakach, zgarniając i zbierając monety aż do chwili, kiedy masywna, okuta żelazem skrzynia znowu wypełniła się po brzegi.

— Do każdej z tych małych sakiewek musimy ich wrzucić po pięćdziesiąt — instruował go Stephen.

— A potem każdą z nich trzeba mocno zawiązać sznurkiem. Chcesz wiedzieć, co to jest? — spytał, kiedy stos pełnych sakiewek rósł obok nich.

— Pewnie.

— Masz przed sobą owo zepsute, korumpujące brytyjskie złoto, na które tak pomstuje Bonaparte i jego gazety. Jak widzisz, nie jest to wymysł propagandy. Dodam tylko, że każdy ludwik, każdy napoleon, dukat czy dublon, który masz przed sobą, jest prawdziwy. To właśnie Francuzi płacą swoim

agentom fałszywymi pieniędzmi lub weksłami bez pokrycia. I przez to szpiegostwo zyskuje złą reputację.

— Zatem jeśli zapłacimy prawdziwymi pieniędzmi, to otrzymamy lepsze raporty?

— Tak naprawdę to informacje człowieka przekupionego rzadko kiedy mają decydujące znaczenie. Prawdziwym skarbem, klejnotem, którego wartość trudno zmierzyć, jest człowiek, który nienawidzi tyranii równie mocno jak ja — w naszym przypadku jest to rojalista lub prawdziwy republikanin, który oddałby życie za klęskę Bonapartego. Jest ich kilku na La Reunion i mam wszelkie powody, by wierzyć, że na Mauritiusie będzie ich jeszcze więcej. Te sakiewki pójdą zaś w ręce tych przekupnych agentów, których miałeś na myśli. — Przy tych słowach Stephen wzruszył ramionami. — Istnieje szansa, że nam pomogą, nawet spora szansa, ale ich informacje rzadko kiedy będą trzymać się kupy. Jack, nurtują mnie teraz dwie sprawy — kiedy będziesz mógł mnie wysadzić na ląd i jak w tej chwili oceniasz nasze szanse?

— Odpowiedź na twoje pierwsze pytanie będę znał z chwilą rozpoznania sytuacji w Port-Louis — odparł Aubrey. — Co do naszych szans... Myślę, że rozkładają się po równo. Francuzi zyskali „La Minerve”, ale my mamy „Magicienne”. Powiesz zapewne, iż „La Minerve” jest większa, a „Magicienne” ma na pokładzie tylko dwunastofuntówki, lecz Lucjusz Curtis to stary wyga i zahartowany wilk morski. Szanse na razie są równe, Stephen, ale nie potrwa to długo. Zbliżają się

miesiące huraganów i jeśli Francuzi zaszyją się w porcie, a my pozostaniemy na zewnątrz, to nie sposób nic powiedzieć o wyniku starcia.

W nocy trzy jednostki brytyjskie zmieniły kurs, z wiatrem od rufy opływając wyspę od północy. Zaraz

po otwarciu oczu Stephen uświadomił sobie, iż okręt płynie na równej stępce, kadłub kołysze się łagodnie, a dziwne odgłosy, obecne przez kilka ostatnich dni pod pokładem, ucichły. Stephen niedbale

obmył twarz i dotknął brody.

— Nieźle jak na dziś — ocenił.

Następnie spieszonym krokiem ruszył ku kajucie kapitańskiej, ponaglany myślą o kawie i pierwszym porannym cygarze. Killick stał w kajucie z dzbankiem do kawy w dłoniach, wyglądając przez okno rufowe.

— Dzień dobry, Killick — powitał go Stephen. — Gdzie pierwszy po Bogu?

— Dzień dobry, doktorze — odparł steward. — Ciągle na pokładzie.

— Coś się stało Killick? — Doktor zmarszczył brwi. — Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczył w spiżarni. Chory jesteś? Pokaż no język!

— A są duchy w spiżarni, sir? — bąknął coraz to bledszy Killick, schowawszy już swój przesadnie długi język. — O nie... A ja tam trzymałem środkową wachtę w nocy... Och, przecież mogłem jakiegoś zobaczyć, sir!

— W spiżarni zawsze są jakieś duchy. Należesz mi filiżankę kawy czy nie?

— Obawiam się, że nie, sir. Są gorsze wieści niż duchy — te cholerne szczury dorwały się w nocy do

kawy. Na całym okręcie nie ma już kawy na kolejny dzbanek!

— Killick, natychmiast daj mi ten dzbanek, albo dołączysz do duchów w spiżarni i będziesz z nimi zawodził po wsze czasy!

— Jeszcze za to beknę... — wymamrotał steward kapitański, z najwyższą niechęcią postawił dzbanek

na samej krawędzi stołu.

— Dzień dobry! — Do kajuty wszedł Jack i również nalał sobie filiżankę. — Nikogo nie brakuje — rzucił w stronę Stephena.

— Kogo? Gdzie?

— Wszystkie okręty francuskie są w porcie, a wraz z nimi „Victor” i pozostałe dwa statki Kompanii.

Nie byłeś jeszcze na pokładzie? Stoimy w dryfie naprzeciwko Port-Louis. Co się stało z kawą? Ma paskudny smak!

— Przypisałbym to osobiście odchodom szczurów. Gryzonie wyżarły nam cały zapas, a to, co w tej chwili pijemy, to przypuszczalnie lura na bazie resztek z dna worka.

— Fakt, skądś znam ten smak — stwierdził Jack. — Killick, idź no do pana Seymoura, przekaz mu moje pozdrowienia i rozkaz, by dał ci łódź, a potem zasuwasz między okręty dywizjonu i bez czternastofuntowego worka kawy nie masz co wracać. „Nereide” możesz sobie podarować, tam się kawy nie pije.

Po wysączeniu dzbanka aż po cokolwiek wątpliwe fusy, obaj udali się na pokład. „Boadicea” stała w dryfie na środku przepięknej zatoki, a pozostałe okręty, „Nereide”, „Sirius”, „Otter” i odbity w St Paul bryg „Grappler” wraz z kilkoma awizo o skośnym ożaglowaniu, widać było zarówno od strony dziobu, jak i rufy fregaty. Załoga stojącego na zawietrznej „Windham”, wspomagana przez grupy marynarzy z innych okrętów, naprawiała uszkodzenia po sztormie i walce, śledzona obojętnymi spojrzeniami francuskich więźniów z byłej załogi przyzowej. Na końcu długiej, zakręcającej zatoki leżało miasto Port-Louis, stolica Mauritiusa, a za nim ciągnęły się zielone grzbiety wzgórz. Horyzont zakrywał łańcuch górski z wierzchołkami tonącymi w chmurach.

— Z topu grot mógłbym ci więcej pokazać — rzekł Jack. — Dałbyś radę się wspiąć?

— Oczywiście, aż na najwyższy saling, jeśli nie masz nic przeciwko! — odparł Stephen. — Czuję się zręczny jak małpa.

Jack w ostatniej chwili powstrzymał się przed zapytaniem, czy istnieją lądowe małpy ze sztywnymi stawami, zawrotami głowy, szcążkowym zmysłem równowagi i dwiema lewymi rękami. Widział już, jak na jego przyjaciela działają wyzwania. Poza pojedynczym sapaniem, z którym przepchnął Stephena przez *lubber's hole**, nie wydał z siebie ani dźwięku aż do chwili, kiedy obaj rozsiedli się wygodnie wśród żagli bocznych i wycelowali lunety na miasto.

* *Lubber's hole* — otwór w podstawie marsa, przez który można się dostać na samą platformę.

— Widzisz ten biały budynek z powiewającą trójkolorową flagą? — spytał Jack. — To kwatera główna generała Decaena. Teraz sprowadź lunetę na poziom plaży i nakieruj ją odrobinę na prawo. To

„Bellone”. Wstawiają na niej nową stengę foka. Jeszcze trochę, jeszcze stopa... Już! Zgrabnie trafili w mocowanie masztu, prawie idealnie! Dobra robota! Ten okręt za fregatą to „Victor”! Widzisz tę trójkolorową banderę ponad naszą? Łajdaki z nich, choć przyznać trzeba, że był to okręt francuski, nim żeśmy go capnęli. A tam, głębiej w porcie, podobna sytuacja, widzisz banderę francuską nad portugalską? To „Minerve”, Stephen, potężny okręt, i nie znać na nim śladów uszkodzeń po walce. Ten okręt z proporczykiem komodorskim to fregata „Venus” — stoi burta w burtę z tą barką z dźwigiem nożycowym. Wstawiają nowy stermaszt. Uff, jednak się jej oberwało! Bukszpryt pękł w mocowaniach, ani śladu po relingu na dziobie i po takielunku na tej burcie. Nisko siedzi w wodzie, przy pompach trwa pewnie ciężka praca. Zastanawiam się, jak w ogóle udało im się wprowadzić okręt

do portu! Zbyt wcześnie jak na tak potężny sztorm — „Venus” musiała się znaleźć w samym jego centrum, a statek Kompanii gdzieś na obrzeżach. „Magicienne” pewnie pozostała daleko poza zasięgiem, gdyż kapitan Curtis nawet bombramstengi nie zdjął.

— Te twoje huragany zapewne działają na zasadzie obrotu wokół osi? — spytał Stephen.

— Otóż to. Wirują jak szalone, a kiedy myślisz, że udało ci się wydostać poza strefę działania, uderzają znowu. Na prawo kotwiczony „Manche” i jakaś korweta, chyba „Creole”. Kiedy już doprowadzą „Venus” do stanu używalności, będzie to całkiem mocna formacja. Ach, cóż to by było za

starcie, gdyby zdecydowali się wyjść z portu i stawić nam czoło równie dzielnie jak ów kapitan w St Paul. Jak on się zwał?

— Feretier. Myślisz, że wyjdą w morze?

— Nigdy w życiu, chyba że uda mi się wywieść ich w pole, sprawić, by ich komodor uwierzył, że zniknęliśmy sprzed wejścia do portu. Nie... Sytuacja zaczyna znów przypominać Tulon czy Brest — będziemy tu krążyć tak długo, aż do jedzenia pozostanie solona konina i suchary nadziewane robalami. Na Morzu Śródziemnym nazywaliśmy to „polerowaniem przyładka Sicie”. Jedynym plusem jest to, że jeśli już musisz udać się na La Reunion, mogę cię tam wysłać na „Grapplerze”. Bryg odprowadzi „Windham” aż do wyspy na wypadek pojawienia się jakiegoś pirata, wysadzi cię na brzegu i przywiezie następnego dnia. To zaledwie trzydzieści mil morskich, a przy tym stałym wietrze... Wybacz, Stephen, pora już, bym spotkał się z moimi kapitanami. Gig Clonferta już odbija, jak zwykle z gromadą pajaców przy wiosłach. Czemu ten człowiek robi wokół siebie takie widowisko?

— Wielu kapitanów ma zwyczaj strojenia załóg swoich gigów.

— Ale istnieje coś takiego jak przyzwoitość. Nie chce mi się iść na to spotkanie. Będę musiał domagać się wyjaśnień, jak to się stało, że „Bellone” wymknęła się z portu mimo blokady. Nie potrwa

to długo, mam nadzieję. Poczekasz tu na mnie?

Siedzący wygodnie na salingu Stephen kołysał się do przodu i do tyłu wraz z długą falą, która w równych odstępach czasu unosiła okręt wzdłuż jego osi symetrii. Narada z kapitanami trwała dłużej, niż Jack się początkowo spodziewał, jednakże Stephen ledwie zauważał upływ czasu. Było mu gorąco, tak gorąco, iż odpiął żabot. Oko jego lunety śledziło unoszące się w powietrzu ptaki, głównie rybitwy brunatne, zwyczajowe obowiązki załogi „Boadicei”, krzątanicę na pokładzie „Windham” i łodzie kursujące między okrętami, lecz jego myśli były daleko stąd, na wyspie La Reunion. W jego umyśle jeden po drugim pojawiały się pomysły na przekonanie francuskich poddanych do przejścia

pod panowanie brytyjskie w sposób bardziej szczerzy i mniej morderczy od pojedynku na salwy burtowe z bliskiego dystansu. Zamyślił się głęboko, tak że pojawienie się okrągłej, zarumienionej twarzy komodora na skraju jego szerokiej grzędy całkowicie go zaskoczyło. W tej samej niemalże chwili z troską wyczytał na jego obliczu niepokój, a niebieskie oczy przygasały.

— Cholernie ciężko będzie nam blokować ten port — oznajmił Jack. — Przy tym stale wiejącym wietrze południowo-wschodnim łatwo się zeń wyślizgnąć, ale ciężko doń wejść, zwłaszcza jeśli nie dopisuje bryza lądowa i pływ jest mało korzystny. To dlatego właśnie Francuzi tak często korzystali z

St Paul. Będziemy mieli też trudności ze szczelnym blokowaniem wejścia do zatoki w bezksiężycowe noce. Jeśli masz ochotę na filiżankę kawy, proponuję zejść na dół. Killick wydłubał kilka ziarenek, w sam raz na małe co nieco przed południem.

Gdy znaleźli się już w kapitańskiej kajucie, Jack ciągnął dalej:

— Nie mogę ich zatem winić za wypuszczenie „Bellone” — mówił. — „Canonniere” zaś opuścił port,

zanim nasi zajęli pozycje. Będę ich jednak winić za to, że wykorzystali to jako pretekst do kłótni.

Siedzieli tu nastroszeni niczym warczące na siebie kundły, odpowiadali półsłówkami i tylko łypali na

siebie złowrogo. Odpowiedzialność ponosi oczywiście Pym jako starszy stopniem, lecz nie mam zielonego pojęcia, kto naprawdę zawinił. Pewien jestem tylko tego, że zdążyli się poczuć. Clonfert

w istocie wygląda na mistrza w pozyskiwaniu sobie wrogów, ale dziwi mnie postawa Pyma, dobrodusznego przecież i bezkonfliktowego człowieka. Tak czy owak, zaprosiłem wszystkich

kapitanów na obiad, miejmy nadzieję, iż taka okazja pozwoli załagodzić te tarcia. Podobne zatargi nie

wyjdą dywizjonowi na dobre. A już myślałem, że pozbyłem się ich z chwilą odpłynięcia Corbetta.

Choć temperatura w kajucie przekraczała trzydzieści stopni, a powietrze było wilgotne, obiad, którego

ozdobą była potrawa z czterystufuntowego żółwia i barani comber jeszcze z Przylądka, przywrócił

atmosferę życzliwości wśród gości. Pym nie był człowiekiem, który mógłby długo żywić urazę, a Clonfert umiał ukryć swe uczucia pod maską towarzyskich uprzejmości. Obaj kapitanowie przepijali do siebie i Jack z ulgą dostrzegał, że atmosfera zaczyna się rozluźniać. Kapitan „Magicienne”, Curtis, okazał się człowiekiem energicznym i chętnym do pogawędki, miał też sporo do opowiedzenia o francuskiej eskadrze i jej napadach na tereny Kompanii daleko na wschodzie. Francuski komodor, Hamelin, był zajadłym jakobinem, ale doświadczonym żeglarzem, natomiast dowódca szybkiej i zwinnej „Bellone”, Duperre, słynął jako zaciekły wojownik, a wszystkie francuskie załogi cechowały się doskonałym wyszkoleniem. Opowieść Curtisa usunęła formalne ramy, towarzyszące pierwszej fazie posiłku i wkrótce wokół stołu trwały liczne ożywione rozmowy. Wyjątek stanowił lord Clonfert,

wciąż kierujący większość słów do swego sąsiada, doktora Maturina, oraz młodszy stopniem oficerowie, dowódca „Ottera” Tomkinson i kapitan „Grapplera”, Dent, otwierający usta tylko po to, by połknąć kolejne porcje mięsiwa i przepłukać je maderą z Przylądka.

— Dobrze ci się układają stosunki z Clonfertem — zauważył Jack, po tym jak objedzeni goście opuścili pokład fregaty. — O czym rozprawialiście? Jest czytany?

— Tak, lubi powieści, ale rozmawialiśmy głównie o jego badaniach tych wybrzeży. Clonfert sporządził wiele map tutejszych zatoczek, po których pływał szalupą wraz ze swym czarnoskórym pilotem, i jego wiedza na ich temat jest doprawdy zaskakująca.

— Wiem o tym. Myślę, że Corbetta bije w tym na głowę. Clonfert to zdolny człowiek, ale... O co chodzi, Bonden?

— Jestem gotów, sir — powiedział Bonden.

— Pokaż kieszenie.

— Płótno numer siedem, podwójny szew. — Bonden rozpostarł poły płaszcza, ukazując mnóstwo torebek po jego wewnętrznej stronie. — Na połach też.

— Bardzo dobrze. Weź zatem te sakiewki i przymocuj je szczelnie.

Oczy Bondena biorącego do rąk małe, ciężkie sakiewki naraz rozblysnęły, jakby się domyślił, co

zawierają, ale natychmiast przybrał wyraz twarzy niewiniątka i powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy.

— Jesteśmy zatem gotowi — oznajmił Jack. — Bonden, oto rozkazy dla kapitana Denta. Ma cię wypytać, czy dokładnie rozpoznajesz miejsce, w którym doktor opuścił pokład „Waspa”. I słuchaj mnie teraz, jeśli nie będziesz pewien, jeśli będziesz miał chociaż cień wątpliwości co do punktów orientacyjnych lub pomiarów sondowań, masz to Dentowi powiedzieć, bez względu na to, czy wezmą cię za skończonego durnia, czy nie. I, Bonden, masz się opiekować doktorem najlepiej, jak potrafisz. Zadbaj o jego pistolety i dopilnuj, by dostał się na brzeg suchą stopą.

— *Aye, aye, sir!* — odparł Bonden.

Szalupa od strony „Grapplera” odbiła kilka minut później Bonden, mimo że w swej obciążonej, szczelnie zapiętej kurtce wydawał się nienaturalnie potężny i ociężały, szybko wspiał się po burcie brygu i pomógł wciągnąć Stephena na pokład. Bryg w towarzystwie statku Kompanii wyruszył na południowy zachód.

Jack śledził obie jednostki aż do chwili, kiedy ich kształty zniknęły za horyzontem, po czym skierował

wzrok na brzeg, gdzie ciemny kontur francuskich fortyfikacji ostro odcinał się od soczystej zieleni plantacji trzciny cukrowej. Niemalże czuł na sobie odpowiadające mu spojrzenia francuskich dowódców, kierujących swe teleskopy na jego okręty, a zwłaszcza wydawało mu się, iż patrzy nań sam Hamelin, jego odpowiednik po drugiej stronie. Wydał zatem rozkazy, by wprawić okręty rozciągniętej blokady w ruch, po czym jął rozmyślać nad sposobami wyprowadzenia Francuzów w pole i wciągnięcia ich do bitwy.

Przed powrotem „Grapplera” Jack zdołał już wypróbować kilka scenariuszy, lecz ani otwarta prowokacja, ani cała seria wątpliwych podstępów nie zdołały zmusić Francuzów do działania.

Hamelin okazał się sprytnym przeciwnikiem i francuskie okręty stały nieporuszone na cumach i kotwicach. Brytyjczyków oczekiwała zatem perspektywa nużącego kursowania tam i z powrotem w

blokadzie portu, w której jedynym wyróżniającym się momentem miały być dopiero święta Bożego Narodzenia.

Doktor przywiózł ze sobą skrzynię pełną najlepszej kawy na świecie, nowe urządzenie do jej palenia oraz setki wieści, z których żadna nie okazała się pomyślna. Otóż spodziewano się nadpłynięcia fregaty „Astree” z Francji, samopoczucie komendanta St Paul od chwili śmierci generała Desbrusleysa

znacznie się poprawiło, a na wyspę dotarły liczne oddziały piechoty z kadrą oficerską złożoną z gorliwych bonapartystów. Teraz zdobycie La Reunion, nawet po przybyciu obiecanych trzech tysięcy żołnierzy z Indii, miało okazać się znacznie trudniejszym zadaniem, aniżeli byłoby kilka tygodni temu z połową tych sił, wydzieloną z wojsk na Przylądku. Stephen przekazał, że zdaniem francuskich oficerów nawet przy dobrej pogodzie wyspa była nie do zdobycia bez desantu co najmniej pięciu tysięcy żołnierzy. Z drugiej strony zaś dowiedział się on również wiele o znacznie ważniejszym dla nich Mauritiusie, wyspie ze wspaniałymi przystaniami. Znaczną część stacjonującego tam francuskiego garnizonu stanowili Irlandczycy, głównie więźniowie lub wciąż wierzący w Napoleona ochotnicy. Stephen mógł tam zatem nawiązać wiele kontaktów i tę informację uważał za najistotniejszą.

— Zatem — mówił — jeśli tylko pozwolisz mi się przesiąść na „Nereide”, gdzie będę mógł skorzystać z wiedzy Clonferta i umiejętności jego czarnego pilota, rozpocznę przygotowania do infiltracji. Upłynie trochę czasu, nim nasze broszury dotrą do miejscowej ludności, a wtedy jakaś odpowiednio dobrana plotka, szepnięta w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze mogłaby sprowokować Francuzów do opuszczenia portu.

Jack zgodził się z nim — zadanie w istocie było ważne.

— Jednakże — dodał po chwili — mam nadzieję, że nie uznasz mnie za mięczaka, kiedy ci wyznam, że bardzo tęsknię za czasami, kiedy nie stanowiliśmy żadnego istotnego ogniwa. Żeglowaliśmy na własną rękę, nierzadko obowiązki nas przytłaczały, ale jakże często mieliśmy czas wieczorem na

trochę muzyki czy partyjkę w karty. Jutro przejdiesz na „Nereide”, skoro taka twoja wola. „Venus” leży na burcie i reperują jej kadłub, a „Manche” niebawem pójdzie w jej ślady, stać mnie zatem za oddanie jednego okrętu. Wcześniej jednak spędźmy przynajmniej ten wieczór jak za dawnych czasów.

Podczas twojej nieobecności rozpisałem Corelliego na skrzypce i wiolonczelę.

Muzyka na chwilę pozwoliła im powrócić do odległej przeszłości, gdzie nie trzeba było zakazywać wstępu objuczonemu papierami sekretarzowi komodora, by mieć kilka godzin spokoju, gdzie nie trzeba było borykać się z dąsami przewrażliwionych kapitanów i gdzie garstkę spraw administracyjnych, którą pierwszy oficer pozostawiał dowódcy, można było załatwić od ręki. Pan Peter z naręczami dokumentów powrócił jednakże rano, w tym samym czasie kapitan „Magicienne” zgłosił wniosek o zwołanie sądu wojennego nad marynarzem za niewyobrażalną liczbę przestępstw, począwszy od pijaństwa, a skończywszy na wbiciu marszpiłka w kadłub okrętu poniżej linii wodnej, „Sirius” natomiast zameldował kurczenie się zapasów wody pitnej i drewna. W takich okolicznościach

odejściu Stephena na „Nereide” towarzyszyło pożegnanie najkrótsze z możliwych.

Jack nie do końca podzielał zdanie Pierwszego Lorda Admiralicji St Vincenta w sprawach takich jak choćby polityka czy wolność słowa, ale obaj surowo przestrzegali porządku w zespołach okrętów i wymagali natychmiastowej reakcji na rozkazy. Okazja wyzwolenia się spod żelaznej dyscypliny komodora wprawiła zatem Clonferta w doskonały nastrój i Stephen zastał dowódcę „Nereide” rozpromienionego. Popołudnie obaj spędzili na pokładzie rufowym, spacerując wzdłuż nawietrznej burty fregaty i obserwując wysokie, pokryte lasem i migoczące od blasku słońca brzegi Mauritiusa. Ten czas pozwolił Stephenowi na rozeznanie się w panującej na okręcie atmosferze. Z poprzedniej załogi „Nereide” nie pozostało już wielu ludzi, gdyż Clonfert zabrał ze sobą większość swej załogi i wszystkich oficerów, tak więc na pokładzie fregaty panował nastrój zbliżony do atmosfery słupa. Na pozór niczym nie odbiegał on od modelu życia na każdym okręcie wojennym — widział te same

zajęcia załogi, tak samo precyzyjnie odmierzany czas czy kategorię utrzymywany porządek.

Nigdy natomiast nie spotkał się z tym, by po rozkazach dowódcy jego podwładni sugerowali, jak można coś usprawnić. Owe uwagi po każdym wydanym poleceniu zdawały się zwyczajowym prawem

na okręcie, obowiązującym na każdym szczeblu hierarchii pokładowej — od oficera wachtowego aż po Jemmy'ego Kaczora, który opiekował się drobiem. Stephenowi z jego skromnym doświadczeniem żeglarza trudno było negatywnie ocenić to zjawisko. Każdy członek załogi wydawał się mieć dobry humor, a manewry wykonywane były szybko i sprawnie — zawsze jednak sądził, że taka gadatliwość załogi właściwa była marynarce Francuzów, narodu słynącego z żywiołowości i zamiłowania do mówienia ponad miarę.

Oficerowie kontraktowi, czyli nawigator, bosman, artylerzysta i cieśla, wydawali się jedynym odstępstwem od reguły i z całą powagą trzymali się tych tradycji w marynarce wojennej, które Stephenowi były bliższe. Wyróżniał się wśród nich zwłaszcza nawigator, pan Satterly, starszy mężczyzna o ziemistej twarzy, który swego dowódcę traktował z zawołanym, pełnym sympatii pobłażaniem, lecz prowadził okręt bez zbędnego słowa. Oficerowie zawodowi oraz młodzi dżentelmeni nawet nie starali się utrzymywać ciszy, gdyż najwyraźniej każdy z nich usiłował ściągnąć na siebie uwagę Clonferta i zaskarbić sobie jego łaski. Panowało między nimi współzawodnictwo, wymuszone po części wymogami służby, a po części osobliwą mieszanką poczucia własnej wolności i czegoś na kształt służalczości. Z ust oficerów rozmawiających z Clonferem co rusz padało słowo „milordzie”, a każdy z nich z szacunkiem zamiatał przed nim kapeluszem, kiedy tylko musiał się doń zwrócić. Stephen zauważył też, iż czynili to znacznie częściej, niż miało to miejsce na innych okrętach, a ponadto zwykli bez pytania przechodzić na nawietrzną stronę pokładu rufowego, by wygłosić jakąś nieistotną, nie związaną z ich obowiązkami uwagę.

Dobry nastrój najwyraźniej nie służył jednak Clonfertowi tak świetnie jak przygnębienie.

Zaprowadziwszy Stephena do swej kajuty, pokazał mu jej umeblowanie, siląc się na entuzjazm, z drugiej strony zapewniając go, iż było to jedynie wyposażenie tymczasowe.

— Coś takiego nie nadaje się na kajutę kapitańską na fregacie — oznajmił. — To umeblowanie uszłoby na slupie, lecz na tym okręcie wygląda kiepsko.

Kajuta kapitańska na „Nereide”, podobnie jak na innych klasyfikowanych okrętach, była uderzająco pięknym pomieszczeniem. Za czasów Corbetta było tam niewiele poza wyczyszczonymi deskami, połyskującym mosiądzem i lśniącymi oknami. Wnętrze utrzymane było wprost po spartańsku. Po przeprowadzce Clonferta zaś okazało się, że kajuta jest zbyt przestronna jak na jego dobytek i przypomina celę klasztorną pośpiesznie zamienioną na burdel. Jej rozmiary powiększała para luster, które Clonfert zabrał ze sobą z „Ottera” — rozstawione były po obu stronach burt i kapitan, opowiadając Stephenowi szczegółowo historię lampy wiszącej u sufitu, spacerował od jednego do drugiego. Siedzący po turecku na sofie Maturin zauważył, że zawracając, Clonfert nie mógł się powstrzymać od badawczego, ale i pełnego samozadowolenia zerknięcia na swe odbicie.

Podczas obiadu kapitan dalej ciągnął opowieści, tym razem poruszając temat swych przygód w Turcji

i Syrii u boku sir Sydneya Smitha. W pewnym momencie Stephen uświadomił sobie, że dla Clonferta już dawno przestał być towarzyszem posiłku, a stał się publicznością. Zupełnie nie przypominało to przyjacielskich pogawędek sprzed kilku dni i doktor zaczął się nudzić.

„Kłamstwa lub półkłamstwa mają pewną wartość, gdyż pokazują rozmówcy, za kogo kłamca naprawdę chce uchodzić” — pomyślał. „Rzadko które są jednak wystarczająco dobre. Kłamstwa działają w natarczywy, agresywny sposób, próbując przymusić słuchacza do okazywania podziwu. Kłamstwa to zdecydowanie antyteza konwersacji”.

„Co więcej, potrafią naprawdę żenować” — myślał dalej, patrząc na talerz, gdyż Clonfert przeszedł do

tematu owego nieszczęsnego jednorożca. Talerz był bardzo ładny, wokół jego krawędzi

wygrawerowano herb rodziny Scroggs, lecz wykonano go w Sheffield, a miejscami prześwitywała już

miedź. „A oprócz tego, że wprawiają w zakłopotanie, to jeszcze przysparzają wysiłku, bo choćby z czystej przyzwoitości trzeba ich wysłuchać i nie zdemaskować. Clonfert wpadł w stan niezłego podekscytowania, to pewne”.

Stephen nie chciał demaskować lorda i milczeniem przyjął jego opowieść o jednorożcu wraz z kolejnymi, równie mało prawdopodobnymi, lecz nawet nie próbował się zmusić do nakłaniania lorda do snucia ciągu dalszego. W końcu nawet sam Clonfert uświadomił sobie, iż ton jego wypowiedzi mocno się zmienił, a publiczność zgubiła wątek i nawet nie starała się go odszukać. W jego spojrzeniu

zagościł niepokój, po czym on sam zmusił się do zmiany tonu głosu na bardziej ugodowy, jeszcze raz wyrażając Stephenowi wdzięczność za opiekę podczas choroby.

— Zaniemogłem przez coś doprawdy paskudnego i nieludzkiego — stwierdził. — Poprosiłem pana McAdama, by użył swego noża, jeśli to miałyby pomóc, lecz ten się wzbraniał. Mam wrażenie, iż obawia się wyrządzić mi krzywdę, coś na kształt instynktu macierzyńskiego. Nasz komodor nie wydaje się cierpieć na dolegliwości tego typu, nieprawdaż?

— Gdyby komodor cierpiał na jakiegokolwiek dolegliwości, na pewno bym panu o nich nie opowiedział

— odparł Stephen. — Nie zwykłem rozmawiać o moich pacjentach. Jednakże — zmienił ton głosu na miłszy — nie ma pan powodu, by twierdzić, że w tej chorobie było cokolwiek w najmniejszym stopniu ujmującego pańskiej godności. Natężenie bólu u pana osiągnęło poziom, którego jak dotąd nie widziałem u żadnego pacjenta, niezależnie od tego, co było przyczyną boleści.

Clonfert wyglądał na zadowolonego.

— To poważna sprawa — ciągnął Stephen. — Ma pan zatem wiele szczęścia, iż ekspert taki jak pan McAdam jest na co dzień do pańskiej dyspozycji. Mam nadzieję, iż za pańskim pozwoleniem będę mógł się z nim zaraz przywitać.

— Poczciwiec McAdam, tak... — Clonfert powrócił do poprzedniego tonu dyskursu. — Tak.

Salomon to może z niego nie jest, trzeba też nauczyć się znosić niektóre jego słabostki oraz mało przyjemne usposobienie, ale przyznaję, iż jest do mnie szczerze przywiązany. Dziś rano był niedysponowany, w przeciwnym razie wyszedłby, by pana powitać. Myślę, że już stanął na nogi.

McAdam był zajęty w swoim szpitaliku, lecz nie wyglądał najlepiej. Na szczęście dla załogi „Nereide”

jego pomocnik, pan Fenton, był dobrym lekarzem z doświadczeniem w sprawach morskich, gdyż sam McAdam nie wykazywał wielkiego zainteresowania medycyną ciała. Pokazał on Stephenowi kilka ze swoich przypadków i zatrzymali się na chwilę przy marynarzu, u którego niemożliwy do zoperowania kilak uciskał mózg do tego stopnia, iż nastąpiły zaburzenia logicznego myślenia, a w efekcie również mowy.

— Kolejność wypowiedzianych słów nie jest pozbawiona sensu, ale zajęcie się nim nie leży w mojej mocy — powiedział McAdam. — Na okręcie wojennym nie ma wielu możliwości przeprowadzenia tego typu badań. Zejdźmy niżej, napijemy się czegoś. A praktycznie nie ma na to żadnych szans — kontynuował, kiedy zeszli do pomieszczenia cuchnącego grogiem i wodą z zęzy. — Na dolnym pokładzie zbyt wiele się dzieje, by można było badać bardziej skomplikowane przypadki. Nie chcę, by

pan myślał, że chociaż przez chwilę dom wariatów Bedlam z tymi wszystkimi łańcuchami, słomą, kubłami zimnej wody i biczowaniem wydał mi się miejscem bardziej odpowiednim, lecz mogą przecież istnieć przypadki szczególne, które chlastanie końcem liny czy życie w tłumie ludzi może zniszczyć. W każdym razie nie miałem jeszcze do czynienia z przypadkiem czystej, przyzwoitej melancholii pod pokładem od początku rejsu. Kilku marynarzy cierpi na manie, ale jest ich garstka. Nie. W poszukiwaniu okazów zaburzeń trzeba skierować się ku rufie, nie zapominając przy tym o ochmistrzach, pisarzach i nauczycielach. W każdym coś tkwi, mniej lub bardziej ukryte, lecz najciekawsze przypadki to sami kapitanowie. Jak się miewa nasz pacjent?

— Ma doskonały nastrój. Helebora odnosi zatem skutki, prawda?

Przez chwilę rozmawiali na temat waleriany, polypodium i ich działaniu. Stephen polecił umiarkowane podawanie tytoniu i kawy, kiedy niespodziewanie McAdam przerwał mu pytaniem:

— I na pewno mówił o kapitanie Aubreyu?

— Niewiele. W tych okolicznościach pominięcie tematu komodora w rozmowie wydawało mi się osobliwe.

— Również i znaczące, panie kolego, bardzo znaczące. Mówił o kapitanie Aubreyu przez kilka ostatnich dni bez przerwy i zwróciłem szczególną uwagę na wspomniane przez pana *sudor insignis*. Nawroty były mniej więcej co godzinę, i za każdym razem musiał zmienić kurtkę. Ma ich pełen kufer, a każda z nich ma wyblakłą prawą stronę od zeszkrobywania soli, tylko prawą.

— Myślę, że ciekawym doświadczeniem byłaby analiza samej soli. Belladona z pewnością zatrzymałaby pocenie się. Dziękuję, nie chcę już grogu. Wydaje mi się jednak, iż dla naszego pacjenta prawdą jest to, co zdoła wmówić swym rozmówcom, choć niewątpliwie jest również człowiekiem zdolnym i światłym. Sądzę, że gdyby mógł pan przypuścić szturm na jego racjonalne rozumowanie i namówić go do porzucenia ochronnej warstwy kłamstw z całym tym lękiem przed demaskacją, namówić go, by szukał aprobaty na sposób ogólnie uznany za przyzwoity, moglibyśmy zapomnieć o belladonie czy jakimkolwiek innym środku wstrzymującym pocenie.

— Zaczyna pan przyjmować mój sposób myślenia, lecz daleko panu do moich wniosków. Problem tkwi mianowicie znacznie głębiej, a szturm przypuścić należy nie na jego rozumowanie racjonalne, lecz na irracjonalne! Zarówno belladona, jak i pańska logika to pigułki z tego samego pudełka. Ich rola ogranicza się do uśmierzenia bólu.

— Jak zatem zamierza pan osiągnąć swój cel?

— Niech pan posłucha uważnie! — zawołał Mc Adam, rozlewając pełny kubek grogu i przyciągając krzesło tak blisko Stephena, że ten poczuł jego oddech na swojej twarzy. — Niech pan posłucha, to

panu powiem.

W swoim pamiętniku tej nocy Stephen napisał: „Gdyby można było zrekonstruować te społeczne i polityczne wydarzenia w historii Irlandii z ostatnich wieków, które miały wpływ na rozwój naszego pacjenta, a obok nich zbadać ewolucję jego umysłu od wczesnego dzieciństwa aż do dziś, uznałbym pomysł McAdama za rewelacyjny. Niestety, swą skomplikowaną operację pragnąłby on przeprowadzić za pomocą kilofa. Jedynie kilofa. Czy kilofem, trzymanym w dłoniach człowieka pijanego, da się naprawić chronometr? Chyba bardziej szanuję umysł Clonferta od mego biednego, przepitego kolegi”.

Potwierdzenie dla swej opinii na temat Clonferta uzyskał następnego dnia, gdy „Nereide” bez przeszkód przebyła skomplikowany labirynt raf przy przylądku Brabant, a sam Stephen wraz z kapitanem wzięli gig i zeszli na ląd w niewielkiej zatoczce. Kolejnego dnia Clonfert jeszcze bardziej urósł w jego oczach, kiedy czarnoskóry pilot zabrał ich do pewnej spokojnej, cichej laguny i poprowadził przez dżunglę do wioski, gdzie Stephen odbył rozmowę z kolejnym potencjalnym sprzymierzeńcem. Podobnie zakończyła się jego wyprawa z paczką pełną materiałów propagandowych w okolice Port South-East kilka dni później.

— Pod każdym względem Clonfert nie służy sam sobie w najlepszy sposób — opowiedział Jackowi po powrocie na „Boadiceę” — lecz jest w nim wiele opanowania i pomysłowości, które mnie zaskoczyły. Zauważyłem też, że nie przestawał sporządzać dokładnych notatek co do głębokości mijanych wód w sposób, który ty sam zapewne uznałbyś za niezwykle fachowy.

— Tym lepiej! — zawołał Jack. — Na honor, cieszą mnie te wieści. Sam też dokonałem wielu badań, mając młodego Richardsona do pomocy. Chłopak zapowiada się na doskonałego hydrografa.

Dokonaliśmy już pomiarów większej części pobliskiego wybrzeża, z podwójnymi kątanymi i sporą liczbą sondowań. Odkryłem też, iż na Flat Island, kilka mil morskich na północ stąd, można uzupełniać wodę, nie trzeba będzie zatem ciągle kursować na Rodriguez.

— Nie popłyniemy na Rodriguez... — wyszeptał cicho Stephen.

— Och, jeszcze ujrysz tę wyspę! — powiedział Jack. — Trzeba będzie przecież uzupełnić inne zapasy, tak więc każdy okręt zawita tam jeszcze raz czy dwa.

I tak też się stało. Francuzi uparcie nie ruszali się ze swego bezpiecznego portu i remontowali okręty aż po ostatnią śrubę, podczas gdy okręty brytyjskie kontynuowały blokadę. Raz za razem któryś opuszczał eskadrę i brał kurs na Rodriguez, a Stephen, jeśli tylko nie pływał wzdłuż wybrzeża na pokładzie „Nereide”, zabierał się z nimi. Badania jaskiń wapiennych na wyspie przeszły wszelkie jego

oczekiwania, a w dalszych pomógł mu sam pułkownik Keating, okazując się człowiekiem aż nader uczynnym i organizując grupy porządkowe do osuszania niewielkiego bagna. Po trzeciej wizycie na wyspie Stephen doszedł do wniosku, że same tylko kości wykopane przez żołnierzy pozwolą mu na zrekonstruowanie w przeciągu dwóch miesięcy pełnego szkieletu poszukiwanego przezeń krewniaka dodo. W tym samym czasie zaczął częściowo pokrywać rekonstruowany szkielet znalezionymi w jaskiniach piórami i fragmentami skóry.

Wizyty na Rodriguez były przerwami w regularnej blokadzie — okręty zbliżały się do brzegu po zmroku, a za dnia wypływały za przylądki, ale nigdy nie oddalały się zbytnio od portu. Zawsze istniała szansa, że francuskie okręty skorzystają z lądowej bryzy i pod osłoną ciemności wyslizgną się

z portu, by wykonać zwrot przez dziób i skierować na bogate wody Oceanu Indyjskiego, pozostawiając dywizjon daleko na zawietrznej. Okręty brytyjskie cierpliwie kursowały więc tam i z powrotem, a prażone tropikalnym słońcem i smagane niespodziewanymi, gwałtownymi deszczami płótno żagli stawało się coraz cieńsze, liny prześlizgujące się przez niezliczone bloki podczas trymowania żagli powoli ścierały się, miedziane dna okrętów porastały stopniowo wodorostami, a tu i ówdzie przez szpary w metalu wgryzały się w dębowe drewno kadłuba świdraki*.

* Świdraki — małże morskie o wydłużonym kształcie, osiągające długość ok. 80 cm. Mają muszle z

ostrymi ząbkami, za pomocą których drążą kanały w drewnie.

Nadeszły w końcu święta Bożego Narodzenia i wielka uczta na górnym pokładzie „Boadicei”.

Głównym daniem była przezornie zabrana z Przylądka beczka solonych pingwinów, podanych jako mięso gęsi lub indyków, zgodnie z upodobaniami poszczególnych mes. Pod tentami, rozpiętymi dla ochrony przed palącym słońcem, tu i ówdzie połyskiwał blady błękit świątecznego puddingu. Po świętach nadszedł dzień Nowego Roku, który Jackowi wypełniły wizyty na okrętach, a potem święto Trzech Króli. Na tę okazję midszypmeni zafundowali sobie dwustufuntowego żółwia, co jednak okazało się chybionym eksperymentem, gdyż żółw nie należał do szczególnie jadalnego gatunku. Skorupa zamieniła się w kleistą substancję, a mocz każdego, kto jadł jego mięso, przybrał kolor zielony z odcieniem szmaragdu. W tym samym czasie Jack począł bacznie śledzić barometr. Był to starannie wykończony, mosiężny instrument, zawieszony na kardanach nad stołem, przy którym jedli śniadanie.

— Niedługo znów będę musiał pomyśleć o udaniu się na La Reunion — oznajmił Stephen, obserwując Jacka, który odkręcał spód barometru. — Kawa z Mauritiusa nie umywa się do tamtejszej.

— Słusznie — powiedział Jack. — Pij ją jednak, póki możesz. *Carpe diem*, Stephen, następnej filiżanki może już nie być. Odkręciłem obudowę, gdyż przyszło mi na myśl, że może rurka się zepsuła, a tymczasem okazuje się, że wszystko jest w porządku. Po prostu rtęć opadła niżej, niż to kiedykolwiek w życiu widziałem. Najlepiej zrobisz, jeśli schowasz się teraz w miejscu najbezpieczniejszym z możliwych. Zapowiada się sztorm o niespotykanej sile.

Stephen zgarnął układane na stole ptasie kręgi do chusteczki i ruszył za Jackiem na pokład. Niebo było czyste i niewinne, kołysało mniej niż zwykle, a na prawo od dziobu ciągnął się znajomy widok tętniącego zielenią, skąpanego w słońcu brzegu.

— Na „Magicienne” też już się domyślili — stwierdził Jack, obserwując krzątających się marynarzy, zakładających podwójne sztagi pomocnicze. — „Nereide” zaś drzemie jak zwykle. Panie Johnson,

proszę nadawać: „Dywizjon, stawić żagle, kurs zachodni, przygotować się na trudne warunki pogodowe”.

Zwrócił lunetę na Port-Louis. Nie obawiał się, że Francuzom uda się wymknąć z portu pod ich nieobecność. Sami też mieli barometry i w tej chwili zajmowały ich głównie przygotowania do sztormu.

— Czy może to zwiastować huragan? — Stephen wyszeptał mu pytanie do ucha.

— Tak — odrzekł Jack. — I w związku z tym musimy nadrobić tyle drogi, ile to możliwe. Co za pech, że Madagaskar nie leży dalej...

Udało im się zyskać czterdzieści mil. Szalupy na bomach ledwie dawały się rozpoznać spod grubej warstwy omotki, działa były zamocowane podwójnie i podciągnięte tak mocno do burt, że aż talie trzeszczały, a bramstengi złożono na pokładzie. Na rejach pojawiły się żagle sztormowe, przygotowano też dodatkowe sejzingi, wielokrążki i reje żagli rozprzowych. Wszystko, co leżało w ludzkiej mocy i co podpowiadało doświadczenie żeglarskie w oczekiwaniu na sztorm, było zatem zrobione, lecz na czystym niebie wciąż świeciło słońce.

Fala przybrała na sile na długo, zanim na północy zgęstniała ciemność.

— Panie Seymour — odezwał się Jack. — Przykryć luki brezentem i listwami. Ten sztorm uderzy naprawdę silnie!

I uderzył. Najpierw pojawiła się biała, zakrzywiona linia, sunąca przez fale z niewyobrażalną prędkością, o milę wyprzedzając nadciągające ciemności. Mocno zrefowane marsle „Boadicei” opadły

i straciły całą swą obłość tuż przed samym atakiem, po czym niespodziewanie wściekły szturm na płótno przypuściła ściana wody i powietrza, wyrywając żagle z przeszywającym bębenki w uszach wyciem. Okrętem targnęło w bok i niezwykle mocno przechylił się na burtę. Otoczyła ich ciemność, a świat rozpląnął się w potężnym hałasie, przed którym nie było ucieczki. Woda i powietrze naraz stały się jednością, znikła zarówno powierzchnia oceanu, jak i niebo, a wraz z tym wszelkie różnice

między

górami a dołem. Dla przebywających na pokładzie był to ułamek sekundy, dla doktora Maturina, który spadł z dwóch szczebli drabiny i nagle znalazł się na burcie okrętu, trwało to trochę dłużej. Fregata naraz wyprostowała się i Stephen ześlizgnął się w dół, lecz w tym samym momencie okręt wychylił się w gwałtownym zwrocie przez rufę i doktor runął przez całą szerokość pokładu dolnego, trując resztki antidotum na trucizny. Wylądował łokciami i kolanami na przeciwległej burcie, gdzie oszołomiony przywarł w ciemnościach do zawieszanej szafki żeglarskiej.

W końcu grawitacja wróciła do normy. Stephen znalazł oparcie dla stóp i wciąż oszołomiony egipskimi ciemnościami i własnymi upadkami ruszył po omacku w kierunku szpitalika pokładowego. Tam czuwali pan Carol, obecnie jego asystent, a wcześniej pierwszy lekarz okrętowy fregaty, oraz jego pomocnik. Udało im się zachować latarnię, przy świetle której uwalniali właśnie swego jedyne

pacjenta, cierpiącego na syfilis marynarza podwachtę bezanu, który w wyniku dzikich manewrów okrętu zaplątał się we własny hamak niczym w kokon.

Tam też zostali, przez chwilę próbując porozumieć się pełnymi niepokoju okrzykami. Pośród takiego pandemonium ranga i pozycja przestawały mieć jakiegokolwiek znaczenie i pomocnik chirurga, starszy człowiek, niegdyś służący jako pomocnik żaglomistrza i wciąż bardzo sprawny w szyciu, krzycząc z całych sił, opowiedział, że kiedyś na Jamajce jako chłopiec słyszał, że siedem liniowców poszło na dno z całą załogą w sztormie nawet w połowie nie tak potężnym jak ten.

— Chodźmy, panie Carol! — wrzasnął Stephen. — Chodźmy i weźmy wszystkie latarnie, jakie uda się znaleźć. Niebawem pojawią się pierwsze ofiary.

Obaj poczołgali się ku rufie. Panowały ciemności, gdyż wszystkie świetliki dawno już zabezpieczono,

a wpadające z góry powietrze przynosiło pył wodny zamiast światła. Przyniesiono już pierwszych rannych — marynarzowi przy kole sterowym oderwane przez wiatr uchwyty połamały żebra, inny,

drobny żywy midszypmen, został ciśnięty nagłym podmuchem o reling i teraz leżał przed nimi bezwładny, bez czucia. Przyniesiono też pana Petera, którego spotkał ten sam los co Stephena, lecz miał znacznie mniej szczęśliwe lądowanie. Liczba pękniętych żeber i złamanych kończyn rosła z każdą chwilą. Od niespodziewanego uderzenia pioruna w okręt trzech marynarzy doznało szoku, a czwarty uległ ciężkim poparzeniom i wyzionął ducha, nim przyniesiono go pod pokład.

Pomieszczenie szpitalne przechylało się aż o czterdzieści pięć stopni, skrzynie, na których zaimprovizowano stoły operacyjne, przesuwały się i ślizgały, lecz cała trójka nie przestawała pracować, bandażując, zakładając łupki i operując. Po jakimś czasie dotarł do nich posłaniec z pozdrowieniami od komodora i wieścią: „jeśli wszystko dobrze pójdzie" i „coś około ośmiu godzin". Sam komodor, ociekający wodą i odziany jedynie w koszulę i bryczesy, zszedł do szpitalika znacznie później, gdy okręt od dłuższego czasu płynął na w miarę równej stępce, nowych rannych nie przybywało, a ostatnie złamane obojczyki zostały już nastawione. Jack rozejrzał się, porozmawiał z przytomnymi spośród rannych, po czym ochrypłym głosem zwrócił się do Stephena:

— Jeśli znajdziesz chwilę, doktorze, ujrzysz pan coś ciekawego na pokładzie.

Stephen zakończył bandażowane zgrabnym podwójnym węzłem i wyszedł na pokład przez otwór w zakrywającym luk płótnie. Zamrugał od niezwykle pomarańczowo brązowego światła i zatoczył się od pędu powietrza, mocnego niczym solidna ściana.

— Niech się pan chwyci, sir! — Któryś z marynarzy wepchnął mu linę sztormową w dłoń. — Niech się pan trzyma liny z całej siły!

— Dziękuję, mój przyjacielu! — Stephen odwrócił się w stronę marynarza i w tym momencie uświadomił sobie, że potężny, wszechobecny ryk wiatru znacznie osłabł i nie był teraz głośniejszy od huku dział podczas bitwy z bliskiego dystansu. „Boadicea" sztormowała pod skrawkiem bezansztaksla, z dumą rozcinając fale i prując wodę pełnym dziobem. Fokstenga i grotstenga zostały zmiecione przez podmuch, dziesiątki porwanych lin łopotało na wietrze ze zniszczonych marsów,

czasem strzelając głośno niczym karabin. Ocalałe wandy oplecione były wodorostami i strzępami lądowej roślinności, tu i ówdzie dało się dostrzec liście palmy. Nie to jednak było najciekawsze. Deski

całego pokładu, a zwłaszcza pokładu rufowego, zasłane były ciałami ptaków, głównie morskich, lecz tuż na prawo od siebie Stephen dostrzegł ptaszka przypominającego drozda. Nie poruszył się, gdy doktor stanął przy nim, ani nawet wtedy, gdy palcem dotknął ptasiego grzbietu. Reszta ptaków również nie dawała znaków życia. Tak oto doktor spojrział prosto w lśniące oko faetona z odległości ledwie kilku cali. Trudno było mu w tym niesamowitym, trupim świetle rozróżnić kolory właściwe poszczególnym gatunkom, ale udało się rozpoznać rybitwę białogłową, gatunek rzadko spotykany w promieniu pięciu tysięcy mil od wyspy Mauritius. Kiedy szedł ku niemu, niespodziewanie ryk wiatru zastąpiony został przez głuchy łoskot, dobiegający z pomarańczowych chmur, po czym rozległ się niezwykle potężny huk pioruna. Wraz z nim kolejna błyskawica uderzyła w okręt. Stephen padł na pokład — w oszołomionym umyśle pojawiła się myśl, iż to niespodziewany wystrzał z działa na dziobie wyrwał dziurę w furcie armatniej. Poczłogał się zatem ku zejściówce, by zająć się nowymi rannymi.

Rannych nie było, a zamiast nich pojawił się Killick z kawałkiem cieleciny w galarecie i nowinami: — Piorun rozwalił nam kotwicę sterburty, ale poza tym wszystko w porządku. Komodor mówi, że jak przez godzinę nic się na nas nie zwali, to najgorsze będziemy mieć za sobą, i że ma nadzieję, iż doktor

ujrzy jutro lepszą pogodę.

Całą wachtę środkową Maturin przespał jak zabity i dopiero o świcie przystąpił do zbadania co pilniejszych przypadków, a wtedy to w istocie mógł ujrzeć lepszą pogodę. Niebo było błękitne, słońce

zsyłało przyjemne ciepło, a łagodny wiatr południowo-wschodni przybierał na sile. Morze było wzburzone, lecz białe grzywacze znikły i gdyby nie spustoszenie na pokładzie, ciągły bulgot pomp i znużone twarze marynarzy, koszmar z wczorajszej nocy mógł się wydawać jedynie nieprzyjemnym

snem. Znalazły się jednak inne dowody nocnej walki. Drugi oficer, pan Trollope, podkuśtykał do niego i wskazał dwa okręty na horyzoncie, daleko na zawietrznej — pozbawioną stermasztu „Magicienne” i „Siriusa” bez choćby jednej stengi.

— Gdzie komodor? — spytał Stephen.

— Poszedł spać pół szklanki temu. Prosiłem go, by chociaż trochę się zdrzemnął, nim jednak poszedł do siebie, poprosił mnie, bym pokazał panu, co się stało z kotwicą. Widok zapadnie panu w pamięć, to pewne.

Stephen kontemplował przez chwilę bryłę stopionego, zniekształconego metalu

— Płyniemy teraz na południe? — spytał.

— Na południowy zachód, tak dokładnie jak się da, bo od tych błyskawic powariowały nam kompasy. Na południowy zachód, potrzeba nam remontu na Przylądku. Należy się nam to jak nic innego, ha, ha, ha!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przeprowadzenie dywizjonu bez strat przez jeden z najgorszych sztormów dekady z pewnością było wielkim osiągnięciem, ale na Przylądku nie oczekiwały komodora ani bankiety, ani ciepłe słowa z ust admirała. Szansa na jakiegokolwiek pochwały spadła zaś do zera z chwilą, kiedy do Cape Town zawinął

amerykański statek z wiadomością, iż zauważono „Bellone”, „Minerve” i „Victoria” przy Cargados Garayos, idące pod pełnymi żaglami w kierunku Zatoki Bengalskiej pełnej statków Kompanii.

Na wystawne uczyty w Cape Town czy pogawędki z admirałem Bertiem Jack zresztą i tak nie miał czasu — od chwili rzucenia kotwicy rozpoczęła się dlań gorączkowa walka o przeprowadzenie jak najszybszego remontu pięciu okrętów wojennych w niewielkiej stoczni, w której brakowało nawet zapasowych steng. Świeże dostawy z Indii dopiero miały nadejść, a drzewa nadające się na drzewce okrętowe rosły najbliżej w Mossel Bay. Stocznia w Cape Town była mała, źle wyposażona, a na dodatek zarządzana przez człowieka, którego chciwość biła wszystko, co Jack do tej pory widział w

swej karierze. Krążyły już plotki, iż okręty dywizjonu zdobyły fortunę w rajdzie na St Paul i stocznia za wszelką cenę chciała na tym skorzystać. Zarządzającego nią człowieka nie interesowało to, że całe bogactwo zależało od kaprysu kogoś wysoko postawionego, kto miał oszacować ów majątek dopiero w chwili wolnego czasu, i to daleko stąd. Nie docierał doń również fakt, że komodor miał niewiele gotówki do dyspozycji, a bieżące wydatki mógł pokryć, tylko biorąc złodziejsko oprocentowane pożyczki. Były to dla Jacka dni pełne niepokoju, gdyż oprócz grasujących na otwartym morzu Francuzów musiał się jeszcze przejmować dziesiątkami innych spraw. Okręty nieodzownie potrzebowały nowych drzewc, świeżych lin, farby, bloków, miedzi, okuć i setek innych rzeczy, lecz odpowiedzialni za to ludzie w stoczni tylko mnożyli problemy.

— Musisz być świadom, Aubrey, że pracownicy stoczni to nie święci — powiedział admirał Bertie, który postanowił najwyraźniej ignorować ów rażący przypadek korupcji. — Musi pan to załatwić tak, jak zawsze się załatwiało w marynarce.

Problem remontu okrętów został zatem zrzucony na Jacka, a admirała interesowało jedynie to, by dywizjon był gotowy do wypłynięcia najpóźniej do piątku w przyszłym tygodniu. Podczas swych zmagañ Jack dokonał innego szokującego odkrycia — otóż jego bosman, pan Fellowes, skuszony przez

bosmana z „Siriusa”, naraz postanowił nie czekać na bogactwo obiecwane w odległej, acz niepewnej

przyszłości, ale zdobyć je od razu. Jako pierwsze źródło dodatkowego dochodu potraktował stopioną przez

uderzenie pioruna kotwicę, potem kotwicę zawoźną, pięćdziesiąt sążni dwucalowej liny i całe mnóstwo innych przedmiotów, których ogólna wartość automatycznie kierowała go pod sąd wojenny. Kapitanowie dywizjonu

wszczynali kłótnie o pierwszeństwo w skorzystaniu z tych skromnych zasobów stoczni, których jej pracownicy nie zdołali jeszcze rozgrabić. Na domiar złego jeden ze statków przewożących pocztę zatonął, a w drugim

kadłub przeciekał do tego stopnia, że wszystkie listy z wyjątkiem zapakowanych w uszczelnione

woskiem

plótno żaglowe spleśniały lub częściowo posklejały się ze sobą. Sophie nie miała zaś zwyczaju ani numerowania swych listów, ani owijania ich w plótno czy wysyłania kopii na innym statku.

Z chwilą otrzymania owej paczki pełnej bibuły poplamionej atramentem Jack zrobił sobie przerwę między

wizytami u szefa stoczni i w magazynie lin i zasiadł do odcyfrowywania kolejności otrzymanych listów, kierując się pojedynczymi słowami typu „piątek” czy „po mszy”. Przeszkodził mu pan Peter, wnosząc stertę

dokumentów, która natychmiast przypomniała Jackowi o jego funkcji komodora. Wszystko, co powiedział

admirałowi podczas prywatnych rozmów, musiało teraz zostać dokładnie przemyślane i spisane w urzędowym,

oficjalnym tonie. Wymagało to dokładności i ostrożności, a Jack był najbardziej ufny żeglarzem na świecie.

Czułość pomagającego mu w tym Stephena nie słabła jednak nigdy — to właśnie jego pomysłem było, by z

zaufanego sprzymierzeńca zamienić pana Petera na pełnomocnika na lądzie. Funkcja komodora to jednak

wszystko — Jack stale musiał pamiętać o swoich obowiązkach dowódcy „Boadicei”. O utrzymanie codziennego porządku na fregacie dbał zazwyczaj pierwszy oficer pan Seymour, ale obecnie zajmował go remont okrętu, a

nawet uwzględnivszy jego pomoc, Jack wciąż miał wiele do zrobienia. To jego zadaniem było chociażby

uświadomienie pana Collinsa, liczącego sobie osiemnaście lat pomocnika starszego nawigatora, że nie

ma on obowiązku natychmiastowego poślubienia pewnej młodej damy tylko dlatego, iż ta utrzymywała, że dzięki jego staraniom coraz trudniej było jej zapiąć pasek.

— Dwa tygodnie to za krótko jak na te sprawy, panie Collins — powiedział. — Pańska dama może mieć po prostu niestrawność po zjedzeniu ogromnego steku wołowego. Proszę poczekać, aż wrócimy z następnego rejsu, a tymczasem życzę sobie, by nie opuszczał pan okrętu. Gdyby pan — dodał po

chwili — miał żenić się z każdą dziewczyną, z którą wymienia pan dowody miłości, to miejsce wkrótce wyglądałoby jak łono Abrahama.

Jack musiał również cierpliwie wysłuchać pełnej oburzenia relacji marynarza z podwachtę sterburty, Matthew Boltona, którą zdał w swoim imieniu oraz w imieniu swych trzech milczących i nadzwyczaj dokładnie ogolonych towarzyszy. Bolton odrzucił pomoc pierwszego oficera pana Seymoura i postanowił skierować się ze swoim problemem bezpośrednio do kapitana, wychodząc z oczywistego założenia, że skoro Jack raz uratował go przed utonięciem na slupie „Polychrest”, będzie to czynił aż do śmierci.

Wywód Boltona wydał się przekonywający tak dla pierwszego oficera, jak i komodora. Kiedy już Jack

wyłowił sedno sprawy w całej historii i dowiedział się szczegółów o jego stanie zdrowia, sięgnął po pióro i obserwowany w napięciu przez czterech marynarzy, napisał list. Treść listu, odczytana ochryplym, złowieszczym głosem, zadowoliła wszystkich zgromadzonych.

„Boadicea” Simon 's Town

Sir!

Ulegając prośbie grupy marynarzy (nazwiska wymienione są poniżej) ze znajdującego się pod moim

dowództwem okrętu Jego Królewskiej Mości, uprzednio zaś służącym na „Nereide”, pragnę Pana poinformować, że jeśli zaległe dla nich i znajdujące się w Pańskim posiadaniu przyzwołe za akcje przy Buenos Aires i Montevideo nie zostanie bezzwłocznie wypłacone, skieruję sprawę do Lordów Komisarzy Admiralicji z jednoczesnym zastrzeżeniem, iż reprezentujący marynarzy adwokat może uczynić to samo.

— To powstrzyma oszustwa admirała — stwierdził Jack po przeczytaniu listu. — A teraz, Bolton, sprawdź, czy doktor jest na pokładzie i poproś go do mnie, jeśli ma chwilę czasu...

W tej chwili Stephen jednak znajdował się w połowie drogi między Cape Town, gdzie był pozostawił pana

Farquhara, a False Bay. Właśnie chował się przed burzą piaskową w rzadkim zagajniku krzewów z rodziny

Protea, przyciskając do piersi teczkę z roślinami do zasuszenia i umieszczenia w zielniku i próbując się skoncentrować jednocześnie na stadku czepigów i grupce pawianów. Po powrocie do portu opłukał gardło z

kurzu w tej samej tawernie co zawsze, której właściciel, ujmujący Afrykańczyk o hugenockich korzeniach,

obdarował go płodem jeżozwierza. Zgodnie z oczekiwaniami, dostrzegł w tawernie również McAdama z butelką

płynu, w którym bez problemu mógłby ów płód zakonserwować. Z butelki niewiele dotychczas ubyło i

McAdam podjął go w miarę składną opowieścią o niezwyklej aktywności i dobrym nastroju ich wspólnego

pacjenta. Lord Clonfert codziennie wstawał przed świtem, co mu się wcześniej rzadko przytrafiało, i ponaglał

załogę do pracy. Dzięki kilku niebagatelnym łapówkom przechwycił też kilka bramrei, które miał z początku

otrzymać Pym, a w chwili obecnej targował się o gig ze znanym w okolicy paserem.

— Jeśli pierwszy nie wyszykuje swego okrętu do wyjścia na morze — stwierdził McAdam — to pewnie mu

serce pęknie. Całą duszę wkłada w prześcignięcie komodora.

— Uważam, że jego niezwyklej aktywność można również po części przypisać stymulującemu oddziaływaniu

kawy i uspokajającemu wpływowi lekkiego tytoniu — powiedział Stephen. — Myślę, iż oba czynniki

zrównoważyły stan jego ducha. Tytoń to medykament wspaniały, niecodzienny, iście boski, a jego

działanie przewyższa jakiegokolwiek inne panacea. To kamień filozoficzny i uniwersalny lek na

wszystkie choroby, a na dodatek dobry środek wymiotny. Tytoń jest doprawdy zacnym zieleń, jeśli

stosuje się go w odpowiednich, medycznie określonych dawkach. Niestety, większość ludzi go

nadużywa, kopcą tyle tytoniu, ile piwska żłopia. To zaiste plaga, przeklęte marnotrawstwo dóbr, ziemi

i zdrowia. W takich właśnie sytuacjach tytoń staje się przekleństwem i diabelską, niszczącą zarówno

ciało, jak i ducha trucizną. W przypadku lorda Clonferta jednakże stosujemy je w myśl medycznie ustalonych zasad i gratuluję sobie, iż złożyłem ten obowiązek na pańskie ręce, gdyż tu nie może być mowy o nadużyciach.

Unoszący się w powietrzu kurz i nie ustający wiatr sprawiły, że McAdam był jeszcze bardziej ordynarny niż zwykle. Pomysł przepisania Clonfertowi kawy i tytoniu nigdy mu się nie podobał, a dziwny błysk w przekrwionych oczach wskazywał na to, że McAdam przeżuwa jakąś wulgarną ripostę.

— Mam w dupie... — zaczął, lecz potężne czknięcie przerwało jego wypowiedź. Jeszcze raz zastanowił się nad swymi słowami. — Nie, nie — ciągnął, zawiesiwszy wzrok na butelce. — Tu chodzi tylko o współzawodnictwo, każdy to dostrzeże. Jeśli do kogoś przylgnie miano dzielnego dowódcy fregaty, inny stanie na głowie, by zostać dzielnym dowódcą fregaty do potęgi dziesiątej. Clonfert będzie starał się prześcignąć komodora, choćby miał przy tym pęknąć z wysiłku.

„Nie będzie zatem Clonfert miał z tym wielu problemów, zwłaszcza jeśli chodzi o wyścig w czasie. Biedny Jack” — pomyślał Stephen, wchodząc do kajuty kapitańskiej na „Boadicei”. Biurko Aubreya było zasypane papierami i dokumentami, wśród których znajdowały się również wnioski o przeprowadzenie za kilka dni sądów wojennych. Powodem były najczęściej przypadki dezercji, stosowania przemocy lub nieposłuszeństwa pod wpływem alkoholu. Wszystko to jednak miało zabrać mu wiele czasu, więc Jack na wierzch wyłożył całą adresowaną do siebie, spleśniałą korespondencję.

— Jesteś wreszcie, Stephen! — wykrzyknął Jack. — Cieszę się, że cię widzę. Co tam masz?

— Nie narodzonego jeżozwiera.

— Cześć ci i chwała. Stephen, jesteś ekspertem w szyfrowaniu i odczytywaniu szyfrów. Mógłbyś mi pomóc w ustaleniu kolejności, a być może i sensu tych listów?

Obaj zagłębili się w nieszczęsnej korespondencji, ale nawet skorzystanie z pomocy szkieł powiększających, intuicji, antymonu i odrobiny rozwodnionego siarczanu miedzi niewiele posunęło

lekturę do przodu.

— Wyczytałem, że na zasadzonych przez nas jabłonkach pojawiły się po trzy jabłka — stwierdził Jack. — Truskawki nie przyjęły się. Sophie musiała się też skontaktować z Ommaneyem, bo kominek w saloniku ma taki cug, że wiatrak by ruszył. Tu jest coś o krowie rasy Jersey... Aha, dzieci mają włosy i zęby! Sporo zębów, kochane słoneczka! Włosy, na Boga... Sophie pisze, iż są proste, ale co to za różnica, proste czy kręcone? Z włosami na pewno wyglądają znacznie ładniej... Na Boga, Stephen, to, co wyrzuciłem przed chwilą, to musiał być kosmyk, który Sophie włożyła do koperty! A ja myślałem, że to strzępy jakiejś liny, które się zaplątały do listu... — Myszkował przez chwilę po podłodze, po czym podniósł się, trzymając coś między palcami. — Mizerne jak na strzępy liny, trzeba przyznać... — Włożył znalezisko do kieszonkowego notesu i wrócił do listów. — Sąsiedzi są mili, o, pan Beach przysłał kilka bażantów w zeszły czwartek. A tu, w tym liście Sophie pisze, że ma się dobrze, zadziwiająco dobrze, podkreśla to podwójnie, a potem powtarza w tym liście, który według mnie jest ostatni. Cóż, cieszę się z całego serca, ale co, u licha, ma oznaczać słowo „zadziwiająco”? Chorowała czy co? A może coś z jej matką? Czy może to drugie słowo oznacza „porażenie”? Jeśli pani Williams chorowała, a Sophie opiekowała się nią, słowo „zadziwiająco” byłoby jasne!

Znów zagłębili się w treść mokrych listów. Stephen z niezbitą pewnością odczytał, iż w sobotę lub w niedzielę, a niewykluczone, że w oba dni, rodzina Sophie jadła na obiad duszonego zająca, podarunek od kapitana Polixfena. Doczytał się jeszcze czegoś na temat deszczu, ale reszta pozostawała wyłącznie w sferze domysłów.

— Stary admirał Jarvie twierdził, że dla oficera marynarki ożenek nie ma sensu — podsumował Jack, ostrożnie składając kartki. — Moim zdaniem nie mógł się bardziej pomylić, ale rozumiem, co miał na myśli. Za nic w świecie nie zrezygnowałbym z ożenku, nawet jeśli oznaczałoby to rezygnację z

aspiracji admirałskich. Nie masz pojęcia, Stephen, jak często ostatnio powracałem myślami do domku

Ashgrove, podczas kiedy powinienem był myśleć o jak najszybszym wyprowadzeniu dywizjonu na morze. — Spoglądał przez ramię na morze za bulajem. — Cholerne sądy wojenne — dodał po chwili.

— I te cholerne lądowe rekiny w stoczni, że już nie wspomnę o bosmanie i jego przeklętych wybrykach... Co z nimi począć?

Podczas kolacji Jack ledwie trącał widelcem potrawę z baraniny, rozmyślając nad sprawą bosmana Fellowesa. Jej rozstrzygnięcie nie należało do łatwych — sprzeniewierzenie dóbr Jego Królewskiej Mości było od zawsze praktykowane wśród jego podwładnych, a w przypadku dóbr uszkodzonych stawało się to niemalże uświęconą tradycją, którą zwano *cappabar*. Ochmistrzowie, cieśle okrętowi i bosmani zawsze kradli najwięcej, ponieważ akurat oni mieli ku temu najwięcej sposobności. Istniały

jednakże pewne granice, które Fellowes przekroczył, nie ograniczając się do dóbr uszkodzonych czy też niewiele wartych. Bosman posunął się zdecydowanie za daleko i Jack mógł postawić go przed sądem wojennym i odebrać pieniądze. Ba, było to wręcz jego obowiązkiem! Z drugiej jednak strony, jego obowiązkiem było również utrzymywanie okrętu w możliwie najlepszym stanie bojowym.

Potrzebował pierwszorzędnego bosmana, a tacy na drzewach nie rosną, zwłaszcza na Przylądku.

Problem nurtował go mocno — wyklął Fellowesa od przekłętego półgłówka, durnia niespełna rozumu

i łajdaka bez krzty sumienia, ale jego przekleństwu brakowało zaangażowania, a epitetom ekspresji.

Jego myśli znów bowiem wróciły do Hampshire.

— Daj spokój — rzekł Stephen. — Gdy z Madras nadejdą obiecane posiłki i ruszymy na La Reunion, w co powoli zaczynam już wątpić, na karku wyląduje nam pan Farquhar, a to oznacza koniec muzykowania. Zagrajmy zatem mój stary lament na Tir na n-Og. Mnie też dzisiaj niewesoło, może muzyka mnie rozweseli. Może jeden lament da radę drugiemu.

— Lamentowałbym z tobą aż do świtu — odpowiedział Jack — ale wątpię, czy uda mi się poczuć nastrój muzyki, zanim przerwie nam któryś z dziesiątków posłańców ze stoczni czy z Cape Town.

W istocie nie udało im się nawet nastroić instrumentów, kiedy pojawił się Nakrapiany Dick i przekazał meldunek pana Johnsona, iż do portu zbliża się nowa fregata, którą po wywieszonym numerze zidentyfikowano jako „Iphigenię”.

Dzięki mocnemu wiatrowi północno-wschodniemu i przybierającemu przyływowi „Iphigenia” rzuciła kotwicę jeszcze przed pojawieniem się księżyca na niebie, a przywiezione przez dowodzącego

nią kapitana Lamberta wieści wypędziły z głowy Jacka wszelkie myśli o muzyce czy domu rodzinnym. „Iphigenia” była piękną fregatą z trzydziestoma sześcioma działami osiemnastofuntowymi i przybyła jako eskorta grupy transportowców z posiłkami dla oddziałów pułkownika Keatinga. W chwili obecnej wojska lądowe na Rodriguez składały się z dwóch regimentów europejskich, dwóch hinduskich oraz niewielkich sił pomocniczych. Aubrey miał zatem do dyspozycji siły liczące sobie o tysiąc pięciuset żołnierzy mniej, aniżeli początkowo zakładał. Ważne było jednak to, że posiłki przybyły na czas, a atak na La Reunion, choć wciąż ryzykowny, był teraz możliwy. Nawet jeśli Francuzi nie przesłali na wyspę świeżych sił, mieli czas na odbudowę baterii.

Sprawą najwyższej wagi dla Jacka było teraz to, jakie okręty miał gubernator Decaen na Mauritiusie i jak zatrzymać je w portach.

— Kapitanie Lambert — zwrócił się do nowo przybyłego. — W jakim stanie jest pański okręt?

Lambert był świeżo awansowanym młodym dowódcą i Jack nie znał go w ogóle, lecz wygląd korpulentnego, radosnego żeglarza i otaczająca go atmosfera profesjonalizmu od razu przypadła mu do gustu. Jego zaufanie do przybysza jeszcze wzrosło, kiedy ten wyjął z kieszeni kartkę papieru i oznajmił:

— Oto sprawozdania moich oficerów, sir, sporządzone podczas podchodzenia do portu. Ochmistrz:

zapasów starczy na dziewięć miesięcy, z wyjątkiem rumu, którego zostało na trzydzieści dziewięć dni.

Nawigator: sto trzynaście ton wody pitnej, wołowina w dobrym stanie, wieprzowina czasem kurczy się podczas gotowania, reszta zapasów także w dobrym stanie. Dodam również, sir, iż na Rodriguez uzupełniliśmy wodę, drewno i zaopatrzyliśmy się w mięso żółwi. Raport artylerzysty: prochu osiemnaście ładunków na działo i przybitki po czterdzieści ładunków na działo. Dalej, cieśla okrętowy: kadłub w dobrym stanie, węzłówka przy dziobie wsparta o dwie kątnice, maszty i reje dobrze utrzymane, reszta zapasów wystarczająca. Lekarz okrętowy: trzech ludzi na liście chorych, niezdolni do służby, pięćdziesiąt siedem funtów rosółu, innych niezbędnych produktów starczy do dwiętnastego. Jeśli zaś chodzi o załogę, sir, to do pełnego składu brakuje nam tylko szesnastu ludzi.

— Rozumiem zatem, iż może pan natychmiast wyruszyć w dalszą drogę, kapitanie Lambert.

— Mogę odpłynąć z chwilą podniesienia kotwicy, chyba że zażyczy pan sobie inaczej. Byłbym jednak wdzięczny za możliwość uzupełnienia prochu, kul armatnich oraz zieleniny. Mój lekarz okrętowy narzeka również na stan soku cytrynowego.

— Doskonale, kapitanie Lambert, doskonale — zachichotał Jack. — Otrzyma pan i kule, i proch. Tą przeklętą stoczną niech pan sobie głowy nie zawraca o tej porze, mam tego więcej, aniżeli okręt może

bezpiecznie przechować. Nieźle się obłowiliśmy w St Paul i mój artylerzysta podzielił się z panem nadwyżką. Może pan również przejąć sześć wołów, które czekają na plaży. Co do zieleniny zaś, mój ochmistrz ma swego zaufanego na lądzie i zdobędzie dla pana każdą jej ilość w przeciągu pół godziny.

Panie Peter, proszę przygotować i natychmiast przekazać list do admirała. Wydaje mi się, że pan Richardson jest wśród nas najlepszym jeźdźcem, on go zatem zawiezie. Aha, trzeba mu też powiedzieć, by nie zaprzętał sobie głowy lwami i tygrysami po drodze. Powie mu pan, że w większości są one złudzeniem optycznym. Następnie wypisze pan rozkaz odpłynięcia wraz z

odpływem dla kapitana Lamberta i doda do nich kopie prywatnych sygnałów i szczegóły odnośnie do miejsca spotkania z resztą okrętów przy Port-Louis oraz alternatywnego miejsca spotkania przez Rodriguez w dniu... dajmy na to... dajmy na to po siedemnastym. Proszę również wezwać wszystkich kapitanów na naradę. Killick, zawołaj no do mnie artylerzystę i przynieś tę zalakowaną na żółto butelkę wina z Konstancji. Tę zalakowaną na żółto, pamiętaj.

Zawartość butelki najlepszego wina na okręcie zniknęła w przerwach między podpisywaniem rozkazów i rozmową z niechętnym do pozbywania się swoich skarbów artylerzystą. W trakcie słysząc

było następujące po sobie w niewielkich odstępach czasu okrzyki sterników łodzi: „Nereide”, „Sirius”,

„Otter” i na końcu „Magicienne”.

— Panowie — powitał ich komodor. — Jak oceniacie szansę wyjścia na morze?

Gdyby nie problemy z wadliwym żelaznym zbiornikiem na wodę, „Sirius” byłby gotów w przeciągu kilku dni. Gdyby nie niesłychane, kilkudniowe opóźnienie stoczni z dostarczeniem prowadnicy szotowej na „Ottera”, słup również byłby gotów w tym czasie. Uśmiechający się do Pyma Clonfert oznajmił, że „Nereide” może wyruszyć za trzydzieści sześć godzin. Uśmiech na jego twarzy jednak błyskawicznie zmienił się w pełne zaskoczenia rozdrażnienie, gdy usłyszał głos Curtisa:

— Jeżeli można uzupełnić wodę na Flat Island — oznajmił dowódca „Magicienne” — mój okręt jest w stanie wyjść na morze w każdej chwili. Zostało nam tylko trzydzieści ton wody pitnej.

— Bardzo cieszę mnie pańskie słowa, kapitanie Curtis — stwierdził Jack. — Doprawdy bardzo cieszę. Zatem „Magicienne” i „Iphigenia” bezzwłocznie udadzą się pod Port-Louis. Pan Peter przekaże wam wasze rozkazy. Przy tym wietrze sugeruję przeciągnąć okręty na cumach do farwateru, by skorzystać już z pierwszych minut odpływu.

Obaj kapitanowie otrzymali rozkazy, po czym poszli za propozycją komodora, przeciągając swe okręty w stronę farwateru i o świcie halsując już u wyjścia z zatoki. Opuściwszy zatokę, obie fregaty ruszyły na wiatr i zniknęły za Przylądkiem Dobrej Nadziei w chwili, kiedy w kajucie komodora

pojawiło się roztaczające niezwykle zapachy śniadanie, złożone z jajek i baraniej szynki. Wkrótce potem w kajucie pojawił się kapitan Eliot z oficjalnym rozkazem admirałskim, nakazującym przeprowadzenie sądów wojennych, oraz list gratulacyjny z powodu wzmocnienia sił na wyspie Rodriguez, dzięki czemu kraj mógł oczekiwać niezwykle postępów w kampanii, zwłaszcza teraz, skoro dywizjon miał do dyspozycji „Leoparda”. Przeklętego, starego „Leoparda”.

Jack przebrał się w swój pełny mundur, a na jednym z topów „Boadicei” wykwitła złowieszcza flaga brytyjska. Na pokładzie fregaty pojawili się kapitanowie pozostałych okrętów i z udziałem pana Petera, pełniącego obowiązki przewodniczącego sądu wojennego, rozpoczęła się nieprzyjemna procedura osądzania winy nieszczęsnego kapitana Woolcombe'a. Woolcombe dowodził dwudziestodwudziałowym słupem „Laurel”, który padł ofiarą francuskiego liniowca „Canonniere” niedaleko Port-Louis, jeszcze zanim Jack dotarł na Przylądek. Aż dotąd jednakże w Simon's Town nie

zgromadziła się wystarczająca liczba wyższych rangą oficerów, by przeprowadzić sąd wojenny z tytułu utraty okrętu, i biedaczysko Woolcombe siedział w areszcie od czasu wymienienia go za jeńców francuskich. Każdy z obecnych znał okoliczności utraty słupa — liniowiec miał port w zasięgu

wzroku, liczną załogę i przeszło dwa razy więcej znacznie potężniejszych dział. Nie można było winić

Woolcombe'a za utratę okrętu i wszyscy uczestniczący w sądzie kapitanowie wiedzieli, że wyrokiem może być tylko uniewinnienie — wszyscy z wyjątkiem Woolcombe'a, który przejmował się sprawą zdecydowanie zbyt mocno. Przerażenie na jego twarzy wprawiło członków komisji w zadumę. Każdy z kapitanów mógł przecież znaleźć się w podobnej sytuacji i stanąć później przed nieprzychylną komisją sędziowską, żywiącą do niego jakąś zadawnioną urazę lub różniącą się w zapatrywaniach politycznych. Taką komisję tworzyli przecież ludzie przypadkowi i od ich decyzji nie było apelacji.

Kiedy zatem pan Peter odczytał wyrok, a Jack wręczył Woolcombe'owi szpadę, wygłaszając przy tym

oficjalną, aczkolwiek nieco sztuczną mowę, wszyscy kapitanowie dzielili radość i ulgę niedawnego

skazanego, mimo iż przecież sami zdecydowali o wyroku. Cieszyli się z uniewinnienia Woolcombe'a

i następne wyroki, dotyczące dezercji i defraudacji, były niezwykle łagodne. Mimo to jednak powzięcie decyzji za każdym razem trochę czasu zabierało i wszystko niezmiernie się dłużyło. Choć kapitanowie mieli prawo wymierzać sprawiedliwość na własnych okrętach w przypadku przestępstw nie karanych śmiercią, nie wolno im było jednak nawet tknąć oficerów. Dla nich przeznaczony był sąd

wojenny. Jack, który aż się palił, by wyjść na morze i ubiec Francuzów, nim ci rozpoznają brytyjskie siły, odniósł w pewnym momencie wrażenie, że oficerowie eskadry nie potrafią znaleźć dla siebie innego zajęcia niż upijanie się, nielegalne przedłużanie przepustek, ignorowanie rozkazów, ublizanie przełożonym i bicie ich czy swobodne rozporządzanie powierzonymi im dobrami. W istocie spora liczba sądów wojennych w Królewskiej Marynarce Wojennej wystawiała flocie kiepską opinię. Życie

na okrętach obfitowało w przestępstwa oraz przypadki prześladowań i do przełożonych wciąż napływały prawdziwe lub fałszywe skargi na zachowania sprzeczne z prawem, dowody na burdy w mesie oficerskiej, oskarżenia o prześladowania ze strony oficerów i wreszcie, doniesienia o krwawych

zajściach na dolnym pokładzie. Jeden z nawigatorów oskarżył nawet swego kapitana o fałszowanie księgi werbunkowej, twierdząc, że ten umieścił w niej nazwisko syna swego przyjaciela, podczas kiedy młody dżentelmen przebywał w tym czasie w szkole w Anglii. Była to normalna, powszechnie stosowana praktyka, jednakże udowodnienie czegoś takiego zrujnowałoby owemu kapitanowi karierę i gdyby sąd nie wykonał kilku iście akrobatycznych manewrów prawniczych, by go uniewinnić, z pewnością tak też by się stało.

W przerwach między sesjami sądu Jack z sędziego przeistaczał się na nowo w żeglarza i doglądał remontu okrętów, zaciekle zwalczając wszelkie przeszkody i opóźnienia w dostawach. Stocznia

jednakże nie zwracała uwagi na jego naglące potrzeby i w każdym konflikcie wygrywała bez najmniejszych problemów. Jack nie tylko zmuszony był wypruć sobie żyły, by pożyczyć złoto na dokonanie napraw, ale jeszcze dziękować szantażującej go stoczni za każdą dostarczoną na pokład paczkę gwoździ. Swe boje Jack toczył o świcie i wieczorami, gdyż w porze obiadowej jako przewodniczący komisji sędziowskiej zmuszony był podejmować pozostałych jej członków.

— Komodorze, czy owe zapadające jeden po drugim wyroki śmierci nie mają wpływu na pański apetyt? — pytał Stephen, widząc, jak Jack odkrawa kolejną porcję baraniego combra.

— Pewien wpływ mają — odparł komodor, podając kapitanowi Woolcombe'owi ociekający kroplami

niewinnej krwi kawałek mięsa. — Z pewnością tego typu wyroki nie radują mnie, i jeśli tylko reszta komisji jest w stanie znaleźć powód do zmniejszenia wymiaru kary, gotów zawsze jestem to poprzeć.

Kiedy natomiast nie ma wątpliwości, iż oskarżony dopuścił się tchórzostwa bądź zaniedbania obowiązków, sprawa jest jasna. Karą za to jest śmierć przez powieszenie, i niech Bóg zlituje się nad duszą nieszczęśnika, gdyż na współczucie we flocie nie ma co liczyć. Przykro mi, ale te sytuacje wpływu na mój apetyt nie mają żadnego. Kapitanie Eliot, ma pan ochotę na spodnią część combra?

— Wydaje mi się to całkowicie barbarzyńską praktyką — zauważył Stephen.

— Jednakże, sir — wtrącił kapitan Pym — z całą pewnością lekarz obetnie zaatakowaną gangreną nogę, by ocalić człowieka, nieprawdaż?

— Lekarz nie obetnie nogi w myśl zbiorowej zemsty ani też na zasadzie *in terrorem*. Nie będzie też czynił z amputacji żadnego widowiska, a samej amputowanej kończyny nie przedstawi jako przykład niegodziwości. Nie, sir. Pańska analogia ma pozory prawdy, lecz w istocie nie jest słuszna. Co więcej,

proszę zauważyć, iż dokonując takiego porównania, równa pan lekarza ze zwykłym katem,

powszechnie pogardzanym nędznikiem, a źródłem społecznego napiętnowania wobec kata jest rodzaj

jego zajęcia. Wspomnę jeszcze, iż ten typ człowieka oraz *a fortiori* jego czyny potępia każdy ludzki język, co podkreśla moje stanowisko w tej sprawie.

— Nie miałem najmniejszego zamiaru ubliżyć medykom! — zaprotestował kapitan Pym. — Żywię wielki szacunek do tej profesji. Lekarze są niezbędni na morzu, na lądzie zresztą też, nie ma dwóch zdań. Nie będę już się wdawał w analogie, pozwolę sobie tylko dodać, iż służba na morzu jest bardzo ciężka i wymaga surowej dyscypliny.

— Był raz człowiek — powiedział kapitan Eliot — który ukradł konia z łąki, będącej wspólną własnością. Został za to skazany na śmierć. Człowiek próbował się bronić, uważając, że kara śmierci za taką winę jest zbyt surowa. Sędzia rzekł mu na to: „Nie zostaniesz powieszony za samą kradzież, lecz po to, by inni wiedzieli, iż kraść nie należy”.

— I sądzi pan — zapytał Stephen — że stanowiących własność publiczną koni już się odtąd nie kradnie? Dobrze pan wie, że tak nie jest. Ja też dobrze wiem o tym, że kapitanowie okrętów wcale nie staną się odważniejsi lub mądrzejsi przez to, że kilku ich kolegów zostało powieszonych czy rozstrzelanych za tchórzostwo bądź błędny osąd. Sądy wojenne to dowód naszej gotyckiej spuścizny — niewiele się różnią od sądów bożych, w trakcie których topiono kobiety, by oczyścić je od zarzutu uprawiania magii, lub udowodniano prawdziwość czegoś przez walkę dwóch ludzi.

— Doktor Maturin ma całkowitą rację — zawołał lord Clonfert. — Egzekucja według mnie to oburzające widowisko. Z pewnością człowiek powinien być...

Jego słowa utonęły w gwarze, który wywołało użycie słowa „rozstrzelanych” przez Stephena. Wiele się ostatnio mówiło o sprawie admirała Bynga*, którego zastrzelono na własnym pokładzie rufowym, i do wymiany zdań dołączyli wszyscy, poza kapitanem Woolcombe'em, w milczeniu zajadającym swój pierwszy posiłek na wolności. W rozmowie raz po raz pojawiały się nazwiska Bynga i Keppela**.

— Panowie, panowie! — zawołał Jack, który był świadkiem znacznie świeższego incydentu z udziałem Gambiera*** i Herveya i nieszczęsnego w skutkach ataku na okręty francuskie na redzie

Aix. — Panowie, na litość boską, zejdźmy na ziemię i nie mieszajmy się do spraw admirałów czy innych na wpół boskich istot. Niewiele już nam brakuje do przejścia na temat polityki, a to oznaczałoby koniec miłej atmosfery przy stole.

* John Byng — admirał skazany na śmierć przez rozstrzelanie za nieudolne próby odbicia Minorki z rąk Francuzów. Karę wykonano 14

marca 1757 roku na pokładzie HMS „Monarch”.

** Augustus Keppel — admirał oddany pod sąd wojenny za nierozstrzygniętą bitwę pod Ushant (27 lipca 1778), w której winę głównie ponosił jego zastępca sir Hugh Paliser. Obu uniewinniono.

*** James Gambier — skazany na sąd wojenny za zbyt pośpieszne wycofanie swych sił z bitwy pod Aix, przez co część francuskich okrętów uniknęła zniszczenia. Uniewinniony.

Gwar ucichł, słyhać było tylko głos prawiącego nadal Clonferta:

— ..możliwość błędu ze strony sędziów oraz waga ludzkiego życia. Gdy się życie raz odbierze, nie sposób go zwrócić. Nie ma niczego, doprawdy niczego cenniejszego od ludzkiego życia.

Lord kierował te słowa do swych sąsiadów i kapitanów siedzących po przeciwnej stronie stołu, lecz nikt jakoś nie palił się do podjęcia rozmowy. Naraz pojawiło się ryzyko zapadnięcia kłopotliwej ciszy, zwłaszcza że

Stephen, przekonany o tym, że nawet dwieście lat rozmów nie zmieniłoby nastawienia jego uprzejmych, lecz

krwiożerczych towarzyszy, zabrał się do toczenia kulek z chleba.

— Jeśli chodzi o wagę ludzkiego życia — odezwał się Jack — zastanawiam się, czy pańskie teoretyczne

rozważania nie przeceniają tego. W praktyce bowiem nie ma wśród nas nikogo, kto zawahałby się przed

zastrzeleniem wroga, wdzierającym się na jego okręt, lub miałby potem wyrzuty sumienia. Poza tym nasze

okręty budowane są właśnie po to, by wysłać jak największą liczbę ludzi do Królestwa Niebieskiego.

— Służba na morzu jest bardzo ciężka i wymaga surowej dyscypliny — powtórzył swe słowa Pym, spoglądając

przez kieliszek z czerwonym winem na ogromną pieczeń.

— Tak, służba jest ciężka—powiedział Jack. — Często nazywamy naszą służbę przekleństwem Boga, lecz

oficer rozpoczyna służbę jako ochotnik. Jeśli nie podobają mu się warunki, może odejść w każdej chwili. Każdy oficer sam więc podejmuje decyzję, czy chce wziąć na siebie obowiązki związane ze stanowiskiem. Wie, że jeśli zawiedzie, zostanie zdegradowany lub powieszony. Jeśli braknie mu hartu ducha, by sprostać tym obowiązkom, lepiej zrobi, rezygnując ze służby. A wracając do sprawy ludzkiego życia, czasem wydaje mi się, że na tym

świecie mieszka zbyt wielu ludzi i życie jednego człowieka, nawet kapitana mianowanego — uśmiechnął się

przy tych słowach — nie, obojętnie, czy komodora, czy zielonego rekruta nie powinno mieć znaczenia, jeśli

chodzi o cele wyższe.

— Zupełnie się z panem nie zgadzam, sir — powiedział Clonfert.

— Cóż, milordzie, mam nadzieję, że jest to jedyna różniąca nas kwestia.

— Punkt widzenia torysów na kwestię ludzkiego życia... — zaczął Clonfert.

— Milordzie! — zawołał głośno Jack. — Butelka stoi przy panu!

Desperacko przetrząsnął pamięć w poszukiwaniu jakiegoś sprośnego żartu, który rozbawiłby wszystkich zgromadzonych. Cel osiągnął, opowiadając swym gościom o przewidywanym szybkim wzroście populacji kolonii w związku z odwiedzinami okrętów dywizjonu.

— Jeden z moich midszypmenów bowiem już uszczęśliwił dziećmi dwie tutejsze dziewczyny, jedną brązową, drugą żółtoskórą! — zakończył.

Pozostali kapitanowie z ulgą zaczęli przytaczać podobne historie. Wspominano hoże dziewczyny na Sumatrze, w Port-au-Prince i w portach lewantyńskich, przytaczano pikantne wierszyki i zagadki, a popołudnie zakończyło się w atmosferze ogólnej wesołości.

„Nereide”, wreszcie wyposażona w nowy gig i nowe bramstengi, opuściła tego wieczora Simon's Town, by skierować się w stronę Mauritiusa. Stephen i Jack śledzili drogę fregaty ku wyjściu z zatoki.

— Przykro mi, że rozpocząłem ten temat — powiedział Stephen. — Obawiam się, że zirytowała cię ta rozmowa. Gdybym wiedział, nie zadawałbym takiego pytania na forum. To było przecież osobiste pytanie, zadane tylko i wyłącznie z ciekawości. Nie wiem też, jak zrozumieć odpowiedź, której mi udzieliłeś. Czy to była odpowiedź komodora Aubreya czy też Jacka Aubreya bez żadnego porporczyka?

— Powiedzmy, że pół na pół — odpowiedział Jack. — Wieszanie ludzi mierzi mnie mocniej, niż dałem to do zrozumienia, jednakże bardziej ze względów osobistych aniżeli ze współczucia do wieszanych. Byłem małym chłopcem na „Ramilliesie”, kiedy pierwszy raz zobaczyłem, jak lina zawiązana wokół szyi wyrywa w górę marynarza z zakrytymi oczyma i związanymi rękoma, a ten dynda potem na rei. Rzygałem po tym jak kot. Jeśli zaś chodzi o samego skazanego, jeśli w istocie zasłużył na powieszenie, doszło do tego w myśl przyjętego kodeksu i wydaje mi się, iż to, co się z nim

stanie, nie ma wielkiego znaczenia. Myślę czasem, że nie wszyscy ludzie są tyle samo warci i jeśli niektórzy z nich pożegnają się z tym światem, niewiele on na tym straci.

— To jakiś punkt widzenia, niewątpliwie.

— Zapewne brzmi to nieco szorstko. Pewnie też użyłem zbyt mocnych słów, kiedy jako komodor przemawiałem do Clonferta.

— Z pewnością wywołałeś wrażenie nieugiętej surowości i absolutnej prawości.

— Tak, brzmiało to pompatycznie, lecz niewiele odbiegłem przy tym od własnych poglądów. Muszę jednak ci przyznać, że rozdrażnił mnie tą swoją tragiczną manierą i gadaniem o ludzkim życiu.

Clonfert ma rzadki dar poruszania wyłącznie niewłaściwych tematów. Ludzie są w stanie zaakceptować takie zachowanie u człowieka uczonego, lecz nie u kogoś jego pokroju, a mimo to on opowiada swoje. Mam nadzieję, że nie poczuł się urażony, gdy przerwałem mu wywód — wiesz, że musiałem to zrobić. Stało się to konieczne, kiedy wszedł na temat wigów i torysów. Zrobiłem to jednak w miarę uprzejmie, o ile pamiętasz. Żywię do niego w sumie sporo szacunku, niewielu

kapitanów tak szybko wyszykowałyby okręt do wyruszenia na morze — spójrz, robi zwrot przez dziób, by minąć przylądek od nawietrznej. Doskonała robota, mknie niczym kuter. Ma też świetnego nawigatora — sam Clonfert też mógłby być doskonałym nawigatorem, gdyby stał mocnej na ziemi. Dobry z niego oficer, ale zbyt często pozwala sobie na emocjonalne wybuchy.

Tej nocy Stephen zapisał w swoim pamiętniku: „Zauważam ze zdziwieniem, iż Jack Aubrey, który ma tyle do stracenia, ceni ludzkie życie znacznie mniej niż Clonfert, który nawet sam po części zdaje sobie sprawę, iż niewiele osiągnął. Popołudniowa wymiana zdań potwierdza wszystko to, co zaobserwowałem w trakcie mej znajomości z nimi oboma. Przynajmniej z medycznego punktu widzenia należy mieć nadzieję, iż wkrótce jakaś przynosząca chwałę akcja da Clonfertowi prawdziwą

podstawę, solidniejszą od tych przypadkowych wywodów. Milton pisze, iż nic nie przynosi człowiekowi większej korzyści aniżeli odpowiedni szacunek do siebie samego. Chyba błędnie cytuję,

na szczęście mam jeszcze wszystkowiedzącego pana Farquhara, on mnie z pewnością poprawi. Gdyby

na Rodriguez był jeszcze jeden tysiąc żołnierzy, mógłbym już teraz ze sporym przekonaniem nazywać go gubernatorem”.

Wejściu pana Farquhara na pokład nie towarzyszyła żadna ceremonia. Jego orszak ograniczał się zaledwie do jednego sekretarza i jednego służącego — jasne zatem było, iż rozmawiał z wojskowymi w Cape Town, którzy nie darzyli hinduskich żołnierzy wielkim szacunkiem, a ducha bojowego nie dostrzegali w nich w ogóle. Popierali zdanie Francuzów, twierdząc, że potrzeba pięciu regimentów żołnierzy europejskich wspieranych przez artylerię, by złamać opór obrońców wyspy. Ryzyko związane z lądowaniem na tak niebezpiecznych plażach było jednak tak wysokie, że nawet owych pięć regimentów mogło nie starczyć, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że łączność między lądem a morzem, a tym samym zaopatrzenie dla oddziałów, może się urwać z dnia na dzień. Generałowie sugerowali zatem, iż zważywszy na wszystkie okoliczności, lepiej jest czekać na posiłki, mające

nadejść z następnym monsunem.

— Chciałbym móc dzielić pański optymizm — powiedział do Stephena, gdy choroba morska pozwoliła mu już na swobodne mówienie. Kiepska pogoda bowiem trwała do czasu, gdy „Boadicea” przekroczyła dwudziesty piąty równoleżnik. — Być może pański dobry nastrój wypływa z dodatkowych informacji, których ja nie posiadam.

— Nie. W swoich raportach przekazałem panu wszystko, co wiem — odparł Stephen. — Nie jestem jednak pewien, czy pan i generałowie doceniają przewagę, jaką posiadamy w okrętach. Wszystko wskazuje na to, iż dwie fregaty francuskie opuściły arenę przyszłych zmagañ. Jeśli to prawda, nasza przewaga wynosi pięć do dwóch. To sporo, nawet nie wliczając „Leoparda”, który, jak mi powiedziano, od „Raisable” różni się tylko rozmiarem. Wie pan, to te okręty, które marynarze zwać pływającymi trumnami, a których użycie nawet jako transportowców jest wątpliwym pomysłem. Natomiast reszta... Sporo czasu upłynęło, nim nauczyłem się należycie doceniać potęgę kryjącą się na pokładach większych okrętów wojennych — teraz wiem, że śmiało możemy sprostać wyzwaniu, jakie

stanowią groźne baterie czy plujące ogniem forty. Okręt wojenny wydaje się takim uosobieniem spokoju, iż dla niedoświadczonego obserwatora nie różni się on niczym od większej wersji kursującego do Holyhead promu. Trudno zatem uzmysłwić sobie, iż taki okręt sam jest potężną baterią dział, która na dodatek może zmieniać swe położenie, słać niszczące salwy w najróżniejszych kierunkach, a po zniszczeniu celu płynnie przesunąć się w kierunku następnego. Te trzy fregaty, mój panie, które przypuszczalnie stanowią o naszej przewadze nad Francuzami, to bateria o niewyobrażalnej mocy, która na dodatek nie potrzebuje całej armii koni, by ruszyć z miejsca.

Widziałem już te okręty w akcji na tym wybrzeżu i zaskoczyła mnie ich skuteczność. Niech pan nie zapomina o liniach zaopatrzeniowych wroga — utrzymując przewagę na morzu, będziemy mogli odciąć Francuzów od dostaw.

— Rozumiem pana punkt widzenia — powiedział Farquhar. — Niemniej decydująca bitwa rozegra

się

na lądzie i owe nieliczne regimenty, które pozostają do naszej dyspozycji, będą musiały wylądować na brzegu.

— To prawda. Ma pan rację. Przyznaję, iż przez to mógłbym zacząć niepokoić się nadchodzącą akcją,

gdyby nie to, iż żywię sporo czegoś, co pan nazwałby irracjonalną nadzieją.

— Chciałbym móc dzielić to uczucie.

— Jak już pan zapewne wie, nasz komodor znany jest w marynarce jako Jack „Szczęściarz” Aubrey.

Nie czuję się na siłach, by snuć rozważania na temat istoty samego szczęścia, jak to się potocznie określa, gdyż jego istnienie, jest niemożliwe do udowodnienia z punktu widzenia filozofii. Życie jednak udowadnia, że coś takiego jak szczęście istnieje, i powiem panu tylko, iż Jack Aubrey ma go mnóstwo. To właśnie stanowi dla mnie pociechę podczas nocy spędzanych na rozmyślaniach.

— Niczego bardziej nie pragnę od tego, by pan miał rację — zawołał Farquhar. — Doprawdy niczego! Powodów jest wiele — dodał po chwili przerwy. — Choćby i ten, że nie wolno mi tknąć moich poborów do chwili, kiedy obejmę przynależne mi stanowisko.

Znów przerwał, zakrył dłonią oczy i z trudem przełknął ślinę.

— Przejdźmy się po pokładzie — zaproponował Stephen. — Na pańskiej twarzy znów pojawił się ów

zielonkawy odcień, ani chybi wywołany zarówno przez pańskie pesymistyczne myśli, jak i przez ruch okrętu. Rześki powiew pasatu przepędzi nudności.

Rześki powiew pasatu zajął się jednak najpierw kapeluszem i peruką pana Farquhara — porwane wiatrem pomknęły ku dziobowi, gdzie cudów zręczności dokonał bosman. Pan Fellowes wyskoczył z kotwicy, jedną dłonią złapał perukę, a drugą kapelusz, i przekazał jednemu z midszypmenów, by zaniósł zdobycz na rufę. Sam bosman wciąż wolał zachowywać jak największą odległość od pokładu rufowego, po tym jak pewnego pamiętnego dnia w Simon's Town komodor na szczególny sposób

zamienił z nim słówko na osobności. Eksplozja prawdziwej, szczerzej wściekłości z ust komodora wstrząsnęła okrętem od kajut rufowych aż po dziobnicę, wywołując w załodze nastrój uciechy przemieszanej z obawą.

Pan Farquhar z zakrytą już głową wczepił się w takielunek u boku Stephena i rozglądał się po okręcie,

a trupia bladość jęła z wolna opuszczać jego twarz. „Boadicea” sunęła tak mocno wychylona, aż jej ławy wantowe po zawietrznej rozdzierały pianę fal, a burta nawietrzna lśniła świeżą miedzią. Przed „Boadicea” mknął „Sirius”, mający postawione te same żagle i utrzymujący miejsce w szyku tak dokładnie, jakby obie fregaty łączył stalowy pręt. Oba okręty płynęły śladem „Nereide” na północny wschód, by połączyć się z nią oraz z „Iphigenią” i „Magicienne” przy Port-Louis. Już dawno wyprzedzili „Leoparda”, mimo iż ten rozpoczął podróż dwa dni wcześniej. Ogólnie podejrzewano, iż tę fregatę włączono do dywizjonu tylko po to, by jej dowódca, blisko spokrewniony z admirałem Bertiem, miał szansę na jakiś udział w przyzowie. „Boadicea” i „Sirius” mknęły przed siebie, zgoła jakby chciały połknąć dystans ponad dwóch tysięcy mil w czasie krótszym niż dwa tygodnie, co teraz, po chwyceniu w żagle tak silnego pasatu, wydawało się całkiem możliwe.

— Szybkość podczas takich akcji to rzecz najważniejsza — powiedział pan Farquhar. — A oto mamy

uosobienie szybkości! Ależ my fruniemy! Co za uczucie! Czuję się jak podczas wyścigu o tysiąc funtów! Jak podczas igraszek z piękną kobietą!

Stephen zmarszczył brwi. Nie przepadał za momentami, kiedy pan Farquhar się uzewnętrzniał.

— Tak, szybkość jest bardzo ważna — powiedział. — Wiele zależy jednak również od tego, czy uda nam się odnaleźć pozostałe okręty dywizjonu w ustalonym miejscu. Morze jest przeogromne, żywioły kapryśne, a instrumenty do określania szerokości geograficznej mało precyzyjne lub nieumiejętnie używane. Słyszałem o okrętach, które błąkały się po morzu tygodniami, na próżno próbując odnaleźć swych towarzyszy.

— Zaufajmy zatem matematycznej wiedzy naszego komodora albo jego szczęściu. Doktorze, gdyby

zechciał pan wyświadczyć mi jeszcze jedną przysługę, to chętnie skosztowałbym jeszcze odrobinę pańskiej zupy wraz z kawałkiem grzanki. Obiecuję, że jeśli kiedykolwiek obejmę rządy nad moją wyspą, pierwsze, co zrobię po ogłoszeniu nowej konstytucji, będzie odpłacenie się panu w złotych. Okazało się, iż Stephen i pan Farquhar słusznie pokładali wiarę w umiejętnościach i szczęściu Jacka. Dzień po tym, jak ujrzeli szczyty gór La Reunion przebijające chmury pasatowe daleko na zawietrznej, obie fregaty zmieniły kurs i wyminęły Mauritius od północy. Tam też ujrzeli pozostałe okręty dywizjonu, czekające dokładnie w umówionym miejscu. Lambert, jako najstarszy stopniem, natychmiast pojawił się na pokładzie „Boadicei” i przedstawił sytuację. W Port-Louis znajdowało się dokładnie tyle okrętów, ile się wcześniej spodziewali — fregaty „Venus” i „Manche” oraz korweta „Entreprenant”. „Bellone” i „Minerve” wciąż były daleko. Clonfert jednakże, wysłany celem dokonania zwiadu na południowo-wschodnim brzegu wyspy, doniósł o pojawieniu się nowej francuskiej fregaty „Astree”, uzbrojonej w trzydzieści osiem dział. Fregata zacumowała pod osłoną baterii w Riviere Noire i była nieosiągalna dla Brytyjczyków, lecz jej dowódca najwyraźniej wiedział o blokadzie Port-Louis i niezbyt się kwapił do opuszczenia bezpiecznego schronienia. Clonfert wykonał również niewielki desant w Jacotet, owocem którego było uwolnienie statku handlowego o pojemności czterystu ton, zagwożdżenie dział niewielkich baterii strzegących portu i wzięcie do niewoli kilku francuskich oficerów. Statek okazał się neutralny — był to jeden z wielu pływających na tych wodach amerykańskich handlowców. Trudno było napotkać statki innej bandery neutralnej w tych rejonach, Amerykanie stanowili zatem jedyne źródło informacji dla obu stron konfliktu. Lambert twierdził, iż akcja została przeprowadzona w sposób niezwykle błyskotliwy.

— Do cholery, to nie najlepszy moment na popisywanie się błyskotliwością— powiedział Jack po naradzie. — Trudno to nazwać inaczej aniżeli tylko wybrykiem! Gdyby „Nereide” została uszkodzona podczas akcji, musielibyśmy nieźle się napocić, by osłonić nasze lądowanie, zwłaszcza teraz, kiedy

Francuzi mają „Astree”. Dziwię się Lambertowi, że wysłał Clonferta samego. Z drugiej jednak strony,

zna on te wody i nie potrzebuje rad. Jacotet to cholernie niebezpieczne kotwicowisko. Tak czy owak, wydaje mi się, że trzeba zabrać Clonferta na Rodriguez zaraz po uzupełnieniu zapasów wody, by nie kusiło go okazywanie niespełnionego ducha bojowego, gdy nie jest to konieczne. Kiedy już dojdzie do

prawdziwej bitwy, to może się wykazywać błyskotliwością, aż się spoci i spuchnie.

Uzupełnili zapasy wody przy Flat Island, po czym „Boadicea” i „Nereide” wyruszyły w kierunku wschodnim ku wyspie Rodriguez. Pym otrzymał rozkaz niespostrzeżenie wymknąć się z nastaniem zmroku na czele trójki pozostałych okrętów, podczas gdy „Leopard” i dwa awiza miały pozostać przy Port-Louis i ostrzec resztę na wypadek powrotu „Bellone” i „Minerve” z Zatoki Bengalskiej.

— W tym tkwi problem — podsumował Jack. — Jeśli te dwie potężne fregaty wraz z „Venus”, „Manche” i „Astree” niespodziewanie przypuszczą atak na nasze tyły, podczas gdy część naszych oddziałów będzie już na lądzie, a część jeszcze w szalupach, będziemy wyglądać jak marynarz bez noża zaplątany w takielunku.

Rodriguez i tym razem sprawiał wrażenie bezludnej wyspy. Ciągący się na dziesięć mil brzeg był może nieco długi jak na wyobrażenie bezludnej wyspy, a sam ląd przytłaczał pustką i nijakością, lecz i

tak przyjemnie było powitać wyspę po tak długiej wędrówce przez morze. Teraz jednak zatoka wypełniona była statkami, na brzegu rosły we wszystkich kierunkach idealne szeregi namiotów, a już z daleka widać było czerwone mundury setek, jeśli nie tysięcy krzątających się żołnierzy.

Jack zszedł na ląd pierwszy, zabierając ze sobą Stephena i pana Farquhara. Ku jego niezmiernej uldze

okazało się, że dowództwo nadal sprawował pułkownik Keating, a nie żaden nowo przybyły, nader ostrożny malkontent w stopniu generalskim. Obaj dowódcy od razu z wielką ochotą zagłębili się w szczegóły załadunku żołnierzy, amunicji, zapasów broni oraz nawet niektórych haubic. Stephen

oddalił się niespostrzeżenie.

„Nie dziwię się, że owe nieloty wymarły. Nie mogły znieść tego zamieszania” — pomyślał, idąc przez

zatłoczony obóz wojskowy. „Nawet żółwi park się zmniejszył...”

Nie uszedł jednak nawet kilku kroków, kiedy dobiegło go wołanie:

— Doktorze, doktorze!

— Znowu? — mruknął gniewnie, szybszym krokiem zagłębiając się między palmy i wciągając głowę niżej w ramiona. Ścigający go człowiek nie dawał jednak za wygraną i puścił się za nim biegiem. W doganiającej go wysokiej, szczupłej i wciąż chłopięcej sylwetce Stephen rozpoznał Thomasa Pullingsa, swego towarzysza podróży od pierwszych dni na morzu.

— Thomas Pullings! — wykrzyknął, a złość w jego oczach zastąpiła szczerą radość. — Poruczniku Pullings, niech mnie kule biją! Jak się pan miewa!

Uścisnęli sobie dłonie i Pullings z serdecznością w głosie jął dopytywać się o zdrowie doktora i komodora.

— Pamiętam, że pan był pierwszą osobą, która powiedziała do mnie „poruczniku”, dawno temu w starym, dobrym Portsmouth — mówił dalej. — Jeśli zatem zechce pan uszczęśliwić jeszcze bardziej, może pan zwracać się do mnie „kapitanie”.

— Niechże pan nie żartuje! Naprawdę dostał pan już awans?

— Nie, ład tego nie potwierdził. Dla nich nie jestem jeszcze kapitanem P., niemniej na morzu jak najbardziej, jestem kapitanem transportowca „Gro per”. Dojrzy pan mój statek, kiedy pan wyjdzie zza drzewa. Hej, ty, homarze jeden! — zawołał w stronę żołnierza stojącego na widoku. — Ze szkła cię nie zrobili! Nie jesteś przezroczysty! Tam, proszę pana, tamten bryg za innym typu snow. To tylko transportowiec, ale czyż nie ma pięknej linii?

Stephen niedawno widział podobny kształt pewnego holenderskiego kutra śledziowego, ale nie wspominał tego, ograniczając się do krótkiego:

— Elegancki, elegancki...

Pullings rozwodził się przez chwilę nad pięknem kanciastego, topornego statku.

— To moje pierwsze dowództwo, sir — stwierdził w końcu. — To wspaniały bryg, żegluj bardzo blisko linii wiatru, prawie w ogóle nie przecieka, a wpłynie do najmniejszego nawet potoku. Zaszczyci

mnie pan wizytą?

— Będę zachwycony, kapitanie — powiedział Stephen. — A skoro pan jest teraz dowódcą, to czy mógłbym liczyć na pożyczenie łopaty, łomu i jakiegoś w miarę rozgarniętego, krzepkiego człowieka?

Komodor i pułkownik pracowali nad planami kampanii, ich członkowie sztabu ślęczeli nad listami nazwisk, a uformowani w czworoboki żołnierze pucowali guziki, tworzyli czwórki i maszerowali do szalup. Wkrótce transportowce i same fregaty były wypełnione do tego stopnia, że znękani marynarze nie mogli już bez przeszkód ani kontynuować cegiełkowania pokładów, ani wspinać się na olinowanie. Stephen zaś z dwoma „w miarę rozgarniętymi, krzepkimi” marynarzami z „Gropera” wykopywał szczątki ptaka w jaskiniach, gdzie ten schronił się przed huraganem tylko po to, by znaleźć śmierć w potoku twardego teraz jak skała błota.

Pod okiem majora w szkarłatnym mundurze plażę opuszczali już ostatni żołnierze. Gdy znużony oficer wspiał się w końcu na pokład rufowy „Boadicei”, spojrzął na zegarek i wykrzyknął:

— Ledwie minuta i pięćdziesiąt trzy sekundy na człowieka, sir! Pobiłem Wellingtona o pełne dwie sekundy!

Na burcie nawietrznej rozległ się pojedynczy wystrzał z działa. Padł rozkaz: „Żagle staw!” i czternaście okrętów transportowych ruszyło jeden za drugim w kierunku wąskiej przerwy między rafami, by dołączyć do okrętów wojennych.

Do wieczora Rodriguez zniknął na horyzoncie. Z pomyślnym wiatrem z baksztagu lewej burty żeglowali ku zachodzącemu słońcu — od plaż La Reunion dzieliło ich jedynie czyste morze.

Przedsięwzięcie weszło zatem w decydującą fazę. Jack wespół z pułkownikiem Keatingiem byli zbyt

pochłonięci studiowaniem map, by zająć się czymkolwiek innym, lecz sam Stephen przeżywał presję godzin dzielących ich od nieuniknionego starcia mocniej, aniżeli by się tego spodziewał. Zdarzało się, iż angażował się w sprawy o znacznie większym znaczeniu, lecz żadna z nich jak do tej pory nie miała się rozstrzygnąć tak szybko i tak gwałtownie. Za kilka godzin oczekiwał ich albo całkowity sukces, albo totalna porażka, grożąca utratą większości sił.

Nie do końca podobał mu się plan ataku. Jack i Keating zakładali, że Francuzi będą ich oczekiwać w odbudowanym i umocnionym St Paul, i postanowili wyprowadzić ich w pole, dzieląc swe siły na dwie

części. Pierwsza miała wylądować na wschód od St Denis, a druga, mająca przeciąć łączność między

St Denis i St Paul, na południowy wschód od stolicy. Sam Jack również nie był szczególnie zadowolony, obawiając się siły przyboju, niemniej Keating, człowiek, któremu ufali i który już walczył na tej wyspie, naciskał na strategiczne znaczenie podzielenia oddziałów. Pozostali pułkownicy popierali go, więc Jack się poddał. Stephen i pan Farquhar nie zabrali głosu w dyskusji, poza podkreśleniem znaczenia uszanowania dóbr cywilnych i kościelnych.

Godziny mijały, a za każdym wyrzuceniem logu La Reunion była bliżej o siedem, osiem mil. Pan Farquhar pracował nad swą deklaracją, a Stephen spacerował po pokładzie rufowym, milcząc i dygocząc z nienawiści do Bonapartego i całego zła, które ten sprowadził na świat.

„On umie tylko siać zniszczenie!” — myślał. „Zniszczył całe dobro, które reprezentują zarówno republika, jak i monarchia! Niszczy Francję z furią demona, a to jego krzykliwe imperium niczym scenka z teatru amatorskiego... Cóż za prostak z niego... On nie może być Francuzem, z tymi chorymi ambicjami! Cały świat podporządkowany jednemu plugawemu tyranowi! Nigdy nie zapomnę, jak nikczemnie obszedł się z papieżem i jego poprzednikiem, a kiedy pomyślę o tym, co uczynił z Wenecją, Szwajcarią i Bóg jeden wie z iloma innymi krajami... To samo mogłoby się przecież stać z

Irlandią— z pewnością również nazwałby ją Republiką Hibernii, podzieliłby ją na departamenty, założył

na poły tajną policję wraz z armią informatorów, wprowadził pobór do wojska i wyssał zeń wszystkie

bogactwa".

Młodszy oficer z 86 Regimentu pochwycił przypadkiem szalone spojrzenie jego jasnych oczu i cofnął się

oszołomiony.

Po południu zaraz po naradzie dostrzeżono z salingu maszty trzech okrętów. „Sirius”, „Iphigenia” i

„Magicienne” czekały w umówionym miejscu, meldując, iż „Bellone” i „Minerve” nie pojawiły się, a w Port Louis nie znać było ożywionej aktywności. Wieczorem rozpoczęło się przenoszenie wybranych oddziałów na

pokłady fregat, czemu sprzyjał łagodny stan morza, a Jack wezwał dowódców na naradę, by wyjaśnić przebieg

kampanii. Większość okrętów miała przeprowadzić demonstrację siły przed Sainte-Marie, co dałoby „Siriusowi”

czas na wysadzenie brygady pułkownika Frasera wraz z haubicami na zawietrznej plaży Grande-Chaloupe

między St Dennis i St Paul. W tym samym czasie oddziały pod dowództwem pułkownika Keatinga miały

wylądować w Riviere des Pluies, biorąc tym samym Saint-Denis w dwa ognie. Tam też miały wylądować

pozostałe oddziały po tym, jak do brzegu zbliżą się pozostawione w tyle transportowce. Nie czekając na nie, fregaty mknęły już do akcji pod wszystkimi możliwymi żaglami.

Łagodna bryza wypełniała rozpostarte żagle boczne i fregaty sunęły przez długie, spokojne fale. Równa,

ciągnąca się na ponad milę linia okrętów wojennych stanowiła przepiękny widok — jedyne plamki bieli na tle niczym nie zmaconego błękitu. Od zachodu słońca aż do porannej wachty żeglowali w równym rytmie, a przy

tak idealnej pogodzie ustawienie żagli z rzadka wymagało interwencji. Przez cały ten czas komodor, z wydatną pomocą młodego pana Richardsona i nawigatora Buchana, nie przestawał śledzić wielkich, migotliwych gwiazd

na aksamitnym niebie, nieustannie sprawdzając pozycję dywizjonu. Za każdym uderzeniem w dzwon okrętowy

Jack zarządzał pomiar prędkości i wciąż posyłał kogoś po odczyty chronometrów i barometru. Po wybiciu

dwóch szklanek wachty porannej wydał rozkaz zmniejszenia powierzchni żagli, a wystrzał z działa na zawietrznej i seria kolorowych latarni posłały rozkaz do pozostałych okrętów.

Świt zastał go wciąż na pokładzie. Był nie ogolony, jego cera przybrała żółtawy odcień i Stephen zdecydowanie nie chciał często oglądać go tak wyczerpanego. Wyspa La Reunion widniała wyraźnie na dziobowej ćwiartce

lewej burty i zaspani żołnierze, gromadzący się powoli na pokładzie, byli zachwyceni jej widokiem. Na

pokładzie dziobowym zgromadził się ich cały tłum, śledząc łódź przez lunety. Tu i ówdzie rozległo się wołanie, że po przyboju ani śladu, a widać jedynie cienką białą linię.

— Za dwanaście godzin nie będzie im do śmiechu — mruknął Jack, widząc pytający wzrok Stephena. —

Barometr opadał przez całą noc, ale może uda się wylądować, nim uderzy wiatr.

Mówiąc te słowa, zdejmował kurtkę, potem koszulę i bryczesy, by w końcu stanąć na relingu i skoczyć na głowę do wody. Wynurzył się po chwili, prychając i popłynął tam i z powrotem wzdłuż szeregu holowanych za każdą

fregatą łodzi. Widok ociekającego wodą kapitana nikogo na pokładzie "Boadicei" nie zdziwił, ale zaskoczone spojrzenia żołnierzy, dla których skok do wody równał się głupocie, odprowadziły go aż do samej kajuty. Pod pokładem Jack wreszcie uwolnił się od dobiegających zewsząd: „Dzień dobry” i zasnął niemal zaraz po tym, jak jego mokre, długie kędziory spoczęły na poduszce. Jego snu nie zakłóciły ani nierozzerwalnie związana z rutyną okrętową bieganina, ani łomot buciorów żołnierskich — dopiero delikatny brzęk łyżeczki uświadomił którejś z warstw jego świadomości, że kawa jest gotowa. Jack poderwał się natychmiast, spojrzął na barometr, potrząsnął

głową i obmył twarz w wiadrze letniej wody. Po obfitym śniadaniu, wyszedł na pokład odświeżony, rumiany i

dziesięć lat młodszy.

Dywizjon płynął wzdłuż wybrzeża, nieopodal zewnętrznego, omywanego łagodnymi falami pierścienia raf.

Dobrze poprowadzona szalupa nie miała problemów ze znalezieniem wśród nich drogi.

— Niech mnie kule biją, komodorze, pogoda najwyraźniej nam sprzyja — powiedział pułkownik Keating.

— *Bon-jour, mademoiselle**! — zawołał, machając kapeluszem w kierunku młodej kobiety, zbierającej mięczaki na rafie. Kobieta, pozdrowiona już wcześniej przez załogi trzech fregat idących przed „Boadiceą”, odwróciła się doń plecami.

* *Bonjour mademoiselle* (franc.) — Dzień dobry, panienko!

— Jak długo utrzyma się pogoda? — spytał Keating.

— Może się utrzyma — powiedział Jack. — Ale może też zerwać się wiatr. Nie ma czasu do stracenia. Nie będzie pan miał nic przeciwko bardzo wczesnemu obiadowi, zarówno dla pana, jak i dla żołnierzy?

— Skądże znowu, sir. Będzie mi miło, zresztą już teraz umieram z głodu.

„Może i umiera z głodu” — pomyślał Jack w porze obiadowej. „Nerwy go jednak zzerają”. Siedzący przy stole Keating sprawiał wrażenie flegmatycznego jak zwykle, niemniej niewiele trafiło do jego żołądka. Ani on, ani sam Jack nie sprawowali w życiu równie ważnego dowództwa, i teraz, oczekując

na rozpoczęcie akcji, ciężąca na nich odpowiedzialność przytłaczała ich obu bardziej, niż by się kiedykolwiek spodziewali. Napięcie przeżywali jednak na dwa różne sposoby — Keating niewiele jadł i wiele mówił, a milczący Jack pochłonął swoją porcję kaczkę i zabrał się do placka owocowego.

Jego zamyślane spojrzenie wędrowało za bulaj rufowy, za którym przesuwał się niezbyt odległy krajobraz. W oddali widział surowe, postrzępione góry, bliżej ciągnęły się tereny uprawne, od czasu do czasu urozmaicane samotnym domkiem, potem lasy, plantacje, wioska i wozy wlokące się z mazołem na tle zieleni. Obiad nie trwał długo — najpierw przerwał go meldunek o

dwóch żaglach, idących kursem na południe ku wschodowi, które okazały się dwoma czołowymi transportowcami, „Kite” i „Groper”. W chwili zaś, kiedy zameldowano o zauważeniu niewielkiego

miasteczka Sainte-Marie, Jack natychmiast porzucił nie dojeżdżoną pierwszą porcję i wybiegł na pokład. W tym miejscu rafa otwierała przejście w stronę lądu i tam też skierowały się okręty, stając w dryf na sygnał komodorski. W mieście już panowało zamieszanie — ludzie biegali we wszystkich kierunkach, wskazywali nadpływające okręty, zatrząskiwali okiennice, ładowali wozy, a ich wrzaski słychać było aż na pokładach. Panika miała swoje powody — w końcu na spokojnych wodach ich kotwiczowiska, w miejscu, gdzie prąd ze strumienia wyłobił w rafie dziurę, w zasięgu armatniego strzału stało pięć okrętów wojennych, mierząc najeżonymi lufami dział prosto w kierunku miasta. Co więcej, wokół okrętów pływały dziesiątki łodzi, do których wsiadali żołnierze najwyraźniej tylko po to, by rabować, gwałcić, palić i łupić. Francuscy żołnierze z niewielkiego garnizonu pod dowództwem

swego sierżanta stali w szeregu na plaży, lecz widać było, że nie są pewni, co począć. Kto tylko umiał

jeździć konno, gnał teraz do Saint-Denis, by wszcząć alarm i błagać tamtejszych wojskowych o natychmiastową odsiecz.

— Idzie jak z płotka — zauważył pułkownik Keating jakiś czas potem, obserwując straż przednią nadciągających posiłków. — Kiedy już ich jednostki artylerii polowej przejdą przez strumień, ciężko im będzie cofnąć je do miasta. Konie będą zmęczone. Niech pan spojrzy na ten śpieszący się oddział piechoty! Będą wykończeni, sir, całkiem wykończeni!

— W istocie — stwierdził Jack. — Idzie doskonale. Myślam był jednak bardziej na morzu niż na lądzie. Naraz wydało mu się, że przybój potężnieje — fale, przypuszczalnie wzburzone jakimś odległym sztormem na wschodzie, uderzały o rafę z większą siłą. Zerknął na zegarek i mimo że brakowało czterdziestu minut do ustalonego czasu, podjął decyzję:

— Proszę przekazać na „Siriusa”, by ruszali naprzód.

Głęboko zanurzona, dźwigająca blisko tysiąc ludzi oraz haubice fregata ruszyła ociężale w kierunku Grande-Chaloupe. Jej miejsce zajęły „Groper”, „Kite” i dwa inne transportowce, wzmagając

niepokój na nadbrzeżu. W trakcie układania planu ataku niemożliwe okazało się ustalenie dokładnej różnicy

czasu między oboma lądowaniami, gdyż wszystko zależało od szybkości, z jaką „Sirius” minie Saint-Denis i dotrze do ustalonego punktu między tym miastem a St Paul. Jack i reszta sztabu żywiła początkowo nadzieję, iż Pymowi droga zabierze około dwóch godzin, ale teraz, przy słabnącym wietrze wyglądało na to, że potrwa to co najmniej trzy. Przybój zaś przybierał na sile. Oczekiwanie było męczące, wkrótce jednak niecierpliwe myśli odpędziło pojawienie się francuskich dział polowych, które ustawiono na wzgórzu za posterunkiem. Francuzi otworzyli ogień kulami zaledwie czterofuntowymi, lecz celowali niezwykle dokładnie i już jeden z pierwszych pocisków przeleciał nie-
zwykle blisko głowy pułkownika Keatinga.

— Widział pan to? — wykrzyknął oburzony. — To nie była przypadkowa kula! Przekłęci łajdacy, pewnie się domyślili, że to ja tu dowodzę!

— A w brytyjskiej armii nie strzela się do dowódców wroga, pułkowniku?

— Oczywiście, że nie, sir. Nigdy, chyba że w starciu z bliska. Gdybym dowodził na lądzie, natychmiast posłałbym jeźdźca w kierunku dowódcy wroga. I znowu strzelają. Zachowanie doprawdy pozbawione zasad. Jakież to typowe dla jakobinów...

— Cóż, wydaje mi się, że możemy natychmiast temu zaradzić. Proszę przysłać do mnie artylerzystę.

O, panie Webber, proszę otworzyć ogień ze wszystkich baterii w kierunku pozycji artylerii wroga.

Proszę jednak osobiście wycelować wszystkie armaty, nie wolno panu zniszczyć jakiegokolwiek własności cywilnej bądź kościelnej. Proszę celować wysoko nad miastem.

Ciężkie działa fregaty wnet zaryczały jedno po drugim i celne, odpalane ze spokojem pociski uderzyły

w pozycje wroga, a po pokładzie roznosił się mocny zapach prochu. Napięcie poczęło opadać. Przy głośnym wiwacie żołnierzy pan Webber słał swe osiemnastofuntowe kule prosto na utrzymujących pagórek Francuzów, a ich wrzaski osiągnęły apogeum, gdy któraś z kul trafiła prosto w przodek

działa. Jedno z kół armaty strzeliło wysoko w powietrze, wirując niczym moneta, wyrzucona w górę.

Nierówny pojedynek nie mógł trwać długo i wkrótce francuskie działa zamilkły. Przez cały ten czas przybój się wznagał — białe fale wspinały się coraz wyżej na załomy rafy i wdzierały się przez lukę,

by rozlać się szeroko po plaży.

Łagodny wiatr również przybrał na sile i wszystko wskazywało na to, że przed zapadnięciem zmroku przerodzi się w naprawdę potężny podmuch.

— „Sirius” już powinien być dotrzeć do Grande-Chaloupe — powiedział w końcu Jack. — Myślę, iż możemy kontynuować.

Okręty dywizjonu szybko przeszły przez kolejną płytką szczelinę w rafach, wyżłobioną przez napór słodkiej wody ze źródeł lądowych, po czym ruszyły w kierunku innego kotwiczowiska, tym razem znajdującego się u ujścia Riviere des Pluies.

— To tu — oznajmił trzymający mapę pułkownik Keating. — Jeśli dokonamy desantu tutaj, Francuzi nie stawiają nam oporu. Dotarcie tu zabierze im co najmniej godzinę, być może więcej.

„Mój Boże” — pomyślał Jack, patrząc na szeroki, biały pas przyboju i stromą plażę, złożoną z otoczków. Podeszedł do relingu rufowego i zawołał:

— *Ahoy* na „Nereide”! Podejdźcie do mojej rufy! „Nereide” wystrzeliła do przodu, ustawiła fokmarsel na pracę wstecz i zatrzymała się, kołysząc wzdłużnie na fali. Na pokładzie rufowym okrętu pojawił się Clonfert i Stephen zauważył, że lord ma na sobie mundur galowy. Nie było to nic nadzwyczajnego podczas starć morskich, lecz podczas mniejszych potyczek rzadko je wkładano.

— Lordzie Clonfert! — zawołał Jack. — Zna pan głęboki kanał?

— Tak jest, sir!

— Czy uda się tam przeprowadzić lądowanie?

— W chwili obecnej zdecydowanie tak, sir. Zaraz pošlę zwiad na ląd!

— Proszę wykonać, lordzie Clonfert!

Wśród łodzi „Nereide” znajdował się niewielki zdobywczy szkuner, używany wcześniej na lokalnych wodach. Do niego oraz do kilku innych szalup szybko przesiadła się energiczna grupa marynarzy i żołnierzy. Na oczach załóg okrętów całego dywizjonu szkuner w asyście szalup podpłynął aż na skraj przyboju, tam załoga porwała za wiosła i pracowała nimi wstecz w oczekiwaniu na falę. Ta w końcu nadeszła, porywając okręcik i ciskając go w kotłującą się wodę. Pchany przez kolejne fale szkuner był

coraz bliżej brzegu i Jack już myślał, że lądowanie powiedzie się bez problemu, gdy dziesięć jardów od brzegu szkuner wpadł na przeszkodę, obrócił się pod naporem fali i został ciśnięty burtą w stronę plaży. Z chwilą cofnięcia się fali ludzie zeskoczyli na ląd, lecz szkuner zsunął się, by paść ofiarą kolejnej. Ta uniosła go i cisnęła jeszcze wyżej, natychmiast gruchocząc kadłub. Inne szalupy podzieliły los szkunera, lecz większość ludzi była bezpieczna — w spienionej, białej wodzie widać było tylko cztery ciemne kształty ciał, dryfujące na zachód wzdłuż brzegu.

— Musimy kontynuować! — wykrzyknął ochryplym głosem pułkownik Keating. — Musimy wziąć Saint-Denis w dwa ognie, za wszelką cenę!

— Proszę wywiesić sygnał „Gropera” — powiedział Jack do pana Johnsona.

Transportowiec ruszył, a Jack zapatrzył się na plażę i unoszące się na wodzie szczątki. Było tak, jak się spodziewał. Zagrożenie kryło się obecnie tylko na ostatnim odcinku podejścia do plaży. Cokolwiek

spełniającego rolę falochronu umożliwi łodziom bezpieczne podejście, a „Groper” był jedyną jednostką o zanurzeniu wystarczająco płytkim, by zbliżyć się do lądu tak blisko. Gdy transportowiec przechodził obok zawietrznej „Boadicei”, Jack zawołał:

— Panie Pullings, musi pan osłonić szalupy z wojskiem!

Proszę podejść do brzegu, w ostatniej chwili spuścić kotwicę rufową i pozwolić statkowi zaryć w piasku plaży w kierunku południowo-zachodnim.

— Tak jest, sir! — odparł Pullings.

Na pokładzie „Gropera” jeden po drugim padały rozkazy, statek obrócił się i wolno ruszył ku brzegowi. Załoga pracowała pod pokładem, wypuszczając linę kotwiczną przez furtę rufową. Z chwilą wejścia w strefę przyboju statek płynął coraz szybciej. Jack obserwował go przez lunetę — widział, jak kotwica opadła do wody i w chwilę później „Groper” wjechał ostro na ląd. Od wstrząsu pękła fokstenga, ale marynarze przy kabestanie nawet tego nie zauważyli. Pracowali zaciekle, wciągając linę i zmuszając tym samym rufę, by jednostka ustawiła się dokładnie w kierunku południowo-zachodnim i stworzyła strefę spokojnej wody tuż przy brzegu.

— Dobra robota, Tomie Pullings! Doskonała robota! — wymamrotał Jack. — Pytanie tylko, jak długo wytrzyma kotwica. .. Pierwszy oddział naprzód! — wykrzyknął.

Łodzie podeszły do brzegu, wylądowały i zostały wciągnięte na piasek, w większości na wpół zatopione, ale żadna się nie wywróciła. Na plaży naraz zaroilo się od czerwonych mundurów, sprawnie formujących szereg. Część z nich, pod dowództwem pułkownika McLeoda, zajęła pozycję kilkaset jardów w głębi wyspy. Niespodziewanie jednak lina kotwiczna „Gropera” pękła z trzaskiem, a

rufę statku zaatakował wysoki grzywacz, obracając kadłub i bezlitośnie ciskając nim o plażę.

Dziobową część „Gropera” wcześniej już uszkodziło natarcie na brzeg, tak więc morze roztrzaskało kadłub natychmiast, a przybój zaatakował z całą siłą na nowo. Fala, która zniszczyła transportowiec, była pierwszą z serii wzrastających grzywaczy i pas przyboju stawał się coraz szerszy i coraz głośniejszy.

— Czy można posłać inny statek, komodorze? — spytał Keating.

— Nie, sir.

Wzdłuż brzegu ciągnęła się droga prowadząca z Sainte-Marie do Saint-Denis, która w tym miejscu odbijała, by ominąć bagno. Na zachód maszerowały po niej teraz trzy oddziały francuskie. Ludzie pułkownika McLeoda zdążyli już usypać z kamieni niziutkie szanice między plażą a drogą, po czym

uformowali za nimi zdyscyplinowany szereg. Na lewo od nich grunt był bardziej wilgotny i pracujący tam marynarze i żołnierze piechoty morskiej zbudowali szeroki mur z torfu. Stał na nim lord Clonfert, doskonale widoczny dzięki swemu orderowi w kształcie gwiazdy i lamowanemu na złoto kapeluszu.

Pierwszy oddział francuski zatrzymał się dwieście jardów przed Brytyjczykami. Francuzi stanęli, naładowali muszkiety, wycelowali i wystrzelili salwę. Clonfert machnął szpadą w ich kierunku, sięgnął za siebie po muszkiet jakiegoś żołnierza i wypalił w odpowiedzi. Był to jeden z nielicznych wystrzałów, jakie padły ze strony oddziału desantowego — fale przyboju zamoczyły niemal cały proch.

Morze było zbyt wzburzone, by zaryzykować salwę z okrętu wojennego, lecz wystarczająco spokojne,

by z pokładu śledzić rozwój wydarzeń przez lunetę. Niespodziewanie nadszedło konno dwóch oficerów od strony Saint-Denis — padło kilka słów między nimi a dowódcą piechoty, po czym jeźdźcy popędzili dalej, a oddział założył muszkiety na ramię, uformował szyk i ruszył szybkim marszem w stronę Saint-Denis. Drugi i trzeci oddział również otrzymały rozkazy od jeźdźców i przeszły szybko drogą — lord Clonfert, jedzący suchara na szczycie swego szańca, miał jednak wystarczająco dużo czasu, by im zaszutować, odłożyć suchara na chusteczkę i wystrzelić. Raz trafił konia jednego z oficerów francuskich, lecz pozostałe jego strzały chybiły.

Z Saint-Denis nadciągało coraz więcej jeźdźców — jednym z nich był najprawdopodobniej oficer polowy, ponaglający oddziały do szybszego marszu. Wniosek był oczywisty — przewożony przez „Siriusa” oddział pułkownika Frasera wylądował bezpiecznie, a Francuzi zbierali swe siły do obrony stolicy.

— „Magicienne” oraz transportowce „Kite i „Solebay” muszą natychmiast ruszyć, by wspomóc Frasera — powiedział Jack. — Reszta eskadry zostanie tutaj, na wypadek gdyby morze się do rana

uspokoilo.

Pułkownik Keating przytaknął. Był najwidoczniej zadowolony z tak autorytatywnego osądu, Stephen zaś odniósł wrażenie, iż pułkownik stracił swój zmysł czuwania nad rozwojem akcji. Nigdy przedtem nie był pewnie zmuszony do śledzenia biegu wydarzeń bez możliwości skontaktowania się z oddziałami. Stephen i pan Farquhar stali przy relingu, milcząc i starając się nikomu nie zawadzać. Ich postacie wydawały się dziwnie blade na tle tyłu wspaniałych mundurów i nikt, podobnie jak podczas narad wojennych, nie zwracał na nich uwagi. Teraz jednak po pośpiesznej naradzie z panem Farquharem Stephen odezwał się do Jacka:

— Uzgodniliśmy z panem Farquharem, że jeśli pułkownik Fraser zajął mocny przyczółek po drugiej stronie wyspy, powinienem również tam się udać.

— Bardzo dobrze — oznajmił Jack. — Panie Fellowes, proszę przygotować ławę bosmańską. Proszę zawołać sternika mojej łodzi. Bonden, udasz się z doktorem na pokład „Magicienne”.

Obserwacja przyboju zabrała im resztę tego niespokojnego dnia przy Riviere des Pluies. Tuż przed zachodem słońca na pół godziny rozszalała się ulewa o sile rzadko spotykanej nawet na tej szerokości

geograficznej. Krople deszczu uspokoiły nieco białą pianę wściekłych fal i jeden z podoficerów 56

Regimentu, urodzony w Indiach Zachodnich i od dziecka przyzwyczajony do przyboju, zgłosił się na

ochotnika, by przepłynąć na brzeg i przekazać rozkazy pułkownika Keatinga dla pułkownika

McLeoda. Żołnierz wskoczył w morze bez wahania niczym foka, zniknął pod wodą i pojawił się na

szczycie fali, która wyniosła go na brzeg i zgrabnie postawiła tuż obok znaku wysokiej wody. W

chwile później pułkownik McLeod odebrał rozkazy, okrył nagiego pływaka pledem i odmaszerował

na czele swego oddziału, by przejąć opuszczony posterunek przy Sainte-Marie, zatknąć na nim

brytyjską flagę i zatroszczyć się o zapasy pozostawione przez zbiegły garnizon.

Ciemności zapadły nagle, jak zwykle w tropikach, i niemożliwością było teraz wysłanie łodzi z ludźmi

przez rozszalałe na nowo fale. Okręty krążyły przy brzegu przez całą noc, lecz rano ponownie

powitał ryk wdzierających się na plażę grzywaczy. Jack przyznał, że ich moc nieco zelżała, ale desant

nadal był wykluczony. Teraz twierdził, że powinni natychmiast skierować się w stronę Grande-Chaloupe i wesprzeć oddziały wysadzone przez „Siriusa” i „Magicienne”, pozostawiając na miejscu „Iphigenię” i kilka transportowców, które przeprowadziłyby lądowanie w chwili osłabnięcia przyboju.

Pułkownik Keating z całego serca poparł ten pomysł i na „Boadicei” postawiono żagle. Już przy Saint-

Denis żołnierze zarzekali się, iż słyszą odgłos palby muszkietowej z odległej części miasta, a fregata opłynęła przylądek Cape Bernard i pod pełnymi żaglami ruszyła na południe-południowy zachód w kierunku plaży Grande-Chaloupe. Miejsca tego nie sposób pomylić z żadnym innym — przy brzegu stało sporo statków i okrętów, a dobiegająca ze wzgórz kanonada była teraz słyszalna dla wszystkich.

„Boadicea” podpływała do brzegu. Tu, po zawietrznej stronie wyspy, panowały zupełnie inne warunki. Plaże były spokojne, ani śladu chlupoczących grzywaczy, a łodzie bez przeszkód kursowały w tę i z powrotem. Wyżej, na wzgórzach widać było regularne szyki brytyjskiej piechoty, a wśród nich kompanie odziane w turbany. Artyleria nie próżnowała, a jej pozycje wzmocniały kolejne działa, ciągnięte przez szeregi marynarzy, przypominających z tej odległości mrówki przy pracy.

Pułkownik i jego sztab natychmiast zapomnieli o zmęczeniu i udali się na ląd, a w ślad za nimi ruszyły

łodzie z żołnierzami, działami i ciężkim sprzętem. Funkcja Jacka nie pozwalała mu jednakże opuścić okrętu i mógł jedynie śledzić rozwój wydarzeń przez lunetę.

— Dość marny sposób uczestnictwa w bitwie — powiedział do stojącego obok niego pana Farquhara.

— Ależ ja zazdroszczę Keatingowi!

Na brzegu pułkownik Keating wskoczył na zdobycznego konia i wbijając mu w boki ostrogi, ruszył pod górę. Szybko dotarł do wysuniętego posterunku Frasera i razem ocenili pole bitwy.

— Przypuścił pan wspaniały, regularny atak — oznajmił uradowany Keating, lustrując pole bitwy

przez lunetę. — Obrona, jak widzę, również jest prowadzona zgodnie z wszelkimi zasadami. Francuzi

bardzo dobrze rozstawili swe siły.

— Tak, sir. Bitwa przebiega przepisowo i gdyby nie marynarze, wszystko byłoby dobrze. Ci to najchętniej od razu pogalopowaliby na wrogie umocnienia, nie czekając, aż je osłabimy ogniem.

Muszę jednak przyznać, że dokonali cudów, wciągając tu te haubice. Tak, ogólnie rzecz ujmując, bitwa przebiega regularnie. Na lewej flance, sir, za posterunkiem sygnałowym, jest Campbell i jego sipaje. Zdobyli pozycję w przepięknym stylu, a teraz tylko czekają na sygnał do ataku, po którym znajdziemy się jakieś dwieście jardów bliżej francuskiego półksiężyca.

— Matko Boska, dlaczego więc nie da pan tego sygnału! Przecież już niemal całkiem oskrzydłili wroga! Gdzie pański konny goniec?

— Tuż za panem, sir. Proszę o wybaczenie, sir, ale toczą się tam teraz jakieś pertraktacje. Ten polityczny jegomość z okrętu przyszedł tu z miejscowym proboszczem i bandą marynarzy i powiedział, że musi porozmawiać z francuskim dowódcą. Wiedzieliśmy, że to doradca gubernatora, toteż wstrzymaliśmy natarcie i wysłaliśmy go do wroga z flagą rozejmu. Wydawało mi się to wtedy słuszne, a teraz prawie tego żałuję... Czy on na pewno ma dobrze poukładane w głowie, sir? Kazał mi przechować tę kość i powiedział, że Francuzom nie powierzyłby jej za nic w świecie.

— Ach, te politykusy... Sam pan wie, panie Fraser... — odparł Keating. — Nic z tego nie będzie.

Francuzi są porządnie okopani na wzgórzu i nawet jak McLeod nadejdzie ze wschodu, dobry tydzień minie,

nim regularnymi atakami zapędzimy ich do głównych umocnień.

Z wielką uwagą obserwowali właśnie przez lunety główne umocnienia wroga, gdy niespodziewanie odezwał się

adiutant:

— Proszę o wybaczenie, sir, ale właśnie nadchodzi doktor Maturin z francuskim dowódcą i grupą

cywili.

Pułkownik Keating wyszedł im na spotkanie.

— Oto głównodowodzący francuskimi siłami na tej wyspie, pułkownik Saint-Susanne — przedstawił Francuza

Stephen. — Ci panowie tutaj reprezentują cywilną administrację.

Żołnierze zasalutowali, cywile ukłonili się.

— Kierując się pragnieniem uniknięcia rozlewu krwi — ciągnął Stephen — obecni tu panowie chcieliby poznać warunki kapitulacji całej wyspy. Osobiście zaś zapewniłem ich, iż będą one honorowe.

— Oczywiście, proszę pana — odparł Keating, mierząc Stephena lodowatym spojrzeniem. — Panowie, proszę

tędy.

Jack i pan Farquhar, prozaicznie zasiadłszy do lekkiego posiłku przed południem, co rusz próbowali dociec, dlaczego od strony wzgórz przestały dobiegać odgłosy wystrzałów. Niespodziewanie na brzegu rozległy się

wiwaty, po czym pojawił się chorąży z pisemną wiadomością.

— Proszę mi wybaczyć, sir — powiedział Jack i odczytał:

Drogi Panie Komodorze!

Pański przyjaciel wielce rozczarował mnie i moich oficerów, pozbawiając nas szansy stoczenia przepięknej bitwy. Po rozbiciu nieprzyjacielskich posterunków i otoczeniu ich prawego skrzydła Francuzi za namową

Pańskiego przyjaciela zaskoczyli nas zapytaniem o warunki kapitulacji, „kierując się pragnieniem uniknięcia rozlewu krwi”. Francuzi uznają zwyczajowe warunki — pozostawienie broni białej, bagażu osobistego i tak dalej. Jeśli to Pana satysfakcjonuje, proszę zejść na brzeg i podpisać akt wraz ze mną, Pańskim pokornym sługą.

Pułkownik H. Keating

Komodor roześmiał się głośno, uderzając w potężne udo, po czym wyciągnął dłoń i rzekł:

— Panie gubernatorze, proszę pozwolić mi złożyć panu gratulacje. Francuzi się poddali, a na pana czeka

królestwo. No, powiedzmy, że królestwo. Na razie ta wyspa należy do pana.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jego Ekscelencja gubernator wyspy La Reunion zasiadł u szczytu stołu, przy którym zgromadzili się członkowie rady. Miał na sobie mundur równie szykowny co siedzący po jego lewej stronie pułkownicy, strojni w lamowane złotem szkarłatne uniformy, prezentujące się znacznie lepiej od podniszczonych przez pogodę mundurów

oficerów okrętów, którzy siedzieli po prawej. Czasy, kiedy pan Farquhar nie miał nic do powiedzenia, również już minęły, lecz na jego ożywionej, inteligentnej twarzy nie było znać ani śladu dumy czy wyniosłości.

Gubernator był właśnie w trakcie przemówienia, w którym próbował nakłonić zebranych do zaaprobowania

śmiałego planu natychmiastowego ataku na wyspę Mauritius. Plan opracował komodor Aubrey, a zakładał on

przeprowadzenie równoczesnych desantów na Fiat Island niedaleko Port-Louis i w pobliżu Port South-East na

przeciwnym krańcu wyspy. Pułkownik Keating natychmiast poparł plan, lecz inni oficerowie najwyraźniej mieli ochotę choć przez chwilę cieszyć się owocami zwycięstwa. Usprawiedliwiali się potrzebą odpoczynku dla ludzi, podnoszono również ważniejszą kwestię dokładniejszego przygotowania dalszej kampanii, choćby po to, by

moździerze nie dotarły na miejsce desantu bez pocisków. Farquhar musiał jednak przekonać malkontentów,

gdyż decyzję o rozpoczęciu tak ryzykownej i ambitnej operacji na wypadek porażki należało podjąć jednogłośnie.

— Pozwolę sobie powtórzyć słowa pana komodora, panowie — mówił pan Farquhar — i zawołam: „Nie ma ani chwili do stracenia!” Mamy teraz przewagę w fregatach wynoszącą trzy do pięciu, mamy też flotyllę transportowców i oddziały podbudowane pierwszym zwycięstwem. Mamy również dokładne informacje o sile i rozmieszczeniu wrogich jednostek na Mauritiusie, dodatkowo potwierdzone przez dane stąd, z La Reunion!

— Oto słuszne słowa! — powiedział pułkownik Keating.

— Dominując na morzu, możemy zebrać nasze siły lądowe w dowolnym miejscu. Co więcej, mój kolega — przy tych słowach ukłonił się w stronę Stephena, siedzącego przy drugim krańcu stołu —

zapewnia mnie, że przy tym jakże dla nas korzystnym stanie rzeczy nasze wysiłki w celu osłabienia morale u wroga najprawdopodobniej szybko odniosą skutek, a doświadczenie pana Maturina na tym polu nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Nie był to najszcześniejszy moment, by wspominać osobę Stephena. Kilku pułkowników, którzy nie tak dawno stoczyli zaciętą bitwę w nadziei odniesienia tryumfu, zwróciło ponure spojrzenia na doktora.

— A co ważniejsze — pośpiesznie dodał pan Farquhar, czując, iż popełnił gafę — w chwili obecnej nic nie wiąże nam rąk. „Leopard” zabrał nasze meldunki na Przylądek i już nie powróci. Brak rozkazów od jakiegokolwiek dowództwa nie zorientowanego w lokalnych układach oznacza, iż mamy swobodę działania, my, którzy owe warunki dobrze znamy. Nie ma ryzyka, iż rychło przybędzie tu nowy sztab z opracowanym w Bombaju, Fort William czy w Whitehall planem kampanii. Ta sytuacja nie potrwa jednak długo.

— Słuszne słowa! Słuszne słowa! — poparli go Keating wraz z Fraserem i McLeodem. Bardziej korpulentni i ostrożniejsi oficerowie sztabowi wymienili niespokojne spojrzenia.

— Daleki jestem od krytykowania cierpliwej, zmudnej pracy sztabowej — ciągnął gubernator. — Widzieliśmy jej wspaniałe rezultaty podczas zdobywania tej wyspy, lecz, panowie, czas i przypływ na

nikogo czekać nie będą i pragnę przypomnieć panom, że Fortunie brak włosów z tyłu głowy.

— O co chodziło Farquharowi, kiedy mówił o Fortunie?

— zapytał Jack, kiedy wraz ze Stephenem oddalali się uliczką zasłaną ulotkami z treścią proklamacji gubernatora. — Że niby na świerzb choruje, czy co?

— Wydaje mi się, że odwoływał się do pewnego starego porzekadła. Chodziło mu o to, że Fortunę należy uchwycić za włosy nad czołem, gdyż nie sposób pochwycić jej za włosy, kiedy już przejdzie.

— Ach, rozumiem. Całkiem nieźle to ujął, choć wątpię, czy te opasłe homary złapały sens tego porównania. — Zastanawiał się przez chwilę, po czym odezwał się: — Nie brzmi to zbyt dobrze,

brak

włosów z tyłu, ale metafora jest całkiem udana...

Zapatrzył się na uderzająco piękną kobietę, idącą z naprzeciwka w towarzystwie nawet smuklejszej czarnej niewolnicy, i uskoczył na pobocze, by je przepuścić. Obie sprawiały wrażenie wyniosłych, nieobecnych, odległych o tysiące mil.

— Cieszę się jednak, że wojskowi dali się przekonać — kontynuował. — Na Boga, Stephen, jednak te narady to przekłeta strata czasu. Gdyby to wszystko wlekło się choćby przez jeszcze jeden dzień, cały dywizjon by się rozproszył i musiałbym wykonać własny plan. Przecież „Sirius” już odpłynął. Moim obowiązkiem jest wyruszyć na morze i dobrać się do Hamelina, nim powrócą „Bellone” i „Minerve”. Na razie jednak mogę połączyć obie rzeczy. Pullings! — zawołał.

Stojący po drugiej stronie ulicy Pullings strząsnął z siebie dziewczynę i podbiegł do nich z rozplomioną twarzą.

— Znalazł pan coś, co panu odpowiada? — zapytał Jack. — To znaczy, pytam o sprawy zawodowe.

— Och, tak, sir! Tą tam to ja się tylko przez chwilę opiekowałem, trzymałem ją dla pana... No, dla innego oficera. Ach, o statek pan pyta! Tak, znalazłem! Aż się boję, że pan nie pozwoli mi go zatrzymać, sir... Jest wspaniały, jedynie dolne wręgi ma trochę podniszczone przez robactwo.

Po zatonięciu „Gropera” Aubrey postanowił wynagrodzić Pullingsa. Natychmiast po rozejmie młody kapitan przeszedł na pokład „Siriusa”, który popłynął do St Paul, by zatrzymać wszystkie znajdujące się tam okręty. Pullings zaś otrzymał pozwolenie samodzielnego wyboru któregoś ze zdobytych tam francuskich statków jako rekompensaty i urósł przy tym w dumę niczym sam Poncjusz Piłat.

Niedawna towarzyszka pana Pullingsa uczepliła się w tym czasie ramienia pana Joyce'a z transportowca „Kite”, a Pullings ruszył dalej w towarzystwie Jacka i Stephena. Przez moment trapiło go poczucie winy, gdyż z dziwnych powodów oficerowie Jacka postrzegali go jako wzór moralności, mimo dowodów na całkiem odmienny stan rzeczy. Odzyskał jednak rezon i jął rozprawiać o zaletach

swego przyżu, dobrze wyposażonego korsarskiego szkunera o dnie obitym blachą.

Wrota stajni rządowej były rozwarte i Bonden wyprowadzał przez nie potężnego, czarnego konia, ongiś chlubę francuskiego garnizonu.

— Nie jest to chyba najwłaściwszy moment, by cię pytać, jak masz zamiar połączyć oba plany — powiedział Stephen.

- Przyznaję jednak, że korci mnie to. Bonden, radzę ci dla twego dobra — nie stawaj za zadem tego stworzenia!

— Powiem ci, jeśli pojedziesz ze mną do St Paul — zaproponował Jack.

— Niestety, za pół godziny mam audiencję u biskupa, a potem umówiony jestem w drukarni.

— Może to nawet i lepiej. Rano sprawy zarysują się wyraźniej. Bonden, rzucamy cumy!

Jack miał rację — rankiem jego plan w istocie przedstawiał się konkretniej. Po spotkaniu ze wszystkimi oficerami komodor przyjął Stephena w pokoju pełnym map i wykresów.

— Spójrz. — Pokazał mu wyspę oddaloną o trzy, cztery mile od Port South-East. — To Ile de la Passe. Wysepka leży na rafie na samym skraju jedyne go głębokiego kanału, wiodącego do portu. To piekielne przejście — wąskie, dwa razy zakręca pod kątem prostym, a na domiar złego ma dno usłane

skałami i pełne uskoków. Samej wyspy broni bateria dwudziestu dobrze umocnionych dział, ale miasto jest bezbronne. Francuzi spodziewają się nas na północy, tam gdzie blokowaliśmy ich porty, poza tym większość naszych sił jest wciąż w okolicy Port-Louis. Gdybyśmy zatem zdobyli Ile de la Passe... Kilka fregat z łatwością by to osiągnęło!

— Nawet pomimo trudności nawigacyjnych w kanale? Niepokoją mnie te mielizny, bracie. Z mapy widać, że głębokość sięga ledwie dwóch lub trzech sążni na obszarze wielu mil. A ten obszar tutaj zapewne wymaga komentarza „Przejście wyłącznie dla kanoe jedynie przy wysokiej wodzie"! Nie mówię już o tym, że kanał wiję się niczym żmija, i to dość wychudła żmija. Niemniej nie mam zamiaru uczyć cię twego fachu.

— To wykonalne. Clonfert i jego czarny pilot znają te wody doskonale. Spójrz, nieopodal znajduje się to kotwiczowisko Jacotet, skąd uprowadził ów amerykański statek. Tak, dadzą sobie radę, choć oczywiście zadanie zostanie wykonane na łodziach pod osłoną ciemności. Same fregaty przy podejściu zostałyby poważnie poturbowane ogniem z fortu. Kiedy już zdobędziemy wyspę, ewentualne odbicie jej nie przyjdzie Francuzom łatwo. Ich nabrzeżne baterie nie sięgną wyspy nad wewnętrzną zatoką, a w Port South-East nie ma ani jednego okrętu czy choćby nawet kanonierek, które mogłyby podprowadzić ową artylerię odrobinę bliżej. Nie wezmą też fortu przez oblężenie, gdyż możemy zaopatrywać załogę w żywność z morza. Jeśli zatem Ile de la Passe pozostanie w naszych rękach, pozbawimy Francuzów ich najlepszego portu zaraz po Port-Louis oraz zyskamy bazę do lądowania. Bez francuskich baterii cały kraj stanie otworem dla ciebie i będziesz mógł w spokoju rozdawać swoje broszurki i zbierać zioła. Ich niewielkie garnizony w mieście i wzdłuż wybrzeża będą bowiem bały się nosa wyściubić bez osłony swych dział.

— To wspaniały plan — stwierdził Stephen.

— Nieprawdaż? Keating już przesłał grupę hinduskich artylerzystów oraz swych europejskich żołnierzy na

„Nereide”, by utworzyli nową załogę fortu po jego zdobyciu. „Nereide” lepiej zna te wody aniżeli reszta dywizjonu razem wzięta.

— Nie odnosisz wrażenia, iż tracąc ów szkuner przy Riviere des Pluies, Clonfert podał w wątpliwość swoje

umiejętności?

— Nie. W takich warunkach każdemu mogło się to zdarzyć, tym bardziej że przyglądali mu się pułkownicy,

zawsze gotowi do wytknięcia marynarce braku śmiałości. Powinienem był sam podejść do brzegu. Nie pozwolę

mu jednak dowodzić przy Ile de la Passe — nie chcę, by próbował stać się drugim Cochrane'em. Pym będzie

dowodzić. Być może nie błyszczą on inteligencją, ale jest dobrym, rozsądnym i odpowiedzialnym oficerem.

Wyślę zatem „Nereide”, „Iphigenię” i być może „Stauncha”...

— Co to za „Staunch”?

— To bryg, który zeszłej nocy przypłynął z Bombaju. To mały pożyteczny okręcik w bardzo dobrym stanie.

Jego dowódcą jest Narborough, wspaniały człowiek i świetny oficer. Pamiętasz go?

Stephen pokręcił głową.

— Oczywiście, że pamiętasz! — wykrzyknął Jack. — Lord Narborough, wielki czarny facet z nowofundlandem, trzeci oficer „Surprise”!

— Chodzi ci o Garrona?

— Tak, o Garrona, racja. Jego ojciec umarł jednak w zeszłym roku i teraz Garron nazywa się Narborough.

Zatem „Nereide”, „Iphigenia” i być może „Staunch”, jeśli załadunek zapasów wody na bryg odbędzie się wystarczająco szybko, ruszą do Port-Louis, gdzie Pym śledzi ruchy Hamelina. „Iphigenia” go zastąpi, a „Sirius”

i „Nereide” rusza na południe do Ile da la Passe.

— Zatem „Nereide” już tu nie powróci?

— By poczekać na nów? Nie, nie mamy na to czasu.

— Zatem może lepiej będzie, jak od razu udam się na jej pokład. Jest wiele do zrobienia na Mauritiusie i im wcześniej się tam dostanę, tym lepiej. Wierz mi, mój drogi, moje ulotki są równie skuteczne jak twoje... eee...

kule, choć przynoszą ze sobą mniej śmierci.

— Jestem o tym przekonany, Stephen.

— Już chciałem powiedzieć „armatki”, ale bałem się, że taki nieszczęsny rym może urazić przyszłego baroneta.

Pan Farquhar powiedział mi bowiem, że jeśli druga kampania powiedzie się tak dobrze jak pierwsza, dowodzący tą akcją z pewnością zostanie nagrodzony tytułem szlacheckim. Nie chciałbyś być baronetem, Jack?

— Cóż, jeśli o to chodzi... Nie wydaje mi się, że powinienem przywiązywać do tego większe znaczenie. Wiesz pewnie, że pewien Jack Aubrey, żyjący za czasów króla Jakuba, zapłacił ogromną sumę, by baronetem nie

zostać. Nie myśl tylko, że odmawiam prawa do zaszczytów ludziom, którzy odnoszą zwycięstwa w wielkich

bitwach morskich. Tacy ludzie powinni zostawać parami, lecz z drugiej strony, kiedy spojrzysz na gąszcz

tytułów, tłum kupców, lichwiarzy i nieuczciwych polityków... Wolałbym być po prostu zwykłym Jackiem

Aubreyem. No, kapitanem Jackiem Aubreyem, gdyż z mojej rangi jestem dumny jak paw. A jeśli kiedyś

zdobę proporczyk admirałski, wymaluję na froncie domku Ashgrove wielkimi literami: „Tu mieszka admirał

Aubrey". Nie myśl też, że należę do tych twoich dzikich, demokratycznych jakobinów — po prostu ludzie różnie patrzą na pewne sprawy... — Przerwał, po czym kontynuował z krzywym uśmiechem: — Opowiem ci o jednym

facecie, który oddałby wszystko, by zostać baronetem. To admirał Bertie. Tłumaczy, że robi to wszystko dla swej żony, ale cała flota wie, jak knuje, by dostać Order Łażni. Na Boga! — Roześmiał się. — Śmiech mnie

ogarnia, kiedy sobie pomyślę o człowieku mającym ponad sześćdziesiątkę, który czołga się wokół St James, marząc o wstążeczce. Może zmieniłbym zdanie, gdybym miał syna, choć w to wątpię.

Po południu następnego dnia na pokład „Nereide” dotarły na plecach tragarzy dwie bele ulotek,

broszur i proklamacji, niektóre pochodzące jeszcze z Cape Town, inne, jeszcze wilgotne, w pośpiechu

wydrukowane w Saint-Denis. Zaraz po nich do burty fregaty przybiła łódź ze Stephenem, spóźnionym

w sumie o sześć godzin. Załoga Clonferta nie nawykła do zwyczajów doktora i aż kipiała z

niecierpliwości, by popłynąć w ślad za „Iphigenią”, która wyruszyła już o świcie. Pośpiech marynarzy

był tak gorączkowy, iż w pewnym momencie pnący się po trapie Stephen został zrzuty. Spadając,

doktor uderzył głową i plecami o okrężnicę szalupy, złamał dwa zębra, oszołomiony uderzeniem

zsunął się do wody i pogrążył się w ciepłych, przejrzystych falach. Fregata była już w ruchu i choć

natychmiast postawiono ją w dryf, przez długą chwilę jedyną reakcją załogi było bieganie w kółko i wrzask wniebogłosy. Gdyby jeden z czarnoskórych tragarzy nie skoczył do wody i nie wyłowił półprzytomnego Stephena, ten utopiłby się, nim z fregaty opuszczono by wreszcie rufową szalupę. Obrażenia były bolesne i przenikliwy ból w piersi przykuł go do koi, przez co stracił długie dni pięknej, słonecznej pogody. Koję odstąpił mu sam Clonfert, który opuścił swą kajutę i rozwiesił hamak w sąsiedniej.

Stephen przegapił zatem szybką podróż na północ, spotkanie okrętów przy Port-Louis i powrót przez wzburzone morze na południe, w kierunku Ile de la Passe. Nie dane mu też było obejrzeć pierwszej, nieudanej próby ataku na baterię. Słyszał tylko, jak w absolutnych ciemnościach daremnie próbowano zebrać łodzie przy wietrze wymagającym ciasno zrefowanych marsli. Było tak ciemno, że nawet pilot Clonferta nie mógł odnaleźć właściwego kanału. Pogoda zmusiła ich do odwrotu do Port-Louis, ale dla samego Stephena wyniknęły jednak z tego pewne korzyści — zaznajomił się bowiem bliżej zarówno z lordem Clonfertem, jak i z doktorem McAdamem.

Kapitan spędzał przy rannym Stephenie mnóstwo czasu, prowadząc z nim chaotyczne i pozbawione większego sensu rozmowy. Okazał się jednak człowiekiem zdolnym do niemalże kobiecej troski. Potrafił zachować ciszę i zawsze wyczuwał, kiedy Stephen ma ochotę na coś zimnego do picia lub kiedy należy otworzyć świetlik. Ich pełne życzliwości rozmowy dotyczyły powieści i poezji romantycznej, a czasem schodziły na temat Jacka Aubreya, czy raczej jego akcji. Na wizerunek Clonferta składało się wiele postaci, ale pośród nich Stephen dostrzegał czasem istotę wrażliwą i delikatną, co wzmogło jego sympatię do lorda.

„Jego intuicja służy mu wspaniale w przyjacielskich pogawędkach z jedną osobą” — rozmyślał Stephen. „Zawodzi go jednak całkowicie, gdy w pokoju są więcej niż trzy osoby lub gdy trawi go niepokój. Jack nigdy nie widział takiego domowego Clonferta. Jego kobiety widziały go takim jednak wiele razy i to przypuszczalnie tłumaczy jego sukcesy w podbojach miłosnych”.

Te rozmyślenia pobudziła wizyta jego dawnego towarzysza podróży Narborough. Clonfert całkowicie

zdominował rozmowę, wypełniając ją anegdotami o sir Sydneyu Smisie i roztaczając tak agresywną aurę wyższości, iż zgorszony dowódca „Stauncha” czym prędzej powrócił na pokład swej jednostki.

Tego samego wieczoru jednakże, gdy „Nereide” i „Staunch” ponownie podchodziły do Ile de la Passe od południa, a „Sirius” od północy, Clonfert był równie cichy, uprzejmy i miły jak przez cały rejs.

Wydawał się też szczególnie ugodowy, jak gdyby był świadom popełnionego nietaktu. Na życzenie

lorda Stephen po raz kolejny opowiedział mu szczegółowo o akcji zdobycia „Cacafuego” przez Jacka,

co Clonfert podsumował z westchnieniem:

— Cóż, cenię go za to, Bóg mi świadkiem. Umarłbym szczęśliwy, mając za sobą taką wiktoryę.

Stosunki McAdama ze Stephenem nie były już tak przyjemne. Jak większość lekarzy, Stephen był

kiepskim pacjentem, McAdam zaś, jak większość lekarzy, miał autorytatywny stosunek do

znajdujących się pod jego opieką. Z chwilą kiedy pacjent powrócił do pełni świadomości, rozpoczęły

się kłótnie na temat ucisku obręczy półkuli mózgu i użyteczności puszczenia krwi, przeciwko czemu

Stephen protestował słabym, ochrypłym, lecz pełnym pasji głosem.

— To całkiem bezużyteczne! — oponował. — Może dobre było za Paracelsusa albo u znachora na

jarmarku w Ballinasloe!

Oliwy do ognia dołało jeszcze to, że McAdam był zdecydowanym zwolennikiem stosowania kaftana

bezpieczeństwa. Niemniej nawet fakt, iż Stephen odrzucił wszelką fachową pomoc i leczył sam siebie

za pomocą wywaru z kory wierzbowej, nie zaostriło konfliktu tak mocno, jak zazdrość McAdama o

uwagę, jaką Clonfert poświęcał gościowi, wpływ Stephena na samego lorda oraz przyjemność, jaką

obaj znajdowali w swym towarzystwie.

McAdam wszedł do jego kajuty wieczorem, zanim „Nereide” i „Staunch” — spowolnione przez

wiatry wiejące od dziobu — spotkały się z „Siriusem” przy Ile de la Passe. Nie był jeszcze całkiem pijany.

— Ma pan jeszcze podwyższoną temperaturę — powiedział, zbadawszy puls Stephena. —

Wcześniejsze upuszczenie krwi z pewnością by temu zaradziło. Pozwolę panu jutro wyjść na pokład, by zaczerpnąć świeżego powietrza, jeśli rzecz jasna, po tej akcji zostanie jeszcze jakiś pokład.

Wyciągnął piersiówkę z kieszeni, odkręcił i nalał sobie suto wódki do szklanki na leki Stephena.

Naraz pochylił się i podniósł pojedynczą kartkę papieru, która ześlizgnęła się pod koję.

— Co to za język? — spytał, unosząc kartkę ku światłu.

— To irlandzki — spokojnie odpowiedział Stephen, w głębi duszy złoścąc się, że komuś udało się ją ujrzeć. Jego działalność już dawno nie stanowiła dla nikogo tajemnicy, jednakże jego głęboko zakorzeniony zmysł ostrożności znacznie ucierpiał. Postanowił jednak tego nie ujawniać.

— Nie widzę tu irlandzkiej czcionki.

— Sądzę, że ciężko takowe znaleźć we francuskich koloniach.

— Rozumiem, iż przeznaczone są dla tych nikczemnych papistów na Mauritiusie? — spytał

McAdam, nawiązując do służących w armii francuskiej Irlandczyków. — O czym to jest? — ciągnął, nie

otrzymawszy odpowiedzi.

— Nie rozumie pan irlandzkiego?

— Oczywiście, że nie. Na co cywilizowanemu człowiekowi irlandzki?

— Wszystko zależy od pańskiej definicji człowieka cywilizowanego.

— Powiem panu, co taka definicja według mnie głosi. Człowiek cywilizowany to taki, który śpiewa sobie...

Niespodziewanie McAdam zaczął śpiewać *Croppies lie down* i jego tryumfalny, ochrypły głos dotkliwie uraził

osłabiony gorączką i nadwrażliwy słuch Stephena. Był pewien, iż McAdam nie ma pojęcia, że on sam jest

katolikiem, lecz nawet mimo to jego irytacja, spotęgowana upałem, hałasem, zapachem i niemożnością zapalenia cygara, wzrosła do takiego poziomu, iż wbrew własnym zasadom Stephen powiedział głośno:

— Cóż to za upokarzające widowisko, doktorze McAdam, obserwować człowieka o pana wiedzy i zdolnościach, który rozpuszcza sobie mózg wyciągiem z winogron.

— Równie upokarzającym widowiskiem, doktorze Maturin — natychmiast odparował McAdam, kiedy tylko

dotarł do niego sens wypowiedzi Stephena — jest obserwować człowieka o pana wiedzy i zdolnościach, który

rozpuszcza sobie mózg wyciągiem z maku!

W swym dzienniku tej nocy Stephen zapisał: „... -jego pokryta wrzodami twarz naraz rozjaśniła się i wyszedł, zabierając moje laudanum. Jestem zdumiony jego przenikliwością. Czy jednak w istocie rozpuszczam sobie

mózg? Na pewno nie — porównując obecną stronę z początkiem pamiętnika, nie dostrzegam żadnych objawów

pogorszenia się mego stanu fizycznego bądź psychicznego. Pamflet o postępowaniu Bonapartego wobec papieża

i jego poprzednika niczym się nie różni od moich poprzednich, chciałbym go nawet przetłumaczyć. Moja dawka zaś rzadko kiedy przekracza tysiąc kropli, a to przecież nic w porównaniu z tym, co biorą ludzie naprawdę

uzależnieni od opium czy tego, co brałem za czasów Diany. Jeśli chcę, to potrafię się powstrzymać, a

zażywam dawkę tylko wtedy, gdy moje rozgoryczenie jest tak silne, iż grozi utratą efektywności w

pracy. Pewnego dnia, kiedy znajdę McAdama trzeźwego, spytam go, czy spotykał u swych pacjentów

w Belfaście niechęć wobec siebie, bliźnich i całego życia i czy to nie czyniło ich niezdolnymi do

pracy. U mnie owa niechęć rośnie, o czym świadczyć może fakt, że nie czuję żadnej wdzięczności

wobec człowieka, który wyciągnął mnie z wody. Zachowuję się tak, jak wymaga ode mnie

przyzwoitość, ale nie czuję sympatii. Czyż to nie nieludzkie? Czyż ludzkich odruchów nie zniszczyły

gorycz i niechęć? Czuję, że negatywne emocje we mnie rosną w siłę, a choć moja pogarda i nienawiść

wobec Bonapartego i jego okrutnego systemu to dobry stymulant, wątpię, czy sama nienawiść jest dobrą podstawą dla budowy osobowości. Z laudanum czy bez, gorycz wydaje się tryumfować nawet nad moim snem, gdyż śpię teraz często, a ona zawsze czyha na mnie zaraz po przebudzeniu".

W istocie takie poranki zdarzały mu się często, lecz następny nie miał do nich należeć. Stephen przez całą noc nasłuchiwał czujnie odgłosów zwiastujących przeprowadzaną akcję czy choćby spotkanie z innymi okrętami, lecz na próżno. Z długiego, relaksującego snu przebudził się całkowicie rześki i od razu uświadomił sobie dwie rzeczy — to, że gorączka opuściła go całkowicie, oraz to, że przez uchylone drzwi ktoś się mu przyglądał.

— *Hola!* — zawołał Stephen.

Drzwi otworzyły się szerzej i do kajuty zajrzał nerwowy midszypmen.

— Kapitan pana pozdrawia, doktorze, i przekazuje, że jeśli czuje się pan na siłach, to zaprasza na pokład. Na prawo od dziobu widać syrenę.

Kiedy Stephen dotarł do relingu, syrena była już za trawersem sterburty. Było to utrzymujące się pionowo w wodzie pokaźne, szarawe stworzenie z okrągłym pyskiem i grubymi wargami, które wpatrywało się w okręt małutkimi, paciorkowatymi oczkami. Lewą płetwą przytrzymywała spore, również szare młode. Syrena nie spuszczała wzroku z oddalającego się szybko okrętu i Stephen miał jedynie czas, by dostrzec jej obfitą pierś, brak szyi, włosów i zewnętrznych małżowin usznych i oszacować jej wagę na niecałe sześćset funtów. W końcu syrena zanurkowała, ukazując na moment szeroki ogon.

— Gorąco panu dziękuję za wskazanie mi tego stworzenia! — powiedział Stephen do Clonferta. — Zawsze marzyłem o tym, by jakieś zobaczyć, przeszukiwałem laguny na Rodriguezie i wysepki przy Sumatrze, lecz jak do tej pory zawsze po próżnicy. Teraz zaś uświadamiam sobie, iż spełnienie się marzenia jest uczuciem o wiele miłszym, aniżeli się spodziewałem.

— Cieszy mnie pańska radość — powiedział lord Clonfert. — Mam nadzieję, że będzie to osłodą dla

pewnych gorzkich wieści. „Sirius” pokrzyżował nam szyki. Niech pan spojrzy, tam jest.

Stephen spojrział we wskazanym kierunku. Cztery czy pięć mil na prawo wyrastało południowo-wschodnie wybrzeże Mauritiusa z wdzierającym się w morze cyplem Pointe du Diable. Tam też w odległości stu jardów ciągnęło się pasmo raf, gdzieniegdzie suchych, w innych miejscach zalewanych przez białe grzywacze. Płytse fale czasem odsłaniały wysepkę między nimi. Na dalekim końcu w kierunku wskazywanym przez Clonferta stał „Sirius”, nieopodal ufortyfikowanej wyspy, z której zwisała wyraźna w oku lunety flaga brytyjska.

Zachwył Stephena wprawdzie uradował Clonferta, lecz widać było, że lord jest całkowicie rozczarowany i przygnębiony.

— Wyprzedzili nas o dobre dwadzieścia mil, podczas gdy lawirowaliśmy przy przylądku — stwierdził. — Jednak gdyby Pym miał jakiegokolwiek skrupuły, to poczekałby do dziś wieczora.

Pożyczyłem mu w końcu mojego pilota.

Jako czujny gospodarz powstrzymał się jednak od dalszych gorzkich wywodów i zapytał Stephena, czy ten nie miałby ochoty na śniadanie.

— Dziękuję za propozycję, milordzie — odparł doktor — ale chyba wolę pozostać na pokładzie w nadziei ujżenia kolejnej syreny. Mówiono mi, iż z reguły spotyka się je na płytkich wodach przy rafach. Nie chciałbym stracić widoku syreny nawet za tuzin śniadań.

— Clarges zatem przyniesie panu śniadanie na pokład, skoro, jak widzę, nabrał pan wystarczająco sił,

by tu pozostać — powiedział Clonfert. — Poślę jednak po pana McAdama, by pana zbadał.

McAdam wyglądał szczególnie niekorzystnie w świetle poranka, był również wyjątkowo źle usposobiony i zgryźliwy. Wspomnienie wieczornej wymiany zdań sprawiło ponadto, iż obawiał się teraz reakcji Stephena. Po ujżeniu syreny ten jednak kochał cały świat.

— Stracił pan widok syreny, drogi kolego! — wykrzyknął na jego widok. — Jeśli zachowamy ciszę, to być może uda nam się jeszcze jakąś zobaczyć!

— Niczego nie przegapiłem — padła odpowiedź. — Widziałem to bydlę przez rufowy bulaj. To był tylko manat.

— Na pewno był to diugon — zadumał się Stephen. — Uzębienie diugonów jest całkowicie różne od uzębienia manatów. Manat, o ile dobrze pamiętam, nie ma siekaczy. Co więcej, obszary występowania manatów i diugonów rozdziela cała Afryka.

— Manat czy diugon, jedno i to samo — powiedział McAdam. — Moje doświadczenie zawodowe nauczyło mnie, że pojawienie się takiego bydlaka jest jedynie doskonałym zobrazowaniem mocy ludzkiej sugestii. Słuchał pan tego gadania na śródokręciu?

— Nie — odparł Stephen. Słyszał co prawda swarliwe, pełne złości rozmowy ludzi znajdujących się przed pokładem rufowym, ale „Nereide” zawsze była zadziwiająco rozgadany okrętem. Stephen nie zwrócił więc na to uwagi, przypisując rozdrażnienie załogi zbyt późnemu przybyciu na miejsce akcji.

— Ludzie wydają się jednak niezadowoleni — dodał.

— Oczywiście, że są niezadowoleni. Każdy z nich wie, że syrena przynosi nieszczęście. Nie o to jednak tu chodzi. Niech pan teraz posłucha, proszę. To John Matthews, człowiek prawdomówny, przytomny i rozsądny, a tamten to stary Lemon, wychowany jako pisarz pewnego adwokata. Zna się na prawie.

Stephen wsłuchał się w rozmowę, rozróżnił oba głosy i uchwycił wątek dyskusji. Matthews i Lemon byli mówcami dwóch przeciwnych frakcji, a sama dysputa dotyczyła tego, czy syrena miała w ręku grzebień czy lusterko.

— Dostrzegli błysniecie mokrej płetwy i uznali, że to jeden z tych przedmiotów — powiedział McAdam. — Wierzą w to równie mocno jak w Biblię. Matthews chce walczyć o to z Lemonem i dwoma jego poplecznikami.

— Ludzie zakładają się o mniejsze sprawy — powiedział Stephen i idąc w stronę dziobu, zawołał głośno: — Obaj się mylicie! To była szczotka do włosów!

Na śródokręciu zapadła głucha cisza. Marynarze z powątpiewaniem spoglądali jeden na drugiego i cicho przesuwali się między łodziami na wytykach, łypiąc przez ramię na doktora. Nowy czynnik w dyskusji całkiem wytrącił ich z równowagi.

— Przepraszam bardzo, sygnał z „Siriusa” — oznajmił midszypmen oficerowi wachtowemu, który dłubał w zębach z taką zawziętością, że w ogóle nie słyszał dyskusji o syrenie. — „Kapitan proszony na pokład”.

— Niezwykle mnie ciekawi, czy ludzie z „Siriusa” pojмали jakichś jeńców — powiedział Stephen, kiedy pojawił się Clonfert. — Jeśli istnieje taka możliwość, z chęcią będę panu towarzyszył.

Pym powitał ich mniej radośnie niż zwykle — niewielka nocna akcja okazała się bardzo krwawa i podczas niej poległ jego kuzyn. Pokład fregaty był starannie uprzątnięty, jakby okręt stał przy St Helen, lecz wciąż leżał na nim rząd ciał zawiniętych w hamaki, oczekujących na morski pogrzeb.

Łodzie kłębiły się przy burtach fregaty — wszystkie były mniej lub bardziej poturbowane pociskami wroga, na jednej w krwawej kałuży leżała rozbita karonada. Po opadnięciu emocji związanych z bitwą

Pym wyglądał na znużonego, a na domiar złego „Iphigenia” wysłała awizo z wieścią, że trzy fregaty francuskie w Port-Louis są gotowe do wypłynięcia. Na „Siriusie” trwały więc gorączkowe

przygotowania do wyjścia okrętu na morze. Pym zdobył się na to, by zachować się uprzejmie wobec

Stephena, jednakże nadmiar obowiązków sprawił, iż do Clonferta zwracał się krótko i oficjalnie. Lord

złożył Pymowi gratulacje, lecz kiedy zaczął mówić, iż ten powinien pozwolić „Nereide” wziąć udział

w walce, dowódca „Siriusa” przerwał mu ostro.

— Nie mogę teraz w to wnikać. W tych warunkach naczelną zasadą jest: kto pierwszy, ten lepszy. Oto

książka sygnałowa francuskiego komendanta, nie udało mu się jej zniszczyć. Pańskie rozkazy są doprawdy proste. Proszę zostać na tej wysepce odpowiedni garnizon — Francuzi mieli tu załogę

liczącą stu ludzi i dwóch oficerów — i pozostać tak długo, dopóki nie otrzyma pan innych rozkazów.

W tym czasie ma pan wolną rękę do przeprowadzania operacji na lądzie wcześniej uzgodnionych z doktorem Maturinem. Zdania doktora proszę słuchać we wszystkich kwestiach politycznych.

Doktorze, jeśli zechce pan rozmawiać z francuskim komendantem, moja jadalnia jest to pana dyspozycji.

Kiedy Stephen zakończył przepytywanie nieszczęsnego kapitana Duvalliera i powrócił do kapitanów, odniósł wrażenie, że Clonfert zebrał poważną burę za swoją opieszałość lub inne błędy związane z prowadzeniem „Nereide”. Wrażenie to wzmogło się, gdy wracali barką na pokład fregaty w towarzystwie czarnego pilota z Mauritiusa — Clonfert milczał, a jego przystojną twarz wykrzywiała uraza. Nastroje Clonferta były zmienne niczym barometr, dlatego też lord stał się radosny jak skowronek zaraz po tym, jak „Sirius” i „Staunch” płynące, by wzmocnić blokadę francuskich fregat w Port-Louis, znikły na zachodnim horyzoncie. Uprzątnięto krwawy bałagan w forcie, wysadzono dziury

w koralowej skale, by pochować w nich martwych żołnierzy, oraz wprowadzono do nowego posterunku artylerzystów z Bombaju i pięćdziesięciu grenadierów 69 Pułku Piechoty. Zmieniono też ustawienie baterii dział — jedna z nich miała teraz w zasięgu wąski kanał, a druga całe wewnętrzne kotwicowisko. Fregata wpłynęła kanałem i stanęła za fortem w zacisznym, naturalnym basenie.

Od tego momentu Clonfert stał się człowiekiem wolnym, panem samego siebie, a całe pobliskie wybrzeże, wielka arena do popisów, było do jego dyspozycji. Rozkazy mówiły, że ma konsultować się

z doktorem Maturinem, lecz ten zgadzał się na każdy plan lorda, wymógłszy na nim jedynie, by jego ludzie utrzymali jak najlepsze stosunki z miejscową ludnością niezależnie od koloru skóry czy płci.

Clonfert obawiał się początkowo, że przez swój brak aprobaty Maturin zepsuje mu satysfakcję z wykonywania misji, ale były to obawy bezpodstawne. Stephen nie dość, że był daleki od zniechęcania

lorda do akcji, to nawet sam wziął udział w przeprowadzonym nocą ataku na baterię na przylądku

Pointe du Diable. Flotyła łodzi przebyła szeroką lagunę, by o świcie opanować baterię w wielkim stylu i bez strat w ludziach. Stephen z wyraźnym zadowoleniem przyglądał się zniszczeniu dział, wyniesieniu pięknego mosiężnego móździerza i potężnej eksplozji, towarzyszącej zniszczeniu magazynu z prochem, po czym opuścił Clonferta, by nawiązywać kontakty i rozprowadzać swą wywrotową literaturę.

Ataki na instalacje wojskowe Francuzów odbywały się codziennie pomimo oporu francuskiej piechoty

i daleko liczniejszych oddziałów milicji. Francuzi jednakże nie mieli kawalerii, a łodzie prowadzone przez znajomego każdy przesmyk i każdą zatoczkę pilota docierały do celu znacznie szybciej niż piechota. Co więcej, w miarę rozprzestrzeniania się ulotek i broszur Stephena, zapal bojowy milicji wyraźnie osłabł. Minął tydzień. Komendant południowej części wyspy zebrał wszystkie możliwe, choć

nadal szczupłe siły, lecz mimo to ludzie z „Nereide” swobodnie poruszali się po kraju. Nie niszczyli przy tym prywatnej własności, płacili za wszystko, co brali, i traktowali rdzenną ludność uprzejmie, w wyniku czego postawa milicji zaczęła powoli przypominać neutralność, i to dość życzliwą neutralność. Dzień po dniu

żołnierze, piechota morska i marynarze schodzili na ląd, na fregacie roiło już się od kupionych w wioskach lub złapanych w lesie papug i małp, a Stephen, choć zajęty swą własną wojną, odnalazł pewną sędziwą damę, której dziadek nie tylko widział i gonił, ale nawet zjadł ptaka dodo. Przypuszczalnie był to ostatni dodo na świecie, lecz dla Stephena liczył się jedynie fakt, że dziadek owej pani wypchał jego piórami poduszkę.

Nie nagromadzono żadnych łupów, lecz i tak czas ten był przyjemną przerwą dla całej załogi. Działo się wiele ekscytujących rzeczy, pogoda dopisywała i pod dostatkiem było świeżych owoców, warzyw i mięsa. Nękania

problemami Clonfert okazał się jednak znacznie lepszym towarzyszem aniżeli Clonfert szczęśliwy. Jego

gwałtowna, hałaśliwie okazywana energia stała się z czasem dla Stephena męcząca, a jego zapędy do walki

odbierał jako coś przykrego. Bezustanne wyprawy w głąb kraju na czele niewielkich oddziałków, którym

dowodził strojny w galowy mundur z idiotyczną gwiazdą na piersi i zbrojny w szpadę z rękojeścią

wysadzaną

diamentami, były dla Stephena równie nużące jak obiady, wydawane dla uczczenia nie zawsze znaczących

zwycięstw. Maturin nie mógł też dopatrzeć się żadnej metody w działalności Clonferta — odnosił wrażenie, że składa się na nią ledwie seria podyktowanych kaprysem wypraw. Z drugiej strony jednak brak logicznej

konsekwencji całkowicie dezorientował francuskiego dowódcę.

Na wydawane przez Clonferta obiady zapraszani byli również jego oficerowie, i Stephen znów dostrzegał

osobliwą, wulgarną atmosferę, dominującą w mesie oficerskiej i midszypmenów. Ponownie zwrócił również

uwagę na zwyczaj obsypywania kapitana pochlebstwami, na co ten był niezwykle łąsy, choć często bywały

bardzo niewyszukane. Żaden obiad nie mógł się odbyć bez tego, by drugi oficer Webber nie porównał Clonferta do Cochrane'a na korzyść tego pierwszego. Najczęściej używanym słowem było „błyskotliwy”, a pewnego dnia ochmistrz, patrząc z ukosa na Stephena, porównał nawet dowódcę „Nereide” do komodora Aubreya. Siłący się na skromność Clonfert odmówił jednak przyjęcia takiego komplementu. Kolejnym spostrzeżeniem Stephena

było to, że kiedy na obiad zapraszano McAdama, co nie zdarzało się tak często, namawiano go do picia ponad miarę, by później otwarcie się z niego naigrawać. Maturin czuł żal na widok siwowłosego mężczyzny,

wysztydzanego przez młodych, którzy choć bez wątpienia byli odważnymi żeglarzami, nie mogli się pochwalić

ani wiedzą, ani dobrymi manierami. Jeszcze bardziej bolesne wydało mu się to, że Clonfert nawet nie próbował

powstrzymać ich wesołości, bardziej koncentrując się na budowaniu aprobaty czy nawet czci własnej osoby,

aniżeli próbując pomóc staremu, upokorzonemu przyjacielowi.

Zapał Clonferta wydawał się Stephenowi szczególnie uciążliwy rankami, a jego towarzystwo dopiekło mu

zwłaszcza pewnego popołudnia, kiedy to w przerwie swej działalności politycznej negocjował ze znajomą

starszą panią zakup poduszki, wypełnionej piórami dodo. Clonfert mówił niezłe po francusku i zaoferował

pomoc, lecz od początku uderzył w niewłaściwą nutę. Jego hałaśliwe krotochwile uraziły i zmieszały starszą panią, która potem zaczęła powtarzać, że „na niczym nie śpi się tak dobrze, jak na poduszce z piórami dodo”,

„sen to największe błogosławieństwo, jakie Bóg zesłał starym ludziom” i „wy, panowie, jesteście młodzi i na piórach głuptaka też się dobrze wyśpicie”. Stephen stracił już nadzieję, lecz w ostatniej chwili ktoś odwołał

Clonferta i kobieta przemyślała ofertę raz jeszcze. Kiedy Stephen już wypłacał jej należność, drzwi niespodziewanie huknęły o ścianę i rozległ się okrzyk:

— Do łodzi! Do łodzi! Nieprzyjaciel w zasięgu wzroku!

Po wiosce niósł się tupot stóp biegnących ludzi. Stephen położył ostatnią monetę na stole, złapał poduszkę i wybiegł na zewnątrz.

Na nawietrznej daleko na morzu pięć okrętów płynęło w stronę Ile de la Passe. Siedzący w gigu i próbujący się uspokoić Clonfert śledził je przez lunetę.

— Prowadzi „Victor”, korweta. Ta duża fregata za nim to „Minerve”. Następnej jednostki nie rozpoznaję. Potem, na Boga! To „Bellone”! Przysięgłbym, że ostatni to znowu statek Kompanii, „Windham”. Mocniej wiosłować, mocniej!

Załoga gigu przyłożyła się do wiosł i wnet zostawili za sobą pozostałe dwie łodzie. Do trzech kolejnych, leżących w dalszej zatoczce, nie dobiegli jeszcze wszyscy ludzie. Od fregaty dzieliło ich jednak sporo wiosłowania — cała odległość obu kotwiczowisk między wyspą a lądem, czyli ponad cztery mile pod wiatr.

— Spróbuję zwabić ich w zasadzkę — powiedział Clonfert. Odwrócił się niecierpliwie w stronę odległych łodzi. — Poza tym jeśli te okręty dotrą do Port-Louis, to z łatwością zniszczą „Siriusa” i „Iphigenię”, zwłaszcza że Hamelin będzie mógł wtedy wyprowadzić pozostałe trzy fregaty.

Stephen nie odpowiedział.

Wyczerpana załoga podprowadziła gig pod burłę „Nereide”. Clonfert nakazał sternikowi łodzi

pozostać na dole, a sam wspiął się na pokład fregaty. Po chwili na topach „Nereide” wykwitła francuska bandera i proporzec.

— Do fortu! — krzyknął Clonfert, zsuwając się ponownie do gigu. — Szybko! Dajcie z siebie wszystko!

Po chwili również i nad fortem załopotała francuska flaga, do której dołączyły chorągiewki sygnałowe, układające się w ostrzeżenie: „Okręty wroga na północ od Port-Louis”. Okręt wiodący w szyku nadał tajny francuski sygnał, fort odpowiedział prawidłowo, po czym każdy z okrętów podał własny numer. Clonfert miał rację — w stronę wyspy zbliżały się „Victor”, „Minerve” i „Bellone”.

Dwa pozostałe okręty to nieszczęsny „Windham” i inny statek Kompanii, „Ceylon” płynący do Anglii; zatrzymany w Kanale Mozambickim.

Zbliżywszy się do rafy, francuskie okręty zredukowały powierzchnię żagli — nie było teraz wątpliwości, że zmierzają do fortu. Płynęły jednak powoli i był czas na przygotowanie odpowiedniego

powitania. Stephen wybrał dla siebie oddalone, wysoko położone stanowisko, z którego mógł obserwować przygotowania do bitwy, i zasiadł na swojej nowej poduszce. Na czystym niebie nad jego

głową miarowo przesuwały się białe chmury pasatowe, mocno grzało słońce, lecz jego policzki chłodziła łagodna bryza. Nieopodal faeton białosterny zataczał w powietrzu idealne kręgi. W obrębie murów fortu panowało jednak większe zamieszanie, aniżeli by się spodziewał. Na „Nereide”, którą podciągnięto na cumach bliżej lądu i która kotwiczyła teraz ze szpryngiem na linie kotwicznej, wszystko wydawało się w porządku, choć znaczna część załogi wciąż była w łodziach. Pokład był już

uprzątnięty, działa wytoczone, a oficerowie w pełni kontrolowali sytuację. W forcie jednak trwała chaotyczna bieganina wzmożona wrzaskami, a hinduscy kanonierzy, których dowódca był wciąż na lądzie lub na jednej z łodzi, z pasją kłócili się ze sobą. Widoczny był brak porozumienia między żołnierzami i marynarzami, a nawet wśród tych ostatnich Stephen nie dostrzegł ani śladu tego cichego,

pełnego zaangażowania entuzjazmu, który cechował akcje załóg Jacka Aubreya. Tym razem nie miał wrażenia, iż obserwuje gładko pracujące trybiki maszyny. Nie padł rozkaz wydania posiłków dla żołnierzy — nie była to rzecz ważna, lecz Jack skrupulatnie tego przestrzegał. Pozostałe łodzie, na których znajdowało się około stu pięćdziesięciu żołnierzy i marynarzy, wciąż znajdowały się w dużej odległości. Zauważył, że jedna z szalup wpłynęła na mieliznę przy cyplu, a że zaczynał się odpływ, pozostałe łodzie miały problemy ze ściąganiem jej na wodę.

Zarówno w forcie, jak i na lagunie ludzie uwijali się jak szaleni, ale mimo to czas jakby się zatrzymał.

Na morzu biegł on jednak swoim naturalnym rytmem, być może nawet szybciej niż dotychczas.

Stephen poczuł nagle, jak w jego umyśle pojawia się wielki, niesprecyzowany lęk, podobny temu, jaki

towarzyszy koszmarom sennym. Oto mógł już dostrzec postacie na pokładach francuskich okrętów, już widział ich twarze, a wiatr przynosił słowa rozkazów... Francuzi uformowali szyk torowy, by

wejść do kanału — na czele miał iść „Victor”, potem „Minerve” i „Ceylon”. Korweta wyprostowała się na kursie, zwinęła żagle główne i wolno wpłynęła w kanał pod samymi marsłami. Na obu ławach

wantowych okrętu sondowano głębokość kanału. Zgiełk w forcie ustąpił teraz miejsca głuchej ciszy, a

bryza przyniosła zapach wolno palącego się lontu, dobiegający z zapałkami i z zapasowych lontowników.

Korweta zbliżyła się do wąskiego przesmyku, była coraz bliżej, na jej dzwonie okrętowym załśniły

promienie słoneczne. Płynęła dziobem w kierunku spowitego ciszą fortu, gdzie za parapetami kulili

się artylerzyści w turbanach. Korweta minęła fort, po czym na rozkaz nawigatora wpłynęła przez

ciasny zakręt prosto na głęboką wodę, gdzie w odległości dwudziestu jardów stała „Nereide”.

Naraz francuska bandera na fregacie spłynęła w dół i pośród radosnych wiwatów zastąpiły ją barwy

brytyjskie. Burta „Nereide” zniknęła w chmurze dymu, wypluwając potężną, zlewającą się w jedną

gigantyczną eksplozję salwę burtową. Entuzjastyczne wrzaski załogi towarzyszyły następnym salwom

— wciąż celnie ostrzeliwana korweta rzuciła kotwicę przy prawej ćwiartce rufowej fregaty, a po

zdruzgotanym pokładzie biegł francuski oficer, nawołując do poddania się. W tym momencie do kanału wpłynęła już potężna fregata „Minerve”, za którą podążał „Ceylon”. Okręt znajdował się teraz w zasięgu ciężkich dział z fortu i nie mógł ani zwiększyć prędkości, ani zawrócić czy odpaść. Był to kluczowy moment i wszystko zależało od tego, czy w forcie utrzymana zostanie dyscyplina. Na drzewcu flagowym spłynęła w dół trójkolorowa flaga i wędrówkę w górę rozpoczęły barwy brytyjskie. Niestety, rozradowany głupiec, który ściągnął francuską flagę, rzucił ją prosto na rurę z płonącym lontem blisko górnego magazynu amunicji. Płomień natychmiast przeskoczył po płótnie i naraz sto ładunków do dział eksplodowało z hukiem potężniejszym od salwy burtowej, oślepiając mocniej od słońca. W tej samej sekundzie hinduscy kanonierzy wypalili ze swych źle wycelowanych dział. Oficer, który powstrzymałby ich od przeładowania armat, nie zdołał jednak na czas dotrzeć do fortu — w pozbawionej nadzoru salwie sześć dział eksplodowało lub rozpadło się, a jedna z wymierzonych na ślepo kul zabiła człowieka na gigu „Nereide”, zmierzającym, by przejąć „Victora”. Stephen podniósł się, gdy dym zaczął się rozwiewać. Chwilowa, wywołana eksplozją głuchota zaczęła ustępować, a kiedy przebiły się przez nią wrzaski rannych, doktor poderwał się i ruszył w stronę ciał leżących przy maszcie flagowym i wśród zniszczonych dział. Byli już tam pomocnik i asystent McAdama — wspólnie przy pomocy kilku przytomnie myślących marynarzy zaciągnęli rannych pod osłonę muru. Robili, co mogli, opatrując potworne poparzenia kawałkami podartych koszul i chusteczkami, a przez ten czas sytuacja zmieniła się diametralnie. Na „Victorze” znowu wciągnięto francuską banderę, odcięto linę kotwiczną i korweta płynęła teraz za „Minerve” i „Ceylonem” w kierunku Port South-East. „Bellone” i „Windham”, którym spora odległość od kanału umożliwiła zwrot, łapały teraz ten sam wiatr. Oba okręty płynęły prosto na wąski przesmyk, w którym kłębiły się pozostałe łodzie „Nereide” — zdawało się, że ich przejęcie jest kwestią kilku minut. Po „Minerve” w ogóle nie było znać uszkodzeń.

Clonfert okrzyknął fort z pokładu „Nereide”, nakazując wszystkim żołnierzom wejść na pokład. Miał zamiar zaatakować „Minerve” i potrzebował jak najwięcej ludzi do obsługi dział. Miał szanse na

zwycięstwo, nawet pomimo faktu, że „Nereide” miała lżejszą salwę burtową— „Minerve” zbliżała się do kolejnego ostrego zakrętu, gdzie nie mogła wykonywać manewrów, a „Nereide” wciąż miała całe

kotwicowisko, by wyostrzyć i przejść do salw burtowych. Francuska fregata nie była ponadto przygotowana do boju, a ani „Victor”, ani „Ceylon” nie mogły wesprzeć jej w walce. Kiedy jednak żołnierze przedostawali się na pokład, dowódca „Bellone” podjął nową decyzję — Francuz postawił bramsle i skierował okręt na kanał i na samą wyspę. W chwili kiedy fregata znalazła się w przesmyku, nie było już

wątpliwości co do zamiarów jej dowódcy. Okręt przepłynął przez gardło z wielką determinacją — najprawdopodobniej na jej pokładzie znajdował się człowiek doskonale znający te wody, gdyż fala dziobowa

„Bellone” była niezwykle wysoka jak na takie wyzwanie nawigacyjne. Stephen obejrzał się, by zobaczyć, co czyni Clonfert, i ku swemu zdumieniu ujrzał, że pod burtę „Nereide” docierają teraz spóźnione szalupy. Przeszły zatem w odległości rzutu kamieniem od okrętu francuskiego i nie zostały zniszczone bądź zatrzymane? Było to trudne do wytłumaczenia. W każdym razie na pokład fregaty napływał teraz strumień nowych, rozradowanych

marynarzy i żołnierzy. „Nereide” wciąż stała na kotwicy.

„Bellone” nadpływała. Prawa burta fregaty była już gotowa do odpalenia salwy, a zbliżając się do wyspy, okręt otworzył ogień z dział na dziobie. Fort spowił całun ciągnącego się za okrętem dymu, który niespodziewanie przeszła salwa burtowa, odpalona w chwili, kiedy fregata płynęła równolegle do wyspy. Na niedobitki

garnizonu posypały się kule osiemnastofuntowe i niezliczone odłamki kamiennego muru. Wpływając na

kotwicowisko „Nereide”, francuska fregata odpaliła kolejną salwę w stronę drugiej baterii, na co pozbawieni ducha bojowego, oficera dowodzącego i wsparcia muszkietowego hinduscy artylerzyści odpowiedzieć mogli

tylko chaotycznym, niecelnym ogniem.

„Bellone” płynęła teraz prosto na „Nereide”, jakby z zamiarem staranowania wrogiego okrętu, lecz francuski sternik w ostatniej chwili maksymalnie wyłożył ster i fregata błyskawicznie zakręciła. Przez moment oba okręty stały burta w burtę, niemalże dotykając się rejami. Z rykiem ozwały się obie salwy burtowe, lecz gdy dym się rozwiął, „Bellone” była daleko z przodu, szykując się do kolejnego zwrotu. Płynęła wciąż pod samymi

bramslami i wydawała się nietknięta, podczas gdy „Nereide” straciła kilka górnych rei i bom stermasztu.

Zwrot i nagły podmuch wiatru ustawił francuską fregatę w takiej pozycji, że jej ogień szedł teraz zbyt wysoko, by uszkodzić kadłub „Nereide” czy trafiać w załogę. Francuska kula przecięła jednak linę kotwiczną „Nereide” i dryfujący wokół własnej osi okręt brytyjski nie zdołał wystrzelić w stronę rufy wrogiej fregaty.

Naraz zapadła cisza. „Windham” obawiał się wejść do kanału i płynął teraz wzdłuż wybrzeża, a pozostałe cztery francuskie jednostki sunęły, by rzucić kotwicę na dwudziestosążniowej głębi przy brzegu Olive w połowie drogi do Port South-East. Clonfert powrócił na wyspę ze sporą grupą żołnierzy. Był w doskonałym nastroju i popędzał ludzi do doprowadzenia fortu do takiego stanu, by mógł wytrzymać atak francuskiej eskadry.

— Jak się to panu podobało? — zawołał, dostrzegając Stephena. — Mamy ich w worku!

Później, kiedy naprawiono zepsute karonady i podstawiono nowe w miejsce zniszczonych eksplozją, powiedział:

— Gdyby nie ten cholerny pech z flagą, zatopilibyśmy „Minerve”. Poszło jednak równie dobrze — w przeciwnym razie „Bellone” złapałaby wiatr i uciekła, a tak mamy oba okręty w saku. Wyślę Webbera

łodzią, by poprosił Pyma

o jakąś fregatę — „Iphigenię” lub „Magicienne”, jeśli już dotarła. Zniszczę wtedy Francuzów!

Nareszcie mamy ich w garści! Nie wydostaną się stąd, chyba że skorzystają z wiatru od strony lądu tuż przez wschodem słońca. Ależ by nam Cochrane zazdrościł!

Stephen przyjrzał mu się — czy ogarnięty euforią i niezdrowym zapalem Clonfert naprawdę uważał, że znalazł dobre rozwiązanie sytuacji i znajdował się na pozycji nadającej się do obrony?

— Nie zamierza pan płynąć sam na „Nereide”, by sprowadzić posiłki?

— Oczywiście, że nie. Pym rozkazał mi utrzymać ten fort i będę go bronił do samego końca. Do samego końca! — powtórzył, potrząsając dumnie głową. Z następnymi słowami wyraz jego twarzy się zmienił. — A widział pan tego drania?

— wykrzyknął. — „Victor” zrzucił banderę na znak poddania, a potem znowu ją wciągnął i zwiął niczym przeklęty łotr. Pożałowania godny, cholerny nikczemnik. Poślę kogoś z białą flagą, by domagał się zwrotu korwety. Widzi pan, tam stoi!

„Victor” stał między dwoma ciężkimi fregatami. Z fortu widać było krzątającą się załogę okrętu, naprawiającą zadane przez „Nereide” uszkodzenia, a na topie łopotała francuska trójkolorowa bandera.

— Stoją też zdecydowanie za blisko — dodał po chwili Clonfert. Odwrócił się do oficera artylerii, wciąż rozgoryczonego rozdzieleniem z ludźmi i utratą największej szansy w swej karierze zawodowej. — Kapitanie Newnham, jak pan sądzi? Sięgnie ich moździerz?
— Spróbuję, milordzie.

Newnham osobiście naładował armatę trzynastocalowym granatem moździerzowym, starannie wycelował, delikatnie nastawił zapalnik i wystrzelił. Pocisk — gwałtownie malejąca czarna plamka — pomknął wysoko w niebo i śmignął tuż nad „Bellone”. Wśród ludzi Clonferta poniósł się ryk zachwyty — francuskie okręty wciągnęły kotwice i poczęły się oddalać. Drugi granat, wystrzelony pod maksymalnym kątem, padł za blisko. Był to ostatni strzał tego dnia.

Godziny pozostałe do zmroku wypełniło ludziom powzięcie tych wszystkich środków ostrożności, o jakie powinni się byli zatroszczyć dzień wcześniej. Do rana Ile de la Passe było gotowe do zatopienia

każdego okrętu. Na „Nereide” założono nowe bramreje, naprawiono bom i wzmocniono nakładkami uszkodzony fokmaszt. Clonfert nakazał również wysłać łódź z emisariuszem, domagając się poddania korwety.

— Pokładam nadzieję w Bogu, że Webber odnalazł już „Siriusa” — powiedział Clonfert, niecierpliwie spoglądając ku morzu. Dzień jednak minął i za przyładkiem nie pokazał się żaden żagiel.

Noc upłynęła na patrolowaniu cieśniny na łodziach, a przed wschodem słońca zerwała się lądowa

bryza, co dla obrońców fortu mogło oznaczać niebezpieczeństwo. Korzystający z niej Francuzi mogli pod osłoną ciemności przeprowadzić swe potężne okręty i cały rój łodzi przez lagunę. Ich jednostki jednak nawet nie drgnęły i przebudzony o świcie wiatr południowo-wschodni zatrzymał je tam, gdzie stały. Upłynęły zatem dwa dni, w trakcie których jedynym godnym uwagi wydarzeniem była odmowa francuskiego komodora wydania okrętu. Żołnierze odbywali musztrę i czyścili broń, artylerzyści przeprowadzali ćwiczenia, a ich przełożony wypełniał ładunki i doglądał swych zasobów. Clonfert był radosny i pełen życia jak dotąd, a jego nastrój wszedł w nową fazę trzeciego dnia, kiedy zauważono, że francuskie okręty ruszyły z miejsca. Wroga eskadra skierowała się ku odległemu portowi, przepłynęła wśród płycizn i zacumowała półkolem wzdłuż zatopionej rafy ciągnącej się u wejścia do portu Port South-East, pod osłoną strzegących jej baterii. Clonfert stwierdził, że takie posunięcie Francuzów było dowodem na to, że Webber odnalazł „Siriusa”. Zniknęła zapewne przynajmniej część sił blokujących Port-Louis i gubernator Decean, obawiając się ataku na „Minerve”

i „Bellone”, z pewnością przesłał lądem wiadomość do Port South-East.

Clonfert nie mylił się. Kilka godzin później zza przylądka wychynął płynący pod pełnymi żaglami „Sirius”.

— Dawaj sygnał! — rozkazał Clonfert po wymianie numerów. Przygotowany uprzednio zestaw chorągiewek załopotał na wietrze, a kapitan roześmiał się.

— Co oznacza ten sygnał? — zapytał Stephen.

— „Okręt gotowy do boju” i „Przewaga nad nieprzyjacielem” — odpowiedział Clonfert z mało przytomnym spojrzeniem. — Szybciej sprawdzaj, Briggs! — rzucił natychmiast potem. — Co nadaje „Sirius”?

Sygnalista wymamrotał odpowiedź, która została powtórzona przez midszypmena:

— „Przesłać nawigatora »Nereide« na pokład”, milordzie!

— Załoga do gigu! — wykrzyknął Clonfert. — Panie Satterly, proszę jak najszybciej wprowadzić

„Siriusa”.

Ostatni sygnał fregaty Pyma przed wpłynięciem do kanału nakazał „Nereide” ruszać. „Sirius” śmignął obok fortu niemalże tak szybko jak kilka dni temu „Bellone” i gdy okręt na postawionych marslach i żaglach głównych mijał „Nereide”, Pym przechylił się przez reling i krzykiem nakazał Clonfertowi ruszać za sobą. Obie fregaty popłynęły daleko w głąb drugiego, wijącego się kanału — teraz zachowywano już większą ostrożność, ale zmrok był blisko i na „Siriusie” pozostawiono marsie. Na „Nereide” zaś jedynie sztaksle, zgodnie z poleceniem czarnego pilota, który pomrukując coś do siebie, nadzorował kurs okrętu. Za brzegiem Horseshoe zaczynało się bowiem wewnętrzne kotwiczowisko, a

tych wód nie znali dobrze. Omijali je do tej pory, gdyż strzegły go potężne działa Port South-East.

Minęli płyciznę Noddy, a „Sirius” dalej prowadził z wielką prędkością. Za Three Brothers obie fregaty skrzyły o cztery rumby na lewo. Zawołania sondującego marynarza brzmiały głośno i wyraźnie.

— Dziesięć przy marce! Dziesięć i pół! Jedenaście poniżej marki! Jedenaście poniżej marki!

Piętnaście przy marce!

Głębokość była wystarczająca i łatwo było ulec wrażeniu, że kanał ma czyste, gładkie dno. Mimo to przy ostatnim zawołaniu marynarza z sondą „Sirius” niespodziewanie mocno uderzył o podwodną przeszkodę i wjechał daleko na podwodną rafę koralową.

Jeśli fregacie było pisane wejść na mieliznę, to przynajmniej uczyniła to w najlepszym możliwym miejscu. Była tu nieosiągalna dla baterii brzegowych, a wiejący w stronę brzegu wiatr przykuwał

francuskie fregaty do ich kotwiczowiska. „Sirius” i „Nereide” bez przeszkód mogły rzucić cumy, a ich kapitanowie uzgodnili, że ściągną okręt z mielizny na holu. Pierwsza próba spełzała za niczym i

następne również. Po całej godzinie bezowocnych starań nad Mauritiusem zaszło słońce, a

Brytyjczycy nie ustawali w wysiłkach ściągnięcia „Siriusa” na wodę. Kres staraniom położył odpływ,

ale istniała nadzieja, że poranny przypływ będzie wyższy i około ósmej rano bez większych problemów uda się ściągnąć fregatę na wodę. Tymczasem zaś nie mogli uczynić nic, poza za-

bezpieczeniem przed francuskim atakiem na łodziach.

— Co powie pan obecnie o stanie podekscytowania naszego pacjenta? — spytał Stephen doktora Mc Adama. — Czy w tych okolicznościach nie przekracza ono granic zdrowego rozsądku? Czy nie przypomina to panu choroby?

— Nie znam odpowiedzi — powiedział McAdam. — Nigdy go takiego nie widziałem. Być może działa z rozwagą, być może jednak myśli tylko o zakasowaniu pańskiego przyjaciela i nic innego się dlań nie liczy. Czy widział pan kiedykolwiek człowieka, który by tak pięknie rozkwitał?

O świcie Francuzi wciąż nie zmienili swojej pozycji. Wyjątkowo o tej porze nad pokładami „Siriusa” i

„Nereide” nie unosił się odgłos cegiełek i szczotek przy pracy, a zaległa na nich plątanina wszelakich lin, cum i talii z magazynu bosmańskiego. Wraz z rosnącym poziomem wody poczęły pracować kabestany, obracające się coraz wolniej z chwilą napotkania oporu. Na handszpaki napierał teraz każdy członek załogi, który zdołał przy nich znaleźć miejsce, i „Sirius” wolno, z trudem spełzał na głęboką wodę, by w końcu zakotwiczyć przy „Nereide”. Wszyscy cieśle okrętowi zgromadzili się na dziobie, gdzie ostra, najeżona krawędź rafy zostawiła na kadłubie głębokie ślady. Rozległy się gwizdki bosmańskie i wyczerpani pracą marynarze udali się na spóźnione śniadanie. Kiedy pokłady obu okrętów doprowadzono już do stanu przypominającego gotowość do boju, zameldowano pojawienie się „Iphigenii” i „Magicienne”.

Clonfert wysłał swego nawigatora, by ten wprowadził nowo przybyłe fregaty. Pan Satterly, choć znękany i zawstydzony, znał już teraz wszystkie zakamarki kanału, postanowił jednak tym razem zachować większą ostrożność. Skończyło się to tym, że obie fregaty rzuciły kotwicę przy „Siriusie” i „Nereide” dopiero w porze obiadowej. Wszyscy kapitanowie udali się wówczas na pokład „Siriusa”,

by wysłuchać planu ataku kapitana Pyma. Nie był on skomplikowany i miał sens. Fregata „Nereide” miała wprowadzić pozostałe okręty i rzucić kotwicę między „Victorem” i „Bellone” na północnym końcu francuskiej linii. Uzbrojony w działa osiemnastofuntowe „Sirius” miał stanąć burta w burtę z

„Bellone”, „Magicienne” otrzymała zadanie wejść między „Ceylona” a potężną fregatę „Minerve”, natomiast równoległe do niej rzucić kotwicę miała „Iphigenia”, również uzbrojona w działa osiemnastofuntowe, tym samym zamykając linię francuską od południa.

Kapitanowie powrócili na okręty. Clonfert, który w istocie wyglądał szczególnie młodo i promieniał radością niczym opętany przez ducha szczęścia, zszedł pod pokład, by nałożyć nową kurtkę mundurową i świeże białe bryczesy.

— Doktorze Maturin — powiedział ze szczególnie miłym i słodkim uśmiechem po powrocie na pokład — mam nadzieję, że pokażę panu coś porównywalnego z tym, co widział pan u boku komodora Aubreya.

„Sirius” wywiesił sygnał. „Nereide” podniosła kotwicę i ruszyła w kierunku Francuzów pod samymi tylko sztakslami, kierowana przez siedzącego na rei fokmasztu pilota. „Sirius”, „Magicienne” i „Iphigenia” szły za nią, utrzymując między sobą odległość kabla. Ze stałym, pewnym wiatrem okręty przemierzały kręty kanał i brzeg stawał się coraz bliższy. Każdy kolejny zakręt powiększał jednak dystans między nimi i nagle na „Siriuse”, przyśpieszającym, by zmniejszyć odstęp do „Nereide”, źle oceniono manewr prowadzącej fregaty i okręt ponownie wszedł na mieliznę. W tym samym momencie okręty francuskie i baterie nabrzeżne otworzyły ogień.

Pym okrzyknął swe okręty, nakazując im kontynuować atak. W ciągu pięciu minut „Nereide” wyszła z wąskiego przesmyku, „Magicienne” i „Iphigenia”, szacując głębokość kanału względem stojącego na mieliznie „Siriusa”, podążały w pewnej odległości za nim. Przy ostatnim podmuchu wiatru, w odległości zaledwie czterystu jardów od francuskiej linii, niespodziewanie na mieliznę weszła „Magicienne”. Tymczasem francuskie salwy burtowe przelatywały nad pokładem „Nereide”, próbując zatrzymać sunącą prosto na dziób „Victora” fregatę.

— Robi się gorąco, doktorze — powiedział Clonfert, wychylając się przez reling rufowy i patrząc w stronę „Siriusa”. — Wciąż stoją w miejscu. Wygląda na to, że ugrzęźli na dobre. Musimy wciągnąć „Bellone” do boju, inaczej zatopi „Siriusa”! Panie Satterly, proszę ustawić okręt burtą do francuskiej

fregaty! — krzyknął głośniej, gdyż dziobowe działa strzelały już w stronę Francuzów i wrzawa bitwy wzmagala się coraz bardziej.

— Tak jest, sir! — odparł nawigator. Trzymał dotychczasowy kurs jeszcze przez długość kabla, prac prosto na francuski ogień. Jeszcze pięćdziesiąt jardów i machnął dłonią w stronę czujnego bosmana za kołem, rozkazując, by ten maksymalnie wychylił ster.

„Nereide” zakręciła zgrabnie, kotwica plusnęła do wody i fregata zastygła, zwrócona burtą w kierunku

potężnego wrogiego okrętu. Jej dwunastofuntówki ryknęły salwą z dystansu, z którego chybiecie było niemożliwością. Po pierwszej salwie „Nereide” szybko nastąpiły kolejne, a stłoczeni na pokładzie dziobowym i rufowym marynarze i żołnierze piechoty morskiej znad zwiniętych hamaków zawzięcie ostrzeliwali okręt nieprzyjaciela. Porwane liny i bloki spadały na rozciągniętą nad ich głowami siatkę,

a między walczącymi okrętami zaległ gęsty dym, rozrywany pomarańczowymi rozbłyskami dział „Bellone”. Stojący po prawej ćwiartce rufowej „Victor” również włączył się do walki.

Stephen przeszedł na drugą burtę. „Magicienne”, mierząc swym galionem prosto w kierunku francuskiej linii, wciąż tkwiła na ostrej rafie, lecz jej przednie działa włączyły się do boju. Fregata strzelała tak szybko, jak to tylko było możliwe, podczas gdy załogi jej szalup szaleńczo próbowały ściągnąć okręt z mielizny. Między „Minerve” a sunącą równolegle do jej burty „Iphigenią” znajdowała się długa, wąska płycizna, oba okręty znajdowały się jednak bardzo blisko siebie i ostrzeliwały się

nawzajem z przerażającą zaciekłością. Hałas bitwy przewyższał wszystko, czego Stephen do tej pory doświadczył, lecz przez huk przedarł się odgłos dłań znajomy — krzyki rannych. Ciężkie działa

„Bellone” bezlitośnie kaleczyły „Nereide”, rozrywając jej siatki z hamakami i rozbijając armaty, a teraz Francuzi przechodzili na ostrzał kartaczami. Stephen zawahał się, dokąd ma się udać. W

poprzednich bitwach jego miejsce jako lekarza okrętowego znajdowało się pod pokładem, być może zatem teraz jego obowiązkiem było pozostać na pokładzie jako cel i stać beczynnie niczym oficer-

wie w armii. Nie poruszyło go to jednak zbytnio, choć w powietrzu już świstały kartacze. Pod pokład znoszono już coraz więcej rannych i Stephen poczuł, że przynajmniej w szpitaliku na coś się przyda.

„Zostanę tu” — pomyślał. „Mimo wszystko szansa, by przyjrzeć się bitwie z dobrego stanowiska, nie zdarza się często”.

Czyjaś dłoń odwróciła klepsydrę, zabrzmiał dzwon okrętowy.

„Sześć szklanek!” — policzył Stephen. „Czy to możliwe, byśmy uczestniczyli w tym tak długo?”

Naraz wydało mu się, że „Bellone” strzela ze znacznie mniejszym przekonaniem i stanowczo mniej celnie, a przerwy między salwami burtowymi są coraz dłuższe.

Naraz przed nim rozległy się wiwaty i okrzyki radości, którym odpowiedziały podobne z „Iphigenii”.

Przez lukę w chmurze dymu ujrzał, jak słabo uzbrojony, obsadzony przez szczupłą załogę statek

„Ceylon”, poturbowany ogniem unieruchomionej „Magicienne” i rufowych baterii „Iphigenii”, zrzuca banderę. Nastąpiła niezwykła, krótka chwila bez jednego wystrzału, w trakcie której usłyszał, jak

kapitan „Iphigenii” głosem potężnym niczym uderzenie pioruna krzyczy do dowódcy „Magicienne”,

by ten przejął statek. Kiedy jednak łódź z „Magicienne” szybko ruszyła w kierunku „Ceylona” przez spienioną od wpadających pocisków wodę, statek niespodziewanie postawił marsle i ruszył w stronę

brzegu, kryjąc się za „Bellone”. Szalupa puściła się w pogoń za statkiem, gdy nagle ruszyła z miejsca

„Minerve”. Nie wiadomo, czy załoga odcięła linę kotwiczną, czy ściął ją nieustanny, morderczy ogień

„Iphigenii”, dość, że francuska fregata obróciła się i ruszyła fordewindem w ślad za „Ceylonem”. W

przeciwieństwie do swego kolegi na fregacie, sternik byłego statku Kompanii stracił jednak kontrolę i

wpłynął prosto na „Bellone”, sprawiając, że i ten okręt zerwał się z kotwicy. Cała trójka zdryfowała w stronę brzegu, a „Minerve” znieruchomiła dokładnie za kadłubem „Bellone” i nie mogła dalej

strzelać. Celne salwy z drugiej fregaty dalej uderzały w „Nereide”, na którą płynął teraz potok ludzi z lądu oraz z dwóch pozostałych okrętów. Jej ogień, przed chwilą rzadki i niezdecydowany, przybrał

teraz na sile i stał się jeszcze bardziej wściekły. Salwy trafiały jedna za drugą. „Iphigenia” została właściwie unieruchomiona na zawietrznej swej płycizny w odległości strzału z pistoletu. Jasne było,

że przez ostatnich kilka minut losy bitwy całkowicie się odwróciły. Na pokładzie „Nereide” już nie

było słycać wiwatów ani okrzyków radości — mimo swego męstwa załogi dział były już wyczerpane

i częstotliwość odpalanych salw była coraz mniejsza. Słońce już niemal zaszło i baterie nabrzeżne, dotychczas koncentrujące swój ogień na „Iphigenii” i „Magicienne”, przeniosły go na „Nereide”.

„Dlaczego się obracamy?” — zastanawiał się Stephen i nagle uświadomił sobie, że któryś z wrogich pocisków musiał przeciąć szpryng na linie kotwicznej „Nereide”, który trzymał ją do tej pory burtą w stronę „Bellone”. Fregata obróciła się wokół własnej osi i zaczęła dryfować po wodach kotwicowiska,

wchodząc w końcu rufą na mieliznę. Unoszony przez fale kadłub stukał łagodnie o rafę, podczas gdy nie słabnący ogień nieprzyjaciela wciąż oflankowywał fregatę. Rufowe działa „Nereide” wraz z pościgówkami wciąż strzelały, lecz ludzie padali teraz jak muchy. Wśród zabitych znalazł się pierwszy oficer i trzech oficerów armii, a strumyki krwi na pokładzie rufowym zamieniły się w potok.

Clonfert wydawał właśnie bosmanowi rozkazy odnośnie do cum, kiedy spod pokładu wybiegł goniec,

mały przerażony chłopiec, zbliżył się doń i powiedział coś, pokazując palcem na doktora Maturina.

Clonfert przeszedł przez pokład w jego kierunku.

— Doktorze, czy zechciałby pan służyć swą pomocą w szpitaliku? — spytał. — Doktor McAdam miał wypadek. Będę panu nieskończenie wdzięczny.

Wypadek McAdama oznaczał po prostu śpiączkę alkoholową, a jego asystent, po raz pierwszy uczestniczący w boju, zupełnie nie panował nad sytuacją. Stephen zrzucił kurtkę i w ledwie rozpraszanych jedną latarnią ciemnościach zabrał się do pracy. Zaciski, piłka, nóż, szwy, kleszcze, sonda, chwytak, opatrunki, na zaimprovizowanym stole jeden ranny pojawiał się po drugim, a delikatne, skomplikowane operacje raz za razem przerywał potężny, zagłuszający wszystko łomot pocisków wroga o kadłub fregaty. Pod pokład trafiali coraz to nowi ranni, aż Stephen zaczynał mieć wrażenie, iż przez jego zakrwawione ręce przeszła więcej niż połowa załogi „Nereide”. Okręt zaś

wciąż prowadził osamotniony bój, na salwy wroga odpowiadając z nie więcej niż sześciu dział.

— Droga dla kapitana! — usłyszał naraz. — Droga dla kapitana!

I na skrzyni przed nim, tuż pod latarnią pojawiło się ciało Clonferta. Część jego twarzy była w fatalnym stanie — wyszarpana gałka oczna zwisała bezwładnie na nerwie, szczeka była zmiażdżona, a

na szyi widniała otwarta rana, odsłaniając pulsującą w słabym świetle arterię szyjną, w każdej chwili

grożącą pęknięciem. Była to typowa rana zadana odpryskiem drewna, a straszliwe cięcie przez twarz

zostawił odłamek kartacza. Kapitan zachował przytomność i całkowitą jasność umysłu, nie czuł też

bólu, co zważywszy na rozmiar jego ran, było zjawiskiem niezwykłym. Na pracę sondy, skalpela i

igły zareagował jedynie stwierdzeniem, iż były osobliwie zimne, nie przestając zresztą mówić przez

cały czas, kiedy Stephen szął jego rany. Jego zniekształcone przez zmiażdżone zęby słowa były

również dalekie od majaczenia — kapitan relacjonował doktorowi, iż posłał szalupę do Pyma z prośbą

o odholowanie „Nereide”, a gdyby to okazało się niemożliwe, o zabranie rannych i podpalenie fregaty

przez łodzie okrętów dywizjonu.

— Wybuchając, „Nereide” mogłaby zniszczyć „Bellone” — dodał.

Jego rany wciąż były opatrywane, gdy z „Siriusa” powrócił Webber z jednym z oficerów Pyma i

wiadomością, którą musiał wyrzeszczyć, by przebić się ponad huk dział „Bellone”. Pym radził, by

Clonfert przeniósł się na pokład „Siriusa”. „Iphigenia” najprawdopodobniej nie była w stanie

wydostać się zza swej płycizny aż do brzasku, a „Nereide” leżała dokładnie między nią a francuskimi

okrętami. Brytyjski okręt nie mógł więc ostrzeliwać Francuzów i w związku z tym Clonfert powinien

zdecydowanie szybko przejść na pokład „Siriusa”.

— Porzucić moich ludzi! — wykrzyknął Clonfert swym nowym, zniekształconym głosem. —

Najpierw niech go szlag trafi! Proszę przekazać Pymowi, że poddam okręt! Już pan zakończył,

doktorze? — spytał, kiedy oficer zniknął, a opatrunek był gotowy. — Jestem panu niezwykle wdzięczny.

Z tymi słowami wykonał gest, jakby chciał się podnieść.

— Chce pan wstać? — spytał Stephen.

— Tak. Moje nogi są wystarczająco zdrowe. Wracam na pokład, muszę wszystkiego odpowiednio dopilnować, by nie wyjść na durnia przed Francuzami.

— Niech pan uważa na bandaż na szyi! — powiedział Stephen, kiedy kapitan powstał. — Jeśli pan go

zerwie, wykrwawi się pan w ciągu minuty.

W chwilę później większość załogi została wysłana przez Clonferta pod pokład. O rutynie pokładowej

zapomniano już dawno — dzwon okrętowy zamilkł, a życie samej fregaty z wolna z niej wyciekało.

Marynarze stłoczeni pod pokładem rozmawiali cicho, a od swoich zbiegających co chwila pod pokład

kolegów dowiadywali się, co się działo na zewnątrz. Do burty „Nereide” podpłynęła szalupa z

„Iphigenii”, by spytać, czemu Clonfert już nie strzela i czy przejdzie na jej pokład. Odpowiedziano im, że okręt się poddaje, a kapitan nawet nie myśli o jego opuszczeniu. Dotarła też wiadomość, iż kapitan

wysłał łódź do „Bellone”, by przekazać informację o poddaniu okrętu i prosić o wstrzymanie ognia,

lecz załodze szalupy nie udało się dotrzeć do francuskiej fregaty ani też krzykiem przekazać wieści.

Potem rozległy się krzyki o pożarze na pokładzie i kilkunastu marynarzy wyskoczyło na pomoc w gaszeniu. W chwilę później zawalił się grotmaszt.

Lord Clonfert ponownie zszedł pod pokład i usiadł na chwilę. Wciąż pracujący Stephen obrzucił go przelotnym spojrzeniem w przerwie między opatrywaniem jednego pacjenta a drugiego i odniósł wrażenie, iż kapitan porusza się niczym żywy trup. Po chwili Clonfert podniósł się i wszedł między rannych, wołając ich po imieniu.

Północ już dawno minęła. Ogień Francuzów słabł powoli, brytyjski ucichł dawno temu i wreszcie, po

ostatnich oddanych na ślepo strzałach, zapadła nocna cisza. Ludzie zapadali w sen tam, gdzie usiedli lub się położyli. Stephen ujął Clonferta pod ramię, poprowadził go do znajdującej się poniżej linii wodnej koi zabitego ochmistrza i pokazał mu, jak ułożyć głowę, by nie urazić ran, po czym powrócił do swych pacjentów. Było ich ponad stu pięćdziesięciu — już dwudziestu siedmiu z nich umarło pod pokładem, a Stephen oceniał, że wyżyje tylko około stu. Nikt nie wiedział, ilu marynarzy zginęło na pokładzie lub wypadło za burtę — szacował ich liczbę na około siedemdziesięciu. Obudził pana Fentona, śpiącego z głową na ramionach, opartego o kufer zastępujący stół operacyjny i razem zaczęli doglądać opatrunków.

Gdy wstało słońce, obaj wciąż byli zajęci przy rannych. Pomimo ponawianych sygnałów „Bellone” na nowo otworzyła ogień. Pod pokład trafił artylerzysta z tryskającą krwią raną przedramienia, zadaną przez odłamek drewna. Kiedy Stephen wiązał arterię i stosował zaciski, artylerzysta opowiedział, iż bandera „Nereide” wciąż powiewała na wietrze — nie mogli jej w żaden sposób ściągnąć. Podobno została przybita do masztu, ale artylerzysta nie umiał na ten temat nic powiedzieć, a mogącego znać prawdę bosmana nie było już wśród żywych.

— I nie został nawet strzęp liny, po którym można by się po nią wspiąć! — mówił artylerzysta. — Jego lordowska mość nakazał cieśli ściąć stermaszt. Dziękuję, wspaniale pan mnie opatrzył. Jestem panu bardzo wdzięczny. Aha, panie doktorze — dodał, starając się zmusić swój dudniący głos do szeptu — jeśli nie ma pan ochoty na francuskie więzienie, to kilku z nas ma zamiar spuścić kuter i uciec na „Siriusa”.

Stephen pokiwał głową, przyjrzał się najciężej rannym i wyszedłszy na pokład, ruszył przez rumowisko w kierunku kajuty kapitańskiej. Clonferta tam jednak nie było — znalazł go dopiero na pokładzie rufowym, siedzącego na przewróconym pojemniku na lont wolnotłący i obserwującego cieśli rąbiących maszt. Naraz stermaszt przewrócił się, pociągając za sobą banderę, i ogień „Bellone”

ustał.

— I wszystkiego odpowiednio dopilnowałem — rzekł Clonfert, a jego głos był bardzo niewyraźny z powodu poszarpanej, obandażowanej twarzy.

Stephen przyjrzał się najgroźniejszej ranie. Clonfert wciąż był przytomny, lecz jego kontakt z rzeczywistością był już słaby.

— Chciałbym udać się na „Siriusa”, milordzie — powiedział. — Ta ocalała szalupa jest gotowa do odpłynięcia i chciałbym, by wydał mi pan odpowiedni rozkaz.

— Proszę tak uczynić, doktorze Maturin — odrzekł Clonfert. — Życzę panu powodzenia. I jeszcze raz dziękuję.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Stephen wziął niektóre dokumenty z kajuty kapitańskiej, zniszczył pozostałe i udał się do łodzi. Nie oczekiwała go długa wspinaczka, gdyż „Nereide” osiadła już na dnie morskim.

Uprzejme powitanie, jakie przygotował Pym na pokładzie siedzącego na mieliźnie „Siriusa”, w niczym nie poprawiło opinii Stephena na temat jego zdolności przywódczych lub umiejętności logicznego myślenia. Załozce „Iphigenii” w końcu udało się przeciągnąć okręt na cumach i wydostać się spoza ławicy, która oddzielała okręt od „Minerve”, i dowódca fregaty poprosił o zezwolenie na ponowne wpłynięcie na kotwiczowisko i zaatakowanie unieruchomionych francuskich okrętów. Chciał przejąć nadliczbowych członków załogi z „Siriusa” i „Magicienne” i nie tylko zająć wrogie fregaty, ale i ocalić „Nereide”. Pym potrzebował pomocy „Iphigenii” przy ściąganiu własnego okrętu z płyčizny, zatem nie zgodził się i wydał kategoryczny rozkaz podejścia do „Siriusa”, który musiał zresztą nadać dwukrotnie. Z chwilą wycofania się „Iphigenii” ogień Francuzów skoncentrował się na „Magicienne” nadal tkwiącej na rafie. Fregata miała uszkodzony kadłub, przez który do wnętrza przedostało się już dziewięć stóp wody, a co więcej, sprawnych miała tylko kilka dział. Przez cały ten krwawy, przerażający dzień francuskie kule spadały na uwięzioną fregatę i na jej uwijającą się jak w ukropie, wyczerpaną załogę, usiłującą ściągnąć okręt z mieliżny na kilku ocalałych łodziach.

Ocalenie „Magicienne” okazało się więc niemożliwością, a nawet gdyby akcja się powiodła, uszkodzona fregata nie byłaby w stanie unosić się na wodzie. Na rozkaz Pyma załoga przeniosła się na pokład „Iphigenii”, a po zachodzie słońca fregata stanęła w ogniu. Około północy „Magicienne” eksplodowała widowiskowo, lecz widok ten nappełnił serca wszystkich wielkim żalem.

Następnego dnia Francuzi zainstalowali na brzegu nową baterię, znacznie bliżej okrętów brytyjskich, która wraz z francuskimi fregatami otworzyła ogień w kierunku „Iphigenii” i „Siriusa” — ich załogi wciąż wycężyły siły, by ściągnąć okręt Pyma na wodę. Nie kończące się wysiłki poszły jednak na marne. Dowódca „Iphigenii”, który podobnie jak Stephen i wielu innych bardziej doświadczonych obserwatorów był przekonany, że jego plan ataku zakończyłby się wielkim zwycięstwem nad Francuzami, z trudem zmuszał się, by mówić uprzejmym tonem do człowieka, który ów plan przekreślił. Obaj kapitanowie starli się kilkakrotnie, po czym Pym uznał wreszcie, że „Siriusa” nie da się odratować. Załoga na szalupach przeniosła się na pokład „Iphigenii” i kolejna fregata stanęła w ogniu. Pym zrzekł się tym samym dowództwa, co jednak nastąpiło o dwadzieścia cztery godziny za późno i samotna „Iphigenia” ruszyła przed siebie na kotwicy zawoźnej.

Załogi szalup cierpliwie wywoziły kotwice aż do końca liny, wyrzucały je do wody, po czym praca kabestanu podciągała okręt aż do miejsca ich wypuszczenia. Nie było innego sposobu poruszania się — wiatr bowiem wciąż wiał w stronę brzegu, wieczorem zaś, gdy zrywała się bryza od lądu, dowódca wolał nie ryzykować żeglugi przez ciemne wody kanału. Bryza lądowa cichła zaraz o wschodzie słońca, tak więc kotwica zawoźna była jedyną szansą na ruszenie się z miejsca. Godziny mijały, a łodzie fregaty wywoziły potężne, ciężkie kotwice, wlekąc za sobą mokre, dziewięciocalowe cumy i jeśli kotwice chwyciły dna w danym miejscu, nie zaklinowawszy się przy tym, fregata podpełzała trochę do przodu. Była to niewdzięczna, wyczerpująca praca, która spadła na barki przygnębionych załóg w niemiłosiernie palącym słońcu. Ze względu na zakręty fregata rzadko pokonywała więcej niż pięćdziesiąt jardów naraz, a kotwice często nie zaczepiały się o dno i kabestan unosił je do kotbelki.

Czasami też blokowały się o podwodne przeszkody, a liny plątały się bądź zrywały. Tymczasem francuskie okręty w Port South-East ściągnięto na wodę, a przy Ile de la Passe zauważono bryg, najprawdopodobniej przeprowadzający zwiad dla dywizjonu komodora Hamelina z Port-Louis.

„Iphigenia” nie mogła w żaden sposób temu zaradzić i wolno, skokami po pięćdziesiąt jardów pełzła przez lagunę, robiąc długie przerwy dla odzyskania zaklinowanych kotwic. Minęły dwa pełne dni, nim

zbliżyła się na trzy czwarte mili do fortu, tam też rzuciła na noc kotwicę. Następnego dnia, kiedy okazało się, że „Bellone” i „Minerve” skorzystały z lądowej bryzy, by dotrzeć do laguny dobrze sobie znanymi kanałami i tam też zakotwiczyć, „Iphigenia” znów ruszyła przed siebie. Około ósmej rano

fregata znajdowała się już w odległości tysiąca mil od fortu, rozkoszując się możliwością żeglugi na pełnym morzu z postawionymi żaglami, lecz wtedy zauważono trzy okręty dołączające do

francuskiego brygu po drugiej stronie rafy. Były to „Venus”, „Manche” i „Astree”, które wymieniły sygnały z „Bellone” i „Minerve”. Wiatr, wciąż wiejący od dziobu „Iphigenii”, pchał je prosto na Ile de la Passe, aż cała czwórka stanęła w dryfie poza zasięgiem dział fortu.

Kapitan „Iphigenii” natychmiast wysłał żołnierzy i marynarzy, by wzmocnić obsadę fortu, natomiast pozostała część załogi zabrała się do przygotowywania okrętu do boju. Na fregacie pozostało jednak niewiele amunicji — już przed końcem bitwy o Port South-East wysłano łódź do „Siriusa” po zapasy,

a od tego czasu wystrzelono tyle prochu, że nawet pół godziny starcia całkowicie opróżniłoby jej magazynek amunicji. Uprzątnięcie pokładu było zatem aktem w zasadzie symbolicznym i — jak

kapitan okrętu szepnął Stephenowi na boku — przeprowadzono je tylko po to, by Francuzi wiedzieli, że fregata nie podda się od razu. Chciał pokazać, iż „Iphigenia” wciąż ma ostre zęby i jeśli nie otrzyma honorowych warunków kapitulacji, będzie umiała ich użyć.

— W takiej sytuacji — powiedział Stephen — muszę poprosić pana o łódź żaglową, nim „Venus” i towarzyszące mu okręty zablokują wejście do kanału.

— Udaje się pan zatem na La Reunion? Tak, oczywiście. Otrzyma pan łódź i mojego osobistego sternika, starego wielorybnika. Dodam panu jeszcze młodego Craddocka jako nawigatora. Za nic w

świecie jednak nie chciałbym musieć przekazać wieści, które pan wiecie, o nie!

Wydał rozkazy odnośnie do przygotowania łodzi i zaopatrzenia jej w prowiant, przybory medyczne, mapy i wodę, po czym wrócił do Stephena.

— Będę panu niezwykle zobowiązany, doktorze Maturin, jeśli zechce zabrać pan list do mojej żony.

Wątpię bowiem, czy ujrzę ją przed końcem tej wojny.

Łódź ruszyła przez zdradziecki kanał pod osłoną ciemności, mimo największej ostrożności dwukrotnie

zahaczając o mieliznę. Po wydostaniu się poza rafę postawiono żagiel lugrowy i łódź odbiła na południowy zachód. Zapasy na niej starczyłyby na dziesięciodniowy rejs, lecz na miejsce dotarły niemal nietknięte, nawet mimo tego, że dowódca „Iphigenii” skierował na łódź wielu wygłodniałych młodych dżentelmenów i chłopców pokładowych, nie chcąc skazywać ich na długie lata we francuskim więzieniu. Po spokojnej podróży łódź dobiła do burty „Boadicei”, stojącej na jednej kotwicy przy drodze do St Paul w pobliżu „Windham” i transportowca „Bombay”. Stephen z trudem wspiął się po trapie na pokład fregaty.

— Stephen, jesteś! — zawołał Jack, podrywając się znad sterty dokumentów na powitanie doktora, wchodzącego do kajuty. — Tak się cieszę, że cię widzę! Jeszcze kilka godzin i pewnie byłbym w drodze na Flat Island z Keatingiem i jego ludźmi... Stephen, co się stało?

— Powiem ci, co się stało, mój drogi — powiedział Stephen, lecz najpierw usiadł i milczał przez chwilę. — Atak na Port South-East nie powiódł się. „Sirius” i „Magicienne” spłonęły, a „Nereide” wpadła w ręce nieprzyjaciela. Do tego czasu z pewnością to samo się stało z „Iphigenią” i fortem na Ile de la Passe.

— Cóż — zamyślił się Jack. — „Minerve”, „Bellone”, „Astree”, „Venus” oraz „Manche” i dodajmy jeszcze do tego „Iphigenię” i „Nereide”. Siedem do jednego. Bywało jednak, że walczyliśmy przeciw przeważającym siłom.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Załoga, do rzucenia cum! — rozkazał Jack. Na pokładzie zaćwierkały gwizdki bosmańskie i

marynarze rzucili się ku stanowiskom. Piszczalka rozpoczęła swą wysoką, przenikliwą melodię.

— Do stawienia żagli! — zawołali pomocnicy bosmana. — Załoga, do stawienia żagli!

Wrzawa związana z wyjściem okrętu na morze nie była dla Stephena niczym niezwykłym. Przez chwilę stał przy relingu i osłaniając oczy dłonią, przyglądał się statkowi, stojącemu nieopodal „Boadicei”.

— Przysięgłbym, że już raz widziałem ten statek — powiedział, odwróciwszy się w stronę Jacka.

— Nie raz, a pewnie ze sto razy! To znów „Windham”, ten statek Kompanii. Tym razem płynął do domu, ale Francuzi zatrzymali go w Kanale Mozambickim. Kiedy zaś z francuską załogą statek próbował się wymknąć z Port South-East, umiejętnie odbił go „Sirius”. Pym nie mówił ci o tym?

— Niewiele rozmawialiśmy. Kapitan Pym i ja, znaczy się.

— Cóż, nie dziwię się. Tak czy owak Pullings przejął go potem na swoim niewielkim szkunerze, kiedy ten przepływał w zasięgu dział Riviere Noire. Tom Pullings to dobry żeglarz i dzielny oficer...

— Załoga na rejach, sir! — zawołał bosman.

— Żagle staw! — odkrzyknął Jack równie automatycznie jak zebrani w kościele odpowiadali na modlitwę. — ...Więc ruszył wraz z „Windham” pod pełnymi żaglami prosto do mnie. Tak dotarły do mnie pierwsze wieści o wydarzeniach w Port South-East. Opuszczać! — krzyknął w stronę marynarzy

na rejach.

Marsle wypełniły się wiatrem, a dziób fregaty skierował się na północny wschód i znieruchomiał na kursie. W miarę jak jeden po drugim wybierano szoty żagli głównych, sztaksli i bramsli, pokład fregaty stawał się coraz bardziej stromy, a woda coraz szybciej omywała jej burtę. „Boadicea” ominęła groźną rafę przy Saint-Denis, zmieniła kurs o dwa rumby na wschód i postawiwszy latacz, ruszyła

prosto na Ile de la Passe. Wachty mijały, a fregata wciąż mknęła naprzód z prędkością dziesięciu węzłów, pozostawiając za sobą równy, lśniący w ciemnościach zieloną fosforescencją kilwater.

Liczyła się teraz każda minuta. Podróż Stephena zabrała bardzo niewiele czasu i wciąż istniała

szansa,

że fort się nie poddał, a „Iphigenia” stała wśród raf pod osłoną jego dział. Strata choćby kwadransa mogła mieć znaczenie i choć płótno żaglowe i zapasowe drzewce były teraz na wagę złota, „Boadicea”

gnała przez ocean niczym w pościgu za hiszpańskim galeonem, a może nawet jeszcze szybciej. Zapal Jacka i jego załogi był tak gorliwy, iż dotarli do wyspy przed nastaniem dnia.

Gdy oba szczyty góry Bamboo zrównały się w linii, a fregata minęła przylądek Pointe du Diable, Jack

nakazał zmniejszyć powierzchnię żagli i wspiał się z nocną lunetą na mars fokmasztu. Z tej pozycji jął prowadzić sunący wolno na strzępach lądowej bryzy okręt ku Ile de la Passe. Jego oczy szybko przyzwyczały się do ciemności, a przy świetle gwiazd i księżyca zdołał rozróżnić wiele szczegółów przy brzegu i na wodzie. Kiedy wstał świt, nie był więc zdziwiony widokiem „Manche” i „Venus”, stojących na zawietrznej dwie mile od rafy, „Iphigenii” w centrum rafy, fregat „Bellone”, „Minerve”, „Nereide” i statku „Ceylon” kotwiczących dalej, przy Port South-East, oraz zwęglonych wraków „Siriusa” i „Magicienne” na wodach laguny. Nie było wśród nich „Astree”. Przeraził go jednakże dopiero widok piątego statku, stojącego za rufą zniszczonej fregaty „Nereide”. Jack opuścił lunetę i nastawiwszy ostrość, odczytał jego nazwę — „Ranger”, z Bombaju. Był to jedynie transportowiec, lecz dla resztek jego dywizjonu miał on pełnić funkcję statku-skarbca. W jego ładowniach znajdowały

się bowiem zapasowe reje i stengi oraz około trzystu ton innych, nieocenionych wprost zapasów.

Oczekiwano jego przybycia w St Paul od wielu dni. „Otter” zupełnie nie nadawał się już do

wypłynięcia na morze i leżał teraz wyciągnięty na brzeg w oczekiwaniu na dostawę z „Rangera”. Na

„Staunchu” również brakowało niemalże wszystkiego, a gdyby na samej „Boadicei” złamała się reja, następną Jack musiałby sobie wyczarować. A teraz „Ranger” zaopatrywał wroga — „Bellone”, która

przecież musiała straszliwie ucierpieć podczas długiej bitwy, miała już założone bramreje. Twarz

Jacka stężała.

Ani nad fortem, ani nad „Iphigenią” nie powiewała żadna flaga. Czyżby się poddali? Jeśli nie, łodzie

Z

„Boadicei" mogłyby przeciągnąć „Iphigenię" przez kanał pod osłoną dział fregaty i fortu. Choć „Iphigenia" była w nie najlepszym stanie, mógł też zaryzykować wspólny atak na „Manche" i „Venus", gdyż, choć brakowało mu zapasowego wyposażenia, ludzi i amunicji miał dużo. Poza tym nie była to pora na tchórzliwe, defensywne posunięcia. Jack zszedł zatem na pokład i wydał rozkazy wywieszenia bandery, prywatnego sygnału fregaty oraz zestawu chorągiewek oznajmiającego jego zamiary. „Boadicea" ruszyła w stronę fortu z chwilą wschodu słońca — sygnały łopotały na wietrze, a załoga z jednej strony bacznie śledziła ruchy francuskich fregat, z drugiej zaś nie spuszczała oka z fortu i z „Iphigenii". Byli coraz bliżej, a mimo to ani nad fortem, ani nad fregatą nie pojawiały się żadne bandery czy flagi, choć słońce wisiało już na wysokość dłoni nad horyzontem. Jeszcze kilka minut i „Boadicea" znajdzie się w maksymalnym zasięgu ich dział.

— Proszę wystrzelić z działa na nawietrzną, panie Seymour — polecił Jack. — Ustawić fokmarsel w łopot.

W odpowiedzi na sygnał fregaty na niezbyt odległym maszcie fortu pojawiła się flaga brytyjska.

„Boadicea" wciąż nie zmieniała kursu. Zwinięte chorągiewki biegały przez chwilę w górę i w dół flaglinki, chytrze udając poplątane, po czym nagle rozpostarły się, układając w sygnał rozpoznawczy.

— Załoga do zwrotu! — krzyknął Jack. Sygnał był nieważny od dziesięciu dni.

Nie było ani jednego członka załogi, który nie byłby na to przygotowany, i okręt przeszedł na lewy hals lekko niczym przemytniczy szkuner. Zwrócone ku morzu działa fortu wypaliły i białe pióropusze piany wystrzeliły spośród fal jakieś dwieście jardów przed dziobem. Dobiegł ich szydery śmiech Francuzów, a potem długi sznur łodzi z jeńcami ruszył z wyspy w stronę „Manche".

Fregata przyjęła jeńców na pokład i ruszyła w ślad za „Venus", która już halsowała z luźnymi żaglami, by przejść na nawietrzną „Boadicei". Wkrótce obie fregaty postawiły bramsle — na ich pokładach

widać było trwające przygotowania do boju, płynęły zaś, jak gdyby w istocie miały zamiar

zaatakować okręt Jacka. On sam nie odrywał lunety od oka, intensywnie przyglądając się obu okrętom

i próbując ocenić ich możliwości żeglugowe, doświadczenie ich kapitanów oraz wypatrując podstępów, które mogłyby ukryć ich prawdziwą prędkość. Na razie trzymał okręt tuż poza zasięgiem francuskich dział. Do czasu zmiany warty wiedział już, że „Boadicea” żegluje szybciej od Francuzów,

a z wrogich okrętów większą prędkość miała „Venus” i gdyby tylko udało się je rozdzielić... Kiedy jednak jego umysł analizował możliwe konsekwencje rozdzielenia wrogich okrętów: od nocnej bitwy aż po atak na szalupach na rafie za fortem, Francuzi zaprzestali pościgu.

„Boadicea” wykonała zwrot i ruszyła za wrogimi okrętami, stawiając bombramsle w próbie zblżenia

się do nich na odległość maksymalnego zasięgu mosiężnego działa pościgowego na dziobie i wystrzelenia w kierunku „Venus”, na której powiewał proporczyk komodorski. Fregata brytyjska otworzyła w końcu ogień, na który „Venus” i „Manche” odpowiedziały z dział w mesie midszypmenów. Były one umieszczone tak nisko, że nie mogły wyrządzić „Boadicei” żadnej krzywdy. Trzy okręty ścigały się zatem, ostrzeliwując bez wyrządzania jakiegokolwiek szkody, aż szczęśliwa kula z „Boadicei”, odbiwszy się trzykrotnie od fal, uderzyła w pokład „Venus”.

Midszypmen czuwający na salingu foka zameldował o zamieszaniu na pokładzie rufowym Francuza.

Obie fregaty natychmiast zawróciły i „Boadicea” znów skierowała się na południowy zachód.

Gonitwa trwała przez cały dzień i w jej trakcie Jack próbował wszelkich sztuczek i podstępów, by nakłonić szybciej żeglującą „Venus” do porzucenia „Manche”, lecz wszystkie spaliły na panewce.

Hamelin nie był zwolennikiem staczania romantycznych pojedynków jeden na jeden i zdecydowanie preferował atak w przeważającej sile. Okręty francuskie trzymały się w odległości pół mili od siebie,

uparcie ścigając „Boadiceę” przez całą przestrzeń morską między Mauritiusem i La Reunion.

— Przynajmniej dowiedzieliśmy się wiele o naszym wrogu — powiedział Jack do Seymoura i

pozostałych oficerów na pokładzie rufowym, kiedy w odległości dwóch mil na południowym zachodzie pokazały się światła Saint-Denis i nadzieja na rozdzielenie francuskich fregat rozwiała się ostatecznie.

— To prawda, sir — odparł Seymour. — W każdej chwili mogliśmy postawić bramsle i wyprzedzić ich. Bez wątplenia mają porośnięte dna.

— No i załoga „Manche” bardzo wolno wybiera szoty sztaksli — powiedział Trollope. — Dwukrotnie to zauważyłem.

— I z pewnością, sir — wtrącił Johnson — nie znać po nich tego, co pan by nazwał „inicjatywą”.

— Niedojdy — powiedział ktoś niewidoczny w ciemnościach.

W kajucie kapitańskiej Stephen i Jack spożywali spóźnioną kolację.

— Oto sporządzona przez Fellowesa lista naszych potrzeb — odezwał się Jack. — Czy mógłbyś pójść do pana Farquhara, powiedzieć mu, jak sprawy stoją, i poprosić, by postarał się zdobyć wszystko, co tylko możliwe, i posłać to do portu St Paul? Nie wymiguj się, sam mam tysiące spraw na

głowie. Farquhar zrozumie, o co chodzi.

— Wzywał mnie pan? — Do kajuty wszedł Nakrapiany Dick, nim Stephen zdążył odpowiedzieć.

— Tak, panie Richardson. Weźmie pan awizo „Pearl” i wraz z czterema doświadczonymi marynarzami popłynie do Port-Louis i wróci tu ze „Staunchem”. Pan Peter przygotował już rozkazy dla dowódcy brygu.

— Spora odpowiedzialność jak na takiego pryszczatego chłopca — zauważył Stephen, zajadając grzankę z topionym serem.

— Otóż to — odparł Jack, który sam przyprowadził przyz z Finisterre do Plymouth, zanim jeszcze przeszedł mutację.

— Musimy polegać na naszych szczupłych rezerwach zarówno ludzi, jak i okrętów. Wiesz, gdybyśmy dziś mieli ze sobą „Ottera” lub nawet „Stauncha”, moglibyśmy śmiało zaatakować niezgrabną

„Manche”.

— Naprawdę?

— Oczywiście, na Boga! Mam nadzieję, że jutro się to uda. Posłałem Seymoura konno do St Paul, by polecił Tomkinsonowi pozostawić „Ottera”, załadować swych ludzi na „Windham” i spotkać się ze mną na redzie St Paul. Jeśli ten wiatr się utrzyma, jestem pewien, że Hamelin będzie krążył bliżej lub dalej po morzu.

W świetle wstającego dnia okazało się, że Hamelin był raczej dalej niż bliżej. Gdy „Boadicea” przybyła do St Paul, po „Venus” i „Manche” pozostały jedynie plamki marsli na zachodnim niebie. Kiedy Jack rozwiał wszelkie swe wątpliwości co do tożsamości obu okrętów, skierował lunetę na wciąż odległe statki na redzie St Paul.

— A dowódca „Windham” co sobie, do cholery, myśli? — krzyknął. — Nawet jeszcze rei nie tknęli! Nie ma czasu! Panie Collins, proszę wywiesić sygnał: „»Windham« natychmiast wyjść z portu” oraz wystrzelić z działa sygnałowego. Proszę powtarzać wystrzał co minutę, póki nie podniesie kotwicy. Niech szlag trafi... — Opanował się w porę, splótł z tyłu ręce i ruszył na spacer po pokładzie rufowym.

„Ma bardziej chmurne oblicze, niż kiedykolwiek zdarzyło mi się oglądać” — pomyślał Stephen stojący przy relingu rufowym. „Aż do chwili obecnej znosił wieści o porażce z wielkodusznością znacznie większą, niż bym tego oczekiwał. Nie powiedział ani słowa o oplakanej w skutkach brawurze Clonferta, wyraził jedynie współczucie z powodu jego ran i nadzieję na dobrą opiekę we francuskim szpitalu. Nie usłyszałem też ani słowa o nieuleczalnej głupocie Pyma. Wielkoduszność ma jednak swoje granice — i być może właśnie oglądam moment załamania”.

— Proszę znów wystrzelić — polecił Jack, zatrzymując się nagle i spoglądając z wściekłością na odległe okręty Hamelina.

— Sir — odezwał się nieśmiało Trollope. — Jakiś transportowiec okrążył cypel. To chyba „Emma”.

Tak, sir, to „Emma”.

W istocie była to „Emma”. Transportowiec wywiesił swój sygnał, ale i tak widać było z daleka, iż jego dowódcy pilnie zależy na rozmowie z komodorem. Niezgrabny statek postawił bowiem wiele żagli i raz ustawiając na pracę wstecz, raz znów na wiatr, parł z dzikim pośpiechem naprzód.

— Panie Collins, proszę o kolejny sygnał — odezwał się Jack. — „Kapitan proszony na pokład okrętu flagowego”.

Rufowa łódź „Emmy” opadła na wodę, podpłynęła do burty „Boadicei” i zacumowała. Po trapie na pokład wspiął się Pullings.

— O co chodzi, panie Pullings? — spytał Jack

— Proszę o wybaczenie, sir — odparł blady z nadmiaru emocji Pullings. — Mam na pokładzie działa

„Windham”. Kapitan Tomkinson odmówił przyjęcia dowództwa.

— Proszę do mojej kajuty. Wy tłumaczy mi pan to na osobności. Panie Seymour, proszę wejść na kurs pomoc północny-zachód.

Z nerwowej, zagmatwanej relacji Pullingsa Jack wywnioskował, iż Tomkinson, zapoznawszy się ze stanem statku Kompanii, odmówił wypłynięcia na morze, dopóki statek nie zostanie poddany wszystkim koniecznym naprawom, po czym powrócił na swego unieruchomionego „Ottera”. Pullings był tego świadkiem i zaczął działać. Chory i zmuszony do pozostania na lądzie dowódca będącego w znacznie lepszym stanie transportowca „Emma” pozwolił mu zabrać jego statek, a Pullings, zaokrętowawszy nań swoich ludzi oraz grupę ochotników, niehumanitarnym wysiłkiem przeniósł na nowy statek działa z „Windham” oraz własne karonady. Pomógł mu w tym pułkownik Keating, który również dał mu swych artylerzystów i żołnierzy piechoty.

— Ten Tomkinson! — wrzasnął Stephen, który przed Pullingsem zawsze mówił otwarcie. — Czyż nie należałoby powiesić, wychłostać lub przynajmniej zdegradować tego nieszczęsnego łajdaka?

— Nie — powiedział Jack. — To żaloszny człek, niech Bóg ma go w swej opiece, ale miał do tego

prawo. W takich okolicznościach kapitan ma prawo odmówić dowództwa. Thomas — uściśnął rękę Pullingsa — pierwszorzędny z ciebie oficer. Jestem ci wdzięczny. Jeśli tylko dasz radę wyciągnąć z „Emmy” osiem węzłów, to raz-dwa weźmiemy się za Francuzów!

Fregata i transportowiec skierowały się razem na północ od wyspy, gdzie wschodnia bryza miała im zapewnić lepszą pozycję względem wiatru w przeciągu kilku godzin. Na długo przed tym okazało się jednak, że „Emma” nie wytrzyma takiego tempa. Nawet z wiatrem wiejącym z baksztagu przy wszystkich postawionych żaglach bocznych wraz z *kites* — dziwacznymi żaglami bez nazwy — szczytem jej możliwości było sześć lub maksymalnie siedem węzłów. Kiedy zaś zmienili kurs względem wiatru o trzy rumby, mimo wykorzystania całego kunsztu żeglarskiego i umiejętności doświadczonej załogi, sześć węzłów stało się granicą nie do pokonania. Na „Boadicei” zwinięto bramsle, by nie stracić „Emmy” z oczu, lecz okręty Hamelina, z których zniknięciem cała wyprawa nie miałaby przecież sensu, utrzymywały swe tempo, nawet nie próbując zwijać żagli ani tym bardziej stanąć w dryf i czekać na Brytyjczyków.

Pościg sprawił jednakże, że okręty Hamelina znalazły się tak daleko na zachodzie, iż w tej chwili wyglądało na to, że udadzą się raczej do Port-Louis aniżeli do Port South-East. To także było jakieś osiągnięcie, zwłaszcza że Jack mógłby znów przyjrzeć się Ile de la Passe, a „Emma” wykonałaby zadanie niezwyklej wagi, które w przeciwnym razie przypadłoby „Otterowi”.

— Fokmarsel na pracę wstecz, panie Johnson — rozkazał Jack, nim gwizdki bosmańskie zwołały załogę na obiad. Wkrótce idący z maksymalną prędkością transportowiec zrównał się z fregatą i Jack okrzyknął Pullingsa. Nakazał mu udać się na Rodriguez, zaznajomić tamtejszych wojskowych z sytuacją, a potem ruszyć w rejon między wyspą a pięćdziesiątym siódmym stopniem długości wschodniej, by ostrzegać każdy napotkany statek Kompanii lub okręt wojenny.

— Panie Pullings, jeszcze jedno! — dodał mocnym głosem. — Nie będę miał nic przeciwko, jeśli zajmie pan którąś z francuskich fregat, a nawet dwie. Dla mnie pozostanie ich wystarczająco dużo!

Dowcip był kiepski, lecz ton, w jakim został wypowiedziany, czy raczej wykrzyczany, sprawił, że ściągnięta niepokojem, zmęczona twarz Pullingsa rozjaśniła się w uśmiechu.

„Boadicea” podeszła zatem do wyspy Ile de la Passe, gdzie powitano ją rykiem ciężkich dział. Jack przyjrzał się również Port South-East, ukrytemu za kłębiącym się dymem. „Bellone” z nowym takielunkiem gotowa była do wyjścia na morze, a przy „Minerve”, która miała już założone zapasowe stengi, i „Nereide”, na której instalowano nowy grotmaszt i stermaszt, wciąż gorączkowo uwijali się cieśle i ludzie uszczelniający pokłady. „Iphigenia” opuściła już port. Dla „Boadicei” nie było tu nic do roboty, tak więc fregata zawróciła w kierunku La Reunion.

— Panie Seymour — odezwał się Jack owym osobliwie odległym, bezosobowym tonem, który pobrzmiwał w jego głowie od czasu wieści o porażce — kiedy ostatni raz przeprowadzaliśmy ćwiczenia artyleryjskie?

— Kilka dni temu, sir. Mieliśmy niezwykle długą przerwę — odpowiedział Seymour, gorączkowo szukając w pamięci dokładnej daty. Jack nie był człowiekiem srogim, nie miał też w zwyczaju szukać dziury w całym, ale jego nowe, obce i cokolwiek nieludzkie oblicze napawało cały pokład rufowy nabożnym lękiem. — Myślę, że ostatnie ćwiczenia były w sobotę.

— Zatem urządzimy półgodzinne ćwiczenie w przetaczaniu dział. Sądzę, że możemy również przeznaczyć po dwa... Nie, trzy ładunki na działo. Urządzimy strzelanie do celu.

Jeśli Jack nie mylił się co do Hamelina, francuski komodor z pewnością wysłał już „Astree” i jedną lub dwie korwety na wody między Mauritiusem i La Reunion. Odgłos salw armatnich mógł zatem z powrotem zwabić wrogie okręty, tak więc przez całe popołudnie niebo odbijało echo salw brytyjskiej

fregaty. Rozebrana do pasa, lśniącą potem obsługa stanowisk artyleryjskich uwijała się przy działach pilniej niż dotychczas, ponieważ marynarze również wyczuli zmianę nastroju dowódcy. Jack obserwował ich wysiłki z satysfakcją — miał przed sobą niezwykle zdrową załogę, dobrze karmioną świeżym mięsem i warzywami, mającą dobre samopoczucie i o wysokim poziomie wyszkolenia. Byli

nieźle wyszkoleni — celne salwy burtowe odpalali teraz o całe osiem sekund szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Właściwości żeglugowe fregaty nigdy nie należały do najlepszych we flocie i nigdy najlepszymi być nie miały, lecz okręt nie musiał obawiać się jakiegokolwiek jednostki francuskiej na tych wodach. Gdyby w jej towarzystwie płynął jeszcze dobrze dowodzony słup, a Jackowi udałoby się doprowadzić do nocnego starcia, gdzie liczy się przede wszystkim wyszkolenie artyleryjskie i wysoka dyscyplina, „Boadicea” mogłaby rzucić wyzwanie nawet dwóm francuskim fregatom naraz. Wkrótce jednak działa zamocowano na nowo, a ich lufy ostygły, podczas gdy morze, rozległy dysk czystego błękitu, przechodzącego w ciemny szafir wraz z zapadającymi ciemnościami, było równie puste jak poprzednio. Nie zapowiadało się na bój tej nocy. Następny dzień również miał upłynąć bez walki. Fregata przebyła dwadzieścia mil i znów rzuciła kotwicę w St Paul. Na morzu co prawda nic się nie działo, lecz ląd aż tętnił aktywnością. Jack z werwą podjął się zadania doprowadzenia „Windham” i „Ottera” do stanu gotowości. Pracami kierował sam, niemalże całkowicie ignorując kapitana Tomkinsona, obecnie chyba najniezwyklejszego człowieka na La Reunion. Miał przy tym całkowite poparcie gubernatora, co otwierało przed nim dostęp do wszelkich zasobów stoczni St Paul i Saint-Denis. Praca trwała zarówno w dzień, jak i w nocy, przy blasku ognia. Każdy rzemieślnik na wyspie dawał z siebie wszystko, by w jak najkrótszym czasie przemienić szesnastodziałowy słup i starzejący się, straszliwie poturbowany przez wroga i pozbawiony dział statek Kompanii w honorowe fregaty lub przynajmniej przygotować je do wytrzymania ognia wrogiego okrętu aż do czasu, gdy „Boadicea” podpłynie do jego burty i zdobędzie go abordażem.

W niedzielę rano „Otter” znajdował się w ostatniej fazie remontu, kadłub „Windham” wciąż był wyciągnięty na brzeg, a Jack, mający za sobą cztery godziny niezwykle głębokiego snu, jadł późne śniadanie w towarzystwie Stephena, z którym się ostatnio rzadko widywał. Postanowił na całe

dwadzieścia minut wymazać ze swego umysłu wszelkie problemy związane ze stoczną, niestety przypomniał mu o nich Stephen, pytając o znaczenie słowa „bies”.

— Słyszałem ostatnio, jak marynarze mówią: „Trza uśpić biesa”. Czy to jakaś forma prześlągania złych mocy, uosobionych przez nieokiełznane żywioły? Albo jakaś manichejska pozostałość? — zapytał.

— Skądże, „bies” to takie wąskie szpary pomiędzy deskami pokładu a wręgami. Nazywamy je tak, ponieważ dla ludzi zajmujących się uszczelnianiem dostanie się do nich to istne piekło. Pełna wersja to: „Biesa trza uśpić, a smoły ni pół kubła”, a oznacza, że trzeba zrobić coś, co jest cholernie trudne, prawie że niemożliwe. To przerośnia.

— Dość udana przerośnia.

— Gdybyś był człowiekiem słabym duchem, który rzeczy ocenia powierzchownie i przeżywa załamanie, mógłbyś jej użyć, by opisać naszą obecną sytuację — powiedział Jack. — Ale myliłbyś się. Za dzień lub dwa z „Otterem”, „Staunchem” i „Windham”... — Tu przerwał, nadstawił uszu i zawołał: — Killick, kto wchodzi na pokład?

— Tylko jakiś oficer wojsk lądowych, sir!

Rozległ się szcęk broni prezentowanej przez piechotę morską na pokładzie rufowym i do kajuty kapitańskiej *zajrzał* midszypmen z pytaniem, czy komodor zechce przyjąć pułkownika Fräsera. W końcu wszedł sam pułkownik — podróż odbyta konno pod palącym słońcem zrównała kolor jego twarzy z barwą munduru.

— Dzień dobry, pułkowniku — powiedział Jack. — Niech pan usiądzie i napije się kawy.

— Dzień dobry, komodorze. Witam, doktorze, jak się pan miewa?

— Pułkownik Fräser powinien natychmiast zdjąć kurtkę i dostać coś chłodnego do picia — powiedział Stephen. — Sługa uniżony, panie pułkowniku.

— Z przyjemnością spełnię pańskie zalecenia, doktorze, lecz najpierw pragnę przekazać meldunek.

To ustny meldunek, sir, nie było bowiem czasu szukać pióra i atramentu. Pułkownik Keating przesyła

pozdrowienia dla komodora Aubreya i przekazuje, że w Saint-Denis zatrzymał się HMS „Africaine”.

Kapitan Corbett...

— Corbett? Robert Corbett?

— Tak mi się wydaje, sir. Człowiek niewysoki, karnacja raczej ciemna. Wygląda na gniewnego i doskonale utrzymującego dyscyplinę. Kapitan Corbett płynął do Madrasu, lecz dowiedział się o całej sytuacji od załogi jednego z pańskich okrętów, sir, kiedy wpływał na wody przy Rodriguez.

Postanowił wtedy zawrócić na La Reunion. Po drodze miał jakieś niewielkie starcie z wrogim szkunerem przy wybrzeżu Mauritiusa i właśnie wyladowuje swoich rannych. Pułkownik Keating dał mu dwudziestu pięciu ludzi wraz z oficerem na ich miejsce, gdyż tuż za nim płyną dwie francuskie fregaty i jeden bryg. Kapitan Corbett polecił mi przekazać, że na własną odpowiedzialność pozwolił sobie na wywieszenie pańskiego proporczyka celem zmylenia wroga oraz to, że przygotowuje się do akcji i wyruszy na morze w chwili wyladowania ostatnich rannych.

— Pułkowniku, jestem panu niezwykle zobowiązany — powiedział Jack. — Killick, skocz po dzban czegoś chłodnego dla pułkownika Frasera, przynieś jakieś kanapki, kilka mango... Panie Trollope, proszę natychmiast wezwać wszystkich naszych ludzi ze stoczni! — rzucił przez ramię, biegnąc na rufówkę. — Przygotować się do podniesienia kotwicy, kiedy tylko znajdą się na pokładzie! Panie Collins, sygnał do „Ottera” i „Stauncha” — „Natychmiast podnieść kotwicę” oraz „Wróg na północnym wschodzie ku wschodowi”. Proszę zawołać artylerzystę!

Artylerzysta przybiegł szybko, gdyż wieści niosły się lotem błyskawicy.

— Panie Webber, jak stoimy z prochem?

— Po trzydzieści ładunków na działo — padła odpowiedź. — I po dwadzieścia trzy na karonadę.

Uzupełnialiśmy proch całe popołudnie. Czy mógłbym zabrać go trochę więcej, tak by wszystko skończyło się jak należy? — spytał po chwili, ośmielony długoletnią znajomością z kapitanem i emanującą z niego wewnętrzną przemianą.

— Tak, panie Webber — odpowiedział Jack. — Tylko niech pan nie bierze ani grama tego białego.

Proszę wziąć tylko najlepszy czerwony proch gruboziarnisty.

Z „Boadicei”, okrążającej w towarzystwie „Stauncha” i „Ottera” przylądek Pointe des Galets, dostrzeżono obie francuskie fregaty około południa. Okręty żeglowały na pełnym morzu, a po brygu wspomnianym przez Frasera pozostała już jedynie plamka marsli na północnym horyzoncie — bez wątpienia śpieszył, by przekazać Hamelinowi wieści o ostatnich zmianach. Na widok francuskich okrętów na pokładzie rozległ się pomruk radości, który jednak ostudziło przejście fregat wroga na prawy hals. Widać było długie białe linie na falach, co oznaczało, że wiatr, z reguły południowy lub południowo-wschodni na zawietrznej La Reunion, wiał teraz ze wschodu ku północy. Wróg miał zatem przewagę względem wiatru. Ujrzeni także „Africaine”, którego widok podbudował Jacka jeszcze bardziej — była to uzbrojona w trzydzieści sześć osiemnastofuntowych dział fregata, naturalnie francuskiej produkcji, jeden z najlepiej żeglujących okrętów w marynarce, dobry zwłaszcza

w żegludze na wiatr. Z pewnością ów okręt stanowił nagrodę dla Corbetta za przywiezienie do Anglii

meldunków z St Paul.

„Dobrze ją poprowadzi” — pomyślał Jack. „To świetny żeglarz. Miejmy nadzieję, że zdobył serca nowej załogi i już ją nauczył, jak naprowadzać działa na cel”.

Nagrody często wywierają dobry wpływ na ludzi rozczarowanych życiem, a przecież Corbett z pewnością do nich należał.

„Africaine” również płynął prawym halsem, kiedy go zauważono. Od wroga dzieliło go osiem mil na południe. „Boadicea” poprzestała na wymienieniu z „Africaine” numerów rozpoznawczych—Jack nie miał zamiaru nękać Corbetta kolejnymi sygnałami, był on przecież doświadczonym kapitanem i wiedział, co czynić, dał mu zatem wolną rękę na nadrobienie przynajmniej siedmiu z ośmiu mil przewagi Francuzów. To samo dotyczyło „Boadicei” — okręt Jacka miał większą siłę rażenia, lecz nie

był w stanie doścignąć jednostki Corbetta. Na szczęście jednym z francuskich okrętów była ich

własna, stara fregata „Iphigenia”, przechrzczona znowu na „Iphigénie”, która do najszybszych nie należała. Drugą jednostką była „Astree”, której nie znał wcale.

„Wkrótce jednakże będę wiedział o niej wszystko” — pomyślał z uśmiechem, pnąc się na fokmarsz lunetą. Sześć okrętów ustawiło się w rozciągniętym pościgu. Po upływie godziny Jack wiedział już, że

„Astree” miała zdolnego kapitana i że prędkością przewyższała „Iphigénie”, lecz nie „Boadiceę”, nie mówiąc już o okręcie Corbetta, który mógł ją dogonić na samych marszlach. Gdyby wiatr się utrzymał,

okręt Corbetta zrównałby się z nimi przed zachodem słońca, a „Boadicea” — wkrótce po zapadnięciu

ciemności. Gdyby wiatr się utrzymał — to jedno go teraz martwiło. Jeśliby wiatr skręcił bardziej ku wschodowi lub nawet odrobinę ku północnemu wschodowi, jak to się często działo nocą, „Boadicea”

znalazłaby się bezpośrednio na zawietrznej francuskiej eskadry. Nim Anglicy nadrobiliby utracony

dystans, „Astree” i „Iphigenia” zdołałby schronić się w Port-Louis, „Boadicea” bowiem nie żeglowała dobrze blisko do wiatru i choć Jack nigdy by się do tego publicznie nie przyznał, fregata nie mogła

podejść tak blisko do wiatru, jak czyniły to niektóre inne okręty. Mimo usilnych starań nie udawało mu się podejść bliżej nawet o pół rumba.

Długie rozmyślenia Jacka ani nie utrzymałyby południowego kierunku wiatru, ani nie poprawiły

właściwości żeglugowych „Boadicei”. Kapitan zszedł zatem na pokład, obejrzał się na odległe już

slupy „Staunch” i „Otter”, polecił Seymourowi, by go obudził na wypadek zmiany pozycji Francuzów, i zasnął twardo w hamaku zawieszonym w pustej przestrzeni, która kiedyś była ciągiem kabin.

Wiedział, że jego oficerowie doskonale poprowadzą okręt, a on sam musi zachować wypoczęty umysł,

gdyż zapowiadało się na trudne, wymagające błyskawicznych decyzji nocne starcie.

Kiedy ponownie wyszedł na pokład, „Otter” i „Staunch” były ledwie widoczne z topu masztu, a

„Africaine” znajdował się dwie mile przed nimi i wyraźnie doganiał Francuzów. Okrzyknąwszy

bocianie gniazdo po raz drugi, dowiedział się po chwili, że słupy znikły z pola widzenia. Gdy z topu masztu dobiegała go odpowiedź, naraz rozległ się dziwny łoskot. Wiatr zbliżył się zbyt mocno do linii

symetrii statku, co wprawiło żagle boczne w łopot, mimo mocno naciągniętych bulin. Jack rozkazał zatem ich zwinięcie i prędkość fregaty natychmiast spadła. Dystans między „Boadicea” a „Africaine” wciąż ścigającą niewidocznych już w ciemnościach Francuzów zwiększył się do pełnych ośmiu mil. Była to ciepła, choć nieprzyjemna noc. Znienacka uderzające szkwały i wysoko wzbijające się fale krzyżujące spychały „Boadiceę” na północ. Najlepsi sternicy na pokładzie nieustannie czuwali przy kole, a Jack towarzyszył im przy stanowisku nawigatora. Przez krótką chwilę po zapadnięciu ciemności zauważył rakiety i niebieskie światła, wskazujące pozycję „Africaine”, lecz był to ostatni ślad po okręcie Corbetta. Chmury wisiały nisko i fregatę smagały nieustannie ataki silnej ulewy, o jej prawą ćwiartkę dziobową rozbijały się fale, wiatr świstał w takielunku. „Boadicea” parła naprzód, lecz do uszu jej wyczekującej, cichej załogi nie dotarły odgłosy, na które oczekiwali.

Nie wydarzyło się nic aż do siódmej szklanki środkowej wachty, kiedy to wiatr stał się porywisty, po czym naraz się uspokoił. Siedem uderzeń w dzwon okrętowy i towarzysząca mu zmiana wachty były tłem dla serii nagłych rozbłysków na nawietrznej, dobiegł ich też odległy huk dział.

— Boże, spraw, by nie rozpoczął walki z bliskiego dystansu beze mnie — wymamrotał Jack, nakazawszy zmianę kursu w kierunku walki. Ów lęk prześladował go podczas godzin oczekiwania wraz z innymi, równie niespokojnymi uczuciami, lecz stłumił je wszystkie stanowczo. Corbett nie był Clonfertem i dobrze znał możliwości żeglugowe „Boadicei”.

Za każdym uderzeniem w dzwon okrętowy ostrzał stawał się coraz głośniejszy, jednakże proporcjonalnie siła wiatru zmniejszała się, by w końcu osłabnąć do tego stopnia, iż fregata niemal utraciła sterowność. Krótkim chwilom półmroku przed nastaniem świtu towarzyszył ostatni i bardzo krótki, ciepławy deszcz, niknący w nieruchomym powietrzu wraz ze wstającym słońcem. W jednej sekundzie blask słońca zalał całą powierzchnię morza i Jack ujrzał „Africaine” w odległości czterech

mil. Jedna z francuskich fregat stała w zasięgu strzału z pistoletu od jej dziobu, druga od rufy. Wrogie okręty strzelały pełnymi salwami burtowymi, podczas gdy działa „Africaine” odpowiadały im z rzadka. W końcu zapadła cisza. Dzieliły ich cztery mile. W oku lunety Jack wyraźnie widział, jak bandera fregaty łopocze na wietrze, po czym spływa powoli w dół prosto na pokład. Francuzi nie wstrzymywali ognia — przez cały kwadrans ich salwy uderzały w milczący kadłub „Africaine”.
Nigdy

dotychczas opanowanie się nie kosztowało go tak wiele. Widok przyprawił go o taką wściekłość, iż gdyby w tej samej chwili wiatr nie przybrał na sile, pewnie pękłoby mu serce. Najpierw pochwyciły podmuch bombramsle. „Boadicea” delikatnie ruszyła wśród fal i woda zaczęła łagodnie szemrać wzdłuż burt.

— Panie Seymour. — Jack zaczął automatycznie wydawać rozkazy. — Trzeba na nowo podsycić lont wolnotłący!

Fregata ruszyła w stronę okrętów francuskich, które tkwiły przy swym otoczonym przez szalupy przyzie.

— Hej tam, na marsie! — zawołał Jack. — Widać gdzieś „Stauncha” albo „Ottera”?

— Nie, sir! — nadeszła odpowiedź. — Nic na zawietrznej, nic na nawietrznej!

Jack pokiwał głową. Na policzkach czuł, jak wiejący delikatnie z południowego wschodu lub nawet z

południa wiatr przybiera na sile. Z takim wiatrem dopłynąłby wcześniej do celu. „Boadicea” sunęła już na Francuzów, kiedy oczom jej załogi ukazał się widok łamiących się żagli „Africaine”, najpierw fokmasztu, potem stermasztu i na końcu grota. Po „Iphigenii” i „Astree” nie znać było wielu uszkodzeń.

Za wszelką cenę Jack musiał zwalczyć w sobie pokusę zaatakowania Francuzów. Byłoby to karygodnym głupstwem, niemniej czuł przemożną ochotę, by wdrzeć się między oba francuskie okręty, strzelając z obu burt. Zresztą przy takim wietrze mógłby właściwie ulec pokusie — szybkie,

mocne uderzenie, a po nim odwrót, było przecież w obecnej sytuacji nie tyle dopuszczalne, co nawet zalecane.

— Panie Seymour — powiedział Jack. — Mam zamiar zbliżyć się na odległość strzału z muszkietu do okrętu na nawietrznej. Na rozkaz proszę oddać salwę z prawej burty, poczynając od dziobu. Proszę

o celny ogień z przerwami na rozwianie się dymu. Po ostatnim wystrzale wykonamy zwrot przez dziób, po czym odda pan salwę z lewej burty, kiedy znajdziemy się maksymalnie blisko wrogiego okrętu. Panie Buchan, proszę kurs na „Iphigenię”.

„Boadicea” chwyciła wiatr. Brytyjska fregata płynęła już z prędkością trzech węzłów, podczas gdy okręty francuskie ledwo osiągnęły prędkość sterowną. Stojąca za kadłubem „Africaine” „Astree” nie zdążyła jeszcze ruszyć z miejsca, kiedy rozległ się okrzyk Jacka:

— Ognia!

Działa fregaty pluły ogniem w równych odstępach czasu, ignorując nieskładne wystrzały „Iphigenii”, pierwsze dwa niecelne i dopiero trzeci groźny. Powodowani nienawiścią do wroga artylerzyści

„Boadicei” celowali starannie i wzdłuż rufy „Iphigenii” kotłowały się szczątki relingu i strzepy hamaków. Kula z działa numer dwanaście trafiła bardzo blisko steru wrogiej fregaty, co wywołało wrzaski radości.

— Ster lewo na burt! — rozległ się okrzyk i dziób „Boadicei” podszedł do linii wiatru. W chwili kiedy jej żagle znajdowały się w łopocie, pojawiła się „Astree”, wyminąwszy „Iphigenię” i „Africaine”. Ogień Francuza okazał się niezwykle silny — w mig strzaskana została rufowa szalupa na żurawikach, a okrętem zakołysało tak potężnie, iż Jackowi przemknęło przez myśl, że fregata nie wykona zwrotu i cofnie się na poprzedni kurs.

— Szoty na sztywno z przodu! — krzyknął, po czym poczuł, jak zmienia się równowaga, i z bezgraniczną ulgą zawołał: — Ciągnąć grot!

Dziób okrętu przeszedł przez linię wiatru i jego żagle wypełniły się wiatrem. Fregata wciąż nie utraciła prędkości i obracała się aż do chwili, kiedy działa lewej burty wycelowały prosto w

„Iphigenię”. Salwa burtowa rozerwała się na jej burcie z ogłuszającym hukiem i „Boadicea” wypłynęła z chmury własnego dymu. W tym samym momencie kula z „Astree” trafiła w plecy nawigatora, na oczach Jacka rozdzierając go na dwie części. Aubrey ujrzał, jak głowa Buchana z zastygłym wyrazem zaskoczenia i oburzenia na twarzy skoczyła naprzód, zbijając sternika po prawej burcie na deski pokładu. Natychmiast zastąpił marynarza za kołem, kończąc zwrot, aż załopotwały żagle

główne. Za szczeble koła pochwycił młodszy nawigator, a Jack, przekroczywszy ciało nawigatora, podszedł do relingu rufowego. Rufa „Iphigenii” mocno ucierpiała w wyniku ostrzału, ale zarówno ster, jak i stermaszt wciąż były całe. Fregata postawiła fokżagiel i płynęła fordewindem w kierunku „Astree”, na nowo otwierając ogień. Jack śledził jej ruchy — bez wątpienia miała naprędcę skleconą

załogę, której brakowało wyszkolenia, a tym bardziej ochoty na bliższe starcie z „Boadiceą”, która w tym czasie ruszyła ostro na wiatr. Dostrzegł również pewną niezgodność między francuskimi okrętami

— podczas gdy „Astree” próbowała prześlizgnąć się między „Africaine” i „Iphigenią”, by ostrzelać „Boadiceę” ogniem flankowym, „Iphigenia” oddała ster pod wiatr i splątała takielunek z „Astree”. W trakcie plusnęło zepchnięte do wody ciało nawigatora.

Jack wyprowadził swą fregatę dalej na nawietrzną i stanął w dryfie. W przepięknym blasku słońca doskonale widział francuskie okręty, ludzi na ich pokładach, a nawet stan takielunku. Siedząc na karonadzie cofniętej maksymalnie ku rufie, kontemplował scenę przed sobą. Czasu miał bowiem dużo, gdyż sytuacja nie wymagała podejmowania żadnych ważnych decyzji. „Astree” była potężną, dotychczas nie uszkodzoną fregatą i po uwolnieniu się od „Iphigenii” wykonała wreszcie pełny zwrot. Morze między nią a „Boadiceą” było czyste, lecz mimo to „Astree” nie posuwała się naprzód. Jej drgający — z pewnością celowo — fokmarsel sporo mu powiedział na temat francuskiego dowódcy, a

kilka innych drobiazgów zdradziło mu jeszcze więcej. Był to z pewnością kompetentny żeglarz, ale

nie miał zamiaru walczyć. Nie miał większej ochoty na stoczenie boju niż Hamelin, nawet gdy ten dysponował większą przewagą. Zarówno francuski komodor, jak i jego podwładny woleli nie ryzykować utraty przewagi. Z każdą chwilą Jack utwierdzał się w tym przekonaniu i świadomość ta wypełniła jego serce szczerą radością.

Kiedy już opanował entuzjazm, rozsądek podszeptał mu jednak, że „Astree” miała cięższą salwę burtową, dobrych artylerzystów i choć prędkością nie dorównywała „Boadicei”, mogła podejść bliżej

do wiatru. Atak i obrona były przecież dwiema całkowicie różnymi rzeczami — broniąca się w starciu

z bliska „Astree” doskonale dałaby sobie radę i choć dowódca „Iphigenii” nie grzeszył inteligencją, atakowanie obu okrętów naraz przy świetle dziennym było niedopuszczalne. Najpierw koniecznie trzeba odbić „Africaine”...

— Hej tam, na pokładzie! — rozległo się wołanie obserwatora. — Dwa żagle na nawietrznej, sir!

Myślę, że to „Ot-ter” i „Staunch”! — Kilka minut później marynarz potwierdził: — Tak, to „Otter” i „Staunch”!

Przy tym wietrze zrównanie z „Boadiceą” zabrałoby im około dwóch, trzech godzin — doskonale!

Jack powstał z uśmiechem i spojrzał na zawietrzną, gdzie z raportami oczekiwali pierwszy oficer, bosman i artylerzysta.

— Trzech rannych, sir — powiedział porucznik Seymour — no i oczywiście nieszczęsny pan Buchan.

Cieśla miał jedynie do zameldowania cztery dziury po kulach i osiem cali wody w zęzach. Fellowes zameldował z kolei o sporych uszkodzeniach żagli i olinowania w przedniej części okrętu.

— Wydaje mi się, że w godzinę możemy je naprawić — zakończył.

— Proszę się żywo wokół tego zakrzętać, panie Fellowes — powiedział Jack. — Panie Seymour, proszę zarządzić śniadanie dla załogi i zwolnić wachtę pod pokładem. Muszą odpocząć.

Po tych słowach zszedł do szpitalika, gdzie zastał Stephena czytającego książkę przy świetle latarni.

— Jesteś ranny? — zapytał Stephen.

— Nie, skądże. Chciałem zerknąć na naszych rannych. Co z nimi?

— Colley ma pękniętą czaszkę i nie gwarantuję, że wróci do zdrowia. Jak widzisz, pogrążony jest w śpiączce.

Przystąpimy do operacji, jak tylko będzie spokój, cisza i wystarczająco dużo światła. Pozostałych dwóch raniły drzazgi i szybko dojdą do siebie. Masz zakrwawione bryczesy.

— To krew nawigatora. Zginął tuż przy mnie, nieszczęśnik.

Jack podszedł do rannych, zapytał, jak się czują, i opowiedział, że sytuacja na pokładzie wygląda dość

dobrze, „Staunch” i „Otter” szybko nadciągają z pomocą i Francuzi stoją przed możliwością otrzymania tego, co sami zafundowali „Africaine”.

— Gdybyś miał ochotę na śniadanie, to Killick uruchomił małą kuchenkę na spirytus — powiedział, powróciwszy do Stephena.

Kiedy już stali w kajucie kapitańskiej przy oknach rufowych i czuli, jak morze kawy rozpływa się po ich wnętrznościach, Jack jął objaśniać Stephenowi pozycje francuskich okrętów w poszczególnych stadiach starcia.

— Wiem, że wyda ci się to nielogiczne—powiedział, zaciskając z całej siły dłoń na drewnianej ramie

okna. — Być może nawet wydam ci się człowiekiem przesadnym, ale mam przeczucie, że koleje losu właśnie się odwróciły. Nie chcę kusić przeznaczenia, ale kiedy dołączą do nas „Staunch” i „Otter”, odbijemy „Africaine”, a być może nawet przechwycimy „Iphigenię”. Ten okręt nie kwapi się do boju.

Wydaje mi się też, że zdrowo jej przywaliliśmy — spójrz tylko na tych ludzi pracujących na burcie!

Ponadto kapitan „Astree” nie ufa „Iphigenii” za grosz. O tym nie chcę jednak głośno mówić... odbicie „Africaine” będzie wystarczającym sukcesem.

Jack powrócił na pokład, na którym zadziwiająco szybko zapanował porządek. Kończono już splatanie

lin i zawiązywanie węzłów, żurawiki pojawiły się na swoich miejscach, zamocowano nowy fokmarsel, a marynarze z podwachtu bezanu kończyli szorować ostatnie blade plamy przy kole sterowym. Francuskie łodzie wciąż wywoziły jeńców z „Africaine”. Na „Iphigenii” gorączkowo pracowały pompy, a wystarczył rzut oka na krzątanie ludzi na pokładzie i poza nim, by stwierdzić, że

przez dłuższy czas fregata nie będzie mogła postawić żagli. „Astree” przesunęła się już na lepszą pozycję, by chronić zarówno „Iphigenię”, jak i „Africaine” — jej kapitan być może nie lubił wystawiać swego okrętu na ogień nieprzyjaciela, ale przyzwoicie nie zamierzał. Widać było już kadłuby

zbliżających się „Stauncha” i „Ottera”, a wiatr wciąż się wzmaczał.

Obiad podano wcześniej, i to na zimno, racje grogu ograniczono do połowy, ale nie było słyhać ani jednego głosu niezadowolenia. Komodor spoglądał wokół z ledwo ukrywaną radością, a owa trudna do zdefiniowania przemiana, jaka w nim nastąpiła, jego pewność siebie emanowała na cały okręt, napawając załogę wiarą we własne siły. Marynarze zjedli zatem swe suchary z okropnym w smaku serem, popili czymś, co bardziej przypominało sok cytrynowy aniżeli rum, i obserwowali swego dowódcę. Ich spojrzenia kierowały się też ku Francuzom i nieskładnej zbitce ich jednostek na zawietrznej oraz ku własnym, coraz to bliższym okrętom. Słyhać też było ich ciche, pełne entuzjazmu rozmowy, a na śródokręciu i pokładzie dziobowym rozlegały się salwy niegłośnego śmiechu.

Komodor rozrysował plan ataku kawałkiem kredy na pokładzie — dowódcy słupu i brygu patrzyli z uwagą. Trzy okręty miały ruszyć w szyku czołowym w kierunku Francuzów, mając „Boadiceę” w środku i próbując rozdzielić obie fregaty przeciwnika. Istniało wiele możliwości przebiegu starcia, które zależały od ruchów „Astree”, i Jack wyjaśniał je jedna po drugiej.

— W każdym razie, panowie, na wypadek gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego, nie uczynicie błędu, atakując „Iphigenię” od dziobu i od rufy, a „Astree” pozostawiając mnie samemu — zakończył.

Ruszyli zatem, mając wiatr z baksztagu i dla łatwości manewrowania postawione jedynie marsle.

Wyglądający na żałośnie drobny bryg płynął na prawej burcie fregaty, niewiele większy słup sunął po

lewej. Jack dał załogom mnóstwo czasu, by marynarze mogli się najeść i odpocząć. Wiedział też, że

oba okręty były dobrze przygotowane i nie miały braków w ludziach, a ich dowódcy przyjęli jego plan

bez sprzeciwów.

Jack przewidział mnóstwo możliwości przebiegu bitwy i ruszając do walki, czuł rosnący zapal —

nigdy bardziej nie wierzył w zwycięstwo. Spośród wszystkich wariantów starcia nie udało mu się

jednak przewidzieć tego, który wydarzył się w istocie. Od Francuzów dzieliło ich jeszcze półtorej

mili, kiedy nagle „Astree” podała „Iphigenii” hol. Porzuciwszy „Africaine” i oddaliwszy się na bezpieczną odległość, obie fregaty poczęły stawiać coraz więcej żagli i podeszły ostro do wiatru,

kierując się na wschód. Wspaniale żeglująca „Astree” utrzymywała dziób holowanej „Iphigenii”

bardzo blisko wiatru, bliżej niż kiedykolwiek udałoby się podejść „Boadicei”.

Wykonując błyskawiczny skręt na wiatr, „Boadicea”, która znajdowała się na nawietrznej, mogłaby

wciągnąć francuskie okręty do boju po długim, wytężonym pościgu, nawet pomimo przewagi

„Astree” w żegludze na wiatr. Ani „Otter”, ani „Staunch” nie byłyby jednak w stanie dotrzymać fregacie tempa, a ponadto istniało ryzyko, że tymczasem francuski bryg sprowadzi okręty Hamelina

po „Africaine”. Niestety, walna rozprawa została odłożona na bliżej nie określoną przyszłość.

„Boadicea” w ciszy płynęła prosto na ponury, unoszący się na fali pozbawiony masztów kadłub. Na

pojedynczym maszcie flagowym powiewała francuska bandera.

„Boadicea” podeszła burtą do „Africaine”, której załoga wypaliła dwukrotnie z działa na zawietrzną i wśród przeraźliwych wiwatów ściągnęła banderę z masztu.

— Panie Seymour — odezwał się Jack z nutą rozczarowania w głosie, maskującą głęboką satysfakcję

— proszę zająć okręt. A to co, do cholery?

Dziesiątki ludzi z załogi „Africaine” wskakiwało do wody, płynęło ku „Boadicei” i tłoczyło się przy burcie fregaty. Wszyscy byli niezmiernie podekscytowani, znać było przedziwną mieszankę

wściekłości i radości, jakakolwiek zaś dyscyplina poszła w niepamięć. Jeden po drugim marynarze wspinali się po trapie i biegli tłumnie ku pokładowi rufowemu, błagając komodora o wszczęcie pościgu. Chcieli obsługiwać działa i służyć pod kapitanem Aubreyem, a nie tym szalonym na punkcie porządku łajdakiem. Wołali, że dobrze znają sławę Aubreya, i zapewniali go, że może odpłacić francuskim mydłkom pięknym za nadobne, a dla niego atak na dwa okręty wroga naraz to pestka.

— Wiem, że pan by tego dokonał, sir! — wołał marynarz z krwawym opatrunkiem powyżej łokcia.

— Pływałem pod panem na „Sophie”, kiedy napieprzyliśmy temu wielkiemu Hiszpanowi! Niech pan nie odmawia, sir!

— Miło cię ujrzeć, Herold — powiedział Jack — i z całego serca chciałbym móc rzec „tak”! Sam jesteś jednak żeglarzem — spójrz na ich pozycje! Po trzech godzinach pościgu na północnym horyzoncie pojawiłoby się pięć wrogich fregat, mających chrapkę na „Africaine”. Rozumiem wasze uczucia, chłopcy, ale nic z tego. Zakrzątnijcie się z holem, weźmiemy waszą barcę na remont do St Paul i sami odpłacicie Francuzom pięknym za nadobne.

Marynarze z „Africaine” spojrzeli tęsknie za „Astree” i „Iphigenią”, tu i ówdzie rozległo się westchnienie.

— Co z kapitanem Corbettem? — spytał Jack, gdy nikt z uratowanych marynarzy nie miał nic więcej do powiedzenia. — Francuzi wzięli go na jeden ze swoich okrętów?

Zapadła cisza.

— Nie wiemy, sir! — rozległo się wśród ludzi.

Jack przyjrzał się im zaskoczony — naraz ujrzał przed sobą rząd nieprzeniknionych twarzy. Ów spontaniczny, bezpośredni kontakt załogi z kapitanem znikł bezpowrotnie i Jack napotkał mur milczenia, solidarności i wzajemnej lojalności marynarzy z dolnego pokładu, mur, który tak dobrze kiedyś poznał. Wiedział, że spoiwem w owym murze często była głupota, wiedział, że był on łatwo dostrzegalny i przewidywalny, ale był też świadom, iż nie sposób go złamać.

— Nie wiemy, sir!

Innej odpowiedzi nie otrzymałby nigdy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wśród coraz wyższych fal „Boadicea” powoli płynęła na południe, ciągnąc za sobą „Africaine”.

Pokonana fregata zachowywała się niczym gigantyczny rozmokły pień drzewa. W jednej chwili stawiała opór tak potężny, że nawet maszty „Boadicei” poczęły skrzypieć, a pan Seymour, z którego głosu pozostał jedynie ochryply szept, zapędzał marynarzy do luzowania szotów, nim pójdą w strzępy.

W następnej zaś „Africaine” zupełnie bez ostrzeżenia ruszała prosto na rufę „Boadicei”, by niespodziewanie odwrócić się, wyszarpując bliską zerwania linę holowniczą z fal z taką siłą, że aż woda tryskała z każdego splotu. Przez cały czas okręt kołysał się niczym pijany, co czyniło pracę lekarzy okrętowych jeszcze bardziej ryzykowną i delikatną niż zazwyczaj.

Stephen pomagał nieszczęsnemu panu Cottonowi, starszemu wiekiem lekarzowi-inwalidzie, który sam

dopiero co pokonał atak dyzenterii, a już od pierwszych minut boju został przytłoczony pracą. W dalszym ciągu, mimo wielkiej liczby ludzi zmarłych w szpitaliku, pod ich opieką pozostawało około sześćdziesięciu, siedemdziesięciu marynarzy, leżących na pokładzie mieszkalnym. Miejsca było sporo, gdyż w walce z Francuzami zginęło czterdziestu dziewięciu ludzi, a pięćdziesięciu zostało wziętych do niewoli. Pozostali członkowie załogi „Africaine” z pomocą grupy przysłanej z „Boadicei”

zajęli się przymocowywaniem znalezionych drzewc do kikutów masztów. Przed zapadnięciem ciemności postawili trzy sztaksle, które od razu przywróciły fregatę do życia. „Africaine” wreszcie zaczęła słuchać praw fizyki, kołysząc się na fali jak pozostałe okręty.

— Cóż za ulga — powiedział pan Cotton, energicznie pracując piłką. — Już się bałem, że powróci do

mnie choroba morska. Choroba morska! Po tych wszystkich latach na morzu! Zechce pan podać mi podwiązkę? Cierpi pan na tę dolegliwość, doktorze Maturin?

— Przechodziłem przez to w Zatoce Biskajskiej.

— Ach, Zatoka Biskajska — powiedział pan Cotton, odrzucając amputowaną stopę do wiadra, trzymanego przez asystenta. — Przeróżające miejsce. Możecie go puścić — powiedział do trzymających operowanego marynarza towarzyszy. — Johnie Bates, już po wszystkim — oznajmił swemu spoconemu i poszarzałemu na twarzy pacjentowi. — Wyjdiesz z tego, a twoja stopa zapewni ci stałą rentę albo posadę kucharza okrętowego.

Poszarzała, spocona twarz wymamrotała ledwie słyszalne podziękowania dla doktora oraz zapytanie, czy mógłby zatrzymać stopę na szczęście.

— To był ostatni pilny przypadek — stwierdził pan Cotton. — Jestem panu niewymownie wdzięczny. Niewymownie. Chciałbym móc zaoferować panu coś lepszego od filiżanki herbaty, niestety, Francuzi ograbili nas niczym banda dzikusów. Na szczęście herbata ich nie interesuje.

— Z przyjemnością napiję się herbaty — powiedział Stephen i obaj ruszyli w kierunku rufy do opustoszałej mesy midszypmenów. — Ależ krwawa bitwa — zauważył.

— Trudno o bardziej krwawe starcia—odparł pan Cotton. — Podejrzewam również, iż trudno o bardziej niepotrzebną ofiarę z ludzkiego życia. Marną pociechą wydaje się to, że kapitan zapłacił za swoje.

— Został zabity?

— Można tak to określić. W każdym razie nie żyje — powiedział Cotton. — Zniesiono go pod pokład

na samym początku bitwy z poszarpanym lewym śródstopiem. Zrobiłem, co mogłem, lecz kapitan nalegał, by wyniesiono go z powrotem na pokład. Wie pan, mimo swych wszystkich wad był to dzielny człowiek. Później został ranny po raz drugi, lecz nie potrafię stwierdzić, kto tym razem doń strzelił. Nie mam też zamiaru twierdzić, że w zamieszaniu nocnej bitwy jego ludzie wyrzucili go przez

burzę. Corbett po prostu zniknął. Przypuszczam, iż słyszał pan o podobnych wydarzeniach.

— Słyszałem, rzecz jasna, a co do kapitana Corbetta miałem złe przeczucia już dawno temu. Jego reputacja zwolennika kary chłosty była zapewne dobrze znana w marynarce.

— Do tego stopnia, że załoga „Africaine” podniosła bunt, kiedy mianowano go dowódcą okrętu. Marynarze odmówili wyruszenia z portu. Byłem w tym czasie na urlopie i po powrocie odkryłem ku swemu zaskoczeniu, że oficerowie przysłani z Londynu zdołali przekonać załogę, iż nie taki diabeł straszny, jak go malują. Namówili ich do powrotu do obowiązków.

— Dlaczego to pana zaskoczyło?

— Ponieważ reputacja zawsze przedstawia prawdziwy obraz człowieka. Diabeł był taki straszny, jak go malowali. Chłostał marynarzy w drodze na równik, chłostał ich na równiku, chłostał ich również w drodze na Przylądek.

— A przy okazji, czy wieźliście może jakąś pocztę na Przylądek, jakieś listy dla nas?

— Tak. Waszą mieliśmy dostarczyć na Rodriguez, ale, jak pan wie, nigdy tam nie dotarliśmy. Corbett skręcił w prawo zaraz po rozmowie z dowódcą „Emmy”. Przykro mi, ale Francuzi zrabowali wszystkie listy

— Cóż... Mimo wszystko jednak ludzie walczyli mężnie?

— Bardzo mężnie i tylko dzięki temu, że oficerowie fregaty byli przyzwoitymi ludźmi. Kapitan Corbett ograniczał swe stosunki z oficerami do minimum, jedynie raz zaproszono go na obiad do mesy midszypmenów, sam nie zapraszał nigdy. A załoga z pewnością walczyłaby lepiej, gdyby nauczono ich obsługi dział... Corbett ani razu nie przeprowadził ćwiczeń ze względu na ten święty pokład. Pewnie pięknie teraz wygląda. Nie, marynarze nie mieli żadnych pretensji do oficerów. Jak już panu mówiłem, to byli przyzwoici ludzie i odważni aż do samego końca. Po zniknięciu kapitana Tullidge poprowadził okręt lepiej od niego samego, choć cztery razy go raniono. Drugiemu oficerowi Forderowi przestrelono płuca, a Parkerowi francuski pocisk urwał głowę. To byli dobrzy oficerowie.

Pewnego razu, kiedy mijaliśmy Cape St Roque, a Corbett rozdawał na prawo i lewo pięćdziesiąt uderzeń batem, przyszli do mnie, by zapytać, czy stosownym byłoby uwięzienie go. Nie zgodziłem się, choć później tego żałowałem. Corbett na lądzie był znośny, ale na morzu władza odbierała mu rozum.

— Tak, to niebezpieczna pokusa — powiedział Stephen.

— Są jednak tacy, którzy mogą się jej oprzeć. W czym tkwi źródło takiej odporności?

— W istocie, w czym? — powtórzył pan Cotton. Zmęczenie odbierało mu chęć do dalszych spekulacji, lecz nie pozbawiło go dobrych manier. Gdy Stephen zbierał się do wyjścia, Cotton powiedział: — Bóg mi pana zesłał, doktorze Maturin. Czy w swoim czasie będę mógł się panu odwdzięczyć?

— Skoro jest pan tak uprzejmy — odpowiedział Stephen — to tak się złożyło, że czeka mnie jutro operacja szczególnie powikłanego wgniecenia czaszki. Gdyby wypoczął pan dostatecznie do jutra, będę niezwykle wdzięczny za pomoc. Mój młody asystent nie ma doświadczenia w trepanacji, a moje dłonie już nie są tak pewne jak kiedyś. Daleko mi do podziwu godnej niezawodnej siły pańskich.

— Będę panu asystował, kiedy tylko pan sobie tego zażyczy — padła odpowiedź.

Pan Cotton, nawykły do zwyczajów panujących w marynarce, dotrzymał słowa i zjawił się punktualnie. Powłócząc chromą nogą, wdrapał się na pokład „Boadicei” na swych potężnych ramionach równo z pierwszym uderzeniem dzwonu, wybijającego sześć szklanek przed południem. Stanąwszy na pokładzie, wydobył kulę, zasalutował pokładowi rufowemu, odsunął nadgorliwego pomocnika bosmana i pokuśtykał w stronę rufy. Szpitalik był przygotowany do operacji — pod tentem, który wspaniale rozprawdzało światło, stało przywiązane do kołków krzesło, a na nim siedział

wciąż pogrążony we śnie pacjent, marynarz Colley. Jego twarz przybrała kolor ołowiu. Koledzy z mesy przywiązali go do krzesła tak ciasno, iż tkwił na nim nieruchomo niczym galion na dziobie okrętu. Na pokładzie i na marsach stłoczyło się osobliwie wielu ciekawskich, udających bardzo

zajętych. Starzy marynarze z „Sophie” rozgłosili już wśród swych nowych kolegów opowieść o owym

pamiętnym dniu w roku 1802, kiedy to przy bardzo podobnym świetle doktor Maturin odpiłował czubek czaszki artylerzysty, wyciągnął mózg, naprawił go, wstawił i na powrót zamknął pod srebrną kopułką. Artylerzysta powrócił do życia jak nowo narodzony. Usłyszawszy tę historię, nikt z marynarzy nie chciał przegapić tak pouczającego i budującego widowiska. Spod pokładu dziobowego

dobiegały odgłosy pracy zbrojmistrza przy kuźni, uderzeniami młota rozbijającego monetę trzyszylingową na płaski, lśniący placek.

— Poprosiłem zbrojmistrza, by poczekał na nasze instrukcje co do ostatecznego kształtu pokrywy — powiedział Stephen. — Zdążył już jednak naostrzyć i na nowo zahartować mój największy przyrząd do trepanacji.

Ujął półokrągłą, wciąż lśniącą po obmyciu piłkę i zaproponował, by pan Cotton zechciał uczynić pierwsze nacięcie. Ten grzecznie odmówił, a Stephen równie grzecznie ją nalegać — lekarskie uprzejmości początkowo wprawiły publiczność w niecierpliwość, lecz wkrótce nawet nadzieje na najbardziej makabryczne widowisko zostały spełnione. Ogolona skóra czaszki pacjenta została zręcznie przecięta na linii od ucha do ucha i zwisała teraz na jego sinej, zarośniętej twarzy. Colley nie

przestawał chrapać. Doktorzy, pochyleni nad nagą, oskalpowaną głową rozmawiali teraz po łacinie.

— Za każdym razem, kiedy zaczynają gadać po obcemu — zauważył John Harris, marynarz z pokładu dziobowego, z podwachtu prawej burty — zaraz znać, że mają problem. Wszystko to da się poznać, jak to się mówi, po sposobie gadania.

— Jeszcze nic żeś nie widział, Johnie Harris — powiedział Davis, ze starej załogi „Sophie”. — Doktor właśnie grzecznie powiadamia o czymś tego jednonogiego. Zaraz zobaczysz, jak zaczniesz zasuwac wiertarką!

— Niezwykła grubość kości, a mimo to szwy czaszkowe się nie zeszyły — mówił pan Cotton. —

Nigdy

jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Bardzo jestem panu wdzięczny, niemniej mamy w istocie niezwykle

skomplikowane zadanie, zgoła dylemat.

— Uważam, iż dobrym rozwiązaniem będzie perforacja rozłożona na dwie tury — stwierdził Stephen. — I tu

siła i niewzruszoność pańskiego lewego ramienia z pewnością odda nam nieocenione usługi. Gdyby zechciał pan przytrzymać czaszkę tutaj, ja wykonam pierwsze cięcie w tym miejscu. Zamienimy się potem miejscami, przez

co jest wielce prawdopodobne, że uda nam się wyciągnąć całość naraz.

Gdyby nie potrzeba utrzymania wrażenia zawodowej nieomyślności i stoickiego spokoju, pan Cotton byłby

zagryzł wargi i potrząsnął głową.

— Niech Bóg będzie z nami — wymamrotał tylko i odpowiednio umieścił swą spłaszczoną sondę. Stephen

zawinął rękawy, popluł w dłonie, poczekał, aż okręt wejdzie na szczyt fali, umieścił piłę w wyznaczonym

miejscu i rozpoczął zdecydowane cięcie. Odłamki białej kości, odskakujące od szybko poruszającej się piłki, zmiotane były przez Carola. Wśród załogi zapadła jeszcze głębsza cisza, midszypmeni co do jednego niezdrowo zafascynowani operacją wychylali się do przodu, by zobaczyć jak najwięcej. Stał wgryzała się coraz głębiej w głowę żyjącego człowieka i na twarzach wielu widzów zaczęła pojawiać się bladość, inni patrzyli już tylko w takielunek. Nawet Jack, który raz był świadkiem tego przerażającego widowiska, odwrócił się ku linii

horyzontu, gdzie w słońcu połyskiwały odległe plamki żagli „Astree” i „Iphigenii”.

Usłyszał wołanie Stephena, podającego odpowiednie wymiary zbrojmistrzowi, kiedy rozpoczynali drugie cięcie.

Młot na kowadle rozdzwierał na nowo, lecz kiedy nasłuchiwał odgłosów towarzyszących operacji, jego uwagę

przykuł ruch daleko na zawietrznej. Oba francuskie okręty łapały wiatr w żagle. Czyżby zamierzały w końcu

wydać im bój? Jack podniósł lunetę do oka i ujrzał, jak Francuzi zmieniają hals i przechodzą na fordewind.

Zatrzasnął lunetę z uśmiechem. Sposób, w jaki wybierali szoty, utwierdził go jednak w przekonaniu, że

„Astree” i „Iphigenia” po prostu wykonują zwrot przez rufę, podobnie jak to pięciokrotnie uczynili o świcie. Tak, podchodzili bliżej do wiatru. Mieli lepszą pozycję względem wiatru, ale i tak nie

zdecydowali się na przypuszczenie ataku na jego okręt i okaleczoną „Africaine”. O ile się nie mylił,

wykonywany właśnie manewr uniemożliwiał to ostatecznie — na lewej ćwiartce dziobowej powinny

już pojawić się góry La Reunion, a to oznaczało rychłą zmianę kierunku wiatru o dwa rumby w stronę

lądu. Zęby „Africaine” wciąż były w całości, a „Staunch” i „Otter” również potrafiły odgryźć się w starciu, lecz nawet mimo to... Zaśmiał się głośno, a w tym samym momencie rozległo się wołanie

pana Cottona:

— Och, wspaniale! Znakomita robota, sir!

Stephen uniósł kawałek czaszki, by przyjrzeć się jego spodniej części. W jego wzroku malowała się

satysfakcja. W tej samej chwili zarówno zafascynowana, jak i wstrząśnięta publiczność mogła się

przyjrzeć napawającej przerażeniem dziurze w głowie pacjenta, w której Cotton zaczynał już szukać

drzazg szczypcami z kości wielorybiej. Kiedy jego instrument napotkał długą poprzeczną drzazgę, z

ust zakrytych zwisającą skórą z czaszki wydobył się niski, przytłumiony, przypominający pijany, lecz

rozpoznawalny głos Colleya:

— Jo. Zamocuj ten pieprzony sejzing!

Grono widzów bardzo się przerzedziło, a wielu z pozostałych fascynatów chirurgii było już równie

bladych jak sam Colley. Publiczność ożywiła się jednakże na widok lekarzy umieszczających srebrną

płytkę na dziurze w czaszce oraz naciągających i zaszywających zwisający skalp. Maturin i Cotton

umyli dłonie w cebrze i kazali zanieść Colleya do szpitalika, a po okręcie poniósł się pełen uznania

pomruk.

— Myślę, że mogę już panom pogratulować owej jakże skomplikowanej operacji — wystąpił Jack.

Doktorzy opanowali euforię i odrzekli, iż nie uczynili niczego niezwykłego i każdy kompetentny

chirurg mógłby się tego z powodzeniem podjąć. Ze szczerością, która przyprawiłaby panią Colley o

atak serca, dodali również, że nie ma co składać gratulacji, zanim nie pojawi się nieunikniony kryzys po operacji. Nie można bowiem operacji nazwać udaną, dopóki pacjent przynajmniej kryzysu nie przetrwa. Z chwilą jego zakończenia przyczyny śmierci należałoby zaś upatrywać wśród wielu innych czynników.

— Och, mam ogromną nadzieję, że przeżyje! — powiedział Jack, lecz jego wzrok wciąż był zwrócony

na odległe okręty wroga. — Colley to doskonały marynarz i spokojny, pewny człowiek, poza tym mało kto potrafi tak celować z działa jak on. Ma też wiele dzieci, z tego co pamiętam.

Jack nie rozminął się z prawdą w najdrobniejszym szczególe. W chwilach trzeźwości Tom Colley był

wartościowym, aczkolwiek skorym do bójki członkiem załogi. Był w istocie urodzonym żeglarzem

— odpowiednie trzymanie steru czy wybieranie i refowanie żagli przychodziło mu instynktownie.

Oglądanie *hornpipe** w jego wykonaniu również należało do przyjemności.

* *Hornpipe* (ang.) — taniec popularny wśród marynarzy.

Bez niego okręt zdecydowanie nie byłby taki sam. Pod tym słusznym, logicznym rozumowaniem

Jacka kryła się jednak warstwa, którą życzliwy obserwator mógłby nazwać mistyczną, a inni, być

może bardziej oświeceni, zabobonna. Jack za nic w świecie nie opowiedziałby tego nikomu, ale w

myślach utożsamiał wyzdrowienie marynarza ze zwycięstwem w kampanii. Z zachowania „Iphigenii”

oraz „Astree” wnioskował, że Colley był na najlepszej drodze do zmartwychwstania. Czy gdyby

proporczyk komodorski Hamelina zwiisał z masztu nie „Venus”, ale „Astree” podczas niedawnej akcji

— czy wtedy postawa Francuzów byłaby bardziej zdecydowana? Czy okręty ruszyłyby wtedy do

walki i bez względu na własne straty pogrzebały wszystkie jego nadzieje? Z tego, co wiedział o

francuskim komodorze, skłonny był w to powątpiewać.

— Ten dokument robi wrażenie — powiedział gubernator Farquhar, oddając kopię wydanej przez

papieża Piusa VII ekskomuniki Bonapartego, poświęconej podpisem biskupa, jak dotychczas nie obwieszczonej, lecz pozostającej w mocy. — Kilku sformułowaniom daleko co prawda do Cyclerona,

jednakże jako całość dokument jest najpotężniejszym aktem potępienia, jaki kiedykolwiek widziałem.

Gdybym był katolikiem i miał cokolwiek wspólnego z tym nikczemnikiem Napoleonem, lektura tego dokumentu z pewnością przyprawiłaby mnie o niepokój. Rozumiem, że biskup nie czynił trudności?

Jedyną odpowiedzią Stephena był uśmiech.

— Bardzo żałuję, że pan ma takie skrupuły — ciągnął Farquhar. — Ekskomunika oddałaby przecież ogromne usługi duchowieństwu. Z pewnością zrobimy jeszcze jedną kopię?

— Niech pan sobie nie zaprzęta głowy duchowieństwem, mój drogi panie — odpowiedział Stephen.

— Księża wiedzą, iż takie pismo istnieje. Dobrze o tym wiedzą, to tajemnica poliszynela, zapewniam pana. Nie wolno mi jednak narażać mego źródła informacji na niebezpieczeństwo i podjąłem postanowienie, iż tylko trzy osoby na Mauritiusie będą mogły ujrzeć ten dokument, a później wrzucę go w płomień.

Z tymi słowami zawinął ciężki od klątw kościelnych dokument w chusteczkę i schował za pazuchę.

— Ach, skoro podjął pan takie postanowienie... — westchnął zadumany Farquhar, wpatrując się w wybrzuszenie pod ubraniem Stephena, gdzie kryło się zawiniątko.

Wzrok obu skierował się na świstki papieru, na których zanotowali sprawy do omówienia.

Wszystkie kwestie na kartce Stephena były już skreślane, a na liście Farquhara pozostał tylko jeden punkt. Gubernator wydawał się jednak ociągać z poruszeniem ostatniej kwestii. Milczał przez chwilę,

po czym roześmiał się i powiedział:

— Forma, w jakiej ująłem mój ostatni punkt, jest doprawdy niewłaściwa. Proszę nie poczytać tego za obrażę, ale przypomniało mi się, by poprosić pana o pewne wytłumaczenie... Pozwolę sobie nadmienić, iż absolutnie nie chodzi mi tu o żadne oficjalne wyjaśnienia, rozumie pan! Byłbym panu

jedynie wdzięczny za wytłumaczenie mi powodów, dla których komodor Aubrey wykazuje tyle optymizmu i energii. Wygląda bowiem na to, iż on naprawdę zakłada realność naszych planów inwazji na Mauritius, nawet pomimo owej tragedii przy Ile de la Passe. Co więcej, komodor Aubrey zaraził... Cóż, lepszym słowem wydaje się „przekonał”. A więc komodor przekonał do swego pomysłu

pułkownika Keatinga i obaj dzień i noc przygotowują plany, mimo że fakty mówią same za siebie.

Oczywiście wspieram jego wysiłki, ile tylko mogę, nawet nie ośmieliłbym się postąpić inaczej, lecz teraz jego zachowanie zaczyna przypominać zgoła rzymskich bohaterów. Oto wpada do mojego pokoju i z miejsca oznajmia: „Panie Farquhar, mój drogi przyjacielu, niech pan będzie tak dobry i rozkaże ściąć najwyższe drzewa na wyspie oraz posłać wszystkich cieśli do pracy. »Africaine« musi mieć gotowe maszty najpóźniej do czwartku o świcie”, po czym wybiega. Ogarnia mnie lęk i słucham jego poleceń, lecz kiedy pomyślę sobie, że siedmiu francuskim fregatom przeciwstawić możemy jedną

naszą oraz ów żalosny wrak, kiedy myślę o przewadze liczebnej ich dział nad naszymi, ogarnia mnie bezgraniczne zdumienie.

Gubernator zastygł w bezruchu, sięgając myślami w przeszłość i wyglądając przez okno.

— Liczba dział ma znaczenie wtórne w stosunku do dokładności, z jaką nakierowuje się je na cel, i zapału, z jakim się je obsługuje — odezwał się Stephen, chcąc przerwać ciszę. — A działa „Africaine”, choć sama fregata nie jest jeszcze gotowa do wyjścia na morze, można przecież przenieść

na inne okręty.

— Prawda — powiedział gubernator. — Przyznam się jednak, że w moim umyśle pojawiło się pewne, przypuszczalnie niegodziwe, wytłumaczenie zapału komodora Aubreya. Pomyślałem sobie bowiem, iż Aubrey być może ma pewne tajne, napawające go otuchą informacje, których ja nie posiadam. Proszę, doktorze, niech pan mnie źle nie zrozumie.

— Nigdy w życiu, drogi panie — powiedział Stephen. — Nie mówiłem mu nic, czego panu bym nie

powiedział. Odpowiedź kryje się zupełnie gdzie indziej. Z tego, co wywnioskowałem, komodor

Aubrey jest całkowicie przekonany, że nasze morale jest znacznie wyższe niż przeciwnika i że

inicjatywa przeszła w nasze ręce. Francuzom, z tego, co mówi Aubrey, nie brakuje ani doświadczenia,

ani okrętów, ani zdolnych dowódców, nie starcza im jednak ducha bojowego. Nie mają ochoty na

wydanie nam boju, gdyż nie chcą stawiać wszystkiego na jednej szali. Aubrey powiedział mi również,

że ich komodorowi, Hamelinowi, brakuje umiejętności wyczucia punktu krytycznego w rozwoju

kampanii. Uważa, iż Hamelin bardziej interesuje się przechwytywaniem statków Kompanii niż

próbami zebrania laurów zwycięzcy w chwili, kiedy są one naprawdę w zasięgu jego ręki. Z dużym

uznaniem zacytował pańską uwagę na temat Fortuny, stwierdzając, że wyprzedziła już go dawno i

prędzej cud się stanie, nim ten złapie ją za włosy.

— Uczyniłem ową uwagę w zupełnie innym kontekście — powiedział Farquhar.

— Nie jestem strategiem — ciągnął Stephen — lecz Jacka Aubreya znam dobrze. Szanuję jego osąd

w kwestiach morskich, a jego upór i intuicja wojownika są dla mnie całkowicie przekonujące.

Dochodzą do tego jeszcze czynniki mniej logiczne — dodał, będąc całkowicie świadom powodów, dla

których Jack często pędził do szpitala i zachwycał się postępami w rekonwalescencji Colleya — takie

jak marynarskie dobre znaki, omeny i inne takie, którymi jednak człowiek racjonalnie myślący nie

powinien zaprzętać sobie głowy.

— Zatem jest pan przekonany o słuszności jego postępowania — wątpiaco powiedział gubernator.

—

Cóż, pozostaje mi zatem również uwierzyć w racje komodora Aubreya. Lecz przynajmniej nie mówił

nic o wyjściu na morze przed końcem remontu „Africaine”? Nie wyskoczy w owej krańcowo

niebezpiecznej sytuacji z portu niczym morski Pierre Bayard, by z jednym okrętem zaatakować

siedem francuskich?

— Nie wydaje mi się, aczkolwiek nie chcę za to ręczyć głową. A teraz — Stephen powstał—muszę pana przeprosić. Moja łódź bez wątplenia czeka już na mnie, a jeśli się spóźnię, otrzymam ostrą reprimendę.

— Mam nadzieję, że spotkam się z panem niebawem — rzekł Farquhar.

— Jeśli Bóg pozwoli. Wybieram się teraz dalej, poza Morne-Brabant, południowo-zachodni kraniec Mauritiusa. Mam się tam spotkać z dwoma oficerami z oddziałów irlandzkich w towarzystwie jeszcze

jednego dżentelmena. Myślę, iż mogę panu obiecać, że komodor Aubrey i pułkownik Keating nie będą mieli wielkiego problemu z katolikami w garnizonie generała Decaena, kiedy już dojdzie do starcia. — Kiedy przechodzili przez holl, dodał szeptem: — Łatwiej to przenieść aniżeli kufer ze złotem. — I poklepał się po wybrzuszeniu z dokumentem. — A o ile efektywniejsze...

Wielkie drzwi otworzyły się przed nimi i w tej samej chwili niemalże stratował ich pan Trollope, przeskakujący co cztery stopnie schodów rezydencji gubernatora. Trollope wyhamował, obrzucił Stephena pełnym wyrzutem spojrzeniem, zerwał kapelusz z głowy i rzekł do Farquhara:

— Ekscelencjo, proszę o wybaczenie, ale komodor Aubrey powierzył mi przekazanie panu pozdrowień oraz zapytania, czy przed wieczornym wystrzałem z działą mógłby otrzymać do pomocy siedmiuset pięćdziesięciu Czarnych? Otrzymałem również polecenie przypomnienia doktorowi Maturinowi, iż prosił on o zaokrętowanie na awizo dokładnie o czwartej dwadzieścia pięć.

Stephen spojrział na zegarek, jęknął cicho i potruczał niezgrabnie do portu, gdzie przy boi gryzło już wędzidło „Pearl of the Mascarenes”, najszybsze awizo na wyspie.

W niedzielę o świcie dwóch podoficerów nawigacyjnych czuwających na położonej wysoko nad Saint-Denis stacji sygnałowej rozważało szanse podania puddingu na obiad. Przez wściekłe tempo pracy w stoczni zeszłej niedzieli nikt z czterech załóg puddingu nawet nie zobaczył i wszystko wskazywało na to, że historia się powtórzy. Obaj wychylili się, by spojrzeć na leżącą poniżej stocznię

— targnięte silną bryzą lądową harcapy przesłoniły im widok, więc pochwycili je w zęby.

Gorączkowa, mrówcza krzątająca grup marynarzy, żołnierzy, rzemieślników oraz murzyńskich robotników w stoczni dość jasno sugerowała, iż niedzielny pudding był perspektywą równie odległą jak tort weselny. Nie mogli być pewni nawet porcji wołowiny na obiad.

— Znowu biegająca — powiedział William Jenkins. — Na pewno dostaniemy obiad na zimno. Ależ zaszuwa nasz Złotowłosey. Dwa tygodnie bez deseru... goni nas jak niewolników! I tu, i w Simon's Town! Szybciej, szybciej, szybciej, ani się waż odpocząć w cieniu!

„Złotowłosey” było przezwiskiem Jacka Aubreya w marynarce. Drugiemu podoficerowi, Henry'emu Trecothickowi, który żeglował z Jackiem w czasach, gdy jego loki naprawdę były złociste, a nie wypłowiałe od słońca jak teraz, wydało się, że jego towarzysz przesadza.

— Ma robotę do wykonania, co nie? — powiedział chłodno. — I uparł się, by ją wykonać. Trzeba jednak przyznać, że ludzie lubią gotowane obiady. Przyzwyczailiśmy się i... Bill, widzisz ten okręt?

— Gdzie?

— Północ północny-wschód, właśnie mijają cypel. Za wyspami. Właśnie zwinął grot.

— Nic nie widzę.

— Billu Jenkins, jesteś na wpół ślepy, do reszty zidiociałym tumanem. Za wyspami!

— Za wyspami? Czemu tego wcześniej nie powiedziałeś? To statek rybacki... na pewno statek rybacki. Nie widzisz, że wiosłują? Sam żeś oślepnął?

— Podaj no lunetę, Bill — rzekł Trecothick i przyjrzał się uważnie. — To nie rybacy. Wiosłują niczym w zawodach o nagrodę Tomasza Doggeta! Prosto pod wiatr, jakby stawką było tysiąc funtów.

Rybacy tak nie wiosłują. Wiesz, co ci powiem, Bill? — dodał po przerwie. — To jest to stare, niewiel-

kie awizo. To z „Pearl” w nazwie.

— Ty i te twoje fantazje, Henry. „Pearl” nie miał powrócić z tym przypiływem. Nawet nie z następnym. O, słyszałeś? Czy to był grzmot? Nawet kilka kropel deszczu...

— Chryste, awizo wywiesiło sygnał! Usuń tę tłustą dupę z drogi! „Wróg w zasięgu wzroku”... Co oznacza biało-czerwona krata? „Idzie na północ”! Bill, leć no po pana Ballockska, a ja przygotuję sygnały. Ruszaj się, stary, ruszaj!

Chorągiewki pofrunęły na maszt, wystrzeliło działo — posterunek nad St Paul odpowiedział w ciągu kilku sekund, a do kajuty kapitańskiej „Boadicei” wpadł jak burza midszypmen wachtowy. Zastał komodora radosnego, różowego na twarzy i otoczonego papierami — właśnie zajadał spóźnione śniadanie i dyktował list swemu nie ogolonemu sekretarzowi o załzawionych oczach.

— Meldunek pana Johnsona, sir! — wykrzyknął młodzieniec. — St Paul powtarza sygnał z Saint-Denis! „Wróg w zasięgu wzroku na kursie północnym”!

— Dziękuję, panie Bates — powiedział Jack. — Przyjdę natychmiast na pokład.

Obsadę pokładu rufowego zastał znieruchomiłą, wpatrzoną w odległy maszt sygnałowy.

— Panie Johnson, proszę przygotować okręt do podniesienia kotwicy — wydał rozkaz, po czym sam zapatrzył się na maszt. Dwie minuty minęły bez nowego sygnału, po czym Jack zwrócił się do midszypmena-sygnalisty: — Proszę przekazać do Saint-Denis: „»Staunch« i »Otter« natychmiast szykować się do wyjścia na morze, podążać za okrętem flagowym”. Panie Tullidge, mam miejsce jedynie dla pięćdziesięciu ochotników, nie więcej! — To ostatnie zdanie wykrzyknął w stronę „Africaine”, stojąc przy relingu rufowym.

Dzika chęć odegrania się na Francuzach natychmiast wzięła górę nad dyscypliną i ludzie z „Africaine”

rozpoczęli szaleńczy, pełen szturchańców wyścig na „Boadiceę”. Pięćdziesięciu zwycięzców, których

wiódł potężny pomocnik nawigatora o twarzy pawiana, dotarło na fregatę w pław lub szalupą, w chwili kiedy

liny kotwiczne wpełzały do kluz, a sam okręt zaczął łapać lądową bryzę w żagle.

Żagle wykwiwały jeden po drugim. Fregata płynęła coraz szybciej, a bryza pchała ich lekko w stronę Cape

Bernard, gdzie górzysty teren zasłaniał całą połąć morza na północ od Saint-Denis wraz z samym miastem. Po postawieniu żagli bocznych spieniona fala dziobowa podchodziła aż do ław wantowych, lecz nawet mimo to

przyłodek przybliżał się niezwykle powoli. Jack poczuł zatem ulgę, gdy jego uwaga została odwrócona przez

nowe zamieszanie. Ktoś puścił plotkę, że ludzie z „Africaine” mieli przejąć dziobowe działa na prawej burcie.

Głośne gniewne głosy, rzadko słyszane na „Boadicei”, niosły się teraz z pokładu rufowego, zakłócając

uświęcony spokój dobrze dowodzonego okrętu wojennego. Na rufę przybiegł bosman, porozmawiał z pierwszym oficerem, po czym pan Seymour stanął za plecami tkwiącego przy relingu Jacka, który wciąż

wpatrywał się w posterunek sygnałowy w nadziei dojrzenia jakiejś bardziej konkretnej informacji. Seymour

kaszlnął i oznajmił:

— Proszę o wybaczenie, sir, ale ludzie z sekcji pana Richardsona uważają, iż zostaną odebrane im działa. Z

największym szacunkiem pragną przekazać, iż spotka się to z pewnymi trudnościami.

— Niech załoga zgromadzi się przed pokładem rufowym, panie Seymour — powiedział Jack, wciąż wpatrując

się w ledwie widoczny maszt sygnałowy. Gdy zatrzasnął lunetę i odwrócił się, śródokręcie zatłoczone już było ludźmi, u których bezgraniczny, szczery szacunek dla jego osoby przytłumiło teraz rozwścieczenie na brak

sprawiedliwości.

— Niech skonam, cóż za udana z was banda starych bab! — powiedział rozdrażniony Jack. — Uczepiliście się

jakiejś bezsensownej, wierutnej bzdury i szczujecie się nią nawzajem z przejęciem godnym lepszej sprawy.

Spójrzcie tylko na Eamesa, już mu ktoś nos rozwalił! A wszystko to, nim w ogóle się dowiedzieliśmy, czy nasz wróg to nie jakiś zabłąkany słup i czy zechce on zaczekać, aż skończycie skakać sobie do oczu! Powiem wam, jak rozstrzygniemy sprawę — jeśli dopisze nam szczęście i zewrzemy się z wrogiem w boju, każda

drużyna będzie obsługiwała to samo działo, na którym dotąd ćwiczyła. Tak! Jeśli natomiast

ktokolwiek z załogi „Boadicei” zostanie ranny, zastąpi go człowiek z „Africaine”... jeśli zaś dojdzie do abordażu, pierwszeństwo mają ludzie z „Africaine”. To jasne i sprawiedliwe. Panie Seymour, proszę

wydać naszym gościom kordelasy i topory abordażowe.

Obie załogi przyjęły decyzję kapitana jako słuszną i choć starej załogi „Boadicei” nie udało się namówić do pokochania przybyszów, zaczęli traktować gości z „Africaine” z dystansem, acz

przyzwoicie. Oszczędzili im dalszych wyzwisk i bójek, ograniczając się do „przypadkowych” kopnięć

lub szturchnięć.

W końcu fregata dotarła do Cape Bernard i minęła go, przechodząc obok zdradliwej pułapki na odległość rzutu kamieniem. Kiedy okręt kończył zakręt, z północy dobiegł do uszu załogi odległy ryk ciężkich dział.

— Panie Richardson — odezwał się Jack. — Proszę wskoczyć na top masztu i meldować o wszystkim, co pan zobaczy.

Z chwilą kiedy midszypmen zniknął wśród rei, lin i żagli, w polu widzenia znalazło się Saint-Denis.

„Staunch” wciąż borykał się z trudnościami, próbując wyjść z portu, a „Otter” wyprzedzał go ledwie o milę. Jack zmarszczył brwi i już miał zawołać midszypmena-sygnalistę, kiedy naraz na rejach obu

mniejszych okrętów pojawiły się nowe żagle. Uświadomił sobie, że przecież — w przeciwieństwie do

stojącej w pogotowiu przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny „Boadicei” — żaden z nich nie był

tak naprawdę przygotowany do błyskawicznego podniesienia kotwicy i wyjścia z portu. Na pewno też

większa część obu załóg przebywała w tym czasie na lądzie lub w stocznii. Tak czy owak, nie był zadowolony i zaczął obmyślać reprimendę.

„Zalibym stawał się nadęty?” — przyszło mu do głowy. Jako odpowiedź w jego myślach uformowało się nieprzyjemne słowo: „Prawdopodobnie”.

Wtedy z topu obwołał go Nakrapiany Dick, który tymczasem dokładnie zlustrował północny horyzont:

— Hej tam, na pokładzie! Kapitanie, widzę żagle trzech okrętów dwa rumby na lewo od dziobu!

Jakby na potwierdzenie jego słów na horyzoncie przetoczył się odległy rumor dział. Każdy człowiek na pokładzie fregaty nadstawiał teraz ucha, usiłując usłyszeć jak najwięcej poza pluskiem morza i skrzypieniem takielunku. Wszyscy też słyszeli suche trzaski wystrzałów z muszkietów, słabe, lecz znacznie bliższe od wystrzałów z dział.

Z topu znów dobiegł głos midszypmena, meldującego z pewnym opóźnieniem o obecności awizo w odległości kilku mil, niemalże niewidocznego za rafą. Jego załoga wciąż wiosłowała z całej siły pod wiatr, a wystrzały z muszkietu wciąż zwracały uwagę na wywieszane chorągiewki sygnałowe, meldujące o nieprzyjacielskich okrętach w zasięgu wzroku.

— Proszę podejść do awizo, panie Seymour — rozkazał Jack.

Kiedy „Boadicea” ruszyła w kierunku „Pearl”, ten postawił kliwer i grot, po czym wykonał zwrot przez dziób i ruszył z wiatrem z baksztagu, przechodząc w bezpiecznej odległości od raf i ich wystających nad wodę grzbietów. Obie jednostki płynęły teraz z dużą prędkością niemalże równoległymi kursami, tak więc doktor Maturin mógł przedostać się na pokład fregaty w biegu bez straty czasu.

Jego doświadczenie żeglarskie było dobrze znane na pokładzie „Boadicei”, zatem nie trzeba było wydawać specjalnych rozkazów, by załoga przygotowała się odpowiednio na przejęcie doktora. Nie było czasu na użycie ławki bosmańskiej, tak więc na noku grotrei pojawiła się pętla. Gdy obie jednostki sunęły szybko, oddzielone ledwie kilkoma stopami spienionej wody, balansujący na relingu Bonden pochwycił pętlę, zamocował ją wokół Stephena i wyblągał, by ten zachował spokój.

— Ciągnąć, tam! Żywo! — wrzasnął w stronę marynarzy z „Boadicei”, po czym przeskoczył zręcznym kot na pokład rodzimej fregaty i ruszył biegiem wzdłuż burty, by przyjąć doktora. Idealnie

wyliczył wysokość fali i wszystko poszłoby dobrze, gdyby wiszący w powietrzu Stephen, kierowany impulsem znalezienia oparcia, nie chwycił za którąś z lin „Pearl”. Była to luźna, zwisająca z liku dolnego lina, która natychmiast oplotła się wokół jego rozkołysanych nóg i wciągnęła go w gąszcz lin,

których nie umiał ani nazwać, ani rozplatać. Silne, wysokie fale groziły teraz, że Stephen dotrze na pokład „Boadicei” w dwóch kawałkach. Gibki marynarz z „Pearl” wspiał się zatem szybko i zręcznie na takielunek i jął nożem czynić spustoszenie wśród lin, stopniowo uwalniając doktora z wiążącego go

gąszczu. W tej samej jednak chwili marynarze z „Boadicei”, widząc, iż właśnie rozdzierają swego lekarza na pół, puścili linę, wskutek czego Stephen, zatoczywszy łuk w powietrzu, wpadł do wody i uderzył w burtę fregaty tuż pod linią wodną. Pogonieni wrzaskami reszty załogi, marynarze pociągnęli

linę, lecz Stephen utknął pod ławą wantową, która wcisnęła go głęboko pod wodę, gdy okręt opadł z następną falą. Na swe nieszczęście Maturin miał setki oddanych przyjaciół na pokładzie „Boadicei” —

kilkunastu marynarzy błyskawicznie wskoczyło do wody na ratunek i naraz potężne ramiona poczęły go szarpać za ręce, nogi i włosy we wszystkich kierunkach. Uratowała go dopiero zdecydowana interwencja komodora, i ledwie żywy, broczący krwią z ran zadanych przez ostre krawędzie toczących

dno okrętu skorupiaków Stephen dotarł wreszcie na pokład. Marynarze pomogli mu wykrztusić wodę i zanieśli pod pokład, zrywając zeń ubranie.

— Tylko spokojnie, spokojnie! — Jack z niepokojem patrzył na twarz przyjaciela, przemawiając doń tym współczującym, troskliwym tonem, który już niejednego pacjenta doprowadził do furii i w efekcie wpędził do grobu.

— Nie ma chwili do stracenia! — wrzasnął Stephen, zrywając się z pośłania.

— Ależ my nie tracimy ani chwili, kochany Stephenie. — Jack przemocą wcisnął go z powrotem w koję, przemawiając tym samym łagodnym tonem. — Ani chwilki! Już się tak nie unos. Wszystko

będzie dobrze. Jesteś bezpieczny.

— Niech diabeł porwie twą duszę, Jacku Aubrey! — wrzeszczał Stephen. — Killick, Killick! — krzyknął jeszcze silniejszym głosem. — Ty nadęty draniu! Chodź tu z kawą i to w tej chwili, na litość boską! I przynieś jeszcze miskę oleju. A ty, Jack, słuchaj. — Stephen wyslizgnął się w końcu spod potężnego chwytu Jacka i usiadł. — Musisz pędzić! Postaw, co możesz, i pędź! Dwie francuskie fregaty grzmocą w jedną z naszych, a jeden z Francuzów, „Venus”, stracił maszty i liny! No, Bonden powie ci, co dokładnie! Musisz ich gonić, a nie siedzieć tu i łypać na mnie jak sparaliżowany kret!

— Zawołać mojego sternika — rozkazał Jack. — Stephen, my już pędzimy pod wszystkimi żaglami!

— Powrócił do Stephena, wymieniając nazwy wszystkich żagli, które pchały fregatę w stronę odległej

bitwy. Zapewnił też przyjaciela, że z chwilą kiedy ustanie bryza lądowa, a wejdą w obszar przybrzeżnego wiatru południowo-wschodniego, nakaże postawić również grotżagiel i sztaksle, gdyż wtedy będą mieli korzystny wiatr z baksztagu. Zwrócił także uwagę, iż obecność kapitana na pokładzie nie jest konieczna, by okręt płynął do celu, skoro miał zespół tak wspaniałych oficerów.

Pojawienie się Bondena i Killicka z olejem przerwało odpowiedź Stephena. — Doktor przetrząsnął stertę swych mokrych rzeczy, wyciągnął zegarek i zanurzył go w cieczy.

— Przetrwiał już zanurzenie na wielkiej głębokości. Miejmy nadzieję, że przetrwa i to — zauważył.

— Cóż, Barrecie Bonden, przekażę panu komodorowi zwięzły raport o sytuacji, a ty zechciej uzupełnić to szczegółami technicznymi. — Stephen pozbierał myśli i kontynuował: — Wczoraj wieczorem, musisz wiedzieć, znalazłem się na najwyższym punkcie Morne Brabant w miejscu, gdzie widać morze. Rozmawiałem tam z kilkoma dżentelmenami, od których dowiedziałem się między innymi, o czym nie wolno mi zapomnieć, iż „Bellone”, „Minerve” i „Iphigenia” przechodzą w tej chwili poważne remonty. Wszystkie ich działa są na lądzie, a same fregaty nie będą mogły wyjść na morze przez dobre dwa tygodnie, a może i dłużej. Bonden był w pewnej odległości...

— W odległości kabla, sir — wtrącił Bonden.

— .. kiedy to dostrzegłem statek, żeglujący z Port-Louis w kierunku La Reunion. Jeden z owych dżentelmenów, który wiele lat spędził na morzu, zapewnił mnie, iż był to statek Kompanii. Wskazał ogólne cechy handlowego charakteru statku oraz dodatkowy tylny pokład czy też platformę...

— Nadbudówkę rufową — wymamrotał Bonden.

— ...która zawsze wyróżnia te wasze statki Kompanii. Ów dżentelmen powiedział również, iż dziwiłby się, gdyby przebywający w Port-Louis monsieur Hamelin pozwolił uciec takiemu przyzowi. W istocie w chwilę później dostrzegliśmy „Venus” wraz z mniejszą fregatą...

— Proszę wybaczyć, sir — wtrącił znowu Bonden. — „Venus” towarzyszył słup — stwierdził, błędnie wymawiając francuskie słowo.

— Ten mniejszy miał trzy maszty! — ostro zareagował Stephen. — Przecież liczyłem!

— Tak, sir, ale to był tylko słup — odpowiedział Bonden. — Szesnastodziałowa korweta „Victor”, sir

— wyjaśnił, zwróciwszy się do Jacka.

— Cóż, nieważne. Oba francuskie okręty podjęły pościg za rzekomym statkiem Kompanii, przy czym „Venus” wyraźnie wyprzedziła swego towarzysza. Wtedy to okazało się, że ów statek handlowy wcale

nim nie jest. Jego kapitan nakazał zwinąć część żagli, pozwolił „Venus” podejść bliżej, po czym otworzył ogień i wywiesił banderę okrętu wojennego.

Jack spojrzał na Bondena.

— To był „Bombay”, sir — powiedział sternik. — Nasz rodzimy statek Kompanii, który marynarka kupiła w 1805 roku i przeklasyfikowała na fregatę. Mój kuzyn George odbył na niej jeden rejs jako pomocnik artylerzysty. Mówił, że to dobry okręt, ale strasznie powolny. Ma dwadzieścia cztery działa

osiemnastofuntowe, dwie długie „ósemki” i czternaście dwudziestoczwierdziałowych karonad.

— W tym momencie — podjął historię Stephen — „Venus” zaczęła się wycofywać, by poczekać na drugi okręt, a „Bombay” płynął dalej. Słońce zaszło, więc zeszedliśmy z klifu i udaliśmy się na pokład

awizo. I w tym miejscu oddałem bieg wydarzeń w ręce Bondena.

— Tak więc, sir — rzekł Bonden. — Wiedziałem, że chciałby pan jak najszybciej o tym usłyszeć.

Piorunem przelecieliśmy przez cieśninę Dutchman Passage, nawet nie ocierając się o rafy, choć był odpływ. Weszliśmy w ślad torowy „Victora”, przeszliśmy za jego rufą tuż przed pojawieniem się księżycy i ruszyliśmy na nawietrzną, stawiając dosłownie każdy skrawek płótna. Awizo nieźle zasuwało... kiedy księżyc był już wysoko na niebie, robiliśmy dziewięć węzłów. Widzieliśmy „Venus”, jak powoli zbliżała się do „Bombaya”, robiąc może siedem węzłów na sześć naszego okrętu.

Na początku wachty środkowej, kiedy już ląd dawno zniknął z pola widzenia, oba okręty zrównały się

i zaczęła się rąbanina. Muszę dodać, że na pokładzie „Bombaya” było trochę piechoty morskiej, ale i „Venus” miała sporo żołnierzy — jej pokłady były wprost zatłoczone. Francuzi nie wykorzystali jednak przewagi i po krótkim zwarciu odskoczyli poza zasięg dział. Z tego, co mogłem dostrzec, mocowali na nowo bukszpryt. Tak czy owak, kilka szklanek później Francuz wziął się w garść, a że wiatr się zmienił o dwa rumby, postawił żagle boczne i ruszył znowu na naszego. Bój rozpoczął się na

nowo podczas wachty porannej — oba okręty były w ruchu z postawionymi bombramsłami i żaglami bocznymi lewej burty, ale my byliśmy podówczas tak daleko z przodu, że niewiele dostrzegłem z przebiegu walki. Na pewno widziałem, jak „Venus” traci fokstengę i gafel, a „Bombay” grotstengę i bezan-stengę, a jego żagle główne były mocno poszarpane. Kiedy widzieliśmy akcję po raz ostatni, „Bombay” wciąż płynął z maksymalną prędkością na Saint-Denis, a słup nadal był ponad milę za ich rufą. W trakcie opowieści Bondena „Boadicea” zaczęła przechylać się na bakburtę — wypłynęli już ze

strefy wiejącej od rufy bryzy lądowej, a w żaglach znalazł się wiatr południowo-wschodni, jak na złość łagodny. Pomimo wcześniejszych pochwał na temat umiejętności swych oficerów, Jack wyszedł

na pokład w chwili, kiedy Bonden zakończył swą opowieść. Odruchowo oszacował liczbę

postawionych żagli wobec siły wiatru i wyczuł pewną dysproporcję. Jak wielu młodych ludzi, Johnson

wciąż mylnie wychodził z założenia, że im więcej płótna, tym większa szybkość, i przez jego zapal fregata przegłębiała się na dziób. Jack nie chciał jednak, by jego uwaga o stosownej zmianie żagli miała charakter kontroli, tak więc najpierw obwołał obserwatora na topie.

— Hej tam, na topie! Co widać?

— Widać już ich kadłuby, sir! — odkrzyknął obserwator. — Ciężka fregata, statek Kompanii i słup ożeglowany jak fregata, być może to nawet mniejsza fregata! Wszystkie trzy pod francuską banderą! Nie było wymiany ognia od czterech szklanek. Fregata i statek straciły wszystkie trzy stengi. Słup chyba bez uszkodzeń!

Jack pokiwał głową, przeszedł się po pokładzie rufowym i powiedział Johnsonowi, iż opór okrętu zmniejszy się po zwinięciu latacza. Następnie zawiesił lunetę przy pasku, pochwycił się want i podjął wspinaczkę na top. Nie umiał piąć się tak szybko jak dwadzieścia lat temu, lecz wciąż ze sporą zwinnością minął grotmars i saling, aż dotarł do obserwatora.

Marynarz nie mylił się — przekazał mu wszelkie szczegóły, lecz przecież nie był w stanie opisać nastroju panującego na polu bitwy daleko na północy. Odległość, dzieląca ich od Francuzów, była tak

wielka, że migoczące powietrze czasem zwodziło obserwatora, raz dodając odległym okrętom

masztów, raz odejmując. Jack wspiał się na zawieszony w powietrzu szczyt, by poznać prawdziwy

charakter starcia. Rzut okiem w tył powiedział mu, iż „Staunch” i „Otter” wciąż znajdowały się kilka mil za rufą, a dystans się powiększał. Jack na dłuższą chwilę skoncentrował się zatem na

dokładniejszej ocenie sytuacji. „Venus” i „Victor” bezsprzecznie zajęły „Bombay”, niszcząc stengi brytyjskiego okrętu. Francuska fregata zapłaciła jednak słono za zwycięstwo, tracąc nie tylko

fokstengę i grotstengę, ale również i większą część stermasztu. Słup nie ucierpiał w walce w ogóle. Na

pokładzie „Venus” trwała wytężona praca i Jack odniósł wrażenie, że Francuzi przygotowują się do

postawienia nowej fokstengi. Zdołali już przymocować jakieś dłuższe drzewce do kikuta stermasztu. Między oboma okrętami kursowały szalupy i choć odległość nie pozwoliła mu na stuprocentową pewność, Jackowi wydało się, że grupy marynarzy przemieszczają się w obu kierunkach. Nie był to zatem jedynie transfer więźniów. Czyżby Hamelin zamierzał obsadzić ludźmi swój przyz? Nie było to niemożliwe — wyruszając ze swego rodzimego portu, mógł przecież powiększyć załogę o marynarzy wcielonych do służby z innych statków, nie mówiąc już o wszystkich żołnierzach w Port-Louis. Gdyby zatem Hamelin miał ludzi do obsadzenia czterdziestu dział „Bombaya” oraz odwagę do rzucenia Brytyjczykom wyzwania, sytuacja odmieniłaby się diametralnie.

Jack ani przez chwilę nie przestawał wątpić w zwycięstwo, lecz wiedział o zbyteczności formułowania

takiego przekonania, nawet w skrytości ducha. Był pewien, iż ma ono trwać jak wewnętrzny ogień, który płonął w nim od chwili odzyskania „Africaine”, a teraz objął całe jego serce. Uważał ów ogień za swą osobistą tajemnicę, lecz w istocie wiedzieli o nim wszyscy na pokładzie, od Stephena aż po gapiowatego chłopca okrętowego trzeciej klasy, którego nazwisko zamykało księgę werbunkową. Odłożył zatem swe przemyślenia na bok i zabrał się do obiektywnego, chłodnego roztrząsania czynników, które mogłyby zwycięstwo opóźnić, a nawet zniweczyć.

Pierwszym z nich był wiatr. Siła powiewu z południowego zachodu powoli słabła, a na prawo od dziobu już pojawiały się gładkie odcinki tafli morskiej, zwiastujące zwyczajową w godzinach południowych ciszę. Taki układ wydarzeń mógł zatrzymać bieg okrętu lub zmusić go, by powoli płynął prosto w ogień salw burtowych „Venus” i „Bombaya”. Dzięki temu Hamelin mógłby też założyć zapasowy takielunek i podwoić zdolność manewrową.

Kolejnym czynnikiem było przybycie odsieczy. Jack nie cenił wysoko przedsiębiorczości francuskiego komodora, lecz na pewno nie był on półgłówkiem. Z chwilą kiedy o świcie zamajaczyła na południowym horyzoncie wyspa La Reunion, z pewnością wysłał na Mauritius najszybszy kuter z poleceniem przysłania posiłków. Będąc na miejscu Hamelina, Jack sam by tak uczynił w chwili

opuszczenia bandery przez „Bombaya”.

Kiedy zajęty był rozważaniem tych kwestii, sytuacja na północy stała się bardziej zrozumiała. Szalupy

zostały wciągnięte na pokłady, „Victor”, postawiwszy wszystkie żagle, wziął „Bombay” na hol, a „Venus” pod żaglami głównymi foka i grota, ruszył fordewindem. Fokżagiel wykwitł wkrótce również

na rejach przyzu. W tamtym rejonie wciąż wiała świeża bryza i wszystkie trzy jednostki osiągnęły prędkość trzech węzłów. „Boadicea”, mając postawioną imponującą piramidę żagli, nie przekraczała w chwili obecnej pięciu i pół.

„No cóż” — pomyślał Jack. „Niewiele więcej mogę zrobić”.

Postanowił przynajmniej pogwizdać, by przywołać wiatr. Zakończywszy gwizdać najskuteczniejszą w

tej materii piosenkę *Plymouth Point*, przeszedł na inne melodie, kiedy to w jego umyśle z nieoczekiwaną ostrością pojawił się obraz Sophie.

„Gdybym był przesądny, przysięgłbym, że właśnie myśli o mnie” — pomyślał, patrząc w kierunku Anglii i uśmiechając się ze szczególną tkliwością.

Uśmiech wciąż błąkał się na jego twarzy, kiedy zsunął się na pokład. Ośmieliło to Seymoura, by podejść i zapytać, czy powinien zacząć przygotowywać okręt do boju.

— Jeśli o to chodzi, panie Seymour — powiedział Jack, patrząc na tabliczkę z zapisanymi osiąganiami jednostki — przygotowanie okrętu do walki mogłoby się okazać odrobinę przedwcześnie. Nie wolno nam kusić losu. Panie Bates, proszę przeprowadzić pomiary prędkości.

— Tak jest, zmierzyc prędkość! — powiedział midszypmen i puścił się biegiem w kierunku relingu zawietrznego wraz z pomagającymi mu chłopcem okrętowym i młodszym nawigatorem. Chłopiec pochwycił bęben z logliną, pomocnik nawigatora ujął trzydziestosekundową klepsydrę, a Bates cisnął deskę logu do wody.

— Obracaj! — krzyknął, kiedy deska stawiała opór falom.

Młodszy nawigator przytknął klepsydrę do oka, a chłopiec uniósł bęben z powagą godną kapłana.

Deska znikła za burta, a węzły na linie jeden po drugim prześlizgiwały się między palcami Batesa.

— Zaciskać! — krzyknął młodszy nawigator. Midszypmen pochwycił linę, a chłopiec ją nawijać.

— Dokładnie pięć węzłów, sir! — zameldował Bates. Jack pokiwał głową i spojrzał na piętrzącą się nad pokładem piramidę żagli, na węże przeciwpożarowe na topach, którymi polewano wodą całe płótno, i na wciągane na salingi kubły z wodą do polewania bramsli, by te chwytały choćby najłżejsze

podmuchy wiatru

— Nie, panie Seymour—zwrócił się ponownie do oficera. — Jeśli bogowie się nie zlitują, mamy więcej czasu dla siebie, aniżeli byśmy chcieli. Szkoda by było już gasić ogień w kambuzie — niech pan lepiej rozkaże, by bosmani wezwali ludzi na obiad po wybiciu szóstej szklanki. Nie otrzymali swego puddingu zeszłej niedzieli, więc niech tym razem dostaną podwójną porcję. Z drugiej strony, niech pan dopilnuje, by w tym upale wydano tylko połowę porcji grogu i nie ma mowy o żadnym odkładaniu na później!

Spojrzenia marynarzy za kołem sterowym, młodszego nawigatora, kierującego ruchem okrętu, marynarzy-sygnalistów i najbliższych ludzi z podwachtu bezanu stały się zimne niczym lód.

— Jeśli wiatr, pogoda i nieprzyjaciel pozwolą— kontynuował Jack, spacerując po pokładzie — reszta

zostanie wydana przy kolacji. Ach, panie Seymour, jeszcze jedno. Przez to, że obiad zostanie wydany tak wcześnie, nie będzie dzisiaj czasu na rozwinięcie tentu i mszę. Myślę, że możemy zwołać niedzielny apel. Panie Kierman — dodał, skinąwszy w stronę oficera o twarzy pawiana — pan przeprowadzi zbiórkę ludzi z „Africaine” na pokładzie dziobowym.

Od tej chwili na pokładzie fregaty wszystko nabrało szaleńczego tempa. Mało kto spodziewał się zbiórki — to uroczyste wydarzenie w życiu okrętu odbywało się co prawda każdej niedzieli, lecz trudno się go było spodziewać w czasie, kiedy okręt zmierzał w stronę nieprzyjaciela. Marynarze mieli

zatem niespełna godzinę, by się umyć, ogolić i stawić na pokładzie w czystej koszuli na inspekcję midszypmenów, oficerów i wreszcie samego komodora. Co więcej, załoga „Boadicei” uparła się, by własną postawą zakasować ludzi z „Africaine”. Wzdłuż burt i na pokładzie dziobowym marynarze cicho i sprawnie czesali sobie włosy i zaplatali warkoczyki, a wokół pokładowego cyrulika tłoczyły się niecierpliwe grupy, zmuszając go do jeszcze szybszej pracy i nie myśląc o tym, jakie skutki może ów pośpiech wywołać. Zdenerwowani żołnierze piechoty morskiej oporzędzali się gorączkowo i pucowali swą broń w gorejących promieniach słońca.

Sama inspekcja była podniosłym wydarzeniem. Komodor, w towarzystwie odzianych w galowe mundury oficerów ze szpadami u boku, wolno kroczył wzdłuż równych, starających się prezentować jak najlepiej szeregów marynarzy. Upokorzenie zarośniętych ludzi z „Africaine” w brudnych koszulach było dla nich satysfakcjonujące. Dostojeństwo ceremonii zakłóciło jednak rozkojarzenie załogi, gdyż w tym samym czasie na pomocnym horyzoncie działały się rzeczy wielce intrygujące.

Pękła bowiem lina holownicza, na której ciągnięto „Bombay”, i załoga „Victora” miała ogromne problemy z założeniem kolejnej, „Venus” zaś, po zmianie kursu, weszła w strefę bezwietrzną.

Dystans

między „Boadiceą” a francuskimi okrętami malał niezwykle szybko i oprócz zdyscyplinowanych żołnierzy piechoty morskiej niewielu mogło opanować pokusę zerknięcia ku północy i rzucenia jakiegś

uwagi. Załoga w pewnym momencie rozgadała się do tego stopnia, że pierwszy oficer, pan Trollope, w asyście Jacka przeprowadzający inspekcję kambuza i pokładu mieszkalnego, musiał kilka razy ostro

krzyknąć: „Cisza na pokładach!” i zapisać nazwiska najbardziej gadatliwych, by później wymierzyć im karę.

Kiedy zakończono inspekcję, przenikliwe gwizdki bosmana i jego pomocników wezwały załogę na obiad. Wszyscy spodziewali się lada chwila nadejścia rozkazu: „Przygotować okręt do boju”, gdyż przez ostatnie pół godziny zauważalnie wzmógł się wiatr. Sytuacja postawiła każdego marynarza

przed wyborem — albo przystąpi do walki w odświętym ubraniu, albo straci jeśli nie porcję wołowiny, to na pewno podwójną porcję puddingu. Większość postawiła na pudding i na pokładzie pojawiły się grupki zajadających marynarzy, ostrożnie trzymających miski z dala od śnieżnobiałych koszul, jedwabnych chust na szyi i spodni z wszytymi wstążkami. Z chwilą nadejścia spodziewanego rozkazu, ostatnich porcji puddingu można by ze świecą szukać. Marynarze, jeszcze połykający ostatnie kęsy, sprawnie przystąpili do usuwania ścianek grodziowych. Wkrótce pod pokładem powstała wolna przestrzeń, a marynarze zastygli na stanowiskach bojowych, wpatrując się to w zbliżające się do maksymalnego zasięgu dział „Boadicei” okręty wroga, to we wciąż znajdujące się daleko za rufą „Stauncha” i „Ottera”. Na pokładzie rufowym pojawił się Stephen Maturin, niosąc talerz z kanapkami.

Doktor wydawał się marynarzom boskim zesłańcem. Nie dość, że zwracał się on do kapitana ze swobodą niewyobrażalną dla każdego innego członka załogi, to jeszcze bez skrępowania zadawał najrozmaitsze pytania, a zamiast szorstkich reprimend otrzymywał uprzejme odpowiedzi.

Dzentelemeńska zasada nie podsłuchiwania prywatnych rozmów już dawno zaginęła na pokładzie rufowym fregaty i z chwilą pojawienia się Stephena wszystkie rozmowy ucichły — nikt nie chciał uronić ani słowa z rozmowy między doktorem a komodorem. Stephen nie zawiódł ich i tym razem.

— Och, sir! — powiedział. — Cóż za splendor! Odświętne bryczesy, trójgraniasty kapelusz, złote galony! Pozwól, że zaproponuję ci kanapkę. Zalibyś rozważał teraz atak na Francuzów?

— Muszę przyznać, iż przyszło mi to do głowy — odparł Jack. — W rzeczy samej posunę się nawet do tego, by oznajmić, że starcie z Francuzami jest w tej chwili całkowicie nieuniknione. Czyżbyś przeoczył to, że przygotowaliśmy okręt do boju?

— Oczywiście, że nie. Nie po to tyle lat pływam po morzach i oceanach, by nie pojąć sensu tej chaotycznej bieganiny, znikania kajut oraz ciskania moich dokumentów i okazów naukowych gdzieś w kącie. To dlatego tu przyszedłem — szukam choć odrobiny spokoju. Niech mnie, ależ oni są blisko! Czy nie poczytasz tego za niedyskrecję, jeśli spytam, co się teraz wydarzy?

— Jeśli mam być szczery, doktorze — powiedział Jack — w chwili obecnej mam pewne wątpliwości.

Korweta, jak widzisz, porzuciła już swój hol na dobre i odbija na Mauritius pod pełnymi żaglami. Ani

chybi ma rozkazy Hamelina. On sam zaś sunie teraz w kierunku „Bombaya”. Jeśli przesłał na swój przyz wystarczającą liczbę ludzi do obsługi dział, zapewne oskrzydli nas dwoma okrętami, a my będziemy musieli wpłynąć między nie i ostrzelać je z obu burt. Jeśli zaś nie obsadził przyzu, a ten manewr ma jedynie na celu osłaniać odwrót „Victora”, czeka nas pojedynek z samą „Venus”. W tym przypadku musimy skierować się prosto na jej dziób lub, jeśli Hamelin wykona zwrot, na rufę i zdobyć fregatę abordażem. Nie chciałbym bowiem uszkodzić jej kadłuba ani tych wszystkich cennych drzewc, które widzę nad jej pokładem. Zamiary Hamelina poznamy w ciągu najbliższych dziesięciu minut. Jeśli nie ustawi foka na pracę wstecz przed dotarciem do „Bombaya”, jak gdyby chciał stanąć za nim w dryf, oznacza to, iż przyz nie jest obsadzony i zmierzymy się z samą „Venus”. Hej tam, na marsie! — krzyknął. — Co widać na północy?

— Nic, sir! — dobiegła go odpowiedź. — Tylko korweta! Czysty horyzont dookoła! Poszedł im *kite*, zakładają właśnie nowy!

Na pokładzie „Boadicei” zapadła długa cisza. Ludzie z obsługi dział, wyglądający przez otwarte furty

armatnie lub spoza barykady zwiniętych hamaków, zerkali na „Venus”. Cień rozciągniętej nad ich głowami siatki chroniącej przed odłamkami drewna tworzył na deskach pokładu dziwaczny, prostokątny wzór. Wiatr wył i pogwizdywał w płataninie takielunku.

Minuta mijała po minucie, aż uzbierało się ich dziesięć, a wtedy po okręcie przebiegł pomruk załogi.

„Venus” nie ustawiła foka na pracę wstecz i była teraz daleko za „Bombayem”. Kikuty ułamanych masztów sprawiały, iż francuska fregata prezentowała się nie najlepiej, okręt był jednak dobrze uzbrojony i miał liczną, zdeterminowaną i groźną załogę.

— Panie Seymour — odezwał się Jack. — Proszę pozostawić jedynie marsle i fokżagiel oraz

wytoczyć działa. Ładować kartaczami i mierzyć tylko w żagle! Ostrzelać pokłady, ale ani strzału w kadłub! Dobrze mnie tam słyhać? — Jego głos wzniósł się do krzyku. — Każda obsada działa, która trafi w kadłub Francuza, zostanie wychłostana! Panie Hali, kurs na dziób „Venus”!

Odległość się zmniejszała, a opinia Jacka o Hamelinie rosła. Przed wykonaniem zwrotu Francuz postanowił za wszelką cenę podejść jak najbliżej, tak by jego salwa burtowa zadała „Boadicei” uszkodzenia nie do naprawienia. Stawiał zatem wszystko na jedną kartę, gdyż po wykonaniu zwrotu „Venus”, nie mogąc postawić już ani jednego żagla więcej, nie miała szans na złapanie wiatru. Gdyby salwa „Venus” okazała się nieskuteczna, fregata zaległaby nieruchomo i padła ofiarą ognia brytyjskiego.

Oba okręty zbliżały się do siebie, już były w zasięgu strzału z pistoletu. Cisza została zakłócona, gdy wypaliły dziobowe działa „Venus”, po czym francuska fregata rozpoczęła zwrot.

— Ster lewo na burtę — rozkazał Jack w chwili, kiedy burta „Venus” ukazała się w pełnej okazałości.

Szybko płynąca „Boadicea” wychyliła się niespodziewanie w ostrym skřęcie i potężna salwa burtowa

„Venus” chybiła, nie ścinając żadnego z masztów. Uszkodzeniu uległa jedynie reja fokmarsła, pękły dwa bomby żagli bocznych i zafurkotało kilka porwanych lin. Francuskie pociski poszarpały co prawda

jeszcze kotbelkę i strąciły do wody zapasową kotwicę sterburty, ale tym samym Hamelin zmarnował swą szansę.

— Podnieść fok! — rozkazał Jack.

Żagiel skurczył się i jednocześnie zmniejszyła się prędkość fregaty wpływającej w obszar dymu z dział nieprzyjaciela. „Venus” kontynuowała zwrot, aż do momentu, kiedy zarówno wiatr, jak i „Boadicea” znalazły się niemal dokładnie za jej rufą.

— Żywo z tą gejtawą! — rzucał rozkazy Jack. — Panie Hall, proszę minąć prawą ćwiartkę rufową „Venus” i zewrzeć się z jej dziobem!

„Boadicea” ostro skoczyła naprzód. Naraz jasne się stało, że zewrze się z burzą „Venus”, nim Francuzi zdążą przeładować działa do następnej salwy.

— Marynarze z „Africaine”! — wrzeszczał Jack. — Gotować się do abordażu na dziób! Marynarze z „Boadicei” na rufę! Uderzymy na ich pokład rufowy! I pamiętać — wdzieramy się minutę po ludziach z „Africaine”! Czekać przy działach! — Poluzował szpadę w pochwie. — Bonden, gdzie moje pistolety?

U jego boku pojawił się Killick, trzymając parę starych butów i kurtkę przewieszoną przez ramię.

— Nie może pan walczyć w najlepszych butach ze srebrnymi sprzączkami, kapitanie! — zaprotestował steward gniewnie. — Ani w pańskiej najlepszej kurtce! Niech się pan przebierze, nie zajmie to więcej niż minutę czasu!

— Nonsens! — powiedział Jack. — Wszyscy inni idą do walki w odświętnych strojach, czemu więc ja nie miałbym tego robić?

Piechota morską „Venus” otworzyła ogień z rufy fregaty, lecz nie miało to już wpływu na losy pojedynku. „Boadicea” płynęła równo z Francuzem.

— Ognia! — ryknął Jack.

Kartacze z dział „Boadicei” zawyły nad pokładem „Venus” na wysokości głowy. W kłębiącym się dymie na drzewca wrogiego okrętu poleciały kotwiczki łodziowe — marynarze na rejach sprawnie powiązali reje z rejami „Venus”. Dzioby obu fregat zderzyły się.

— „Africaine”, naprzód! — ryknął Jack.

W chwilę później również i rufy okrętów przyciągnięto do siebie. „Venus” i „Boadicea” stały dokładnie burta w burtę.

Jack na czele oddziału abordażowego czekał przez pełną minutę przy relingu. Stojący za nim żołnierze

piechoty morskiej składali się do strzałów z muszkietów, jak gdyby byli na paradzie, a inni strzelcy na

rejach zasypywali ogniem stanowiska dział. Przez pełną minutę na pokładzie dziobowym „Venus”

panowała wrzawa bitwy, rozlegały się wystrzały i wrzaski walczących, wzmocnione o ryk karonady, którą ludzie z „Africaine” wycelowali na śródokręcie.

— „Boadicea”, za mną! — zawołał Jack, wskoczył między rozdarte hamaki i jednym susem znalazł się przy wantach grotmasztu „Venus”. Szpada natychmiast znalazła się w jego dłoni — Jack chlasnął przez siatkę przeciwabordazową, ciął w głowę jakiegoś Francuza i wskoczył na pokład rufowy. Za nim wtargnęła wrzeszcząca chmara ludzi.

Marynarze francuscy odpierali wściekły atak ludzi z „Africaine” na śródokręciu i Jack znalazł się nagle przed szeregiem żołnierzy. Minęła sekunda, nim zalała ich fala atakujących z „Boadicei”, lecz przez ten czas jakiś mały, przerażony do granic francuski kapral zdążył natrzeć na Jacka z bagnietem. Bonden pochwycił lufę, wyrwał muszkiet z jego dłoni i wymachując kolbą jak maczugą, przypuścił atak na żołnierzy, powalając trzech z nich. Szyk pękł natychmiast. Za żołnierzami leżało kilka ciał w mundurach oficerskich i przez ułamek sekundy Jackowi wydało się, że widzi wśród nich francuskiego kapitana. W tej samej chwili grupa francuskich marynarzy, znajdująca się do tej pory na lewej burcie, zawróciła i pod wodzą młodego oficera zaatakowała oddział z „Boadicei” z taką furją, iż ci cofnęli się aż do koła sterowego. Następną kilka minut wypełniła krwawa, zacięta walka — Brytyjczycy i Francuzi cięli i parowali ciosy, strzelali z pistoletów i unikali kul, bez litości kopali i rąbali swych przeciwników.

Załoga „Venus” nie była jednak w stanie długo wytrzymać furii brytyjskiego oddziału abordażowego — walkę utrudniały im zarówno tłok, jak i zmęczenie po drugim nocnym boju, ponadto morale upadło na widok szybko nadpływających „Stauncha” i „Ottera” oraz malejących szans na zwycięstwo. Kilku chorwackich żołnierzy, osobiście nie zainteresowanych celem walki, wskakiwało teraz do nie strzeżonego głównego luku, a w ich ślady szli inni, szukając schronienia pod pokładem. Pozostali Francuzi na pomoście wykonali ostatnią, rozpaczliwą szarżę, podczas której jakiś niski, barczysty marynarz zamachnął się nożem w stronę Jacka. Ten uderzył go rękojeścią szpady w twarz, przebiegł po jego ciele i naraz pojawiła się przed nim wolna przestrzeń, na końcu której, przy kołkownicy

przymasztowej, stał francuski oficer. Francuz trzymał przed sobą broń w geście poddania i jednocześnie wskazywał ku rufie, gdzie chłopiec okrętowy ściągał banderę.

— Wstrzymać walkę! — ryknął w stronę dziobu Jack, starając się przekrzyczeć wrzaski radości, jakie

rozległy się na pokładzie rufowym „Venus”. — Hej tam, na dziobie! „Africaine”! Wstrzymać walkę! „Venus” zrzuciła banderę!

Bój naraz się zakończył. Ludzie rozchodzili się powoli, bez słów, z oszołomieniem spoglądając na swoich niedawnych przeciwników. Ogromne napięcie opadło niezwykle szybko i w ciągu tych kilku chwil pojawiła się całkiem nowa, prymitywna forma kontaktu społecznego — wrogowie sprzed minuty teraz nie byli już w stanie wymierzać sobie ciosów.

Jack przyjął szpadę Francuza z uprzejmym skinięciem głowy i podał ją Bondenowi. Człowiek, którego przed chwilą stratował, podniósł się teraz i nie patrząc na Jacka, potykając się, ruszył w stronę

swych towarzyszy. Francuscy marynarze stali tam, gdzie zastał ich koniec bitwy, lub zbierali się w małe grupki przy burcie zawietrznej, milcząc, jak gdyby akt poddania się pozbawił ich wszelkiego ducha i odebrał im mowę.

Marynarze z „Boadicei” wznosili wiwaty, którym odpowiedziało odległe echo ze stojącego w odległości ćwierć mili „Bombaya”. Na jego stermaszcie na nowo pojawiła się bandera, a załoga na pokładzie podskakiwała z radości, wymachiwała ramionami i wiwatowała od dziobu aż po rufę i na masztach.

— Komodor Hamelin? — zapytał Jack poddającego się oficera. Ten wskazał jedno z nieruchomych ciał przy kole sterowym.

— Przykro mi z powodu Hamelina — powiedział Jack, gdy zasiedli ze Stephenem do spóźnionego obiadu. — Choć jak teraz o tym myślę, o takiej śmierci można tylko marzyć.

— Jeśli o mnie chodzi — odezwał się Stephen — marzę o całkowicie innych, daleko wspanialszych

rzeczach. Odłamek w sercu mija się dla mnie z wyobrażeniem szczęścia i uczynię wszystko, co w mojej mocy, by tego uniknąć. Z tego, co widzę, żal z powodu śmierci francuskiego komodora nie wpływa jednak w żaden sposób na twój apetyt. Jesz już ósmy kotlet. Znacznie bardziej uderzające jest

to, iż jakoś nie widzę, by ta bitwa wywołała u ciebie nastrój melancholii, który tak często widywałem

po innych starciach.

— To prawda — powiedział Jack. — Bój oczyszcza umysł w niezwykły sposób, lecz tylko na moment. Później przychodzi przygnębienie. Lista zabitych, pogrzeby, wdowy, do których trzeba napisać, bałagan do uprzątnięcia, naprawianie takielunku, wypompowywanie wody — czujesz się wykończony i przybity, a przecież to nie wszystko. Teraz jest jednak inaczej. Zdecydowanie atak nie poczynił nam krzywd, nie mamy wielu uszkodzeń, ale nie o to chodzi. Ta potyczka to dopiero początek prawdziwej wojny. „Africaine” będzie gotowa do wyjścia na morze we wtorek, a z drzewcami przygotowywanymi w St Paul i przechwyconymi dzisiaj, remont „Venus” i „Bombaya” również nie zabierze dużo czasu, jeśli będziemy pracować na kilka zmian. Ich kadłuby, jak sam wiesz,

są w dobrym stanie. Mamy zatem cztery świetne fregaty oraz „Windham”, trzy dobre słupy i wszystkie uzbrojone transportowce. Z okrętów francuskich, gotowych do wyjścia na morze, pozostały tylko „Astree” i „Manche”. „Bellone” i „Minerve” z pewnością muszą przejść karenaż, a „Iphigenia” i

„Nereide” na niewiele się przydadzą, nawet gdy się je wyremontuje. Francuzi ponadto stracili swego komodora, a o dowódcy „Astree” wiemy, że nie pali się do walki. Gdzie ich zapał do boju? Wiesz, co

ci powiem, Stephen? Zrealizujemy z Keatingiem nasz plan do końca tygodnia. To dopiero będzie akcja, bój z prawdziwego zdarzenia i mam gdzieś to, jak bardzo przygnębiony się potem stanę.

— Cóż, mój drogi — powiedział Stephen — z politycznego punktu widzenia Mauritius można było zerwać jak dojrzały owoc nawet przed Ile de la Passe. Teraz jednak, kiedy nie tylko naprawiłeś

skutki

klęski, ale i poszedłeś dalej, myślę, że będziemy mogli wprowadzić gubernatora Farquhara na urząd w

Port-Louis w ciągu tygodnia od wylądowania naszych oddziałów.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jack nareszcie znalazł chwilę czasu, by skończyć list do Sophie, pisany, odkąd „Leopard” wyruszył z St Paul na Przylądek. Po raz ostatni kontaktował się wówczas z admirałem.

Wiele o Tobie myślałem przez ostatnie dni, najdroższa, nawet więcej niż zazwyczaj. Oczywiście napisałbym do Ciebie, gdybyśmy nie byli tak bardzo zajęci. Bieganina rozpoczęła się już poniedziałkowego poranka — wysłałem dosłownie każdego marynarza do pomocy w szykowaniu okrętów do wyjścia na morze. Jestem pewien, że nigdy nie słyszałaś naraz tylu pił i młotków doszczelniających przy pracy ani też nie widziałaś takiej krzątaniny bosmanów. Biedny Trollope, oficer obrotny, acz choleryczny, doznał porażenia słonecznego, a pewnego czarnoskórego kowala zniesiono omdłego z miejsca pracy — aż poszarzał po osiemnastogodzinnej harówce. Wszystko jednak już gotowe, jesteśmy na morzu, a z chwilą wschodu słońca zobaczymy, jak ląd znika na horyzoncie.

Pisząc te słowa, uśmiechnął się i wyjrzał przez okno rufowe. W śladzie torowym „Boadicei”, w odległości dwóch kabli płynęła „Venus”, której żagle lśniły perłowo w świetle wschodzącego słońca.

Za nią mógł dostrzec „Africaine”, a daleko na zawietrznej płynęły trzy transportowce. Jako okręt flagowy „Boadicea” płynęła w środku szyku, poprzedzona przez „Bombaya” i „Windham”.

„Grappler”, „Staunch” i „Otter” płynęły nieco dalej na nawietrznej, a wraz z nimi dalsze transportowce, pełne wojska.

Cóż z nas za eskadra! Faktem jest, iż wygląd niektórych z naszych masztów wprawiłyby pracowników

stocznici w osłupienie, ale służyć będą dobrze. Wiele drzewc znaleźliśmy na „Venus” i „Bombayu”,

ale przywiezienie ich do bazy okazało się prawdziwym koszmarem. Obiecałem bowiem załodze, że druga

część ich porcji rumu zostanie wydana przy kolacji, co pozwoliłoby uniknąć jakichkolwiek problemów

— niestety, moi marynarze sami znaleźli drogę do składu alkoholu na „Venus”. Na Boga, Sophie, płynęliśmy tej nocy niczym w balii pełnej pijanych wieprzy! Siedmiu marynarzy z „Boadicei” i siedmiu z „Africaine” trzeba było zakuć w kajdany, a większość z pozostałych nie była w stanie wspiąć się na reje. Na szczęście „Otter” wziął „Bombay” na hol— gdyby przypadło to „Boadicei”, wątpię, czy udałoby się przyprowadzić oba okręty do portu. Każdy sprawnie prowadzony francuski bryg mógłby

nas bez problemów zatrzymać.

Do rana większość załogi wytrzeźwiała i wtedy zbesztalem ich w długim kazaniu o zgubnym wpływie

pijaństwa. Były to mocne, dobrze wyważone słowa, ale obawiam się, że przez powitanie, jakie zgotowano nam na brzegu, skutek odniosły znikomy. Witały nas rakiety i ognie bengalskie, co było miłą niespodzianką, choć przy tym słońcu ledwo je było widać. Witały nas salwy ze wszystkich fortyfikacji, a później cały port oddał dziewięciokrotną salwę. Gubernator, zacny, przedsiębiorczy człowiek z głową nie od parady i chęcią do współpracy, był do tego stopnia wniebowzięty na widok dwóch fregat wchodzących do portu, że choć sam stroni od alkoholu, chętnie od razu upiłby moich ludzi. I pewnie by tak zrobił, gdybym mu nie przedłożył, iż trzeba kuć żelazo, póki gorące. Pułkownik

Keating, również rozradowany, poparł moje słowa, mówiąc, iż w istocie należy iść za ciosem.

Nic nie dorówna zapalowi Keatinga do dręczenia oficerów sztabowych i innych obiboków oraz do zapędzania żołnierzy na pokłady transportowców we właściwym porządku i z właściwym ekwipunkiem. Skoro tylko Twoje oczy ujrzą ten list, i to długo po wszystkim, wyznam Ci w tajemnicy,

że pojutrze mamy zamiar przeprowadzić inwazję na Mauritius, i wiele wskazuje, że możemy odnieść

sukces.

Piszząc te słowa, zerknął ukradkiem na Stephena. Mimo licznych napomnień z jego strony, wzrok Jacka dalej kipiał od krzywdzącej wrogości.

— A może poprawić ci nastrój, mój drogi? — Stephen przechwycił jego spojrzenie.

— Jeśli byłbyś taki dobry.

— Powiem ci zatem, iż kapitan statku „Jefferson B. Lowell”...

— To bark, Stephen. Ten amerykański statek to bark. Wspaniale żegluje.

— Coś podobnego! W każdym razie był tak uprzejmy, że zechciał opowiedzieć mi o zmianach cen papierów wartościowych, co zaobserwowali on i jego koledzy handlujący w Port Louis. Wkrótce po naszym przybyciu wartość akcji spadła o dwadzieścia dwa procent, a później rosła i opadała w zależności od tego, kto miał przewagę w kampanii. Po naszej klęsce pod Ile de la Passe wartość wzrosła aż do dziewięćdziesięciu trzech procent. Obecnie akcji nie bierze się w ogóle pod uwagę — kupcy upierają się, by za wszystko płacić złotem. Tak wyglądają fakty.

— Miło mi to słyszeć, Stephen. Bardzo dziękuję — powiedział Jack i powrócił do swego listu, a Stephen do gry na wiolonczeli.

Jestem pewien, że zachowanie Keatinga podczas naszej wspólnej akcji nie jest wcale wyjątkiem, a trzeba nadmienić, że nigdy od zbudowania pierwszego okrętu armia i marynarka tak dobrze ze sobą

nie współpracowały. Keating na pewno uwijałby się jak w ukropie podczas każdej akcji, teraz jednak

czyni to dwu- lub nawet trzykrotnie szybciej. Bardzo go wzburzyło to, co usłyszał od naszych oficerów

piechoty uwolnionych na „Venus”. Miał nad nimi objąć dowództwo niejaki generał Abercrombie, który już zebrał bardzo znaczne siły ze wszystkich stron Indii. Pułkownik uwolnionych przez nas

żołnierzy zginął jednak w walce, a młodszy oficerowie znali zaledwie strzępy plotek — można się jednak domyślić, że mowa jest o połączeniu sił z Rodriguez z kilkoma regimentami z Fort William i

oddziałami z Przylądka oraz o późniejszym desancie przy ich użyciu na La Reunion. Wygląda to na

wierutną bzdurę, ale mimo to pułkownik Keating bardzo się zaniepokoił. „Jeśli jakiś poskręcany

artretyzmem stary głupiec w mundurze generalskim wydrze mi teraz zwycięstwo z garści, wykrzykiwał

wielce wzburzony, to sprzedam swój patent temu, co da najwięcej i niech mnie przeklną w armii!
Serce

by mi pękło, gdybym miał stracić laury zwycięstwa po wykonaniu całej pracy!" I opowiedział mi o oblężeniu pewnego miasta w Indiach, którego nazwa uciekła mi z pamięci. Keating prowadził natarcie

aż pod same mury, odparł kilkanaście wycieczek obrońców, wybił szeroki wylom w murach i już miał

wieść żołnierzy do szturm, kiedy niespodziewanie pojawił się jakiś generał w palankinie, przejął dowództwo i wydał rozkaz ataku. W napisanym później raporcie przypisał sobie wszystkie zasługi za

zwycięstwo, po czym został awansowany i otrzymał Order Łaźni wraz z udostojnieniem herbu. O samym orderze i starcach, którzy za ową lichą wstążkę zrobiliby wszystko, Keating również dorzucił

kilka zgrabnych uwag, które są zbyt soczyste, by je przytoczyć.

Jack zatrzymał się, próbując ułożyć jakiś zabawny żart słowny łączący Order Łaźni z gorącymi basenami w Bath, lecz szło mu niesporo. Rozmyślał nad tym przez chwilę, żując koniec pióra, po czym zaczął pisać dalej:

Jeśli zaś chodzi o moje źródło informacji, to jest nim Graham, dowódca „Bombaya”, z którym jednak nie potrafię się do końca dogadać. Graham odbył długi rejs w pościgu za piratami po Zatoce Perskiej

i kiedy powrócił do portu z poważnymi brakami w załodze, od razu otrzymał rozkaz wzięcia na pokład

oddziału żołnierzy i spotkania się z siedemdziesięcioczerodziałowym liniowcem „Illustrious” przy cieśninie Ósmego Stopnia. W drodze prześladował go jednak pech — po dziesięciu dniach podróży

zauważono przeciek w forpiku i „Bombay” musiał się cofnąć do portu. Całą drogę płynął prosto pod wiatr, z załogą albo harującą przy pompach, albo złożoną chorobą, a w stoczni oczekiwały ich nie

kończące się opóźnienia. Przez to wszystko „Bombay” spóźnił się zarówno na pierwsze, jak i na drugie spotkanie z „Illustrious”, Graham skierował się zatem na Port-Louis, oczekując, iż napotka moje okręty na blokadzie. Po drodze jego samego złapała wysoka gorączka, a przy Port-Louis zaatakowali ich Francuzi,

zdobywając jego okręt po długiej i krwawej walce. Obawiam się, że upał, zmęczenie i niepokój mogły odebrać mu zdrowy rozsądek — nieszczęśnik zrzucił bowiem banderę na znak poddania przed słupem, który wziął w ciemnościach za drugą fregatę. Był to nasz stary, przejęty przez Francuzów szesnastodziałowy „Victor”, który ma ożaglowanie fregaty, lecz w porównaniu z fregatą słup to przecież łupinka! Stephen podziela moje zdanie na temat zdrowia psychicznego Grahama — nafaszerował go wyciągiem z opium, a przed naszym odejściem ogolił

mu głowę, smarując maścią na pęcherze. W każdym razie nic nie wskazuje na to, by miał rozkazy dotarcia do Rodriguez. Stawiam więc sto do jednego, że Keating ma chimery, opętany wizją jakiegoś generała, czającego się na zasługi za coś już dokonanego, czyli podbicie wyspy i wprowadzenie na urząd gubernatora Jego Królewskiej Mości. Tak czy owak, jego zapal zgrał się teraz z moim — sam chciałem ruszyć na morze, nim Francuzi naprawią „Minerve” i „Bellone”, nie mam zatem nic przeciwko jego chimerom. Krążą plotki, iż dna obu francuskich fregat zostały uszkodzone przez jakiegoś papistę czy rojalistę przy użyciu jakiejś piekielnej maszyny, lecz trudno mi uwierzyć, by nawet obcokrajowiec mógł się okazać człowiekiem aż tak przewrotnym.

— Stephen! — zawołał, by zagłuszyć chrobot wiolonczeli. — Jak się pisze „chimera”?

— Zazwyczaj przez „ch”, jak sędzę. Napisałeś jej już o moim purtku?

— Nie wydaje ci się, że słowo „purtek” nie jest najlepszym wyrażeniem w liście pisanym do kobiety?

— Mój drogi, kobieta zajmująca się dziećmi na pewno nie zmarszczy brwi, czytając słowo „purtek”. Napisz *euro-stopodus diabolicus*, jeśli wydaje ci się stosowniejsze.

Pióro dalej skrzypiało na papierze, wiolonczela pomrukiwała, kiedy naraz rozległo się pukanie do drzwi. Midszypmen w progu zameldował, że na prawo od rufy dostrzeżono żagle. Wnioskując po osobliwej łacie na fokmarslu, można było założyć, iż była to „Emma”.

— *Aye*, bez wątpienia — zgodził się Jack. — Ależ się uwiął! Dziękuję, panie Penn.

„Emma” została wezwana z bazy na Rodriguez przez awizo, ale Jack nie spodziewał się transportowca

przed czwartkiem.

— Na pokładzie będzie Tom Pullings — odezwał się do Stephena. — Musimy zatrzymać go na obiad. Po całym tym kursowaniu na Rodriguez i z powrotem z przyjemnością zje potrawę ze świeżej

baraniny.

Jack zawołał Killicka i wydał polecenie przygotowania combra z baraniny oraz pół tuzina butelek czerwonej konstancji dokładnie na piąte uderzenie w dzwon. Przez chwilę rozmawiali o przeszłej karierze i dotychczasowych zasługach Thomasa Pullingsa, próbując jednocześnie zgadnąć, co będzie miał ochotę zjeść na kolację. W drzwiach na nowo pojawił się zdyszany midszypmen.

— Sygnał ze „Stauncha”. Cztery żagle na kursie północno-wschodnim!

— Co sygnalizuje „Emma”?

— Nie wiem, sir.

— W takim razie bądź tak dobry i się dowiedz! — rozkazał komodor z surowością w głosie.

„Emma”, jak się okazało, niewiele miała do przekazania. Na fokku transportowca nie powiewały

chorągiewki oznaczające: „Nieprzyjaciel w polu widzenia”, nie wypalił również z działa, by zwrócić

uwagę okrętu flagowego, a przecież miał on doświadczonego kapitana i był bliżej czterech nieznanych

okrętów niż „Staunch”.

„Wnioski są oczywiste” — pomyślał Jack. „To statki Kompanii albo... albo angielskie okręty wojenne”.

Ta myśl zwarzyła chłodem jego serce.

Zamyślony wyszedł z kajuty na pokład rufowy, krzyknął w stronę „Africaine”, iż opuszcza sztyk, i

„Boadicea” ruszyła ostro do wiatru na spotkanie „Emmy”. Do tej pory na fregacie postawiono

niewiele żagli, by dopasować tempo do prędkości transportowców, lecz teraz nad jej pokładem

wykwitły bramsle i ze wspaniałym, prawie pełnym wiatrem okręt skoczył do przodu niczym czystej

krwi koń wyścigowy. Ślad torowy ciągnął się długo i szeroko, fala dziobowa podeszła aż pod furty

działowe, śląc bryzgi na rufę i znacząc powietrze tęczkami. W załogę wstąpiła nowa energia — chłopcy

okrętowi i młodszy marynarze z podwacht foka, grotu i bezanu z głośnym śmiechem mknęli po

wantach, by postawić bombramsle, ale kilka ostrych, niezwykle ostrych reprimend z pokładu rufowego uciszyło co bardziej widoczne wybuchy radości. Marynarze z podwachtu bezanu i śródokręcia przemykali teraz cichutko jak myszki, dla żartu drobiąc na palcach, kiedy nie widzieli ich przełożeni. Ludzie na dziobie skrycie wymieniali szturchnięcia i kuksańce, a ci na rejach mruczeli do siebie: „Wypatruj szkwałów, bracie”, szczerząc zęby niczym spiskowcy kryjący wspólną tajemnicę. Na okręcie wojennym niewiele rzeczy przejdzie nie zauważonych — powrót Jacka i pułkownika Keatinga z pożegnalnego obiadu u gubernatora Farquhara widzieli jedynie wartownik z piechoty morskiej i jeden czy dwóch ludzi z podwacht kotwicznej, ale niebawem wszyscy wiedzieli, że „stary gołnął sobie ździebko za dużo”, „wrócił pijany w sztok” i że „przywieziono go na taczce, a on ryczał, że baby mu trzeba, czarnej baby we własnej koi”. Na pytanie Jacka, czy hals zostanie zamocowany jeszcze tej wacht, reakcją marynarzy były pobłażliwe uśmiechy i cytowane szeptem zdania z jego homilii o zgubnym wpływie pijaństwa.

„Boadicea” bez wysiłku utrzymywała prędkość dziesięciu węzłów i z wdziękiem żeglowała wzdłuż długich fal, nacierających na jej burtę. Każdy, kogo nie prześladowały w tej chwili złe przecucia, rozkoszował się pracą okrętu.

— Tak właśnie wyobrażałem sobie życie na morzu — powiedział pan Peter. Na pokładzie rufowym gościł rzadko, zazwyczaj przebywając w dusznej, zasłanej papierami komórce pod linią wodną i dzieląc swój czas między pisaninę i chorobę morską. — Czyż to nie cudowne, sir?

— Pewnie, smakuje niczym kieliszek szampana — odpowiedział Stephen.

Pan Peter uśmiechnął się i spojrzał znacząco na mrużącego oczy od słońca pułkownika Keatinga, którego twarz przybrała kolor szarozółtawy. To właśnie jego przywieziono na okręt na taczce, wrzeszczącego: „Niech się szerzy kopulacja!”

Łączna prędkość zbliżających się do siebie „Emmy” i „Boadicei” wynosiła szesnaście węzłów i co kilka minut wschodni horyzont przybliżał się o kolejną milę. Wkrótce obserwator na topie zameldował

o czterech jednostkach, zauważonych przez „Stauncha”, w chwilę później marynarz znów okrzyknął pokład. Tym razem zauważono kolejne dwa statki na kursie północ północny-wschód i coś na kształt dalszych bramsli za nimi.

Co najmniej sześć statków — szansa napotkania tak licznego konwoju Kompanii była bliska zeru.

Jack wykonał kilka rund spaceru po rufówce, a jego twarz stawała się coraz bardziej ponura. Zrzucił w

końcu kurtkę, pożyczył lunetę pana Seymoura i ruszył w górę na top fokmasztu. Wanty zaskrzypiały pod jego ciężarem, a północno-zachodni wiatr rozwiewał jego długie włosy. Kiedy już niemal dotarł do celu, usłyszał, jak obserwator mruczy do siebie:

— Szesnaście, siedemnaście... To cała pieprzona armada! Niezwyciężona pieprzona armada. Hej tam,

na pokła...

— Mniejsza o to, Lee — odezwał się Jack. — Sam widzę. Zrób mi miejsce.

Jack usadowił się na salingu i omiółtł lunetą na wschód i północny wschód. Jego oczom ukazało się

największe zbiorowisko okrętów wojennych, jakie kiedykolwiek miał okazję widzieć na Oceanie

Indyjskim. Resztki jego nadziei rozwiął zaś widok proporczyka wiceadmiralskiego, powiewającego na

foku dwupokładowca „Illustrious”.

W tym czasie „Emma” znalazła się już bardzo blisko „Boadicei”. Oba okręty już przedtem wymieniły sygnały i zataczający się ciężko na fali transportowiec podchodził w tej chwili pod zawietrzną burty fregaty, która ustawiła fokmarsel na pracę wstecz i stanęła w dryfie.

Jack obrzucił ostatnim długim spojrzeniem transportowce i okręty wojenne i opuścił się ciężko na pokład,

niczym człowiek, który powoli idzie po schodach swego domu, myśląc nie o stopniach, lecz o swoich problemach. Stał w końcu na deskach pokładu i narzucił kurtkę w chwili, kiedy Pullings wspiał się po trapie.

Nie trzeba bystrego oka Stephena, by dostrzec kontrast między radosną twarzą porucznika i jego lśnjącymi

białymi zębami na tle opalonej cery a ponurym spojrzeniem komodora. Ze szczerego zadowolenia, wypisanego

na twarzy Pullingsa, biła taka siła, że na oblicze komodora również wypłynął uśmiech, który pojaśniał jeszcze bardziej, gdy ujrzał wielki worek, wnoszony na pokład z szalupy „Emmy”. Był to dobrze mu znany,

wytęskniony wór z pocztą.

— Nikogo nie wita się milej od listonosza, panie Pullings — powiedział Jack, zapraszając go gestem do swej kajuty. — Skąd przybywasz, Tom? — spytał, gdy już zostali sami.

— Prosto od admirała, sir — odparł Pullings takim tonem, jak gdyby oznajmiał najlepsze wieści, jakie mógł

przywieźć.

— Od admirała Bertiego? — spytał Jack, którego nie mogący się pogodzić z faktami umysł stworzył już mglistą wizję hipotetycznej armady kierującej się na przykład na Jawę pod dowództwem jakiegoś innego wiceadmirała, który nie miał nic wspólnego z Przylądkiem i mijał go przypadkiem.

— Otóż to, sir! — radośnie odparł Pullings. — Dał mi to dla pana.

Dowódca „Emmy” wyciągnął z kieszeni pozaginany na rogach egzemplarz „Naval Chronicle”, spośród stron którego wyjął urzędowy list, zaznaczając miejsce kciukiem. Nie podał jednak listu Jackowi, lecz trzymając go w powietrzu, spytał:

— Więc nie otrzymał pan żadnej poczty od czasu, kiedy się ostatni raz widzieliśmy?

— Ani słowa, Tom — powiedział Jack. — Ani słowa od chwili opuszczenia Przylądka. Ani słowa przez

większą część roku.

— Zatem jestem pierwszy! — wykrzyknął Pullings z bezgranicznym zachwytem. — Chciałbym życzyć panu i pani Aubrey wszystkiego najlepszego!

Wołając te słowa, jął ścisnąć miękką, niezdecydowaną dłoń Jacka, aż ta zdrętwiała, i pokazał mu zaznaczoną stronę.

— „W domu Ashgrove, Chilton Admiral, w Hants, małżonka kapitana Aubreya, dowódcy fregaty »Boadicea«, powiła syna i potomka...” — odczytał na głos, wodząc palcem po słowach.

— Dawaj to! — krzyknął Jack. Porwał gazetę, uniósł stronę ku światłu i przyjrzał się uważnie.

— „W domu Ashgrove, Chilton Admiral, w Hants, małżonka kapitana Aubreya, dowódcy fregaty »Boadicea«, powiła syna...” — przeczytał raz jeszcze. — Niech mnie kule biją! Wielki Boże, o mój Boże! Na mój honor i me dobre imię! Nie wierzę, na Boga, to nie do wiary! Killick! Killick! Skocz no

po butelkę szampana! Wołaj doktora! Killick, to dla ciebie! Bóg nas miłuje! Ha, ha, ha, ha!

Killick przyjął garść monet z wyrazem maksymalnej podejrzliwości na twarzy, po czym wolno schował je do kieszeni i wyszedł z kabiny, wykrzywiając usta na znak dezaprobaty. Jack zerwał się z fotela i podjął spacer po kajucie, chichocząc od czasu do czasu. W jego sercu wzbierała miłość, szczęście, poczucie spełnienia oraz głęboko przejmująca tęsknota za domem.

— Dzięki, Pullings, dziękuję ci z całego serca za te wieści — powiedział w końcu.

— Wiedziałem, że pan się ucieszy, sir — rzekł Pullings.

— Zawsze wiedzieliśmy, moja żona i ja, jak bardzo chciał pan mieć syna. Dziewczynki oczywiście również są wspaniałe, lecz to nie to samo. Nigdy nie wiadomo, czego chcą. Ale chłopak to co innego!

Nasz łobuziak, sir, jeśli ja sam kiedykolwiek otrzymam stałe dowództwo, trafi na mój statek, kiedy z pieluch przeskoczy w porcięta!

— Mam nadzieję, iż pani Pullings i młody John mewają się dobrze? — spytał Jack, ale nim zdołał się czegokolwiek o nich dowiedzieć, do kajuty wszedł Stephen, a za nim wniesiono worek z listami.

— Stephen—oznajmił Jack. — Sophie urodziła mi syna!

— Doprawdy? Biedna Sophie. Dla ciebie to jednak muszą być wspaniałe wieści!

— Nigdy bym się tego nie spodziewał — odparł Jack z rumieńcem na twarzy, bo już wyliczył, że poczęcie odległej, bezimiennej istotki miało miejsce w noc przed jego wyjazdem, co zawstydziło go, a

nawet wprawilo w zakłopotanie.

— Cóż, pozwól mi zatem złożyć ci gratulacje — powiedział Stephen. — Mam nadzieję, że sama Sophie również ma się dobrze. Narodziny twojego syna — dodał, obserwując Jacka przetrząsającego

worek z pocztą — sprawią przynajmniej, iż tytuł baroneta zyska dla ciebie większe znaczenie.

— Na Boga, co ja wyprawiam? — wykrzyknął nagle Jack. — Najpierw rozkazy!

Rzucił worek, przełamał pieczęć na kopercie od admirała i odczytał list, którego treści się spodziewał

— miał udać się pod rozkazy admiralskie lub ruszyć w kierunku wyspy Rodriguez natychmiast po zapoznaniu się z treścią listu. Zaśmiał się.

— Jeżeli mam otrzymać jakikolwiek tytuł, to nie w ten sposób. Ja już tu nie dowodzę.

Wyszedł na pokład i nakazał dwie rzeczy: wywiesić rozkaz przejścia na nowy kurs, mający zabrać dywizjon spod Mauritiusa oraz wydać załodze dodatkową porcję rumu. Zdziwienie na twarzy

Seymoura było ogromne, więc Jack wyjaśnił tonem najbardziej suchym z możliwych, iż właśnie dowiedział się o narodzinach syna. Cała obsada pokładu rufowego złożyła mu gratulacje, a znajdujący

się w pobliżu marynarze powitali wieść życzliwymi uśmiechami. Następnie Jack zaprosił pułkownika

Keatinga na kieliszek szampana w kajucie kapitańskiej i obaj zeszli pod pokład. Zawartość butelki szybko znikła i listy zostały rozdane.

— Mam nadzieję, pułkowniku, iż pańskie wieści będą równie pomyślne jak moje, by osłodzić gorzką pigułkę — powiedział Jack, wręczając Keatingowi paczkę z pocztą dla niego. — Intuicja pana nie zawiodła i obawiam się, że na Rodriguez czeka na pana jakiś generał. Na mnie bowiem na pewno czeka jakiś admirał.

Z tymi słowami wziął swe listy i przeszedł na balkon rufowy, swój prywatny azyl spokoju, pozostawiwszy całkowicie wyprowadzonego z równowagi, bladego i trzęsącego się z oburzenia żołnierza.

Tuż przed obiadem Jack opuścił balkon i znalazł Stephena siedzącego samotnie w kajucie kapitańskiej. Pullings, dowiedziawszy się wreszcie o dalszych rozkazach eskadry i uświadomiwszy sobie, iż drobne opóźnienie z jego strony pozwoliłoby komodorowi na zakończenie kampanii i

zebranie laurów zwycięzcy, wycofał się na rufówkę. Stał tam teraz przy drzewcu banderowym, przeklinając swój przedwczesny zapal.

— Mam nadzieję, że ty również otrzymałeś same dobre wieści — powiedział Jack, ruchem głowy wskazując stos otwartych listów.

— Można tak to ująć, przynajmniej częściowo. Dziękuję. Nie przeczytałem jednak niczego, co sprawiłoby mi radość porównywalną do twojej. Wciąż promieniejesz, bracie, rozkwitasz niczym pąk róży. Powiedz, jak tam samopoczucie Sophie.

— Pisze, iż nigdy nie czuła się lepiej i że poród przeszedł nadspodziewanie gładko. Chłopak jest dla niej wielką pociechą i opieka nad nim sprawia jej wiele radości. Wiem, Stephen, że w swej miłości do dzieci zakasowujesz staruszką Heroda, ale...

— Skądże! Nie żywię do dzieci nieprzejednanych uprzedzeń, uważam po prostu, iż większość z nich jest zbyteczna.

— Bez dzieci nie byłoby następnych pokoleń.

— Co byłoby doskonałym rozwiązaniem, zważywszy na stan, do którego doprowadziliśmy świat, w którym mają żyć, na wilczą krwiożerczość rasy, która je rodzi, oraz na zepsucie społeczeństwa, które je wychowuje. Przyznaję jednak, iż istnieją wyjątki — potomkowie kogoś takiego jak Sophie czy nawet ty sam mogą być postrzegane jako istoty dobre. Przerwałem ci jednak...

— Chciałem tylko zapytać, czy nie miałbyś ochoty posłuchać, jak Sophie opisuje małego. Wygląda na to, że to dziecko niezwykle i wyjątkowe.

Kiedy Stephen wysłuchiwał kolejnych zachwyków, na rufę dotarł zapach baraniej pieczeni i smażonej cebuli. Rozległa się wybijana na bębnie melodia *Heart of Oak**, wzywająca midszypmenów na obiad,

a jego żołądek również zaczął się upominać o swoje prawa. Opowieść Jacka zdawała się jednak nie mieć końca.

* *Heart of Oak* — patriotyczna pieśń, skomponowana w 1759 roku. Grana na pokładach okrętów wojennych podczas alarmów oraz przed walką.

— Nie masz pojęcia, Stephen, jak posiadanie syna rozszerza perspektywy mężczyzny — stwierdził Jack. — Teraz to na pewno pomyślę o zasadzeniu drzewa orzechowego! Cóż, mogę nawet założyć całą plantację dębów.

— To dziewczynki zbierałyby orzechy i bawiły się w cieniu drzewa. Wnukowie pewnie zaraz by je ścięli.

— Nie, nie, to nie o to chodzi. Teraz, dzięki Bogu, będą miały posag, a w końcu wyjdą pewnie za jakichś tłusciochów o nazwisku Snooks. Musisz przyznać, Stephen, że to zupełnie zmienia postać rzeczy.

Tuż przed wybiciem pięciu szklanek opowieść Jacka przerwało pojawienie się wciąż przygnębionego

Pullingsa oraz trzęsącego się z tłumionej wściekłości Keatinga. Punktualnie z uderzeniem w dzwon wszedł sam Killick.

— Obiad na stole! — oznajmił i wytwornie machnął kciukiem w stronę jadalni.

Pullings zjadał swą porcję w milczeniu i najwyraźniej bez apetytu, pułkownik Keating również nie odzywał się wiele, choć konwencja towarzyska upoważniała go do swobodnego zabierania głosu przy

stole komodorskim. Nie chciał zepsuć jednak nastroju chwili, wypowiadając słowa, które same cisnęły

mu się na język. Stephen zaś był pogrążony w rozmyślaniach, choć od czasu do czasu zabierał głos w przerwach monologu Jacka. Kiedy zjedzono już główne danie i pucharami letniego porto wzniesiono toasty za króla, panią Aubrey i najmłodszego Aubreya, goście wyszli na świeże powietrze, by wiatr wywiał im opary alkoholu z głowy. Stephen odezwał się do Jacka:

— Nie wiem, co wzbudza mój większy podziw — twa radość na wieść o tym, że zostałeś ojcem, czy twa wielkoduszność w obliczu takiego rozczarowania. Jeszcze kilka lat temu zrobiłbyś to, co Nelson,

kiedy przytknął lunetę do ślepego oczodołu*. Zignorowałbyś rozkazy i zajął Mauritius, nim pan Bertie

zorientowałby się, o co chodzi.

* Podczas bitwy pod Kopenhagą admirał Nelson zignorował w ten sposób rozkaz do odwrotu, wydany przez

głównodowodzącego, lecz gorzej orientującego się w sytuacji admirała Parkera.

— Cóż, jestem wielce rozgoryczony — odparł Jack. — Przyznam ci, że kiedy tylko odgadłem intencje admirała, poczułem ogromną ochotę, by odbić na zachód. Nic by to jednak nie dało, wiesz przecież. Rozkazy to rozkazy, czasem trzeba je zignorować, lecz to są przypadki jeden na milion i ten stanowczo do nich nie należy. Mauritius zostanie zajęty w następnym tygodniu, niezależnie od tego, kto będzie dowodził i kto przypisze sobie chwałę za zwycięstwo.

— Keating nie podchodzi do tego tak filozoficznie.

— Keating nie dowiedział się, że ma syna. Ha, ha, ha! Mam cię, Stephen!

— Keating ma już pięciu synów, którzy nie dość, że go wiele kosztują, to jeszcze są dla niego wielkim rozczarowaniem. Wieści o szóstym nie załagodziłyby jego wściekłości, chyba że urodziłaby się córka. To jedyna *rzecz*, o której marzy. Jakie to dziwne... Kiedy myślę o sobie jako o mężczyźnie, nie mogę znaleźć nawet najmniejszego śladu tej waszej pasji...

Cała załoga „Boadicei” i pozostałych okrętów eskadry podzielała święte oburzenie pułkownika Keatinga. Zgodnie twierdzono, że komodor został okpiony i wyzyskany, że podcięto mu skrzydła, a nawet wbito sztylet w plecy. Wszyscy w eskadrze wiedzieli, że w Port-Louis stoją dwa zajęte przez Francuzów statki Kompanii pośród wielu innych nieznacznie tylko ustępujących im wartością przyzów.

Pojawienie się całej tej zupełnie niepotrzebnej armady, składającej się z liniowca, ośmiu fregat, czterech słupów i pewnie z ośmiu regimentów piechoty sprawi, że udział w przyzowie dla tych, którzy wykonali prawdziwą pracę, starczy ledwie na mały kufel piwa.

Z każdą godziną wściekłość załóg rosła i kiedy dwie eskadry powoli zbliżały się na miejsce zbiórki

przy Rodriguez, frustracja sięgnęła tak daleko, że gdy „Boadicea” oddawała salwę w salucie proporczykowi admirałskiemu, artylerzysta warknął:

— Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałbym naładować armaty kartaczami, ty stary...

Żaden ze znajdujących się w pobliżu oficerów nie udzielił mu reprimendy.

— Ściągnąć proporczyk komodorski. Opuścić barkas na wodę — polecił Jack, gdy wypaliło ostatnie z dział, a okręt flagowy nie rozpoczął jeszcze odpowiedzi.

Po wejściu do swej kabiny od razu kazał Killickowi przyszykować bryczesy, kapelusz i najlepszą kurtkę mundurową na wizytę u admirała. Znów był zwykłym kapitanem mianowanym — tradycja zabraniała, by proporczyk komodorski powiewał w towarzystwie admirałskiego bez bezpośredniego zezwolenia admirała. Ściągnięcie proporczyka było dlań bolesną chwilą, ale pod pokładem nie znalazł

dla siebie pociechy. Killick, którego poczucie niesprawiedliwości wzmocniła jeszcze wydana całej załodze dodatkowa porcja grogu, postanowił wyładować się na swoim zwierzchniku.

— Nie ma pan już swej najlepszej kurtki — wychrypiał swym swarliwym głosem. — Cała zapaprana krwią na „Venus”. A mówiłem, żeby się pan przebrał, zabrałoby to ze dwie minuty, ale po co? Dam to

radę zeskrobać — stwierdził, spluwając na złotą lamówkę kapelusza i przecierając ją rękawem —

ino

szczury się dobrały i trza będzie wywrócić na nice! To tyle, co mogę zrobić z kurtką i bryczesami.

Naprawiłem też stare epolety i jeśli jakiemuś nieproszonemu, nadętemu staremu pierdzielowi się to nie spodoba, to może sobie...

— Szybciej, Killick, szybciej! — wykrzyknął Jack. — Daj mi pończochy i tę paczkę, nie stój jak kołek i nie marudź!

Wioślarze barkasa, na którym Jack płynął na „Illustrious”, byli równie wściekli. Sternik wydawał surowe, oschłe komendy, chwytający bosakiem ławę wantową marynarz uderzył z całej siły i zdarł grubą warstwę farby, a na przyjazne pozdrowienia marynarzy z „Illustrious”, wychylających się z furt

dolnego pokładu, nikt nie odpowiedział.

Admirał Bertie spodziewał się takiej reakcji. Doskonale wiedział, czego się dopuścił, i był przygotowany na każdą reakcję Aubreya — z wyjątkiem radości. Przewidziane niezadowolenie Jacka Bertie postanowił rozładować jowialną dobroduszością, okraszoną częstymi wybuchami śmiechu. Zwracał się doń swobodnie, jak gdyby ochocze zrzeknięcie się zaszczytów było najnormalniejszą rzeczą na świecie, a wrogość czy uraza w tym wypadku były nie do pomyślenia. Ku jego szczeremu zdumieniu, zachowanie Jacka zdawało się to potwierdzać. „Naval Instructions” zabraniało co prawda manifestacji urazy bądź wrogości w stosunku do przełożonego, i każde zachowanie w najdrobniejszym szczególe odbiegające od posłusznego zrzeczenia się zaszczytów narażało podkomendnego kapitana na karę. Długa służba w marynarce nauczyła go jednak, że to, co wydrukowane, rzadko pokrywa się z tym, co praktykowane, i choć kapitan mianowany teoretycznie powinien być równie uległy wobec admirała, jak midszypmen żółtodziób, to jednak urażony komodor, który raz wykorzystany staje się krnąbrny, może nieźle skomplikować życie swego prześladowcy, bynajmniej nie łamiąc przy tym prawa. Sam nieraz stosował cały wachlarz przeszkód i utrudnień wobec swych przełożonych i dobrze wiedział, co można dzięki temu osiągnąć. Spodziewał się, że w rozmowie z nim Aubrey użyje najbardziej wyszukanych podstępów, a jego zachowanie będzie agresywne i wulgarne. Był i na to przygotowany — wszystkie odstępstwa od normy, których dopuściłby się dowódca „Boadicei”, miały być zanotowane przez jego sekretarza. Zachowanie Jacka było jednak wzorowe, co z początku wyprowadziło admirała z równowagi, a potem zaniepokoiło. Spróbował nacisnąć go mocniej, wprost zapytując, czy nie zdziwił go widok tylu okrętów, płynących, by pomieszać mu szyki. Jack z równą jowialnością zaprzeczył, dodając, że im więcej okrętów, tym mniejszy rozlew krwi, czym, jak każdy sprawiedliwy człowiek, brzydził się bardzo. Dorzucił również, że zawsze twierdził, iż w kupie jest różniej, przy czym admirał zerknął na swego sekretarza, pana

Shepherd, by się upewnić, czy jemu też się wydaje, że kapitan Aubrey jest cokolwiek podпиты.

Podejrzenie admirała wkrótce się rozwiało. Na okręt flagowy przybyli wszyscy kapitanowie flotylli i na prośbę admirała Jack Aubrey przedstawił niezwykle spójne i klarowne sprawozdanie ze swej działalności, nie pomijając żadnego faktu. Miał również do swej dyspozycji dane liczbowe. Na pełne niepokoju pytania o trudności w pokonywaniu otaczających Mauritius raf, o zdradziecki przybój i brak

przystani Jack przedstawił odpowiednią mapę. Był to mały, samodzielnie opracowany majstersztyk hydrograficzny, prezentujący okolice Flat Island i zatokę Grande Baie. Przeprowadzone przezeń dokładne, potrójne mierzenie pozycji sekstansem i podwójne sondowanie wykazało, iż znajduje się tam wygodne, przestronne kotwicowisko dla siedemdziesięciu jednostek oraz osłonięte plaże, nadające się na obozowisko dla bardzo wielu ludzi. Zakończył przemowę sugestią, iż ze względu na późną porę roku desant należało przeprowadzić jak najszybciej.

Admirał Bertie całkowicie podzielał jego zdanie. Niania powtarzała mu, że im więcej pośpiechu, tym

mniej biegania. Admirał obiecał zatem, że zastanowi się nad operacją i podejmie decyzję jak najszybciej po naradzeniu się z generałem Abercrombie i jego sztabem.

Po zakończeniu spotkania admirał zatrzymał Jacka na chwilę, by wysondować jego intencje. Widział dwa powody takiego zachowania się Aubreya — kapitan był albo uosobieniem uległości, czemu jednak przeczyła jego reputacja, albo chował jakiegoś asa w rękawie. Bertie niepokoił się. Odnosił wrażenie, iż obok stosownego dla jego rangi szacunku Jack odnosi się doń z pewnym dystansem, a w jego zachowaniu kryje się coś na kształt pełnej rozbawienia pogardy. Admirał nie był skończonym łajdakiem i ta świadomość niepokoiła go i męczyła. Co więcej, wiele razy w podobnej sytuacji spotkał

się z wrogością, którą mógł później usprawiedliwić w świetle swych zachowań—Jack natomiast nie przestawał emanować dobrym nastrojem, a nawet życzliwością. Admirał był wyprowadzony z równowagi.

— A przy okazji, Aubrey — powiedział, rozstając się z Jackiem — słusznie uczyniłeś, ściągnając swój

proporczyk na widok mojego, ale koniecznie wciągnij go z powrotem, kiedy tylko wrócisz na „Boadiceę”.

Niepokój admirała wciąż rósł aż do chwili, kiedy dotarł on do swej koi. Tymczasem na postojach floty na redzie Rodriguez sekretarz Jacka, pan Peter, wsiadł na jedną z licznych kursujących między okrętami łodzi i odwiedził swego bliskiego krewnego, pana Shepherda. Pan Peter był w dobrych stosunkach z doktorem Maturinem, którego jednak uważał za człowieka o wiele prostszego i bardziej przewidywalnego, aniżeli by się spodziewał. Ostatnia fala listów z Anglii oraz niektóre niezbyt dyskretne uwagi samego Maturina sprawiły, iż Peter doszedł do wniosku, że ojciec komodora, członek

parlamentu, generał Aubrey, grał bardzo subtelną grę, przypuszczalnie szykując się do zmiany stron.

Peter wysnuł również stwierdzenie, że Aubrey potajemnie utrzymywał dobre stosunki z radą ministrów i że przez to może niebawem objąć związany z zaszczytami i protekcją urząd, być może nawet w Radzie Admiralicji. Stephen spalił zbyt dużo kontaktów, by ta prosta gra przyniosła mu wiele

satisfakcji, ale puszczona potajemnie historyjka idealnie nadawała się dla uszu człowieka, który jej wysłuchał kilka minut po zniknięciu Petera z pokładu liniowca. W istocie doskonale tłumaczyła nonszalancję Jacka Aubreya — człowieka z takimi znajomościami należy traktować z odpowiednią ostrożnością.

Na zwołanej po śniadaniu naradzie wojennej, na której obecni byli dowódcy okrętów i wyżsi oficerowie armii, omówiono opracowany przez kapitana Aubreya i pułkownika Keatinga plan ataku.

Generał Abercrombie, wsparty przez członków swego sztabu, nalegał na zwłokę w przeprowadzeniu lądowania, ale jego prośba została bezceremonialnie odrzucona przez Bertiego. Generał, otyły, starszy

człowiek, wyglądał na zaskoczonego, a nawet urażonego — tępe spojrzenie jego wyłupiastych oczu,

którym, nie zatrzymując się na niczym na dłużej, wodził nad stołem, sugerowało, iż nie do końca pojmował stanowczość Bertiego. Przez trzy kwadranse ponawiał jednak swój wniosek, co jedynie wzmogło upór admirała. Ostatecznie plan ataku, ledwo co omówiony, został zaakceptowany przez wszystkich bez zbytecznej zwłoki. Pół godziny później okręt flagowy ruszył na morze i z wiatrem dogodnym do postawienia bramsli skierował się na północ, ku Flat Island i plażom na Mauritiusie powyżej Port-Louis.

Podbój Mauritiusa przebiegał bez pośpiechu — regimenty piechoty maszerowały w najróżniejszych kierunkach z matematyczną precyzją, co sprawiało ogromną satysfakcję generałom po obu stronach. Żołnierze piechoty pocili się, lecz mało który z nich krwawił. Lądowanie przebiegło bez większych trudności i przy braku oporu ze strony wroga. Francuski generał Decean stanął w obliczu problemu nie

do rozwiązania. Jego liczna milicja była bezużyteczna — większość jej członków znała broszury Stephena, wielu z nich widziało już kopie projektu proklamacji gubernatora Farquhara, a wszystkim bardziej zależało na ożywieniu zduszonego handlu niż na zwycięstwach imperium Bonapartego.

Morale jego irlandzkich sojuszników również nie było wysokie, zatem oddziały francuskie stanęły wobec pięciokrotnie przewyższającej ich armii, a flotę blokowały w portach daleko liczniejsze siły brytyjskie. Jedyną troską zatem było opóźnianie ofensywy generała Abercrombiego aż do zaistnienia pewnych nie znanych zwykłym śmiertelnikom okoliczności, dzięki którym otrzyma honorowe warunki kapitulacji dla siebie i swoich ludzi w Port-Louis oraz pretekst do usprawiedliwienia we Francji swego zachowania.

Realizował swój plan, wywołując przy tym zachwyty Anglików. Generał Abercrombie zwłaszcza chwalił jego wzorowy odwrót czwartkowej nocy, kiedy jego oskrzydlane bataliony wycofały się z Terra Rouge i Long Mountain, umiejętnie zawracając przy szybkim tempie marszu.

— To właśnie jest prawdziwy kunszt żołnierski — stwierdził później generał.

Podczas gdy francuscy i angielscy dowódcy nawzajem się sobie kłaniali, emisariusze bez przeszkód

kursowali po całym kraju. Chociaż Port-Louis wciąż nominalnie było miastem francuskim, Stephen nie musiał specjalnie się trudzić, by wejść prosto do szpitala wojskowego. Na werandzie napotkał McAdama.

— Jak się miewa nasz pacjent dziś rano? — powitał go.

— Dzięki pańskiemu wywarowi noc była całkiem znośna — odparł McAdam, lecz bez zbytniego entuzjazmu w głosie.

— Jest drobna poprawa stanu oka, ale niepokoi mnie jego szyja. Uparcie nie chce się zagoić i dziś rano wyglądała równie paskudnie jak dotychczas. Clonfert zrywa opatrunek podczas snu. Doktor Martin sugeruje zaszywanie nie gojącego się obszaru fragmentami zdrowej skóry.

— Doktor Martin jest skończonym durniem — powiedział Stephen. — Problem stanowi sama ścianka arterii, a nie niszczenie się skóry. Rozwiązaniem jest zapewnienie pacjentowi spokoju, zmienianie opatrunków i podawanie środków usmierzających. Ten człowiek ma niespożyte siły. Jak z jego energią?

— Rano było dość dobrze. Śpi od zakończenia obchodu.

— Doskonale, doskonale. W żadnym wypadku nie wolno nam go budzić — nic bardziej nie pomaga w odzyskiwaniu zdrowia niż sen. Powrócę tu z komodorem około południa... Lady Clonfert gości teraz na Przylądku i Aubrey ma listy od niej. Chce mu je wręczyć osobiście i opowiedzieć, jaką sławę

we flocie zyskała jego dzielna obrona „Nereide”.

McAdam gwizdnął i wykrzywił się.

— Myśli pan, że to nieroztropne?

— Trudno powiedzieć — odparł McAdam, drapiąc się.

— Clonfert dziwnie się zachowywał przez ostatnie dni. Niewiele mówił, przeważnie milczał, całymi godzinami słuchając odległych salw armatnich. Może najlepiej by było, gdyby pan sam przyszedł tu na kilka minut. Wspólnie ocenilibyśmy jego stan i jeśli nadmierne podekscytowanie nie

wpłynęłoby na niego źle, myślę, że komodor mógłby się z nim zobaczyć. Ta wizyta mogłaby wiele uczynić dla samopoczucia Clonferta. Cieszy się, gdy pana widzi. — Wyraz niespodziewanej szczerości w głosie McAdama został natychmiast zrównoważony szyderczym tonem dalszych zdań. — Pewnie Wielki Kozioł Aubrey zadziera nosa niczym sam pan stworzenia, nie? Jak się układają sprawy?

— Z grubsza tak, jak przewidywaliśmy. Pan Farquhar wylądował już na pokładzie „Ottera” i wydaje mi się, że akt kapitulacji zostanie podpisany przed obiadem.

Rozmowa zesłała na innych rannych z „Nereide” — niektórzy czuli się już lepiej, lecz inni wciąż byli w stanie krytycznym. Młody pomocnik nawigatora Hobson, który podczas walki stracił genitalia, odszedł zeszłej nocy, z ulgą witając śmierć. Stephen pokiwał głową, obserwując przez chwilę dwa gekony na ścianie i słuchając piąte przez dziesiąte McAdama, relacjonującego zdanie francuskiego chirurga, według którego niemożliwością jest ratowanie pacjentów, którzy utracili chęć do życia.

— Panie McAdam — odezwał się po długiej przerwie — wie pan o tym aspekcie medycyny więcej ode mnie. Co powie pan pacjentowi, który wprawdzie nie ma ran fizycznych i żadnych widocznych urazów, lecz stracił zainteresowanie życiem i zaczyna nienawidzić tego świata? Weźmy na przykład uczonego, który redaguje Liwiusza. Ten pisarz jest dla niego całą radością życia i jego jedynym zainteresowaniem. Nasz uczonego natrafia na jego zaginione księgi, przynosi je do domu, a wtedy okazuje się, że nie ma odwagi, by otworzyć nawet pierwszą z nich. Naraz przestaje mu zależeć na owych zaginionych pracach, nie dba też o znane światu księgi, nie dba o żadne księgi, o żadnych autorów. Już go to nie obchodzi, nawet okładki nie ma ochoty unieść, co więcej, uświadamia sobie, iż

najprostsze czynności życiowe również niebawem przestaną go interesować. Rozumie mnie pan?

Widział pan już przypadki tego typu podczas swej kariery?

— Oczywiście, że widziałem. Nie należą one do rzadkości, dotyczą nawet osób niezwykle dotychczas

aktywnych.

— Jak się rozwija taka choroba w człowieku? Co jest jej przyczyną?

— Zakładam, iż moja odpowiedź nie musi spełniać wymogów przyzwoitości?

— Nie musi.

— Moim zdaniem u podłoża choroby leży fakt dostrzeżenia przez pacjenta pustki, która zawsze go otaczała. Z chwilą uświadomienia sobie jej istnienia wpada on w otchłań. Czasem choroba nawiedza człowieka w różnych, nie następujących po sobie okresach życia, ale bywa różnie. W mej karierze badałem wiele przypadków, między innymi pewnego pacjenta, którego śmierć duchowa poprzedziła fizyczną o dobre dziesięć lat. Czasem ratunkiem bywa własny kutas.

— Uważa pan, że pacjent pozostaje zdolny do odczuwania miłości?

— W relacjach między kobietą a mężczyzną użyłbym terminu „chuć”, lecz niech pan to sobie nazywa, jak się panu podoba. Chuć, płonące pożądanie w stronę jakiejś kobiety może wyciągnąć pacjenta z owego stanu, jeśli tylko będzie wystarczająco silne. We wczesnych stadiach choroby natomiast — zakończył Mc Adam, wpatrując się w gekony — istnieje ryzyko uzależnienia od opium.

— Miło było pana widzieć, panie McAdam.

Upał stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Kierujący się do domu Stephen napotkał dwóch rannych marynarzy — jeden z nich miał nogę amputowaną tuż nad kolanem, pusty rękaw drugiego przypięty był do bluzy. Obaj byli midszypmenami z „Nereide”.

— Panie Lomax! — zawołał. — Proszę natychmiast usiąść. Co pan wyprawia, przecież pańskie szwy mogą popękać. Niech pan usiądzie na tym kamieniu i umieści kikut wysoko.

Błady, upiornie wyglądający młody Lomax, wspierając się na kuli i na ramieniu swego towarzysza, podkuśtykał do kamienia przed okazałym domem i usiadł.

— To jeszcze tylko sto jardów, sir — zaprotestował. — Tam są wszyscy ludzie z „Nereide”. Tam stoi

okręt, ujrzy go pan za rogiem! Mamy wejść na pokład zaraz po podniesieniu bandery!

— Bzdura — stwierdził Stephen, lecz zastanowiwszy się przez chwilę, zapukał do drzwi domu i wyszedł w towarzystwie dwóch potężnych czarnych służących, niosąc krzesło i poduszkę. Usadził pana Lomaxa na wymoszczonym poduszką krześle i polecił Murzynom zanieść midszypmena za róg, gdzie nieliczna grupa zdrowych ludzi z załogi „Nereide” wpatrywała się w swą fregatę. Stała ona w porcie Port-Louis w gąszczu okrętów wojennych, statków Kompanii i innych statków handlowych. Maturin poczuł, jak udziela mu się część ich entuzjazmu.

— Panie Yeo — zwrócił się do porucznika z zabandażowaną twarzą — gdyby był pan tak dobry, chciałbym prosić pana o wyświadczenie niezwykle ważnej dla mnie przysługi. Zmuszony byłem pozostawić na pokładzie fregaty pewną poduszkę i moja wdzięczność nie miałaby granic, gdyby pan zechciał zarządzić jak najdokładniejsze poszukiwania po wejściu na pokład. Wspominałem już o tym komodorowi i admirałowi, ale...

W tym momencie jego słowa zagłuszyły wiwaty na widok francuskiej flagi spływającej w dół masztu nad cytadelą, a owacje buchnęły ze zdwojoną siłą na widok zastępującej ją flagi brytyjskiej. Ciche i piskliwe tryumfalne okrzyki załogi „Nereide” utonęły w huku odpalanych na wiwat salw armatnich piechoty, którym odpowiedział potężny ryk z dział okrętów wojennych.

— Będę o tym pamiętał, sir — powiedział porucznik Yeo, ściskając prawicę Stephena. — Podać tam do przodu! Poduszka doktora ma zostać znaleziona!

Stephen ruszył w dalszą drogę, kierując się w stronę centrum miasta, któremu zatrzęsnięte okiennice nadawały martwy wygląd. Nieliczni napotkani biali nie byłiby bardziej przerażeni, gdyby na ulicach miasta szalała zaraza, jedynie czarni, których los i tak już nie mógł odmienić się na gorsze, wyglądali na zaciekawionych i ożywionych. Doktor załatwił kilka spraw w różnych miejscach i spotkał Jacka tam, gdzie się umówili.

— Akt kapitulacji podpisany? — spytał.

— Tak—odpowiedział Jack.— Francuzi otrzymali niezwykle korzystne warunki. Będą mogli

wymaszerować pod własną flagą, z zapalonymi lontami i przy odgłosie werbla. Oddano im zatem wszystkie honory wojenne, a co więcej, oszczędzi im się więzienia. Powiedz mi teraz, czy odnalazłeś Clonferta. Mam list jego żony.

— Nie widziałem się z nim dziś rano, spał. Według McAdama jego stan ogólny raczej nie uległ zmianie, ja jednak uważam, że wyzdrowieje, choć oszpeccenie na pewno wywrze wpływ na jego kondycję psychiczną. W takich przypadkach stan umysłu pacjenta ma ogromne znaczenie dla rekonwalescencji. Sugeruję, byś pozostał przy bramie pod drzewem, podczas kiedy my z McAdamem zajmujemy się jego opatrunkami. Może się okazać, że stan Clonferta nie pozwala na odwiedziny. Ruszyli po zboczu wzgórza, rozmawiając o ceremonii kapitulacji.

— Gubernator Farquhar był zaskoczony tym, że nie zostałeś zaproszony — mówił Jack. — Czynił admirałowi takie wyrzuty, że wszyscy taktownie odwróciliśmy wzrok. Mówił, że twoja praca ocaliła niezliczenie wiele ludzkich istnień i że ten nietakt powinien zostać szybko naprawiony. Naciskał, byś w zamian otrzymał honorowe miejsce na oficjalnym obiedzie wydanym przez admirała, a Bertie wyglądał na bardzo strapionego i obiecał, że zrobi wszystko co w jego mocy, by naprawić nietakt. Obiecał też, że z wielkim poważaniem wspomni twe nazwisko w oficjalnym meldunku, a potem pobiegł niczym sztubak, by go od razu napisać. Wspomniał też, że paliło go od świtu, by się do tego zabrać. Będzie to wspaniały dokument, tego jestem pewien, ha, ha, ha, ha! Niczym nie będzie się różnił od innych, ale przynajmniej wypełni całą „Gazette”.

— Kto ma go zawieźć do Anglii?

— Och, jego bratanek, jak podejrzewam, lub ktoś z faworyzowanych przez niego kapitanów.

Większej gratki nie było przez ponad pięć lat — szczęściarz, który go zawiezie, zostanie wezwany na dwór, otrzyma pochwałę z ust królewskich wraz z jakąś sumką, będzie na obiedzie w Guidhall, z tego go zwolnią, tamto otrzyma, niezłe mieszkanie, no i na pewno jakiś awans. Przekażę temu szczęściarzowi moje listy do Sophie — wiadomo, że z takimi wieściami popłynie do domu z

prędkością błyskawicy! Szczęściarz!

Myśli Jacka na chwilę uleciały do Hampshire i usłyszał pytanie Stephena dopiero, gdy ten powtórzył je głośniej:

— Jeszcze raz pytam, jak myślisz, gdzie teraz nas skierują?

— Co? Aha, na Jawę. Jasne jak słońce, utrzymamy nosa Holendrom.

— Cóż, Jawa, rzeczywiście. Słuchaj, tu są drzewa, a oto ławka. Poczekaj, ja zaraz przyjdę.

Na dziedzińcu przed szpitalem panował osobliwy chaos.

Wszędzie biegali ludzie, którzy korzystając z chwili bezprawia, starali się wynieść wszystko, co tylko

dało się z miejsca ruszyć, lecz wrzawie towarzyszyło coś jeszcze. Stephen przyśpieszył kroku i wtedy

usłyszał czyjś ochrypły krzyk, w którym rozróżnił ulsterski akcent McAdama. Przecisnął się przez tłum stojących na werandzie sanitariuszy i ujrzał samego doktora. Był mocno pijany, lecz trzymał się na nogach i od razu rozpoznał Maturina.

— Przepuście go! — wrzasnął. — Miejsce dla wielkiego lekarza z Dublina! Chodź i obejrzyj swego

pacjenta, doktorze Maturin, skurwysynu jeden!

W pokoiku z niskim sufitem okiennice były zamknięte, nie dopuszczając promieni popołudniowego słońca, przez co krew Clonferta wydawała się niemal czarna. Nie było jej dużo, niewiele jej pozostało

w mizernym, zniszczonym ciele. Kapitan leżał na plecach, rozrzucone ramiona zwisały ku podłodze, a nietknięta część jego twarzy wciąż wyglądała urodziwie i poważnie, wręcz surowo. Bandaż został zdarty z szyi.

Stephen pochylił się, próbując wyczuć choćby ślad bicia serca, po czym wyprostował się, zasunął powieki Clonferta i zakrył go kocem. Łkający McAdam przysiadł na łóżku. Całą furię wykrzyczał na werandzie.

— To te wiwaty go obudziły — powiedział między jednym szlochnięciem a drugim. — „Po co te wrzaski?” — pyta, a ja na to, że Francuzi się poddali, że Aubrey ma go odwiedzić i że ma odzyskać swą „Nereide”. Wtedy powiedział: „Nigdy, nie od Jacka Aubreya!” Potem kazał mi wybiec i patrzeć, czy nie idziecie. Zrobił to w chwili, kiedy wyszedłem za drzwi. Na Chrystusa, zrobił to... To pański Jack Aubrey go zniszczył — powiedział po długiej chwili. — Jack Aubrey go zniszczył.

Stephen znów przeszedł przez zalany słońcem dziedziniec szpitalny i odnalazł Jacka, oczekującego pod drzewami.

— Nie żyje — powiedział Maturin. Uśmiech Jacka zniknął.

W milczeniu ruszyli przez miasto, do którego zaczynało powracać życie. Otwierano sklepy, ludzie rozlepiali proklamacje, po ulicach maszerowały kompanie wojska i włączyły się grupy marynarzy w niebieskich mundurach, a przed burdelami ustawiały się pierwsze kolejki. Minęło ich kilku francuskich oficerów, którzy salutowali zgodnie z etykietą, starając się zachować godność w obliczu porażki. Stephen zatrzymał się i uklęknął, gdy mijał ich ksiądz niosący ostatnie namaszczenie dla zmarłego.

— Mam nadzieję, że odszedł bez cierpień? — spytał w końcu cichym głosem Jack.

Stephen pokiwał głową i spojrzał na przyjaciela swymi bladymi oczyma bez wyrazu, taksując jego wysoką, niemalże zwalistą, zdrową i tryskającą humorem postać.

„Nie można winić byka za to, że rozdeptał żabę”—pomyślał. „Trudno, by byk to rozumiał”.

— Słuchaj, Jack — powiedział głośno. — Niezbyt mnie obchodzi smak tego zwycięstwa. Jeśli mam być szczery, nie dbam o smak żadnych zwycięstw. Zobaczymy się na obiedzie.

Obiad nie był niczym szczególnym w porównaniu z tymi, które miał w zwyczaju wydawać generał Decaen w domu gubernatora. Krótki okres bezkrólewia starczył bowiem, by znikła większość jego kucharzy i cała zastawa. Ponadto wymierzony na ślepo pocisk z moździerza rozdarł jeden z murów. Tak czy owak jednakże kreolskie potrawy stanowiły miły kontrast w porównaniu ze skąpymi racjami, które stanowiły podstawę wyżywienia przez ostatnie dni, a sam obiad posłużył jako doskonała okazja

do wygłoszenia przemów.

„Coś dziwnego dzieje się z oficerami, którzy dochodzą do rangi admirałskiej" — pomyślał Jack.
„Coś,

co sprawia, że kochają stawać na tylnych łapach i wygłaszać długie zdania z jeszcze dłuższymi przerwami między nimi".

Kilku obecnych zdążyło już wyrazić absolutny podziw w stosunku do samych siebie, towarzyszy broni i kraju, a teraz właśnie podnosił się generał Abercrombie z plikiem notatek w dłoni.

— Wasza Ekscelencjo, szlachetni lordowie, admirał Bertie i drodzy panowie! Spotkaliśmy się tutaj

— przerwa na dwa wdechy — w ten szczęśliwy eee... dzień — kolejne dwa wdechy — by uczcić coś,

co pozwolę sobie nazwać niezrównanym wyczynem na polu współpracy między armią a marynarką i świetnym przykładem męstwa, organizacji i nieposkromionej woli zwycięstwa — znów przerwa. —

Sobie zasług przypisywać nie pragnę — tym razem przerwał, by pozwolić zebranych na protesty wobec własnej skromności i wyrazy uznania. — Nie. Wszystko to jest zasługą — przerwa — pewnej młodej damy w Madrasie.

— Sir! — syknął ostrzegawczo jego adiutant. — Przewrócił pan dwie kartki naraz!

Minęło kilka chwil, nim generał zaprowadził porządek w swej mowie pochwalnej na cześć siebie samego i zebranych. Jack zerknął w tym czasie na swego przyjaciela, jednego z nielicznych cywili na obiedzie, zasiadającego po prawicy gubernatora. Stephen nienawidził przemówień, lecz tym razem wydawało się, że znosi je nieźle, choć poblądł trochę. Ku swemu zadowoleniu Jack dostrzegł również,

że Stephen potajemnie spijał wino z kieliszka gubernatora-abstynenta.

Generał nadal perorował, lecz zbliżał się już powoli do końca swej mowy, choć jej pozorny koniec wprowadził w błąd wszystkich zebranych — Abercrombie zebrał myśli i pociągnął przemówienie dalej. Wreszcie opadł na krzesło, rozejrzał się wokół z wyrazem zgryźliwego tryumfu i na podobieństwo wielbłąda przed wędrówką przez nie kończącą się pustynię dobrał się do wina.

W istocie zanosilo się na wędrówkę po pustyni, gdyż następny powstał pełen sił i energii admirał Bertie, co zapowiadało kolejne pół godziny zabawy. Już przy pierwszych słowach admirała Jack poczuł, jak jego serce skuwa lód, gdy mówca przyznał, iż nie jest w stanie dorównać niedoścignionej elokwencji generała. Kiedy Bertie rozwodził się nad zasługami poszczególnych oddziałów inwazyjnych, myśli Jacka odpłynęły w kierunku projektu budowy nowego, niedoścignionego obserwatorium astronomicznego przy domku Ashgrove, oczywiście na wykupionym i oczyszczonym z drzew wzgórzu. Naraz jednak czujność jego wzbudził nowy, obłudny ton w głosie Bertiego.

— W trakcie mej długiej kariery — mówił admirał — zmuszony byłem wydać wiele rozkazów, które,

choć zawsze służące sprawom wyższym, czasami godziły w moje poczucie sprawiedliwości. A nawet

admirał zachowuje poczucie sprawiedliwości, panowie! — Reakcją był uprzejmy, niezbyt głośny

śmiech. — Teraz jednak, za pozwoleniem Waszej Ekscelencji, pozwolę sobie wydać rozkaz, który jak

najbardziej trafi do serca każdego uczciwego brytyjskiego żeglarza. .. — Przerwał i kaszlnął. Nad

stołem nagle zapadła pełna wyczekiwania cisza. — Niniejszym rozkazuję kapitanowi Aubreyowi —

kontynuował jeszcze głośniejszym głosem — udać się na pokład fregaty „Boadicea” zaraz po zakończeniu obiadu i

jak najszybciej zawieźć na Whitehall moje raporty dla Lordów Komisarzy Admiralicji, które

niebawem zostaną dostarczone na okręt. A teraz, panowie — admirał ujął kieliszek — chciałbym

wznieść toast! Wypijmy aż do dna za Anglię, nasz piękny dom i niech pomyślne wiatry jak

najszybciej zaniósą Jacka „Szczęściarza” Aubreya do jego brzegów!

Scanned & processed by JMT @ 2004

OKRĘTY JACKA AUBREYA Brain Lavery

W przeciwieństwie do innych pisarzy-marynistów, Patrick O'Brian często umieszcza akcję swych powieści na pokładach okrętów istniejących naprawdę. W cyklu C.S. Forestera o przygodach Hornblowera, dla przykładu, główny bohater służy na tylko jednym historycznym okręcie — jest midszypmenem na dowodzonej przez kapitana Pellewa fregacie „Indefatigable”.

Niektóre z przygód Aubreya wzorowane są na rzeczywistych wydarzeniach, a opisywane okręty są prawdziwe. *Dowództwo na Mauritiucie* jest tu szczególnie dobrym przykładem, gdyż fabuła powieści

jest oparta na historycznej kampanii, przeprowadzonej na tym obszarze. Wykorzystanie prawdziwych

okrętów wywiera większe wrażenie na czytelniku — przykładem może tu być przedstawiona w *HMS*

„*Surprise*” akcja odbicia „Hermione” czy opisany w *The Fortune of War* incydent z udziałem

„Leoparda” i USS „Chesapeake” w roku 1807, który przyprawił Jacka o wiele problemów po tym, jak

dostał się on do amerykańskiej niewoli.

W szczytowym okresie rozwoju podczas wojen napoleońskich w roku 1814 Królewska Marynarka

Wojenna liczyła sobie prawie tysiąc jednostek. Głównym kryterium ich podziału był rozmiar i

uzbrojenie, w efekcie czego powstało sześć klas oraz liczna grupa mniejszych jednostek

nieklasyfikowanych. Ogólnie klasy okrętów wojennych przedstawiały się następująco:

Pierwsza klasa 100 dział i więcej 850 ludzi i więcej

Druga klasa 90-98 dział 750 ludzi

Trzecia klasa 64-84 dział 500-720 ludzi

Czwarta klasa 50-60 dział 350-420 ludzi

Piąta klasa 30-40 dział 215-294 ludzi

Szósta klasa 20-28 dział 121-195 ludzi

Do nieklasyfikowanych okrętów zaliczały się słupy uzbrojone w 10-18 dział, brygi, kecze

artyleryjskie, brandery, okręty-magazyny, kutry, szkunery, lugry, okręty szpitalne, hulki więzienia i

kanonierki.

Po odbyciu służby w randze midszypmena i porucznika, przy odpowiedniej dozie szczęścia, oficer

Królewskiej Marynarki Wojennej mógł awansować na dowódcę słupa (ang. *Commander*)*. Po

awansie na kapitana mianowanego (ang. *Post Captain*) oficer mógł liczyć na dowództwo coraz

większych jednostek, po siedmiu do dziesięciu latach służby na fregatach, mając w końcu szansę na

przyjęcie okrętu trzeciej klasy.

* Ranga *Commander* nie ma odpowiednika w języku polskim. Dowódca słupa tytułowany był co prawda kapitanem, ale faktycznie takową rangę (*Captain*) zyskiwał dopiero po przejściu na okręt klasyfikowany.

W początkowym okresie swej kariery Jack Aubrey nie miał na to jednak wielkich nadziei. Jego pierwszym samodzielnym dowództwem był niewielki slup „Sophie”, po czym, po krótkim okresie pobytu na lądzie, przejął inny slup, „Polychrest”. Otrzymał awans na kapitana mianowanego, Jack objął funkcję dowódcy na „Lively” — uzbrojonej w trzydzieści osiem dział fregacie piątej klasy. Był to duży okręt jak dla oficera świeżo wyniesionego do rangi kapitana, ale Jack dowództwo sprawował tymczasowo, a okoliczności jego objęcia były wyjątkowe. Jego kolejny okręt — dwudziestośrednioklasowa fregata „Surprise” szóstej klasy — był jednostką bardziej odpowiednią dla jego rangi. Po „Surprise” Jack objął komendę nad „Boadiceą”, fregatą piątej klasy z trzydziestoma osmioma działami. Po zakończeniu służby na „Boadicei” mógł na zawsze zakończyć karierę dowódcy fregat — zaproponowano mu bowiem objęcie „Ajaxa”, liniowca uzbrojonego w siedemdziesiąt cztery działa. Jack jednak zrezygnował z „Ajaxa” na rzecz pięćdziesięcioklasowego „Leoparda”, na którym mógł wyjść w morze znacznie szybciej.

Kolejne awanse Jacka Aubreya przychodziły znacznie wolniej. Szpiegowskie misje Stephena Maturina wymagały mniejszych okrętów, a sam Aubrey czuł się znacznie lepiej, odbywając pojedyncze wyprawy na pokładzie fregaty aniżeli dowodząc liniowcem w głównej flocie. Jego następnym okrętem po „Leopardzie”, nie licząc jednostek, na których był pasażerem, został slup „Ariel”. Obejmujący dowództwo Aubrey otrzymuje wyraźne wyjaśnienie, że przekazuje mu się ów okręt ze względu na „konieczność przeprowadzenia delikatnej, pilnej misji, wymagającej opanowanego i doświadczonego specjalisty” oraz że „przekazanie słupa w żadnym stopniu nie jest odzwierciedleniem uznania dla zasług kapitana Aubreya”. Okręt został oficjalnie przeklasowany ze słupa na okręt szóstej klasy tylko i wyłącznie przez to, iż dowództwo objął na nim Aubrey¹.

¹ Patrick O'Brian, *The Surgeon's Mate*, Collins, London 1980, s. 149,153.

W *The Ionian Mission* kariera Jacka Aubreya na moment powraca do normalnego toku, kiedy ten zostaje kapitanem siedemdziesięcioklasowego liniowca „Worcester”. Jego służba na liniowcu

nie trwa jednak długo, gdyż wraca on na swą starą dobrą fregatę „Surprise”. Na tym okręcie pływa w pozostałych tomach swej sagi, a jego związek z fregatą przetrwa nawet odejście Jacka z marynarki w *The Reverse of the Medal*.

Dwa pierwsze okręty Aubreya, „Sophie” i „Polychrest”, to jednostki fikcyjne i raczej niezwykle jak na standardy Królewskiej Marynarki Wojennej. „Sophie” była „niemalże jedynym brygiem z pokładem

rufowym na służbie”, co biorąc pod uwagę fakt, że pokład rufowy na większych jednostkach ciągnął się od rufy aż na śródokręcie, na małym okręcie w istocie było osobliwe. Słup, poprzednio zwany „Vencejo”, został zdobyty na Hiszpanach. Jego konstrukcja i wyposażenie uchodziły za staroświeckie,

a sam okręt uważany był za dość wolny. Jego pojemność wynosiła około 150 ton, przez co długość pokładu działowego sięgała około 70 stóp. Uzbrojenie słupa składało się z 14 najprawdopodobniej lekkich dział czterofuntowych, ale Jackowi udało się zainstalować dwie „dwunastofuntówki” jako działa pościgowe na dziobie. Będąc brygiem, „Sophie” posiadała dwa maszty i żagle rejowe.

„Polychrest” był jednostką jeszcze bardziej niezwykłą. Początkowo okręt zaprojektowano do przewożenia tajnej broni, co później zarzucono. Na skutek tego jego rufa i dziób wyglądały identycznie, a sam słup nie posiadał ładowni, przez co jego zanurzenie było prawdopodobnie bardzo niewielkie. Rekompensowano to użyciem przesuwnej stępki, podobnej do używanych współcześnie przy łodziach typu *dinghy*. W rzeczywistości istniało kilka jednostek, głównie projektu kapitana Shancka, które zostały w podobną stępkę wyposażone*.

* HMS „Trial” i „Lady Nelson”.

Uzbrojenie słupa, składające się z dwudziestu czterech karonad trzydziestodwufuntowych, było niezwykle silne jak na tak niewielki okręt, lecz karonady były skuteczną bronią tylko z niewielkiego dystansu. „Polychrest” miał trzy maszty i ożaglowanie rejowe, ale i w tym przejawiała się jego osobliwość — okręt posiadał dwie reje grotmarsla. Nazywano go „Carpenter's Mistake” — „Ciesielską Pomyłką”, a był okrętem zaprojektowanym przez „teoretyka, który nigdy z morzem nie

niał do czynienia, a na dodatek zbudowanym przez bandę partaczy i nierobów"2.

2 Patrick O'Brian, *Kapitan*, Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 1999, s. 184.

„Lively” to pierwszy historyczny okręt, z którym się spotykamy w twórczości Patricka O'Briana. Jest to standardowa fregata, uzbrojona w trzydzieści osiem dział. Kiedy Aubrey objął nad nią tymczasowe

dowództwo jesienią 1804 roku, była to w rzeczywistości jednostka niemalże nowa — zwodowano ją w Woolwich Dockyard w lipcu tego roku jako pierwszą fregatę z serii piętnastu okrętów

zaprojektowanych przez sir Williama Rule'a. Fregata miała wyporność 1,076 ton, długość jej pokładu

działowego wynosiła 154 stopy i jeden cal, a szerokość 39 stóp 6 cali. Podobnie jak inne okręty tego

typu, „Lively” miała dwadzieścia osiem armat osiemnastofuntowych na głównym pokładzie,

dwanaście trzydziestodwufuntowych karonad i dwie długie osiemnastofuntówki na pokładzie

rufowym oraz dwie karonady trzydziestodwufuntowe i dwie dziewięćfuntowe pościgówki na

pokładzie dziobowym. Oficjalnie załogę okrętu miało stanowić 300 ludzi, lecz w praktyce wiele

jednostek tego typu cierpiało na niedobory. Ten typ fregat był trzeci co do liczebności we flocie w

owych latach. W roku 1805 na liście Królewskiej Marynarki Wojennej figurowało ich 45, podczas gdy

fregat trzydziestosześciodziałowych było 53, a mniejszych, trzydziestodwudziałowych jednostek było

„Surprise”, którą Aubrey objął po oddaniu tymczasowego dowództwa „Lively”, była „dwudziestośmiodziałową eks-francuską fregatą z zadartym dziobem i piękną linią (...), posłuszną sterom, rączą pod dobrym dowódcą, suchą, stateczną i przestronną”³.

³ Patrick O'Brian, *HMS „Surprise”*, Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2002, s. 101.

Okręt historyczny wyróżnił się w roku 1799. Dwa lata wcześniej załoga fregaty „Hermione” zbuntowała się przeciwko swemu okrutnemu kapitanowi Pigotowi, wymordowała swoich oficerów i przeszła na stronę Hiszpanów, kotwicząc w Puerto Caballo w dzisiejszej Wenezueli. W nocy 21 października 1799 roku do portu wślizgnęło się sześć szalup z „Surprise” — załoga wzięła „Hermione” szturmem, zdobyła okręt i wyholowała go na pełne morze⁴.

⁴ Ibid., s. 161; William James, *The Naval History of Great Britain from the Declaration of War by France...*, London 1822-1824, t. II, s. 406-412; Dudkey Pope, *The Black Ship*, Weidenfeld & Nicolson, London 1963.

„Surprise” została zwodowana jako francuski okręt „Unite”. Zbudowano go w Hawrze w roku 1794 i sklasyfikowano w marynarce francuskiej jako korwetę. W kwietniu 1796 roku „Unite” została zatrzymana i zdobyta przez trzydziestośmiodziałową fregatę „Inconstant” na Morzu Śródziemnym. Ochrzczono ją „Surprise”, gdyż w marynarce brytyjskiej istniał już okręt o nazwie „Unite”. W służbie brytyjskiej zarejestrowano ją jako fregatę dwudziestośmiodziałową, mimo że miała dwadzieścia cztery karonady trzydziestodwufuntowe na głównym pokładzie oraz osiem na pokładzie rufowym i dziobowym, co uzupełniały jeszcze cztery długie sześciofuntówki na pokładzie rufowym i dwie na dziobowym. Jak na fregatę było to więc bardzo potężne uzbrojenie, ale w jego skład wchodziło zaskakująco niewiele dział długiego zasięgu. Istniały też pewne kłopoty ze sklasyfikowaniem jednostki — okręty dwudziestośmiodziałowe zazwyczaj zaliczano do szóstej klasy i tak też było z „Surprise” przez większą część jej służby. Wyjątkiem był jedynie okres od 1797 do 1798 roku, kiedy to uważano fregatę za jednostkę piątej klasy. Jej pojemność wynosiła zaledwie 579 ton, ale była

wyposażona w grotmaszt, pochodzący z jednostki trzydziestożaglowej, których pojemność wynosiła na ogół około 950 ton. Fokmaszt i stermaszt były typowe dla jej tonażu. Zdaniem jednego z ekspertów, „zdolności żeglugowe ożaglowanej w ten sposób fregaty nie pozostawiały nic do życzenia”⁵.

⁵ W. James, *The Naval History*, op. cit., s. 406.

Pod dowództwem kapitana Edwarda Hamiltona „Surprise” udała się na Jamajkę w lipcu 1796 roku i pozostała w Indiach Zachodnich przez kilka lat. Okręt uczestniczył w zatrzymaniu wielu statków korsarskich, a po odbiciu „Hermione” powrócił do Anglii. W tym momencie fikcja rozmija się już z rzeczywistością. Prawdziwą „Surprise” sprzedano w lutym 1802 roku w Deptford i przypuszczalnie rozebrano, gdyż po podpisaniu rozejmu w Amiens rząd nie widział sensu utrzymywania takich okrętów. Pokój okazał się jednak nie trwać długo.

Fikcyjna „Surprise” pływała jeszcze długie lata, pojawiając się w ośmiu z czternastu opublikowanych

dotąd powieści o Jacku Aubreyu. Zarówno z tego względu, jak i przez to, że „Surprise” jest typowym przykładem fregaty z tego okresu, warto zarysować bliżej szczegóły techniczne okrętu. Wiarygodny opis jest możliwy dzięki do dziś przechowywanym w National Maritime Museum schematom budowy

okrętu, które stoczniovi projektanci sporządzili zaraz po zdobyciu „Surprise”.

Długość pokładu działowego okrętu wynosiła 126 stóp. Miara ta nie odpowiadała rzeczywistej długości fregaty, gdyż nie wliczano w to galeryjki rufowej, galionu ani też daleko wychodzącego bukszprytu. Miara dawała jednak realne wyobrażenie długości kadłuba oraz przestrzeni, w której można było rozmieścić działa i zakwaterować załogę. W najszerszym miejscu śródokręcia szerokość okrętu wynosiła 31 stóp i 8 cali, choć wyłączwszy burty, jej szerokość wynosiła już 31 stóp i 2 cale.

Dzięki tym wartościom można było w standardowy sposób obliczyć pojemność okrętu, która wynosiła

578 73/94 tony, co niewiele mówiło o prawdziwej wyporności czy wadze jednostki, lecz

przydawało

się przy porównywaniu jej wielkości z wielkością innych okrętów wojennych.

Kadłub okrętu wojennego był mocną, drewnianą konstrukcją. Jej najniższym elementem i jednocześnie kręgosłupem był prosty kil, z przodu przechodzący w łukowatą stewę dziobową. Na stewie rufowej mocowano pionowe ramię sterowe, na którym z kolei instalowano płetwę steru.

Trójwymiarowy kształt kadłuba formowały wręgi, inaczej zwane żebrami, z których każdy składał się z kilku odcinków. Na śródokręciu poprzeczny przekrój kadłuba przybierał kształt kielicha tulipana, ze zwężeniem powyżej linii wodnej, zwanej *tumblehome*. Było to charakterystyczne bardziej dla okrętów francuskiej budowy aniżeli brytyjskiej owego okresu, dlatego też na schematach budowy „Surprise”

tumblehome jest wyraźnie dostrzegalne. Istnieją też duże różnice w budowie dziobu i rufy. Przez znaczną długość kadłuba wręgi biegną w osi poziomej, podczas gdy w okolicach dziobu są ułożone w

osi pionowej — nazywano to wręgami kluzy kotwicznej. Na rufie poziome wręgi, zwane *transoms*

— wręgi pawęży, tworzyły istotną część struktury dolnej rufy. Nad nimi na niemalże wszystkich okrętach tej epoki konstrukcja kadłuba była delikatna i w znacznej części zajęta przez duże okna. Wojowniczy kapitanowie, tacy jak Jack Aubrey, tylko marzyli o odpaleniu salwy burtowej w ten fragment kadłuba!

Na wręgach opierało się poszycie kadłuba, zbudowane z klepek różnej grubości, zarówno po wewnętrznej, jak i zewnętrznej stronie. Najgrubsze klepki na zewnątrz, zwane belkami odbojowymi, były nabijane pod poziomami pokładów. Na okrętach brytyjskich tego okresu umieszczano ich pojedynczą warstwę — grubość belek odbojowych pod górnym pokładem fregaty wynosiła 7 cali, a ich wysokość 3 stopy i 6 cali. Na okręcie francuskim, takim jak „Surprise”, górne belki byłyby podwójne,

a między nimi znajdowały się dwie grube i kilka cieńszych klepek. Pozostała część poszycia okrętu podobnego „Surprise” wynosiła około 3 cale. Poszycie w podwodnej części kadłuba pokrywano

płatami miedzianej blachy, chroniąc w ten sposób okręt przed porośnięciem wodorostami i toczącymi

kadłub skorupiakami.

W skład poszycia wewnętrznego kadłuba wchodziły również szersza i grubsza warstwa belek, zwanych *clamp*. Umieszczano je w miejscach zbiegania się wręgów i na nich układano pokłady.

Poszycie między pokładami działowymi zwane było *spirketting*. Ułożone poprzecznie pokładniki wspierały się na *clamp* i wyginały się lekko ku górze, by utworzyć wypukłość, po której spływająca woda mogła trafić do szpigatów. Same pokładniki mocowano do poszycia za pomocą kolan w kształcie litery L, które zwano kolanami wiszącymi, jeśli były umieszczone w pozycji pionowej, oraz mocującymi, jeśli były umieszczane poziomo. Pomiędzy pokładnikami umieszczone były lżejsze wręgi, nazywane wzdłużnikami, a klepki poszycia miały tam grubość około dwóch cali.

Podobnie jak wszystkie fregaty tego okresu „Surprise” dysponowała dwoma pełnymi pokładami, biegnącymi przez całą długość okrętu. Znajdujący się pod linią wodną pokład dolny był całkowicie pozbawiony uzbrojenia, niemniej czasami, z powodów historycznych, opacznie zwano go pokładem działowym. Przeznaczony był on jednak wyłącznie na kwatery dla załogi okrętu — marynarze mieszkali w części umieszczonej przed grotmasztem, natomiast oficerowie w części rufowej, gdzie znajdowało się pomieszczenie równie opacznie zwane mesą artyleryjską*.

* W tłumaczeniu zastępowane określeniem „mesa midszypmenów”.

Różnice między „Surprise” a innymi okrętami tej klasy polegały na tym, że jej pokład dolny nie był jedną płaszczyzną — mniej więcej w połowie drogi między grotmasztem a sternasztem obniżał się o stopę, przez co pomieszczenia oficerskie były nieco wyższe. Dolny pokład cierpiał na stały niedobór światła dziennego i świeżego powietrza, które docierały tu jedynie przez gretingi i luki górnego pokładu.

Nad pokładem dolnym znajdował się pokład górny, zwany również pokładem głównym. Na każdej jego burcie umieszczano dwanaście furt armatnich dla artylerii głównej, dlatego też pokład górny

musiał być odpowiednio wzmocniony — waga każdego działa wraz z lawetą i wyposażeniem wynosiła bowiem około dwóch ton. Środkowa część głównego pokładu była w znacznej części otwarta i przez to nie nadawała się na kwatery dla załogi. Na dziobie pokład główny był kryty, co tworzyło dach nadbudówki dziobowej. W nadbudówce dziobowej mieścił się żelazny piec, na którym przygotowywano posiłki dla całej załogi, oraz masywne pacholki, służące do mocowania lin kotwicznych podczas postoju okrętu.

W tylnej części głównego pokładu za grotmasztem wznosił się pokład rufowy, pod którym, na samej rufie, mieściła się kajuta kapitańska. Dopływ światła zapewniał szereg okien na ścianie rufowej, a na boki wychodziły balkoniki, z których jeden wykorzystywany był przez kapitana jako toaleta. Otwarta, lecz kryta dachem przestrzeń przed kajutą kapitańską była schronieniem dla wachty. Znajdowała się tam też dolna część głównego kabestanu, urządzenia służącego do wyciągania kotwicy, wciągania na pokład dział oraz do innych wymagających sporej siły zadań. Urządzenia pomp okrętowych umieszczone były w równej linii z kolumną grotmasztu, sięgając w głąb kadłuba i wypompowując wodę z jego trzewi.

Zarówno na pokładzie dziobowym, jak i rufowym znajdowały się działa. Ze względu na konieczność zachowania stateczności okrętu umieszczano tam tylko armaty mniejszego wagomiaru niż na głównym pokładzie. Na pokładzie rufowym „Surprise” na burtę przypadało najprawdopodobniej po sześć dział lub karonad, a na pokładzie dziobowym po dwa. Na rufówce stało również koło sterowe, szafka kompasu oraz górna część kabestanu, który wprawiano w ruch za pomocą wtykanych w otwory głównego bębna handszpaków. Na każdy z handszpaków mogło napierać do sześciu marynarzy, nawijając tym samym linę na bęben kabestanu. Pokład rufowy był miejscem zastrzeżonym dla oficerów, ale szeregowi członkowie załogi przebywali tam przy wielu zadaniach, takich jak operowanie kołem sterowym, praca przy kabestanie i takielunku stermasztu oraz obsługa dział.

Na pokładzie dziobowym zaś znajdował się magazyn lin, głównie należących do fokmasztu, oraz

komin, wybiegający ze znajdującego się poniżej kambuza. Tu też odbywała się większość pracy związanej z wyciąganiem kotwicy.

Przestrzeń pod pokładem dolnym była w całości przeznaczona na magazynowanie zapasów. Na rufie, tuż pod pomieszczeniami oficerów, struktura okrętu podnosiła się, tworząc przestrzeń nad wodą w zębie. Tam właśnie mieściła się spiżarnia, w której składowano zapasy sucharów okrętowych. Przed spiżarnią, ale wciąż pod pomieszczeniami oficerskimi, znajdował się magazyn prochu. Proch składowano w beczkach lub w owiniętych w płótno czy papier ładunkach. Przed prochownią znajdowało się jeszcze jedno małe pomieszczenie, najprawdopodobniej przeznaczone do przechowywania alkoholu lub ryb. Oba te produkty należało składować osobno ze względów bezpieczeństwa lub przez specyficzny zapach.

Największą część przestrzeni pod dolnym pokładem zajmowały ładownie, w których w drewnianych beczkach przechowywano wszystkie produkty niezbędne do życia — mięso wołowe i wieprzowe, masło, ser, groch, wodę i piwo, pod nimi zaś znajdował się balast — żwir lub sztaby żelaza. W przypadku fregaty szóstej klasy jak „Surprise” na położonych na owych beczkach deskach składano również liny kotwiczne.

Z przodu ładowni, trzy podkłady pod nadbudówką dziobową, znajdowały się magazyny oficerów kontraktowych: bosmana, cieśli okrętowego i artylerzysty. Tam właśnie składowano zapasy drewna, smoły, bloków, lin, części zamiennych do lawet, narzędzi i setek innych zasobów, dzięki którym okręt mógł pływać przez długie miesiące bez konieczności zawijania do portu.

Fregata „Surprise”, jak wszystkie okręty z prawdziwego zdarzenia, miała trzy maszty. Najwyższym był grotmaszt, który był umieszczony prawie w centralnym punkcie okrętu, by zapewnić jednostce odpowiednią stateczność. Fokmaszt był odrobinę niższy, a wstawiano go tuż za początkiem kilu. Stermaszt był najmniejszy, a odległość między nim a rufą była większa niż między fokiem a dziobem, tak więc odległość między fokmasztem a grotmasztem była całkiem spora. Każdy z masztów składał

się z trzech elementów. Najniższa część, czyli kolumna masztu, rozpoczynała się piętą, osadzoną bezpiecznie tuż nad kilem i przechodziła ku górze przez pokłady, przy każdym z nich zabezpieczona dodatkowymi wręgami. Nad kolumną masztu ciasno mocowano stengę, a nad nią bramstengę. Na szczycie kolumny masztu znajdowała się platforma zwana marsem, a na szczycie stengi saling, który, podobnie jak mars, mógł służyć jako stanowisko pracy marynarzy oraz punkt obserwacyjny.

Z przodu kadłuba wystawało pod kątem 12 stopni w stosunku do płaszczyzny pokładu długie drzewce zwane bukszprytem, do którego, na podobieństwo żagli, mocowano stengę i bramstengę bukszprytu. Z bukszprytu również wychodziły żagle, lecz jego podstawowym zadaniem było zapewnienie podstawy do mocowania lin wspierających fokmaszt.

Na każdym maszcie mocowano reje, na których rozpinano żagle. Zasadniczo na każdy element masztu (kolumnę, stengę i bramstengę) przypadała jedna reja, biorąca swą nazwę od samego masztu. Tak więc na kolumnie grota znajdowała się grotreja, a na fokstendze reja fokmarsła. Wyjątkiem był tu stermaszt, na którym rozpinano żagle raczej skośne aniżeli rejowe. Rozciągnięcie liku dolnego stermarsła wymagało dodatkowej rei — bagenrei.

Założenie i operowanie wszystkimi żaglami na okręcie wielkości „Surprise” wymagało około 30 mil lin, a utrzymywanie ich w porządku oraz sama praca przy linach była, poza obsługą dział podczas bitwy, głównym zadaniem załogi okrętu. Takielunek okrętu, czyli jego olinowanie, dzielił się na stałe i

ruchome. Pierwszy służył do stałego podtrzymywania masztów, a składały się nań liny grubsze i mocniejsze od służącego do ustawiania żagli w odpowiedniej pozycji olinowania ruchomego.

Zdejmowano je jedynie w celu konserwacji. Istniało wiele lin takielunku stałego — z przodu wspierały maszt sztagi, natomiast z tyłu zabezpieczały go wanty, z których te niżej położone mocowano na wybiegających z burt okrętu ławach wantowych. Baksztagi łączyły z ławami topstengi lub bramstengi, a podwantki wspierały dolną część baksztagu. Niektóre specjalne liny, takie jak watersztag, utrzymywały bukszpryt we właściwej pozycji wobec naporu foksztagów.

Nawet żagle stosunkowo niewielkiego okrętu miały ponad akr powierzchni żagli. Istniały dwa podstawowe rodzaje żagli — prostokątne (rejowe) i skośne. Na fregatach dominowały żagle rejowe, idealne podczas żeglugi z wiatrem od rufy, podczas gdy żagle skośne, z wyjątkiem bezanżagla, rozpinane na sztagach, przydawały się podczas wchodzenia w linię wiatru. Wszystkie żagle zszywano z pasów płótna i dodatkowo wzmacniano, obszywając ich skraj liną. Odpowiednie żagle posiadały także refsejzingi, liny służące do zmniejszenia powierzchni żagla podczas silnych wiatrów.

Olinowanie ruchome służyło do ustawiania żagli w odpowiedniej pozycji i również składało się z wielu rodzajów lin. Brasy ustawiały reje pod odpowiednim kątem do wiatru, szoty regulowały dolne rogi żagli, a gordingi i gejtawy używane były do ich zwijania. Buliny służyły do przyciągania rogu szotowego do want podczas żeglugi blisko linii wiatru.

Podstawą sztuki żeglowania było wykorzystanie żagli w sposób najbardziej efektywny. Zbyt wiele postawionych żagli przy danym wietrze mogło nie przynieść spodziewanych rezultatów, a nawet źle się skończyć dla okrętu. Niektóre żagle należało zatem w miarę potrzeb zwijać, inne zaś refować. Przy

bardzo słabych wiatrach obok normalnych żagli rozpinano lekkie żagle boczne. Żagle również należało odpowiednio brasować, by utrzymać odpowiedni kąt w stosunku do linii wiatru, zazwyczaj około 15 stopni. Żaden okręt z ożaglowaniem rejowym nie mógł płynąć bliżej do wiatru niż sześć rumbów lub 67 stopni, zatem żegluga na wiatr mogła być możliwa tylko przez zygzakowanie lub żeglowaniem bajdewindem.

Dwoma podstawowymi manewrami podczas prowadzenia okrętu było zwrot przez sztag (inaczej zwany zwrotem przez dziób) i zwrot przez rufę. Przy zwrocie przez sztag okręt ustawiał się do wiatru przeciwną burtą, przekraczając linię wiatru dziobem. Podczas manewru ster zostawał maksymalnie wychylony, a żagle na grotmaszcie i stermaszcie brasowano na przeciwną burtę. Żagle na fokmaszcie początkowo pozostawiano w poprzedniej pozycji, by ułatwić przejście dziobu przez linię wiatru, po czym brasowano je na podobieństwo poprzednich. Zwrot przez rufę był manewrem przeciwnym —

przekraczano linię wiatru rufą, co było łatwiejsze od zwrotu przez sztag, a żeby go z powodzeniem wykonać, sam okręt nie potrzebował dużej prędkości. Ten rodzaj zwrotu zabierał jednak więcej czasu

i miejsca. Kolejnym manewrem było stawanie w dryfie — żagle ustawiano wówczas tak, by wzajemnie równoważyły własną pracę, a w efekcie okręt stał nieruchomo na wodzie bez użycia kotwicy.

Okręt tego okresu był wyposażony w cztery duże kotwice. Dwie z nich, kotwice dziobowe, były na ogół w ciągłej gotowości na dziobie. Pozostałe dwie były zapasowe i używano ich w sytuacjach alarmowych. Kotwice na „Surprise” ważyły około półtorej tony każda⁶.

⁶ Wilham Falconer, *An Universal Dictionary of the Marine*, red. W. Burney, London 1815, s. 14.

Na okręcie znajdowały się również dwie mniejsze kotwice — kotwica prądowa i kotwica zawoźna, które wywożono łodziami i wrzucano do wody, by na nich przeciągać okręt podczas ciszy morskiej.

Liny kotwiczne należały do grubych, a same kotwice wciągano przy użyciu kabestanu. Kiedy kotwice dziobowych nie wykorzystywano, mocowano je talią na kotbelkach na dziobie, tak by pięta i poprzeczka pozostawały na tej samej wysokości.

Na dwudziestoośmiodziałowym okręcie znajdowały się cztery łodzie, poruszające się za pomocą wiosł lub żagli. Dziesięciowiosłowy barkas, mierzący 28 stóp, służył zazwyczaj do zabierania kapitana na brzeg lub na inne okręty. Tej samej wielkości była szalupa, najcięższa łódź na okręcie, wykorzystywana do przewożenia zapasów. Dwie pozostałe łodzie były kutrami — pierwszy mierzył 24 stopy, a drugi, zwany również bączkiem, 18 stóp. Te dwie łodzie zazwyczaj były zbudowane na zakładkę, a że nadawały się świetnie do żeglugi, wykorzystywano je do wielu zadań⁷.

⁷ Brian Lavery, *The Arming and Fitting of the English Ship of War*, Conway Maritime, London 1987, s. 299.

Załoga okrętu tej wielkości zasadniczo liczyła około 240 ludzi, ale zapisano, że w pewnym momencie

liczebność obsady „Surprise” spadła do 197 osób⁸.

Na okręcie służyło prawie 18 oficerów, w tym kapitan, dwóch poruczników, główni oficerowie kontraktowi, tacy jak nawigator, lekarz okrętowy, ochmistrz, artylerzysta, bosman i cieśla okrętowy, oraz czterech midszypmenów. Pozostałą częścią załogi byli marynarze, którzy spali w hamakach i jedli niewyszukane posiłki w mesach, siedząc przy stole na drewnianych ławach. Niektórzy z członków załogi byli żołnierzami piechoty morskiej, których oddział na „Surprise” liczył sobie około 30 ludzi. Trzonem dobrej załogi byli doświadczeni, starsi marynarze, podczas gdy w słabszej załodze istniał duży procent szczerów lądowych, nienawykłych do życia na morzu rekrutów z ostatniego poboru.

Aby wykonanie skomplikowanych manewrów okrętu było przeprowadzane jak najefektywniej, tę dużą grupę ludzi dzielono na zespoły w oparciu o system dwu— lub trzy-wachtowy, w którym część załogi prowadziła okręt, a druga w tym czasie odpoczywała. Niektórzy jej członkowie, jak służący czy

rzemieślnicy, zwani byli *idlers* i pracowali głównie w ciągu dnia. Każda wachta dzieliła się na sześć grup — pierwsze trzy stanowiły podwachtę foka, grota i bezanu. Pracowały one na masztach i rejach, a składały się z wyszkolonych, sprawnych marynarzy. Pozostałe trzy podwachtę pokładu dziobowego, śródokręcia i rufy złożone były z mniej kwalifikowanych marynarzy, zwłaszcza wachta śródokręcia, których praca przebiegała głównie na pokładzie. Piechotę morską również włączano w system wachtowy — kilku żołnierzy było potrzebnych do wystawienia posterunków i ci nosili pełne mundury. Pozostali jednak pomagali marynarzom w pracy i ubrani byli w zwykłe robocze rzeczy. Podział wacht był obowiązkiem pierwszego oficera, aczkolwiek profesjonalista Aubrey żywo interesował się tą kwestią.

Jack był bardzo dumny z osiągnięć „Surprise” i intensywnie pracował nad ich polepszeniem. Przez ściągnięcie want za pomocą *catharpins* można było brasować żagle pod większym kątem. Jack powrócił również do poprzedniego omasztowania fregaty, ponownie wstawiając grotmaszt jednostki

trzydziestosześciodziałowej⁹.

⁹ James, *The Naval History*, op. cit., t. II, s. 405.

Dobre osiągi okrętu Jack przypisywał swoim pomysłom, ale również francuskiej konstrukcji fregaty, co pokazuje, że żywił te same uprzedzenia co inni żeglarze tej epoki. Prowadzone obecnie badania wskazują raczej, że okręty brytyjskie, choć przy dobrej pogodzie wolniejsze od francuskich, były mocniejsze i lepiej żeglowały podczas wichur i sztormów.

Pozostałe okręty Jacka można opisać znacznie krócej. Pojawiająca się w *Dowództwie na Mauritiusie*

„Boadicea” to historyczny okręt trzydziestoosmiodziałowy, zbudowany w roku 1797 w stoczni Adams

of Bucklers Hard. Fregatę rozebrano dopiero w 1858 roku. „Przeklęty, stary »Leopard«” z *Wyspy na końcu świata* był okrętem pięćdziesięciodziałowym, zwodowanym po długich opóźnieniach w budowie w Sheerness w 1790 roku. W przeciwieństwie do „Surprise” i innych fregat, „Leopard” miał

dwa pokłady działowe oraz pokład dziobowy i rufowy, lecz była to jednostka przestarzała, zbyt

mała, by uczestniczyć w starciach liniowych, i zbyt wolna, by sprostać fregatom. „Java” i „Shannon” z *The Fortune of War* to również istniejące okręty, a ich spotkania z Amerykanami są szczegółowo opisane.

Jedynie „Le Fleche” jest okrętem fikcyjnym.

Slup „Ariel” z *The Surgeon 's Mate* jest również jednostką historyczną, uzbrojoną w szesnaście karonad trzydziestodwufuntowych i dwie dziewięciofuntówki¹⁰.

¹⁰ O'Brian, *The Surgeon 's Mate*, op. cit., s. 156.

Zbudowano go w 1806 roku i służył przez 10 lat przed rozebraniem w Deptford. Okręty tego typu były mniejszymi wersjami fregat, lecz w tym przypadku wybudowano go bez pokładu rufowego i dziobowego. „Worcester” z *The Ionian Mission* był siedemdziesięcioczerodziałowym

dwupokładowcem — był to zatem prawdziwy okręt liniowy. Termin „okręt liniowy” określa nie tyle okręt siedemdziesięcioczerodziałowy, ile całą klasę, do której „Worcester” należał. W marynarce z

racji liczebności określano okręty tej klasy jako „czterdziestu rozbójników”, lecz wykorzystując ową nazwę w powieści, O'Brian popełnia pewną nieścisłość. Pierwszy z okrętów tej klasy ukończono w 1809 roku, a czterdziesty dopiero po 1822, długo po przejęciu okrętu przez Jacka, tak więc owo potoczne określenie klasy okrętów raczej nie mogło być wówczas używane. W marynarce nie darzono liniowców tej klasy szacunkiem, aczkolwiek raczej niesłusznie, gdyż ich konstrukcja, choć niewyszukana, nie budziła zastrzeżeń¹¹.

¹¹ Brian Lavery, *The Shop of the Line*, Conway Maritime, London 1983, 1.1, s. 134-139, 188-189.

Po zakończeniu służby na „Worcester”, Aubrey powrócił na „Surprise” i w pozostałych tomach serii najczęściej śledzimy jego przygody na pokładzie tego właśnie okrętu. Przedstawiając okręty wojenne ery napoleońskiej, Patrick O'Brian wykazuje się kompetencją w kwestiach nie tylko budowy okrętów,

ale również innych aspektów życia na morzu, a dzięki temu nakreślona przezeń wizja epoki jest zarówno fachowa, jak i wciągająca.

Esej został zaczerpnięty z opracowania *Patrick O'Brian, Critical Appreciations and a Bibliography*,

pod redakcją A.E. Cunninghama i został przytoczony za uprzejmą zgodą British Library

Scanned & processed by JMT @2004